TOMASZ
ŁYSIAK

Medalion na pancerzu

PROHIBITA

Medalion *na* pancerzu

…A nas, nas wszystko do boju porywa:
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swoim łonie tyle sławy chowa!
Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!
A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięstwo!”

KORNEL UJEJSKI, *MARATON*

TOMASZ ŁYSIAK

Medalion na pancerzu

WARSZAWA 2015

Medalion na pancerzu

Na książkę składają się artykuły prasowe, które ukazywały się w ciągu ostatnich lat w tygodnikach: „Gazeta Polska” oraz „wSieci”.

AUTOR:
Tomasz Łysiak
REDAKCJA:
Magdalena Łysiak

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE GRAFICZNE I ŁAMANIE:
Szymon Pipień

Grafiki i zdjęcia – ze zbiorów autora
Zdjęcia gen. A. Błasika – archiwum Ewy Błasik

ISBN: 978–83–61344–89–6

Wydawnictwo Prohibita Paweł Toboła–Pertkiewicz
www.prohibita.pl
wydawnictwo@prohibita.pl
Tel. 22 424 37 36
facebook.com/WydawnictwoProhibita

Wszystkie książki naszego Wydawnictwa polecamy nabywać w Internecie:
multibook.pl

lub w naszej księgarni stacjonarnej:
Księgarnia Multibook.pl Dymińska 4,
01–519 Warszawa
facebook.com/Multibookpl

MIĘDZY POLSKĄ NOCĄ A ŚWITANIEM

Polsko, żadnego nie przeklinaj z synów,
Ani zapomnij z dzieci swych nikogo!
Dla kainowych miej pogardę czynów,
Ale każdemu pozwól iść swą drogą,
Choć z różnych ścieżek, zejdą się na końcu,
By oddać pokłon wschodzącemu słońcu,
Gdy się na błękit wytoczy!
ARTUR OPPMAN, *GŁOS MAŁACHOWSKIEGO*

CO jest tematem tej książki? Polska. Ale nie byle jaka. Tu chodzi o Polskę, którą tworzą najtrudniejsze, najwięcej kosztujące wybory: heroizm i martyrologia. Te wybory, które były najbardziej ośmieszane, wyszydzane w ostatnim 25–leciu, a może nawet 60–leciu – od kabaretów PRL–u, wczesnego, głupkowatego Mrożka i przewrotnych dzieł filmowej szkoły polskiej poczynając. Jeszcze wcześniej pojęcia, postawy i postaci, które tu Tomasz Łysiak przywołuje, manipulowane i zohydzane były propagandą stalinowską. Jeszcze wcześniej przez *antybrązowników* z „Nowych Widnokręgów" i „Czerwonego Sztandaru". Jeszcze wcześniej przez publicystyczne nadużycia krakowskich „stańczyków". A jeszcze wcześniej?

Pozwolę sobie genealogię tego zjawiska – opluwania polskiego pancerza i wyśmiewania medalionu na nim – przedstawić na przykładzie sięgającego dwóch epok cytatu. Pisał te słowa Józef Ignacy Kraszewski kilka lat po Powstaniu Styczniowym, a nawiązywał do czasów „króla Stasia". Pisał o swojej dobie – po klęskowego zwątpienia – i nawiązywał do początków wielkiego kompleksu małej, nic nie wartej Polski, do epoki Oświecenia i rządów sąsiedzkich ambasadorów w (formalnie) niepodległej Rzeczpospolitej.

Pisał tak: „Wówczas może więcej jeszcze niż dzisiaj arystokracja polska, pragnąc zrzucić z siebie wszelki pozór barbarzyństwa, zrzucała razem namiętnie wszystkie polskości cechy. Wówczas jak dzisiaj hasłem jej była rezygnacja i szyderstwo z gorącego patriotyzmu. […] Wielki świat z czasów Sejmu Czteroletniego […] bolał tylko, że mu-

siał po trosze być polskim. Polska dla niego była tak smutną, iż z niej ciągle się uciekać chciało, ona przedstawiała obowiązek, trud, twarde zapasy z losami, a wszyscy tak pragnęli życia i użycia! Po cichu ileż to serce biło do tego, aby raz sobie kto Polskę zabrał. byle w niej było spokojnie, byle patrioci przestali hałasować, byle rewolucje przestały wybuchać, byle wziąwszy pieniądze z domu można było uciec nad brzegi Arnu lub Sekwany. To usposobienie wielkiego świata ubierało się chętnie jak dziś w pozory konserwatyzmu, ortodoksji, legitymizmu i byle jakiej doktryny, która by dozwalała siedzieć z założonymi rękami wygodnie, nic nie robiąc, a napawając się życiem [...]. Niefortunne wybuchy rewolucyjne i wojny o niepodległość nieszczęśliwe, usprawiedliwiając niejako świat wielki, dały mu tylko możność niedołęstwo swe zmienić w teorię niewzruszoną. Miłość ojczyzny w tym sfrancuziałym świecie schodziła do tak drobnych rozmiarów, iż się w końcu stawała niedostrzeżoną. Patriotów zwano po cichu donkiszotami jak dzisiaj, a salon nienawidził ulicy, co też przetrwało do dni naszych. Wielkie panie zmuszone były poklaskiwać fetom patriotycznym i dawać rączki do pocałowania bohaterom ulicy, ale po cichu jakże się z nich wyśmiewano. Nigdy u nas zewnętrznego poloru nie umiano odłączyć od wewnętrznej człowieka wartości. Kto był choć trochę śmiesznym, wydawał się głupim." (J.I. Kraszewski, *Sto diabłów. Mozaika z czasów Sejmu Czteroletniego,* Warszawa 1956, pierwodruk w krakowskim „Kraju" w 1869–1870, książkowy: Kraków 1870).

Tomasz Łysiak staje tu po stronie donkiszotów: husarzy spod Wiednia, arcybiskupa Jakuba Świnki, rotmistrza Pileckiego, generała Błasika – przeciwko warszawsko–krakowskiemu salonikowi, który boi się tylko jednego: śmiechu zachodniego „nadsalonu". No i tej wielkiej niewygody, jaką może nieść ze sobą dumne słowo: Polska. Staje ta książka po stronie wiernej pamięci – przeciwko nakazowi zapomnienia. Sformułował dobitnie ów nakaz na progu naszej epoki profesor Marcin Król: „Polska w swej najnowszej historii liczącej 200 lat krajem normalnym nie była, a więc po to, żeby stać się krajem normalnym – Polska musi zapomnieć samą siebie" („Res Publika Nowa", nr 3/1991). Dziś powtarza go pisarka dwukrotnie wyróżniona Nagrodą Nike (cóż za szydercza, zwróćmy uwagę, nazwa). W październiku 2015 roku pisarka salonu doradziła nam, byśmy „nauczyli się od Niemców naprostować swoją historię", byśmy „spróbowali napisać ją trochę od nowa, nie ukrywając tych wszystkich strasznych rzeczy, które robiliśmy jako kolonizatorzy, [...] jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów".

Można tak patrzeć na historię, żeby usprawiedliwić swoje kolejne nagrody i zdobywać poklask salonów – także tych „znad Arnu czy

Sekwany". Można tak patrzeć na historię – przez pryzmat nikczemnego uogólnienia, fałszywego zrównania win kolonizatorskich Polaków z winami dziewięciu rzeczywistych, zachodnioeuropejskich kolonialnych imperiów. Można zapomnieć o roli, jaką część z tych imperiów, choćby niemieckie, ale także inne, wschodnioeuropejskie: rosyjskie czy osmańskie – odgrywały wobec narodów tej tak pogardzanej i wciąż pouczanej w owym stereotypie całej Europy Środkowej. Można zapomnieć o tej przywoływanej tutaj historii imperialnej opresji, której Polska, jej bohaterowie przeciwstawiali się nie w micie, tylko w rzeczywistej ofierze i poświęceniu. Można jednym zdaniem postawić na tej samej płaszczyźnie rolę polskiego i niemieckiego narodu w II wojnie światowej.

Można tak mówić o historii, można tak kłamać. To się opłaca. Ale trzeba spojrzeć w twarz rzeczywistym bohaterom – tej książki, czyli polskiej historii. Trzeba także spojrzeć w twarz całkowicie zapomnianym, ale nie mniej przez to rzeczywistym ofiarom – na przykład: 111. 091 rozstrzelanym na podstawie jednego rozkazu Stalina i Jeżowa, z sierpnia 1937 roku, zamordowanym na podstawie jednego tylko podejrzenia – że byli Polakami. Trzeba spojrzeć i zastanowić się: czy oni nie zasługują na pamięć? Co czyni ich „gorszymi" od ofiar Holocaustu? Narodowość? Kryterium rasowe? Trzeba spojrzeć w twarz 1932 księżom, 580 zakonnikom, 289 zakonnicom – zamordowanym w czasie II wojny światowej za to wyłącznie, że byli obrońcami POLSKIEGO ducha. A może, zabijając ich, Niemcy i Sowieci, pomogli po prostu „naprostować naszą historię"?

Ta książka, te wspaniałe, piórem Autora uskrzydlone wizje polskiej przeszłości nie tylko bronią naszej pamięci przed takim „naprostowaniem". Są tutaj wpisane najważniejsze pytania dotyczące nie historycznych, ale naszych, dzisiejszych wyborów. Czy sami jesteśmy inni niż inne wspólnoty? Czy jest w naszej inności coś wartościowego? Czy chcemy (jesteśmy zdeterminowani), by pozostać inni, by utrzymać naszą odrębność, a przynajmniej to, co uznajemy w niej za wartościowe? Czy chcemy raczej – pod hasłem modernizacji – upodobnić się do innych wspólnot, które uznajemy za lepsze, wyższe? Czy chcemy innych „nawracać" „eksportować" naszą inność – jako wartość? A może tę „inność" potraktujemy po prostu jako część zapomnianego dziedzictwa dawnej, wspanialszej Europy i swój w niej obowiązek – jako przypomnienie. Jak długo trwamy przy swej wierze i wartościach – nie wyjątkowych absolutnie, lecz właśnie łączących nas z korzeniami tradycji europejskiej i chrześcijańskiej – tak długo kwestionujemy ideologię i programy polityczne, czasem także swoistą wiarę i kulturę potężniejszych od nas sił, które dziś mają twarz Martina Schulza, Jean–Claude Junckera z jednej strony, czy

Władimira Władimirowicza Putina – z drugiej. Będziemy więc tak długo, jak długo upieramy się stać przy bohaterach tej książki, przez te potęgi pouczani, piętnowani, odrzucani. Czy jesteśmy gotowi to znosić?

Wspólnota dąży do trwania i przetrwania: troszczy się o wychowanie swej młodzieży – w swoim duchu i tradycji. Albo będzie to taka wspólnota, jaką przypomina, przywołuje tutaj Tomasz Łysiak, albo taka, jaką można zbudować po zniszczeniu tej pierwszej, bardzo swoista wspólnota ludzi bez właściwości, których głowy wypełnia aktualny komunikat dnia – z telewizji, gazety, portalu, reklamy, piaru. Nie można należeć do dwóch wspólnot jednocześnie: okazuje to moment próby, gdy dwie wspólnoty zetrą się między sobą. Wobec własnej wspólnoty nie ma neutralności. W starciu wspólnot nie ma pozycji bezstronnego obserwatora. Trzeba dokonywać wyboru.

Czasem, jak po rozbiorach, jak po przegranym powstaniu, jak po latach przyzwyczajenia do rządów obcych ambasadorów, pojawia się pokusa, by się schować w prywatnym ogródku, żeby zrezygnować z walki z przeciwnikiem zbyt już potężnym, z własnym zniechęceniem. Wtedy przychodzi ta myśl, którą sformułował pierwszy odnowiciel pojęcia niepodległości, mądry ksiądz Stanisław Konarski (1700–1773). W swojej *Mowie, jak od wczesnej młodości wychowywać uczciwego człowieka i dobrego obywatela* pisał tak: „Przypomnę wam słowa ojca, […] który po wielu rozmowach z synem tak mu na koniec powiedział: życie twoje będzie upływało albo wśród prywatnych spraw domowych, albo w kręgu spraw państwowych. Ja, który zestarzałem się wśród zajęć publicznych, jeśli będę żył, nie pozwolę ci siedzieć w domu; nie dla siebie bowiem chciałem dzieci, lecz dla ojczyzny. Ty zaś – pamiętam – powiedziałeś, że nie widzisz, co takiego dali Rzeczypospolitej w tych zepsutych i nieszczęśliwych czasach ci, którzy jak ja poświęcili cały swój wysiłek na to, aby ją wspomagać i wspierać. Wszystko stacza się w przepaść i zostawimy naszym potomkom Rzeczpospolitą w gorszym stanie, niż ją sami otrzymaliśmy. Stąd – zdaje się – twoja niechęć i odraza do spraw publicznych […]. Gdyby wszyscy dobrzy obywatele tak myśleli, tak mówili, tak czynili, wtedy nasza Rzeczpospolita wpadłaby niewątpliwie w ręce złych i przeniewiernych ludzi; ci zaś, zagarnąwszy władzę, jakież miejsce, ileż ziemi, jakąż przestrzeń zostawią w całym państwie dla dobrych? […] Nigdy nie należy tracić nadziei, jeśli chodzi o Rzeczpospolitą”.

Tomasz Łysiak należy do tych synów polskiej Ojczyzny, którzy rady mądrego pijara posłuchali. I nas, swoich czytelników, prowadzi przeciw zniechęceniu. Szlakiem swoich, naszych bohaterów. Do nadziei. Do nowego świtu. Prowadzi nas z szacunkiem i pasją jednocześnie, prowadzi z miłością dla prawdy o Polsce. Możemy poznać ją, ale nig-

dy całą, i dlatego możemy i powinniśmy poznawać ją coraz więcej. Ta prawda jest bowiem większa od nas i nie da się jej zdobyć na własność – to raczej ona, w miarę jak ją poznajemy, bierze nas w posiadanie – jak to kiedyś o innej, największej Prawdzie, powiedział ojciec Jacek Salij OP.

Tu, między okładkami tej książki, mamy okazję zbliżyć się do Polski. Warto do niej wejść. Warto zaprosić do niej jak najwięcej „tutejszych"– ludzi, którzy zatracili swoją piękną tożsamość, albo nigdy jej nie posiedli. I warto zaprosić nowych przybyszów, którzy – jak kiedyś Matejko, Oppman, Brueckner, Aszkenazy, Chopin, Pohl (Pol), Leśmian – będą mogli zachwycić się tą piękną Polską. I dać się JEJ wziąć w posiadanie. Przed tymi, którzy chcieliby Polskę podbić, nie pokochać – musimy się bronić. Tak jak bohaterowie tych opowieści.

PROF. ANDRZEJ NOWAK

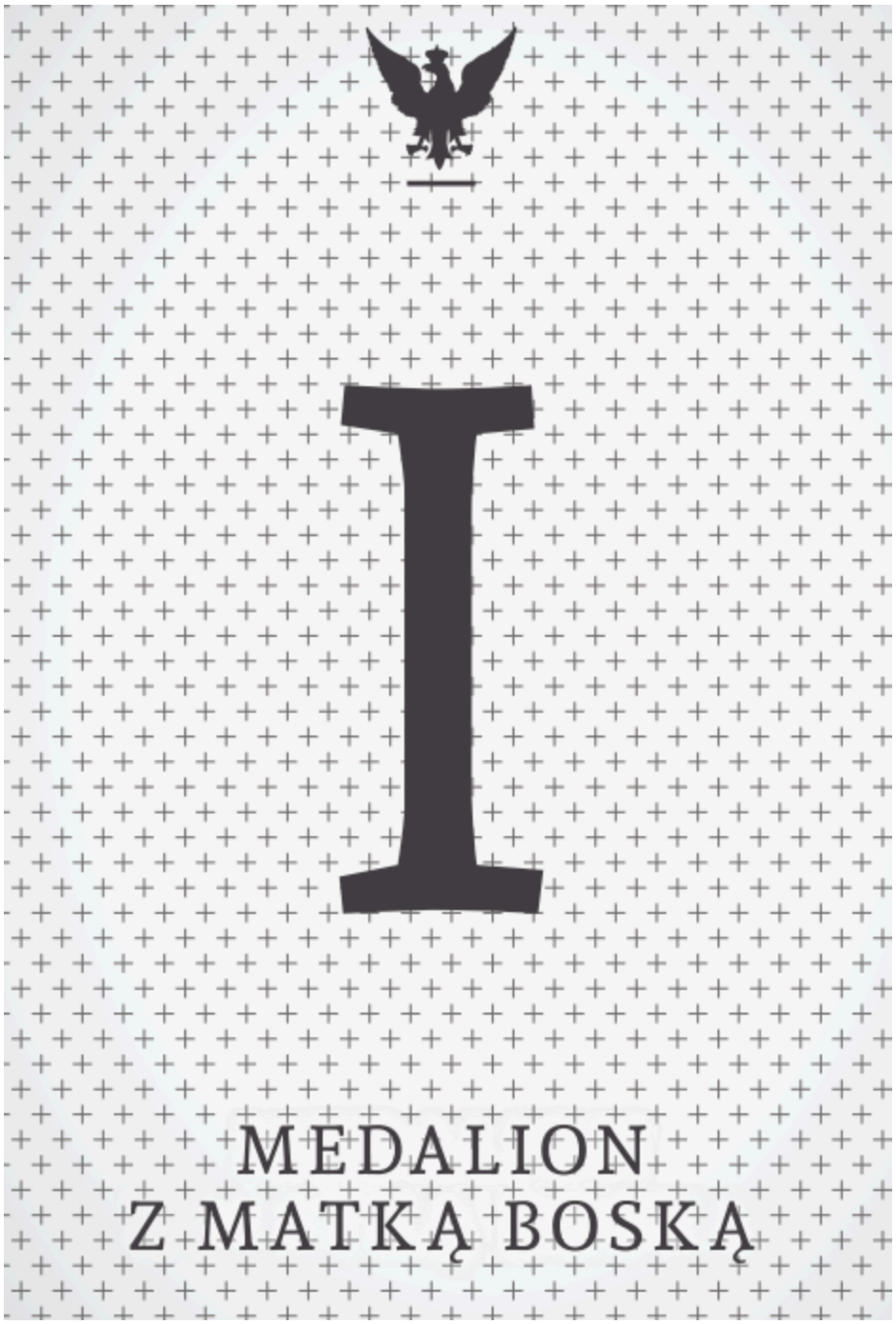
I
MEDALION
Z MATKĄ BOSKĄ

CZTERY tatarskie tumeny stanęły nad brzegiem Dniepru. Rzeka była skuta lodem. Właśnie z tego powodu Mongołowie wyruszali na wojnę zimą. Cała Europa grzała się wtedy przy ogniu i ani myślała o wojaczce. Wojownicy z dalekich stepów, potomkowie Czyngis–chana, pogromcy azjatyckich potęg, jechali w stronę chrześcijańskiego świata, by rzucić go do swych stóp i zdobyć wielkie bogactwa. Zamarznięte rzeki stawały się dla nich szlakami komunikacyjnymi, po których bez przeszkód poruszały się konie ze specjalnie obwiązanymi kopytami, aby nie ślizgać się po lodzie. W ten właśnie sposób wojska mongolskie dotarły do położonej na kilku wzgórzach stolicy Rusi – Kijowa, jednego z największych ówczesnych miast świata. Teraz patrzyli łakomym wzrokiem na kopuły kilkudziesięciu kijowskich cerkwi. Tam był ich łup. Sięgnęli do kołczanów po specjalne strzały z wyżłobionymi rowkami, wydające charakterystyczne wycie w trakcie lotu. Na komendę nałożyli je na cięciwy dalekodystansowych łuków (każdy wojownik miał dwa łuki – jeden do strzałów na dużą odległość, drugi na krótką, gdy trzeba było przebić pancerz wroga). W stronę grodu Kija poleciała chmura wyjących strzał. Pędziły pod sinymi obłokami jak czterdzieści tysięcy chichoczących diabłów, by spaść na głowy kijowian. Ta pierwsza salwa miała zadanie czysto psychologiczne – odebranie obrońcom chęci do stawiania oporu i wlanie w ich serca przeraźliwego strachu. Kijowskie kroniki mówią, że od tej ogromnej liczby strzał w jednej chwili niebo stało się wręcz czarne. Był 6 grudnia 1240 roku. To, co nastąpiło potem, było absolutną hekatombą. Kijów już nigdy nie odzyskał dawnej świetności – zniszczono i obrócono w proch jego wielkie cerkwie, biblioteki, witraże, kwadrygi z brązu, klasztory i kościoły katolickie. Miasto spłynęło krwią, a Mongołowie pozostawili przy życiu zaledwie kilka osób, i to tylko po to, aby uciekinierzy owi opowiadali wszem i wobec, jak straszne wojsko nadciąga ze Wschodu i by kolejne grody poddawały się wrogom same.

Ówczesna, rozbita na dzielnice Polska, nie przeczuwała nawet, że tatarski najazd już zimą i wiosną następnego roku spustoszy ją całkowicie. I że przyjdzie Polakom stoczyć jedną z najważniejszych bi-

tew w swojej historii – bitwę na Dobrym Polu pod Legnicą. Oraz że zginie w niej, ponosząc męczeńską śmierć, wspaniały śląski władca, książę Henryk II zwany przez lud Pobożnym; ten, o którym papież Grzegorz w 1239 roku pisał w liście do legata Alberta Beheima „Ille H. christanissimus princeps Poloniae", czyli „najbardziej chrześcijański władca Polski".

9 kwietnia, w bitwie pod Legnicą, ten wspaniały obrońca chrześcijaństwa, otoczony morzem wrogich głów, bił się do końca. Bił się, wzorem Leonidasa, dając w ofierze swoje życie. Ciężko ranny został zawleczony przed oblicze tatarskiego wodza Ordu i tam ścięty.

7 października 2015 roku Konferencja Episkopatu Polski jednogłośnie zatwierdziła wniosek o tzw. nihil obstat („nic nie stoi na przeszkodzie") dla przygotowań do procesu beatyfikacyjnego Henryka Pobożnego. Dla środowiska związanego z Legnicą to wspaniały dzień – ukoronowanie dwudziestopięcioletnich starań o wyniesienie księcia na ołtarze. Duszpasterstwo Ludzi Pracy'90 już od początku swego powstania, które miało miejsce w rocznicę bitwy, zabiegało o to, by bohater z Dobrego Pola wszedł do panteonu polskich błogosławionych.

Także i dla mnie postać Henryka Pobożnego stała się szczególną. Podążałem jego śladami pisząc „Psy Tartaru" (wyd. 2010), powieść o jego ostatniej walce i tamtych, niespokojnych czasach. Dotarłem do relacji z bitwy, którą przekazał w manuskrypcie „Historia Tartarorum" mnich C. de Bridia, prawdopodobnie współuczestnik wyprawy – z Benedyktem Polakiem i Włochem Giovannim da Pian del Carpine – do mongolskiego chana, jaka została przedsięwzięta kilka lat po bitwie. Te zapiski, odnalezione w Nowym Jorku w latach 50. XX wieku, rzuciły nowe światło na to, co stało się na Legnickim Polu. Tym są one cenniejsze, że pochodzą z ust wroga, pokazują jego wersję historii, w tym okoliczności śmierci Pobożnego. Do tej pory historycy opierali się na przekazie Długoszowym, w którym czytamy: „Kiedy podniósłszy prawą rękę chciał ugodzić Tatara, który mu zagrodził drogę, drugi Tatar przebił go dzidą pod ramię. (Książę) zwiesiwszy ramię, zsunął się z konia ugodzony śmiertelnie. Tatarzy wśród głośnych okrzyków i chaotycznej, nieprawdopodobnej wrzawy ujmują go i wyciągnąwszy poza teren walki na odległość dwóch miotów z kuszy, mieczem obcinają głowę, zerwawszy odznaki, pozostawiają nagie ciało". Tymczasem de Bridia pisze: „Wtedy księcia Henryka wzięli Tatarzy do niewoli i całkowicie obrabowali, a kazali mu klęknąć przed martwym wodzem, który poległ w Sandomierzu. Głowę jego jakby barana zawieźli przez Morawy na Węgry do Batu i wkrótce potem porzucili ją między głowy innych poległych". Z tej lakonicznej re-

lacji widać jasno, że książę nie zginął w trakcie bitwy, lecz został zamęczony już po niej…

Wyobrażenie Polaków o Tatarach wyrasta często z Sienkiewiczowskich opisów zmagań z nimi na Dzikich Polach. Snuje się więc nam taki oto obraz mongolskich wojowników – dzika chmara jeźdźców na koniach, wyjąc na potęgę i strzelając z łuku rzuca się w bezładzie na wroga, by potem pozorować ucieczkę i wciągać w pułapkę. Tymczasem, jeśli chodzi o armię tatarską atakującą Europę w połowie XIII wieku, wyobrażenia te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Północny, skierowany na polskie ziemie najazd, mający charakter właściwie osłonowy dla głównego uderzenia, jakie kierował na Węgry sam Batu, był dla naszych przodków prawdziwą apokalipsą. Nie tylko z tego powodu, iż przydarzył się nagle, a żołnierze tatarscy – którzy nigdy się nie myli, żywili krwią z naciętych karków końskich i znaczyli twarze licznymi bliznami – wyglądali jak bestie z piekła rodem. Ale też dlatego, że mongolska myśl wojskowo–techniczna wyprzedzała całą zachodnią Europę o wiele… wieków.

Po pierwsze cała armia tatarska była z założenia konna. W dalekich stepach Mongolii każda rodzina przeznaczała jednego chłopca do służby wojskowej. Chłopiec taki, wychowywany od małego w siodle i z łukiem w ręku, trafiał do specjalnej Akademii Wojennej. Tam poświęcał się ćwiczeniom – wojaczka stawała się jego zawodem. Na poligonach uczył się taktycznego ustawiania, sposobów walki, różnych formacji, strzelania z różnych łuków, walki wręcz. Każdy wojownik miał co najmniej dwa konie, by móc je zmieniać i utrzymać tempo marszu, dwa łuki i dwa kołczany. Łuk mongolski dawał takie możliwości strzału, jakich nie miał wtedy nikt w Europie, zarówno jeśli chodzi o siłę, jak i zasięg uderzenia. Przebijał nawet pancerze. Podania mówią, że dobry strzelec potrafił trafić do celu oddalonego o 500 metrów. Gdy współcześnie starano się pobić mongolskie rekordy, nie udało się to nawet przy użyciu supernowoczesnego łuku kompozytowego.

Wojsko tatarskie było także – podobnie armia rzymska – podzielone systemem dziesiętnym na oddziały. Każda dziesiątka zwana harbanem miała swojego dowódcę, podoficera. Harban łączył się w dżauny, czyli setki, dowodzone przez setników. Największą jednostkę stanowił tumen, który mógł liczyć, według różnych szacunków, nawet kilka tysięcy żołnierzy. Obóz wojenny był zawsze rozstawiany według takiego samego planu, żeby zawsze trafić np. do namiotu medyka. Oficerowie nosili dystynkcje tzw. pajdze, które wzorem i materiałem odróżniały powiedzmy tatarskiego „kapitana” od „pułkownika”. Atak na Europę był bardzo precyzyjnie przygotowany – poprzedziły go wyprawy szpiegowskie, na podstawie których wyryso-

wano mapy z oznaczonymi brodami na rzekach, liczebnością rycerzy na strażnicach czy zamkach. Ta trzynastowieczna „konarmia" osiągała również niebywałe jak na tamte czasy tempo marszowe, sięgające kilkudziesięciu kilometrów dziennie. W ciągu tygodnia mogła więc przerzucić się z okolic Sandomierza na Dolny Śląsk. Jak na ówczesne standardy były to prędkości niewiarygodne. Bitwy toczyły się przecież przy masowym wykorzystaniu piechoty, i tylko główne, przełamujące uderzenie wykonywała ciężkozbrojna konnica. To powodowało, że armia zachodnia wlokła się całymi tygodniami, w tempie piechurów i taborów, by dotrzeć do celu. Tatarzy stosowali nieznaną wówczas w Europie myśl strategiczną – wojnę błyskawiczną. Blitzkrieg. Dokładnie taką, jak Niemcy na początku II wojny światowej. Ważne były szybkość i element zaskoczenia, dobry pancerz, siła ognia, oraz wchodzenie głębokimi zagonami w terytorium wroga, tak by obejść jego siły, oskrzydlić i schwytać w pułapkę. Mongołowie, dzięki formacji zwanej karagana (krzew) rozpuszczali w wielu kierunkach korpusy, oddziały i małe grupy zwiadowców. Wnikali w teren przeciwnika, tak że odchodzące na bok „gałęzie", a z nich jeszcze mniejsze „gałązki" formowały kształt krzewu. Dzięki temu potrafili szybko znaleźć wrogą armię, po czym błyskawicznie się ześrodkować i uderzyć. W trakcie bitwy Tatarzy trzymali się żelaznych zasad taktyki. Nic nie było tu przypadkowe. Na przykład – gdy trzeba było „wyłączyć" z walki niebezpieczny oddział wroga, stosowali formację „ślimaka", w trakcie ciągłej jazdy tam i z powrotem strzelali ogniem ciągłym, nieprzerwanym przez kilkadziesiąt minut. Przeciwnik mógł jedynie zasłonić się tarczami i spróbować przetrwać pod tym diabelskim ostrzałem. Funkcjonował też bardzo sprawny system komunikacji – z flagami czy strzałami sygnałowymi puszczanymi wzdłuż szeregów konnicy. W dodatku dowódca nigdy nie rzucał się w wir walki, jak to było europejskim zwyczajem, lecz wraz ze swym sztabem obserwował przebieg bitwy i wydawał rozkazy. Taką opowieść o potędze wojennej Tatarów można snuć jeszcze długo. Wniosek jest jeden – książę śląski Henryk Pobożny zmierzył się więc z przeciwnikiem, który przewyższał go militarnie pod każdym względem, nie tylko ilościowym. Tymczasem sam miał do dyspozycji niewiele regularnego rycerstwa – hufce wielkopolski i małopolski, trochę krzyżowców, templariuszy i Krzyżaków. Musiał posiłkować się „pospolitym ruszeniem" – w bitwie legnickiej brali więc udział górnicy ze Złotoryi. Nie doczekawszy się pomocy czeskiej, ruszył z Legnicy na spotkanie przeznaczeniu. Matejko namalował go, jak wyjeżdża z kościoła z bladą twarzą. Ponoć spadła wtedy dachówka, a ktoś powiedział, że to „zły znak". Książę był jednak wierny wychowaniu. Matka, św. Jadwiga, ukształtowała go duchowo na człowieka pełnego wiary, pokory

i odwagi. A jego ojciec, Henryk Brodaty – wizjoner, człowiek budujący myśl zjednoczeniową, marzący o odzyskaniu korony i widzący konieczność ekonomicznego budowania podwalin pod przyszłą Polskę – nauczył go odpowiedzialności wobec przyjmowanych na siebie zadań. Tak tę odpowiedzialność rozumiał Henryk Pobożny, że gdy przyszło mu bić się z armią barbarzyńców ze Wschodu, trwał w boju aż do końca. Był rycerzem chrześcijańskiej Europy – bohaterem polskim. Wyspiański w rapsodzie koronował go na króla. Może czasem trzeba posłuchać poety, by z jego instynktownej wizji czerpać wiedzę duchową, gdy pisał: „Ty nas odrodzisz! Wziąłeś nasze ciało. Odrodzisz ducha Polskę zmartwychwstałą". W projekcie wawelskiego witraża ukazał go spowitego płaszczem szkarłatnym, w płomieniach, ginącego na ofiarnym stosie. Chciał wynieść Pobożnego na Wawel, między królów, między największych.

Po bitwie matka i żona szukały bezgłowego ciała księcia, i znalazły je, rozpoznając po jego charakterystycznym szóstym palcu u nogi. Zastanówmy się przez chwilę nad tym obrazem. Oznacza on, że leżało tam wiele bezgłowych ciał rycerzy, którzy zginęli w taki sam sposób, w jaki obecnie giną chrześcijanie mordowani przez wyznawców Allaha. To jest most. Most między nami i tamtymi ludźmi. Wznosi się ponad rzeką, którą płyną letejskie wody zapomnienia. Szara mgła odgradza nas od tych, co kiedyś szli na śmierć, byśmy my mogli dziś śpiewać, że „ona jeszcze nie zginęła". Po tym moście szlakiem Pobożnego podążają kolejne postaci: ksiądz Skorupko, Rejtan, milczący posłowie sejmu rozbiorowego z Grodna, Jasiński z Pragi, Ordon, ksiądz Brzóska, Traugutt, Lis–Kula, Pilecki i wreszcie Inka, która gdy już do niej mierzyli z pistoletu powiedziała: „Powiedzcie babci, że zachowałam się jak trzeba". Oni wszyscy, jeden za drugim i całe szeregi, całe armie, zachowały się jak trzeba.

Niech mają w niebie takich orędowników jak – daj Boże – przyszły błogosławiony Henryk Pobożny.

[wSieci, nr 42/2015]

USŁYSZEĆ DZWON Z ŁĘCZYCY

SIEDEMSET trzydzieści lat to szmat czasu, przeszłość tak dawna, że wydaje się nie mieć dla żyjących obecnie zbyt wielkiego znaczenia. Warto jednak przemierzyć tę otchłań wieków i zatrzymać się w styczniu 1285 roku, a następnie skupić uwagę na wydarzeniu, które miało niebagatelny wpływ na to, kim jesteśmy teraz, a być może było jednym z fundamentalnych kroków w budowaniu czegoś, co obecnie definiujemy, jako „polska tożsamość" – na synodzie w Łęczycy.

Nasza perspektywa każe często myśleć o wieku XIX, kiedy nasz kraj zniknął z map, ale pozostał w myślach i sercach Polaków. Czarny okres dziejów przetrwaliśmy dzięki temu, że – jak w słowach pieśni legionowej – Polska wtedy nie zginęła, kiedy my chroniliśmy jej byt w naszych duszach. Tę myśl, to uczucie, to rozumienie Ojczyzny zaborcy usiłowali zniszczyć na różne sposoby i ponieśli klęskę. Nasza siła duchowa narodziła się już u zarania państwa polskiego. Ale co spowodowało, że słowiańskie plemiona stały się Rzecząpospolitą?

Jednym z takich kamieni milowych rodzenia się tożsamości był synod łęczycki, zwołany pod światłym przewodem arcybiskupa Jakuba Świnki.

Tu znowu trzeba się zatrzymać. Oto po raz kolejny jesteśmy w Europie świadkami wydarzenia, które wytrąca społeczeństwa Zachodu z letargu i błogiego snu wobec zagrożeń skierowanych w samo jądro naszego cywilizacyjnego bytu – chrześcijańską tożsamość. Co prawda napaść muzułmanów na redakcję „Charlie Hebdo" był wymierzony w środowisko lewackie, lecz ma to tym smutniejszą wymowę, gdyż ci, którzy w swoich rysunkach atakowali nie tylko islam, ale i najświętsze wartości katolickie, mimowolnie korzystali z dobrodziejstw chrześcijańskiego systemu wartości – tego, który unosi byt ludzki do rangi Bożego Cudu, a człowieka obdarza wolną wolą oraz wolnością.

Polska we współcześnie zmieniającym się europejskim świecie może być jedną z ostatnich wysp dawnej kultury. Możemy się stać po raz kolejny „przedmurzem chrześcijaństwa", jak to było wielokrotnie w przeszłości. Możemy być duchowym Chocimiem, duchową Trem-

bowlą, duchowym Wiedniem. Pod warunkiem jednakże, iż sami nie zaprzemy się tego, co nas kształtowało od wieków; pod warunkiem, że zaczniemy czerpać ze skarbnicy przeszłości, a nie ją odrzucać; pod warunkiem, że przyjmiemy dziedzictwo naszych antenatów jako mądre, słuszne i potrzebne.

W tym świetle trzeba spojrzeć na dziejący się – wydawałoby się tak dawno – synod w Łęczycy.

Przed XIX–wiecznym okresem mroku mieliśmy wszakże jeden, jeszcze dłużej trwający okres, w którym państwowość polska zanikła – czas rozbicia dzielnicowego. Statut Krzywoustego, wcale nie tak głupi w swoim wymiarze, jak się go czasem zbyt szybko osądza, nie spełnił niestety pokładanych w nim, przez Bolesława, nadziei. Pragnienie władzy jest zbyt silnym afrodyzjakiem ludzkości. Zawiść, wojny, dbałość o własne interesy – spowodowały, że de facto przestały funkcjonować instytucje senioratu i pryncypatu. Jednym z widomych znaków tego, że Polska jako państwo jednak istnieje, była organizacja kościelna. Stojący na jej czele w drugiej połowie XIII wieku arcybiskup Jakub Świnka był niejako głównym zjednoczycielem Polski – dokonywał licznych zabiegów politycznych, by restytuować królestwo, popierając w staraniach o koronację czy to Henryka Probusa ze Śląska, czy Przemysła II z Wielkopolski.

W dobie tej potrzeby odrodzenia naszej państwowości musiał Jakub Świnka postawić sobie kluczowe pytania, które dotyczą tożsamości polskiej. Co tak naprawdę nas łączy, spaja, co powoduje, że czujemy się jednym narodem, jedną wspólnotą?

Pamięć przeszłości? Pamięć o świetności królestwa i dokonaniach królów? Religia? Rodzinne więzy? Pamięć o wyjątkowości obyczaju politycznego, wyrażana w wiecach? Czy wreszcie – język polski, język jako zasadnicza część polskiej kultury?

Odpowiedzią na te fundamentalne pytania metropolity gnieźnieńskiego były uchwały synodu w Łęczycy. Sens tych statutów trzeba odczytywać jako ściśle związany z potrzebą odbudowy polskiego państwa i umocnienia jego tożsamości.

W „Kodeksie dyplomatycznym Wielkopolski” możemy zobaczyć, jakiego wymiaru nabierały owe uchwały:

„Stanowimy (…), by wszyscy księża w niedzielę w czasie mszy św. po odśpiewaniu Credo zgromadzonym wiernym wykładali po polsku: Wierzę w Boga, Ojcze Nasz i Zdrowaś Marja – oraz święta w następnym tygodniu zapowiadali. A gdy się znajdą dostatecznie biegli, niech wykładają ewangelię, zachęcają wiernych do wykonywania dobrych uczynków, do unikania grzechów, do pełnienia służby Bożej, lub przynajmniej do odwiedzenia Ciała Pańskiego. Niech przed podniesieniem uderzą w dzwon, aby się ludzie schodzili, i niech się po-

tem modlą za Ojca Świętego i wszystkie stopnie kościoła, za królów i książąt. Za pokój i szczęście ziemi – a w szczególności zaś za dobrodziejów i patronów i w ogóle za żywych i za umarłych, tam pogrzebanych".

Oto wykład tego, jak Kościół ma wychować Polaka – na fundamencie wiary i miłości. Modlitwa jest także narzędziem wychowawczym. Skupia wokół języka polskiego, buduje odniesienia emocjonalne do króla i władzy zarówno duchowej, jak i świeckiej, zaszczepia poczucie wdzięczności i uczy pokory, wskazuje potrzebę pokoju. Wiąże Polaka z kościołem, ziemią, miejscem. Uczy skupienia na tym, co ważne.

A także stanowi wskazówkę dla kapłanów – prawdziwych pasterzy polskiego narodu. Ta wskazówka, jak wiemy, została przez polski stan kapłański wysłuchana i wprowadzona w życie.

Stąd wynikały także zalecenia dotyczące przyjmowania do zakonów jedynie Polaków: „Gdy jest napisane «pilnie poznawaj trzodę swoją», stanowimy i usilnie nakazujemy zachować, aby nikt nie dostał beneficjum, połączonego z pasterstwem dusz, któryby nie był urodzony w kraju oraz biegły w mowie tejże ziemi".

Jedną z najważniejszych uchwał była ta dotycząca nauczania w języku polskim: „Nakazujemy dla zachowania i rozwoju języka polskiego przy każdym kościele katedralnym i zakonnym, jako też i innych miejscach, aby tacy tylko stanowieni byli kierownikami szkół, którzy dobrze mówią po polsku i mogliby chłopcom objaśniać autorów po polsku".

Trzeba wyraźnie zwrócić uwagę na fakt, że ta ustawa jest już dedykowana sprawom tożsamościowym i nie dotyczy bezpośrednio obszaru wiary czy liturgii. Śledząc głosy współczesnych krytyków Kościoła, którzy sugerują, by ten nie „mieszał się do polityki", trzeba im wskazać na tamten akt z pytaniem, czy są pewni, że fakt w ogóle operowania językiem polskim, nawet w trakcie wypisywania kalumnii i ataków na Kościół, nie jest wynikiem zabiegów tegoż właśnie Kościoła o to, by Polacy byli Polakami?

Wprowadzenie języka polskiego bezpośrednio do liturgii to przecież posunięcie wyprzedzające o wiele setek lat postanowienia Soboru Watykańskiego II.

Nie ulega wątpliwości, że arcybiskup Świnka, jeden z największych twórców państwa polskiego, zdawał sobie sprawę z licznych zagrożeń, widział zalew niemczyzny, zagrożenie dla bytu kulturowego. Dlatego jego walka o Polskę była prowadzona dwutorowo: przez zabiegi dyplomatyczne i polityczne oraz przez kształtowanie polskiej tożsamości narodowej. Wiedział, że Polacy muszą umieć odpowie-

dzieć sobie na pytanie – co to znaczy tworzyć polską wspólnotę i co to znaczy, gdy powiemy o sobie w liczbie mnogiej: „POLACY”?

Do tych pojęć później mogli się odwoływać następni władcy, począwszy od pierwszego polskiego króla od czasów Bolesława Śmiałego, czy Przemysła II, a dochodząc do takich postaci, jak Jan III Sobieski. Wizerunki Matki Bożej na piersiach pancerzy husarskich pod Chocimiem i Wiedniem – to bezpośredni skutek mądrych posunięć Jakuba Świnki.

Arcybiskup wiedział, że spoiwem małych społeczności jest kościół. Kościół jako miejsce. Świątynia stanowiąca centrum świata wspólnoty. W uchwałach synodu czytamy: „Nadto, ażeby wierni nie omijali kościołów swoich, zwłaszcza gdy chodzi o wybór miejsca, gdzie będą pochowani, lecz aby właśnie przywiązywać do tych kościołów, postanawiamy i ściśle przestrzegać polecamy zapisywać dobrodziejstwa i imiona dobrodziejów każdego kościoła i po nauce publicznie odczytywać, tak aby za nich osobną odmówiono modlitwę. Dzień śmierci ich zaznaczać w księgach i na ścianach obok grobów. Rocznicę śmierci przypominać obecnym i na obrzędy żałobne za nich wzywać”.

Kiedyś, gdy Polska wykuwała się spośród dziejowej zawieruchy, wspaniały pasterz narodu wiódł nas ku szczęśliwemu przeznaczeniu. I wskazywał proste rozwiązania. Teraz Europa stoi wobec nowych zagrożeń. Muzułmańskie hordy dyszą nienawiścią. Jak się bronić? Może lepiej, zamiast wieszać bezrefleksyjnie na szyi tabliczkę z napisem „Je suis Charlie”, spróbować odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie – co dla mnie znaczy, że jestem Polakiem? Wtedy wystarczyłoby wznieść w górę napis „Je suis polonais”. I to byłby najlepszy protest.

Nie trzeba wielkich twierdz. Nie trzeba Trembowli i heroicznych postaw małżeństwa Chrzanowskich, którzy bronili zamku przed wielką armią turecką w 1675 r. Choć być może przyjdzie czas, że trzeba będzie się wykazać wielką odwagą. Na razie wróćmy do kilku starych prawd. Tych z wieku XIII. I nie psioczmy na księży, że na koniec mszy św. czytają nazwiska tych, którzy we wsi dali ofiarę na nową dzwonnicę. Tak czyniono w Polsce od wieków. Dzięki temu, m.in. jesteśmy razem, jesteśmy jednym narodem. A tamte dzwonnice, kościoły, kaplice stoją przecież do dzisiaj i służą kolejnym pokoleniom. Mimo że wokół wyrosły nowoczesne bloki, to stare budowle wzniesione przez naszych przodków są niezwykłym symbolem ciągłości narodu, dziedzictwem historii Rzeczypospolitej.

Dlatego z przyjemnością idę na mszę do mojego parafialnego kościoła przy placu Szembeka na warszawskim Grochowie. Wiem, że powstał w miejscu, w którym Polacy bili się z Rosjanami. Wiem, że najpierw był tu tylko skromny drewniany krzyż, pod którym gromadzili się mieszkańcy Warszawy, by oddać hołd bohaterom listopado-

wej insurekcji. Dlatego wzruszam się, gdy ksiądz proboszcz dziękuje wiernym za wsparcie w remoncie, gdy cieszy się, że teraz będzie ładny kolor ścian, gdy wskazuje, ile już razem zrobiliśmy, a ile jeszcze nas czeka. Nas. Jestem częścią tego kościoła i Kościoła. Stoję w ławce i ściskam dłonie tym, co za mną, obok mnie, przede mną. Pokój z Tobą – mówię. Pokój z Tobą Polaku, Pokój z Tobą, chociaż widzę Cię tylko teraz. Może jedyny raz w życiu. Ale ściskam Twoją rękę i uśmiecham się do Ciebie. Przyprowadziła nas tutaj wiara w jeden cel. By żyć miłością, jak nam wskazał Jezus Chrystus.

Stoję więc na mszy w wielkiej grupie Polaków. Modlimy się, jak modlili się nasi dawno zmarli przodkowie. Mówimy – „Ojcze nasz…". Ojcze nas wszystkich, Ojcze Polskiego Narodu. Mając jednego Ojca i posłuszni jego słowom stajemy się silni.

Mamy świadomość ziemi, na której stoimy. Wiemy, co znaczą ściany świątyni. A gdy następuje podniesienie, słyszymy dzwonek. Klękamy. Tak, jak klękali wszyscy ludzie podczas synodu w Łęczycy roku Pańskiego 1285. Tak samo, jak oni, wpatruję się we wzniesione ręce kapłana. I w Prawdę, którą delikatnie trzyma w dłoniach.

[Gazeta Polska, nr 3/2015]

MINĘŁO równo sześćset lat od wydarzenia, które stało się symbolem, jednym z kamieni węgielnych położonych pod potęgę Rzeczypospolitej i jednocześnie widomym znakiem niezwykłej myśli politycznej Jagiellonów wyprzedzającej swoją epokę. W niewielkiej miejscowości nad Bugiem, w Horodle, dnia 2 października roku Pańskiego 1413 podpisano unię. Ten państwowotwórczy dokument opatrzony dziesiątkami pieczęci cementował Polskę i Litwę. Polska szlachta przyjęła pod swoje znaki herbowe litewskich bojarów katolickich. Dzięki temu politycznemu „małżeństwu" Litwa uzyskała m.in. gwarancję dość niezależnego bytu. Już zresztą sama treść porozumienia zawartego w Horodle była czymś wyjątkowym – została napisana pięknym, literackim językiem i co najważniejsze, odnosiła się także do wartości duchowych. Jako podstawę przyszłego bytu państwowego uznała bowiem najgłębsze ewangeliczne prawdy. Fundamentem nowego bytu państwowego miała stać się… Miłość.

Pisał o unii Karol Szajnocha – „Szczęśliwe spółdziałanie różnych pobudek zamieniło tę bezprzykładną unię narodów w tym bliższą unię rodzin i ludzi".

Poza oczywistym sensem politycznym miała ona również znaczenie kulturowe i religijne. Zwycięstwo grunwaldzkie nie przyniosło efektów, jakich można było po takiej wiktorii oczekiwać. Zakon krzyżacki nadal widział w Litwie i Żmudzi swój teren wpływów – pole do prowadzenia ciągłej krucjaty i szerzenia chrześcijaństwa za pomocą miecza, knuta i pochodni. Horodło stawało Krzyżakom trudną do przełknięcia kością w gardle. Polska wyrastała bowiem na ośrodek krzewienia kultury cywilizacji zachodniej, więc zakon, który legitymizował się tym samym czuł, że traci w tej części Europy rację bytu.

„Kierowała się Polska w tej mierze powszechnym natchnieniem katolickiego Zachodu, któremu właściwa ówczesnemu stanowi rycerskiemu ochota do upowszechniania swoich obyczajów i trybu życia posłużyła za nader silną dźwignię oświaty, uobyczajnienia i uszlachetnienia ludzkości" – tak pióro dziewiętnastowiecznego historyka opisywało nasze ówczesne dążenia.

Rzeczpospolita stała się po Horodle świadomym graczem w świecie idei i wartości. Jagiełło wiedział, że liczy się nie tylko miecz, ale i siła moralna. Właśnie owa siła spowodowała furię Krzyżaków. I doprowadziła do kolejnego, tym razem czysto propagandowego, konfliktu. Rozegrał się on w najbardziej „medialnym" miejscu owych czasów – na soborze powszechnym w Konstancji, który rozpoczął się w roku 1414.

W trakcie walki intelektualnej w „Kostnicy" (jak dawniej zwali Konstancję niektórzy historycy), działy się rzeczy, które z największą radością pokazałaby każda telewizja, gdyby tylko wtedy istniała.

Strona polska starła się z Krzyżakami w pokazowym procesie mającym rozstrzygnąć, kto ma rację, jeśli chodzi o sposób ewangelizowania pogan. Wynajęci przez zakon „mistrzowie słowa" rozpętali straszliwą, oszczerczą kampanię wobec Polaków. Kampanię, która miała zdyskredytować polskiego króla i duchowieństwo. Na widownię wkroczył błyskotliwy dominikanin Jan Falkenberg. I natychmiast rozpoczął atak. Po drugiej stronie sali słuchali go z zaciętymi minami polscy biskupi.

W związku z aferami pedofilskimi trwa obecnie zmasowany atak na polski Kościół. To prawda, że zacna instytucja nie wykazała się odpowiednio wcześnie zdecydowanym działaniem. Jest także czymś niepodważalnie fundamentalnym, że krzywdzenia dzieci nie można próbować relatywizować czy usprawiedliwiać. Jednak w imię natychmiastowego znalezienia winnego, rozszalała nagonka rzuciła się na cały polski Kościół, a w szczególności, po niefortunnej wypowiedzi, na arcybiskupa Michalika. Jego wrocławskie kazanie zostało przedstawione jako próba zrzucania winy na dzieci. Tymczasem trzeba naprawdę dużo złej woli, żeby taki sens owej homilii przypisać. Arcybiskup wyraźnie potępił pedofilów. I jednocześnie wezwał do tego, by przyjrzeć się, jaki jest klimat czasów, w których żyjemy. Czasów, które sprzyjają rozwiązłości i lekkości obyczajów – zalew pornografii, upadek autorytetów, słaba pozycja nauczycieli, fatalna kondycja polskiej rodziny i wreszcie tzw. filozofia gender. Od wielu lat ten niby nowoczesny model życia, płynący ze strony zlaicyzowanych, wyhodowanych na socjalistycznym gruncie społeczeństw bazuje na podobnych hasłach: „wszystko ci wolno", „nie ma norm", „nie istnieją obyczaje i dawne wartości", „nie ma zasad". Wolność stała się Samowolą. W takim świecie, w sensie moralnym, żyje coraz więcej ludzi. I ten świat stanowi idealną pożywkę dla zła. Jeśli więc chcemy naprawdę walczyć z pedofilią – to poza karaniem sprawców powinniśmy zająć się moralną odbudową świata. Winniśmy zacząć na powrót chrystianizować Polskę.

Czy nie tak należy zrozumieć sens słów księdza arcybiskupa?

Jednak większość mediów tzw. mainstreamu chóralnie zaczęła atakować abp. Michalika, tworząc oskarżycielską antykościelną symfonię. Kazanie – o zgrozo – komentują m.in. takie postaci jak pan Anna Grodzka, człowiek który ma nauczać młodzież seksualności na specjalnych zajęciach. Stworzono jeden wielki paszkwil.

Paszkwil – zjadliwy atak na przeciwnika, w którym nie przestrzega się żadnych reguł – zawsze przecież przynosi dużo politycznych zysków. Nawet jeżeli jest zbudowany na kłamstwie.

Na sobór w Konstancji pojechał arcybiskup Mikołaj Trąba, były podkanclerzy króla, któremu władca ufał i który zajmował się także polityką wawelskiego dworu. Arcybiskup stał na czele niezwykłego orszaku złożonego z ośmiuset koni, wielu wozów, strojnego i okazałego na tyle, by pokazać splendor nowo powstałego polsko–litewskiego państwa. W orszaku jechali również biskup poznański Jakub Łaskarz, słynny rycerz Zawisza Czarny oraz rektor krakowskiego uniwersytetu Paweł z Brudzewa, zwany Pawłem Włodkowicem. Ten ostatni miał się stać głównym obrońcą polskiej sprawy i oskarżycielem krzyżackich poczynań. Po bitwie grunwaldzkiej przyszedł czas na batalię intelektualną.

Należy zdać sobie sprawę z rangi soboru – było to bez wątpienia wydarzenie ogniskujące na sobie uwagę całego ówczesnego świata chrześcijańskiego. Europa zamarła przyglądając się wydarzeniom soborowym, na jego czas ustały wojny, a doniesienia z obrad rozpalały umysły na wszystkich dworach.

Najbardziej istotnym problemem była kwestia zakończenia schizmy papieskiej. W owym czasie było jednocześnie aż trzech papieży, o różnej proweniencji: rzymski, awinioński i pizański. Aby zakończyć spory, wybrano w Konstancji nowego biskupa Rzymu – Marcina V Po drugie ustalono wyższość soboru nad papieżem. Poza tym zajmowano się wieloma innymi sprawami, z których każda stanowiła odrębny wątek, ciągnący się często przez kilka lat – jak choćby proces Jana Husa, spalonego w końcu na stosie. Na marginesie – Kościół jedynie obłożył Husa anatemą i wykluczył ze swojego „ciała”. Wyrok skazujący na spalenie został wydany przez urząd cywilny.

Do Konstancji przybyły bardzo liczne delegacje. Setki biskupów, patriarchów, tysiące duchownych. Byli monarchowie i książęta. Zjechały nawet poselstwa z Azji i Afryki. Wszystkie ówczesne uniwersytety wysłały swoich delegatów, a zatem, jak pisał Feliks Koneczny, był sobór „wielkim kongresem politycznym i największym zjazdem naukowym, jaki kiedykolwiek widziano”.

Właśnie tam, przed oczami całego świata, rozegrał się pojedynek – z jednej strony stanął krakowski rektor Paweł Włodkowic. Z drugiej dominikanin Jan Falkenberg. Zakon Najświętszej Marii Panny chciał

zdezawuować państwo polsko–litewskie, a Polacy starali się dowieść, że Krzyżacy w imię Znaku Zmartwychwstałego dokonują zbrodni.

Włodkowic wystąpił z przygotowanym uprzednio dziełem „O papieskiej i cesarskiej władzy względem niewiernych". W genialnie napisanym traktacie twierdził że „Przyjęli Polacy do siebie Krzyżaków, żeby im tarczą byli, a oni drapieżcy w bicz się zamienili". Jego słowa były świadectwem nie tylko wielkiej umysłowości, przenikliwości, ale także talentu pisarskiego i retorycznego: „Nowe i niesłychane jest owe kaznodziejstwo, które rózgami wymusza wiarę. Nie uważa się za posiadacza wiary Chrystusowej tego, który do chrztu chrześcijańskiego nie dobrowolnie lecz siłą został zmuszony przystąpić… nikogo do wiary nie wolno przymuszać… Przymusowa służba nie podoba się Bogu, ponieważ dobrego słowa, a nie srogości winni używać ci, którzy drugich mają nawracać.". Akapit dalej czytamy: „Pod pozorem pobożności nie wolno czynić rzeczy niebożnych. Ci wszyscy, którzy dobrowolnie okazują pomoc zakonowi krzyżackiemu w zwalczaniu spokojnych pogan, nie są wolni od grzechu śmiertelnego; nie okazuje bowiem pomocy, kto pomaga do grzechu".

Podkreślał także, że chociaż przybył na sobór wraz z polską delegacją i jest Polakiem, to działał „nie jako ambasador króla Polski, ale jako uczony".

Wywód Włodkowica był genialny. Falkenberg i Krzyżacy zostali rozniesieni w proch świetną argumentacją, powoływaniem się na odpowiednie cytaty z Ewangelii, na prawa cesarskie i papieskie. A gdy próbowali jeszcze wszystko podważyć, oskarżając o kłamstwa, wtedy Polacy sprowadzili ze Żmudzi. dowód. Przedstawili soborowi kilkudziesięciu Żmudzinów, którzy opowiedzieli, jak to byli „ewangelizowani" przez Zakon.

Zdawało się, że Krzyżacy ponieśli porażkę. Jednak papież unikał wydania jednoznacznego werdyktu, powiązania polityczne miały swoją moc. Jan Falkenberg wyjechał na jakiś czas do Paryża. Tam uruchomił inną broń. Paszkwil. Zamiast obsmarowywać polski Kościół i polskiego króla bezpośrednio wobec soboru, napisał niewielkie dziełko, które nazwał „Satyra". I puścił je, by krążyło po Europie.

Był to jeden wielki i pełen jadu atak na Polskę. Pozbawiony jakichkolwiek podstaw. Stek kłamstw. Falkenberg namawiał Europejczyków, by natychmiast porzucili swoje zajęcia i udali się na krucjatę przeciwko Polakom. Pisał, że są poganami, którzy czczą bożka, zwanego Jagiełło, i że są to „psy bezwstydne, którzy wrócili do odmętu niewiary".

Falkenberg twierdził też, że „niewątpliwie grozi Kościołowi ze strony Polaków i ich króla niebezpieczeństwo, bardziej więc godne zasługi jest zabijać Polaków niż pogan". Dalej zaś namawiał do tego, by

Polaków zabijać, dostojników czy książęta wieszać na szubienicach, a za to wszystko czekać będzie zbawienie wiekuiste.

Nienawiść i wściekłość Falkenberga oraz Krzyżaków była kierowana przede wszystkim w stronę dwóch środowisk – polskich hierarchów kościelnych, ponieważ byli ostoją myśli polskiej, oraz polskich uczonych, którzy swoim autorytetem naukowym wspierali ideę wielkości polskiego państwa. I jedni, i drudzy wierzyli, że zrodziła się nowa jakość. Nowa myśl państwowa. Budowana na fundamencie, jakiego nie znała jeszcze ówczesna Europa. Wolności. Rozumianej bardzo nowocześnie i bardzo pięknie. Takiej wolności, która opiera się na Prawdzie, Miłości i Bożych Prawach.

Na szczęście z paszkwilem rozprawił się bez trudu Włodkowic udowadniając papieżowi, że „Satyra" Falkenberga to kolejny dowód na brudne metody państwa zakonnego.

Krzyżacy przestraszyli się konsekwencji i zaczęli się ze wszystkiego wycofywać. Oświadczyli nawet, że nie mają z tym pismem nic wspólnego i zrzucili całą winę na… Falkenberga. Dominikanin był wściekły – po czarnej robocie czuł się wystawiony do wiatru. Wyrokiem papieskim spędził wiele lat w odosobnieniu.

Polska Jagiellonów tryumfowała. A Paweł Włodkowic stał się wzorem dla tych uczonych, którzy swoje umiejętności wykorzystują dla dobra Narodu. Biskup i rektor wracali z Konstancji jako zwycięzcy.

Minęło lat sześćset. Dawno już Historia zmiotła Krzyżaków. Na arenę dziejów wkraczali potem Prusacy, Rosjanie, bolszewicy, Niemcy ze swastykami na hełmach. I oni także opluwali i niszczyli polskich naukowców oraz polskich hierarchów. Kardynał Wyszyński modlił się zza krat o Wolną Polskę. Popiełuszko oddał swoje życie za mówienie Prawdy. Dzięki nim ta Wielka Polska, ta Rzeczpospolita Narodów, ale też Rzeczpospolita Serc, Rzeczpospolita Umysłów ciągle istnieje.

I ciągle musi się zmagać. Bić. Gdy usiłuje dochodzić do Prawdy. Jak ci naukowcy, którzy ciągle trwają przy Antonim Macierewiczu – wyśmiewani i ignorowani. Jak hierarchowie Kościoła, którzy odważnie mówią o tym, że świat należy zmieniać. Że trzeba go chrystianizować.

Oni wszyscy są potomkami Włodkowica i arcybiskupa Mikołaja Trąby. Noszą w sobie ten jagielloński pierwiastek ducha, zrodzony niegdyś w Horodle.

W 1903 roku Feliks Koneczny tak pisał pointując zmagania Włodkowica i Trąby z Falkenbergiem: „Nie brakło ochotnych do usłuchania rad Falkenberga, ale Polak wtedy bronić się umiał, a moralność w Europie stała jeszcze na tyle wysoko, że publicznie przynajmniej nikt Falkenbergowi nie śmiał przyklasnąć, podczas gdy dzisiaj… siedzą tacy Falkenbergowie na profesorskich katedrach!".

[Gazeta Polska, nr 43/2013]

MEDALION Z MATKĄ BOSKĄ

JEŚLI przyjrzeć się husarskim zbrojom wystawionym na Wawelu czy w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, to najpierw rzuca się w oczy to, co polski rycerz miał na napierśniku. Po prawej stronie widać krzyż maltański wpisany w koło, po lewej zaś, tam gdzie pod blachą spało serce wojownika, medalion z Matką Boską. „Bogarodzica, dziewica, Bogiem sławiena Maryja" śpiewali rycerze na polach Grunwaldu, mając Ją nie tylko na ustach, ale też w sercach, głowach, myślach i uczynkach. Dla husarii ów medalion był symbolem nie tylko ochrony, ale i kierunku wszelkich działań. Maryja ma na nim dłonie złożone do modlitwy, stopy opiera na półksiężycu. Tymczasem zupełnie inny półksiężyc tylekroć widzieli chrześcijanie mordowani przez wyznawców Allaha. Polska była naznaczona wschodnim, azjatyckim okrucieństwem, poczynając od najazdów tatarskich wieku trzynastego. Wtedy po raz pierwszy staliśmy się przedmurzem chrześcijaństwa za sprawą bohaterskiej postawy księcia Henryka Pobożnego, męczennika za wiarę. Pobożny został ścięty w obozie wodza mongolskiego, ponieważ nie zgodził się oddać hołdu martwemu ciału jednego z tatarskich przywódców. Kiedy jego głowę zatkniętą na pice pokazywano mieszkańcom Legnicy, by osłabić ich bojowego ducha, ci odkrzyknęli, że takich rycerzy, jak Henryk, jest w Polsce dużo więcej. Okrucieństwo i pogarda wobec życia ludzkiego, potworne tortury, obcinanie głów i jasyr liczony w setkach tysięcy – były przez długie wieki symbolem islamu zagrażającego całej Europie. Teraz znów jesteśmy tego świadkami, zaś dzisiejsze metody działania wyznawców Mahometa są takie same jak setki lat temu: obcinanie głów, mordowanie poprzez wymyślne techniki, a wreszcie masowe zabójstwa, które coraz częściej wstrząsają tzw. cywilizowanym światem. W Tunezji młody dziedzic osmańskich tradycji szedł brzegiem morza trzymając w ręku karabin Kałasznikowa i bez emocji strzelał do bezbronnych ludzi. Był jak janczar wychowany i wyuczony tylko w jednym celu – aby napinać cięciwę łuku i posyłać strzały, jedna za drugą, w stronę niewiernych. Opisy rzezi dokonywanych w wieku XVII przez muzułmanów z osmańskiej Porty mogłyby karmić i ożywiać wyobraźnię dzisiejszych wojowników islamu. I pewnie to robią,

gdyż ich metody w niczym nie odbiegają od tamtych. Tymczasem Europa i Stany Zjednoczone pogrążają się w autodestrukcji kulturowej, rugując to, co zawsze było naszą siłą: oparcie w łacińskich, chrześcijańskich korzeniach cywilizacyjnych. Gdyby te wszystkie wartości próbować jakoś zebrać, opisać, włożyć w jedną definicję – wystarczyłoby napisać jedno słowo… BÓG. Ale przecież i sułtan osmański wysyłający armię pod Wiedeń w roku 1683 wykrzykiwał w swoich pysznych eksklamacjach o Bogu. Tyle że nasz, chrześcijański Bóg przekazał ludziom naukę opartą na przykazaniach starotestamentalnych oraz tych stanowiących najwyższe dopełnienie i wypełnienie – przykazaniach Chrystusowych, które streścić można znowu jednym słowem – Miłość. Natomiast Boga muzułmanów sprowadzić można także do jednego słowa – Wojna.

Kiedy w pamiętnym roku odsieczy wiedeńskiej doszło pod austriacką stolicą do walki między wojskami sprzymierzonych Austriaków, Niemców i Polaków pod wodzą Jana III Sobieskiego a turecką hordą wspieraną tatarskimi posiłkami, to główną osią sporu była kwestia wiary. Myśmy wierzyli w naszego Boga, Turcy w swojego. Myśmy szli pod sztandarem Boga Miłości. Oni pod sztandarem Boga Wojny. Znaleźli Go. Przegrali.

Co jednak stanowiło największą siłę polskich wojsk, które pod Wiedniem rozniosły w puch potomków Osmana?

Można by wymieniać wiele czynników, które tworzyły dobrego husarza. Można by pisać o tym, ile pieniędzy trzeba było, aby jeden towarzysz husarski wystawił swój poczet, sfinansował zbroje, kopie, konie, kirysy, szable, koncerze, proporce i czeladź. To zresztą doskonale robią historycy specjalizujący się w temacie husarii, z ich niekwestionowanym „hetmanem", dr. Radosławem Sikorą na czele. Można by rozwodzić się nad talentami czysto wojskowymi, wyszkoleniem, dyscypliną czy sposobem podejmowania walki. To także świadczy o pięknie polskiego ducha wojennego. Same komendy i sposób podchodzenia husarii do szarży budzą przecież zachwyt. Oto rotmistrz krzyczy, by towarzysze i pocztowi się „uciszyli", a potem nakazuje brać szable „na temblaki", czyli przywiązać broń białą do nadgarstków. A gdy husaria zbliża się do wroga, to jedzie „małym kłuskiem", czyli powoli, nadciągając na wroga z wolna, jak zbliżająca się, ciemna chmura gradowa z powiewającymi nad lasem kopii proporcami. A następnie idzie komenda, by opuścić kopie. Te zwisają na „pół końskiego ucha" i wsparte w specjalnym „toku", trzymane przez jeźdźca, długie czasem na ponad pięć metrów mierzą ostrzem w stronę wrogiej linii. Ale i wtedy jeszcze husaria nie pędzi, nie gna w stronę przeciwnika. Czeka na jego salwę. Dopiero, gdy ta nastąpi, rycerze ruszą ławą w bój. Czy jednak zrobią to jak bezwładna chma-

ra, co powiela tak chętnie polski film? Nie, pójdą równo obok siebie, stopa stopę, noga w nogę, koń koło konia, jak ława, jak równy, galopujący, opancerzony mur najeżony kopiami, furkoczący proporcami, świszczący piórami doczepionymi do pleców pocztowej czeladzi, szemrzący futrem wilków czy niedźwiedzi u „pocztowych" oraz lampartów lub tygrysów pośród „kompaniji" czyli towarzyszy. Jedna z komend wydawanych przed szarżą nakazywała, by rota stanęła „kolano w kolano". Ten zwarty szyk porównać można do spartańskiej falangi, w której jeden wojownik osłaniał drugiego swoją tarczą i poprzez zaufanie do siebie nawzajem tworzyli łańcuch siły militarnej, niezwykle trudny do przerwania. Tak więc owo zaufanie było jedną z cech polskiego husarza – zaufanie budujące odwagę. Ufaj Bogu, ufaj swemu dowódcy, ufaj swym towarzyszom po lewej i po prawej stronie. Razem stanowicie siłę. Każdy element jest potrzebny. Można by więc długo rozpatrywać to wszystko, co tworzyło husarskiego wojownika. Ale ponad tym, ponad zbroją, rynsztunkiem czy wyszkoleniem górowała jedna rzecz. Ta, którą uosabiały symbole zaklęte w mosiężnych medalionach na napierśnikach husarskich – Krzyż i Matka Boża. Była to wiara w Boga.

Dla wielu pokoleń Polaków oczywisty był fakt, iż Jan III Sobieski zwycięstwo wiedeńskie w sposób jak najbardziej dosadny zawdzięczał boskiej opiece, że po prostu je wraz z narodem wymodlił. Dzisiaj nadal jest dla wszystkim jasne, że król wraz z sojusznikami z Austrii i Niemiec uchronił chrześcijański świat przed tureckim zagrożeniem. Pamięta się wciąż słowa, jakie przekazał papieżowi Innocentemu XI, parafrazując cezariańskie powiedzonko i pisząc – „Venimus, vidimus, Deus vicit" („Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył"). Jednak już rzadziej wspomina się to, że Sobieski modlił się przed, w trakcie i po wyprawie. Duchowy, religijny kontekst jest często spychany na plan dalszy. Zresztą, cóż się dziwić – kolejne okrągłe rocznice bitwy wiedeńskiej były obchodzone w warunkach braku niepodległości, zaś my musieliśmy się zmagać z propagandą obcych państw, które usiłowały w ogóle pominąć udział Polaków w tej bitwie, zminimalizować go, albo ośmieszyć (łącznie z wersją mówiącą, że Turcy uciekli na sam widok armii chrześcijańskiej). Gdy mijała na przykład rocznica setna, w Austrii odbyły się wielkie uroczystości, procesje, nabożeństwa… W ich trakcie o naszym królu i husarii nie wspomniano w ogóle! Tak jakby Polaków pod Wiedniem nie było! Rzecz była prosta – dwór wiedeński właśnie konsumował ukradzioną nam w I rozbiorze część państwa. W wieku XIX było tym trudniej, a odpowiednią rangę miały dopiero obchody 250. rocznicy, w odrodzonej Polsce. Za PRL–u świętowano trzechsetlecie wiktorii, organizując uroczystości w Krakowie, ale w tym wszystkim, z powodów oczywistych zaginął gdzieś Bóg

i katolicka wiara. W filmie fabularnym, jaki wówczas nakręcono, posłaniec królewski Dupont zmierza z listem o zwycięstwie i strzemieniem wezyra do Marysieńki. W pamiętniku swoim Dupont opisał to tak: „Choć była dopiero siódma rano, królowa już klęczała przed ołtarzem. Gdy tylko mnie spostrzegła, niepewna jaką wieść jej przynoszę, krzyknęła głośno, aż się echo rozległo w kościele. Gdy przekazałem jej nowiny, rzuciła się na ziemię przed ołtarzem i pozostała tak przez kilka chwil. Następnie wysłuchała mszy, którą ksiądz akurat rozpoczynał w chwili, gdy wchodziłem do kościoła. (…) Oddałem jej też strzemię wezyra, które od razu kazała przywiesić u stóp krucyfiksu, gdzie też wisi po dziś dzień". W filmie ta scena rozgrywa się w zamkowej komnacie, zaś Anna Dymna w chwili wejścia pana Dupont nie modli się, tylko spogląda w okno. Potem z wielkim talentem – owszem – odgrywa wzruszenie czytając karteczkę od króla z tekstem: „Ten, którego noga była w tym strzemieniu, za łaską Boga został zwyciężony". Jednak zmiana kościoła na komnatę jest symboliczna – zaś zlaicyzowanie przestrzeni pamięci historycznej, dokonywane przez propagandę PRL trwa do dzisiaj. Proporcje nie zostały przywrócone.

Trzeba więc przypominać, jaki był początek i fundament zwycięstwa w odsieczy wiedeńskiej roku 1683. Otóż od chwili, gdy w lipcu zaczęło się oblężenie austriackiej stolicy i od czasu, gdy przybył posłaniec do króla z prośbą o pomoc, Jan III Sobieski zaczął szykować się do wojny. Robił to w dwóch wymiarach. Pierwszym było gromadzenie wojska i uzbrojenia. Drugim – równie ważnym – przygotowanie duchowe, które osiągnęło wymiary ogólnonarodowej modlitwy. Już w drodze z Warszawy do Krakowa król zatrzymał się w Częstochowie, by w klasztorze na Jasnej Górze upraszać u Matki Bożej potrzebnych łask. Otrzymał też specjalne błogosławieństwo od ojców paulinów. Potem, gdy tylko stanął w dawnej siedzibie władców polskich, rozpoczął prawdziwą pielgrzymkę po kościołach krakowskich. Ta duchowa wędrówka była skupiona wokół relikwii świętych oraz wizerunków maryjnych. I tak 10 sierpnia król wziął udział w specjalnej, podniosłej mszy świętej celebrowanej przez nuncjusza papieskiego Pallaviciniego, któremu asystowało kilku biskupów. Podczas nabożeństwa modlił się przed grobem św. Stanisława i przy trumience z relikwiami św. Szymona z Lipnicy. Następnie, wraz z Marysieńką, odbyli rodzaj pieszej pielgrzymki krakowskiej, idąc od świątyni do świątyni. Zaczęli od kościoła św. Piotra i Pawła, gdzie upraszali łask przed relikwiami św. Stanisława Kostki, potem modlili się u Dominikanów przed grobem św. Jacka, następnie u Franciszkanów prosząc o wstawiennictwo błogosławioną Salomeę i u grobu św. Jana Kantego w kolegiacie św. Anny. Na koniec oboje padli na kolana

w kościele Mariackim. Śpiewały dwa, specjalnie opłacone chóry, a królewska para zmówiła przed obrazem Matki Bożej litanię. Wręczono także Sobieskiemu tarczę ochronną, wierząc, że specjalny Boży Puklerz jest nam potrzebny, by obronić świat przed islamskim zagrożeniem. Ta „wróżebna tarcza" wyobrażała zwycięstwo Konstantyna nad Maksencjuszem w roku 312. Pisał o niej Jan Gawiński w dziełku z 1680 roku zatytułowanym „Cipoeus Chrstianitatis to jest tarcz Chrześcijaństwa z cudownem na niej panów chrześcijańskich na wojnę przeciwko nieprzyjaciołom Krzyża św.". A potem był dzień 15 sierpnia. Święto Wniebowzięcia Maryi. Tego dnia modlił się król w kościele Karmelitów na Piasku pod cudownym obrazem Matki Bożej Piaskowej. Stąd wyruszył na Wiedeń, zostawiając za sobą rozmodlony Kraków, rozmodloną Polskę. Nie da się nie zauważyć koincydencji dat i wydarzeń. Tak jak Warszawa w 1920 roku, tak Kraków w roku 1683 był miastem gorącej modlitwy – odprawiano mszę za mszą, modlono się bez wytchnienia w każdej świątyni, chodzono w uroczystych procesjach, klęczano z różańcami w dłoniach pod cudownymi obrazami. Gdy król jechał pod Wiedeń, tak jak skrzydła husarskie na półzbrojach, tak ducha mu dodawała ta wielka, wzmożona modlitwa.

Podobnie było i na polu bitwy. Tuż przed tym, gdy 12 września polskie prawe skrzydło miało się przedrzeć na swoje pozycje, a potem szykować do ataku, Jan III wziął udział w odprawionej jeszcze przed świtaniem mszy świętej. Odbyła się ona w spalonej dopiero co przez pohańców świątyni. Niejako na gruzach, w zgliszczach i popiołach, Sobieski ukląkł, by przyjąć Ciało Chrystusa. Wyciągnął także relikwię Krzyża Św. i z jej siły czerpał moc dla swojej armii… Wiedział o tym papież Innocenty, który już po bitwie powiedział: „Poznajmy i chciejmy uznać dzieło prawicy Najwyższego, który dokonał wielkiego czynu w Izraelu i wysłuchał próśb, zanoszonych do Niego. Albowiem najdroższego syna w Chrystusie, cesarza Leopolda, całe rzymskie imperium i miasto Wiedeń ginące, uratował najdroższy również syn nasz w Chrystusie Jan król Polski, którego słynnego z dzielności w wojnach oraz innych przesławnych książąt, uczestników w tym tak wielkim zwycięstwie, nie przestaniemy nigdy obsypywać najzupełniej zasłużonymi pochwałami. Jeden jest bowiem tylko Jan król Polski, odznaczający się podziwienia godną pobożnością i troskliwością o dobro religii katolickiej i całego świata chrześcijańskiego, przybył z odsieczą, i z chwałą imienia swego, główną chorągiew, którą zerwał ze szczytu namiotu wielkiego wezyra, nam przysłał".

Jak pisze Radosław Sikora, polska husaria przed bitwą zwyczajowo śpiewała pieśni religijne, w tym maryjne, takie jak „Gloriosa". Wyznawcy Allaha pędzili do boju, krzycząc swoje „ałłaaa, ałłaaa". Nato-

miast nasi rycerze z orlimi pióry na plecach wznosili okrzyk bojowy, którym było jedno słowo… „Jezus!”. Mając w sercach i w myślach „Jezus” opuszczali kopie. Szepcząc do siebie „Jezus” przyśpieszali konie, wpadali w cwał. Huk kopyt narastał, w górę leciały grudy ziemi. Łopotały biało–czerwone proporce. Głowy pochylały się w pędzie. Na kirysach błyszczały Krzyż i Matka Boska. „Per Crucem et Mariam ad Victoriam”! Jezus w sercach! I tym wszystkim – potęgą ducha i stali, potęgą Bożą uderzali w wyznawców Allaha.

Gdzież ta siła obecnie? Co z nią robi Europa? Oto we Francji kościoły katolickie mają być wykupione przez muzułmanów. Na ich szczytach, na wieżach, zawisną symbole islamu. To jest już dokonujące się zwycięstwo. Poprzez europejską słabość. Przez niszczenie głównej naszej siły – siły moralnej płynącej z oparcia w Bogu. Bez Boga nie ma pancerzy, nie ma kirysów, nie ma koncerzy. Jest pustka duchowa. Pustką nie można przeciwstawiać się złu.

[wSieci, nr 27/2015]

NAJJAŚNIEJSZY PANIE, CZEMU UCIEKASZ?

KRÓL uciekł nocą z 18 na 19 czerwca 1574 roku. W swojej komnacie zostawił kilka listów „pożegnalnych". Towarzyszyło mu czterech najbardziej zaufanych ludzi ze świty: oficer gwardii Mikołaj de Larchant, nadworny lekarz Marc Miron, oraz panowie de Souvre i du Halde. Wymknęli się wszyscy przez boczną furtę nad brzeg Wisły, a stamtąd pognali w stronę Zwierzyńca. Przy opuszczonej kaplicy czekały na nich konie. Potem jednak błąkali się długo po ciemnym lesie. W końcu natknęli się na oddaloną od ludzkich siedzib chatkę, w której mieszkał ubogi drwal. Nieborak nie mógł uwierzyć, że widzi przed sobą polskiego króla, notabene mógł tego prostego człowieka zmylić wygląd Najjaśniejszego Majestatu, jeśli uwzględnić kolczyki w uszach, oraz to że król najwyraźniej przed kimś umyka. Ale gdy wręczono drwalowi do ręki złoto, przestał się dziwować i zgodził być im za przewodnika.

Tymczasem za władcą ruszyła pogoń, Polacy starali się schwytać uciekającego monarchę. Gdy podkomorzy krakowski Jan Tęczyński wjechał do Oświęcimia, Francuzi wymknęli się właśnie z drugiej strony miasteczka, a po przejechaniu przez most na Wiśle znaleźli się na ziemi śląskiej. Natychmiast porąbali przeprawę siekierami. Fragmenty mostu runęły do wody. W tejże chwili na polskim brzegu pojawił się starosta oświęcimski. Widząc, co się stało, zrzucił ubranie, wskoczył w nurt rzeki i płynąc nagusieńki wołał: „Serenissima Majestas, cur fugis?". Do dziś nie wiadomo zresztą, w jakim języku krzyczał za władcą. Niektórzy podają polską wersję „Najjaśniejszy panie, czemu uciekasz?". Właściwie to wszystko jedno – Henryk Walezy słabo znał łacinę, trochę mówił po włosku, a polszczyzny nie rozumiał ni w ząb. Pewnie dlatego staroście nie odpowiedział.

Nie wiem, czemu przypomniał mi się ów zabawny, nadwiślański epizod w chwili „wielkiego tryumfu" polskiej dyplomacji, kiedy w Polsce wybuchł entuzjazm związany z wyborem Donalda Tuska na Najjaśniejszego Pana Europy. „Najjaśniejszy panie, czemu uciekasz?" – zapisało się w historii Polski i okazuje się, że podobnie jak wiele innych bonmotów, może okazać się niezwykle aktualne także dzisiaj.

Z osobą Walezego związane jest również inne zdanie, które powiedział do niego Polak w paryskiej katedrze Notre–Dame. Było to wtedy, gdy odbyła się elekcja i wybrano Francuza na króla, odrzucając zresztą tak „zacnego" kandydata do naszej korony, jak car Iwan Groźny. Do Paryża zjechało więc polskie poselstwo, robiąc w mieście piorunujące wrażenie. Orszak zachwycił żabojadów egzotycznymi i bogatymi strojami, dwornymi obyczajami, dumną postawą, a wreszcie nienaganną znajomością łaciny. Królowi i jego otoczeniu przedstawiono polskie warunki, czyli kwestię zaakceptowania artykułów henrykowskich (definiujących zasady ustrojowe, w tym przywileje szlacheckie, a także możliwość wypowiadania posłuszeństwa królowi), oraz postulata polonica (dotyczące tolerancji religijnej i stawiające ultymatywne żądania związane z wojną katolików z hugenotami), a w końcu pacta conventa (będące swoistą umową związaną z różnymi zobowiązaniami nowego króla wobec poddanych i królestwa). Henryk kręcił nosem i niektóre punkty niezbyt mu się podobały. Wówczas Jan Zborowski miał rzec do francuskiego królewicza: „Si non jurabis, non regabis", czyli „Jeśli nie przysięgniesz, nie będziesz panował".

Także i to zdanie związane z panowaniem Walezjusza na polskiej ziemi przyszło mi, zupełnie przypadkiem, do głowy, kiedy usłyszałem, jakoby Najjaśniejszy Elekt, paktując o swym stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej, zgodził się na żądania angielskie, by spuścić z tonu, jeśli chodzi o ochronę emigrantów polskich na Wyspach. Ale wiadomo „si non jurabis"…

Historycy tak wyjaśniali kwestię ucieczki Henryka znad Wisły. Zmarł jego brat, król francuski Karol IX, więc matka Katarzyna Medycejska, sprawująca faktyczną władzę we Francji, słała histeryczne listy do młodszego syna, świeżo upieczonego polskiego monarchy, błagając go, by wracał i pomógł ratować koronę liljową. Po tym, jak znaleziono martwego Karola w prześcieradłach zakrwawionych suchotniczą krwią, Francja mogła wymknąć się Katarzynie z rąk. Jednak wszystko wskazuje też na to, że królowi francuskiemu na polskim tronie trudno było wejść w rolę władcy państwa, którego potrzeb i ducha nie rozumiał. Ambasador wenecki tak go charakteryzował: „sposób ubierania się i wyszukane stroje sprawiają, ze zdaje się on delikatnym i zniewieściałym; gdyż poza bogatymi sukniami, które nosi, pokrytymi całkowicie złotym haftem, drogimi kamieniami i perłami najwyższej ceny, okazuje jeszcze nadzwyczajną dbałość o swą bieliznę i ułożenie włosów. Ma zwykle na szyi podwójną kolię z oprawionej w złoto ambry; chwieje się ona na piersi i wydaje słodki zapach. Lecz to, co najwięcej, moim zdaniem odbiera mu dostojeństwa, to fakt, iż uszy ma przekłute jak kobieta (zwyczaj dość po-

wszechny u Francuzów), i to jeszcze nie zadowala się jednym kolczykiem w każdym uchu, lecz nosi po dwa ozdobione zwisającymi z nich drogimi kamieniami, perłami". Wygląd władcy musiał być dla Sarmatów szokujący, podobnie jak obyczaje seksualne, które przywiózł ze sobą niczym nowinkę kulturalną – rozwiązłość, jako zasadniczy model królewskiego prowadzenia się. Zdawało się, że wraz z francuskim monarchą zawita w Rzeczypospolitej rewolucja obyczajowa. Innymi słowy Henryk Walezy prezentował się jak Europejczyk w każdym calu.

Król „odgrywał" władcę najlepiej jak umiał. A zdolności aktorskie miał nieprzeciętne. Już jako dzieciak, figlując z braćmi, potrafił doskonale udawać księży, przedrzeźniać liturgiczne zachowania, i robić żarciki ze wszystkiego. Tak na przykład hostię zwał dla kawału „Białym Jasiem". Gdy był starszy, przedrzeźniał z kolei protestantów, małpując ich zachowania i gesty, czym raz doprowadził do spięcia na dworze, gdy regentka Katarzyna przyjmowała hugenockich oficjeli. Ale wszystko uchodziło mu płazem, był w końcu jednym z królewskich synów. O jego kłopotach na nocniczku pisali do siebie zagraniczni ambasadorzy. A gdy wyrasta się w poczuciu, że sprawą naszego nocnika interesuje się cały świat, tedy tym bardziej tak się dzieje, gdy siada się na prawdziwym tronie. Jednak jego talenty komediancki e były rzeczywiście szczególne, uczył się ich, jak politycznego warsztatu, wiedząc, że może je wykorzystać jako narzędzie sprawowania władzy. Zauważył na przykład, że jego potężna matka ma słaby punkt – najwyraźniej boi się lotaryńskiego kardynała. Nauczył się więc naśladować jego sposób mówienia, gestykulowania, tembr głosu, postawę i czynił to wtedy, gdy chciał coś od rodzicielki uzyskać. Socjotechnika na miarę zupełnie nowoczesną. Taka, jaką można było niejednokrotnie zobaczyć na konferencjach prasowych naszego, jeszcze obecnego premiera, Najjaśniejszego Elekta. Donald Tusk do perfekcji doprowadził umiejętność „czarowania" dziennikarzy uśmiechem, skinieniem głowy, rozbrajającą miną, czy niewinnym żarcikiem. To samo robił, grając spektakl przed społeczeństwem, za każdym razem, gdy włączono kamery.

Młody Henryk Walezy nauczył się od swej matki jeszcze jednego – tego mianowicie, że władca nie może otaczać się ludźmi zbyt utalentowanymi. Grono współpracowników powinno być biegłe w swej sztuce, sprawne, ale nigdy nie takie, by mogło w jakiś sposób przyćmić najważniejszą osobę – jego samego.

Szambelan René de Villequier zobaczył w chłopcu dobrze znane mu cechy władców – chęć popisywania się, błyszczenia, przewodzenia i bycia na szczycie. Jak pisał biograf króla Stanisław Grzybowski – „otoczył go więc orszakiem rówieśników mocnych, wyrośniętych

i wygimnastykowanych, lecz niższych odeń intelektem". Nazywano ich wszystkich „mignons".

Gdy więc ktokolwiek obecnie zastanawia się, kto będzie następcą premiera na polskim stolcu po odejściu Tuska do Brukseli, to nie ma wątpliwości, że będzie to właśnie ktoś z grupy „mignons".

Tak jak malarze pozostawili nam wiele plastycznych wersji królewskiej ucieczki z Polski, tak też zachowało się sporo rycin ukażujących jego przyjazd. Najpierw elekt jechał przez Niemcy, zatrzymując się w kolejnych zamkach, ucztując, rozmawiając z niemieckimi książętami. Potem wjechał na terytorium Korony. Tu czekał na niego niesamowity orszak powitalny, wystawne hufce kolorowej jazdy, łopoczące sztandary, twarze kraśniejące z radości i dumy. Polacy witali nowego władcę z pompą. Po polsku! Na czele delegacji stał biskup kujawski Stanisław Karnkowski, obok niego wojewodowie ze swymi świtami. Biskup odczytał przemowę powitalną napisaną po łacinie. A gdy ruszono w kraj, przejazd zamienił się w długi, tryumfalny pochód. Jednak euforia zaczęła przygasać, gdy król rozpoczął rządy. Już w trakcie samej koronacji doszło do kłótni i przepychanek dotyczących treści przysięgi. Z jednej strony na króla naciskali dygnitarze Kościoła katolickiego, z drugiej protestanci. Sprawy polskie okazały się trudne do zrozumienia i prowadzenia. W trakcie krótkiego okresu henrykowskich rządów doszło też do słynnego incydentu, związanego z postacią Samuela Zborowskiego. Szlachcic pragnący się rozprawić (za zniewagę w trakcie turnieju) z magnatem Tęczyńskim ugodził czekanem kasztelana przemyskiego Andrzeja Wapowskiego. W ranę wdało się zakażenie i po kilku dniach kasztelan zmarł. Zborowski został oskarżony o morderstwo. Król, szukając najlepszego rozwiązania, skazał go na banicję i utratę dóbr, pozwalając jednak zachować nie tylko życie, ale i dobrą cześć. Ta i podobne jej sprawy zdawały się przerastać możliwości francuskiej głowy koronowanej w katedrze wawelskiej.

Henryk Walezy zaczął więc od polskich, trudnych spraw uciekać – symulować choroby, znikać w najważniejszych momentach, czynić rozliczne uniki. Jednocześnie znajdował czas na rozrywki, ze szczególnym uwzględnieniem historyjek miłosno–erotycznych, co odbijało się w kraju głośnym echem i brzmiało szczególnie źle wobec zamierzeń związanych z małżeństwem z Anną Jagiellonką. Przed nią zresztą Henryk nie omieszkał wykonywać w tańcu tzw. wolty, odsłaniając w trakcie szybkich ruchów królewskie klejnoty, te posiadane od urodzenia, co wywoływało powszechne zgorszenie.

„Zgorszenie wywołał również fakt, że król grywał w piłkę ze swymi towarzyszami; grać zresztą miał nie tylko w piłkę, ale i w kości czy karty, przegrywając sporo" – zauważył Grzybowski.

Cygar jeszcze wtedy nie palono, ale Jean Nicot przywiózł w roku 1560 ziarna tytoniu na dwór francuski prezentując je matce Henryka, Katarzynie Medycejskiej.

W każdym razie wzmianki o grze w piłkę, którą praktykuje się, jako remedium na trudy sprawowania władzy, wydają się także zaskakująco współczesne i wpasowujące się w znane nam z niedalekiej przeszłości sposoby funkcjonowania Najjaśniejszego Elekta.

Donald Tusk miał w istocie zaskakującą umiejętność znikania ze sceny politycznej wtedy, gdy robiło się na niej gorąco i pojawiania dopiero, gdy sytuacja już się normowała. Nie musiał więc nadstawiać karku, a główną strategią było wytłumaczyć po raz kolejny Polakom, że „nic się nie stało".

Najgorszą ucieczką premiera była eskapada narciarska wtedy, gdy generał Anodina wygłaszała w Moskwie główne tezy raportu MAK w sprawie katastrofy smoleńskiej. To jeden z tych niewielu momentów w historii najnowszej, kiedy obecność szefa rządu była niezbędna. Polskie państwo powinno wtedy bez najmniejszej zwłoki odnieść się do steku kłamstw serwowanych światu na nasz temat, do kalumni i potwarzy, do niszczenia honoru polskich pilotów i wojskowych, do oszustw dotyczących śp. generała Błasika, do haniebnych insynuacji dotyczących rzekomych nacisków śp. prezydenta Kaczyńskiego. Wtedy właśnie polski premier powinien pojawić się przed kamerami. Pokazać choćby, że Polska się nie boi, że potrafi stawiać czoła. Ta ucieczka, jak i wszystkie inne dotyczące sprawy smoleńskiej, a także postawy Polski wobec agresywnej polityki Putina, położyły się wielkim cieniem na politycznej „karierze" premiera Tuska.

I teraz, gdy poczuł zbliżające się widmo porażki w kolejnych wyborach, nagle uciekł tam, gdzie błyszczą reflektory europejskie. Zostawił za sobą to wszystko, co zepsuł przez ostatnie lata.

Dlaczego Henryk Walezy uciekł za Wisłę w roku 1574? Ten „król malowany", jak go nazwał potem Stefan Batory, próbował się tłumaczyć Polakom, wysyłając do nich z Francji list. Pisał w nim między innymi o „niewiedzy spraw publicznych" i nawoływał do pokoju. Gdyż w jego mniemaniu on był jedynym dawcą spokoju i ładu. Prawdę jednak napisał w liście do cesarza Maksymiliana: „Jestem Waszym synem, który był Wam zawsze posłuszny i jestem bardziej stanowczy i oddany, niż kiedykolwiek… Francja i Wy warte więcej niż Polska". Był po prostu z ducha Europejczykiem. Wracał tam, gdzie było jego miejsce. Gdyby wtedy żyła kanclerz Angela Merkel, mogłaby jeszcze przed koronacją napisać rekomendację dla cesarza, wzmiankując: „Henryk Walezy to pełen pasji, przekonany i przekonujący Europejczyk".

A prawem zabaw z podróżą w czasie, może nad Wisłą, w okolicach Oświęcimia, tam gdzie był ów most, przez który umykał Walezjusz będzie teraz nocami słychać smętne wołanie starosty – „Najjaśniejszy Panie, czemu uciekasz?”.

[wSieci, nr 37/2014]

TREMBOWLA – CZYLI TYLKO W POLSCE SĄ PODOBNE BIAŁOGŁOWY

NAD Polską wisiał już cień II wojny światowej, gdy Zofia Kossak–Szczucka wydała jedną ze swych pięknych, budujących tożsamość narodową powieści – „Trembowlę". Bohaterską obronę twierdzy, która z garstką obrońców stawiała nieugięty opór tureckiej nawałnicy w roku 1675, autorka opisała genialnymi posunięciami pióra. Jedną z głównych, archetypicznych postaci uczyniła kobietę, żonę dowódcy zamku, Annę Dorotę Chrzanowską. Jan Sobieski, nasz zwycięski wódz spod Chocimia świeżo wybrany na króla, pojawił się w finalnych partiach książki. Zsiadł z konia, tuż przed mostem zwodzonym zamku, uściskał pana Chrzanowskiego, a potem popatrzył na mury, strzelnice, baszty i wypalone dachy.

„Żadnej chyba fortecy – rzekł z uznaniem – z równą furią nie dobywano, ani broniono z podobnym męstwem. Jest na co popatrzyć. Pokazaliście całemu światu, że i Turkom obronić się można, cnotliwie poruczonego miejsca chroniąc. Wieki będą o waszej obronie pamiętać, na równi z Trojąi, ze Zbarażem i Kremlem ją stawiając".

Jan Samuel Chrzanowski, który walczył pod dowództwem Sobieskiego pod Chocimiem, czuł się uhonorowany uwagą króla, lecz wszelką zasługę oddał swojej żonie, która gdy wszystkim „ducha brakło" wspierała swoją odwagą i dawała reszcie przykład niezłomności.

„Jejmość Anna Dorota, uroczysta, w nowym czepcu, dygnęła nisko przed królem.

Wyznam najszczerzej – ciągnął pułkownik – że był moment, iż chciałem z zamku z załogą uciekać… powiedziała mi wtedy, że jeżeli to uczynię, przebije mnie mieczem i siebie…

Nas do boju zagrzewała, pielęgnowała jak matka! – zakrzyknęli Szczygielski i Stański.

Bez niej nie wytrwalibyśmy! – przywtórzyli inni chórem.

Dalibóg, chyba tylko w Polsce są podobne białogłowy – rzekł król, ujął z szacunkiem szorstką, spracowaną dłoń pułkownikowej i podniósł do ust".

Czas wojny z imperium osmańskim był dla Rzeczypospolitej zarówno powodem chwały – przykładem sławetne zwycięstwo chocimskie, jak i wielkiej sromoty – pokoju buczackiego, związanego z okupem i odstąpieniem województw bracławskiego, podolskiego i części kijowskiego. Rok 1675, już po elekcji, ale jeszcze przed koronacją Jana III Sobieskiego, odznaczył się dwoma pięknymi polskimi czynami bojowymi wpisującymi się w historię najwspanialszych dokonań militarnych. Akord finalny stanowi właśnie bohaterska obrona Trembowli, a drugi, wcześniejszy – zwycięstwo pod Lwowem. Znamienity dziewiętnastowieczny historyk Karol Szajnocha temu ostatniemu poświęcił osobny esej, napisany w rok po zakończeniu Powstania Styczniowego. Dziejopis przytoczył w nim opinie o bitwie. Anglik Bernard O'Connor, lekarz Sobieskiego i historyk, wyrażał się o lwowskiej wiktorii w słowach bardzo mocnych: „na tej to równinie odniesiono największe może zwycięstwo, o jakiem kiedykolwiek słyszały dzieje". A francuski historyk Salvandy pisał: „Rozstrzygnęły się losy podziwienia godnej kampanii, która nie ma równej sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego". „Gazeta Francji" z dnia 22 października 1675 roku, czyli w kilkanaście dni po obronie Trembowli, ogłaszała w artykule: „Zajaśniała Opatrzność widomiej niż kiedykolwiek nad Polską, i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tem przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkimi narody chroni go od nawału najsroższych nieprzyjaciół".

Już wtedy, przed odsieczą wiedeńską, miała Polska opinię muru broniącego Europy przez zalewem muzułmańskich hord. Czym groził islamski imperializm, wiedzieliśmy już od dawna, a setki tysięcy rodaków uprowadzonych w jasyr i zamordowanych – to przykład ludobójstwa z czasów, w których termin taki jeszcze nie istniał, lecz jest bardzo adekwatny. Warto współczesnej Europie, przerażonej atakami na „Charlie Hebdo", przypominać o tym, że z muzułmańskimi armiami ścieraliśmy się przez całe dziesięciolecia, nadstawiając dosłownie karku za Francuzów czy Anglików. W latach siedemdziesiątych wieku siedemnastego Porta miała zawarty pokój z dworem wiedeńskim i cały impet uderzenia szedł w stronę Rzeczypospolitej. Właściwie można powiedzieć o kolejnych falach rozszalałych ataków owych „miłujących pokój" – jak obecnie twierdzi politpoprawna elita intelektualna Zachodu – wyznawców Proroka.

Szajnocha tak opisuje pochód Ibrahima Szyszmana z roku 1795, który uwięził polskich posłów i prowadził za sobą, jako świadków przyszłych tryumfów: „Nastąpiły też w istocie wielkie wysilenia przemocy i wrogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie

opanowaną twierdzę zbaraską dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu dokoła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30 000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast uległo zniszczeniu. Kto mógł, unosił życie za Wisłę…".

Gdy armia pojawiła się pod Lwowem, król nakazał uderzyć z wszystkich dział na znak, że władca – wbrew plotkom – nie tylko nie uciekł, ale chce bić się z wrogiem. Wszyscy mieszkańcy gotowali się do obrony, czy wznosząc szańce obronne, czy też modląc się w kościołach – „lud, kobiety, duchowieństwo, zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającymi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzały z wyższego zamku armaty, dając znak mieszkańcom przyległych sioł, by uciekali przed Ordą nadciągającą". W końcu, 25 sierpnia, dostrzeżono zbliżającego się przeciwnika. Turcy zaczęli od zabobonnych praktyk, wysyłając ku twierdzy czarną kurę. Ta jednak wróciła do nich, co odczytano jako zły znak. I tak zaczęła się wielka bitwa.

Sobieski świetnie wykorzystał do walki ukształtowanie terenu pod miastem, a także uciekł się do zmyślnych forteli, które sprawiły, że armia polska wydawała się większą, niż była w istocie. Mianowicie nakazał husarii ściągnąć zbroje, oporządzenie i oddać kopie obozowym ciurom oraz biedocie. Ustawił z nich szyki, które z daleka wyglądały, jak gotowa do ataku husarska rezerwa. Tymczasem samym husarzom przekazał kozackie dzidy. Dzięki temu uzyskał przewagę psychologiczną.

Bronią specjalną, o której nie można nie wspomnieć, była „tarcza duchowa". Gdy z dala dochodził grzmot dział, w świątyniach bez przerwy modliły się rzesze mieszkańców. Modliła się też Marysieńka. Królowa i poddani wspierali żołnierzy tak, jak potrafili, wypraszając u Boga wszelkie potrzebne łaski. „Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego i upadła na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej".

Niecały miesiąc później turecka armia zaatakowała kolejny przyczółek chrześcijański – twierdzę w Trembowli, obsadzoną przez Chrzanowskiego załogą złożoną z zaledwie osiemdziesięciu piechurów. Nurredin Ibrahim Szyszman rozpoczął oblężenie 19 września 1675 roku. Trembowla, osamotniona po stracie Kamieńca Podolskiego, Mohylowa, Zbaraża i Podhajec, była jedną z ostatnich wysp oporu. Król obiecał odsiecz i ta, spartańska niemalże garstka obrońców, ufając w jej nadejście, trwała twardo na stanowisku. Ibrahim przypuszczał szturm za szturmem, tracąc 425 granatów, ponad 4 tysiące kul działowych i niezliczoną ilość prochu oraz amunicji do broni pal-

nej ręcznej. Zginęło czterdziestu ośmiu dragonów Chrzanowskiego, czyli ponad połowa stanu. I choć twierdza wyglądała jak dymiąca ruina, nadal powiewał nad nią polski sztandar. Dzielny komendant niezmiennie, tak jak nakazywał mu honor, odpowiadał odmownie na tureckie listy żądające poddania się. Jak pisał Sokołowski: „Wszelkie usiłowania Turków rozbijały się bezskutecznie o męstwo obrońców i warowność fortecy. Potężne mury zamku oparły się pociskom wybornej natenczas artyleryi tureckiej, nie powiodło się zakładanie min w skalistym gruncie, a czujność dowódcy nie pozwalała myśleć nawet o pochwyceniu zamku". Ale sytuacja obrońców pogarszała się z dnia na dzień. Zaczęło brakować wody i jedzenia, ranni wyli z bólu.

Szyszman tymczasem, demonstrując siłę, kazał defilować swoim oddziałom tak, aby obrońcy uzmysłowili sobie, z jaką potęgą mają do czynienia. I ciągle słał parlamentariuszy z żądaniami poddania się twierdzy.

W końcu grupa szlachciców i uciekinierów z okolic zamku doszła do wniosku, że stawiano opór wystarczająco długo i należy się poddać. Nawet Jan Samuel przychylał się do tej opinii… Gdyby wówczas obrońcy wywiesili białą flagę, pewnie zasłużyliby dziś na pochwały „rewizjonistów" historycznych, kpiących z sienkiewiczowskich postaw w stylu Wołodyjowskiego. Jednak stało się coś niezwykłego. Oto wpadła pomiędzy żołnierzy komendantowa Chrzanowska. Podbiegła do męża, według niektórych opowieści trzymając w dłoniach dwa noże, po czym ostro zwróciła się do niego i pozostałych, krzycząc, by nie poddawali twierdzy i walczyli do końca. Zażądała też natychmiastowej „wycieczki" za mury i rozpoczęcia akcji zaczepnych wobec Turków. Wobec niezłomnej postawy komendantowej, mężczyznom wróciła do serc odwaga. Zaczęli znów bić się jak szaleni. Rankiem 5 października, gdy podniosły się mgły, oczom obrońców ukazały się puste pola ze śladami po koczowiskach muzułmańskich armii. Turcy uciekli. Gdy więc Jan III Sobieski pojawił się z odsieczą, nie musiał walczyć o Trembowlę. Ona obroniła się sama. Obroniło ją wspaniałe małżeństwo – Jan i Anna.

I o tym polskim małżeństwie napisała swą powieść Zofia Kossak–Szczucka. Ze wschodu i zachodu nadciągała właśnie nad Polskę potworna pożoga. Cóż pozostawało? Jakich wyborów należało dokonywać? Trwać w bierności czy w oporze? Bić się czy czekać lepszych losów? Trembowla wydobyta sprzed wieków stała się czymś żywym. W roku 1944 Warszawa znów była przedmurzem chrześcijaństwa, broniąc cywilizacji Miłości przed barbarzyństwem niemieckim i sowieckim. Sowieci odziedziczyli dzikość po Tatarach; Niemcy zaprzeczyli wszystkiemu, co zaszczepiła w nich rzymsko–chrześcijańska kultura i wrócili do czasów Germanii opisywanej przez Tacyta. Warsza-

wa była Trembowlą. W jej murach kolejne pokolenie młodych i zakochanych ludzi odpowiadały sobie na pytanie – czy się bić? Czy wywieszać białą flagę? Za tę wiarę w rzeczy wyższe, piękniejsze, ważniejsze – ginęli. Ale ta śmierć nie poszła na marne. Lub inaczej – nie pójdzie, jeśli zrobimy z niej tarczę. Dla siebie i dla Europy. Szczególnie teraz, gdy zagraża nam to, co opisywał manifest Powstania Styczniowego: „dzikie barbarzyństwo Azyi".

W czasie wojny Zofia Kossak–Szczucka stworzyła słynną „Żegotę" – Radę Pomocy Żydom przy Delegacie Rządu RP na Kraj. W 1943 roku pisarka została aresztowana i przewieziona do Auschwitz–Birkenau. Wcześniej zamordowano tam jej syna Tadeusza. Potem trafiła na Pawiak, gdzie usłyszała wyrok skazujący na karę śmierci. Ale dzięki staraniom polskich władz podziemnych została uwolniona i zdążyła jeszcze wziąć udział w powstaniu. Razem z tymi, którzy czytali jej książki – „Krzyżowców" i „Bez oręża", „Szaleńców Bożych" i „Bursztyny". I „Trembowlę".

Ta wspaniała Polka stanęła w jednym szeregu z postaciami pokroju rotmistrza Pileckiego. Tak wtedy wyglądała Polska. I taką Polskę trzeba pokazywać światu, z takiej Polski należy być dumnym, taką Polskę czcić. O takiej Polsce pamiętać podczas obchodów wyzwolenia Konzentration Lager Auschwitz i w filmach wysyłanych jako nasze wizytówki na oscarowe konkursy. Jesteśmy to winni tamtym pokoleniom.

Jan III Sobieski koronował się 2 lutego 1676 roku. Tak przedstawił na rycinie przejazd króla przez miasto ówczesny artysta Franciszek Gratta: Sobieski jedzie jako rzymski imperator, pod baldachimem niesionym przez alegorie cnót: Sprawiedliwości, Roztropności, Stateczności, Czujności, a na jego pierś padają promienie Wiary Tryumfującej. Za nim zaś ciągną zwycięskie wojska spod Lwowa, Chocimia i Trembowli. I jeńcy – długi szereg wielbłądów z łupami. Na spotkanie władcy wybiegają spersonifikowane Polska, Litwa oraz świeżo wyzwolona Ukraina.

W czasie tej samej koronacji na Wawelu uroczyście pochowano dwóch poprzednich królów: Jana Kazimierza i Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Pisał w swoich pamiętnikach Philippe Dupont, że gdy ciała królewskie spoczęły na katafalku, w głównym wejściu katedry pojawił się w pełnej zbroi rycerz na koniu. Podjechał do mar i złamał królewskie berło na trumnie. Potem następny rozłupał o nią koronę. Kolejny – jabłko. Czwarty z kolei cisnął szablą trzymaną za ostrze. Piąty połamał oszczep, a ostatni z jeźdźców – husarską kopię.

Jeden król odchodził, ale rodził się następny. Pokolenie przeszłe zostawiało dziedzictwo swym dzieciom i wnukom. Rzeczpospolita była silna, a każdy polski dom był jak Trembowla.

[wSieci, nr 05/2015]

MILCZENIE – CZYLI O TYM, JAK WŁADZA ZAMYKA USTA POLAKOM

W PRZEPIĘKNY sposób zaczyna się tragedia Ajschylosa „Prometeusz skowany". Na pustym „skityjskim brzegu" Hefajstos wraz z Kratosem przykuwają łańcuchami do skały Prometeusza. Za jego miłość do ludzi: stworzenie człowieka i obdarzenie go iskrą bożą – pełną namiętności i ognia duszą ludzką. Kulawy bóg–kowal płacze uderzając młotem w żelazne okowy i przybijając szlachetnego tytana do zimnego kamienia. Ten zaś… milczy. W tym właśnie zobaczyć można wielkość Ajschylosa, że brakiem słów Prometeusza buduje całą siłę tej pierwszej sceny. Z ust Kratosa i Hefajstosa płyną potoki heksametru. A choć są piękne, to najmocniej „gra". milczenie Prometeusza. Ci dwaj radzą nad nim, Kratos grzmi o wypełnianiu woli bogów, Hefajstos cierpi, wykonując zadanie sprzeczne z głosem swego serca. Młot huczy, stal dźwięczy, skała kruszeje, echo musi uderzać gdzieś daleko w górach i wracać zwielokrotnioną nutą, a ów bohater ni jednej sylaby nie wymówi. Ależ jest potęga niezwykła w owym milczeniu zaklęta!

Być może z niej zaczerpnął nasz geniusz – Wyspiański. I swoje pióro czernił w atramencie starożytnych, gdy kreślił w „Warszawiance" postać starego Wiarusa, który wpada do sztabu Chłopickiego ze złymi wieściami z pola bitwy; Solski go zagrał ponoć tak, że na zawsze wszedł swym milczeniem do historii naszej kultury.

Nić prometejska i mesjanistyczna kształtowała duszę polską w romantyzmie. Obok idei poświęcenia z miłości dla Ojczyzny – trzeba w niej ujrzeć także pierwiastek cierpienia i owo milczenie, które wielokroć w historii Rzeczypospolitej dźwięczało. Tak, jak brzmieć potrafi – Cisza. Miało to milczenie wiele tonów, kolorów i odcieni: raz będąc zwykłym brakiem słów w sytuacji nieoczekiwanej, innym razem wstydliwym ucichnięciem lub gniewnie zaciśniętymi ustami; albo też lękliwą ciszą, jaka zdradza tchórza, który ze strachu schował się za krzakiem. Bolało nas, gdy do milczenia bywaliśmy zmuszeni – cenzurą, zakazami, widmem cytadeli; lecz zdarzało się, że brak słów był naszą bronią, odpowiedzią, rodzajem szlachetnego gestu. Takim milczeniem, jakie „usłyszeć" można w pierwszym epeisodion Ajschylowego arcydzieła.

Zupełnie nowym pomysłem Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej jest nakaz milczenia, jaki wystosowuje się do polskich poetów. Szczególnie nieżyjących. Ostatnio, na stronie internetowej MSZ zamieszczono w dziale „Literatura" wiersz Zbigniewa Herberta „Przesłanie Pana Cogito". Jednak… niecały. Genialny utwór ocenzurowano. Wycinając jeden li tylko fragment – *„niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda / dla szpiclów katów tchórzy – oni wygrają /pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę / a kornik napisze twój uładzony życiorys / i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy /przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie".* Dziwnym trafem, „zupełnie przez przypadek", usunięto z utworu tę część, która częstokroć cytowana była przez prawicę, czy to w wypowiedziach medialnych, czy w trakcie manifestacji patriotycznych. Zamknięcie ust nieżyjącemu gigantowi poezji jest jak symbol takiej „wolności słowa", którą streszcza najdosadniej rosyjskie słowo: „Małczać!". Nawet polskie „Milczeć!" nie niesie ze sobą takiego ładunku treści i emocji. To właśnie po okrzyku „Małczać!" żołnierz rosyjski natychmiast wyprostowywał się i dłonie układał wedle zasady „ruki pa szwam!". Metodę zamykania ust i dyscyplinowania sposobu myślenia wyjaśniał w swoim liście do Kurbskiego car Iwan Groźny – „Władza carska zaś sprawowana jest za pomocą strachu, zakazów i przymusu, i zapobiega szaleństwu ludzi złych i perfidnych najsurowszymi metodami. (…) Czy wypada, aby car nadstawiał lewy policzek, gdy uderzono go w prawy?". (cyt. za A. Besançon – „Święta Ruś")

W Polsce dzisiejszej – gdy przyjrzeć się temu, jakie granice wolności słowa i sumienia wyznacza tzw. Salon – żyjemy w państwie rządzonym metodą terroru światopoglądowego. Ci, którzy ośmielają się mieć własne zdanie, niezgodne z ogłaszaną wszem i wobec doktryną, są nie tylko wykluczani i poniżani, ale także szykanowani w sposób przywodzący na myśl czasy, tak chętnie przywoływane przez sędziów pokroju Igora Tulei.

Publiczny lincz dokonywany na prof. Krystynie Pawłowicz jest tego najlepszym przykładem – a jego objaw najpotworniejszy to list wysłany przez posła Ruchu Palikota do władz uczelni, z żądaniem, aby posłankę wyrzucić z pracy. Jedynie za to, że wyraża swoje poglądy.

Podobną linię pokazują ataki na posła Johna Godsona, z sięganiem po argumenty „niewolnictwa" czy epitety w stylu „czarnuch" wyłącznie z tego względu, iż poprzez głosowanie w zgodzie z sumieniem wyraził wiarę w słuszność swojego światopoglądu.

Z tego samego źródła swoiście pojmowanej „wolności słowa", która ma być przywilejem jedynie wybranych, płynie także atak na prof. Stefana Zawadzkiego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Drzwi profesora zostały „przyozdobione" przez homoterrory-

stów w taki sposób, w jaki kiedyś faszyści w Niemczech piętnowali Żydów. Za karę. Za to, iż śmiał wziąć w obronę prof. Pawłowicz!

Szczucie w telewizyjnych programach, mieszanie wypowiedzi i kontekstów ma doprowadzić do jednego celu, którym jest odpowiedni sposób myślenia całego społeczeństwa. Atak na prof. Pawłowicz ma nauczyć wszystkich Polaków, żeby „zamknęli mordy" (używając nomenklatury naszych UB–ckich emerytów). To rodzaj potwornego szantażu, którego celem jest wyraźne ostrzeżenie – w wypadku złego światopoglądu mogą człowieka spotkać przykre konsekwencje, z utratą pracy włącznie.

„Milcz człowieku" – pobrzmiewa ciągle sączący się głos z telewizyjnej szczekaczki. Milcz, jeśli nie potrafisz mówić i myśleć jak „my".

Różne odcienie milczenia, które układają się w kalejdoskop „ciszy, która mówi" poprzedzały drugi rozbiór Polski. W roku 1792, gdy już zakończył się Sejm zwany Wielkim, na którym uchwalono Konstytucję 3 maja, na ziemie polskie wtargnęły wojska rosyjskie, a wraz z nimi szli targowiczanie. Polacy dali im odpór. Rozpoczęła się wojna z oddziałami carycy. W owym czasie do króla Stanisława Augusta dotarł list Katarzyny ze stanowczym żądaniem, by nasz władca natychmiast podpisał konfederację targowicką (która – nota bene – powinna być nazywana „petersburską"). Innymi słowy – by w chwili, gdy naród zdobył się na wielki wysiłek naprawczy, a w granice państwa wkroczył wróg z czeredą zdrajców – nagle sprawę polską porzucił i „oddał się pod protekcją" carycy. Król Staś natychmiast zwołał do Zamku swoich ministrów i po odczytaniu cesarskiej epistoły, stwierdził, że musi poddać się jej rozkazom i do targowicy przystąpi.

Reakcję otoczenia tak opisał Niemcewicz: „Obsłupieli wszyscy, długie panowało milczenie, każdy dziwił się, jako ten król (…) tak łatwo, tak śmiele zdecydował się do czynu, który go w potomności hańbą okrywał. Lecz słabe dusze nie mają stateczności, jak w tym, co podłe".

Długą ciszę przerwał w końcu sam Stanisław August mówiąc: „Milczenie to biorę za zgadzanie się wszystkich ze zdaniem moim".

Małachowski, Sapieha, marszałkowie sejmowi Potocki i Sołtan próbowali oponować. Bez skutku. Król przeszedł na stronę „szpiclów, katów i tchórzy".

Mniej więcej w tym samym czasie dzielnie broniły się przed Rosjanami polskie wojska, którymi dowodził bratanek królewski, przyszły symbol narodowego honoru, książę Józef Poniatowski. Akurat trwała walka pod Markuszewem, gdy dotarł kurier z Warszawy. Adiutant królewski Kirkor powiadomił o haniebnym podpisaniu przez króla konfederacji targowickiej. Książę Józef zbladł. Milczał, nie mogąc ponoć ni słowa wykrztusić na tę straszną wieść o zdradzie. Oficerowie

stojący obok pospuszczali oczy. Wiedzieli, *że* milczenie dowódcy ma wagę podwójną: hańba dotykała nie tylko honoru królewskiego, ale także rodzinę Poniatowskich. Być może z tego milczenia zrodził się cały dalszy los i chwalebna śmierć księcia w nurtach Elstery.

Najsilniej jednak w tej symfonii narodowego upadku zagrała Cisza, która pojawiła się na sejmie grodzieńskim. Tym z roku 1793, kiedy przypieczętowano drugi, chyba najbardziej brzemienny w skutki, rozbiór Polski.

To, co się tam działo zasługuje na opowieść rangi szekspirowskiej.

Świeżo upieczony ambasador rosyjski Jakob Johann Sievers, doprowadził w trakcie tego sejmu nie tylko do samego rozbioru, ale także do całkowitego upodlenia i upokorzenia Polski, a także – na końcu – do podpisania traktatu sojuszniczego z Rosją, która tę ostatnią resztkę Rzeczypospolitej brała pod faktyczne władanie.

Z jakim smutkiem, bólem serca, czyta się dokumenty rozbiorowe. Przed oczami przewijają się nazwy polskich miast, miasteczek i wsi. Tysiące mieszkańców. Rzeki. Wzgórza. Mosty. Rodziny. Chaty. Domy. Kościoły. Wszystko liczone, jakby ktoś ołówkiem na kartce papieru bydło idące na rzeź spisywał. Ci ludzie wszyscy nie wiedzieli, że następnego dnia obudzą się rosyjskimi obywatelami.

W trakcie tych dramatycznych wydarzeń dzieje się jednak coś niezwykłego. Posłowie nagle buntują się. Pomimo tego, iż cały sejm był wcześniej „ustawiony" – opłacony w dużej mierze i tak dobierany, by nie było w nim żadnych zwolenników Konstytucji 3 maja. A jednak – ci Polacy, jakimś ostatnim odruchem polskości, który się tlił w ich sercach – postanowili nagle oprzeć się naciskowi rosyjskiemu. Gdy więc miano głosować traktat z pruską stroną nagle zapanowało… milczenie.

To była dość prosta i jedyna skuteczna forma sprzeciwu, ratowanie resztek godności, jaka im została. Po prostu siedzieli i nikt nie zabierał głosu. Moskale dostali szału. Sievers wysłał notę do króla, żądając, by ten zmusił posłów do mówienia. Jednak Stanisław August odparł, że tego uczynić nie może, gdyż posłowie są wolnymi ludźmi. Wtedy rosyjski poseł otoczył Zamek Grodzieński wojskiem. Wycelował armaty. Do środka weszli rosyjscy żołnierze i usiedli pomiędzy polskim posłami. Mijały kolejne minuty i godziny.

Na zamek przybył sam generał Rautenfeld. I to nic nie dało. Czytano ostre noty rosyjskie. Odpowiedzią była cisza. Nie działały na posłów ani słowa listów, ani ostrza bagnetów grenadierskich, ani wyloty luf armatnich. Sievers, który aresztował wcześniej czterech posłów, w jednej z not bezczelnie podkreślał, iż „podpisany nigdy nie myślał tamować wolności mówienia i głosowania".

Zapadł wieczór. Nadal wszyscy milczeli. Tam i z powrotem krążyli tylko gońcy – a to z wieściami od króla, a to od Sieversa. Ten ostatni oświadczył, że nawet gdyby z samego Petersburga przyszły rozkazy uwolnienia, on ich z sali nie puści. Ktoś chciał sesję zagaić, jednak Bogucki i Kimbar nie pozwolili – sejm trwał nadal in passivitate. Wtem poseł Raczyński wstał i najpierw usiłował złożyć protest, a potem ogłosił, że wszyscy winni „zamknąć się w absolutnem milczeniu". „Milczenie nasze wymowniejsze będzie, niżeli bezkorzystna opozycja – powiedział – będzie ono najlepszym tłomaczem uczuć naszych i położenia".

W pewnej chwili generał Rautenfeld wyszedł z ministerium, przy którym siedział, podszedł do króla i poprosił, aby ten rozkazał odczytać projekt ambasadora. Poniatowski odmówił, argumentując, że „gdzie mówić wedle przekonania zabroniono, pozostaje jedno milczenie".

Nadal więc sejm zionął grobową ciszą, w której wszystkie przeszłe wieki wielkiej Rzeczypospolitej wisieć musiały nad głowami zebranych, a na ich barkach kłaść potworny ciężar. Wreszcie zegar na ulicy wybił godzinę trzecią. Jego bicie zrobiło ogromne wrażenie na świadkach tamtych wydarzeń, gdyż pamięć tych dźwięków powtarza się echem na kartach wielu pamiętników z epoki. Być może brzmiały jak, odliczane przez szatana, ostatnie chwile naszej wolności.

Ambasador rosyjski wystosował kolejne groźby. Albo posłowie zgodzą się na rozbiór, albo nie dostaną picia ani jedzenia, będą siedzieć w zamknięciu i spać na wiechciach słomy, niczym w więzieniu. Do skutku…

I to przyjęto w milczeniu. Lecz nagle poseł Ankwicz wstał i głośno wypowiedział zdanie, które zburzyło tę ciszę – „Milczenie oznacza zgodę!".

Myśl zdradziecką szybko podchwycili Rosjanie. Marszałek Baliński zaraz zaczął podpisywać projekt. Tylko pomruk szedł od strony ław. W tym samym czasie Sievers nie mógł spać. Zapisał w swoich pamiętnikach: „Bije dwunasta w nocy. Wracam z pałacu, który dwoma batalionami otoczyć kazałem, ażeby sejm rozumu nauczyć. Musiał mnie bardzo zirytować, skorom tak daleko zaszedł. Nie skończą oni przed piątą, a jeżeli stracę turnum, to jest większość, będę ich trzymał w zamknięciu". Jeszcze tej samej nocy *słał* wzruszające listy do swoich córeczek, pisząc nawet, jak mu żal tego polskiego króla.

Co musiał czuć ów król, gdy usłyszał zdanie, które sam niedawno rzucił swoim ministrom – „milczenie oznacza zgodę", a które doprowadziło w efekcie do drugiego rozbioru i całkowitego upadku Polski?

Sejm grodzieński stał się kolejnym symbolem hańby i upadku Rzeczypospolitej. Jak jego niechlubny poprzednik z roku 1717, który

zwany był sejmem niemym (zresztą winien być nazwany podobnie, może sejmem „milczącym”). Prawdziwym zwycięstwem Rosjan było to, iż „oficjalnie” to nie oni nam zabrali Polskę. To polski sejm, sam przez własną uchwałę, zrzekł się swojego państwa, swojego narodu, swoich miasteczek i wsi, swoich kościołów i śpiących tej nocy w swoich domach rodzin i oddał je obcym. Ot tak… W ciszy.

Ponura symbolika robi wielkie wrażenie. Rosyjscy grenadierzy siedzący wśród posłów, a z drugiej strony kłamliwe słowa o „wolności mówienia”. A jaką dzisiaj mamy „wolność mówienia” w naszym sejmie? Gdy mówić wolno tylko w ten sposób, jaki się podoba rządzącym. Kto się sprzeciwia – w tego są wymierzane armaty mainstreamowych mediów. Ten jest niszczony i poniewierany. Jego jedyną odpowiedzią może być – wymuszone milczenie.

Oficjalnym wrogiem obozu rządzącego jest obecnie polska opozycja demokratyczna. Zaś w sprawach dotyczących śmierci polskiego prezydenta na rosyjskim terytorium polski rząd trzyma stronę moskiewską. To znaczy – ważniejsze są dla niego dobre stosunki z Moskwą niż jakiekolwiek podstawowe poczucie obowiązku wobec Rodaków i Ojczyzny.

Jeśli ktoś ośmiela się nazywać rzeczy po imieniu i żąda podejmowania dalszych działań w sprawie wyjaśnienia przyczyn tragedii – jest siłą spychany w niebyt. Ma milczeć. Z tego względu naukowcy są nazywani „politykami”, zaś nikt nie chce na poważnie analizować wyników ich badań. Z tego względu „programowo” opluwa się tych, którzy do tej prawdy o Smoleńsku ciągle dążą. „Po co w ogóle się wypowiadają?”.

Szczęściem są Polacy, którzy nie w prometejskim milczeniu zatrzymują się, lecz mimo gróźb tę część dziedzictwa tytanicznego kontynuują, by nadal działać w imię Prawdy. I odważnie ją głoszą. Gdyż milczenie tchórzliwe, milczenie haniebne przełamać trzeba słowem.

Sledząc źródła z okresu sejmu w Grodnie A.D. 1793 natrafiam na jeszcze jedną relację. To zapiski polskiego poety i pisarza Franciszka Karpińskiego. Już po podpisaniu traktatu rozbiorowego Sievers udał się na bal do Antoniego Pułaskiego, zastępcy–marszałka konfederacji targowickiej. Ten na Horodnicy wydał bal, na którym było „ogromne oświetlenie, fajerwerk, cyfra J.S. i wieczerza” (relacja Sieversa).

W tym samym momencie, w pokoju przyległym do sali balowej przebywa Karpiński, który odgłosów zabawy nasłuchuje. Tak to zapisał: „O ścianę sali, gdzie całą noc tańcowano, ja nocowałem. Oni tam śpiewali i tańcowali, a ja to słysząc – płakałem…”.

Przyznam się państwu, że gdy to przeczytałem, musiałem odłożyć książkę. Tak mną wstrząsnęły te słowa. Dopiero co, na mszach niedzielnych, śpiewałem z rodziną piękną kolędę polską do jego słów –

„Podnieś rękę, Boże dziecię, błogosław Ojczyznę miłą”. Autor pieśni nabożnej „Bóg się rodzi” napisał w niej prośbę, by Pan błogosławił „wszystkie wioski z miastami”. W roku 1793 w Grodnie był świadkiem tego, jak „wioski z miastami” zostały oddane Rosjanom. A potem, gdy u Pułaskiego trwał bal i słychać było piski panien, śmiechy mężczyzn i wesołą muzykę, poeta ronił w milczeniu łzy. Z twarzą Stańczyka, który siedzi ponuro, gdy tańczą, mimo wieści o upadku Smoleńska…

Nadchodzący Wielki Post to – jak mówią kaznodzieje – okres skupienia i modlitwy. Uczy on, że milczeniu można nadać jeszcze wyższy sens i wymiar. Tomasz *a* Kempis w swoim poradniku życia duchowego napisał: „Strzeż się, jak tylko możesz, ludzkiego zgiełku, bardzo bowiem szkodzi gadanie o sprawach błahych, nawet gdyby wypływało z najlepszych intencji. Szybko owieje nas pustka i schwyta w swe sidła. Jakże często wolałbym milczeć i nie przebywać wśród ludzi” (tłum. A. Kamieńska).

[Gazeta Polska, nr 07/2013]

RZYMSKA WIGILIA Z MICKIEWICZEM

WIGILIA roku 1829 na via Mercede, niewielkiej rzymskiej uliczce, była szczególna. Wśród Polaków składających sobie życzenia był jeden, który miał powód do świętowania w wymiarze potrójnym. Bowiem właśnie w wigilię Narodzin Pańskich on sam przyszedł na świat w małym szlacheckim dworku pod Nowogródkiem. Wreszcie – miał na imię Adam, więc był to także dzień jego imienin. Na owej wieczerzy wzbudzał szczególne zainteresowanie zgromadzonych, gdyż już wtedy ciągnęła się za nim sława geniusza poezji polskiej.

Antoni Edward Odyniec w jednym ze swoich listów z podróży tak opisał tę wigilię, którą spędzał w Wiecznym Mieście razem z Mickiewiczem: „Uczta była całkiem po polsku. Stół był nakryty na sianie, nad nim w środku kręciła się gwiazda z opłatków. Od dwóch zup: grzybowej i migdałowej, aż do śliżyków, grochu i pszenicy z sytą, żadnej z potraw obrzędowych nie zabrakło. Adam jadł wszystkie i unosił się nad nimi, jak drudzy goście nad morskimi rybami. Osób było jak raz dwanaście".

Tu Odyniec wymienił wszystkich obecnych, w tym dwóch księży – Zajączkowskiego i Parczewskiego. Potem przytoczył toasty na cześć solenizanta. Mickiewicz był promienny i szczęśliwy. Mówił, że się „czuje odmłodzony o lat sześć, to jest o całą przeszłość po wyjeździe z Wilna". Zaczęto grać kolędy, m.in. *Anioł pasterzom mówił.* Żadna z panien zaśpiewać ponoć nie umiała, lecz jak pisał Odyniec w liście do Juliana Korsaka – „Adam tak je z tego względu zawstydzał, że obie przyrzekły poprawę". Można z tego wywnioskować, że nasz wieszcz śpiewał z innymi, a być może wzrok zachwyconych panien był mu pochlebstwem i zachętą. Gdybyż wtedy istniał fonograf umożliwiający zapis dźwięków – jaki byłby to niezwykły dar dla potomnych: płyta z wyrytym igłą głosem wieszcza śpiewającego *Anioł pasterzom mówił.*

Po wspólnych śpiewach zaczęły się rozmowy „o różnych przypomnieniach, przygodach i anegdotach odnoszących się do dnia Wigilii u nas, w której solenizant prym trzymał".

W końcu nadszedł czas udania się na pasterkę. Ruszyli wszyscy do bazyliki Santa Maria Maggiore. Z via Mercede na Eskwilin jest

spory kawałek do przejścia. Odyniec nie opisał tej drogi, lecz można sobie wyobrazić, jak idą ulicą Czterech Fontann. Wiemy jednak, gdyż to przyjaciel wieszcza zaznaczył we wspomnieniu, jaka była pogoda. Zupełnie nie polska i nie wileńska, przynajmniej jeśli chodzi o tę porę roku. Lało. Część dam została w domu Ankwiczów. Reszta szła piechotą „brnąc literalnie po wodzie i błocie".

Dlaczego wybrali się właśnie tam ? Otóż w owej świątyni znajduje się niezwykła relikwia – szczątki żłóbka Jezusowego. Nawet dzisiaj robią one niezwykłe, zapierające dech w piersiach wrażenie. „Cztery szczątki spróchniałego już, jak widać, drewna, zamknięte w kryształowym pokryciu i złożone w zagłębieniu wspaniałej bocznej kaplicy" znajdują się poniżej poziomu świątyni, obok grobowców papieży – Sykstusa V i Piusa V.

Santa Maria Maggiore. Być może gdy Mickiewicz stanął przed bazyliką, osłonił głowę od zimnego deszczu i przypominał sobie wigilie wileńskie? Pełne skrzypiącego pod nogami śniegu, dzwonków zajeżdżających sań, przytupywań ludzi otrzepujących buty w przedsionku kościoła. Santa Maria… Matka Boża…

Słynne wersy, wyryte w duszy każdego Polaka, jeszcze wtedy nie powstały. Dopiero miały nadejść:

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono…

Chcę wierzyć, gdy spoglądam oczami wyobraźni na wieszcza stojącego przed rzymską bazyliką w tę ulewną noc, że widział on przed sobą właśnie Pannę z Ostrej Bramy. Tę, która mu życie uratowała. Tę, która ma moc ozdrowieńczą. I dla każdego człowieka. I dla całego narodu.

Historię cudu dokonanego w dzieciństwie za wstawiennictwem Maryi Mickiewicz opowiedział Odyńcowi, gdy wybrali się razem w Alpy, a tam po raz kolejny uniknął tragedii. W trakcie wspinaczki po skałach sterczących nad doliną Renu, zaczęli się bawić ciskając w dół wielkie kamienie. Adam postanowił pchnąć do wody olbrzymi głaz. Jakby wrzucał mitycznego stwora. Podważali go laskami. Nagle skała obruszyła się, a poeta stracił równowagę i poleciał w przepaść. Ody-

niec sądził, że to koniec. Na szczęście Mickiewicz w ostatniej chwili chwycił się jakiegoś drzewa. Ta sytuacja natchnęła ich do wspomnień. Obaj doszli do wniosku, że Anioły Stróże naprawdę istnieją. Zaś szczególną opiekę nad ludźmi roztacza Matka Boża. I wtedy właśnie wieszcz opisał przyjacielowi, jak będąc kilkuletnim chłopcem, wypadł z okna, stracił przytomność i wydawało się wszystkim, że umrze. Wtedy „Matka porwała go na ręce i rzuciwszy się na kolana, ofiarowała go do Najświętszej Panny. W tejże chwili otworzył oczy i od razu powrócił do zdrowia".

To właśnie była – owa znana nam z inwokacji „martwa podniesiona powieka".

Siedzieli razem, patrząc na spieniony Ren, na którego dnie spoczywało już może złoto Nibelunga, a pośród szumu wody i pohukiwań wiatru snuła się opowieść o matczynej modlitwie. Mickiewiczowi groźny nurt rzeki przypomniał jeszcze jedną historię – „Drugi raz, mieszkając w Kownie, kąpał się w Niemnie i przepłynął na drugi brzeg rzeki, ale wracając w pół drogi, na największej głębinie, napadł go kurcz i takie osłabienie, że już czuł, iż musi utonąć. W tej chwili przypomniał matkę i polecił się sam Najświętszej Pannie". Odyniec przytoczył dalej wspomnienie Adama o zakończeniu tej historii – gdy poeta doszedł do siebie, stał na brzegu, i nie wiedział zupełnie, jak się tam znalazł. Wydarzenie to wstrząsnęło jego duszą.

Wierzył również, że Matka Boża ma dla Polaków znaczenie szczególne. I że do niej winniśmy się zwracać z prośbą o uzdrowienia i opiekę. Także wtedy, gdy nie tylko o zdrowie fizyczne chodzi, lecz także – a może przede wszystkim – o duchowe. Bo tylko Ona może nas… uzdrowić.

Mickiewicz rozwija nić, którą już dawno przeszłość Polski napięła. Matka Boża była na sztandarach konfederatów barskich, na Jasnej Górze dawała siłę obrońcom stawiającym opór wojskom szwedzkim i jej ślubował Jan Kazimierz. Nić miała się prząść dalej.

Maryja była obecna i w powstaniach naszych, gdyśmy pod jej portretami i figurami modlili się za ojczyznę. Była z nami w kościołach, celach Pawilonu X na Cytadeli i w kopalniach Nierczyńska. Wiele Jej niezwykłych wizerunków pokochaliśmy. Lecz dwa z nich zawsze będą szczególne. Ten Częstochowskiej, i ten z Ostrej Bramy.

Kardynał Wyszyński wspominał: „A w domu nad moim łóżkiem wisiały dwa obrazy: Matki Bożej Częstochowskiej i Matki Bożej Ostrobramskiej. I chociaż w onym czasie do modlitwy skłonny nie byłem, zawsze cierpiąc na kolana, zwłaszcza w czasie wieczornego różańca, jaki był zwyczajem naszego domu, to jednak po obudzeniu się długo przyglądałem się tej Czarnej Pani i tej Białej".

Ta wileńska była Mickiewiczowi bliższa w sposób naturalny. Do niej poszedł na piechotę, będąc jeszcze dzieckiem, aby podziękować za ocalenie życia.

W przewodniku po Wilnie wydanym przez Kirkora w roku 1862 znajduje się taki opis: „Podczas założenia kościoła Św. Teresy w 1626 roku obraz Najświętszej Marii Panny znajdował się w głębi muru, na kształt framugi, na bramie i zasłaniał się drewnianymi drzwiczkami, wejście ku niemu było bardzo wąskie, po niezmiernie ciemnych schodkach". Dalej przewodnik mówi o przeniesieniu wizerunku do kaplicy drewnianej. A w końcu dobudowali w obecnym kształcie, którą wzniesiono w roku 1829. Wtedy już wokół obrazu znajdowało się wiele darów wotywnych. W lecie otwierano duże okna, aby wszyscy mogli zobaczyć piękną Panienkę i się przed nią pokłonić. Natomiast „nad środkowem oknem i po bokach błyszczy ułożony z bujnych, mosiężnych wyzłacanych głosek napis – *Matko Miłosierdzia! Pod Twoję obronę uciekamy się!".*

W tym, jak i w następnym wydaniu przewodnika w treść ingerowała carska cenzura. Dlatego nie napisano, co się stało z tymi słowami. Tę wiadomość znaleźć można dopiero w przewodniku wydanym w roku 1923, już po odzyskaniu niepodległości. Otóż kat Litwy z okresu Powstania Styczniowego Murawiew „Wieszatiel", kazał je usunąć, a zamiast nich wmurować łacińskie. Gdy czyta się o tym. nie sposób nie zwrócić uwagi na to, jak i dzisiaj manipuluje się słowem – choćby wpisując w stenogramy z czarnych skrzynek wyrazy, których nigdy tam nie było. Metody tego typu ciągle funkcjonują i mają się dobrze.

W każdym razie, w tymże przewodniku znaleźć można także informacje o tym, że w październiku 1923 roku, z okazji przyjazdu do Wilna Prezydenta Rzeczypospolitej, wnękę nad bramą „wypełniono wielkim Orłem Polskim".

Kiedy polskie wojsko weszło do Wilna w roku 1919 odbyła się wielka, uroczysta msza święta w katedrze. Jednak Marszałek Piłsudski poprosił, aby zorganizować też nabożeństwo przed kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej. Celebrował je ksiądz Oleszczyk, przemawiając z balkonu w Ostrej Bramie. Tak ten szczególny moment zapamiętał Tadeusz Święcicki: „…z dołu odpowiadał mu tylko szloch tłumu klęczącego na ulicy. Spojrzałem na Komendanta. Stał twarzą zwrócony do obrazu, oparty na szabli, nąsrożony, i spod nasrożonych brwi ciężka łza spływała mu na rzęsy. Śmigły, stojący za nim, jakby miał jakiś nerwowy tik na twarzy, a Belina beczał po prostu jak smarkacz".

Cytuję to za stenogramem wykładu profesora Jędrzejewicza, który odbył się w Londynie w czasie, gdy u nas trwał stan wojenny. Ta łza Piłsudskiego wbiła się, wwierciła w bruk, roztrzaskała czas i prze-

strzeń, i dotarła do tych trudnych lat Solidarności. I dała nową siłę. Łza spod Ostrej Bramy, która być może spadła dokładnie w to miejsce, gdzie Adaś Mickiewicz uklęknął, by podziękować za swe ocalenie.

Profesor Jędrzejewicz mówił we wspomnianym wykładzie o tym, że Piłsudski przejawiał szczególny kult Matki Boskiej Ostrobramskiej. Tego dnia właśnie, gdy płakał przed jej obrazem umieszczono pod jej wizerunkiem tabliczkę wotywną z napisem „Dziękuję Ci Matko za Wilno". Obrazek z wileńską Panienką z Ostrej Bramy wisiał zawsze nad jego łóżkiem, nosił go także przy sobie. I zabrał też w tę najdłuższą podróż.

Kiedy nasz wieszcz jechał z Nowogródka do Wilna, by rozpocząć studia, wśród żydowskich współpasażerów znalazł się również pewien stary „szene–morejna" o imieniu… Jankiel. Młody poeta wiózł ze sobą jedenaście dukatów w złocie, w tym jeden z wizerunkiem Najświętszej Panienki. Tak się obawiał zbójeckich ataków, o jakich mu opowiadano, że na kolanach cały czas trzymał pistolet. Bardzo to denerwowało pozostałych. W końcu Jankiel pokazał mu własną sakwę pełną monet i wyjaśnił, że gdyby chciał go napaść, mając samemu wiele pieniędzy, byłoby to po prostu niezbyt roztropne – ryzykowałby zsyłkę i utratę tego, co sam posiadał. Adam schował pistolet. Moneta z Matką Bożą i pozostałych jedenaście było bezpiecznych. Jankiel zaczął mu opowiadać przeróżne historie, udzielając rad, przestróg i dzieląc się żydowską mądrością. Mickiewicz dojechał do Wilna bardzo poruszony. Gdy przechodził przez Ostrą Bramę, trafił na nieszpory. Tak to opisuje Odyniec: „Matka zleciła mu przed wyjazdem, aby naprzód tam poszedł i dał na mszę świętą. Ukląkł więc pod filarami i zaczął się modlić, a przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnymi rozpłakał. Ale właśnie te łzy i modlitwa taką go w końcu napełniły pociechą, jak gdyby w samym sobie posłyszał zapewnienie, że go Najświętsza Matka przyjmuje w opiekę".

Owej nocy grudniowej w Rzymie padał deszcz . W Polsce zbliżał się moment wybuchu powstania. Mickiewicz spotkał się już z Goethem. Miał jego wystrzępione pióro. I papier ze złotym brzegiem. W bazylice Santa Maria Maggiore zgromadziły się tłumy. W uroczystej procesji szli szwajcarzy papiescy, niosąc relikwię żłóbka. Potem ustawili je w bocznej kaplicy, by niepozorne deszczułki mogli kontemplować wierni. Z daleka dochodził grzmot dział strzelających na zamku Swiętego Anioła. Mickiewicz patrzył na rzymski przepych i być może jego myśl biegła do skromnej kaplicy nad wileńską bramą. Do cichej Matki. Bliskiej. Czułej. I co rzadko spotykane – bez Syna przytulonego do piersi. Dłonie splecione nad półksiężycem są puste.

Gdzie jest On? Gdzież Synek? Jej twarz – podobno oblicze Barbary Radziwiłłówny – jest smutna. Bolesna.

To ta nasza Matka, która towarzyszyła wygnańcom na Syberii. Ta sama, którą ściskały dłonie ludzi jadących w kibitkach. Ta sama wreszcie, która w katyńskim lesie brała w delikatne dłonie głowę polskiego żołnierza zabitego rosyjską kulą i przytulała do siebie. Ta sama, której obrazki były w portfelach i kieszeniach delegacji lecącej do Smoleńska w roku 2010.

To jej łza leciała z nieba. Padała na twarz Mickiewicza owej wigilii rzymskiej przed bazyliką Santa Maria Maggiore. Padała z wąsów Piłsudskiego na bruk. I wreszcie spadła na smoleńskie błoto.

[wSieci, nr 50–51/2013]

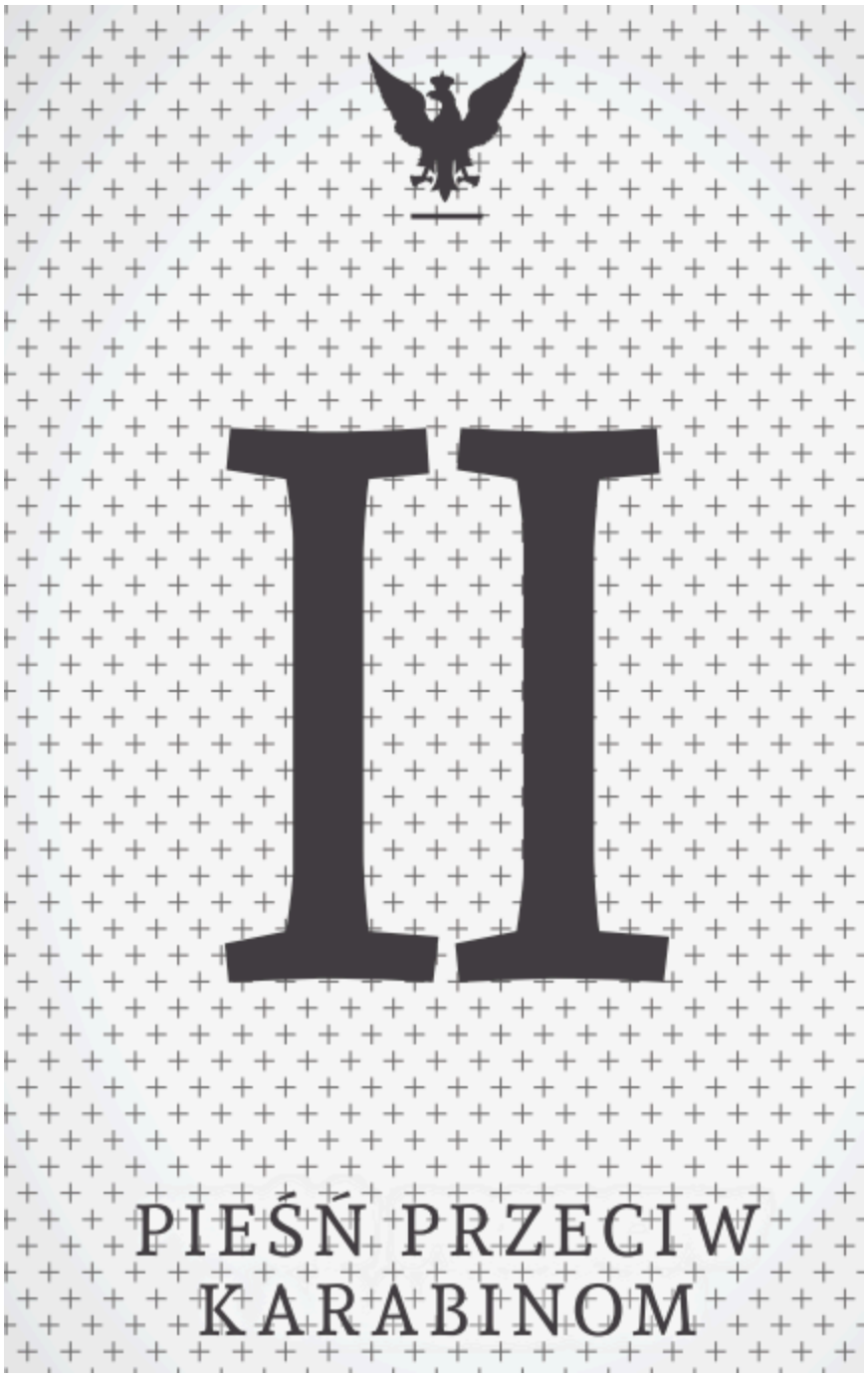

II

PIEŚŃ PRZECIW KARABINOM

BOŻE, COŚ POLSKĘ – PIEŚŃ PRZECIWKO KARABINOM

JAKŻE łatwo po 150 latach przychodzą sądy o tym, co zdarzyło się tej styczniowej Nocy w 1863 roku. Z perspektywy tak długiego czasu wydaje się, że można ocenić wydane decyzje, poddać je krytyce bądź bezrefleksyjnej apoteozie. Wybuch Powstania Styczniowego, oglądany z pozycji szkolnego „bryka" jawi się, jako bezrozumne szaleństwo – oto grupa „wariatów" namawia całe tysiące bezbronnych ludzi, by popędzili do lasów i nieuzbrojeni prowadzili przez półtora roku wykrwawiającą walkę z całym Imperium Rosyjskim. I tak często jest współcześnie pokazywane.

O tej trzeciej „dużej" insurekcji (wymawianej jednym tchem razem z kościuszkowską i listopadową) na ogół wie się bardzo mało. Nawet data 22 stycznia 1863 większości Polaków jest nieznana. Zwykle wiedza ogranicza się do stwierdzeń typu, że było to takie „leśne powstanie", że „Traugutt" i że potem straszne „represje" oraz „rusyfikacja". Ale za tym brakiem wiadomości idzie – jednocześnie – częste przekonanie co do słuszności lub też braku słuszności decyzji o wybuchu. Co drugi rodak lubi więc zapalczywie wziąć udział w dyskusji na temat powstania, o którym… nie wie prawie nic.

Tymczasem fakt, że doszło do tej – rzeczywiście rozpaczliwej, prowadzonej przy prawie zerowych szansach militarnych – walki, jest nie tylko kwestią decyzji jakiejś grupki ludzi konstytuującej Komitet Miejski, Komitet Centralny Narodowy, czy wreszcie (utworzony 22 stycznia 1863) Tymczasowy Rząd Narodowy, lecz ogromnej, narastającej serii wypadków, następujących po sobie zdarzeń, które doprowadziły do takiego ciśnienia, że musiało skutkować to krwawą erupcją.

Warto spróbować przyjrzeć się choć części wydarzeń, aby mieć obraz owych kilku lat poprzedzających Tę Noc. Oto garść takich historycznych, przedpowstańczych „impresji"…

ROK 1854

Pod koniec epoki paskiewiczowskiej Agaton Giller, późniejszy członek powstańczego rządu, zostaje skazany na katorgę w batalionach kar-

nych. W drogę na wschodnią Syberię, która miała trwać szesnaście miesięcy, rusza na piechotę (nie był szlachcicem, ci mieli „przywilej" kibitki) i pokonuje ją przykuty łańcuchem do długiego drąga. W trakcie marszu milczy – mówienie po polsku jest zakazane. Ale i tak jest karany przy byle okazji, wielokrotnie bity. Dopiero, gdy nogi ma tak pokaleczone, że nie jest już w stanie iść, dostaje pozwolenie jazdy na wózku. Gdy opuchlizna znika, musi znów iść na piechotę. Czasem widzi tych aresztantów, którzy zostali pomiędzy etapami – martwi, pośród śniegów.

Jak wyglądali polscy skazańcy? Mieli wygolone do łysego głowy, ciężkie kajdany na nogach, w pasie stalowe obręcze, które służyły do tego, by nocą, na czas snu, przykuwać ich do muru. To jest jeden z obrazów, który wyobraźnia może przywołać, gdy mówi się o „nocy paskiewiczowskiej". Ta „noc knuta" wyprzedzała tę powstańczą i stanowiła jedną z jej przyczyn.

Agaton Giller był zwolennikiem powstania dobrze przygotowanego i namawiał swoich kolegów z Komitetu Centralnego, by czekać na odpowiedni czas, zbierać siły i środki. Gdy nastąpiły wypadki styczniowe, Giller był przekonany, że tak prędki wybuch insurekcji jest robotą Rosjan, którzy wiedzieli, że w ten sposób nie wyrządzi im ono krzywdy.

Giller idący na zesłanie, przykuty do drąga jak zwierzę – warto mieć ten obraz w pamięci, by w odpowiednim wymiarze spoglądać na czas, który nastał w Polsce po Powstaniu Listopadowym.

ROK 1856

26 maja, dziesiąta wieczorem. Cała Warszawa pełna napięcia. Ulice pełne ludzi. Okna i balkony udekorowane. Damy w najwspanialszych sukniach. Szlachta – w mundurach obywatelskich. Jadą powozy. Orkiestra gra hymn cesarski, a potem polonez Kurpińskiego „Witaj królu polskiej ziemi". Z eleganckiej landary wysiada car. Nowy polski król. Aleksander II. Pięknie wygląda w świetle kandelabrów jego granatowy mundur pułku ułanów gwardii, z amarantowymi wyłogami i srebrnymi szlifami. Kiedy wchodzi po schodach na uroczysty bal, wszystkie spojrzenia biegną w jego stronę. Jest w tych spojrzeniach radosne oczekiwanie. Po czarnej, smutnej epoce Mikołajewskiej ma nastąpić dla Polski nowy czas. Trwa tzw. odwilż posewastopolska. Wszyscy oczekują, że nowy władca będzie spoglądał na sarmatów dużo łaskawszym okiem. Że może w końcu zaczną być spełniane obietnice… Aleksander Mikołajewicz wchodzi na taras. Wzniesiony zostaje toast na jego cześć. Rozpoczyna się oszałamiający bal.

Jednak już następnego dnia w Belwederze Wszechwładca Rosji i Król Polski stwierdza, patrząc zimno na swoich polskich poddanych,

że co prawda przybywa „pełen dobrych zamiarów", lecz zamierza kontynuować politykę swojego papy. „Co mój ojciec uczynił, dobrze uczynił i ja to podtrzymam" – mówi. W swojej przemowie rzuca też dwa słowa francuskie, które stają się zimną klamrą dla wszelkich wcześniejszych, radosnych przypuszczeń: „point de reveries, messieurs" („żadnych marzeń, panowie"). I te dwa słowa – „żadnych marzeń" są powtarzane z ust do ust. Oznaczają, że car nie będzie tolerował żadnych polskich patriotycznych „wyskoków".

ROK 1860 – CZERWIEC

Pierwszym takim „wyskokiem", cztery lata później, staje się manifestacja, w jaką przeradza się pogrzeb generałowej Sowińskiej. Trumnę ze zwłokami małżonki słynnego generała wynoszą z domu studenci i niosą na ramionach aż na cmentarz ewangelicki. Towarzyszy im kilkunastotysięczny kondukt. Manifestacja odbywa się w czasie, gdy na południu Italii trwa zwycięski pochód Garibaldiego. Włoch, wraz z garstką swoich ludzi, wykorzystując europejskie napięcie polityczno–wojenne, wyrąbuje właśnie niepodległość i zjednoczenie Italii. I pokazuje, że nastał czas, w którym wszystko jest możliwe! I rzeczywiście Włosi już w następnym roku mają swoje wolne państwo. O tym się mówi, czyta, pisze, dyskutuje na ulicach, w barach i traktierniach…

ROK 1860 – PAŹDZIERNIK

Gdy car Aleksander II przyjeżdża po raz kolejny do stolicy Królestwa na tzw. zjazd trzech monarchów miasto wygląda już inaczej. Nie ma takich tłumów wiwatujących na ulicach. Nie widać iluminowanych balkonów. Zamiast tego na ulicach ktoś rozrzuca ulotki, w których pojawiają się takie słowa, jak „tyrani", czy „sępy". Na plakatach reklamujących balet „Robert i Bernard – dwaj złodzieje" ktoś skreśla słowo dwaj i wpisuje „trzej". Uroczysty bal na zamku tym razem zostaje przez Polki zbojkotowany.

29 LISTOPADA 1860

Równa rocznica wybuchu Powstania Listopadowego. Przed kościołem karmelickim na Lesznie zbierają się tłumy. To ten sam kościół, który po II WS przesunięto o kilkadziesiąt metrów, robiąc miejsce dla obecnej al. Solidarności (stąd nazwa „kościół przesuwny"). Przed jego wejściem możemy podziwiać dziś piękną figurę Matki Bożej. Jest to najprawdopodobniej ta sama figura, pod którą modlono się wieczorem 153 lata temu. Kiedy niedawno oglądałem tę rzeźbę, odnalazłem wykutą w kamieniu datę ustawienia Madonny –1859 rok.

29 listopada 1860 roku dzieje się coś, co uruchamia dalszą, niezwykłą lawinę wypadków duchowych. Coś na kształt wyzwoleńczego „cudu". Wtedy podpala się narodowy „lont".

Oto miała się odbyć uroczysta msza św. w intencji Ojczyzny. Aby zaś ukryć prawdziwy cel – ogłoszono, że będzie sprawowana za dusze ś.p. „Adama, Juliusza i Zygmunta", czyli naszych wieszczy. Nikt się nie mógł przyczepić, a każdy doskonale wiedział, że chodzi o Polskę, ukrytą pod imionami poetów.

Głównymi organizatorami byli członkowie koła Janowskiego, a stawili się licznie studenci ze Szkoły Sztuk Pięknych i Akademii Medyko–Chirurgicznej. Wieczorem zgromadziły się tłumy. Wśród ludzi rozdawano ulotki z wizerunkami Kościuszki i Kilińskiego oraz napisem „Na pamiątkę obchodzonej razem z rzemieślnikami rocznicy rewolucji dnia 29 listopada". Pod figurą Matki Bożej paliły się świece. Rozpoczęły się modlitwy i śpiewy. W pewnym momencie student Szkoły Sztuk Pięknych, Karol Nowakowski, dysponujący silnym quasi–operowym głosem zaczął śpiewać suplikację. „Od powietrza, głodu, ognia, **niewoli,** zachowaj nas Panie" oraz „Abyś nam Ojczyznę wrócić raczył…". I mimo tego, że była słota, że na Lesznie kałuże i błoto, ludzie zaczęli klękać. Mieli łzy w oczach. Śpiewali wszyscy. A potem Karol Nowakowski zaintonował pieśń, której jeszcze warszawiacy nie znali. „Boże, coś Polskę.". Ułożony dużo wcześniej lojalistyczny hymn Felińskiego teraz kończył się inaczej: „Ojczyznę, **wolność** racz nam wrócić Panie!" (obecnie śpiewa się wersję „Ojczyznę wolną"). Wszyscy tę pieśń podchwycili. Jak to opisywał Janowski „tłum przyciągnięty tą pieśnią i coraz więcej rosnący, na kolanach, na bruku błotem okrytym, całą wielką przestrzeń ulicy zalegający, w najwyższym uniesieniu, porwany uczuciem, łkający, wznosił błagalną modlitwę: Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!".

Było to dla wielu ludzi przeżycie olbrzymie, niezwykłe, cudowne. I chociaż żaden historyk w tym miejscu nie postawi takiego wykrzyknika, nie stwierdzi, że ten moment był chwilą, w której „stało się", w której w pewnym sensie już rozpoczęło się powstanie, to jednak. Taki wykrzyknik można postawić, jeśli popatrzeć na historię sercem, jeśli zrozumieć, że dzieje ojczyste to nie tylko ciąg faktów i suchych zdarzeń, lecz także rozwój ducha, przepływ sił niezwykłych, ponad fizycznych, które potrafią się wzbudzić i dawać ludziom napęd do czynienia rzeczy niezwykłych. Nieprawdopodobnych. Do unoszenia się ponad własną słabość, niezdolność, ułomność. Do czerpania wielkiej mocy z Bożej łaski. I z miłości. Do tego kraju. Do jego przeszłości. Do wiary w jego przyszłość.

Dlaczego stawiać ten wykrzyknik właśnie wtedy? Bo śpiew, głośny śpiew, który wydobył się sprzed kościoła karmelickiego na Lesznie

poniósł się daleko w miasto i… nie wzbudził reakcji Moskali. Okazali się nagle bezradni. Nie wiedzieli, co można zrobić z pieśnią. Aresztować?…

Ten hymn, „Boże, coś Polskę" śpiewany w trakcie mszy, przed figurą Matki Bożej skąpanej blaskiem mrugających świec, wśród tych tłumów, wśród uniesionych twarzy, stał się zarzewiem, iskrą. Pobudził wśród ludzi jakieś emocje niezwykłe. One nie są „historyczne". Ale są „wyobrażalne"… Nawet dla nas, dzisiaj, gdy i nam zdarza się klęczeć na bruku warszawskim. Gdy i nam zdarza się patrzeć na świece ustawiane na ulicy.

Tego wieczora ludzie ruszyli z Leszna w stronę Starego Miasta. Obserwujący wszystko oberpolicmajster Trepow nie wiedział, co czynić. Może tylko ścierał pot z czoła. Nie wiadomo, co myślał, gdy niedaleko jego dorożki, w której siedział skulony, Polacy śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła.". Bowiem i tę pieśń legionową słychać było owej niezwykłej nocy na Starówce. Być może słyszał ją także kryjący się za murami Zamku Królewskiego namiestnik o opadających wiecznie powiekach, książę Michaił Gorczakow.

25 LUTEGO 1861

Na ten dzień zapowiadano olbrzymią manifestację patriotyczną, której celem miało być uczczenie równej rocznicy bitwy pod Olszynką Grochowską. Na drugi brzeg Wisły miały się przeprawiać ogromne tłumy. W tym samym czasie w Pałacu Radziwiłłowskim (Namiestnikowskim) zgromadziła się szlachta, która przybyła z całego kraju na zjazd Towarzystwa Rolniczego. Pod przewodnictwem Andrzeja hr. Zamoyskiego miano radzić na temat uwłaszczenia bądź oczynszowania chłopów.

Gdy namiestnik polskiego króla (czyli cara), książę Michaił Dymitrowicz Gorczakow dowiedział się o planowanej akcji upamiętniającej bitwę z 1831 roku, wpadł w popłoch. Słał nawet rozpaczliwe telegramy do Petersburga, na które Aleksander odpowiedział, żeby w tym samym czasie, gdy Polacy będą czcili swoje ofiary, Rosjanie „uczcili swoich".

Moskale wpadli też na bardzo prosty pomysł. Zdjęli z Wisły jedyną istniejącą wtedy przeprawę na praski brzeg (most Kierbedzia jeszcze nie był ukończony) pod pretekstem odwilży i schodzącej kry. W ten sposób uniemożliwili przedostanie się tłumów na Grochów. Jednak tym samym „zatkali ujście pary". Zamiast na drugi brzeg, mieszkańcy Warszawy udali się na Stare Miasto. Zgromadziwszy się w okolicach ulicy Gołębiej i Freta, przed kościołem oo. Paulinów, wyciągnęli sztandary (przywiezione w ukryciu na miejsce) i rozpoczęli wielką patriotyczno–religijną manifestację. Idąc ze śpiewem na ustach dotarli

do rynku. Nad ich głowami powiewały chorągwie z Orłem i Pogonią, niewielkie flagi w barwach narodowych, migotały płomienie pochodni.

„Święty Boże, Święty Mocny…" i „Boże, coś Polskę" – znów śpiew prowadził Polaków. Szedł głośny, daleki, potężny. Leciał w stronę Zamku Królewskiego, gdzie rezydował Gorczakow. Tego carskiego namiestnika opisał rosyjski historyk powstania Mikołaj Berg, który dzieje naszego zrywu spisywał na świeżo, tuż po jego wygaśnięciu, korzystając z archiwów Moskali – Gorczakow w jego opisie był człowiekiem słabym, niepewnym, niemającym swojego zdania. Zza okien swojego gabinetu patrzył na plac Zamkowy, jak zwierz ukryty w norze. Był zdenerwowany. Nie wiedział, co robić. W końcu wysłał na rynek oberpolicmajstra Teodora (Fiodora) Trepowa. Ten w asyście policji i żandarmów pojechał do polskich demonstrantów. Powitały go krzyki i gwizdy. Oberpolicmajster zeskoczył z bryczki i zaczął nawoływać do rozejścia się. W końcu podbiegł do młodych ludzi i próbował wyrwać im patriotyczny sztandar. Wtedy dostał od jednego z nich w gębę. To po tym uderzeniu warszawiacy ułożyli wierszyk „Na Starym Mieście przy wodotrysku / Teodor Trepow dostał po pysku". Wycofał się wściekły. Był zmierzch. Płonęło coraz więcej pochodni. Ludzie zaczęli wpadać w ekstazę – płakali, śpiewali pieśni, modlili się.

I wtedy rozpoczęła się szarża. Żandarmi konni dobyli szabel i ruszyli na tłum. Rozległy się przerażone krzyki. Wybuchła panika. Część ludzi uciekała, inni próbowali się bić. Żandarmi mieli jedynie płazować, lecz polała się krew. Jedna z kobiet została oskalpowana. Wiele osób stratowano końskimi kopytami.

W tym czasie na salę w Pałacu Namiestnikowskim wpadł pewien ziemianin z krzykiem: „Panowie! Gdy naszych mordują, czyż spokojnie radzić będziemy o gnoju?".

Wstano z miejsc. Andrzej hr. Zamoyski powiedział z twarzą bladą jak ściana: „Obowiązkiem naszym jest tutaj pozostać…".

27 LUTEGO 1861

Znowu przed kościołem karmelickim na Lesznie zebrał się tłum. Odbywały się uroczystości żałobne za duszę Artura Zawiszy – działacza niepodległościowego powieszonego w 1833 roku. Po mszy grupa studentów postanowiła iść na Zamek, by żądać uwolnienia tych, których aresztowano dwa dni wcześniej (w tym Karola Nowakowskiego). Gdy ruszono w stronę placu Zamkowego z ust młodych ludzi zerwała się pieśń „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej.". Zaczęła gromadzić wokół siebie ludzi – jakby była tajemnym narodowym zaklęciem. Pewna dama wysiadła ze swojego powozu, odprawiając brykę do domu i zaczęła iść razem z innymi. Inne kobiety machały chustka-

mi. Ktoś podał z okna obraz Matki Bożej. W końcu tłum zaczął wypełniać Krakowskie Przedmieście i boczne uliczki.

Dlatego z koszar wyprowadzono rosyjskie wojsko.

Generał Zabołocki, widząc lecące w stronę jego żołnierzy kamienie, wydał rozkaz „Pli!" („Pal!"). Huknęły wystrzały. Kule strzaskały okna w salonie mód sióstr Kuhnke, który znajdował się w tzw. Domu Malcza – budynku wieńczącym tę część zabudowy Krakowskiego Przedmieścia, która obecnie jest dużym skwerem z pomnikiem Mickiewicza (Rosjanie wyburzyli domy w ramach represji).

Kule uderzyły też w przypadkowych przechodniów. Zginęło pięć osób. Wśród nich uczeń Gimnazjum Realnego Michał Arcichiewicz.

Dla mieszkańców Warszawy stało się to wydarzeniem wstrząsającym. Wojsko strzelało do bezbronnych cywilów. Na ulicy.

Ciało gimnazjalisty Michała zaniesiono do domu, do rodziców. A pozostałych czterech zabitych do Hotelu Europejskiego. Ułożono ich w saloniku nad cukiernią (tym, którego okna i teraz widać nad… cukiernią na rogu hotelu), na stołach bilardowych. Wtedy zrobił im słynne zdjęcia jeden ze słynnych warszawskich fotografów Karol Beyer.

W jakim stanie ducha byli mieszkańcy miasta? Ilu rannych i pobitych leczyło się w domach? O czym mówiono w polskich rodzinach? Jak patrzono na nienawistne okna Zamku?

MARZEC 1861

Po bezsennych nocach, po próbach rozmowy z namiestnikiem, w trakcie której szewc Hiszpański rzucił księciu parę ostrych słów między oczy, po gorących naradach – w wielu środowiskach patriotycznych (od tzw. czerwonych, przez „millenerów" do tzw. białych), po uchwalaniu adresu do cara, doszło w Warszawie do kolejnych wydarzeń, które odcisnęły się na atmosferze czasu. Pogrzeb Pięciu Poległych był uroczystością o niezwykłej skali. Wzięło w nim udział ponad sto tysięcy osób. W kondukcie, który ruszył sprzed kościoła św. Krzyża na Powązki szły cechy rzemieślnicze, kółka młodzieżowe, przedstawiciele nauki i kultury oraz polscy Żydzi z rabinem Meiselsem na czele. Kiedy czoło konduktu było już na cmentarzu, jego koniec znajdował się na Krakowskim Przedmieściu!

Moskale pochowali się – jak szczury – po piwnicach i dachach. Trwał wtedy tzw. polski czas (miesiąc pewnej iluzorycznej polskiej „władzy samorządowej") – na znak zgody i skruchy namiestnik zezwolił, by kwestie porządkowe załatwili Polacy. I tak się stało. To polska młodzież – studenci i gimnazjaliści, z opaskami konstabli na rękawach, utrzymywali porządek. Wiadomo było, że w tłumie będą carscy prowokatorzy, którzy udając patriotów, mogli wzniecić niepo-

koje (czyżbyśmy to znali z naszej niedawnej historii?). Jednak konstable potrafili ich wyłapać, a wszyscy uczestnicy żałobnej procesji słuchali się w niezwykle zdyscyplinowany sposób, jakby to stanowiło znak: „zobaczcie, Rosjanie, my jesteśmy w naszym, polskim mieście, możemy się naprawdę rządzić sami!".

Zakończenie pogrzebu było bardzo wzruszające – znowu zabrzmiały narodowe pieśni…

A potem, na chwilę, zajaśniała nadzieja. W trakcie tych „polskich dni" poczuliśmy się prawie jak w wolnym kraju. Co chwila odbywały się uroczyste nabożeństwa z Ojczyznę. W kościele Reformatów przy Senatorskiej chórem dyrygował Moniuszko, a śpiewał pierwszy polski tenor Dobrski. U św. Krzyża kwestowały damy z towarzystwa, a młodzież z instytutu muzycznego wykonywała Requiem. I wszędzie słychać było tę Pieśń. „Boże ,coś Polskę".

8 KWIETNIA 1861

W ten ponury dzień Pieśń zamarła na ustach. 7 kwietnia podniecony tłum pojawił się przed budynkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (obecnie to budynek obok Zachęty, na ul. Kredytowej, wtedy była to Erywańska) i podjął próbę zasłonięcia wielkiego dwugłowego orła carskiego widniejącego na balkonie nad wejściem. Próbowano zaczepić na nim Orła Białego, żeby zasłonił carskie godło, lecz to się niestety nie udało. I nasz Orzeł runął na ziemię. Potraktowano to jako zły znak.

W nocy z 7 na 8 kwietnia Aleksander hr. Wielopolski, który był zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich patriotycznych manifestacji, a o ich organizatorach wyrażał się w najgorszych słowach, postanowił ukrócić te „wyskoki". Pojechał na Zamek. Przedstawił tam przygotowaną przez siebie „ustawę o zbiegowiskach".

Jak podaje Walery Przyborowski w „Historii dwóch lat" mówiła ona, że w wypadku „nieupoważnionego zebrania na ulicy lub drodze publicznej" władza powinna trzykrotnie wezwać do rozejścia się. Gdyby to nie przyniosło skutku „po ostatnim wezwaniu, gdyby zbiegowisko trwało dalej, użyta będzie siła zbrojna". Innymi słowy Wielopolski, doskonały prawnik, doświadczony już w wielu sądowych bataliach (które prowadził także w obronie interesów majątkowych własnej rodziny), sprokurował wraz z rosyjskim oprawcą, okupantem, nocny „dekret", który pozwolił w imieniu prawa na strzelenie do bezbronnych ludzi!

Spotkanie wedle Przyborowskiego musiało wyglądać jak „w mitach greckich", gdy „w ciemnościach kuto pioruny". Prawo wymyślone przez Wielopolskiego miało też dobrą stronę, jeśli chodzi o wyrwanie oskarżanych z łap sądów wojskowych i przekazanie cywilnym. Jed-

nak podstawowy z punktu widzenia nadchodzących wydarzeń fakt pozostał niezmienny: rosyjskie strzały, które padły następnego dnia, zostały usankcjonowane przez polskiego hrabiego.

Rankiem 8 kwietnia padał śnieg. Potem szybko stopniał, lecz było przenikliwie zimno.

Wypadki potoczyły się szybko. Manifestacje wypełniły ulice Starego Miasta. Z kościoła św. Anny wyszedł kondukt pogrzebowy z ministrantem na przedzie, który trzymał w dłoniach krucyfiks. Ten krzyż został uderzony rosyjskim batem i pękł. Dlatego jednym z symboli powstania był później krzyż z odłamanym ramieniem.

Na placu Zamkowym pojawiła się masa rosyjskiego wojska. Na manifestantów szarżowały szwadrony kozaków, bijąc nahajkami i biorąc ludzi pod kopyta. W okolicy budowanej Resursy Obywatelskiej (obecnie budynek na prawo od kościoła św. Anny) leżały sterty cegieł i materiałów budowlanych. Tam barykadę zrobiła polska młodzież, odpowiadając na ataki wojska kamieniami. Generał Chrulew co i rusz podjeżdżał do okna zamkowego, w którym stał namiestnik, obserwując zajścia i dając kolejne instrukcje.

Gdy z ulicy Miodowej wyszła procesja z Karolem Nowakowskim na czele, książę Gorczakow rozkazał wziąć „śpiewaka" żywcem. Rzuciło się w jego stronę kilku żołdaków. Zaczęli atakować go kolbami karabinów. Nowakowski chwycił więc za krzyż jak za miecz i zaczął nim wywijać, broniąc się. Ten widok musiał być wyjątkowy. Niezwykły. Człowiek broniący się krzyżem przeciwko karabinom. Była w tym też wielka metafora całego przedpowstańczego ruchu. Pokojowego. Wolnościowego. Czystego. Pięknego. Pełnego Wiary. I na koniec strzaskanego karabinami… Nowakowskiego pochwycono i zaniesiono na Cytadelę. Podobno śpiewał do końca, aż zachrypł.

Na placu pojawił się herold w towarzystwie dobosza. Przy dźwięku werbla trzykrotnie wezwał tłum do rozejścia się. Nikt jednak nie znał nowego, ustanowionego w nocy prawa. Co prawda rozrzucono rankiem ulotki informujące o ustawie, lecz mało kto je przeczytał. Po spełnieniu formalności dobosz się wycofał. Wtedy zaczęto strzelać. Raz za razem. Salwa za salwą. Rota piechoty za rotą!

Rozpętało się piekło. Leżący krzyż, który upuścił Nowakowski, podniósł z ziemi młody Żyd Michał Landy. Padł przeszyty kulą. Umarł w nocy, na blacie pobliskiej apteki.

Po kolei ginęli ludzie. Kobiety. Dzieci. Młodzież. Klękano i modlono się, prosząc o Bożą opiekę w tych najgorszych chwilach. Rosjanie zabijali także i tych klęczących. Lała się krew. Wszędzie rozgrywały się dantejskie sceny. Słychać było przerażające okrzyki i ciągłe palby karabinowe.

Z przerażających obrazów, które zachowały się w relacjach z epoki – dziecko pośrodku trupów. Płaczący chłopczyk, który zgubił matkę. Lub ranny mężczyzna, który oparł się plecami o ścianę. Tylko tak mógł iść. I szedł, zostawiając za sobą na tynku długi czerwony ślad. Trupy zmarłych wlekli Rosjanie za nogi, w stronę Zamku. Głowy zabitych podskakiwały na warszawskim bruku.

Polacy doliczyli się imiennych ofiar dziewięćdziesiąt osiem. Jakże ponuro i blisko naszemu uchu brzmią te liczby.

Tablica upamiętniająca masakrę została zawieszona na placu Zamkowym gdyśmy odzyskali Niepodległość. Dzisiaj można ją zobaczyć, popękaną – w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Może kiedyś uda się ją ponownie umieścić na należnym jej miejscu?

JUŻ WYBUCHŁO…

Dalsze wydarzenia były coraz smutniejsze: w tym dramatyczne zamykanie kościołów, upamiętnione cyklem grafik przez Grottgera, modlący się ludzie, bici i wywlekani z warszawskich świątyń wprost do Cytadeli. Była też – tuż przed wybuchem powstania – branka do wojska. Miała ona, od początku do końca, tylko jeden cel – wywołanie powstania zanim będzie ono naprawdę gotowe, lub (gdyby to się nie powiodło) anihilację dziesiątków tysięcy młodych Polaków z patriotycznych domów. Branka (wymyślona przez „patriotę" Wielopolskiego) była zarządzona na noc z 14 na 15 stycznia. Wcześniej rozrzucono na ulicach ulotki podpisane przez Komitet Centralny Narodowy, informujące o tym, że jeśli branka będzie – wybuchnie powstanie. Problem był w tym, że to nie KCN wydrukował ulotki. Do dziś nie wiadomo kto. W każdym razie – wszystko stało się jasne. Powstanie I TAK MUSIAŁO wybuchnąć. Komitet Centralny Narodowy stanął przed dramatycznym wyborem – albo weźmie odpowiedzialność za wypadki, których sam nie chce wywoływać na tym etapie przygotowań, albo powstanie pozbawione jakiegokolwiek przywództwa będzie miało jeszcze gorsze skutki. Był to iście szekspirowski dramat dla jego głównych bohaterów. Zasługujący na odrębną opowieść, na którą tu już nie ma miejsca.

Jednak zatrzymujemy się na dniu 8 kwietnia 1861. Prawem wywodu o naturze eseistycznej, a nie naukowej. Bo to już wtedy „wybuchło" Powstanie Styczniowe. Lawiny wydarzeń nie można było zatrzymać…

Krew płynąca po bruku. Setki ofiar (M. Berg podaje, że było ich nawet ponad dwieście). I wrażenie, że żyje się w państwie zniewolonym przez bezrozumnych katów i oprawców. Gdy dołożyć do tego te wszystkie „drobiazgi" – ot choćby takie, jak zakaz noszenia brody, ubierania się na czarno, czy też obowiązek chodzenia z latarką po

zmierzchu™ Czy można dziwić się, że dnia 22 stycznia 1863 roku stało się to, co się wydarzyło?

Wystarczy choć przez chwilę wyobrazić sobie, że oto dzisiaj, na placu Zamkowym kilka rot rosyjskiej piechoty strzela do bezbronnych warszawiaków. Co byśmy poczuli? Czy nie zacisnęlibyśmy z wściekłości ust? Co zrobiliśmy w tej sytuacji… MY?

[Gazeta Polska, nr 03/2013]

M – JAK MANIFEST

W TAJNEJ drukarni u sióstr Felicjanek przy ulicy Daniłłowiczowskiej zaczęto drukować odezwę. Nad maszyną stał, pilnując wszystkiego, członek rządu powstańczego ksiądz Mikoszewski. Nagle kapłan kazał zatrzymać pracę i zniszczyć pierwszych dwieście egzemplarzy. Po czym do słów „Centralny Narodowy Komitet" dodać jeszcze „jako Tymczasowy Rząd Narodowy". Te pierwsze, „błędne" egzemplarze manifestu Powstania Styczniowego osiągnęłyby dziś na rynku antykwarycznym astronomiczną wartość. Sam tekst zaczynał się od razu od pięknych wersów: „Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy, porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec ich w nienawistny mundur rosyjski i pognać tysiące mil na wieczną zagładę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi, pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór".

Manifest 22 stycznia 1863 roku był nie tylko odezwą, gorącym wezwaniem do walki, nie tylko formą rozkazu, czy obwieszczenia woli, nie tylko przejawem istnienia tajnego państwa polskiego, ale wreszcie – co chyba najważniejsze – stał się wydobytym z piersi krzykiem narodu poetów.

Co więcej, dzięki formie językowej obwieszczenie przedzierzgnęło się w chwytające za serce dzieło literackie, unikatowy „podgatunek" poezji – taki, w którym nie jeden twórca, lecz przedstawiciele całego narodu mówią, jakby byli uskrzydleni weną zsyłaną z otchłani dawnych wieków.

W „Iliadzie" Homera gniew Achilla splata się z historią Troi – nie trzeba szukać prawdy w wykopaliskach nad Skamandrem – ona jest już zaklęta w słowach epopei! Jest widoczna w tych strofach metafizyczno–poetyckich, które unoszą rangę wydarzeń historycznych w sferę ducha, a nie materii.

„Odkrycie" dokonane przez genialnego ślepca, ojca kultury śródziemnomorskiej, jest na miarę wyższą niż osiągnięcia tych, którzy wykoncypowali koło albo maszynę parową. Polega ono na tym, iż na historię należy patrzeć okiem poety.

Tarcza Achillesa, wykuta misternie przez Hefajstosa, stała się realnym elementem uzbrojenia Pelidy. Ale stanowiła też alegorię, była na wskroś metafizyczna. Osią obserwacji jest moralna postawa Greka. Czy jego przeciwnika – Hektora, „obrońcy królestwa bez kresu i miasta popiołów".

Miała Polska w swojej historii piękne akty państwowotwórcze napisane tak, że stawały się literackimi arcydziełami. Choćby genialny akt unii horodelskiej – który tak wiele znaczył dla powstańców (obchody w Horodle należały do ważniejszych wydarzeń w przedpowstańczej Polsce) – mówił bowiem o ewangelicznej miłości, jaka jest podwaliną istnienia Rzeczypospolitej.

Takim arcydziełem był ów manifest wzywający Polaków do walki ze złem pochodzącym z innego duchowego świata – „barbarzyńskiej Azji".

Kiedy okazało się, że aby uprzedzić kolejną brankę, trzeba przyspieszyć termin wybuchu powstania, postanowiono wydać odezwę do narodu. Jej napisaniem, po naradach dotyczących treści i wymowy, miał zająć się Jan Maykowski.

Poprosił o pomoc swoją siostrę – poetkę Marię Ilnicką. I to ona nadała tekstowi ów poetycki niezwykły wymiar, nośność i siłę. Manifest Powstania Styczniowego jest po prostu… piękny!

Niewątpliwie to najwybitniejsze dzieło literackie Ilnickiej. I nie powinien być oceniany jedynie – jak typowe źródło historyczne – które naukę karmi faktami. Trzeba na ten piękny „akt strzelisty patriotyzmu" popatrzeć jako na wykwit ducha, emanację sił, które są w duszy narodu polskiego. A tej Duszy Dawnej Polski nie da się wcisnąć do laboratoryjnej probówki i zbadać pod mikroskopem.

Była ona wykarmiona literaturą, piękną przeszłością, była wreszcie prowadzona głosem poetów. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" w okresie przedpowstaniowym czytano masowo. Miały tak wielką siłę, że nawet stosowano się do zawartych w nich instrukcji Mickiewicza, dotyczących polskiego ubioru. Noszono więc czamary i buty z cholewami, narażając się na rosyjskie szykany. Kornel Ujejski, autor pieśni „Z dymem pożarów" śpiewanej na ulicach w czasie manifestacji, wydał w 1862 roku, w Lipsku, niewielki tomik wierszy. Zadedykował go oficerom rosyjskim, którzy narazili swoje życie, sprzeciwiając się mordom popełnianym przez swych pobratymców. I pisał we wstępie: „Niewola to najsroższe cierpienie ze wszystkich cierpień, to „ból bolów", toż kto gniecie naród niewolą, bierze grzechy całego narodu na siebie". Zygmunt Sierakowski, jeden z powstańczych dowódców, w liście z 1852 roku (do W Spasowicza), skreślił następujące słowa: „My zmartwychwstaniemy razem ze wschodnimi braćmi.

Falangi podtrzymują Macedonię, Grecy powinni duchem opanować falangi…”.

Już wtedy czuł i wiedział – że walka o Polskę nie rozgrywa się jedynie w świecie materii.

Manifest Powstania Styczniowego był wyznaniem wiary w polską siłę Ducha. W wartości niemierzalne, przekazywane z pokolenia na pokolenie jako narodowe dziedzictwo.

I dlatego właśnie powinien mieć nie tylko wymiar źródłowy, lecz także wymiar jednego z istotnych elementów dziejów naszej kultury. Obok Bogurodzicy, aktów unii horodelskiej, lubelskiej, Konstytucji 3 maja. Zasługuje Manifest na poczesne miejsce w panteonie dzieł polskiej cywilizacji. Tej cywilizacji, o której jest mowa w jego zakończeniu, kiedy Polacy zwracają się do narodu rosyjskiego. I przebaczają „nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli”, pod warunkiem, że Moskale okażą „zgryzotę za przeszłość”. Jeśli tego nie zrobią to my „w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy cię (narodzie rosyjski – TŁ) na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacji z dzikim barbarzyństwem Azyi”.

Ostatnie słowa – mówiące o zderzeniu dwóch światów budowanych na zupełnie innych wartościach – tłumaczą wszystko. Lecz jeśli ktoś tych słów nie rozumie, ten będzie tylko potrafił zliczać karabiny. I dubeltówki. I armaty. Pojedynek Duchów będzie dla niego zakryty.

[Gazeta Polska, nr 06/2013]

OSTATNI ŻOŁNIERZ WYKLĘTY ROKU 1863

NA dzień przed wyborami prezydenckimi miała miejsce niezwykła rocznica. 23 maja minęło 150 lat od stracenia na szubienicy ostatniego żołnierza Powstania Styczniowego, ks. Stanisława Brzóski. Ksiądz Brzóska jest pierwowzorem Żołnierzy Wyklętych. „Hubalem" i „Łupaszką" insurekcji roku 1863. I chociaż wszyscy historycy zgodnie uznają dzień egzekucji ostatniego dyktatora Romualda Traugutta za koniec powstania, to trzeba pamiętać, że od sierpnia roku 1864 aż do maja następnego roku trwał na posterunku niezwykły kapłan. Ksiądz, a zarazem dowódca powstańczego oddziału. Człowiek, który został mianowany przez Rząd Narodowy kapelanem powstańczym Podlasia, a jednocześnie jako bojownik ze stułą zawieszoną na szyi, z krzyżem w jednej dłoni, a karabinem w drugiej, walczył z Moskalami. Dla Rosjan był „bandytą" i „rozbójnikiem", którego pragnęli dopaść za wszelką cenę i zabić. W ich oczach był „wyklęty". Stał się nim nawet dla współpracujących z władzami urzędników czy chłopów wyłapujących członków jego oddziału. Dla innych był herosem Wolności, świętym rycerzem polskiej krucjaty prowadzącej do Niepodległości. Dla tych właśnie stanowił ideał średniowiecznego zakonnika–rycerza, który z modlitwą na ustach i z bronią w ręku walczy, poświęcając swe życie Świętej Sprawie. Ostatnie miesiące jego życia – ta ciągła i nieustanna walka prowadzona w momencie, gdy powstanie już upadło – stanowią niezwykłe świadectwo hartu ducha i wiary w to, że w walce o Polskę nie należy ustawać.

Księdza Brzóskę aresztowano jeszcze przed wybuchem powstania. Już po manifestacjach zimy i wiosny roku 1861, kiedy Rosjanie zabili w Warszawie bezbronnych uczestników demonstracji patriotycznych. Wzięto go, gdy odprawiał mszę św. w Białej Podlaskiej, wygłaszając płomienne kazanie krytykujące zachowanie obecnego na mszy rosyjskiego żołdactwa. Wyprowadzony z kościoła w trakcie śpiewu „Boże, coś Polskę", został przewieziony do więzienia w Zamościu. Wyszedł stamtąd dopiero po interwencjach kościelnych dostojników. Ale, gdy tylko wybuchło Powstanie Styczniowe, nie wahał się ani chwili. Mianowany kapelanem powstańczym brał udział w walkach wielu oddziałów, uczestniczył w bitwach, błogosławiąc i modląc się, udziela-

jąc sakramentów, wspierając na duchu, a jednocześnie biorąc na siebie ciężar samej walki i dowodzenia powstańczymi grupami. „Po rozpoczęciu powstania bez namysłu zostaje kapelanem w oddziale Lewandowskiego" – pisał o nim w 1925 roku Edward Ruciński. „Pociesza, obsługuje rannych, bandażuje i leczy rany, namaszcza ostatniemi olejami i pociesza konających, a gdy potrzeba z rozwianą czupryną i pałającymi oczami, chwytając do ręki karabin, rzuca się w wir bitwy i jako prosty żołnierz pędzi naprzód, zagrzewając do boju. Swoje porcje żołnierskie bardzo często oddaje innym, sam zaś… karmi się wiarą i nadzieją, że Polska wolną musi być. – Tak nam dopomóż Bóg! – woła nieraz w uniesieniu. Wiarą i czynem zagrzewa". Walczył m.in. pod Węgrowem, okrzykniętym „polskimi Termopilami" powstania 1863 roku.

To z tego względu łatwiej go było Moskalom „wykląć", próbować znieważyć, opluć i pohańbić. Trzeba pamiętać, że ksiądz przydzielony do oddziału Karola Krysińskiego podjął wyzwanie dowódcze dopiero wtedy, gdy okazało się, że człowiek mający prowadzić natarcie nie pojawił się na stanowisku. Brzóska rozumiał, że wobec braku ludzi, środków i uzbrojenia Polak nie może pozostać bezczynnym. Musi także wziąć bezpośredni udział w boju. Właśnie ta postawa była główną przyczyną ataków propagandowych wymierzonych w jego stronę. Wraz z upływającym czasem „generał Brzeziński" – gdyż taki pseudonim przyjął kapłan – zaczynał stawać się legendą. A już prawdziwą postacią z polskiego mitu miał zostać po śmierci Traugutta.

Prof. Eugeniusz Niebelski w „Nieprzejednanych wrogach Rosji", doskonałej pracy o działalności duchowieństwa polskiego w czasie Powstania Styczniowego na Lubelszczyźnie i Podlasiu, opisał ostatni, wielomiesięczny czyn bojowy księdza Brzóski, zakończony pojmaniem i straceniem go w Sokołowie Podlaskim. Lektura rozdziałów dotyczących bohaterskiego księdza Brzóski robi niezwykłe wrażenie. Oto od sierpnia 1864 roku aż do przełomu kwietnia i maja roku 1865 trwa najpierw walka, a potem ciągła ucieczka Brzóski i jego współtowarzyszy broni przed rosyjskimi oddziałami. Zmieniają się tylko moskiewscy generałowie, sotnie i roty. Jedna za drugą pojawiają się miejscowościach, w których ukrywał się „generał Brzeziński" i jego ludzie. Główną kryjówką powstańców była wyspa położona na bagnach leśnych, tzw. Błotach Jackich. Można się na nią było dostać jedynie tajną, kamienną ścieżką, ułożoną tak, by owych kamieni nie było widać pod warstwą wody i błota. Niestety i ta kryjówka miała się w końcu okazać spaloną. Rosjanie stosowali bezwzględne metody. Jeśli nie dało się „otropić zwierzyny", szli drogą śledztw i tortur, by od schwytanych ludzi, członków oddziałów lub współpracujących z powstańcami chłopów w końcu wydobyć informację, gdzie ukrywa

się przeklinany przez nich „ksiądz Brzosko". A „Brzeziński" zmieniał miejsca, kluczył, raz pojawiał się w okolicach Łukowa, by niedługo potem zaatakować Moskali w rejonie Stoczka. Przez cały czas jednak musiał uciekać. Rosyjskie władze w Warszawie dostawały szału. Generał–policmajster Teodor Trepow wydawał rozkaz za rozkazem. Próbowano efektu „dośrodkowania sił", czyli puszczano grupy żołnierzy z różnych kierunków, tak by zeszły się one w okolicach, w których miał przebywać powstańczy oddział, lecz na próżno. Polacy pod wodzą kapłana ciągle im się wymykali.

Stało się trudniej, gdy nadeszła zima. Powstańcy podzieleni na mniejsze grupy usiłowali przetrwać kryjąc się po domach, chatach, szlacheckich dworach czy plebaniach. Ciągle w uciecze, ciągle w gotowości, ciągle z palcem na cynglu. Jednocześnie pobierali podatek na rzecz swojego działania – żywność lub pieniądze – kwitując to oczywiście odpowiednimi dokumentami powstańczymi. Niektórzy chłopi czuli się więc „ograbieni" przez polskich „rozbójników". Wykorzystała to natychmiast rosyjska władza do ataków propagandowych. Ksiądz Brzóska i jego najbliżsi współpracownicy – Paweł Ługowski, Franciszek Wilczyński, Franciszek Czyżewski stali się głównym celem wysiłków rosyjskiej armii. Póki działali, póki w narodzie ich akcja oporu urastała do wymiaru legendy, póty było to wielkie zagrożenie. Niestety, Paweł Ługowski wpadł w ręce Moskali. Po ostrym śledztwie zaczął sypać. Doprowadził Rosjan do tajemnej wyspy. Jedynie wyobraźni można pozostawić przedstawienie sobie chwili, w której moskiewscy żołdacy brodząc w wodzie, idą przez bagna, by dojść do „polskiej wyspy". Jak wyglądała, gdy obozowali tam powstańcy? Nie wiadomo. Ale ja wyobrażam sobie szałasy i ziemianki, paleniska ognisk, karabiny ustawione w kozły i maszt pośrodku. A na tym maszcie polską flagę. Na niej Orła Białego. I Pogoń. A tuż obok flagę z Matką Boską Ostrobramską. I krzyż. Krzyż, pod jakim musieli wszyscy klękać, gdy w środku głuszy, pośród szumu drzewa, świergotu ptaków, zapachu sosen i świerków, ksiądz odprawiał mszę. I unosił w stronę słońca chleb. A potem, po Przeistoczeniu, udzielał komunii klęczącym.

Przeciwko działalności księdza Brzóski Moskale rozpętali piekło propagandowe także w prasie. Gazeta „Warszawskij Dniewnik" pisała: „Smutnie znany z licznych morderstw herszt niewielkiej liczby żandarmów–wieszających, ukrywający się dotąd w lasach guberni lubelskiej, ksiądz Brzosko, nie został jeszcze schwytany". Prof. Niebelski cytuje te słowa, dodając i dalsze: „rozpuścić swych stryczkowych rycerzy, którzy bez pasterza – przewodnika, jako żmije pozbawione żądła, błąkają się po lasach i wsiach. Sześciu z nich ujęli już włościanie łukowscy i dostarczyli władzom". Nie tylko jednak prasa była narzę-

dziem walki prowadzonej przeciwko kapłanowi–patriocie. Próbowano zmusić kościelne władze do odebrania mu kapłaństwa. Dyrektor Komisji Rządowej Władymir Czerkaski pisał do biskupa Szymańskiego pisma, żądając ostrej reakcji dostojników Kościoła. Czerkaski dowodził, że Brzóska to pospolity bandyta. I żądał, by księża w kraju z ambon odczytali specjalny biskupi list, w którym „buntownik" powinien być przedstawiony „jako pozbawiony kapłaństwa i jako rozbójnik, ukrywający się przed ręką sprawiedliwości", „nie zasługujący na żadne współczucie pobożnych chrześcijan".

Moskale zaczęli też rozpowszechniać plotki, jakoby ksiądz nacierał sobie włosy fosforem, by w trakcie modlitwy po zmroku sprawiać na ludziach wrażenie świętego.

Tak robiono w okupowanej Polsce w 1865 roku. Ale takich metod chwyta się również obecny polski rząd. Bojąc się panicznie wymykającej się władzy, robi wszystko, by ją utrzymać. Sięga więc także po praktyki niegodne. Przypisano nawet kandydatowi PiS podżeganie do próby zamachu na prezydenta. Polityk PO nie wahał się porównać Bronisława Komorowskiego do zamordowanego przed wojną Gabriela Narutowicza.

Strach domniemywać, do czego jeszcze posuną się rządzący, by utrzymać się przy władzy?

Pętla wokół księdza Brzóski zacisnęła się, gdy Rosjanie schwytali jego kurierkę, którą kapelan–dowódca wysyłał do Warszawy. Młoda kobieta Antonina Konarzewska nie wytrzymała brutalnego śledztwa. Jej opór złamano i wydała miejsce pobytu księdza. Okoliczności jego schwytania przypominają jako żywo te, o których czytamy, śledząc losy dwudziestowiecznych Żołnierzy Wyklętych. Oddział kozaków otoczył niewielką, składającą się z czterech chałup wieś Sypytki. Po pierwszym przeszukaniu nie znaleziono nikogo. Ale w pewnym momencie na stole w jednej z chałup oficer zauważył jakiś dokument. Było to powstańcze pismo należące do księdza Brzóski. Sołdaci na powrót wzięli się do szukania, obstukując ściany. Za jedną z nich, w kryjówce, schowani byli ksiądz Brzóska i jego zastępca Franciszek Wilczyński. By nie dać się zakłuć bagnetami, wyskoczyli zza przepierzenia. Zaczęli ostatnią walkę.

Ksiądz wystrzelił z karabinu i odbijając ciosy wyskoczył z chaty. Zaczął biec w stronę lasu. Jakaś kula raniła go w stopę. Gdy obaj z Wilczyńskim już mieli przeskakiwać przez płot, zostali dopadnięci przez kozaków. Jeden z nich ciął kapelana w rękę. Żołnierze Wyklęci Powstania Styczniowego zostali schwytani.

Proces był formalnością. Gdy ksiądz Brzóska został przewieziony na warszawski Pawiak, generał Trepow wydał rozkaz: „przeprowadzić w tej sprawie krótkie śledztwo i oddać winnych pod sąd wojenny

w trybie skróconym, z tym, żeby wyrok, na nich wydany, został wykonany w mieście Sokołowie". Czyli wyrok był znany z góry. I wykonano go w Sokołowie. Obaj bohaterowie zawiśli na jednej szubienicy. Padał deszcz. Z nieba płynęły wodne strugi. Ale na sokołowskim rynku stały nieprzebrane tłumy. Obaj skazańcy wyspowiadali się. W oknie jednego z domów ktoś wystawił obraz Matki Bożej Ostrobramskiej. Być może ksiądz jeszcze na niego spojrzał. Kat założył mu sznur na szyję. „Żegnajcie bracia i siostry i wy małe dziatki. Ginę za naszą ukochaną Polskę, która…". Nie skończył. Po twarzach ludzi płynęły łzy przemieszane z deszczem. I wierzę, że na obliczu Matki Bożej Ostrobramskiej też pojawiła się łza.

Minęło 150 lat od tamtego dnia. Dzisiejszy rząd o takich chwilach nie chce nawet pamiętać, ani ich świętować. Milczy. Dlatego trzeba tę władzę wymienić. Na taką, która będzie pamiętała i o krwi, i o łzach Polaków, dzięki którym my dzisiaj żyjemy.

[Gazeta Polska, nr 21/2015]

ŚMIERĆ, KTÓRA WSZYSTKO ZACZĘŁA

PUŁKOWNIK Tuchołka kazał wezwać więźnia, siedemnastoletniego Józefa Rybickiego. Chłopca wyprowadzono z celi i postawiono przed obliczem komisji śledczej. Możliwe, że do pokoju przesłuchań prowadził go Morok, owiany ponurą sławą cerber warszawskiej Cytadeli. Rybicki, syn organisty z warszawskiego kościoła Panny Maryi został zatrzymany w wyniku śledztwa – sieci zarzuconej wokół ostatniego dyktatora Powstania Styczniowego Romualda Traugutta. Pułkownik Tuchołka przysłuchiwał się zeznaniom. Chłopiec opowiadał o tym, jak spotkał kogoś z organizacji: „Znajomy mi ze szkół syn krawca Topolski jeszcze przed Bożym Narodzeniem namówił mnie, abym przyjął jakiś udział w sprawie narodowej i zarekomendował mnie jakiemuś panu, który w początku poruczył mi roznosić wsparcia dla biednych; lecz to nie przyszło do skutku (…). Po tygodniu, gdym spotkał się z nim na ulicy, wziął mnie do cukierni Wedla na Miodowej ulicy i dał mi jakąś kartkę napisaną ołówkiem, z którą kazał mi iść do litografa Strupczewskiego…”. Mówił też i o innych sprawach, raz klucząc, innym razem podając szczegóły. Powiedział, że otrzymał z punktu litograficznego kilkaset egzemplarzy druku pod tytułem „Pieśń Polska”. Rozniósł je wszystkie. Do cioci Adaszewskiej, mieszkającej na Tamce, kilka egzemplarzy. Inne doręczył w Zajeździe Dominikańskim na Nowym Mieście. Z następnej części zeznania wynika, że w owym zajeździe miał znajomego Modzelewskiego – „do którego córki często zachodziłem”. Potem podpisał się drżącą ręką, a tuż pod nim konfirmował pułkownik Tuchołka. Kilka miesięcy później słowa Józka brzmiały już inaczej, załamał się. Widać, że bał się śmierci, wyznawał grzechy, mówił o głupocie młodego wieku.

Do akt jego sprawy dołączono wstrząsający list od ojca błagającego o życie syna.

Śledztwo toczone wokół Traugutta to nie tylko on sam, świetlista postać pełna pokory, wiary, żarliwości i poczucia obowiązku wobec Ojczyzny. To także sieć mniejszych i większych powiązań, niezwykła mozaika, w której uczestniczyło wielu ludzi. Śmierć Traugutta oraz jego czterech współpracowników – Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego, Romana Żulińskiego i Jana Jeziorańskiego na stokach

warszawskiej Cytadeli stała się ostatnim aktem trwającego przez półtora roku Powstania Styczniowego. Sam czas tej nierównej walki stanowi przykład niezwykłego bohaterstwa i niezłomnej postawy – czas tak silny i mocny, że pozwolił, pomimo mroku popowstańczych czasów, dotrwać do momentu odzyskania niepodległości. Dał jej siłę. Tak jak siłę chrześcijanom daje odkupicielska śmierć Chrystusa, tak oddanie życia za sprawę polską przez Naczelnika i jego ludzi miało wielki wymiar duchowy, stanowiło testament dla następnych pokoleń, zobowiązywało do podjęcia walki na nowo.

Wzrok skupia się na pięciu szubienicach stojących na stokach Cytadeli 5 sierpnia 1864 roku, ale wymiar poświęcenia był olbrzymi – sięgał tysięcy ludzi prowadzących nierówną walkę w lasach i ostępach, ludzi wysiedlanych i niszczonych karzącą carską ręką, tracących życie na polach bitew i przed plutonami egzekucyjnymi.

Samo śledztwo, pogoń za dyktatorem, trwała od jesieni roku 1863, właściwie od czasu, gdy Traugutt objął dowództwo nad przegraną już sprawą, choć zaczął z tak niezwykłym talentem i uporem organizować oraz budować sprawy wojskowe, że wielu zastanawia się nad tym, jak potoczyłyby się losy powstania, gdyby wcześniej został dowódcą powstańczego zrywu. Sledztwo to zataczało coraz szersze kręgi. Do Cytadeli zamykano wszystkich mogących mieć jakikolwiek związek ze sprawą, po czym próbowano wycisnąć z nich takie informacje, które byłyby pomocne w natrafieniu na ślad Michała Czajkowskiego (taki pseudonim przybrał Traugutt). Lektura zachowanych akt procesowych jest porażająca. To kolejne tomy zeznań, przesłuchań, wyroków, listów, dokumentów i orzeczeń.

Wspomniany Józef Rybicki był jedynie drobnym elementem sklejanej przez rosyjskich śledczych układanki. Tu każdy szczegół był ważny, każde słowo istotne, bo mogło doprowadzić do następnej osoby, pomóc złapać kolejny trop.

Tak też było w sprawie aresztowania młodziutkiego Leona Łyszkiewicza.

Oto mamy, pisany cyrylicą, dokument kancelarii Wydziału II Śledczego Zarządu Oberpolicmajstra m. Warszawy – N 90, Получено 16/28 января 1864-a.

Major Rydzewski opisał w nim pewne zdarzenie, do jakiego doszło wieczorem na Nowym Świecie. Leon Łyszkiewicz, uczeń II Gimnazjum, szedł ulicą bez latarki, a ponieważ władze carskie ustanowiły prawo, że po zmroku każdy Polak musi być dobrze widoczny, aby można go było zidentyfikować, więc chłopak od razu wzbudził podejrzenie. Stójkowy Michaił Szymanowskij zatrzymał go i nakazał zaprowadzenie na posterunek X Cyrkułu, gdzie znaleziono przy nim spo-

rządzoną ołówkiem karteczkę, którą załączono do akt sprawy. Ma ona sygnaturę 1267. To spis broni powstańczej. Brzmi następująco:

„Dla partii Grabowskiego, województwa mazowieckiego: 21 sztućców moskiewskich z bagnetami. 25 szabel z ładownicami do nabojów. 5 sztuk rewolwerów Lafochetta z nabojami. 25 sztuk sztucerków kawaleryjskich. Udać się mam dla zamówienia do…".

Na karteczce znajdują się także dopiski oberpolicmajstra o udziale Leona w „bandzie" Grabowskiego. I o nauce w II Gimnazjum w klasie piątej.

Można wyobrazić sobie ucznia gimnazjalnego, jak stoi przed biurkiem w Cyrkule X i patrzy na ów świstek papieru, w który stuka palcem żandarm rosyjski Szymanowskij, pytając ostro: „Szto eta?".

Od tej jednej, spisanej ołówkiem karteczki, od chwili nieuwagi, braku latarki, rozpoczęło się drobiazgowe śledztwo, w ramach którego aresztowano kolejnych kilkadziesiąt osób, by wreszcie w kwietniową noc zapukać do domu przy ulicy Smolnej w Warszawie, gdzie mieszkał polski przywódca. Proces Traugutta to nie tylko tragiczny, wielki finał owego dramatu, i nie tylko postaci – używając języka filmowego – „pierwszego planu", lecz także wiele innych osób, które zostały osadzone w Cytadeli, przesłuchane i które usłyszały wyroki śmierci. Czasem zamieniano je na „mniejsze" kary – wieloletnią zsyłkę, katorgę. Zresztą samo uwięzienie w tak ponurym miejscu jak Cytadela, gdzie trwały wielogodzinne wykańczające przesłuchania, było potwornym przeżyciem. Ślady tych cierpień odnajdujemy w aktach procesowych. Czasem to tylko suche notatki z zatrzymań. Zygmunt Lauber – uczeń Szkoły Głównej z Przasnysza. Emil Lauber, jego ojciec. Emeryt z Warszawy Stanisław Bogusławski. Ale śledztwo zatacza coraz szersze kręgi. Oto sztabskapitan Hłasko „wzywa uprzejmie" komisarza Policji Wykonawczej X Cyrkułu „aby zatrzymane w areszcie jego dwie służące od Stanisława Bogusławskiego natychmiast wydał na ręce dozorcy wraz z jednym żołnierzem, którzy je na dorożkę zabiorą".

Jednak największe wrażenie robią same zeznania. Leon Łyszkiewicz np. musiał drobiazgowo opowiedzieć śledczym, co robił przed aresztowaniem. Że poprzedniego dnia ojciec go uderzył za jakieś przewinienie kijem. Że był w klasie. Że jadł obiad i poszedł do teatru. A rankiem zjadł bułkę i wypił kawę w kawiarni na Freta, zaraz obok kościoła Dominikanów. I był w Koszarach Wołyńskich. I że kartkę z listą broni dla oddziału pisał w kawiarni na Marszałkowskiej. Sam moment zatrzymania opisał tak: „Cel napisania przeze mnie i posiadania tej kartki był nie inny, jak tylko ten, abym za aresztowaniem dostać się mógł do cytadeli i oddany [zostać] do wojska, czego właśnie sobie życzyłem. Jakoż kiedy dla późnej godziny zatrzymał mnie

stójkowy na rogu ulicy Chmielnej i Nowego Świata ze zgasłą świecą w latarce, pod odstawieniu do cyrkułu X znalezioną została u mnie pomieniona kartka, wskutek czego zaraz byłem zapytany skąd idę: odpowiedziałem, że od pani Kochańskiej, żony inspektora służby zdrowia…". Potem wymienił jeszcze m.in. wuja Bogusławskiego. Każde nazwisko przez niego wspomniane stawało się kolejnym celem Rosjan. Ci ostatni zaś niezwykle lubili przesłuchiwać dzieci. Wiedzieli, że mogą je łatwiej złamać i wydobyć potrzebne informacje. Coraz więcej podejrzanych Polaków trafiało do aresztu. W mieszkaniu jednego z nich, Szczepana Krężelewskiego, znaleziono całe stosy dokumentów – powstańczych rozkazów i odezw, spisów ludzi i miejsc. A wśród nich wiersze patriotyczne.

A gdy od moskiewskiej kuli
Zginąć przeznaczy nam los,
Matka ziemia nas utuli,
Grób ustroi w kwiat i wrzos.
Ojciec, matka łzę uroni,
Polska zagrzmi: „to syn mój!"
I tak z laurem na skroni
Zakończymy ziemski bój.
Lecz gdy żyjem – górą nasza!
Niechaj drży przed nami wróg!
Carska dzicz nas nie przestrasza
Z nami zawsze Maria, Bóg!

W dniu 4 kwietnia 1864 roku pułkownik Fredericks spisał w Cytadeli zeznania zdrajców. Po raz kolejny można ze smutkiem zobaczyć, jak współtworzą naszą historię nie tylko wielcy bohaterowie, ale i działający przeciw nim szubrawcy. Cezary Morawski, Karol Przybylski i Artur Goldman, wskazali Romualda Traugutta jako dyktatora powstania. Swoje zeznania potwierdzili także w trakcie procesu. Na koniec wyrzuty sumienia kazały Morawskiemu paść do kolan wodza i prosić o wybaczenie.

Aresztowano też Teodorę Choińską, Prosperę Kuczborską Ewę Moser, Ryszarda Szuberta, Artura Popławskiego, Adolfa Karczewskiego, Antoniego Sokolnickiego i wielu innych. W aktach śledztwa czytamy o najdrobniejszych szczegółach z ich życia – „oto jest klucz od mieszkania z ulicy Mazowieckiej. Klucz ten pozostawiłem może na 8 lub 9 dni przed aresztowaniem Romana Żulińskiego", albo „Kazimierz Hanusz, kiedym już moją sofkę i rzeczy niosła, dał mi 10 rs. I takowe kazał odnieść gospodyni domu, co ja też uczyniłam i samej Multanowskiej, kwotę rzeczoną oddałam, gdzie ona pytała się mnie jesz-

cze, czy będę mieszkać i na następny kwartał, a na co nie umiałam jej odpowiedzieć".

Szczególnie dramatycznie brzmią zapisy z konfrontacji podejrzanych.

„Głos Teodory Choińskiej: Nie zapieraj się pani Multanowska, że pani mnie nie znasz, ponieważ byłam u pani ze cztery razy, jako też nie zapieraj się pani Multanowska, że oddałam pani w środku stycznia br. u pani w pokoju 10 rs. a konto komornego; w tym czasie, kiedy oddawałam pani 10 rs., wręczyłaś mi pani klucz od zasuwki mieszkania wynajętego".

Ci „zwykli" obywatele, stanowią część losu, cierpienia i misji Romualda Traugutta. Oni są nieodłącznym elementem owego dramatu. Ich noce spędzane w celach Cytadeli, ich zeznania w procesie i ich świat, z jakiego zostali wyrwani, świat porannej kawy, szelestu gazety, niedomkniętego okna, zasuwki w drzwiach, klucza, pękniętego garnka, starych butów na słomiance, wuja wracającego z Litwy, chorego psa, nauki w szkolnej klasie, codziennych spacerów i zwykłych czynności. Ten zwykły, prosty świat pojawiający się na marginesie akt procesowych staje się rodzajem ofiarnego stosu, który zapłonął tamtego roku.

Proces nabrał szalonego tempa tuż przed i tuż po aresztowaniu dyktatora. Zeznania się mnożą, można więc przeczytać słowa jego przyjaciela i najbliższego współpracownika Mariana Dubieckiego, który stwierdził: „Czarneckiego Michała znałem, bo się ze mną stołował u Kirkorowej, ale ażeby on się nazywał Romualdem Trauguttem, był dawniej dowódcą oddziału powstańczego, a następnie naczelnikiem rządu w organizacji rewolucyjnej, nie wiedziałem i wiadomości z Rusi żadnych mu nie komunikowałem".

Traugutta aresztowano nocą 10 kwietnia. Wtedy też nastąpił faktyczny koniec powstania. Naczelnik tak mówił w trakcie procesu: „Będąc przekonanym, że niezależność jest koniecznym warunkiem prawdziwego szczęścia każdego narodu, zawsze jej pragnąłem dla swojej ojczyzny, a to tym bardziej, że i oswobodzenie się Rosji od ciężaru panowania nad Polską liczyłem za również konieczny warunek do zwrócenia całej działalności rządu i ludu rosyjskiego na rzeczywisty pożytek tego obszernego państwa".

Do uwięzionego pisała żona, zaczynając od słów: „Mój najdroższy, jedyny Aniele". Potem dodawała kilka słów o dzieciach, na koniec o sobie – „Ja, jak dotąd, tak, nawet dziś zdrową jestem zupełnie. Bóg Wszechmogący, który na mnie kolejną coraz cięższe próby zsyłać raczy, daje także siły do ich przeniesienia. Przy tak srogiej, moralnej boleści, fizycznie nic mi nie dolega, nawet wcale dobrze wyglą-

dam”. A potem, kończąc, wspominała o swym jedynym pragnieniu, by go zobaczyć, swego „najmilszego Romcia”.

Miała go ujrzeć 5 sierpnia, pod szubienicą, gdy całował krzyż. Gdy pogodzony z wolą Bożą stanął, by oddać życie za sprawę Ojczyzny. Płakał po nim cały Naród. Jednak w tych łzach, w tych wszystkich godzinach smutnych i ponurych, dniach spędzanych za kratami, w lochach, syberyjskich głuszach, kopalniach Nierczyńska i Szyłki, w pustych i ożałobnionych domach polskich – był Duch. Ten nie gasł, lecz rósł pielęgnowany przez lata. A potem, równo sto lat po śmierci Traugutta z Oleandrów wyruszyły jego „późne wnuki”. Legioniści Piłsudskiego. Śpiewali, że i oni – podobnie, jak poprzednicy – rzucą życie na stos. By Polska znów była wolna. I w końcu się udało. Traugutt zwyciężył, a wraz z nim zwyciężyli wszyscy pokonani.

[wSieci, nr 34/2014]

POŻEGNANIE MURAWIEWA

„PRZEDE wszystkim potrzebowałem rozwiać ten polski obłęd” – pisze w swoich pamiętnikach, dodając, że musi „wzbudzić przekonanie, że środki, które rząd przedsiębierze, nie mogą być chwiejne. Słowem trzeba było wzmocnić na nowo władzę rządową i zaufanie w nią rozbudzić, bez tego nic robić nie można było. Zadanie to było trudne, lecz zdecydowawszy się na wszelkie poświęcenie się materialne i moralne, z pełną nadzieją w Bogu wziąłem się do dzieła”. Nie znając autora, mogłoby się zdawać, iż rzecz dotyczy współczesnej Polski i jakiegoś polityka, który podejmuje się działań, mających ścisły związek z podupadającym wizerunkiem rządu. Nie chodzi jednak o Polaka, lecz o emblematycznego naszego wroga, istnego „polakożercę”, który samym swoim przydomkiem wszedł na trwałe do historii nienawiści wobec polskiego narodu. Powyższe słowa zapisał Michaił Nikołajewicz Murawiew, zwany „Wieszatielem”. Na rycinach z epoki widzimy nalanego urzędnika o grubym karku i ponurym spojrzeniu rzucanym spod brwi. Gdyby ktoś miał z wyobraźni narysować okrutnego gubernatora Wileńszczyzny z epoki Powstania Styczniowego, nie mógłby tego dokonać lepiej niż zrobiła to sama natura, przyoblekając tego typowo moskiewskiego, pełnego jadu osobnika w niezgrabne, niedźwiedziowate, jakby rodem z tajgi wzięte, cielsko. Mija właśnie 150 lat od chwili, gdy „Wieszatiel” ustąpił ze swego urzędu. Stało się to w kwietniu roku 1865. Wystarczyły niepełne dwa lata pod jego knutem, by Polska spłynęła krwią. Zasięg działania Murawiewa wykraczał bowiem poza podległy mu obszar, a stosowane przez niego represje dotykały także ludności żyjącej w Kongresówce. Jego ustąpienie stało się swego rodzaju promieniem nadziei na przyszłość. Światłem, które w bardzo ponurym, popowstaniowym czasie dało siłę do wytrwania. Polacy znów zaczęli manifestować swoją radość, śpiewać patriotyczne pieśni i odważniej modlić się za Ojczyznę.

Gdy w maju 1863 roku Murawiew obejmował urząd generał–gubernatora Litwy, czyli Zapadno–siewiernowo Kraja, natychmiast rozpoczął w stosunku do Polaków represje, których znakiem wspólnym miała wkrótce stać się szubienica. Na cel najpierw wziął księży. „Du-

chowieństwo rzymskokatolickie było wszędzie na czele polskiej propagandy, rozdmuchiwało powstanie i wmawiało to wszystkim, starym i małym, nawet na spowiedzi". Zadeklarował nawet, że pierwszą rzeczą, jaką uczyni po objęciu urzędu, będzie rozstrzelanie księdza, co miało stanowić odpowiedni przykład dla tych, którym ciągle po głowie chodzą polskie mrzonki. I tak właśnie uczynił.

„Pragnąc uczciwie dowieść Polakom, że rząd nasz się ich nie obawia, zająłem się niezwłocznie rozpatrzeniem wyroków na ważniejszych przestępców; potwierdziłem je i kazałem natychmiast wykonać je w Wilnie na placu targowym, w samo południe, ogłaszając egzekucje przy odgłosie bębnów. Zacząłem od księży, jako od głównych działaczy buntu; w ciągu tygodnia rozstrzelano dwóch księży. Polacy nie wierzyli, że się na to zdecyduję; gdy zaś zobaczyli to w samej rzeczy, a nie w słowach, opanował ich wszystkich strach. Płaczu i krzyku dużo było w mieście i wiele osób nawet z miasta wyjechało".

Murawiew rozpoczął walkę z „bandytami", którzy ciągle kryjąc się po lasach, walczyli z regularnym wojskiem rosyjskim. Przez cały czas stosował retorykę osoby, która chce wprowadzić spokój i bezpieczeństwo na niespokojnym i niebezpiecznym terenie. Należało to do klasycznej, rosyjskiej strategii propagandowej. Im silniej stosowano represje, mordowano, bito, wieszano, rozstrzeliwano, tym bardziej wskazywano Polaków jako „prawdziwych" jątrzycieli, szaleńców, rozbójników i barbarzyńców. Nawołując do zgody, bezpieczeństwa i obiecując wolność, Moskale przeciągali na swoją stronę wielu nieświadomych chłopów. To dzięki nim chwytano powstańców. Co nie znaczy, że wszyscy włościanie zwrócili się przeciw Sprawie Narodowej. Wiele wsi popierało polskich żołnierzy armii powstańczej (za takich uznała ich II Rzeczpospolita i my powinniśmy pielęgnować tę tradycję). Te wioski płaciły wysoką cenę, „Wieszatiel" niszczył wszelkie gniazda polskości, tak jakby chciał wypalić jakąś „zarazę". Jego wspomnienia nadawałyby się do tego, by ówczesne działania rosyjskie określić współczesnym słowem „ludobójstwo", miały taki charakter w pełnym wymiarze. Chodziło o fizyczną i kulturową eksterminację Polaków; zabicie tych, którzy byli najgroźniejsi, zesłanie na Sybir trochę mniej groźnych, a pozostałych zrusyfikowanie i odcięcie od katolicyzmu. Gdyby istniał jakiś sąd ponadczasowy, można by na nim cytować fragmenty pamiętnika Murawiewa, jako dowód w sprawie… „Pozostawał mi tylko jedyny, ostatni środek, a mianowicie kazać zniszczyć do gruntu dwory obywatelskie i szlacheckie osady (…) zaś wsie, które przyjmowały największy udział w powstaniu, po przeprowadzeniu śledztwa wysiedlać do guberni syberyjskich". Generał–gubernator kazał rozstrzeliwać bez żadnych drobiazgowych śledztw. Osoby złapane na działalności w „bandzie" miał skazywać doraźny

sąd wojskowy, niejako na miejscu: „przy pojmaniu ich kazałem sądzić doraźnym sądem polowym i rozstrzeliwać na miejscu". Do tego dochodziły wysokie kary finansowe: „Na wsie i okolice ich na 10 do 15 wiorst dokoła, które świadomie zezwalały na pobyt tych rozbójników i nie donosiły o tem do najbliższych komend wojskowych, kazałem nakładać ogromne kontrybucje". Dzięki temu Polacy mieli się przekonać, że „rząd jest silniejszy". Temu także służyły kary pieniężne nakładane za to, że ktoś z danego obszaru poszedł do powstania. I tak na przykład „Nakazanem zostało ściąganie od właścicieli domów, majstrów, restauratorów i innych osób po 10 do 25 rubli kary za każdego człowieka, który wyszedł do powstania i ściągać je bez żadnych względów przedając ostatnie mienie". Podobnie było z parafiami katolickimi. Za każdego pochodzącego z niej powstańca Murawiew kazał ściągać sto rubli. Przy recydywie suma się podwajała. Na placu Łukiskim w Wilnie trwały nieustanne egzekucje. Co chwilę wieszano polskich patriotów. Dodatkowo rugowano język polski ze szkół i urzędów. Nakładano podatki i opłaty od czego tylko się dało. Czas rządów Murawiewa był dwuletnią epoką otchłani i mroku. Trudno się dziwić, że gdy ustępował z urzędu, w wielu polskich domach słychać było jedno wielkie westchnienie ulgi.

Murawiew uważał, że jakakolwiek ostra krytyka rosyjskich okrucieństw to rodzaj jadu propagandowego. Dostrzegał go przede wszystkim w zachodnich ośrodkach opiniotwórczych czy w zachodniej prasie. Dostawał liczne listy z „obelgami". „Zachowałem całą kolekcję tych obelżywych gróźb, jako dokument historyczny, dowodzący nacisku moralnego Europy, który jednakże wywierał na mnie skutek wręcz przeciwny, pobudzał on we mnie tem większą energię i przy silnej, codziennie prawie objawiającej się sympatyi naszej prawosławnej Rosji iż pomocą Bożą, byłem w stanie w krótkim czasie uspokoić spiski".

Murawiew odchodził ze stanowiska w atmosferze konfliktu. Nie zgadzał się szczególnie z generałem Potapowem, który chciał prowadzić bardziej miękką politykę w stosunku do Polaków. W marcu roku 1865 Michaił Nikołajewicz Murawiew udał się na audiencję do cesarza Aleksandra II. Gdy stanął przed carskim obliczem, złożył raport ze stanu rzeczy w „zachodnio–północnym kraju". Aleksander traktował go łaskawie i był bardzo zadowolony z „uśmierzenia buntu". Ale też wytykał różne błędy, przede wszystkim w działaniach poszczególnych gubernatorów. Murawiew potwierdził chęć zakończenia misji i polecił na swoje miejsce generała Konstantyna von Kaufmanna, który utrzymałby twardą linię poprzednika. Tłumaczył imperatorowi: „Kraj trzymamy w swej mocy siłą miecza, a trzeba by było ściśle zjednoczyć go z żywiołami rosyjskimi, polityczno–moralnymi i religij-

nymi". Po owej miłej pogawędce car zaprosił swego naczelnego „knuta" na obiad, aby przypieczętować zakończenie misji i przekazanie jej następcy.

W pamiętnikach Murawiew tak opisał ówczesny nastrój panujący wśród Polaków: „Opuszczając kraj, wiedziałem bardzo dobrze, że wiadomość ta zrobi najgorsze wrażenie na Rosjanach, a wzbudzi ogólną radość wśród Polaków, tak w kraju zachodnim, jak i w Petersburgu; lecz z drugiej strony byłem przekonany, że bezmyślna radość Polaków wzbudzi silne oburzenie Rosjan i że sam cesarz prędko się przekona, że koniecznymi są środki surowe i stanowcze w zarządzaniu krajem zachodnim". Jakże symptomatyczne są niepokoje „Wieszatiela", które przeżywał w chwilach swego odejścia, związane z budzącym się na nowo polskim duchem. Tym bardziej chciał go zdławić i tym silniej dbał o to, kto będzie jego następcą. Miał w istocie „godnego" swego namiestnika, Konstantyna von Kaufmanna: „Nowo mianowany naczelnik kraju, chociaż Niemiec rodem, lecz istny Rosjanin i prawosławny, przyjąwszy na siebie brzemię zarządu krajem północno–zachodnim, ślubował sobie nie odstępować od wprowadzonego przeze mnie systemu działania i za jaką bądź cenę ustalić narodowość rosyjską i prawosławie". Ciarki idą po plecach, gdy się słyszy o tym łączeniu elementów niemieckich i rosyjskich w jednym ciele moskiewskim. Przed oczami staje caryca Katarzyna i główne powody rozbiorów Rzeczypospolitej.

Tymczasem sama pogłoska o tym, że Murawiew mógłby zniknąć, już wzbudziła pośród Polaków nadzieje. Kaufmann jeszcze przed swoją nominacją, pod sam koniec marca 1865, czyli tuż przed Wielkanocą, wyjechał do Wilna. I przywiózł stamtąd – jak zapisał „Wieszatiel" – „najniepomyślniejsze wiadomości". Miały one polegać na tym, że „wśród Polaków znowu wzrastają nadzieje, iż systemat rządowy zostanie osłabiony".

Co się działo? „Polacy cieszyli się z mojego usunięcia, wszędzie zjawiały się głośne manifestacje radości i hymny rewolucyjne, wszędzie wznowiła się żałoba; język polski znów stał się językiem ogólnym polskiej ludności; pogarda wszystkiego co rosyjskie, a nawet dla osób zajmujących stanowisko urzędowe, jawnie się okazywała, słowem, wszystko oznaczało nową erę życia polskiego".

Mija 150 lat od tamtych wydarzeń. Aby zmieniła się sytuacja Polski i Polaków, trzeba było jeszcze pół wieku cierpliwego czekania. Dopiero w roku 1914 dziedzice powstańczej tradycji wywalczyli pełną wolność i pełną niepodległość. Ale takie chwile, jak odejście satrapy ze stanowiska gubernatorskiego, już dawały poczucie Polakom, że coś może zmienia się, że może idzie na lepsze. Trudno przewidzieć, czy między chwilą pisania tego tekstu a datą jego publikacji Polska

dokonała kroku w lepszą przyszłość. Wszystko w rękach Polaków i Boskiej Opatrzności. Można mieć tylko Nadzieję, że tak właśnie jest. A właśnie Nadzieja jest tą siłą, która kazała powstańcom chwytać za broń i iść do lasu. Walczyć z dubeltówkami w dłoniach przeciwko szeregom uzbrojonym w sztucery. Trzy były znaki Powstania Styczniowego: Wiara, Nadzieja i Miłość. Symbolizowane przez krzyż, kotwicę i serce.

Wszystko to, co działo się w Polsce A.D. 2015, niezależnie od wyniku drugiej tury wyborów parlamentarnych, dało Polakom poczucie, że jest nadzieja na głębokie zmiany. Już jesienią.

Przytaczając słowa Murawiewa z roku 1865: „Wśród Polaków znowu wzrastają nadzieje, iż systemat rządowy zostanie osłabiony". Trzeba zapamiętać nastrój przedwyborczego entuzjazmu. Może on oznaczać to, że zaczyna się „nowa era życia polskiego".

Na łamach „Przedświtu" z grudnia 1898 roku Józef Piłsudski pisał o odsłoniętym w Wilnie pomniku Murawiewa „Wieszatiela". Nie mógł się pogodzić z symbolem rosyjskiego panowania nad Polakami i z tym, że w odsłanianiu pomnika oprawcy brali udział polscy „ugodowcy". Jako przykład tego, jak powinien zachować się Polak, podał uczniów II gimnazjum. Ci zostali zgromadzeni w klasie, gdzie po lekcjach mieli wysłuchać odczytu o generał–gubernatorze i zasługach „Wieszatiela". Chłopcy postanowili natychmiast, wszyscy razem pójść do domu. Okazało się, jednak, że drzwi do klasy zastali zamknięte. Nie poddali się jednak. Zaczęli tłuc w nie barkami, kopać, pchać z całą mocą. W końcu udało się im je wyłamać. Uciekli przed kłamstwem, ohydą, znieważaniem Polski. To był piękny odruch. Samo zaś zamknięcie na klucz i forsowanie drzwi było – w tej małej skali – jak ciągła polska walka o prawdziwy wymiar wolności.

Parę lat później natomiast opisał Piłsudski, tym razem w „Walce" jako to władza usiłuje ukryć swoją prawdziwą twarz. Użył do tego metafory związanej z Murawiewem. I z pomnikiem stojącym na placu Dworcowym. „Przyzwyczailiśmy się widzieć rządy carskie na Litwie takimi, jakie są one przedstawione na pomniku, stojącym na placu Dworcowym – w postaci obrzydliwego, złośliwego buldoga – Murawiewa z pałką w ręku. I oto ten wściekły buldog zaczyna wyszczerzać do nas zęby nie w zamiarze złośliwego ugryzienia, lecz w celu okazania nam swej łaski i dobroci. Buldog chce się uśmiechać do nas dobrodusznie i nawet chce chować swą pałkę za plecy".

I ta właśnie schowana za plecy pałka, oraz wyszczerzone zęby buldoga – który po przegranej pierwszej turze zaczął nagle Polakom obiecywać złote góry, uśmiechać się do nich i składać różnorakie obietnice – może się tej wiosny jawić jako niezwykle trafna metafora

użytego przez Piłsudskiego porównania, doskonale wpisująca się w obecny stan rzeczy.

[wSieci, nr 21/2015]

„Lepsza nam kula niźli takie życie!”
Rzekli, powstali, rozbroili zbirów;
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie.
Błysnęła ku nim ziemia łez i kirów.
Potem pustynia, skąd nie ma wychodu,
Bój, gdzie szczęśliwsi giną, męki głodu
I znowu dawne pęta. Sąd otwarty…
Dla katów spisy żeru… Czy słyszycie?
Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwarty!

PADŁY cztery strzały i cztery kule dosięgły przywódców powstania. Wówczas, na Zabajkalu, na dalekim Sybirze, w 1866 roku, zakończyło się naprawdę Powstanie Styczniowe. Zakończyło się w miejscu, do którego zawsze z bólem i smutkiem biegły polskie myśli. Tam, gdzie w kopalniach Nierczyńska, nad Obem i w Irkucku, tysiące kilometrów od rodzinnych domów żyli zesłani rodacy.

Powstanie zabajkalskie można uznać za ostatni romantyczny, iście straceńczy odruch niepoddających się nigdy i nikomu potomków Piastów, Jagiellonów, Batorych i Sobieskich. Odruch tragiczny i wymowny tym bardziej, że rozpoczęty tak daleko od ojczyzny, w sercu sybirskiej pustyni.

Pierwsze myśli o zorganizowaniu powstania na Syberii zaczęły kiełkować w środowiskach zesłańców postyczniowych. Jednym z ludzi zaangażowanych w robotę konspiracyjną był niegdysiejszy student Szkoły Sztuk Pięknych Karol Nowakowski. Ten sam, który przed kościołem karmelickim na Lesznie pierwszy raz zaintonował pieśń „Boże, coś Polskę” z kończącą frazą „Ojczyznę, Wolność, racz nam wrócić, Panie”. Ten sam, który uczestniczył w manifestacjach patriotycznych 25 lutego 1861 roku i 8 kwietnia 1861 roku. Ten wreszcie, który na placu Zamkowym bronił się przed rosyjskimi sołdatami wymachując krzyżem jak średniowieczną bronią.

Pierwsze lata po Powstaniu Styczniowym to czas, gdy na Syberię ciągnęły ogromne transporty więźniów. Henryk Skok szacował ich

liczbę na około 38 tysięcy. Jak pisał natomiast Michał Janik w 1928 roku, w fundamentalnej pracy sybirskiej „Dzieje Polaków na Syberii", do wschodniego Sybiru dotarło mniej więcej 11 tysięcy. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, rzemieślnicy i studenci, nauczyciele i artyści, oficerowie i mieszczanie. Niektórych osiedlano po wsiach, gdzie głodowali, nie mogąc znaleźć żadnej pracy. Jednak ten los był przeznaczony jedynie dla mniej groźnych wrogów cara. Większość zesłano do ciężkich robót. Polscy katorżnicy pracowali w warzelniach soli w Ust–Kucie nad Leną albo w rządowych zakładach odlewniczych, lub też budowali statki w Czycie. Janik tak opisuje tych z warzelni: „Półnadzy stali oni w lichym szałasie około olbrzymiego kotła i mieszali wrzącą, gęstą solankę długiemi włosami. W szałasie gorąco było piekielnie, ale przez otwarte na oścież drzwi dął na przestrzał mroźny wiatr, co przyśpieszało parowanie solanki…". W takich warunkach zesłaniec nie wytrzymywał więcej niż dwa lata.

Potem zaczęto zatrudniać skazańców przy budowie drogi nadbajkalskiej. I to tutaj w czerwcu 1866 roku wybuchło powstanie. Przygotowując się do niego, tocząc dyskusje, w którą stronę uciekać – czy na wschód do Kirgizów, czy też do Chin – zastanawiano się nad celem walk, najczęściej wiążąc go z przedostaniem się na teren dawnej Rzeczypospolitej oraz z wywołaniem innych ruchów powstańczych w kraju i w samej Rosji. Z Polakami kontaktowali się także, marzący o walce z caratem, rewolucjoniści rosyjscy.

Byli uczestnicy insurekcji styczniowej – często biorący czynny udział w walkach i potyczkach lub pełniący w niej inne funkcje, m.in. grupa „sztyletników" – pracując teraz na budowie *krugobajkalskiej dorogi* nie mogli się pogodzić z rolą niewolników, którzy mieli budować państwo cara. Na taki los nie zgadzali się także trzej organizatorzy spisku: Gustaw Szaramowicz, Leopold Eljaszewicz oraz Edward Wroński. Według relacji Kazimierza Arcimowicza, którą przytacza Henryk Skok w książce o Zabajkalu „Polacy nad Bajkałem 1863–1883", plan był następujący: „po rozbrojeniu konwojów i sformowaniu spośród więźniów pracujących przy budowie drogi oddziałów powstańczych, zesłańcy mieli szybkim marszem posuwać się wzdłuż południowego brzegu Bajkału na Wschód. Powstańcy chcieli po zajęciu Posolska rozpocząć dalszy forsowny marsz na południowy wschód, by zdobyć Wierchniuedińsk, gdzie według rozeznania znajdował się skład broni. Gdyby się nie udało, oddziały miały przedzierać się w stronę granicy chińskiej". Inny wariant opisywał Arcimowcz tak: „Jeśliby się nam udało znaleźć poparcie ludu i mieć pod bronią do 5–ciu, 6–ciu tysięcy ludzi, zdolnych do walki, poszlibyśmy wielkim traktem do Irkucka, Krasnojarska, Tomska i potem do Kirgizów". Początkowo wybuch powstania planowano w jedną z najpiękniejszych

polskich dat – 3 maja. W końcu jednak wszystko zaczęło się 24 czerwca o 8 rano.

Zdarzenia, które kolejno miały miejsce, znamy w większości z relacji, jakie zachowały się w pamiętnikach. Niestety memuary te nie były tworzone przez ludzi uczestniczących w owych zajściach na bieżąco, stąd historycy nie mogą dokładnie ustalić ich przebiegu.

W każdym razie wiadomo, że zaczęło się wszystko od ataku zesłańców, pracujących przy budowie drogi, na swoich konwojentów. Po zdobyciu broni pomogli uwolnić się innej grupie więźniów. Zerwano kajdany i dość szybko uformowano kilkudziesięcioosobowe grupy powstańców. Zatrzymano się w odległości dwóch wiorst od Murina i Szaramowicz dokonał podziału na oddziały. Zdobytą na konwojentach i stacjach pocztowych broń przekazano niewielkiemu, osiemdziesięcioosobowemu oddziałowi kawalerii, a dowództwo nad nią objął Leopold Eljaszewicz. Szaramowicz wysłał ich jako ariergardę w stronę Miszychy. Po drodze znowu rozbrojono napotkanych konwojentów wozów pocztowych. Powstańcy wzięli ich jako jeńców, zostawiając tylko na drodze dwóch esaułów rosyjskich, Czemiajewa i Szaca, z pokwitowaniem za skonfiskowane 250 rubli. Na pokwitowaniu napisali – „Syberyjski Legion Wolnych Polaków". Wyobrazić sobie trzeba zdumione miny Rosjan odczytujących ten napis.

Tymczasem irkucki gubernialny naczelnik wojenny dostał wiadomość sztafetą od chorążego Ważewa, który uwiadamiał zwierzchność, że Polacy chwycili za broń. Wtedy zaczęło się polowanie. Przeciwko niewielkiej grupie polskich powstańców, w większości uzbrojonych jedynie w kosy, zaczęły ściągać z różnych stron rosyjskie oddziały wojskowe. Stoczono kilka potyczek, w których powstańcy złapani w pierścień okrążenia musieli walczyć niemal jak termopilscy Spartanie. Często dokonywali szaleńczych wręcz akcji, zaatakowano np. w trzy osoby cały rosyjski oddział, a wykorzystując osłupienie żołnierzy, zabito kosą stojącego na ich czele dowódcę. Nota bene ów Rosjanin, porucznik Porochow, stał się dla Rosjan symbolem bohaterskiej walki z polskimi „bestiami". W końcu jednak zdecydowano się na ucieczkę, i aby zwiększyć swe szanse, podzielono się na kilka mniejszych grup. Za nimi, jak za stadem wilczym podążała obława. Polacy „błądzili po stepie pagórkowatym i piaszczystym, gdzie wody nie było, jedli trawę i pili urynę". Tym, których złapano, jak relacjonuje Wilhelm Buszkata, „wiązano ręce, potem razem po kilku związywali, kładli na wozy, nie dozwalając wysiadać, tak że na tym nieszczęsnym wozie, nie ruszając się z miejsca, musiano wszystkie zaspokajać potrzeby. Tak ich przewieziono do Czyty, skąd odprawiono do Irkucka. Po drodze łajano, znęcano się, obrzucano błotem i kamieniami".

Oddział Karola Bartolda – siedemdziesiąt dwie osoby, trzydzieści sztuk broni palnej, trochę chleba i herbaty – został zdradzony i wydany kozakom przez „gościnnych Buriatów". Z kolei partia Kotkowskiego liczyła jedynie dwudziestu czterech ludzi. Szli ku Śnieżnej. Karmili się mięsem końskim. Musieli w końcu się poddać, gdyż byli tak wyczerpani, że dalsza droga nie była już możliwa. Buszkat opisał również gehennę ucieczki oddziału, w którym byli Szaramowicz i Eljaszewicz. To opowieść o prawdziwych herosach i o okrutnych okolicznościach, z jakimi musieli walczyć – strasznym głodem, zimnem, brakiem wody. „Nocowaliśmy wśród skał, nie mając nawet wody. Szaramowicz, chcąc rozweselić towarzyszów, próbował zanucić: *Jeszcze Polska nie zginęła…* Ale głos jego, ochrypły, zmieniony, dobywał się jakby z rozbitej i zeschłej piersi". I ten oddział w końcu złapano…

Los tych wszystkich Niezłomnych, sens ich działania, ich wiara w najwyższe wartości, ich miłość do wolnej Polski, ich niezgoda na kompromisy, to duchowy fundament, na jakim wyrastali ich następcy. Powstańcy zabajkalscy to Żołnierze Wyklęci epoki Powstania Styczniowego.

Po dwumiesięcznym śledztwie prowadzonym w Irkucku, sąd skazał polskich powstańców na dodatkowe kary katorgi oraz chłostę. Natomiast czterej przywódcy Celiński, Rejner, Szaramowicz i Kotowski usłyszeli wyrok – śmierć przez rozstrzelanie. Pozwolono im jeszcze napisać listy do rodzin, które nigdy do adresatów nie dotarły. Eugeniusz Niebelski przytacza ich fragmenty w pracy „Polscy buntownicy straceni w Irkucku po powstaniu nadbajkalskim 15/27 listopada 1866 roku". Pisał Narcyz Celiński do brata: „Donoszę ci wiadomość niezbyt wesołą. Za wypadki zabajkalskie sądem wojennym skazany zostałem na utratę życia. Żegnam Ciebie, Bracie, siostry i wszystkich krewnych.". Władysław Kotkowski i Jakub Rejner wspominali o szczegółach śledztwa, a do tego dodawali zapewnienia o miłości i błogosławieństwa od tych, którzy żegnają się ze światem. Kotkowski: „Gdy te słowa kreślę, był kapłan u mnie już dwa razy, pocieszając słowami religii i spowiedzi dokonanej, a w komunii przyjętej wlał w serce moje pociechę". Rejner skreślił takie słowa: „[…] nie płacz i nie smuć się Kochana Matko i Wy Bracia i Siostry – Bogu się spodobało, niech się dzieje wola Jego.". I dodał: „[.]módlcie się za mnie i błagajcie Boga, aby przebaczył mi wszystkie winy moje, jak ja przebaczyłem moim nieprzyjaciołom". Najbardziej poruszający jest list Szaramowicza do ojca: „[…] ach! Wiele uczyłeś, ale z nauki tej dwie tylko wyniosłem rzeczy – to przyjaźń, szacunek i miłość do Ciebie, i uczciwość – i nigdy już nie rozminąłem się z nimi – a teraz umieram trochę wcześniej, jakby należało, to głupstwo, mój przyjacielu. […]

Umieram z samopojęciem, z pokojem i z poddaniem się woli opatrzności – i możesz żałować mego życia, ale rumienić się za niego nie będziesz. […] Na szacunek też tylko pracowałem całe życie moje; o miłość ludzką nie dbałem; litością ich brzydziłem się; uległością brzydziłem się takoż nieraz, a szacunek radzi nie radzi dać muszą – bo przyczyna jego we mnie. Więc czegóż mam żałować? Was, Was i tylko Was!".

List kończył się słowami – „Kraj mój, Ty i Matka – oto ostatnie myśli moje".

Te myśli uniósł jego duch ku Bogu, gdy kula przeszyła mu pierś. A list? Tak jak pozostałe trafił na biurko cara Aleksandra II. Do nich dodana była adnotacja skreślona ręką rosyjskiego urzędnika: „Główni przywódcy buntu […] napisali do swoich krewnych listy, w których zawiadamiają ich o bliskiej śmierci, nie wyrażają skruchy, a żałują tylko swego kraju i tego, że kości ich pozostaną w obcej ziemi". Czytał więc car słowa napisane przez Szaramowicza do ojca. Czytał i pożegnania Kotkowskiego: „Bywaj mi zdrów, kraju ukochany, Ojcze i Matko". A potem pięścią je przygniótł do stołu i wydał rozkaz – schować, nie wysyłać! I tak zrobiono. Przetrwały najpierw w archiwach rosyjskich, potem w radzieckich. Minęły rewolucje i kolejne wojny. Umarł Stalin. Nadeszła odwilż. Wtedy dopiero polscy historycy odnaleźli je w Moskwie. Po raz pierwszy ujawnił ich treść w 1963 roku Henryk Skok. Ale nie są powszechnie znane. Tak, jak nie jest znana historia powstania zabajkalskiego. Trzeba więc o nim przypominać i od nowa czytać słowa z listu Szaramowicza do ojca. Ten list jest jak testament. To jest także list do nas. To pytanie do każdego polskiego ojca: czy tak wychowasz synów, by zawsze byli wierni tym dwóm wartościom – miłości i uczciwości? To także pytanie, które każdy z nas musi postawić samemu sobie. Czy w ostatniej chwili, gdy już opatrzność położy mi rękę na ramieniu, będę mógł ze spokojem szepnąć do swoich kochanych dzieci: „Więc czegóż mam żałować? Was, Was i tylko Was!".

Sławo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem,
Których sumienia głos syren utula,
A tym co naród chcą zbawiać spodleniem,
Powiedz: Niż takie życie – lepsza kula!
Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu
Wynosić słupów ze wspólnego domu,
By w ciasnym szczęściu na chwilę utonąć.
Niż obcego ciała stać się cieniem,
Lepiej jak gwiazda we własnym ogniu spłonąć!

KORNEL UJEJSKI, 1867

[wSieci, nr 06/2015]

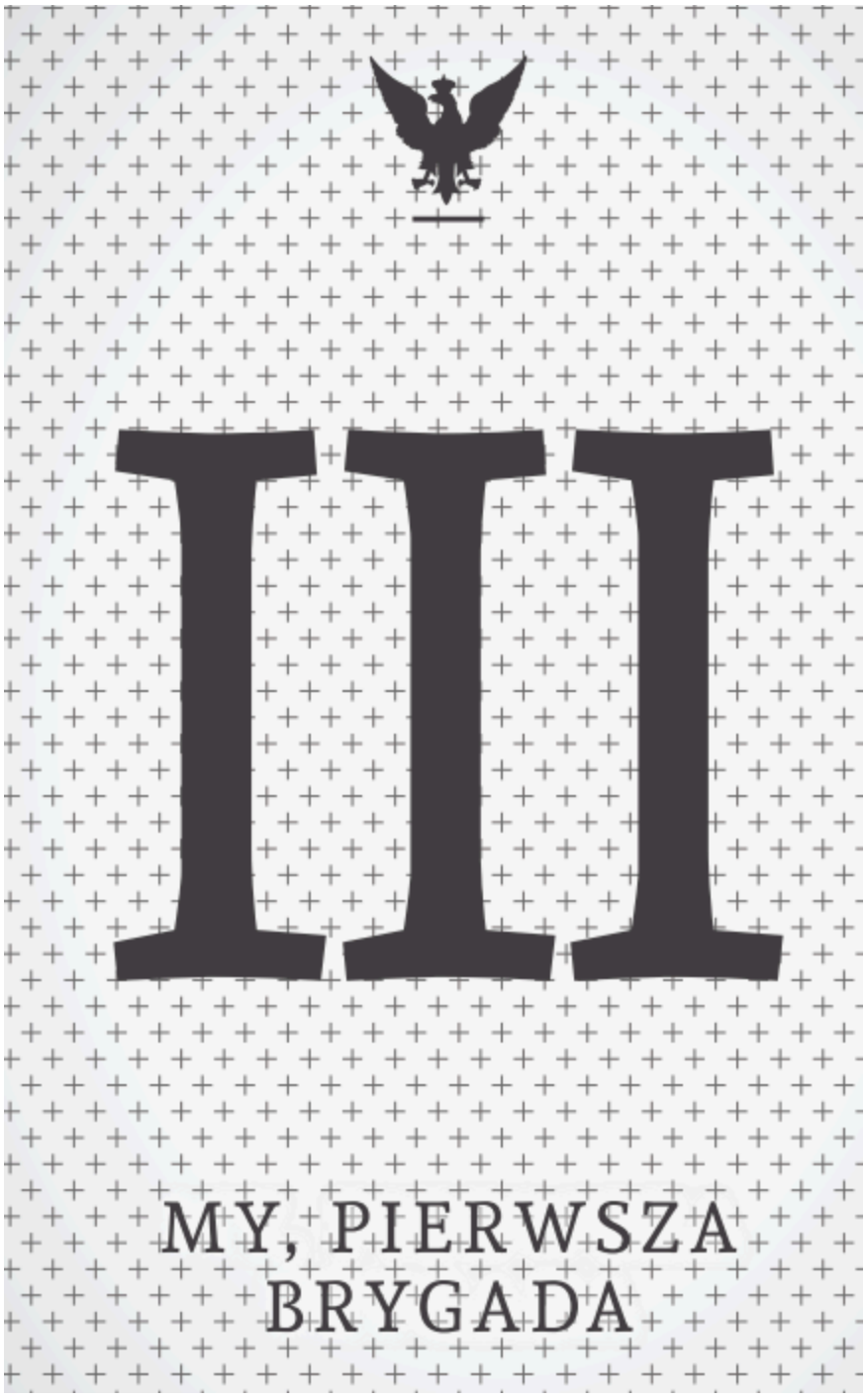
III
MY, PIERWSZA
BRYGADA

ARCYKSIĄŻĘ I MIŚ

NA początek można sobie wspomnieć czapki uczniów, którzy w roku 1913 paradowali po Sarajewie, a do każdej z nich mieli doczepioną nazwę miejscowości zajętej przez Wielką Serbię. Potem można pomyśleć o konstytucji Bośni i Hercegowiny z 1910, zawieszonej przez cesarza austriackiego. Potem trzeba sobie jeszcze wyobrazić, co czuli Serbowie akurat tego dnia, 28 czerwca roku 1914, gdy na dworcu kolejowym wysiadł następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand wraz z małżonką Zofią von Chotek. Bo to nie był dzień zwykły, lecz szczególny. Rocznica średniowiecznej bitwy na Kosowym Polu – okazja raczej do smutnej zadumy i rozpamiętywania klęski, niż do radosnego rzucania czapki w górę i wznoszenia okrzyków na cześć arcyksięcia. Sam Franciszek Józef nie przyjechał, bo zmogła go choroba. Ten bakcyl atakujący płuca można by dopisać do listy tzw. przypadków, które doprowadziły do tego, że dzień Świętego Wita przeszedł do historii jako ten, który uruchomił lawinę wypadków, która znalazła swój finał w wybuchu Wielkiej Wojny. Wojny, która przyniosła śmierć milionów ludzi, a nam, Polakom, w efekcie umożliwiła odzyskanie Niepodległości. Sam zamachowiec, niemający nawet dwudziestu lat młodzieniec Gawriło Princip, nie stanowił wcale typa o cechach heroicznych. Można odnieść wrażenie, że i on sam był jedynie narzędziem w rękach ślepego losu…

Wysiadający z pociągu w Sarajewie arcyksiążę Ferdynand może się jawić, jak postać z bajki Andersena, w której istotną rolę odgrywa okrutny los, fatum o sile sofoklesowej. Oto Generealny Inspektor Sił Zbrojnych, bratanek cesarza, w otoczeniu świty, podając rękę małżonce wsiada do jednej z limuzyn. Usłużny szofer zerka w słoneczne niebo i otwiera składany dach. Kawalkada rusza. Nikt nie wie, że w tłumie stoi kilku zamachowców. Każdy z nich czeka na przejazd arcyksięcia i każdy z nich będzie go usiłował zabić na własną rękę….

A tego samego roku, w czerwcu 1914, w jednym z mieszkań we Lwowie, żył sobie Miś. Poetka Bronisława Ostrowska nazwała go „Misiem Niedźwiedzkim”. A raczej tak misia ochrzciła właścicielka, kilkuletnia dziewczynka Hala, bohaterka książeczki… W zupełnie zwariowany sposób można by zauważyć, jak losy prawdziwego arcyksię-

cia i zupełnie wymyślonego misia splatają się w pewną niezwykłą opowieść. Arcyksiążę jedzie wielką ulicą Sarajewa, patrzy na wiwatujące tłumy i co pewien czas mierzy wzrokiem policjanta, który zabezpiecza przejazd. A miś patrzy na polski dom, na dzieci, rodziców, a nawet meble w pokoju i będzie opowiadał w pięknej przedwojennej książeczce o swoich wojennych losach. Tak, ten miś jest całkiem wymyślony. Ale setki, tysiące dzieci polskich zasypiały z główką na poduszce, gdy mama czytała im o przygodach „Bohaterskiego misia". I dlatego ma on pełne prawo do opowiadania o wydarzeniach z czerwca 1914 i dzisiaj. Tak więc Miś urodził się w roku 1910, w rocznicę wygranej przez nas bitwy pod Grunwaldem. I dlatego ma to wypisane na swojej obróżce. Ta jego obróżka, z wyrytym rocznicowym napisem to tylko znak, symbol tego, kim jest Miś. Albo kim się stanie. Poznajemy go właśnie w roku 1914, tuż przed wakacjami. Wtedy, gdy sunął po sarajewskiej ulicy odkryty samochód z arcyksięciem, a kierowca trzymał spokojne dłonie na kierownicy i mrużył oczy od oślepiającego słońca. Miś oczywiście nie wiedział tego, że na trasie przejazdu następcy tronu czaili się zamachowcy z organizacji „Czarna Ręka". Pierwszy z zamachowców Muhamed Mehmedbasić nie rozpoznał, w którym z samochodów jedzie następca tronu. A kolejny, Vaso Cubrilović po prostu stchórzył. Trzeci, o imieniu Nedeljko, uprzejmie zapytuje stojącego obok policjanta, w którym wozie jedzie bratanek cesarza. Po uzyskaniu odpowiedzi ciska granat. Granat zatacza koło, leci sobie w słońcu, jak wielki, ciemny cukierek. Kierowca przyśpiesza. Granat odbija się od złożonego dachu i ląduje z tyłu, eksploduje za samochodem, raniąc inne osoby, lecz nie czyniąc szkody samemu księciu. Jaki będzie dalszy los arcyksięcia i całego świata – można by spytać w owej chwili? A nawet – jaki będzie los Polski i czy rzeczywiście od tego, czy granat wybuchnie tu, gdzie trzeba, zależy los całego świata? Może nie. Może to jedynie zabawka wyobraźni, a Wielka Wojna musiałaby nadejść tak czy siak, jak chce tego wielu historyków… W każdym razie ten, który miał się zapisać na kartach dziejów świata jako ten, który rozpętał pierwszą wojnę światową, Gawriło Princip, który stał jeszcze dalej, słysząc wybuch, odszedł sobie spokojnie. Sam zamachowiec, ten od granatu, połknął cyjanek, lecz ten nie zadziałał, a następnie wskoczył do rzeki, by w ten sposób się zabić. Rzeka była jednak bardzo płytka. Terrorysta stał więc w wodzie po kostki. Bez trudu można było go schwytać.

Miś z przedwojennej książeczki, gdyby zobaczył zamachowca stojącego po kostki w wodzie, na pewno by się z niego śmiał. A był to, jak pisze poetka „najdoskonalszy z misiów". Taki wspaniały, polski miś – patriota.

Zostawmy więc na chwilę bośniackich zamachowców. Niech piją wino w knajpie w Sarajewie i czekają na działanie fatum. Przyjrzyjmy się Misiowi.

Był rok 1910. Świeżo „narodzony" Miś patrzył sobie w lustro. A to mu odpowiadało z nieznośną wyrazistością Kasandry. Powiedziało Misiowi, że powstał z tego co polskie. Druty i sprężynki były żelazem w naszej ziemi. Wełna jego grzbietu powstała z polskich owiec. W paciorkach oczu „stopiły się ździebła piasku morskiego". Zwierciadło rzekło: „Dzięki temu to tylko wszystkiemu, czym byłeś, myśli, patrzy i słucha za ciebie. Jesteś starą prawdą i nowo narodzonym żartem". A potem dodało: „Przed Tobą, jak przed każdym z nas, stoi jedyny, najzaszczytniejszy cel, służyć człowiekowi. Do tego celu idź!".

Zaskrzypiały podłogi, zastukały buty. Do sklepiku weszli jacyś ludzie. I Miś wtedy zaczął czekać, na to, co się stanie – „Wiem, idzie los" – powiedział sam do siebie.

I czekał do następnego dnia. Miś powiedział do siebie: „Więc tu przyjdzie po mnie jutro los. Jak go poznam w tym barwnym, wciąż zmieniającym się tłumie? Jak wyglądać będzie? Jak przemówi? Ale przede wszystkim – czy przyjdzie. Przyszedł. Na imię mu było Hala. Miał siedem lat, okrągłą różową buzię, niebieskie oczy i dwa płowe warkoczyki z czerwonymi kokardami".

Gawriło Princip siedział sobie w kawiarni. Razem z kolegami z podziemnej organizacji opijał smutny koniec akcji terrorystycznej. Podobno zamówił także kanapkę. W tym samym czasie przed ratuszem pojawił się arcyksiążę. Był zły. Namawiano go, by w ogóle już nie jeździł po mieście, gdyż istniało wciąż ryzyko zamachów. Jednak uparł się, żeby jechać. Ustalono więc trasę. Samochody ruszyły. Na jednym ze skrzyżowań kierowca Leopold Lojca zawahał się i skręcił. Nie w tę ulicę co trzeba. Właściwie, gdyby szukać tej chwili, w której starożytne fatum wisi wielką chmurą nad słonecznym Sarajewem owej niedzieli, to mogłoby to być na tym skrzyżowaniu. W tym ułamku sekundy, gdy ręka kierowcy ciągnęła kierownicę w lewo lub prawo, uruchamiał się zapalnik, który miał doprowadzić do wybuchu wojny – do Verdun, Sedanu i setek tysięcy trupów leżących w okopach całej Europy. Wojna i tak by wybuchła, owszem. Ale jednak to, co miało się stać za chwilę, podpaliło lont.

Jednak po chwili, kolejna decyzja szofera miała jeszcze wyostrzyć obraz…

Miś bardzo pokochał swój polski dom. Staś, braciszek Hali, miał kilkanaście lat i był harcerzem. Razem z dziećmi Miś spędzał czas. A te dzieci. najwyraźniej bardzo kochały Polskę. Nawet, jak zrobiły Misiowi chrzciny, Staś wypowiedział nagle poważne słowa – „Misiu, jako wychowaniec harcerza z drużyny imienia Zawiszy powinieneś mieć

coś z rycerza, jako starannie wychowany i kształcony syn mojej siostry jesteś pierwszym niedźwiedziem, kierowanym na obywatela polskiego". Miś spędzał z dziećmi masę czasu – uczył się z nimi, zasypiał, tulił się do nich i nucił po cichu piosenki. A gdy w mieszkaniu lwowskim zostawał sam, słyszał jak meble rozmawiały ze sobą. I gdy w pobliżu nie było ludzi, wtedy gadał sobie z nimi także Miś. Ciekawe rzeczy opowiedziała mu stara szuflada.

Gdy działy się straszne wydarzenia na początku wakacji tego roku szuflada westchnęła – „Znowu wojna!". A potem dodała: leżał we mnie krzyż zasługi z napoleońskich wojen: ułański krzyż spod Somosierry. Chowałam rozkazy Rządu Narodowego i białą kokardę skrwawioną pod Grochowem. I dotąd kryje się we mnie paczka listów pożółkłych, przekradanych niegdyś lasami w sześćdziesiątym trzecim… – a to jeszcze mało?".

Na to odpowiedziała mahoniowa szafa: „To nie nasza wojna!. (…) Nie ma mundurów naszych i nie ma naszej wojny!".

I z kątów odezwały się – szabla ułańska, która krzyknęła: „Jeszcze jesteśmy my!", i karabinek strzelecki, który odpowiedział identycznie: „Jeszcze jesteśmy my!".

A Miś? Miś zaczął się zastanawiać, co w tej chwili przyniesie los? A po chwili „z lekcji historii, gawęd ideowych i z tylekroć słyszanego gorącego bicia serc dzieci" zaczęła w nim kiełkować pewność.

A wtedy, gdzieś, spomiędzy wiszącej broni, odezwał się wiszący na ścianie ryngraf:

„Każda wojna musi być naszą, jeżeli można walczyć w niej o Polskę".

Dzieci wyjechały na wakacje, a miś został sam w mieszkaniu. Czekając na to, co przyniesie los.

Gawriło Princip, siedzący w kawiarnianym ogródku, ze zdumieniem patrzył na toczący się kilka metrów od niego samochód z arcyksięciem i jego małżonką na tylnym siedzeniu. Być może odłożył kanapkę, może odstawił kieliszek z winem. Ale nie zdążyłby strzelić, gdyby limuzyna się nie zatrzymała. Kierowca bowiem stwierdził, że. wjechał w niewłaściwą uliczkę. I postanowił zawrócić. Zaczął więc wykręcać, kilka metrów od siedzących w kawiarni zamachowców. Princip wziął pistolet, wstał, wyszedł na ulicę i strzelił z bliskiej odległości. Był zdenerwowany, źle mierzył. Żonę arcyksięcia zabił na miejscu. Sam Franciszek Ferdynand jeszcze żył, ranny w szyję. Oddał ducha kilka godzin później. Princip próbował się otruć cyjankiem, lecz mu się nie udało. Został schwytany… Zdawać by się mogło, że gdyby w tej sytuacji, mając zawracający przed sobą samochód arcyksięcia, nie strzelił, Los musiałby już chyba samemu złapać za pistolet i wypalić. Bo nie dało się już mocniej zbliżyć ofiary do kata.

Miś siedział zdenerwowany w pokoju. I nasłuchiwał odgłosów, jakie wydawały druty telegraficzne za oknem. W końcu zwrócił się z pytaniem, co się dzieje, do stojącego w pokoju aparatu telefonicznego. Ten zaczął mu wyjaśniać przyczyny nadchodzącej wojny: „Jaka wojna? Austrii, oczywiście że Austrii. Z kim? – Z Serbią. Dlaczego? – Zamordowanie arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Daleko. Tak jest.”.

Potem dla Misia płynęły długie lipcowe tygodnie spędzone na czekaniu. Dzieci wyjechały. Nie wracały. Miś tymczasem nasłuchiwał odgłosów nadchodzącej wojny. W końcu zza okna usłyszał śpiewy żołnierzy. Druty telegraficzne wyrzucały coraz nowe wiadomości. O tym, że Niemcy. Że Anglia. Że walczy Austria z Rosją. „Mapa płonęła”.

I Miś pytał: „A my? A Polska?”.

I po dyskusjach słyszy postanowienie – „ z każdym, byle o Polskę!”

W mieszkaniu pojawił się w końcu obcy. Rosyjski generał. Wziął Misia do ręki, a bohaterski pluszak chciał krzyczeć, drapać, gryźć, ale nie mógł. Rosjanin okradł mieszkanie z różnych sprzętów domowych. I zabrał też Misia dla swojego Miszy.

Ale w końcu dzielny Miś trafił w ręce naszych polskich ułanów. Jakże się cieszył, jak płakał prawie z radości. A ci zaprowadzili go do. Dziadka. Ten patrzył na Misia spod sumiastych brwi, spoglądał żelaznym, ale ciepłym wzrokiem. I było jeszcze wiele innych przygód „Bohaterskiego misia” w książeczce napisanej przez Ostrowską. A w końcu „Niedźwiedzki” odnalazł swoją właścicielkę Halę.

Zamach na arcyksięcia Ferdynanda odnaleźć można w każdym podręczniku historii. Jedni twierdzą, że przypisano mu zbyt wielkie znaczenie. Rosja i tak parła do wojny, zbyt wiele rzeczy w stosunkach międzynarodowych było napiętych, by wojna nie wybuchła. Wybuchła by i tak. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zawracający nieporadnie samochód z arcyksięciem, tuż przed nosem już pogodzonego z porażką zamachowca, stanowi zdumiewający przykład na to, jak fatum potrafi wpływać na historię.

A czy można opowiadać o tym zamachu oczami i sercem pluszowego misia z przedwojennej bajki? Trzeba. Bo ten miś, był jak każde polskie dziecko. Był z każdym polskim dzieckiem. Ten miś to była tęsknota, marzenie, to była Polska opowiadana maluchom do poduszki, przed snem. Ten miś, z obróżką z napisem Grunwald. Miś jak Zawisza. A potem? Dzieci wychowane na bajce Ostrowskiej rosły, dojrzewały. I kochały Polskę. A gdy zdumiewały ich wydarzenia, które odczytywały, jako piętrzące się przed nimi nieodgadnione jeszcze koleje losu, usiłowały sobie odpowiedzieć na pytanie – co z tego wyniknie? Czego pragnie fatum? Co powinienem czynić? W jaką stronę iść? A potem w głębinach podświadomości, nie zdając sobie nawet

z tego sprawy, odnajdywały odpowiedź. Wskazówkę, jaką w 1910 roku, w zakładzie krawieckim nowo narodzonemu misiowi dało lustro: „Przed Tobą, jak przed każdym z nas, stoi jedyny, najzaszczytniejszy cel, służyć człowiekowi. Do tego celu idź!”.

[wSieci, nr 27/2014]

ANGLIKOM Wielka Wojna kojarzy się z jednym emblematycznym nazwiskiem. I z nagrobkiem na małej greckiej wyspie. Konflikt zbrojny lat 1914–1918, który całą Europę wyrwał ze spokojnego bytu, strącił z głów meloniki, a w twarze smagnął powiewem gazu bojowego, ma dla poddanych Korony twarz młodziutkiego Ruperta Brooke'a. Autor sonetu „Żołnierz" umarł w wieku zaledwie 27 lat. W tym roku obchodzono stulecie śmierci tego utalentowanego poety i z tej okazji stowarzyszenie jego imienia wydało książkę o romantycznej miłości Brooke'a i Phyllis Gardner, zatytułowaną „The second I saw You" („Sekunda, w której cię ujrzałem"). Rupert Brooke jest dla Anglosasów bodaj najsłynniejszym poetą wojennym, pomimo, że właściwie nie doznał trudów okopowego życia, jak inni włodarze dusz ludzkich, poeci okresu I wojny światowej, Wilfred Owen, Siegfried Sassoon, czy Isaac Rosenberg. Ten „smak" okopów był zresztą jednym z najwyrazistszych symptomów tego, że wojna stała się nagle zupełnie inna niż do tej pory. Wielotygodniowe trwanie w potwornych okopowych warunkach stanowiło często najtrudniejszy element bycia żołnierzem na frontach Wielkiej Wojny. O tym często się zapomina, szczególnie, gdy mówimy o naszej legionowej epopei tamtych lat. A przecież legioniści brali udział w tej samej brudnej wojnie, w której na śmierć szły miliony ludzi, zabijanych za pomocą niezwykle nowoczesnej artylerii czy broni maszynowej. Takie wynalazki z końca wieku XIX, jak karabin maszynowy Maxima stanowiły wrota do wojny zmechanizowanej, w której wroga można było kłaść pokotem, przejeżdżając po nim ogniem jak ostrzem kosy po zbożu. Tymczasem anglosaski symbol poetycki tej koszmarnej wojny zdaje się zupełnie do niej nie przystający. Brooke nie zdążył wziąć udziału w prawdziwej walce, nie zdążył wsłuchać się w gwizd kul nad głową, „nie zdążył" oddać życia w bitwie. Odszedł do lepszego świata w drodze na Gallipoli, gdzie dosłownie w kilka dni po jego śmierci zaczęło się jedno z najdłuższych i najkrwawszych starć tamtego czasu. Brali w nim udział także nasi rodacy, i to niestety po obu stronach konfliktu. W Dardanelach po stronie tureckiej walczyli więc Polacy z Adampola,

pośród lotników znajdziemy późniejszego twórcę naszego przemysłu lotniczego i dowódcę polskich sił powietrznych gen. Ludomira Rajskiego, a na rosyjskim okręcie służył Włodzimierz Steyer, który potem zyskał chwałę jako obrońca Helu na początku następnej strasznej wojny.

Natomiast Brooke, opisywany przez Yeatsa jako „najprzystojniejszy młodzieniec w Anglii" i „złoty wojownik", umarł w skutek… ukąszenia komara, po którym wdała się sepsa. Odszedł więc w okolicznościach zupełnie niewojennych. Jego ostatnie chwile na niewielkiej greckiej wyspie Skyros rozgrywały się w iście sielankowych okolicznościach – od morza powiewała łagodna bryza, słychać było cykady, a w powietrzu unosił się zapach ziół, drzewek oliwnych i suchej ziemi. Było cicho. Do dzisiaj grób na Skyros jest celem nieustannych pielgrzymek miłośników jego twórczości. Poeta stał się symbolem wojny być może także dlatego, że cały był ze świata, który właśnie ginął. Wykształcony w świetnej szkole, piszący do znajomych aktorek liściki z pytaniami „Kochanie, czy za bardzo się nie przepracowujesz?" był jednym z ostatnich śladów dawnej, odchodzącej do lamusa rzeczywistości. Jak pisze Paul Ham „W oczach współczesnych mu twórców z Grupy Bloomsbury (…) śmierć Brooke'a w 1915 roku pogrzebała ducha całej epoki".

W świetnym „Śnie o szpadzie" Stefan Żeromski porównuje śmierć dwóch żołnierzy – japońskiego i polskiego. Gdy za japońskim stoi Mikado wraz z całym podległym mu państwem, za żołnierzem polskim jest wykopana w ziemi jama na grób i nic poza tym, tylko beznadzieja, pustka. Za umierającym na Skyros młodzieńcem, urodzonym w Rugby w hrabstwie Worwickshire, stało wielkie Imperium Brytyjskie, nad którym „nie zachodziło słońce", które sięgało do krańców globu i miało kolonie na wielu kontynentach. Brooke walczył, ale jego kraj był silny i wolny.

A polski poeta–symbol z czasów Wielkiej Wojny? Józef Mączka? Mączka, gdy zgłaszał się do Legionów nie miał przed sobą i za sobą nic. Poza siłami duchowymi – wielką przeszłością narodu i przyszłością naznaczoną nadzieją. Ale jego ojczyzna nie istniała. Dopiero powstawały zalążki polskiego wojska. Jeśli Brooke zmarł niespełniony jako żołnierz bijący się za Anglię, to cóż mówić można o Mączce, który przeszedł trudny legionowy szlak z II Brygadą, a umarł tuż przed wyśnionym końcem, zanim wolność zaświeciła nam w okna pełnym blaskiem. On także nie zginął od kuli, odłamka szrapnela czy szabli rosyjskiej, lecz chory i dręczony objawami cholery.

Gdy Rupert Brooke płynął statkiem w stronę greckich wysp, w innym miejscu w Europie rozgrywała się walka narodu polskiego o swe istnienie. Podczas działań na Bukowinie, 24 grudnia w ziemiance ofi-

cerów świętowano Wigilię Narodzenia Pańskiego. Przyszykowano wieczerzę, choinkę, skromne dania, śpiewano kolędy. Centralnym punktem było ułańskie czako, wokół którego wiły się festony, gałęzie jedliny, błyszczały skrzyżowane kawaleryjskie szable. Czako miało wielką siłę symboliczną – swym kształtem wzorowane było na czapkach, jakie mieli na głowach napoleońscy szwoleżerowie. Pośród oficerów byli tam także kawalerzyści z plutonu sztabowego, do którego właśnie został przydzielony Józef Mączka. Z tego zresztą powodu nie wziął potem udziału w szarży pod Rokitną. Gwar, rozmowy, składanie życzeń – wigilijna atmosfera tchnie ciepłem i wspomnieniami z domów. I naraz wszyscy cichną, bo pośrodku staje ułan drugiego szwadronu kawalerii Józef Mączka. I wznosi improwizowany toast:

Wigilia – drzewko – stół – opłatki,
Wierzcie mi… wielka to godzina!
My – dzieci jednej, wielkiej Matki,
Wielka żołnierska dziś rodzina.
Gdy tu opłatek wraz spożywa,
Wierzcie mi – chwila… osobliwa

W Polsce! O jakżesz cudną bywa
Ta noc, w królewskiej śniegów szacie…
Tam każda chata dzisiaj – śpiewa!
Tam każde serce śpiewa w chacie
Pieśń, co w krąg echem się rozchodzi,
Wieszcząc radosne: Bóg się rodzi.

Mączka był wychowywany przez ojca, powstańca styczniowego – w duchu patriotycznym, poświęcenia i odwagi oraz tego, że Polska to coś niezwykle wzniosłego i pięknego. Franciszek Mączka uciekł z domu w wieku lat 13, by wziąć udział w bojach roku 1863. Mały Lulo, jak go zwano w rodzinie, szedł więc w duchowe ślady wyznaczone przez rodziciela. Już jako kilkulatek znał na pamięć patriotyczne wiersze i deklamował je z pamięci, a potem zaczytywał się w Żeromskim i Sienkiewiczu. Te wszystkie domowe wieczory, lektury, wspomnienia ojca, te śpiewy i recytacje ulepiły z niego najpiękniejszy wzór polskiego żołnierza – żołnierza–poetę.

Siłą słowa i siłą ducha przykuł uwagę oficerów na owym wieczorze wigilijnym. A w roku następnym ten poeta polskiej tęsknoty, poeta dawnej wielkości, neoromantyk, patrzył z bólem w oczach na szarżę ułańską pod Rokitną – piękny, bohaterski czyn kolegów z tego samego szwadronu, przeżywał ich śmierć oraz fakt, że dowództwo nie wierząc w skuteczność ataku, nie wsparło ułanów piechotą i nie wy-

korzystało zwycięskiego rajdu. Napisał wiersz poświęcony poległemu w szarży pod Rokitną:

Hej! Sokole ty jasny, urodny,
hej – rotmistrzu ułańskich ty rot!
W blask cię poniósł twój druh niezawodny,
Koń twój wierny – i szabli twej grot!

Przez całe swe krótkie życie, aż do śmierci we wrześniu 1918 roku, Mączka nie mógł sobie darować, że nie wziął udziału w tej szarży, że na poświęcenie i bohaterstwo kolegów mógł patrzeć tylko z daleka.

Nazywano go „księciem poetów legionowych", a jego jedyny tomik wierszy, zatytułowany „Starym szlakiem" był przez wiele lat uznawany za wielkie osiągnięcie polskiej poezji okresu walk o niepodległość. Zygmunt Nowakowski pisał, że ta „śliczna" książka „powinna pójść na całą Polskę w jakimś tanim, groszowym a ładnym wydaniu", że „powinna być nawet rozdawana za darmo" bo „te żołnierskie wiersze smakują jak razowy chleb". Poezje Mączki opisywano jako przepojone „szczerą, prostą, dziecięcą niemal" wiarą w Ojczyznę. Podkreślano element jego „niepokalanej, czystej i dziecięco prostej" duszy. Krzyczał przecież w strofach:

Wstań Polsko moja! Uderz w czyn!
Idź znów przebojem w bój szalony!
Już płonie ląd podziemnych min –
Krwawą godzinę biły dzwony –
zerwane pęta – uderz w czyn!

Dzisiaj, wszelkim racjonalistom obecnego wieku, mogą się one wydawać nazbyt wzniosłe, patetyczne, sięgające nut romantycznych, lecz właśnie one oddawały najlepiej nastrój tamtego pokolenia. Bo pokolenie owych gigantów ducha, pod maską żartu i lekkiej legionowej pieśni, kryło serca ze spiżu i dusze uwzniośloné marzeniem. Te piękne dusze stanowiły klucz do odzyskania polskości i niepodległości.

I pewnie z tego względu Brooke'a i Mączkę można by uznać za wzorce, symbole żołnierzy–poetów dla obu narodów, gdyż mieli w sobie te cechy ducha, które wywiedzione zostały z narodowych etosów bohaterskich, z genetycznie wkodowanych sposobów przeżywania świata. Jeden poeta zginął w początkowym okresie wojny, drugi przeszedł trudną legionową drogę, która dla nas miała dodatkowy wymiar wydobywania się z niebytu.

Po traktacie brzeskim między Niemcami a Ukrainą z lutego 1918 roku, w którym utraciliśmy sporą część terytorium, Polacy byli wściekli na niedawnego sojusznika, a to, co się stało, zaczęli nawet nazywać rozbiorem. Mocno protestowała II Brygada, w której służył Mączka. Legion stacjonujący w okolicach Czerniowiec odmówił dalszej służby. Próbowano przebić się przez pozycje austriackie pod Rarańczą w stronę naszych oddziałów stacjonujących na Ukrainie. Ułani zostali schwytani przez Austriaków. Internowany został również Józef Mączka, ale po kilkunastu dniach uciekł, wykorzystując przebranie kolejarza. Po dwóch miesiącach wędrówki dotarł do II Brygady i walczył dalej. Wziął między innymi udział w bitwie pod Kaniowem. Ale wtedy znów trafił do niewoli niemieckiej. Zupełnie tak, jakby ta symboliczna niewola była wpisana w los Polaka–Żołnierza–Poety, jak fatum wiszące nad głowami naszych Konradów, należała do części wspólnego doświadczenia, budującego charaktery na równi z walką – wedle słów Komendanta Piłsudskiego, który w czasie kryzysu przysięgowego prosił legionistów, by tak jak walczyli za Polskę z karabinem w ręku, tak też potrafili iść za Nią do więzienia. Z niewoli niemieckiej Mączka także uciekł. Zaczął organizować na Ukrainie konspiracyjne działania Polskiej Organizacji Wojskowej. Kierował grupy zbieranych legionistów na Kubań, do generała Żeligowskiego. Wysłano go z też z pewną misją wojskową, która okazała się jego ostatnim zadaniem. W trakcie przedzierania się przez Kaukaz poeta zaraził się cholerą. Umarł, tak jak Rupert Brooke, daleko od Ojczyzny. Odszedł w męczarniach, w Paszkowej Stanicy pod Jekaterynodarem, czyli obecnym Krasnodarem.

Jego prochy sprowadzono do Polski dopiero w roku 1933. Przejazd trumny, okrytej polskim sztandarem, jej podróż przez dworce i ulice stanowił dla Polaków chwile o wielkiej wadze duchowej. Sam pogrzeb na warszawskich Powązkach stał się wielką manifestacją patriotyczną. I tak, choćby przez wymiar pogrzebu, który jednoczył Polaków nad trumną, stanął w jednym szeregu z największymi, którzy nawet po śmierci byli wysłannikami sił duchowych potrzebnych do trwania w dalszej walce o piękną Polskę.

Nad grobem wiatr przywiał mu strofy z jego wiersza „Ułańskie czako", pisanego „siostrom na pamiątkę wspólnych dziecięcych rojeń". Jest w tym wierszu nić łącząca wszystko. I dziecięce marzenia i wieczór wigilijny w okopach, gdy centralnym punktem dekoracji było czako „spod Somosierry". Gdy przeglądam zdjęcia rodzinne, jedno wzrusza mnie niepomiernie – to mój ojciec jako kilkuletni chłopiec, siedzi na koniku bujanym w przebraniu napoleońskiego żołnierza i trzyma w ręku ułańską szablę. Wzrusza mnie, bo wiem, że to już tam, w owym dziecięcym zachwycie rodzi się miłość do Polski. Pielę-

gnowana przez kolejne pokolenia i przekazywana przez ojców sadzających synów na bujanych konikach i dających im szablę do ręki. Jak pod Somosierrą. Ta szabla jest najważniejszym, symbolicznym narzędziem duchowym do stawania się Polakiem.

Pisał Mączka w „Ułańskim czaku”:

Brzękająca szabelka i srebrne ostrogi,
koń ułański z rozwianą na wywiadach grzywą –
śni mi się w godzinę tęsknot niecierpliwą,
w czas dzieciństwa mojego szczęśliwy i błogi:

Wiodłem nocą powstańców przez śnieżne zamiecie –
albo – z sercem bijącem i rozpłomienionem –
jechałem w świat szeroki pod Napoleonem
szukać sławy – i Polski dalekiej po świecie!

A gdy sen rozmarzone całował mi skronie
(o, naszych snów dziecięcych czarowna pieszczoto),
widziałem Polskę moją szczęśliwą i złotą
i dziedziniec wawelski, i Króla w koronie!

Wyśniła mi się szabla i ułańskie czako –
i legiony zwycięskie pośród obcej niwy –
i wszystko, co marzyłem, przyjęło kształt żywy,
chociaż może nie zawsze – nie zawsze jednako…

Więc żyję dziś na jawie, jako żyłem we śnie –
gdzie każdy dzień jest słowem stającej się baśni –
i już się dziś nie lękam, że sen się rozjaśni,
przyjdzie jawa – i usta wykrzywi boleśnie…

Tylko nie wiem… gdy głowę położę znużony
gdzieś wśród wrzawy wojennej – na krwawym zagonie
czy ujrzę w mgłach przedsennych – w słonecznej koronie
koniec bajki czarownej – w dzieciństwie wyśniony!…
na postoju, dn. 19 sierpnia 1916

[wSieci, nr 25/2015]

PORANNE SŁOŃCE ŚLIZGA SIĘ PO OSTRZU STALI

ŚWIT 3 sierpnia 1914 roku. Granicę rosyjsko–austriacką przekracza patrol kawaleryjski. Kawaleryjski tylko z nazwy, gdyż nie dosiada koni, a mundur ma na sobie tylko dowódca. Siedmiu mężczyzn jedzie dwoma wozami. Są jak siedmiu samurajów z filmu Kurosawy lub siedmiu rewolwerowców ze słynnego westernu. W obu historiach zapisanych na celuloidzie i należących do klasyki kina – chodziło o wyzwalanie wioski spod ucisku bandziorów. Podobna figura – można by rzec quasi–literacka, gdybyśmy nie mieli do czynienia z faktami historycznymi – powstała w wyniku rozkazu Józefa Piłsudskiego. Siedmiu ułanów wkroczyło do Królestwa jako forpoczta polskiego wojska. Są to – dowódca Władysław Belina–Prażmowski, Zygmunt Bończa–Karwacki, Stanisław Grzmot–Skotnicki, Stefan Hanka–Kulesza, Janusz Głuchowski, Ludwik Kmicic–Skrzyński i Zdzisław Jabłoński.

Udają się najpierw do dworu w Goszycach, gdzie spotkają Zofię Zawiszankę. Stają na niewielki popas. Szykują broń, konie, mundury. To początek „naszych bojów", które koniec swój znajdą 11 listopada 1918 roku, kiedy Ojczyzna odzyska wolność, całość, niezawisłość. Jadą więc na razie polscy ułani w stronę Jędrzejowa. Chcą „pogonić kota" Rosjanom, którzy jednak na samą wieść o zbliżającym się wrogu dają dyla. Już samo takie wspomnienie jest wiele warte. Tak jak i ta chwila, gdy cała siódemka leży w zbożu wypatrując konnicy rosyjskiej, a gdy ta nadjedzie wypadają na nią z zaskoczenia i… Rosjanie natychmiast podają tyły.

Tego samego dnia w Oleandrach Komendant Józef Piłsudski mówi do oddziałów Związków i Drużyn Strzeleckich:

„Odtąd nie ma strzelców ani drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie oznaki specjalnych grup. Jedynym naszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol pełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech strzelcy przypną do czapek blachy drużyniaków, a oddadzą im

swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami".

Przed nim stoi kompania piechoty. Pierwsza Kadrowa. Stu czterdziestu czterech ludzi gotowych iść za dowódcą na śmierć i życie. Kompania piechoty, która stanie się zalążkiem wolnej Polski. Za chwilę ruszy w bój. Zacznie się kolejne polskie powstanie…

Rozgorzał w ostatnich miesiącach, na nowo podjęty, spór o sens naszych powstań narodowych. Najpierw rozpaliła go sprawa okrągłej rocznicy Powstania Styczniowego. Potem, w sierpniu, oliwy do ognia dolała książka Zychowicza, szkalująca Powstanie Warszawskie i przykładająca temu zrywowi łatkę obłędu. Podobnie jak w wieku XIX, a przecież i w trakcie samych insurekcji, w opinii patriotycznej nastąpił podział, rozdarcie na dwa obozy. Gdyby sięgnąć do terminologii roku 1863, znowu zaczęli się pieklić „biali" na „czerwonych" i vice versa. Nic nowego. Przy wylewaniu kubłów argumentów na zwolenników myśli powstańczej, nie zapomniano podkreślać, że właściwie wszystkie nasze zrywy były przegrane i przyniosły Polsce jedynie kolejne represje a także coraz gorsze warunki niewoli. Jednocześnie nikt nie jest w stanie udowodnić, że inna droga byłaby lepsza. Z tego prostego powodu, że nie da się przeprowadzić symultanicznego eksperymentu historycznego, w którym Polska ze swoją specyfiką miałaby trwać ponad sto lat w stanie niewoli, bez ruchów powstańczych, a na koniec dźwignąć się z okowów dzięki jakiemuś nagłemu przypływowi patriotycznej krwi. W dodatku krytyka decyzji o wybuchu powstania z zasady jest obarczona błędem posthistorycznej analizy, w której nawet umysł naukowo do tego przygotowany może popełniać błędy wynikające z nadwiedzy w stosunku do bohaterów wydarzeń. W toku wielu krytycznych głosów częstokroć można było napotkać takie, które wskazywały, że jedyne wygrane polskie powstania miały miejsce w Wielkopolsce.

Obchodzimy kolejne Święto Niepodległości. Samo w sobie jest ono jednym z ważnych argumentów za tym, że ciąg polskich ruchów wyzwoleńczych, pewien tlący się i wybuchający nowymi erupcjami ruch irredenty państwowej, doczekał się w końcu radosnego zakończenia.

Jednocześnie tuż przed nami – niezwykła rocznica. Rok 1914 to dla całego świata rok wybuchu wielkiej wojny. Jednak o ile większość obserwatorów z namiętnością rozpatrywać będzie następstwa strzału wykonanego w Sarajewie przez Gawriło Principa, o tyle dla nas ów rok wiąże się z początkiem akcji, która doprowadziła do czegoś, o czym marzyły kolejne pokolenia Polaków rozdzielonych granicami państw. Gdy Pierwsza Kadrowa wyruszyła z krakowskich Oleandrów, o świcie 6 sierpnia 1914 roku, rozpoczęło się kolejne polskie powstanie. Akcja bojowa miała wszelkie jego cechy, i przez niektórych histo-

ryków tak też jest nazywana – jako „powstanie". O ile jednak raczej nie budzi wątpliwości kwestia przyznania racji stwierdzeniu, że sierpień 1914 to de facto kolejna insurekcja, dokonywana w dodatku w warunkach wymarzonych, gdy zaborcy wzięli się za łby, o tyle późniejszy los naszej armii nie jest uznawany za dalszy ciąg tej samej walki powstańczej. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Być może z tego względu, że nie powstała taka tradycja historyczna w II Rzeczypospolitej. Choć ciągłość myśli insurekcyjnej była wyraźnie przez samego Marszałka podkreślana. Dla niego i wielu innych 11 listopada 1918 roku był zwieńczeniem dzieła przodków. Pisał w roku 1932 Marian Dzięddzielewicz: „Po upadku powstania r. 1863 bohaterowie walki cierpieli niedostatek, lub żyli w katorgach, ale stokroć więcej bolała ich niewdzięczność tych rodaków, którzy unikali ich ze strachu przed władzami zaborczymi i represjami. Nasi bojownicy wolności jakże często musieli ukrywać blizny ran, gdyż w przeciwnym razie zostaliby wyklęci. Dopiero Komendant Józef Piłsudski przyznał im prawa wojowników narodowych i dał zaopatrzenie materialne".

Sierpień roku 1914 to wybuch Powstania Polskiego. Już sam ów piękny akt przepięcia orzełków, wskazania żołnierzom celu, który Piłsudski stawiał sobie od lat – odzyskanie niepodległości – był widomym jego znakiem. Nie było innego. Jedyną rzeczą, jaka interesowała Komendanta była polska Racja Stanu. Wszystko jej podporządkował. Śnił o Polsce. Oni, ta pierwsza kompania, śnili razem z nim.

Tak wspominał jeden z siódemki, przyszły dowódca naszej kawalerii Belina–Prażmowski: „Na noc stanęliśmy w polu pod wsią Prętocinem, ubezpieczając się jednym posterunkiem od strony Prętocina–Słomnik. Noc była ciemna. O świcie nasz posterunek zauważył w odległości paruset kroków posterunek nieprzyjacielski (…). Wobec tego wysłałem ponownie na zwiady i dla wyjaśnienia sytuacji Janusza i Bończę. Po powrocie zameldowali mi, że w Prętocinie odległym od nas o pół kilometra stoi szwadron pograniczników, że już są zaalarmowani i mają niezwłocznie opuścić wieś. Kazałem włożyć bagnety na broń i w tyralierze pomaszerowaliśmy na Prętocin. Szwadron nieprzyjacielski opuścił wieś bez strzału w kierunku wschodnio–północnym. Gdy przechodziliśmy koło kościoła, miejscowy ksiądz stał na wzniesieniu i żegnał nas krzyżem".

To błogosławieństwo krzyżem – jak z grafik Grottgera wzięte. I czy nie grottgerowski jest zapis w pamiętniku Zawiszanki, która gościła tych pierwszych polskich ułanów? „Po odbytej odprawie poszli chłopcy do kuźni ostrzyć bagnety. Niezwykły ten widok zrobił ogromne wrażenie w całym folwarku – a mnie przypominała się żywo scena kucia kos z »Kościuszki pod Racławicami«. Więc to nie sen, nie literatura, ale prawda żywa? Poranne słonce ślizga się po ostrzu stali…".

Pierwsza polska siódemka wróciła 6 sierpnia o świcie. A potem cała kompania stała w milczeniu, na baczność. Komendant chodził przed nimi i do każdego coś powiedział. Serca im łomotały. Wreszcie ruszyli. I w tej ciszy niezwykłej, po raz pierwszy od tylu lat, o bruk załomotały też buty polskich żołnierzy. A kiedy dotarli do słupów granicznych, rozbiorowych, zaczęli je wywracać.

Bolesław Wieniawa–Długoszowski napisał potem: „Odtąd już nie maszerowaliśmy, ale nas coś niosło – coś porywało". Niosło ich coś niezwykłego – miłość do Ojczyzny. Miłość niezwykła, pielęgnowana, hołubiona w patriotycznych polskich domach. Ona była siłą.

Po przekroczeniu granicy znaleźli się w tej części dawnej Rzeczypospolitej, która została zabrana przez Rosję.

„Kiedy stanęliśmy na szczycie wzniesienia, skąd szeroki roztaczał się widok na północ, na Królestwo, Kasprzycki zatrzymał i sfrontował kompanię, a stanąwszy przed frontem, zwrócił się do nas z następującymi słowami:

»Koledzy! Weszliśmy na ziemię Królestwa Polskiego jako pierwszy od 1831 roku oddział regularnego wojska polskiego. Powitajmyż tę ziemię po żołniersku!

– Baczność! Zakończył swe przemówienie już tonem komendy. – Prezentuj broń! Kompania w prawooo – patrz!«.

Stanęliśmy wyprężeni, z karabinami usztywnionymi u lewego boku, spojrzeniem żołnierskim, jak za Wodzem naczelnym, tak po ziemi przed nami leżącej, po ziemi kochanej wodząc. Naprzeciw nas, za skrętem w dół spływającej szosy, w dwurzędzie, niby kompania honorowa, na nasze powitanie wysłana, słała się aleja smukłych, strzelistych – rzekłbyś – również „na baczność" wyciągniętych topoli. Żarkie, wysoko już na niebie stojące słońce kładło swe błogosławiące promienie na tej ziemi, jakby w dreszczu oczekiwania zastygłej, na jej łanach złotych i łąkach szmaragdowych, na ukrytych wśród ciemnych sadów wioskach, na widniejącym na horyzoncie sosnowym lasku, zwierciadliło się w stawie opodal i w skocznych pętlach rzeczułki, a pewno i w naszych dygocących entuzjazmem sercach, jak w rozkołysanych pierwszym podmuchem wojennej zawieruchy, najwyższych falach morza Polski".

Poszli w stronę Kielc. Po drodze witała ich obojętność i pozamykane okiennice. Obojętność… W samych Kielcach już nieco większy entuzjazm. I po raz pierwszy – w tej opustoszałej, pozostawionej przez umykających Moskali ziemi pojawiła się Polska. O tej radości, niezwykle trudnej do opisania, niech świadczą słowa z pamiętników. Takie, jak młodziutkiego Wicka Solka, który oczekiwał nadejścia polskich żołnierzy. A gdy ich zobaczył, nie wierzył własnemu szczęściu.

„Coś mnie chwyciło za gardło, że ani słowa wydobyć nie mogę, śliny przełknąć. (…) Sztab stanął w gmachu gubernialnym. Przed gmachem grupa kawalerzystów. Jeden z nich na koniu stoi pod samą dzwonnicą z karabinkiem opartym na kolanie, w szaroniebieskim mundurze, w maciejówce z orzełkiem – piękny junak, model żołnierza polskiego – Wieniawa".

Pierwsza Kadrowa to był zalążek. Początek nie tylko armii, ale także przyszłe kadry mającego powstać państwa. Legiony zaś. były czymś więcej niż tylko wojskiem. Legiony to było zjawisko. Jakiś niezwykły, niebywały polski Duch ożywiał to nasze wojsko. Nawet austriaccy lekarze twierdzili, że Polacy z Legionów zachowują się w lazarecie inaczej niż pozostali żołnierze, że chcą jak najszybciej wracać na pole bitwy, nie symulują i mają w sobie przedziwną energię i pogodę ducha.

Tak było, gdyż ożywiała ich nadzieja na Wolną Polskę.

Zbyt duża „swoboda myślenia", jaką wykazywała się Pierwsza Kadrowa w pierwszych tygodniach istnienia, została natychmiast zauważona przez Austriaków. Postanowiono zdusić tę niezależną siłę, podporządkować ją i użyć jako wygodnego narzędzia do własnych celów.

Już 16 sierpnia w sali Magistratu Krakowa odbyło się zgromadzenie posłów do parlamentu austriackiego. Został powołany Naczelny Komitet Narodowy. Ten zaś podjął uchwałę o powołaniu do życia Legionów Polskich. I podporządkował je Austrii. W dużej mierze przekreślało to plany i marzenia Piłsudskiego o samodzielności polskich oddziałów. Zaczął się konflikt Komendanta z komendą legionową. I tu właśnie – na ogół – historycy dopatrują się upadku idei powstańczej. Tymczasem, wilczym prawem publicysty, który nie poprzez zimny ogląd wydarzeń, lecz patrząc okiem duszy na rozwój wypadków, mam możliwość dokonania własnej, subiektywnej interpretacji. Takiej właśnie, że przecież myśl wyzwoleńcza Piłsudskiego nie tylko nie została stłumiona, ale wręcz doczekała się natychmiastowych działań, które zmierzały ciągle do tego samego celu. Czyli Odzyskania Niepodległości poprzez walkę zbrojną. Jeśli w Kielcach powołano do życia Polską Organizację Narodową, a we wrześniu 1914 roku w Warszawie powstała Polska Organizacja Wojskowa, przecież trudno zaprzeczyć, że były to działania wymierzone w państwa zaborcze. Szlak bojowy Legionów, a jednocześnie praca konspiracyjna składały się więc de facto na jedno – ciągle trwało, w warunkach wojny światowej, polskie powstanie. Wszystkie poczynania Marszałka Piłsudskiego, także jego blef, który zastosował, mówiąc w sierpniu o ukonstytuowaniu się w Warszawie Rządu Narodowego (choć tego rządu wtedy nie było), miały charakter powstańczy.

Najdobitniej o jego intencjach mówią wykłady i odczyty o Powstaniu Styczniowym, jeszcze te sprzed wojny. Wiele razy powtarzane słowa o tym, że należy się szykować na dzień, w którym znowu staniemy do walki. Zurich, zima roku 1914: „…Powstania i ruchy zbrojne są udziałem każdego pokolenia od chwili ujarzmienia Polski. Tak musi być i teraz, gdy nadchodzi nowa próba. (…). Każde pokolenie polskie musi zdać swój egzamin, teraz przychodzi kolej na nas".

To niezwykłe, wspaniałe pokolenie polskie walczące w latach 1914–1918 wywalczyło dla nas Ojczyznę. Jak byli silni duchowo, czym stały się Legiony, świadczy chwila kryzysu przysięgowego. Wtedy wszyscy, posłuszni słowom Komendanta, poszli do więzienia za Ojczyznę. Jak i on sam.

A potem wrócił pociągiem. 10 listopada 1918 wysiadł. w Polsce. Na stacji Niepodległość.

Każde pokolenie musi zdać swój egzamin. Teraz przychodzi kolej na nas.

Polskie powstania świętowane są zawsze w rocznicę wybuchu. Może idąc tym tropem powinniśmy zacząć czcić rok 1914? Rok wybuchu najpiękniejszej polskiej insurekcji. Wygranego Powstania!

[wSieci, nr 44/2013]

„MINĘŁY już te pierwsze świeże dnie, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były bezcenną i bolesną. Dziś Polacy, jak wolny naród, w czasie wojny otwarli szczodrze tamę krwi i szeroko mogą wiązać wstęgi swej nowej sławy" – pisał Juliusz Kaden–Bandrowski w roku 1915, kiedy płynęła rzeka legionowej krwi poświęcanej na ołtarzu Ojczyzny. Nikt przyszłych losów wojny nie znał, nikt nie wiedział, jaki przyjdzie koniec – dobry i szczęśliwy, czy na powrót mroczny i ponury. Czy Polska odzyska życie? Czy powstanie z ponad wiekowego grobowca, nad którym siedzą czarne dwugłowe orły? Żaden z tych chłopców w maciejówkach, z tych młodzieńców, którzy rzucali naprawdę swe życie „na stos" nie był w stanie odpowiedzieć na te pytania. Ale trwali silni w wierze, że niestrudzona walka o Rzeczpospolitą ma sens, że nie można się poddawać, że z porażek trzeba czerpać siłę do dalszych zmagań. Wszystko się mogło stać… Nowa mogiła na setki lat, na wieczność… Niebyt państwa… Ufali jednak, że będzie inaczej. I ta wiara ich poniosła ku zwycięstwu. 11 listopada nadał sens, przypieczętował, usprawiedliwił wielką ofiarę irredenty polskiej.

Gdy w sierpniu roku 1914 z krakowskich Oleandrów ruszały w bój pierwsze kompanie nowo powstającego polskiego wojska, gdy przekraczały granicę z Kongresówką, by wzniecić kolejne polskie powstanie, legioniści nie byli jeszcze zwycięzcami. Żołnierze śpiewający dziarskie piosenki tworzone podczas tej drogi, mieli w sobie głęboką wiarę w sukces. Ale też pamiętali, że ich przodkowie, powstańcy listopadowi czy styczniowi płacili gorzką cenę za swoją walkę. Kończyli na szubienicach, przed lufami plutonów egzekucyjnych, ginęli w bitwach lub na całe dziesięciolecia znikali w zimnych otchłaniach Syberii. Wymarsz Pierwszej Kadrowej odbywał się niemalże w równą, pięćdziesiątą rocznicę stracenia na stokach Cytadeli ostatniego dyktatora Powstania Styczniowego Romualda Traugutta. Dzisiaj możemy odkrywać siłę tych jubileuszy zmagania się z polską historią – sto pięćdziesiąt lat od chwili, gdy Traugutt, stojąc pod szubienicą, ucałował po raz ostatni krzyż; sto lat od momentu, gdy Józef Piłsudski mówił pięknie do zebranych członków Związku Strzeleckiego i Drużyn

Strzeleckich, prosząc by wymienili wzajem znaczki na czapkach, aby tym gestem zaświadczyć o swej jedności w dążeniu do Wolnej Polski.

W 1914 roku wybuchło kolejne narodowe powstanie, które przez jednych historyków jest uważane za „przerwane" (L. Moczulski), a przez innych za wręcz nieudane, czy też takie, które wygasło, na skutek różnych czynników, m.in. stawianych na pierwszym miejscu chłodu i obojętności dużej części społeczeństwa polskiego.

W istocie najważniejsza pieśń legionowa, „Marsz I Brygady", jest hymnem smutnym i gorzkim, w którego tekście zawarta jest ostra ocena zobojętniałych rodaków. Jednak, patrząc na ostatni akord zmagań i dzień 11 listopada, należy to powstanie uznać za udane i wieńczące długi, zapoczątkowany przez Kościuszkę proces niestrudzonej polskiej walki o pełną wolność i suwerenność. Choć pierwszy powstańczy płomień nie rozpalił się szybko, to mimo wszystko iskra została rzucona. Powstały podporządkowane NKN–owi i Austriakom Legiony, polskie wojsko, które miało cel nadrzędny ponad strategicznymi celami wyznaczanymi przez austriackie sztaby. Tym celem była Polska Niepodległa. Za finał erupcji wolnościowej uznać można Bitwę Warszawską roku 1920, gdyśmy dopiero co wywalczoną wolność potrafili skutecznie obronić. Kluczem, kręgosłupem, źródłem sukcesu – był niezwykły duch legionowy. Gdyby nie wiara w to, że nieugięta walka o odzyskanie suwerenności ma sens, nic by nie przyszło z pozytywistycznych idei i mądrych w istocie postulatów pracy u podstaw, bo uśpiona, niechętna część społeczeństwa trwała w letargu, wierząc, że częściowa, namiastkowa wolność może wystarczać za całość.

Tych ludzi zamykających okiennice należałoby nawet jakoś rozgrzeszyć – w końcu nasłuchali się niemało utyskiwań współbraci i żalów związanych z powstaniami, aż uwierzyli w bezsens chwytania za broń. Ta wiara jest smutnym dowodem na to, że nie można ustawać w bojach.

Franciszek Rawita–Gawroński, publicysta, pisarz i historyk z zamiłowania, opublikował w roku 1902 pracę monograficzną poświęconą Powstaniu Styczniowemu na Rusi (F. Rawita–Gawroński, *Rok 1863 na Rusi,* Lwów 1902). Sama książka ma doskonałą wartość jako opracowanie historyczne. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na przepiękny do niej wstęp. Pisze w nim autor o krytycznych ocenach, jakie spadły na powstańców styczniowych. I rozpatruje kwestię POWODZENIA, jako istotną w kształtowaniu sądu. Pisze więc o takich „sędziach", którzy „uznają tylko jeden wynik za słuszny: powodzenie". Po czym dodaje, że w ich mniemaniu „kto przegrał sprawę, ten winien".

Rzeka oskarżeń i negatywnych osądów Powstania Styczniowego już w wieku dziewiętnastym, jeszcze podczas trwania samego zrywu,

płynęła ze strony „realistów”.

Słowa Rawity–Gawrońskiego, pisane na początku wieku XX, jeszcze przed zwycięskim powstaniem lat 1914–1918, brzmią niezwykle współcześnie i gdyby je zacytować bez podawania źródła, można by je uznać za pisaną obecnie polemikę z dzisiejszym obozem „realistów”, opluwających powstańcze próby. „Jakże się z tego cieszą nasi wrogowie! To właśnie jest największe zwycięstwo, jakie oni mogli odnieść nad nami i odnieśli – najmniej się spodziewając tego. Czyż władca może żądać większego tryumfu, jak wywołanie w obozie zgniecionego, lecz silnego jeszcze nieprzyjaciela, pogardy i lekceważenia dla własnych przywódców i takich sądów: nie ty jesteś winien, żeś nas z praw ogołocił, żeś przez sto lat rabował nasze mienie narodowe i wypełniał niem swoje muzea i biblioteki; żeś najlepszym obywatelom chleb od ust odrywał za to, że kochali ojczyznę, a karmił nim swoich kruków; nie ty jesteś winien, że nasze dzieci chowają się w twojej mowie i w kłamstwie, że mamy hamulec na ustach, że naszą wiarę i kościoły sponiewierałeś, żeś nam zagarnął nasz dorobek wiekowy – ojczyznę – lecz my jesteśmy pełni winy wobec ciebie i siebie, żeśmy podnieśli rękę, żądając abyś nam zwrócił, coś zabrał! Tak, my jesteśmy winni, bośmy nie mieli siły odebrać. My jesteśmy winni, żeś się stał dla nas surowszym i dzikszym, gdy nas pokonałeś orężem; że odebrałeś nam resztki mienia, trochę praw, jakie zwyciężeni mieliśmy z łaski twojej; myśmy winni, bo pomnąc na wolność dziadów, na świetną przeszłość, pragnęliśmy posiadać bodaj cząstkę tej wolności, jaką oni posiadali, a pracować dla własnej przyszłości, gdyż to nie godzi się z twoim celem i chęcią. Czy to nie ironia?”.

List ten, napisany ponad wiek temu, dzisiaj należy dać do przeczytania tym wszystkim, którzy z taką łatwością ferują wyroki na kolejne pokolenia powstańców. Zdaje się im, że stojąc z monoklem w oku, z rękami złożonymi na tył fraka, są jak postacie ze słów Nabielaka:

Patrzcie! Cóż my tu poczniem? Patrzcie, przyjaciele,
Otóż to jacy stoją na narodu czele!

Na to Wysocki, w III części „Dziadów”, odpowiada:

Powiedz raczej: na wierzchu! Nasz naród, jak lawa:
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi!
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!

Gdy dziwią się niektórzy, że potomek kata Warszawy ma czelność stawiać przed sądem Muzeum Powstania Warszawskiego za nazwa-

nie zbrodniarza zbrodniarzem, niech najpierw spytają, czy sami sobie krzywdy nie czynimy, nazywając walkę o Wolność „obłędem”? Czy sami siebie nie spotwarzamy, gdy błotem obrzucamy tych, których winniśmy czcić? Gdy w dniach, gdy Marszałek Józef Piłsudski winien być na ustach wszystkich Polaków, w sercach wszystkich Polaków, mówić będziemy o „sanacyjnej dyktaturze” lub wspominać o „klęsce” powstania 1914 roku?

Rawita–Gawroński polemizował z krytykiem powstania, historykiem Walerym Przyborowskim, który pisał, że jeśli upadali jedni powstańcy, to „z ciemności strasznego jutra wyłaniały się już blade postacie ludzi nowych, widma zawieruchy, upiory krwi i pożogi, szaleńcy pożerani chorobliwą gorączką czynu, osobistości nikomu nieznane, młodzieńcy bez wąsów, a nade wszystko bez głowy i serca, którzy w imię najsłodszej narodowi idei, wypieszczonej przez długie lata niewoli i ucisku, skazywali ten naród na całopalenie, jak wdowie indyjskiej po śmierci męża, kazali Polsce umierać na stosie po utracie jej bytu politycznego”.

Nie przypisywał jednak Gawroński niecnych pobudek autorowi „Historii dwóch lat”. Wręcz przeciwnie, podkreślał, że jego słowa są słowami pełnego troski patrioty, który jednak „jednym pociągnięciem pióra” potępił „ludzi i ich czyny, nie bardzo snadź zdając sobie sprawę z tego, że potępia niesłusznie i potwarczo cały naród i ową »najsłodszą narodowi ideę« wolności i niepodległości”. Zaraz potem dodawał: „Tak myśli i czuje nie ta dawna, wielka, silna polska dusza, lecz zatruta stuletniem obcowaniem z Moskwą, a wykarmiona tylko goryczami niewoli”.

Ta diagnoza dziwnej choroby duchowej, która pewne rzeczy zakrywa mgłą jest niezwykle adekwatna, choćby w stosunku do tych, którzy zatrzasnęli „kieleckie okiennice”. Podobnie zachowywali się zesłańcy wracający z Sybiru, przyłączając się do środowisk niechętnych powstaniom. Zupełnie tak, jakby wieloletnie życie w klatce stępiało ducha, uczyło podległości i fałszywych postaw w stosunku do własnego narodu.

Dobrze jest wyobrazić sobie Polskę powstańczą, idąc za słowami Mickiewicza, jako lawę – ciągle gorącą, nie tracącą żaru przez wiek ponad, a co pewien czas jedynie wybuchającą kolejnymi erupcjami. Mieliśmy więc erupcję 1794 roku. I Listopadową. I Styczniową. Aż wreszcie nadeszła kolejna, roku 1914. Pierwszy krok Strzelca w nocy 6 sierpnia na bruku krakowskiej uliczki ledwo zabrzmiał, a zaraz, zaledwie po czterech latach, zgrzytnęły hamulce pociągu i Józef Piłsudski postawił stopę na peronie. Wszystko się zawiera między tymi krokami młodziutkiego legionisty na początku Wielkiej Wojny i Komendanta w wolnej Polsce.

Walery Przyborowski pisał o „chorobliwej gorączce czynu" o spalaniu swych losów na stosie, niczym w hinduskim obrzędzie pogrzebowym. Marsz I Brygady ma tytuł – „Pieśń Rycerzy Czynu". Ci Rycerze Czynu rzeczywiście rzucili swoje życie na stos. Byli wierni takim wezwaniom, jak to poety Kazimierza Przerwy–Tetmajera: „Żołnierzu Polski, za wcześnie od ławy szkolnej oderwany, lub od rzemiosła i pługa wezwany hasłem »Za wolność!«, spadkobierco historii Twojej. Twojej tradycji wielkiej i świętej. Wnukiem, prawnukiem, praprawnukiem jesteś bojowników, których jedna tylko żywiła myśl: wolności. Nowe są nazwy bitew Waszych i nowe Wasze nazwiska, ale Historia wasza jest ta sama. Naród polski ma swoją odrębną Religię: bohaterstwa – Wy jesteście tej religii wcieleniem. Wasze czyny są czynami ułanów Poniatowskiego, czwartaków warszawskich, powstańców styczniowych.

Naród polski ma także swoją Legendę: walkę o niepodległość. Wy jesteście nową opowieścią tej Legendy Polskiej". A potem wielki twórca dodał: „Żaden czyn nie poszedł na marne. Były to stukoty w wieko trumny pochowanego w letargu. Usłyszano je, otworzyła się trumna – wyszedł żywy, żaden polski czyn wojenny nie poszedł na marne. Ale na marne, między trupy, byłaby Polska zeszła, gdyby tych czynów nie miała".

Dziś trzeba te słowa powtarzać do znudzenia – „żaden czyn nie poszedł na marne". A wszystkie razem, połączone ze sobą niewidzialną nicią rozciągniętą pomiędzy pokoleniami, dały nam wolną Polskę.

Czytając Tetmajera ktoś może zakrzyknąć o młodopolskiej emfazie i patosie. Może się zaśmiać. Albo ironicznie zacytować słowa o „Religii Narodowej", czy o „trumnie" i „letargu". Ileż to razy słyszymy i teraz podobne szyderstwa – wyśmiewanie „smoleńskiej religii", czy prawicowych „szaleńców". Warto spytać ze smutkiem: „Co się stało z twoją duszą, człowieku? Czyś sam jej nie pochował, pod szklanym wiekiem trumny sceptycyzmu? I nawet nie słyszysz, że ktoś do niej stuka?".

Dzisiaj komentarz do czynu zbrojnego Legionów Piłsudskiego pisze mi Rawita–Gawroński, piewca czynu Powstania Styczniowego. Pięknymi pociągnięciami pióra oddaje to, co chciałoby się rzucić w twarz tym, którzy polskie czyny niepodległościowe zasypują piachem nic nieczującego, acz dość inteligentnego, „grabarza Historii". Do owych „grabarzy" zwracał się on w 1902 roku: „Naród, który utracił byt polityczny po świetnej i długiej przeszłości, gdyby nie żądał powrotu do samodzielnego życia, złożyłby najlepszy dowód, że go nie wart. Jeżeli nieszczęściem dla narodu jest każda przegrana walka o wolność, to ciche znoszenie klęsk, spokojne przyjmowanie ciosów, poddawanie się bez pomruku i oporu wszelkim operacyom upadlania,

demoralizowania, znoszenia wszelkich doświadczeń nad poniżaniem i osłabianiem narodu, jego ducha i ideałów – jest większym jeszcze nieszczęściem”.

[wSieci, nr 46/2014]

SEN O SZPADZIE

W ROKU 1905 Stefan Żeromski stworzył przepiękny „Sen o szpadzie". Opisał w nim zgon oficera japońskiego, który przed śmiercią nie chce przekazać swych pieniędzy dzieciom, gdyż ufa, że mieć je będzie w pieczy cesarz – Mikado. „Usłyszawszy tę prostą odpowiedź, wzdrygnął się w duchu świat znikczemniały, tym większym zdjęty zachwytem, że japońska sprawa była wygraną".

Polska sprawa na początku dwudziestego stulecia od wieku ponad była sprawą przegraną. Mimo tego polski żołnierz nie ustawał w wysiłku. Pisał o nim mistrz Żeromski: „Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawisasz — gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanym od kuł sołdackich — gdy dogasasz powolnym straceniem w stepie Sybiru — nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą nie ma nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armie. Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno — dawno wykryto, nie trwa godziny. Toteż dzieci twe przyjmie rynsztok, schronieniem będzie im — jako się już przydarzyło — kloaka, a nożowiec, skoro podrosną, będzie im mistrzem. Świat bliski i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdyż nie jest twoja sprawa wygraną. Toteż twe bohaterstwo wyższe jest niźli japońskie! Przeciwko tobie za szeregami żołdaków — jest wszystko. Niechęć, trwoga, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie we dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemna niewiedza nędzy. Przerażone oczy narodowej samoniewoli spoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, zza węgłów i z dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustraszoność wytężonego ramienia, zdeptanie za cenę śmierci gronostajów tyranii — zmawia się na ciebie z wypróbowanymi doktrynami złajdaczałej filisterii, wzywa na pomoc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok zalegający niziny".

Jak spełniły się te słowa, zobaczyli ci, którzy w roku 1914 poszli z Oleandrów wzniecać kolejne polskie powstanie. Po ich smutnych

doświadczeniach na kielecczyźnie, Komendant mówił w rozkazie pisanym w swojej Kwaterze Głównej w Kielcach, 22 sierpnia:

„Żołnierze!

Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez określonej decyzyj, bez możliwości jednolitego i silnego postępowania.

Koniecznym było, by najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swoje barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch.

Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki narodu polskiego o niepodległość ojczyzny.

Wystąpiliśmy jako garstka, w Kielcach i pod Brzegami wstrzymaliśmy przemoc odwiecznego wroga, zasłaniając sobą to, co już było wolne od stopy najeźdźcy. Obecnie naród burzyć się zaczyna i nie chce nas zostawić samotnymi, tak, jak byliśmy dotychczas".

Ten zaczyn pierwszej garstki wierzącej w piękny koniec kolejnej insurekcji, rozgrywanej na arenie wojny światowej, miał w końcu przynieść plon, ale te pierwsze kadry, to pierwsze od lat Wojsko Polskie, stanowiło zjawisko samo w sobie.

Gdy więc mowa o 11 listopada, o Pierwszej Kompanii Kadrowej, która 6 sierpnia wychodziła na bój wzorem powstańców listopadowych czy styczniowych, to popatrzeć także należy na nich wszystkich nie tylko jak na zbiorowość o charakterze militarnym. Wielkim sukcesem Józefa Piłsudskiego było oprócz odzyskania niepodległości, wywalczenia suwerenności, a następnie jej obronienie przed bolszewickim najazdem, stworzenie też, niejako „ulepienie" na nowo Żołnierza Polskiego.

Te kadry Pierwszej Kompanii stały się – patrząc szerzej – kadrami nowo powstającego państwa.

Pięknie o fenomenie legionowym mówił sam Marszałek na odczycie we Lwowie 5 sierpnia 1923 roku. Wspomniał o korzeniach duchowych, ale też zupełnie nowej wizji historycznej: „Ostatnim wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 r. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska, z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba, setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach jako żołnierze armii obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami – chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza".

Tę walkę o stworzenie nowego żołnierza podjął Komendant już na samym początku, w trakcie pierwszych działań na terenie Kongresówki, gdy zaskoczył nie tylko Rosjan, ale i Austriaków, szybkością działań, porządkiem i dyscypliną, samodzielnością myślenia i inicjatywą. Do jego kwatery w pałacu gubernatora austriaccy i niemieccy oficerowie przychodzili z pokorą, jak do najwyższego rangą dowódcy. Było to skutkiem nie tylko wybitnej osobowości Piłsudskiego, ale także wielkiego wrażenia, jakie wywierały na wszystkich te polskie oddziały.

Polski duch legionowy tworzył się i wykuwał już w pierwszych tygodniach wojny, by później stać się niejako naszym znakiem firmowym.

Na pierwszym miejscu trzeba powiedzieć tu o faktycznej, nieulękłej postawie legionistów wobec wroga. Ta właśnie postawa charakteryzowała nasze wojsko podczas całej jego aktywności na frontach, nie tylko na terenach „polskich", ale też i dalej – wspomnieć należy działania II Brygady w Besarabii. Bitwy takie, jak ta pod Łowczówkiem w grudniu 1914 roku czy krwawa jatka pod Kostiuchnówką w roku 1916 to były kolejne piękne karty polskiej historii militarnej. A szarża ułańska pod Rokitną w czerwcu 1915 roku należy do najwznioślejszych aktów polskiego bohaterstwa, wpisując się w szereg wielkich, historycznych zwycięstw polskiej kawalerii. Wymienia się ją jednym tchem z Kłuszynem, Kircholmem, Chocimiem i Somosierrą. Zresztą taki sens nadali jej od razu naoczni świadkowie. Pogrzeb poległych wówczas ułanów, z rotmistrzem Duninem–Wąsowiczem na czele zamienił się w metafizyczną chwilę pełną polskich znaczeń. Księża mówili kazania odwołujące się do dawnego dziedzictwa bojowego przodków, na trumnie dowódcy leżała biało–czerwona flaga, a ojciec żegnał syna, klęcząc i roniąc łzy.

Piłsudski o zjawisku tej siły moralnej, tego ducha wielkiego, który pchał Polaków do walki, mówił zwracając uwagę na fakt, że sama materia wojny, okrucieństwo, krew, rany i szalejąca wokół śmierć jest iście piekielnym doświadczeniem: „Powiem to jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi panowie, wśród legionistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka pokrwawionego i słyszy wokół strzały – ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem triumf i dumę, że są

żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: – Cóż to wam, chłopcze? – Odpowiedział wesoło i dumnie: – A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma".

To była ta siła duchowa, odróżniająca Polaków od innych żołnierzy. Jak pisał w swoich wspomnieniach Juliusz Kaden–Bandrowski, lekarze w szpitalach austriackich od razu poznawali, kto Polak. To był ten, kto w szpitalu się nie dekował, nie szukał w nim ucieczki od wojny, lecz przeciwnie – jak najszybciej chciał wracać na front, a doktorowi udowodnić, że właściwie to już mu nic nie dolega. Piłsudski na odczycie we Lwowie przytoczył też swoją rozmowę z Kossakiem o obrazie, który obecnie nosi tytuł „Legionista", a wówczas funkcjonował jako „Wnuk tych spod Grochowa i Stoczka" (tak był opisany w katalogu wystawy krakowskiej z 1915 r.). Kossak opowiedział Komendantowi, że namalował po prostu obrazek z życia wzięty. A Piłsudski tak to skomentował: „Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji – znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej".

Do odwagi, troski o ojczyznę, pamięci o wielkich Polakach, dochodził niezwykły żołnierski humor – tomy całe można by napisać o pogodzie ducha legunów – oraz artystyczna wrażliwość. Przewinęło się zresztą przez Legiony wiele niezwykłych postaci, malarzy, dziennikarzy, pisarzy i poetów. Zjawisko legionowe rosło i nabrzmiewało polskością, stawało się jej mocnym kręgosłupem. Być może dlatego, gdy przyszedł kryzys przysięgowy i trzeba było – według wskazania Wodza – pójść za Polskę do więzienia, uczynili to bez wahania właściwie wszyscy żołnierze I Brygady.

Dla nas i naszych wnuków zostało piękne dziedzictwo tego legionowego ducha, Powstanie Piłsudczykowskie 1914–1918 dało Polsce prawdziwego, niezłomnego żołnierza, obrońcę Ojczyzny.

Komendant Józef Piłsudski taką postawił kropkę w swoim odczycie: „Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek – dać typ żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapo-

mniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych na przekór światu, na przekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce”.

[Gazeta Polska, nr 46/2014]

CHOINKA W LUFIE KARABINU – WIGILIA POLSKA 1914

MIESZKAŃCY Nowego Sącza ustawili na rynku wielkie bożonarodzeniowe drzewko i przyszykowali prezenty dla legionistów. Zaprosili żołnierzy właśnie sformowanej I Brygady na wieczerzę wigilijną. Jednak leguny nie mogły niestety zasiąść za świątecznym stołem – 20 grudnia 1914 roku nadszedł rozkaz szybkiego wymarszu i rozpoczęcia walk z przełamującymi front Rosjanami. Komendanta z nimi nie było, gdyż zajmował się kwestiami polityczno–dyplomatycznymi, więc rola dowódcy przypadła szefowi sztabu, podpułkownikowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Legioniści wychodzili z Nowego Sącza rozżaleni – święta, zamiast przy zastawionych stołach, w zapachu sianka, barszczu czy kutii, mieli spędzić w błotnistych okopach, pośród trupów, krwi i prochu. 22 grudnia rozpoczęła się największa bitwa tego roku – bitwa pod Łowczówkiem. Polacy atakowali dwa wzgórza, o numerach 343 oraz 360 i zdobyli je po morderczej walce na bagnety, kolby i saperki. A potem, podczas Wigilii i obu dni świątecznych, utrzymali je, odpierając huraganowe ataki nieprzyjaciela, nawałę ognia artyleryjskiego i palby moskiewskiej broni. W tym samym czasie na zachodzie Europy panował idylliczny spokój – wedle średniowiecznych zaleceń Treuga Dei, Pokoju Bożego, i wedle instynktu genetycznie wpisanego w dusze Europejczyków. W świąteczne dni na frontach zaprzestano walk. Wiele dzieł literackich i filmowych podchwyciło później ten niezwykle piękny i wzruszający moment, gdy z jednej strony okopów unosiła się melodia znanej kolędy „Stille Nacht, heilige Nacht…", by za chwilę doczekać się na odpowiedź przeciwników „Silent night, Holy night…". Zaczynał się chrystusowy rozejm – często wychodzono ze swych szańców, ściskano się, a nawet wręczano sobie drobne upominki. Brytyjski szeregowiec Albert Moren wspominał: „To była piękna księżycowa noc, mróz skuł ziemię, było biało prawie wszędzie. Około 7 lub 8 wieczorem było sporo zamieszania w niemieckich okopach. Były oświetlone, sam nie wiem, czym. A potem Niemcy zaśpiewali »Cichą noc«. Cóż za piękna melodia, pomyślałem. To był jeden z najważniejszych dni w moim życiu. Nigdy go nie zapomnę".

Te wzruszające chwile nie stały się jednak udziałem Polaków, gdyż ich przeciwnikami byli Moskale. Problemem była nie tylko różnica kalendarzy i czas, jaki dzielił święta katolickie od prawosławnych. Między okopami w bitwie pod Łowczówkiem wznosiła się większa bariera, silniejsza niż zasieki i transzeje pod Ypres – to różnica cywilizacyjna i kulturowa, która wyznaczała granicę wrażliwości. Rosjanie nie zamierzali uszanować polskiej Wigilii i świąt Bożego Narodzenia. W końcu zwalczali objawy polskiego patriotyzmu i przywiązania do tradycji przez ponad sto lat…

Juliusz Kaden–Bandrowski, reporter o duszy poety, zanotował w swoich notatkach następujący widok: „22 grudnia 1914 r. ponure wietrzne południe zastało I pułk w okolicy Brzezia, skąd widać było lesiste piękne góry. Żołnierze szli wesoło, prawiąc wciąż o Bożym Narodzeniu, a na gwerze jednego z nich tkwiło drzewko, chyba najpiękniejsze, jakie w tym roku ujrzeć można było w Polsce. W lufę karabinu zatknął sobie żołnierz gałązkę choiny, uwiesił na niej dwie kartki, które niedawno z domu był otrzymał, zaś gałązki, niby włosem anielskim, opasał źdźbłem słomy, najwierniejszej towarzyszki losów żołnierskich”.

Wkrótce zaczęła się bitwa. Nikt już nie pamiętał o choince w Nowym Sączu i podarkach przygotowanych przez mieszkańców miasta. Nad głowami wybuchały ekrazytówki. Opisał to w swoim szczegółowym dzienniku żołnierz I Brygady, doskonały historyk Wacław Lipiński: „W rezerwie chłopcy rozłożeni na mokrej, szeleszczącej zeschłemi liśćmi ziemi – opowiadają o szczegółach wczorajszego dnia. Zdzich Chabowski zginął, wyrwawszy się na ochotnika, by ratować wracającego z patrolu Kapuścika. Rozszarpany został kulami, gdyż Moskale podsunęli się pod same okopy. Wysznacki dostał w serce, gdy w ciasnym okopie siedział na kolanach Narbutta… Godzina za godziną mija, powoli się zmierzcha, krwawe blaski wieczornej zorzy zalewają czerwienią młody las. Wieczór wigilijny. Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składamy sobie życzenia, siląc się na humor i beztroskę. Pierwsza wigilia spędzona nie w domu, daleko od rodzinnego domu. Zapada wieczór i biały księżyc osrebrza las”.

Tego pięknego zimowego wieczoru, w Karpatach, gdzie walki toczył Legion II, noc była ciemna. Mrok, szarość i mgła spowijały wysokie, ośnieżone szczyty. Z tej ciemności wynurzyła się nagle jakaś postać. „Stój! Kto idzie?” – krzyknął młody strażnik. „Swoi. Ksiądz kapelan idzie na pasterkę przed front.” – odpowiedziano pośpiesznie.

Bertold Merwin, żołnierz II Brygady, tak zanotował w dzienniku wojennym wygląd owego chłopaka, który zatrzymał idącego księdza: „Spojrzałem w tej chwili chłopcu w oczy i wzroku tego, póki życia,

nie zapomnę. W tych oczach było łkanie i gloria, i ból, i żar, i wizja stołu, w którym na sianie bieleje obrus, i fantom drzewka, promieniejącego srebrnemi nici, gorzejącego światełkami świeczek kolorowych, i obraz ojca. matki. braci. ukochanej, tego jasnego dziewczęcia, którem na górze pod Oekormezo, wśród zadymki śnieżnej, wiele dusz tylko nieśmiało marzyć się odważa.”.

Tam, pod Łowczówkiem, huk granatów i wystrzałów, tu cisza pośród gór i ksiądz wyłaniający się z ciemności, ale marzenie w oczach i sercach Polaków jedno i to samo. Ten obrus. To sianko. Świeczki płonące. Srebrne nitki na gałązkach choinki. Dzieci wypatrujące prezentów. Ojciec, matka, siostra, ukochana dziewczyna. Polska.

Polska, której przecież nie ma. Więc trzeba poświęcić swoje Wigilie, swoje opłatki, swoje miejsce przy stole, trzeba oddać być może wszystkie następne Wigilie całego swojego życia, by inni Polacy mogli cieszyć się świętami w Wolnym Kraju.

Na polu bitwy pod Łowczówkiem noc wigilijna była ciemna. Wieczór zapadał przy ciągłym huku dział. Rosjanie przypuścili szturm na samo centrum polskiej pozycji. Nasi bronili jej, płacąc krwią – 128 zabitych podczas bitwy. W końcu do szturmu na bagnety poszedł komendant Kuba–Bojarski. Wyparł Rosjan, wziął do niewoli kilkudziesięciu jeńców, ale tej samej nocy zginął, śmiertelnie raniony kulą z moskiewskiego karabinu.

Pisał Kaden–Bandrowski: „Wieczór wigilijny zastał nas w boju na posterunkach. Jakoś między jednym meldunkiem a drugim, skorzystał z chwili porucznik kawalerii Orlicz (było to na kwaterze podpułkownika Sosnkowskiego), oznajmiając, że ma ze sobą opłatek. Oficerowie zmieszali się, podporucznik Dzieduszycki, piszący rozkaz, pochylił się nagle za stołem, drgający uśmiech owinął usta wszystkich. Mimo ryku ustawicznych salw, łamanie opłatka słychać było tak cicho i wyraźnie, jakby słyszeć można było samo szczęście, gdyby widomem i namacalnem dzielić się mogli ludzie między sobą z ręki do ręki”.

Wierzę, że ów cichy odgłos łamanego opłatka szedł daleko, daleko, mijał kolejne linie okopów, ziemianki, umocnienia i bunkry, przeskakiwał zwały trupów i stojące na uwięzi stalowe puszki warczących czołgów, że unosił się ponad cały teatr wojenny i wlatywał do każdego miejsca, w którym był wówczas polski żołnierz. Że ów dźwięk trafił i do tych, którzy nie walczyli w Legionach, ale byli w rosyjskiej, austriackiej czy niemieckiej armii.

Walki trwały także w Karpatach. Merwin kończy opis polskiego księdza śpieszącego na pasterkę: „Idzie ksiądz kapelan przed front. Z nim kilku oficerów. Idzie polskim dzieciom w tę noc wojny zwiastować narodziny Tego, który był symbolem pokoju. Idzie dzielić się

z synami Polski, walczącymi, uzbrojonymi, opłatkiem… Idzie na pasterkę, odprawioną w gotyckim kościele lasów szpilkowych, na białych taflach śnieżnych pól, pod baldachimem roziskrzonych milionów gwiazd na niebie, przed ogniskiem stosów, płonących dla ogrzania się o kilkadziesiąt kroków od okopów, wśród rzędów karabinów, paczek z amunicją, pak szrapneli…”.

Owa pasterka odbyła się w szałasie wojennym skleconym naprędce z choiny. „W nim dokonuje się misterium. Srebrzysty głos dzwonka. Podniesienie. W cieniu poza szałasem pochyla się kilkaset głów, przypada do ziemi kilkaset ciał.”.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy świst i na żołnierzy spadła nawała ognia, z nieba runęły setki pocisków, ziemia drżała od wybuchów. Lecz zamiast tego, wpatrzeni w tę betlejemsko–polską stajenkę, słyszeli tylko cichutki dźwięk srebrnego. dzwonka.

Zaczęło się kazanie, przerywane co chwila wybuchami, hukami i wyciem nadlatujących pocisków. Do uszu żołnierskich dochodziły pojedyncze słowa księdza Antosza, urywki zdań, które trzeba było składać sobie samemu w całość.

„Synowie Polski! Żołnierze! Legioniści! – mówił, a w jego głosie drżało coś »jakby strunę zwilżono słoną łzą« – Dzisiejszy wieczór spędzacie.”.

I huk zagłuszył wszystko.

„.to dla matki, dla idei, dla Polski.”.

Znów rozpoczęła się kanonada, nacierając potężnymi dźwiękami wybuchów. Z głosem kapelana mieszać się zaczęły komendy wydawane przez walczących Polaków: „.ten, co zwiastował pokój Boży na ziemi.”, „dystans trzy tysiące pięćset! Pierwsze działo – ogień!” „.ci co polegli dla matki.”, „.drugie działo – ogień!”.

A potem, gdy napór wroga trochę zelżał, od ognisk żołnierskich popłynęły słowa kolędy.

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi,
Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi….

Ksiądz odszedł do wsi. Słyszał jeszcze coraz cichsze, kolejne wersy: „A Ty go Matulu, z płaczu utulaj..”. Czy ktoś podchwycił tę pieśń? Wystarczy sięgnąć po dziennik oddalonego o setki kilometrów legionisty z I Brygady: „Co jakiś czas, w gruchocie ognia, przy nieco dysharmonijnym okrzyku rannych, których sypie się coraz więcej, śpiewamy kolędy.. Zawodzimy staropolskie „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj.”, składając się z karabinów, na których błyszczące zamki od czasu do czasu kapnie sentymentalna łezka.” (W Lipiński). W tych łzach na

karabinie jest zapisany cały polski los, i całe polskie serce. Miłość do Boga i do Polski.

Na koniec obraz „stajenki" na froncie karpackim II Brygady. W stajni, w której kawalerzyści trzymali konie, uprząż, owies i siano, zorganizowano wieczerzę wigilijną. Wszystko udekorowano pięknie gałęziami jedliny, ustawiono stoły, zawieszono na ścianie skrzyżowane szable. Nawet zorganizowano świąteczne drzewko. Przyszedł do kawalerzystów komendant legionu Karol Durski–Trzaska.

„Na talerzu biały opłatek. Ręka twarda, przyzwyczajona do szabli, ręka młoda dwudziestoletnich kawalerzystów drży, gdy sięga po opłatek i dzieli się z tym, który w tej chwili zastępuje ojca, dom, rodzinę – wszystko." (B. Merwin).

Obok, w budynku dawnej leśniczówki trwała Wigilia sztabu. Z ust oficerów padały wielkie polskie nazwiska. „Ktoś na głos marzyć zaczął. Ktoś mówi. Jakieś widma snują się po izbie. Kościuszko. Dąbrowski. Mickiewicz. Langiewicz. Traugutt. Okrzeja. Jakieś dźwięki idą po powietrzu. Marsz, marsz – do Polski!". Obok telefonista cały czas podawał wojenne meldunki– „Grupa. zaatakuje. kota 821. jeńców.. odparty..".

Zaśpiewano kolędę sztabową.

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia –
Dziś w Legionach wielkie święto:
Ofensywę rozpoczęto! Rozpoczęto!…

Tymczasem w stajni wznosi zaimprowizowany toast genialny poeta legionowy Józef Mączka…

Wigilia – drzewko – stół – opłatki.
Wierzcie mi… wielka to godzina!
My – dzieci jednej, wielkiej Matki,
Wielka, żołnierska dziś rodzina,
Gdy tu opłatek wraz spożywa,
Wierzcie mi – chwila… osobliwa…

(…)

Precz smutek z czoła! Nam dziś trzeba
Hartu! Stalowej ducha mocy!
Wiary w przewodnią gwiazdę z nieba,
Co ma nas wieść – wśród ciemnej nocy
Pomiędzy groty armatniemi

Do Betlejem – Polskiej ziemi!

Więc: sursum corda! W górę czoła!
Toast tu wzniesiem, o druhowie!
Lecz pijcie – sercem – dookoła –
Bo piję: szabli polskiej zdrowie!
Za naszych piersi harde męstwo!
Za bój o wolność! Za zwycięstwo!

Na śmierć tyranom – i na zgubę
Krwawemu Polski Herodowi!
By rwać niewoli więzy grube,
My jutro na śmierć iść gotowi!
Więc skrzepmyż dzisiaj serca lasze –
Komendancie! W ręce wasze!

Niezwykła była ta Noc Wigilijna przed stu laty. Młodzież niesiona ideą wolnej, pięknej Rzeczypospolitej, trwająca w boju z Moskalem, ściskająca w ręku karabin, a myślą i sercem biegnąca ku wolnemu krajowi, unosiła sens Wigilii w wymiar iście polski. I de facto była to wigilia polska – wieczór zapowiadający wielkie święto – Narodziny Polski Niepodległej. Jej zmartwychwstanie.

Pisał o tej nocy Merwin…

„Tak płynie ta jedyna, tajemnicza, wielka, pełna pobożnego czaru noc. Pierwsza to noc, którą obecna generacja młodzieży polskiej spędziła w ten sposób. Wyrwano ją z objęć rodziny, pozbawiono domu – a ona w środowisku obcem stworzyła sobie cudowną łaską swego zapału dla Idei, tę wzniosła, jedyną noc.

Na tej przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów wyżu, wśród tych szczytów górskich, w tych okopach, wedetach, placówkach, szałasach, szpitalach siedzą synowie Polski i wyczarowują sobie w tę noc obraz przyszłości świetlanej. I wierzą. Wierzą, że jak w stajence narodził się On – tak i w męce i trudach, ich ofierze krwi i życia narodzi się Ona – Polska”.

[wSieci, nr 51–52/2014]

REWOLWER POR. TOPÓR-KISIELNICKIEGO. W STULECIE SZARŻY POD ROKITNĄ

BERTOLD Merwin w swoim dzienniku zanotował pod datą 13 czerwca 1915 roku: „Nie tylko my, którzyśmy ten dzień przeżyli, ale cała Polska pamiętać będzie ten dzień chwały i smutku. Jak ongi Somosierra złotemi głoskami wryła się w karty historyi oręża polskiego – tak dzieci nasze uczyć się będą historyi tego dnia, bardzi nasi opiewać szarżę rotmistrza Wąsowicza na wzgórza nad Rokitną…”. Mylił się w swojej ocenie przyszłości. Z bólem serca wyznać trzeba, że ani bardzi jakoś szczególnie nie próbują opiewać, ani też dzieci nie są w polskich szkołach uczone o tym niezwykłym dniu. A mija właśnie lat równo sto od bitwy, która rozegrała się pod niewielką wsią na pograniczu Besarabii i która winna być przez Polaków wymieniana jednym tchem z Kłuszynem, Chocimiem, Wiedniem czy Somosierrą. Może więc warto wrócić do kultywowania pamięci o bohaterach roku 1915 i znów oddawać im należną cześć, tak jak to czynili nasi przodkowie za II Rzeczypospolitej? Wiosną 1915, kiedy I Brygada walczyła na terenie Kongresówki, II Brygada działała na Bukowinie. Po reorganizacji i roszadach kadry oficerskiej, dano żołnierzom chwilę odpoczynku. Ale wkrótce znów ruszono do boju. Niestety, ani nie pod dowództwem Hallera, ani też lubianego „dziadka” Zielińskiego. Szefem II Brygady został Niemiec, austriacki pułkownik Kuttner. Polscy legioniści walczyli dzielnie w dolinie rzeki Prut, na północ od Czerniowiec i w okolicach Rarańczy. Aż w końcu doszło do bitwy o niewielką położoną na wzgórzach wieś Rokitna.

Niedziela 13 czerwca 1915 roku była bardzo upalna. Artyleria grzmiała od rana. Bataliony rozlokowały się pośród urokliwie wyglądających pól i stepów. „A w środku, w całym tym rozgwarze, w tym chichocie oszalałym i w tym rozbrzęczeniu się stali i ołowiu wieś Rokitna – cicha i jakby senna, opuszczona, bezludna…” – wspominał naoczny świadek, żołnierz 3 pułku Wiktor Mondalski.

Dywizjon kawalerii stacjonował w sadzie owocowym, w okolicach Rarańczy, jakieś dwa kilometry za linią piechoty. Kawalerzyści z drugiego i trzeciego szwadronu czekali w ostrym pogotowiu na nadejście rozkazów. W końcu, od strony frontu nadjechał galopujący na koniu posłaniec. Rozkaz brzmiał: Podsunąć się do piechoty. Dywizjon

ruszył, zostawiając za sobą cień owocowych drzewek. Dowodził porucznik Roman Włodek. Szwadron drugi był pod komendą podporucznika Topór–Kisielnickiego, a trzeci podporucznika Rabińskiego. W palącym słońcu zbliżyli się do linii piechoty. Tam, w niewielkim jarze, znaleźli znów odrobinę cienia i miejsce do dalszego czekania. Nasłuchiwano bezustannej kanonady artyleryjskiej. I naraz pojawił się dowódca. Rotmistrz Zbigniew Dunin–Wąsowicz był tego dnia chory, lecz widząc, że szykuje się bój, nie chciał zostawić swych chłopców. Włożył mundur i zajechał na linię. Lecz wkrótce wezwano go do sztabu. Tam wedle Mondalskiego dostał rozkaz „zimny i jak śmierć surowy". Dobrze powiedziane, gdyż szturm kawalerią na umocnione pozycje rosyjskie mógł mieć tylko jedno zakończenie: unicestwienie oddziału. Do sforsowania było kilka pozycji blokujących dostęp do wsi, w tym cztery linie okopów, transzeje, ziemianki i stanowiska karabinów maszynowych. Moskale mogli z nich razić nadjeżdżającą kawalerię morzem ognia karabinowego i artyleryjskiego. Innymi słowy – rozkaz był wyrokiem śmierci dla naszych żołnierzy. Trudno sobie wyobrazić wyraz twarzy rotmistrza, gdy stanął przed szwadronami. Rzucił jedynie przez zęby: „Na koń!". Pojechali w stronę strumienia o nazwie Rokitna, a gdy stanęli nad jego brzegiem, dowódca spiął rumaka i krzyknął: „Nie ma przeszkód dla polskich ułanów!". Ruszyli za nim w pędzie, powtarzając ów okrzyk „Nie ma przeszkód!". Osadzili konie, gdy dojechali do jakichś budynków. „Tyraliera do frontu!" – padła kolejna komenda. Ustawili się. I wtedy Wąsowicz wydał rozkaz, aby szwadron trzeci pozostał w „rezerwie". Uznał zapewne, że bezpośrednia szarża jest szaleństwem, więc aby uchronić jak najwięcej istnień, postanowił atakować jednym tylko szwadronem. Drugi szwadron ruszył do przodu, wyciągając szable z pochew i unosząc je w górę, a stal połyskiwała w słońcu. Polecieli jak burza w stronę wzgórz, na których majaczyły dwa wiatraki. I w stronę okopów, w których Rosjanie już chwytali za spusty karabinów. W odległości 3 kilometrów od linii wroga rozwinęli szyk, przechodząc z kłusu w cwał. Zaczęła się szarża. Nad ich głowami gwizdały kule. Do uszu pędzących ułanów doszedł twardy głos rotmistrza, który „w siodle się z nagła okręcił, szablą od lewej do prawej półkole zatoczył – i w szum prutego koni i ludzi biegiem powietrza (…) wpadł jego głos równy, a spiżowy" – opisywał Mondalski. „Do ataku broń!", „Marsz, marsz, polscy ułani!". Od prawego skrzydła zagrzmiał jeden, zgodny, wyrwany z polskiej piersi okrzyk: „Hurrra!". Kawały ziemi wylatywały spod kopyt, kurzawa niosła się za dywizjonem, jęczały nadlatujące pociski artylerii, grzmiały wybuchy, a oni lecieli, jakby jakaś niebiańska moc dodała im sił i skrzydeł. Lecieli uniesieni polską duszą, polską odwagą, polskim sercem, polską Miłością do Ojczyzny. To

po prostu Polska galopowała w pędzie na rosyjskie umocnienia. Bertold Merwin patrzył na szarżę z pozycji strzeleckich swojego pułku. Widział ją jak na dłoni: „Pędzą, jak wicher, za niemi z ugorów rwie tuman, przed nimi błyszczą w słońcu wyciągnięte do szarży szable. Już są pod linią. Już przeskoczyli pierwszy – pusty – rząd rowów strzeleckich, już gnają pod drugi. Wtem! Zatrzęsło się powietrze – wrzaski – huk – gromy! To salwy Moskali, to straszna pukanina rosyjskich karabinów maszynowych z flanki, to rozsypują się złomy szrapneli rosyjskich. A ułani Wąsowicza pędzą, pędzą. Oto zleciał jeden – oto jak wichura gna koń bez jeźdźca – oto tam stanął dęba i ktoś potoczył się do okopu – oto znów kilku zleciało. Nie ustają salwy i szrapnele. Na miłość Boską! Już są za drugim rowem strzeleckim, już dobiegają ziemianek, już ich kilku pokotem leży.”.

Mondalski pozostawił opis jeszcze bardziej szczegółowy. Oto ułan trzeciego plutonu Bolesław Kubik trafiony kulą w czoło, pada bez jęku czy krzyku, wznosząc w górę ręce. A zaraz za nim przez rów skacze na koniu brat dowódcy, wachmistrz Bolesław Wąsowicz. Przewraca się z koniem. Jest ranny. Oficer rachunkowy szwadronu Fąfara nie musiał brać udziału w szarży. Pojechał, gdyż taki obowiązek nałożył sam na siebie. Dostaje postrzał karabinowy w pachwinę. Leży potem na polu bitwy przez całą noc. Artysta–malarz Józef Sperber, z trzema kulami w nodze, pada przygnieciony koniem. Niedaleko „wali się z konia ranny kapral drugiego plutonu Brinckle Tadeusz, i w tejże samej chwili na lewem skrzydle na drodze wachmistrz szwadronu dr Adamski Tadeusz, krzyżując ręce ruchem nagłym nad głową zsuwa się z konia, ginąc od kuli, która przebiła medalion na piersi i trafiła w aortę”. I tak następni, i następni. Ale nie ustają. Gnają dalej. Dopadają do kolejnej linii okopów. Przerażeni Rosjanie próbują się poddać. „Zdajemsia! Zdajemsia!” – krzyczą. „Brosaj orużyje!” – odpowiadają im Polacy. Moskale odrzucają broń, lecz gdy nasi ułani przeskakują rowy, z flanki odzywa się jakiś ogień i Rosjanie łapią za porzucone karabiny. Zaczynają strzelać z bliska. Znów walą kartacze i granaty. „Wot gieroj!” – drze się oficer rosyjski, strzelając z pistoletu wprost w pierś Bukalskiego. I wtedy ginie również rotmistrz Wąsowicz. Kula przebiła pierś. Żyje jeszcze, gdy Moskale odciągają go w swoją stronę, krzyczy coś po polsku, ale zaraz oddaje Bogu ducha. „Na prawem skrzydle ginie od kuli w usta por. Włodek” – notuje Mondalski skrupulatnie.

Nadchodzi koniec porucznika Topór–Kisielnickiego. Jego bohaterską śmierć uważam za najbardziej symboliczną. Oto jego koń zostaje raniony bagnetem przez wyskakującego z okopu Moskala. Dowódca szwadronu spada z wierzchowca, lecz wyciąga rewolwer. I strzela. Strzela do końca. Raz za razem naciska spust. Aż mu się skończą na-

boje w bębenku. W końcu pada martwy. Ze stygnącą bronią w dłoniach. Takim zobaczą go następnego dnia żołnierze idący śladem szarży i znajdujący na polu kolejne trupy – widome ślady polskiego bohaterstwa. „I porucznik Topór bez męki skonał. Twarz mu jeno sczerniała z krwi i mundur zeszpetniał… Z rewolwerem w zwartej dłoni, jak padł, gdy się bronił zawzięcie, pozostał nieżywy, otwarte oczy utkwiwszy w słońcu i w tej grozie śmierci co go zastała nieustraszonym aż po ostatnią chwilę Polski rycerzem”.

Choć to zdawało się nieprawdopodobne, atak zakończył się zwycięstwem. Pozycje wroga zdobyto. O własnych siłach z szarży wróciło jedynie sześciu żołnierzy. Piętnastu poległo. Reszta była ranna. Dowództwo austriackie było tak zaskoczone polskim sukcesem, że w ogóle nie potrafiło go wykorzystać… Pułkownik Kuttner w rozkazie skierowanym do żołnierzy pisał: „Ten atak będzie w historii Legionów uwieczniony jako najwspanialszy czyn kawalerii, a każdy, kto ten atak przebył, z dumą może uderzyć się w piersi i zawołać: »Niech kto tego dokaże!«. Pod bolesnym wrażeniem poniesionych tam strat dziękuję imieniem Najwyższej Służby bohaterskim jeźdźcom II Szwadronu. – Wszyscy uczestnicy ataku zostaną podani przeze mnie do najwyższego odznaczenia”. Naczelna Komenda Legionów także wystosowała specjalny rozkaz, w którym o tym, jak polscy ułani ofiarą swego życia „nowym blaskiem opromienili honor polskiego oręża”.

Pogrzeb odbył się na niewielkim cmentarzu w Rarańczy. Na środku wznosił się krzyż. Nad wykopanymi grobami stały sosnowe trumny. Wiatr przynosił z oddali zapach stepów. Trumnę rotmistrza przykryto czerwoną kapą z wyszytym na niej Orłem Białym. I położono na niej „ułański kask, z którego ptak srebrny zrywa się do lotu…”. Niedaleko ustawiono ołtarz polowy. Wokół zgromadził się milczący, roniący ciche łzy żołnierski tłum. Kapelan 3 pułku, ksiądz Panaś odprawiał nabożeństwo, a głos drżał mu ze wzruszenia: „Zmówmy pacierz za dusze tych piętnastu, którzy poszli na pewną śmierć, by jeszcze raz dowieść światu, że Polak wykona każdy rozkaz, choćby go życiem przypłacić musiał.”. Nad trumną Bronisława Łuszczewskiego pochyliły się dwie postaci. To ojciec i brat ułana żegnali go ze łzami w oczach. Służyli we trzech, jeden właśnie złożył daninę z krwi, pozostali mieli trwać w dalszej służbie.

A potem pojawiła się postać, którą Merwin określił, jak wziętą rodem z Wyspiańskiego. Był to wachmistrz Sokołowski. Cały w bandażach, z czarnym, ułańskim płaszczem powiewającym na wietrze, stanął nad trumnami i zaczął mówić: Oto nasi towarzysze… Wysłani na śmierć, jechali z całą tego świadomością, lecz ani jeden nie zawrócił konia. Odnowili tradycję polskiego ułana sprzed stu lat. Ponieśli śmierć bohaterską. Patrząc na nią, niech wszyscy, wszyscy wrogowie

nasi wiedzą i pamiętają o tem, do czego Polak jest zdolny. Ufajmy, że krew ta, przelana, na marne nie pójdzie. Że przechyli ona szalę tylu już, tylu ofiar i że dzięki niej nasze ideały narodowe będą urzeczywistnione".

Tym, którzy słuchali, zdawać się mogło, że to nie chorągwie szumią na wietrze, ale skrzydła husarskie sprzed wieków. Po Sokołowskim przemawiał jeszcze porucznik Kordecki, który zaintonował pieśń: „Boże Ojcze, Twoje dzieci / Płaczą, żebrząc lepszej doli.".

„Ktoś na głos szlochał, ktoś oparł się na wpół omdlały o jakiś krzyż, ktoś wodzi osowiałym wzrokiem po dołach." – zanotował Merwin. I wszyscy zadrżeli, gdy rozległy się słowa: „Boże, policz te mogiły, te płaczące matki, żony.".

„A potem zasypaliśmy groby. Grudy odbijały się o wieka trumien, gdy po przestworzu szedł śpiew pieśni ułańskiej.

…Śpij, kolego, twarde łoże,
Obaczym się jutro może…
Śpij, kolego, w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie….

Tak. Śniła im się. I przyszła potem, ta piękna, wolna, wyśniona. A zwycięstwo i Niepodległość dały sens wszystkiemu, co było wcześniej, nadały wartość, „usprawiedliwiły" wszystkie krwawe ofiary, jakeśmy ponosili na kolejnych polach bitew, w trakcie kolejnych insurekcji i zrywów. Także szarża pod Rokitną okazała się nie tylko piękna i symboliczna, ale – jako część wysiłku polskiego – skuteczna.

W lutym 1923 roku ekshumowano ciała poległych ułanów i przewieziono je z Rumunii do Polski. Pochowani zostali na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, a pogrzeb uświetnił swoją obecnością Marszałek Józef Piłsudski. Komendant udekorował trumny orderami Virtuti Militari V klasy. Na cmentarzu postawiono też piękny pomnik. Powstawały pieśni i wiersze na cześć bohaterów. Wojciech Kossak namalował poświęcony szarży obraz. W „Czerwonych makach na Monte Cassino" śpiewamy w drugiej zwrotce o „szaleńcach" spod Somosierry i o tych spod Rokitnej „sprzed lat". Zapewne w tym roku na cmentarzu Rakowickim w Krakowie odbędą się jakieś uroczystości. Może młodzież złoży kwiaty pod pomnikiem. Ale ja znam pomnik, który przemawia do mnie najmocniej. Ten pomnik to rewolwer porucznika Topór–Kisielnickiego. Z wystrzelonymi pociskami. Trzymany w zaciśniętej dłoni. Przez polskiego rycerza, który nigdy się nie poddaje. Trzeba ten rewolwer wyjąć mu delikatnie z dłoni i zachować, jak najcenniejszą relikwię dla przyszłych pokoleń. W kolbie tego rewolweru, w palcu zastygniętym na spuście, jest zaklęta tajemnica polskości.

[wSieci, nr 23/2015]

ZATRĄBIONO na zbiórkę do odjazdu. Przed zgromadzonymi plutonami i szwadronami przemaszerowali ze łzami w oczach oficerowie. Jechali do obozu w Beniaminowie. Z kolei szeregowcy ruszyli na stację kolejową w Ostrołęce. Ich miejscem odosobnienia był obóz w Szczypiornie. Tam mieli odpokutować więzieniem za swoją miłość do Polski. Miłość, którą najpierw wyrażali przelewając swoją krew, a potem odmawiając – w trakcie słynnego kryzysu przysięgowego w roku 1917 – złożenia uroczystego ślubowania na wierność Niemcom i Austrii. Wszystko to czynili wierni i ślepo posłuszni swemu ukochanemu wodzowi, Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu. Szli legioniści na ostrołęcki dworzec i śpiewali:

Legiony to są Termopile,
Legiony to straceńców los,
Będziem widzieć kwiaty na mogile,
Jaki świat zgotował nam los.
Pal diabli nasze życie,
Zobaczym się w błękicie,
Więc naprzód marsz.
Gdy muzyka gra.

Władysław Kęsik zapamiętał, że w trakcie marszu udało im się jeszcze „dać w nos" paru Szwabom – „Oczywiście nie obyło się bez tego, aby po drodze jakiś Niemiec nie był odesłany do dentysty, a to z tego powodu, że naszym oficerom, odprowadzającym nas, nie chcieli oddawać honorów wojskowych".

Pociąg ruszył. W trakcie jazdy śpiewali dalej. I ponoć właśnie wtedy, wsłuchując się w rytm kół turkoczących na szynach, układali pierwszą oficjalną wersję tej – jednej z najlepiej znanych i najbardziej chwytających za serce Polaków – pieśni. Hymn legunów „My, Pierwsza Brygada" nie na darmo był kandydatem na oficjalny hymn Rzeczypospolitej. Jeszcze przed wojną mówiono o nim „Pieśń Rycerzy Czynu". Sam w sobie stał się legendą. Szczególnie że wyrastał

z legionowej historii, karmił się nią i odnosił do konkretnych wydarzeń. Piłsudski mówił w roku 1923, w trakcie lwowskiego odczytu o fenomenie tworzącego się polskiego żołnierza, że „można śledzić historię Legionów, studiując ich pieśń". I rzeczywiście była to pieśń– dokument, pieśń, która jest swoistym źródłem historycznym. Pisze się o „Pierwszej Brygadzie", że powstawała przy ogniskach i na kwaterach wojennych. Zupełnie tak, jakby była jedną z kolejnych skocznych pioseneczek o ułanach, koniach, szabelce i pannach podbiegających do płotu. A tymczasem to jest pieśń… bardzo gorzka. Pieśń, w której brzęczy ton wyrzutu. W której słowa świadczą o samotnej walce patriotów nie tylko z wrogiem zewnętrznym, czyli z zaborczymi armiami, ale także z przeciwnikiem. polskim. Zamknięte okiennice kieleckie oznaczały obojętność. Ta obojętność bolała najbardziej.

W przyszłym roku będzie równa, setna rocznica wyruszenia Kadrowej z krakowskich Oleandrów. Jak będziemy ją obchodzili? Czy wyciągniemy z tej wielkiej lekcji Historii naukę na dzisiaj?

Po stu latach mamy w kraju wielu gorących patriotów. Mamy także – jak to zwykle w dziejach bywało – dziesiątki zaprzańców idei polskiej. Ale co gorsza, wielu naszych rodaków pozbawionych pewnego „instynktu polskiego" uważa, że spokój dnia codziennego, chwilowy dobrobyt i ciepły kaloryfer, stanowią wystarczający powód do tego, by odciąć się od spraw polskich. By uważać, że one ich nie dotyczą.

Pewne jest, że ciągła propaganda i siła środków przekazu mediów mainstreamowych jest tak duża, że ludzie dali się ogłupić lub też uwierzyli, iż lepiej jest podążać łagodną, prostą drogą, która nie wymaga wysiłku. Być może zabrakło im odwagi, by mówić to, co myślą. Inni zachwycili się światem urządzonym „po europejsku". A gdy raz dali się kupić temu sposobowi myślenia, gdy opowiedzieli się po tej stronie, nie mogą lub nie chcą dokonać trudu zrobienia pewnego intelektualnego „rachunku sumienia". Do tego dochodzi cała rzesza ludzi o stępionej duszy, pogrobowców PRL, wnuków tych, którzy kładli uszy pod naciskiem reżimu, synów i córek z rodzin, w których tracono, kropla po kropli, zasób sił duchowych gromadzonych przez pokolenia. Czego nie dokonali kolejni okupanci, w końcu osiągnęli ci, którzy przejęli władzę w III RP. Odcięli naród od duchowych korzeni, wywrócili na nice, zbałamucili, rzucili światło tam, gdzie i tak było jasno, a miejsca ciemne zamknęli na klucz. Spalili akta. Narysowali grubą linię oddzielającą przeszłość. I nazwali zdrajców ludźmi honoru.

W końcu więc wielu Polaków… zamknęło okiennice. Patrzą zza nich, na tłumy maszerujące w pochodach Święta Niepodległości. Chowają się jeszcze bardziej aby nie widzieć i nie słyszeć.

Gdy w roku 1914 na polskie terytorium pod zaborem rosyjskim wkraczała Pierwsza Kompania Kadrowa, tym samym rozpoczęła polskie powstanie. Wyruszenie z Oleandrów polskich żołnierzy w dniu 6 sierpnia to jeden z największych, najważniejszych dni w całej naszej historii – równy rangą 29 listopada 1830 roku, 22 stycznia 1863, czy też 1 sierpnia 1944. Akcja bojowa o niezwykle wzniosłym, pięknym charakterze była nie tylko zbrojnym wystąpieniem w ramach prowadzonych działań na froncie I wojny światowej. Jej jedynym i wyłącznym celem było odzyskanie niepodległości. Józef Piłsudski poświęcił całe swoje życie temu właśnie celowi. Marzył o udanym powstaniu. Wychował się w atmosferze kultu Roku 1863.

Ciągle nawiązywał do styczniowej insurekcji. Pisał o niej kolejne prace, a w roku 1913 wygłosił serię odczytów jej poświęconych. Był bardzo krytyczny wobec kwestii organizacyjnych, militarnych, ale jednocześnie uważał powstanie za bardzo potrzebne, niezbędne wręcz dla utrzymania ducha w narodzie.

Wymarsz z Oleandrów był więc początkiem kolejnego powstania. Tym razem jednak miało ono przynieść upragniony efekt – wywalczoną Niepodległość.

Czy nadchodzący rok 2014 będzie rokiem, w którym Polska odda należną cześć bohaterom Legionów? Po tym, jak obecna władza potraktowała okrągłą rocznicę insurekcji styczniowej, można w to wątpić. Szczególnie, że setna rocznica udanego powstania obchodzona zbyt hucznie mogłaby wywrzeć wrażenie, że ów gorący, „szalony" typ patriotyzmu ma głęboki sens. Że właśnie on, gdy spojrzeć na ponad stuletni proces kolejnych zrywów i ciągle ponawianej walki, doprowadził w końcu do sukcesu. Polska była jak bokser, który nie zraża się tym, że co chwila leci na deski. Zbiera się i znowu staje walki. Aż wygra. To była oznaka silnej woli. Takiej woli, jaką miał nasz wódz – nasz Komendant. I taką wolą odznaczają się obecnie ci, którzy usiłują, w najważniejszej sprawie narodowej ostatnich lat, walczyć o polski Honor.

Po katastrofie smoleńskiej Polska podzieliła się na dwa obozy. Ten, który żąda prawdy i ten, który zadowala się kłamstwem w imię świętego spokoju i niezadrażniania stosunków z Rosją. Dzisiaj więc też mamy do czynienia z zamkniętymi okiennicami. Jak w Kielcach, do których niegdyś wkraczała Kadrowa.

Marsz „My, Pierwsza Brygada" to zapis stanu ducha. Melodię stworzył muzyk kieleckiej orkiestry strażackiej Andrzej Buchal–Sikorski. Trzy pierwsze zwrotki napisał pułkownik Andrzej Hałaciński. Sześć kolejnych – Tadeusz Biernacki. Henryk Cepnik w przedwojennej biografii Piłsudskiego pisał, że legionowa pieśń „odzwierciedla ideologię legionową, w jej orlich wzlotach i tragicznych załamaniach, jest żyw-

cem odbiciem bolesnej rozterki między tymi ofiarnikami Idei Niepodległości a tą częścią społeczeństwa, która nie chciała, nie starała się nawet rozumieć ich szczytnego porywu i wielkości ofiary, i płaciła za ich bezgraniczne i bezinteresowne poświęcenie nieufnością i podejrzliwością, a za ich krwawy trud zimną obojętnością lub potępieniem, a jakże często potwarczemi insynuacjami i obelgami".

Lat mija sto od wymarszu i już się zdawało, że Polska będzie silna i piękna, taka z marzeń. Lecz po raz kolejny na tych, którzy walczą o dobre imię Ojczyzny i zwykłą Prawdę wylewa się kubły pomyj. Katastrofa Smoleńska to nie był tylko jeden tragiczny dzień. Ona trwa. Zbiera nowe ofiary. Odbiera życia. W sposób albo dosłowny, albo też dotyczący pracy i poczucia bezpieczeństwa tych wszystkich osób, które odważnie zaangażowały się w walkę o polską Rację Stanu. Bo to jest tak naprawdę cel wszystkich dążeń całej rzeszy naukowców współpracujących z zespołem parlamentarnym.

Ci naukowcy położyli na szalę swoje naukowe autorytety. I na każdym kroku są brutalnie atakowani. Praca przy sprawie smoleńskiej zamienia się w kolejny „ofiarny stos", jak w legionowej pieśni.

Tadeusz Biernacki, współtwórca marszu, opublikował przed wojną szkic dotyczący okoliczności powstania pieśni. Pisana „krwią, nie atramentem" wyrastała etapami, dojrzewając razem z polskim wojskiem. „Melodia jej to najgłębszy krzyk tragedii, a zarazem triumfu duszy i serca szarego Legionisty – Żołnierza Pierwszej Brygady. Mylą się więc ci wszyscy, którzy szukają początków tej pieśni przy gwarze i nastroju swawolnym ogniska obozowego, czy też gospody miłej, gdzie »Madelon« szklanice napełnia i w serca się wkrada przymilną prośbą: Zaśpiewajcie coś proszę".

Doświadczenia tamtych żołnierzy były bardzo gorzkie. Wjechali do Kongresówki jako pierwsze od lat wojsko polskie. Owszem, spotykali się z wyrazami czci i szacunku, czasem ze łzami wzruszenia. Ale większość obojętnie siedziała w domach. To do nich były skierowane owe ostre sformułowania, mocne żołnierskie słowa

„Skończyły się dni kołatania / Do waszych serc – j…ł was pies!" – które później zastąpiono cenzuralnym „do waszych kies".

Cały zabór był już mocno zrusyfikowany. Gdy Rosjanie uciekali z Warszawy przed niemiecką armią, wielu mieszkańców stolicy – co dzisiaj trzeba przyznać z rumieńcem wstydu – płakało z żalu, patrząc na odchodzące oddziały Moskali. W pamiętnikach legionistów co i rusz można spotkać relacje, w których rodacy z Kongresówki mówią o Rosjanach „nasi". Takie były efekty prowadzonej przez dziesięciolecia konsekwentnej akcji rusyfikacyjnej, polegającej na odmóżdżaniu Polaków i niszczeniu polskiego ducha.

Gdy więc wybuchło Powstanie 1914 roku, jego wódz, Komendant Józef Piłsudski musiał walczyć nie tylko z zaborcami, ale też – niestety – stanąć oko w oko z własnym, zobojętniałym, tchórzliwym narodem. Co się stało takiego, że wygrał? Że oni wygrali?

Zaszczepił im siłę duchową i żelazną wolę. Ta wola właśnie kazała przetrwać wszystkie przeciwności, aż dojdzie się do upragnionego celu. Innymi słowy – była to wielka siła moralna.

Marsz Pierwszej Brygady jest gorzki. Jest męski. I jest wyraźną odpowiedzią na to, jak traktowano polskich patriotów wtedy, gdy jeszcze nikt nie wierzył, że po ich stronie stoi SŁUSZNOŚĆ.

Krzyczeli, żeśmy stumanieni
Nie wierząc nam, że chcieć – to móc…
Laliśmy krew osamotnieni
A z nami był nasz drogi Wódz!

Ze smutkiem patrzy się na to, jak wielu ludzi dzisiaj szydzi, krzyczy o „stumanieniu" i naigrawa się z ciągłej, niestrudzonej walki, jaką toczy się w sprawie smoleńskiej. Dochodzi do ataków ślepej, nienawistnej furii, której najlepszym przykładem mogą być wypowiedzi Jerzego Owsiaka. Ich podłoże leży jednak w czymś głęboko niepokojącym. W niechęci do zainteresowania się sprawami naprawdę dla Polski ważnymi. To rodzaj przedziwnej gnuśności umysłowej i duchowej. Takiej gnuśności, o jakiej marzono za czasów komuny zalewając umysły Polaków wódką, a w szkołach ucząc bezmyślności.

Jest na szczęście także inna Polska, taka, która już się budzi. Tworzy nowe „Legiony". Wolnych Polaków. Na jednym z ostatnich Marszów Niepodległości można było usłyszeć, jak Jan Pietrzak śpiewał Marsz Pierwszej Brygady wraz ze zgromadzonymi wokół ludźmi z klubów „Gazety Polskiej".

Ta pieśń jest bowiem niezwykle aktualna. A w przeddzień niezwykłej rocznicy, 100–lecia udanego Powstania Polskiego można ją śpiewać i dzisiaj, gdyż nic nie traci ze swej nośności.

Henryk Cepnik wspominał o tym, że legioniści Piłsudskiego nie poddawali się przeciwnościom – „niezrozumieniu, z jakim spotykali się w swojej ciernistej, tysiącznemi mogiłami usłanej drodze wśród własnego społeczeństwa, małości ducha, tradycyjnej inercji i partyjnej zawiści przeciwstawili wzgardliwe słowa swojej dumnej pieśni:

Nie trzeba nam od was uznania,
Ni waszych skarg, ni waszych łez,
Przeminął czas już kołatania
Do waszych serc – próśb nadszedł kres.

Piłsudski pisał: „Gdy mówię o niewoli, to nieraz mnie, tak pewnie jak wszystkim urodzonym w niewoli, na myśl przychodzą nasze dzieci, które już teraz, szczęśliwe, wolnem płucem oddychają i może kiedyś sędziami naszymi będą i, jako przyszła historia naszych czasów, słowa potępienia i słowa krytyki rzucać będą. Boję się, że wiele z tego, cośmy w niewoli przeżyli, dla nich zrozumiałem nie będzie".

Miał rację. Rzeczywiście tylu późnych wnuków spotwarza dziś polskie zrywy…

Potem Komendant dodawał:

„Niewola! Ileż to serc nadpękniętych przedwcześnie, chorych a zatem trwożliwych. Niewola! Ileż to charakterów zwichniętych w kolebce, albo w chwili, gdy umysł kształtować się zaczyna. Tego, być może, nasze dzieci, dzieci w innych warunkach się rozwijające, rozumieć nie będą w stanie. Ten smutny dorobek niewoli, z którym tak ciężko walczyć nam teraz przychodzi, ma jednakże i strony jaśniejsze. W nieszczęściu, w walce kształcą się charaktery. W nieszczęściu, w walce, człowiek się uczy. Jest to dorobek wielki".

A dzisiaj? Ponoć jest tak, że nawet w kajdanach można być człowiekiem wolnym. Bo jest się wolnym siłą duchową, wewnętrzną. Ale też może być odwrotnie – wedle słów i ostrzeżeń innego naszego wielkiego Polaka, bł. Jana Pawła II – że korzystając z pozorów wolności zewnętrznej łatwo popaść w stan niewoli. Bo jeśli stan wolności jest stanem ducha, podobnie jest z niewolą.

Trzeba więc wierzyć, że trwanie w szeregach współczesnych „Legionów" ma głęboki sens.

Dzisiaj już my – jednością silni,
Tworzymy Polskę – przodków mit.
Że wy w tej pracy nie dość pilni,
Zostanie wam potomnych wstyd.

[Gazeta Polska, nr 46/2013]

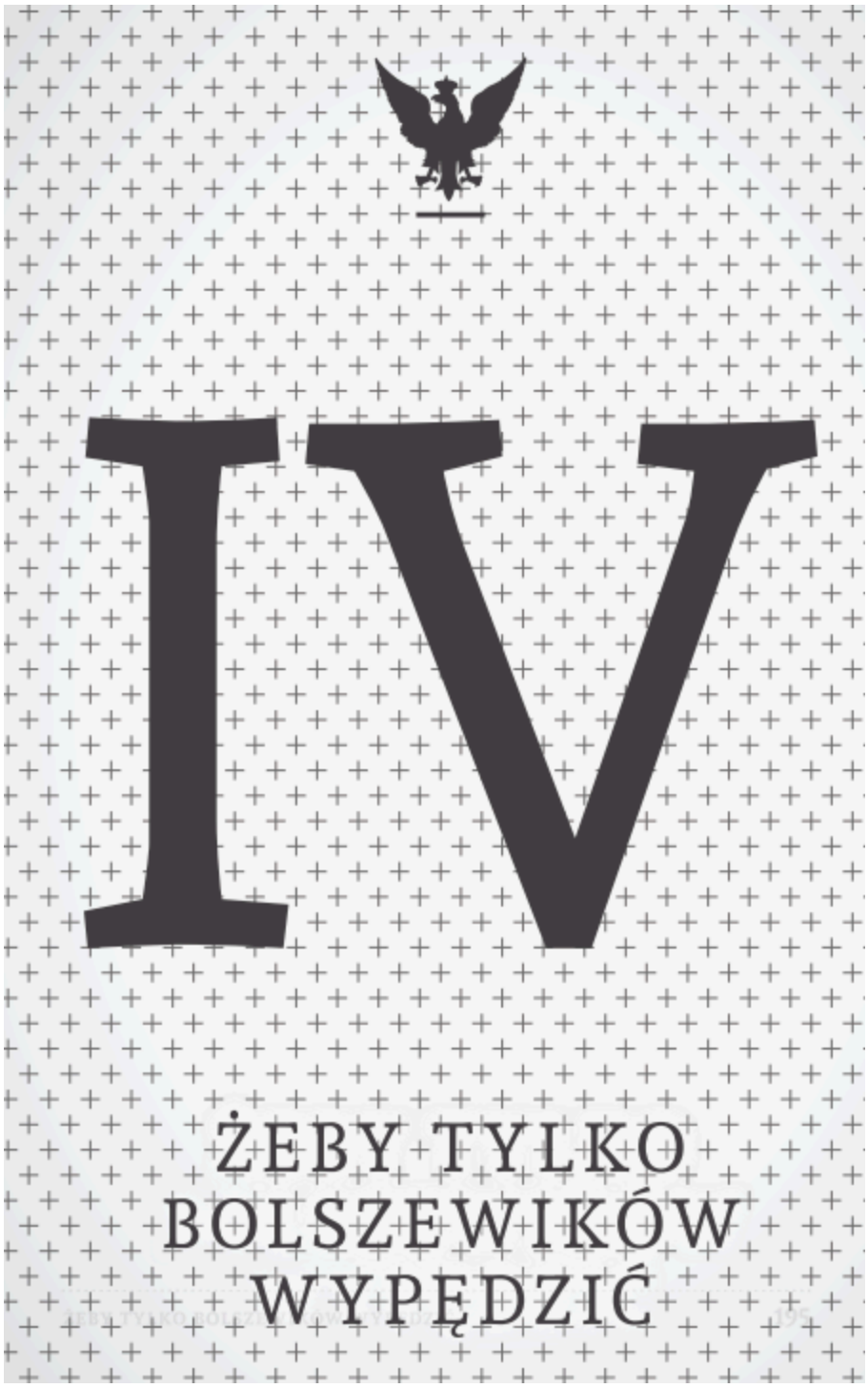

IV

ŻEBY TYLKO BOLSZEWIKÓW WYPĘDZIĆ

GDY w 1920 roku Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy, Polskę ogarnęło przerażenie. „Zza kordonu wojsk bolszewickich, z okolic zajętych przez Armię Czerwoną przekradały się wieści piekielne: pożary, grabieże, morderstwa, krwiożercze sądy czerezwyczajki, zabójstwa obywateli miejskich bez sądu, za to jedynie, że są właścicielami większej własności. Mordowanie księży. Pastwienie się nad kobietami. Któż z nas w oczach nie ma tego korowodu dziesiątków tysięcy wozów, ciągnących na Warszawę i za Warszawę, z pod Mińska, z pod Wilna, z pod Grodna, z pod Lidy, Wołkowyska, Pińska, Prużan, Kobrynia, Brześcia, z ziemi Łomżyńskiej, z pod Radzymina! To ludność tych okolic, zamożni i biedacy, uchodzili w trwodze przed strasznym najazdem…" – pisał w „Cudzie Wisły" Adam Grzymała–Siedlecki.

Ludziom owym włosy zbielałyby zupełnie, gdyby żyli jeszcze i mieli okazję przeczytać teraz, jak w „wolnej" Polsce, w roku 2014, redaktor Paweł Wroński z prorządowej „Gazety Wyborczej", pisze o żądaniach Rosjan dotyczących zbudowania w Krakowie pomnika ofiar „polskich obozów koncentracyjnych". Sprawa honorowania pomnikiem zmarłych po wojnie polsko–bolszewickiej jeńców (nie mordowanych, lecz umierających na skutek chorób zakaźnych) trzymanych w polskich obozach JENIECKICH odbiła się w mediach szerokim echem. W pierwszej chwili wydawało się nawet, że – jak rzadko kiedy – wobec propagandowego ataku rosyjskiego zgodnym głosem zaczną mówić wszyscy (włączając w to nawet polityków lewicy). Ta nadzieja była jednak złudna. Dziennikarz i zasłużony działacz Agory napisał tekst, który nawet przy największych chęciach trudno nazwać racjonalnym czy próbującym ważyć obie strony, jest po prostu jawnie probolszewicki i proputinowski.

Początkowe partie artykułu zatytułowanego „Wybudujmy pomnik Rosjanom" tworzą najpierw swoiste alibi dla wygłoszenia w finale bulwersującego postulatu. Pisze więc Wroński: „Nie ma się co łudzić i oszukiwać. Rosyjska inicjatywa jest fragmentem szerszego planu rosyjskiej polityki historycznej i wojennej propagandy. Na czele Towarzystwa Wojskowo–Historycznego stoi Władimir Miedinski – mini-

ster kultury i bliski współpracownik prezydenta Władimira Putina. Przedstawiciele Towarzystwa w Rosji wobec polskich obozów jenieckich używają nie tylko określenia »obóz koncentracyjny«, ale wręcz »obóz śmierci«, które jednoznacznie kojarzy się z tym, co hitlerowcy robili w Treblince, Sobiborze czy Birkenau". Potem jeszcze dodaje – „Rosja ogarnięta nacjonalistycznym szałem w sposób bezwzględny będzie prowadziła swoją politykę historyczną. Co rusz w tamtejszych publikacjach będą się pojawiały teksty, w których będzie podawana liczba 60 tys. pomordowanych przez Polaków jeńców wojny polsko–bolszewickiej, choć zarówno ustalenia polskich, jak i rosyjskich uczonych wskazują, że ta liczba wahała się od 18 do 22 tys.".

A zaraz potem przechodzi do swojego apelu skierowanego do polskiego rządu: „Mam jednak w tym momencie wielką prośbę do polskich władz. Aby w odpowiedzi na rosyjską politykę historyczną nie stosowali równie głupiej i topornej polskiej polityki historycznej, której wyznacznikiem są antyrosyjskość i obrona »dobrego imienia Polski« za wszelką cenę". I na koniec proponuje, by Polska postawiła bolszewickim najeźdźcom… pomnik.

W pierwszej chwili może się wydawać, że ktoś formułujący taki apel po prostu nie wie, czym był bolszewicki najazd na Europę, którego pierwsze uderzenie wymierzone było w Polskę. Może zapomniał, że właśnie ze względu na osłonę przed dziczą, barbarzyństwem, śmiercią i gwałtem, bitwę na przedpolach Warszawy uznaje się za jedną z najważniejszych bitew świata? A może po prostu jakoś tak wybiórczo czytał relacje wojenne, skupiając się jedynie na zapisach historii zmagań czysto wojskowych, nie zwracając uwagi na drastyczne opisy bestialstw, zwyrodnienia, azjatyckiej krwiożerczości?

By pomóc zawodnej pamięci redaktorskiej, sięgnijmy do lektur. Jedną z doskonalszych jest zbiór opowiadań Eugeniusza Małaczewskiego. Nota bene ten zapomniany dzisiaj autor należał do najzdolniejszych pisarzy swojego pokolenia, a sam Żeromski wychwalał go pod niebiosa w listach. Małaczewski, murmańczyk z piękną kartą walk z bolszewikami, zmarł niestety bardzo młodo, niedługo po wojnie, w 1922 roku oddając ostatnie tchnienie po długiej walce z gruźlicą. Po wojnie jego książki nie były wznawiane, nie tylko z racji antybolszewickiej wymowy, ale także z tego powodu, że przekazywał bez ogródek fakty o współpracy Żydów z rosyjskimi najeźdźcami. Pisał w podobnym stylu jak Kaden–Bandrowski – jego opowiadania to literacki przekaz własnych doświadczeń, zbeletryzowany pamiętnik, w którym miejsca, zdarzenia, fakty są zarówno przeżyciami autora, jak i informacjami zasłyszanymi od towarzyszy boju. Tak powstał doskonały obraz charakteru i klimatu walki z bolszewikami. Trzeba pa-

miętać, że w międzywojniu obowiązywał inny, bardziej wyważony sposób pisania o rzeczach trudnych, brutalnych. Gwałt na kobiecie opisywany był np. eufemizmami typu „męczone kobiety", „dręczone" itp., a niepisany kodeks autocenzury nie pozwalał pisarzowi czy dziennikarzowi na dosadne opisy, do jakich przyzwyczaiła nas dzisiejsza kultura masowa. Stąd, czytając relacje z wojny polsko–bolszewickiej trzeba uruchomić wyobraźnię i zrozumieć pewne niedopowiedzenia oraz ogólniki, które w tamtym czasie stanowiły jedyną dopuszczalną formę opowiadania o bestialstwach. A i tak, to co opisywał Małaczewski, jest bardzo mocne. Jak choćby scena, w której podczas jazdy pociągiem, sowiecki sołdat łamie kark dziecku za domniemaną kradzież, a poszarpane ciało rzuca pod koła jadących wagonów. Wspominał też o „walce z hordami bolszewików" nazywając ich ostro: „dzicz ludzka, o jakiej Europejczyk nie może mieć najmniejszego pojęcia". To oczywiście trochę tłumaczy współcześnie nieznajomość sprawy przez Pawła Wrońskiego. Wroński jest przecież Europejczykiem.

W opowiadaniu „Koń na wzgórzu" Małaczewski rysuje wjazd do dworku szlacheckiego położnego blisko jego rodzinnego domu. „W oknach nie zostało ani jednej całej szyby. Nie od kul wyleciały – powytłukano je snać naumyślnie, kolbą, kijem, pięścią, z kozackiej chandry, dla zbytku". Dalej widzimy obraz zniszczeń, jakie tylko barbarzyńcy mogli dokonywać. Wszystkie klepki wyrwano z podłóg. Na środku izby jadalnej był ślad po ognisku, w którym spłonęły rzucone na stos meble. „Wszystkie meble, szafy, kredensy, leżały w drzazgach, szczapach i strzępach. Nogi co krok deptały po szkle, ścielącym się od strzaskanych luster. Tapety tu i ówdzie powydzierano pasami od sufitu do podłogi, ściany okryto szeregiem odręcznych napisów i rysunków kredą, węglem lub dziegciem, utrzymanych stylu owych prymitywów, które zdobią mury i parkany moskiewskich koszar, więzień i fabryk".

Dalej autor przechodzi do pięknej niegdyś biblioteki. Na podłodze, wśród wielu poszarpanych woluminów leży „Obrona Sokratesa". Platońskiego dzieła nie da się jednak czytać, jest całe w ludzkich odchodach. Ten opis jest charakterystycznym przykładem tego, jak zachowywali się Moskale po spotkaniu z polskim domem. Zaczęli tak działać jeszcze przed pojawieniem się bolszewickiej zarazy. Już w 1794 roku mieliśmy kwintesencję ich dzikiej, barbarzyńskiej kultury wojennej. Wystarczy wspomnieć Rzeź Pragi, która pochłonęła dziesiątki tysięcy istnień. Czy ofiary te nie powinny być upamiętnione wielkim pomnikiem (może postawionym na miejscu „czterech śpiących")? Czy opisy, które zostawił nam Niemcewicz, przejętego od Moskali maciejowickiego dworu w Podzamczu to nie wypisz, wymaluj sceny,

jakie sto dwadzieścia kilka lat później widział młody pisarz–murmańczyk?

Małaczewski pisał: „I co w ogóle szczególniej mię uderzyło w całym tym rozgromionym domu, to mnogość tego specyficznie moskiewskiego zostawiania po sobie zelżywej pamiątki: w każdym kącie, w pośrodku każdego pokoju, na parapetach okien, na rozprutych materacach łóżek, na potłuczonej klawiaturze rozbitego fortepianu. Szczególna to chuć robić ze wszystkiego kloakę". Te słowa dobrze oddają nastroje tych wszystkich, którzy i dzisiaj pamiętają, jakie ślady zostawiała za sobą Armia Czerwona, gdy po raz kolejny przetaczała się naszym krajem. Robiła to samo: gwałciła każdą kobietę, jaką udało się dopaść, mordowała, kradła, dewastowała domy w jakimś najdzikszym, niezrozumiałym dla nas pędzie niszczenia i zostawiała po sobie właśnie takie kloaczne pamiątki. Smród odchodów, powyrywane klepki, poniszczone książki. Teraz mamy ich upamiętnić, my, ich ofiary? I co właściwie mielibyśmy upamiętniać? Że zginęli śmiercią jeńców pokonani przez nas w cywilizacyjnej wojnie? Czyż idąc tym tropem nie powinniśmy zacząć wystawiać innych pomników? Krzyżakom pod Grunwaldem, Szwedom pod Częstochową i Turkom pod Wiedniem?

Trudno Pawłowi Wrońskiemu zarzucić głupotę, gdy postuluje budowanie naszym wrogom pomnika, zgodnie z nagłym żądaniem Putina (jest oczywiste, że to za jego wskazaniem swoje działania rozpoczęło rosyjskie Towarzystwo). Szczególnie że pierwszą połową swego tekstu daje wyraz pełnej świadomości wagi propagandowej takiej zagrywki. Jest jeszcze gorzej, gdy słowa takie wypowiada ktoś świadomy. Bo świadomość czynienia zła czyni za nie moralnie odpowiedzialnym.

Moskale sami zostawiali po sobie pomniki. Nie musimy ich już budować. Te pomniki to kloaczne ślady w rozbebeszonych polskich domach, rozprute książki, spalone meble. A nawet swoiste, modernistyczne „dzieła barbarzyńskiej sztuki". Takie jak te z opisu Małaczewskiego: „Idąc aleją wygracowaną, brzegiem stawu, ujrzałem jeszcze kilka łabędzi. Były również martwe. Ktoś wpadł widocznie na pomysł osobliwy. Młode sadzonki wierzb nad stawem czyjeś ręce rozłupały toporem czy szablą od góry, aż do korzenia, i w otrzymane stąd widły, sprężyście rozwierające się rozdartymi połowami, powszczepiano wysmukłe, długie szyje ptaków. Płaskie ich głowy, z rozwartym szeroko dziobem, zwisały martwo z jednej strony drzewek, zaś z drugiej – obsunęły się bezwładnie ptasie tułowia z rozpacznie rozpostartymi skrzydły, których pióra wbiły się, wgrzebały w ziemię, niby zgrabiałe palce zmarłych w męce".

A może jako swoisty pomnik pobytu bolszewików w Polsce uznać by można rękę polskiego oficera zakopanego przez czerwonoarmistów żywcem w lesie? Ręka ta w przedśmiertnych skurczach wygrzebywała wokół świeżą ziemię.

A może inspiracją mogłaby być studnia? Ta, w której leżało nagie, poobijane o cembrowiny ciało siostry żołnierza–pamiętnikarza?

Albo wreszcie, największym pomnikiem bolszewików mógłby być tytułowy koń z najsłynniejszego opowiadania Małaczewskiego.

„Stanęliśmy nagle, zdumieniem w miejscu przykuci, zaś fantastyczny zjaw, czerniejący na szczycie wzgórza wśród niebios szkarłatnych, rósł i olbrzymiał, poruszając się z wolna.

W mgnieniu oka wbiegliśmy na wzgórze. I ujrzeliśmy rzecz niepodobną do niczego na ziemi. W oglądanym z dołu, olbrzymiejącym w oczach potworze, rozpoznaliśmy zwierzę, właściwie bardzo nawet pospolite. Był to potężny koń, z rasy koni pociągowych, tak zwany perszeron. Ale był to koń – odarty ze skóry. Wzdychając głęboko a postękiwując ludzkim prawie głosem, wgramoliło się po coś to żyjące ścierwo końskie aż na szczyt wzgórza. (…) – Patrzcie, koledzy, ten koń ma nogę złamaną. Nie mogli go zabrać ze sobą, to, psiekrwie, skórę z niego zdarli i z sobą zabrali! – objaśniał kapral żołnierzom”.

Taki literacki pomnik zostawmy bolszewikom.

My, Polacy, w przestrzeni publicznej powinniśmy raczej upamiętniać nasze zwycięstwo. I zadbać o to, by w Warszawie powstał Łuk Triumfalny roku 1920. Mamy z czego być dumni.

[Gazeta Polska, nr 42/2014]

ŻEBY TYLKO BOLSZEWIKÓW WYPĘDZIĆ!

TUŻ przed rozpoczęciem ofensywy spod Dęblina, w roku 1920, Maciej Rataj, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, przebywał wraz z premierem Witosem i generałem Sikorskim w okolicach Nasielska. Z miasta dopiero co ustąpili bolszewicy, więc gdzieniegdzie słychać było jeszcze gwizd kul, a na budynkach widniały świeże ślady po kanonadzie. Pośrodku miejskiego rynku, na rozkaz generała Sikorskiego, ustawiło się wojsko, formując karny czworobok. Było upalne lato, skwar lał się z nieba przez cały dzień i wieczorem wcale nie było dużo chłodniej – ledwie dało się oddychać. Trzech oficjeli szło wzdłuż szeregów, rozmawiając z żołnierzami. Minister Rataj zatrzymał się przy jednym z nich, młodziutkim chłopcu – brudnym i zmęczonym, okrytym świeżym pyłem wojennych zmagań. Młodzieniec przedstawił się mówiąc, że pochodzi z województwa lubelskiego, że ma lat szesnaście i pół oraz że jest uczniem gimnazjalnym. Takich jak on było w ówczesnym polskim wojsku wielu. Ale uwagę ministra przyciągnął gruby, sięgający do kostek wojskowy płaszcz, w który ubrany był ów młody wojak. Pogoda była przecież tak skwarna, iż ze wszystkich lały się strugi potu. „Dlaczegoś w płaszczu? Może chory?" – spytał Rataj. „Nie" – odpowiedział mocno skonfundowany chłopiec, nie wyjaśniając przyczyn. W końcu jednak, ze wstydem uniósł kraj szynela. Okazało się, że jego spodnie całe były w strzępach, ledwie trzymały się na pasku.

Tak to skomentował w roku 1921 minister: „Nie chciał się tak pokazać »przed rządem«. Ogarnął mnie ból i wstyd za siebie i innych, że oto tego chłopaka, dziecko prawie, które życie swe młode niosło w ofierze ojczyźnie, wyręczając starszych, nie zaopatrzono nawet w ubranie. Kilkadziesiąt zaledwie kilometrów od Warszawy! Musiał zauważyć moje z kolei zmieszanie, mój – powtarzam – wstyd. Powiedział z prostotą: »To nic! Ja wiem, że Polska teraz nie ma. Jak będzie miała, to da. Żeby tylko bolszewików wypędzić!«".

To był jeden z wielu młodych uczniów–bohaterów. Takich jak on było tysiące. Gdy ojczyzna stanęła wobec najtrudniejszej próby, gdy wiadomo było, że wysiłek regularnego wojska nie wystarczy, że

do boju musi stanąć dosłownie cały naród, nie wahali się ani chwili. Całe rzesze uczniów zaciągały się do walki z bolszewikami – nie znając przecież jej wyniku, lecz wierząc, że warto iść w bój nawet biorąc pod uwagę sromotną porażkę. Minister Rataj był pod takim wrażeniem opisanej wyżej rozmowy i postawy tylu innych żołnierzy w wieku jeszcze szkolnym, że po wojnie zlecił wykonanie olbrzymiej ankiety w kilku tysiącach polskich szkół. Proszono w niej dyrektorów o zebranie danych statystycznych dotyczących uczestnictwa młodzieży w działaniach bojowych roku 1920 – chodziło o ów niezwykły odruch młodych ludzi, którzy widząc nadciągającą nawałę bolszewicką, zgłaszali się na ochotnika. Nastrój oczekiwania na czerwoną zarazę oddał pewien dyrektor mieleckiego gimnazjum, przypominając kolejne nadchodzące wieści – „Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Do broni – wszyscy do broni – na front!"; „Od wschodu wieści złe: cofamy się"; „bolszewicy pod Lublinem, pod Warszawą, otaczają Warszawę: źle". Akcja zbierania danych w szkołach zaowocowała również zbiorem najcenniejszych pamiątek – doświadczeń i wspomnień spisanych przez uczniów i dołączonych do ankiet jako załączniki. Te właśnie osobiste opowieści mają dzisiaj największe znaczenie – wydane w roku 1922 w specjalnym zbiorze „O uczniu–żołnierzu", posegregowane i poddane redakcji, są wstrząsające. Na pierwszym miejscu uderza gorycz i trud związany z wojaczką. To nie tak przecież, że wojna jest szeregiem bitewnych zmagań, mniej lub bardziej heroicznych bojów i wybitnych uczynków. W pierwszym rzędzie wiąże się ze znojem dnia codziennego. Żołnierz zawodowy jest do niego przygotowany poprzez wyszkolenie i wcześniejsze ćwiczenia. Dla młodzieży był ten znój bezpośrednim wyzwaniem wojennym – te długie marsze, utrudnienia higieniczne oraz „doprowadzone do granic wyczerpanie muskułów i nerwów ludzkich". Dr Kazimierz Konarski, autor opracowania, pisał: „Trudno się dziwić chłopcu, któremu od marszu wrzody się tworzą pod paznokciami, że zobojętniał, że przestaje go upajać atak, że przeklina wszystkich i wszystko" oraz że zmęczenie „kładło piętno na wszystkich przeżyciach walczącej młodzieży". Jednocześnie jednak, jak wspominał dyrektor Gimnazjum św. Jacka w Krakowie: „Czyn zhartował dusze, wzmocnił wewnętrznie, zespolił z losami Ojczyzny, tak że młodzież realnie ujmuje Ojczyznę, zachowawszy idealne o niej wyobrażenie wyrobione nauką literatury i dziejów".

Lektura tych szkolnych pamiętników, w których czasem pojawiają się zapiski iście frontowe, dokonywane w trakcie działań wojennych, robi ogromne wrażenie. Wszystkie wpisy są anonimowe – każda wypowiedź, czasem ograniczona do dwóch, trzech najwartościowszych zdań z pamiętnika, jest podpisana jedynie miastem pochodzenia, imieniem szkoły oraz inicjałem ucznia–żołnierza. Mamy więc na przy-

kład strzępek listu ze stycznia 1920 roku: „Przepraszam bardzo wszystkich, że tak bez opowiedzenia wyjechałem, ale trudno, trzeba, żeby było jak najwięcej wojska, myślę, że to po sześciu miesiącach się skończy" – pisany przez chłopca z VI klasy Gimnazjum Państw. im. Kościuszki z Kalisza, o inicjałach K.P. Albo zapiski K.Ch. z VII klasy częstochowskiego Gimnazjum im. Sienkiewicza, w których odnaleźć można takie zdania: „Kroki niosły mię zawsze pod biura werbunkowe. Tam stałem bezwolnie i apatycznie, patrzyłem na wchodzących i wychodzących. Widziałem twarze zorane troską. (…) Czułem, że coś trza uczynić. Trza iść… jak ci… A dom? A „korki"? A praca? Tak jakoś liczyłem inaczej. (…) Co chwila szarpało mną nawoływanie krzykacza: Ojczyzna, Ojczyzna, Ojczyzna!…". I znów kolejne, z Warszawy, z Gimnazjum Kulwiecia, klasa VI, inicjały Z.S.: „Porwany jakimś niedającym się opisać uczuciem, rozgrzany nadzieją w zwycięstwo, poszedłem między tych, którzy choć odrobinę uczucia w duszy mieli". I z Krakowa, z Gimnazjum Sobieskiego: „Było nas 18. Wszyscy prawie siódmoklasiści, koledzy, kilku ósmaków, w tem paru weteranów obrońców Lwowa; z nich jeden kapral. Postanowiliśmy w piękny lipcowy wieczór wszyscy razem zgłosić się nazajutrz do wojska, a idąc za radą kaprala, starego maszynkarza – do karabinów maszynowych. Odczuliśmy wszyscy powagę chwili. Gdyby bolszewicy zalali Polskę, stracilibyśmy wszystko, a więc i życie nasze niewiele byłoby warte, trzeba więc życie narazić i spełniwszy obowiązek względem Ojczyzny, przyczynić się do odparcia wrogów". W tym wydanym w roku 1922 przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zbiorze natrafiam na wpis, który – również z powodów osobistych – robi na mnie wielkie wrażenie. To opowieść ucznia warszawskiego gimnazjum Kulwiecia, z klasy VIII, podpisane inicjałem WD. Wspomnienia z bojów podczas odwrotu spod Płoksirowa, jeszcze z lipca. Miasto atakował Budionny. Tabory i pociągi rozbite. Autor, który nosił imię Witek, a może Władek, opisał, jak jego drużyna harcerska została przydzielona do pilnowania i osłony taborów. Tymczasem miasto zostało zdobyte. Kilkudziesięciu polskich żołnierzy kozacy wycięli w pień w koszarach. Rozpoczął się odwrót. Lecz grupa 20 harcerzy została przy tych taborach, na swym posterunku… „Nieprzyjaciel był już w mieście. Strzały było słychać coraz bliżej. Po paru minutach usłyszeliśmy pierwsze »Urra!«. Lecz ucichło ono, gdy zaczęliśmy strzelać. Gdy uspokoiło się, z przerażeniem zauważyliśmy, że jesteśmy sami, nie było z nami oficera, który nas prowadził, ani żadnego żołnierza. To pogorszyło sprawę. Nie wiedzieliśmy, co teraz mamy robić i dokąd iść, bo strzały były naokoło".

Przerywam lekturę. Nie mogę czytać spokojnie. Na słowa nakłada się wyobraźnia ojca – jeden z moich synów ma osiemnaście lat, jest

harcerzem, wychowuje innych, młodszych od siebie, a my jesteśmy dumni, gdy podczas obchodów rocznic Powstania Warszawskiego idzie ze sztandarem Zgrupowania AK „Kryska" odznaczonym Virtuti Militari, by oddać hołd powstańcom. Gdy czytam więc o tamtych harcerzach – siłą wyobraźni widzę grupę chłopców o jasnych, pełnych entuzjazmu oczach, jakie widuję, gdy Kazik z drużyną wyjeżdżają na obóz. Myślę, że pewnie byli podobni. Musieli być.

Oto tamci harcerze spotkali jakiegoś zbłąkanego oficera, który usiłował im pomóc. Nagle wszyscy zostali otoczeni przez oddział jazdy nieprzyjacielskiej. „Kozacy z szablami wpadli między nas… Padł oficer.".

Dalej następuje dramatyczny opis: „Pierwszymi słowami bolszewików były: »Dawaj czasy!« i »Dawaj rewolwiery!«. Potem szablami zamuszono nas do oddania całej garderoby i butów. Wszystko to składali do worków zawieszonych przy siodłach. Potem. widziałem pokrwawione twarze kolegów, którzy chronili się ucieczką przed cięciami szabel. Dopędzono ich. Potem… Zobaczyłem błysk szabli nad głową. Zasłoniłem się ręką. Poczułem, że szabla uderzyła o rękę, lecz bólu nie czułem, poczułem tylko, że palce bezwładnie zwisają u ręki. Drugi błysk. Poczułem uderzenie czymś twardym po głowie i usłyszałem dźwięk odskakującego żelaza. Straciłem przytomność.. Upadłem".

Po jakimś czasie chłopak odzyskał świadomość. Zobaczył przejeżdżających kozaków i usłyszał cichy jęk – „To jęczał kolega leżący obok. Był cięty szablą i kłuty lancą. Wiedziałem, że i mnie czeka śmierć od cięć, których nie czułem. Myślałem, że konam. Zacząłem się głośno modlić. Pacierz rozpoczynałem kilka razy, lecz skończyć nie mogłem".

Co chwila przejeżdżali kozacy. Harcerz na przemian mdlał, to znów odzyskawszy świadomość wspierał się na łokciu. Gdy słyszał tętent kładł się znowu. Przejechał jakiś kozak, chłopak nie wiedząc, że za nim jedzie następny, znów się podniósł. Bolszewik go dostrzegł. „Z przekleństwem skierował konia do mnie i wyjął szablę. Odwróciłem się i wcisnąłem twarz w ziemię. Uczułem silny trzask w głowie. drugi, trzeci. rękami ścisnąłem głowę.". A potem znowu – urywane słowa, po jednym, po dwa, fragmenty zdań. Pisane w wielkiej emocji – wspomnienia były świeże. „Tętent przejeżdżających kozaków obudził mnie. Przypomniałem wszystko. Wiedziałem, że umrę… Śmierci się nie bałem… Chciałem końca…".

Nadszedł świt. Poranne słońce. Kolejni kozacy. Strzały. Dobijanie rannych. „Obok mnie leżał kolega. Pocięty szablami i kłuty lancą tarzał się i jęczał z bólu. Padł strzał. Kolega zatrząsnął się. i umilkł".

A potem ów chłopiec opisuje godziny, jakie płynęły – wstające słońce i jego światło prześwitujące przez krew skrzepłą na palcach ręki, którą położył pod głowę. Odnalazły go jakieś kobiety. Został uratowany. Przeżył.

To była miłość do Ojczyzny zamieniona w prawdziwą ofiarę. Oddech tego chłopca, harcerza, jego myśl, spojrzenie na skrwawioną rękę. Milknący jęk zabitego kolegi. I oddalające się przekleństwa kozaków.

Wreszcie kolejne świadectwa i kolejne. Każde osobiste, własne, prawdziwe. Pisane przez synów, na których czekano w domach. Takich, jak członków Batalionu Ochotniczego, złożonego w dużej mierze z młodzieży szkolnej, batalionu, którego kapelanem był ksiądz Skorupka. Tak widział jego śmierć uczeń VII klasy warszawskiego gimnazjum Kulwiecia o inicjałach J.S.: „Było sześć ataków naszych, z których pięć było niefortunnych, a dopiero szóstym atakiem odrzuciliśmy bolszewików o parę kilometrów za wieś Leśniakowiznę. Parę razy dochodziło do starcia na bagnety. W pierwszym ataku ks. Skorupka jakimś zbiegiem okoliczności znalazł się o parę kroków ode mnie. Widziałem jak, gdy dochodziliśmy, jeden z bolszewików strzelił do księdza i ugodził go kulą w czoło, ten sam również strzelił do mnie, lecz nie trafił, repetował karabin, aby znów strzelić, lecz ja go uprzedziłem i paru pchnięciami bagnetu powaliłem go”.

Płyną te wspomnienia jedno za drugim. Kończą się opisem powrotu do domu. „Jeszcze wiele dni zmartwień, zimna i trudów, aż wreszcie ujrzałem ukochaną Częstochowę. Matka ze łkaniem mnie przycisnęła, albowiem w dniu tym potwierdziła się wiadomość o śmierci kolegi”. A na koniec ten uczeń gimnazjum Sienkiewicza, z klasy VII, pisał: „Wojsko młodzieży polskiej nie popsuło, lecz wyrobiło w niej charakter. Będą to ludzie, którzy zbudują Polskę Przyszłości. A Tej nie zwalą wichry ani burze! Hej, dlaczegoż nie mogę wypowiedzieć tego, co czuję!”.

Na koniec w ministerialnym zbiorze są listy uczniów odznaczonych orderami. I wreszcie lista najsmutniejsza – tych, którzy polegli. Stefan, Władek, Józek, Tadek, Ludwik, Stasiek, Roman, Franciszek, Antoni, Kazik, Artur, Jan Kazimierz, Wawrzyniec, Leon… Kolejne nazwy gimnazjów. Kolejne numery klas. Imiona i nazwiska. Szkolny apel, na którym już tylko milczenie.

Ci wszyscy żołnierze–uczniowie nie dostali szansy, by żyć dalej w wolnej Polsce, nie założyli rodzin. Oddali życie, by inni mogli je zakładać – mieć dzieci, wnuki i prawnuki, które można wychować na dobrych Polaków. Jak na nich patrzeć z naszej perspektywy? Możemy uznać – zatem – że są nam bliscy, jak nasi pradziadowie. Albo jeszcze inaczej – rzucając wyzwanie czasowi i przestrzeni – uznać, że

te dzieci z przeszłości są także nasze. I opłakiwać je tak, jakbyśmy swoje opłakiwali. I modlić się za nie, jak za swoje dzieci. To jesteśmy im winni – dzieciom–bohaterom roku 1920.

[wSieci, nr 32/2015]

MY WSZYSCY W TYM KONDUKCIE – OSIEMDZIESIĄTA ROCZNICA ŚMIERCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Trumno, trumno wysoka! Jakie wieziesz gruzy,
Ile ruin w mrok twego zapadło się wieka?
W nieruchomej szkatule, cichej i niedużej,
Chcesz zamknąć Bożą chmurę? Ty myślisz – człowieka?!

KAZIMIERZ Wierzyński – po niezwykle podniosłych uroczystościach pogrzebowych Marszałka Józefa Piłsudskiego – napisał o nich wiersz. Ten, jeden z duchowych przewodników narodu romantyków i poetów żałobnym piórem próbował przekazać to, co czuli ówcześni Polacy: pęknięcie serca i żal za czymś Wielkim, co właśnie odchodzi. 12 maja 1935 roku, osiemdziesiąt lat temu umarł wskrzesiciel Polski, słusznie nazywany „Geniuszem Niepodległości". Przez Kadena Bandrowskiego porównywany do orła, który za młodu chowany w piwnicy musiał się z niej wybić i wzlecieć ku górze, pociągając za sobą innych. Fenomen Piłsudskiego to zjawisko wpisujące się w szereg wyjątkowych postaci na przestrzeni dziejów. Francuzi mieli Napoleona, a starożytni Rzymianie Cezara i Augusta. My mieliśmy kolejnych wielkich wodzów: Chrobrego, Batorego, Sobieskiego i właśnie Piłsudskiego. Ostatnia droga Komendanta była drogą na Wawel. Słusznie spoczął w kryptach królewskich, pomiędzy największymi, gdyż w istocie, choć nigdy niekoronowany, unikający dzierżenia władzy oficjalnej, sprawował po odzyskaniu niepodległości władzę faktyczną. Władzę nad duszami narodu. Mimo tego pochówek wawelski budził kontrowersje, a decyzja kardynała Sapiehy przeniesienia trumny do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów spowodowała protesty wiernych. Nie sposób w tym miejscu nie przypomnieć innego zdarzenia, bliższego nam, tego, którego świadkami byliśmy w roku 2010, gdy podobne spory przyczyniły się do pęknięcia w społeczeństwie i zaburzenia nastroju narodowej żałoby po katastrofie smoleńskiej.

Śmierć Marszałka była w 1935 roku szokiem dla Polaków, którzy poczuli się osieroceni, zostawieni przez Dziadka, a to poczucie pustki, lęku przed przyszłością i braku opieki już za cztery lata miało się oka-

zać słusznym. Polska w 1939 roku znowu została strącona w dziejową „piwnicę", jak to zgrabnie ujął metaforą Kaden–Bandrowski.

Uroczystości pogrzebowe trwały tydzień, Polacy płakali nad wystawioną najpierw w katedrze warszawskiej trumną, a gdy wieziono ją na lawecie na Pole Moktowskie, wokół konduktu pogrzebowego zgromadziły się tłumy. Ulicami przeciągało w żałobnym pochodzie Wojsko Polskie – ten najważniejszy twór Piłsudskiego, zaczyn i początek polskiej wolności. Ciągnęły jeden za drugim oddziały ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Na początek trzydzieści oddziałów reprezentujących trzydzieści dywizji, a potem trzydzieści pocztów sztandarowych kolejnych pułków kawaleryskich. Artylerię reprezentowały armaty ciągnione dwoma rzędami. Nad głowami ludzi warczały silniki samolotów. Szły szkoły wojskowe, podchorążowie i kadeci. Tabory i sanitariusze. Orkiestra 30–go pułku miała bębny przyozdobione kirem. Oddziały wojskowe prowadził generał Orlicz–Dreszer. A za nim poczty sztandarowe i dowódcy pułków. Po dywizjach piechoty szły garnizony miast polskich, a ludzie tylko szeptali w tłumie ich nazwy: Stołpce, Zamość, Toruń, Lwów, Kraków, Częstochowa, Modlin, Łódź, Stanisławów, Tarnopol, Równe. Cała Rzeczpospolita pogrążona była w smutku, od krańca do krańca. Na przybranych czarnym kirem balkonach stali warszawiacy, spoglądając na sunące oddziały: 20. Dywizję Piechoty z Baranowicz, 21. z Bielska–Białej, 22. z Przemyśla, 23. z Katowic, 24. z Jarosławia, 25. z Kalisza, 26. ze Skierniewic, 27. z Kowla, 28. z Warszawy, 29. z Grodna, 30. z Kobrynia. Wreszcie nasza wspaniała kawaleria. A na jej czele adiutant i przyjaciel Wodza, Wieniawa–Długoszowski. Każdy kawalerzysta przepasany był żałobną wstęgą. Na biało–czerwonych proporczykach powiewał czarny kir. Za wojskiem szli zwykli ludzie, niesiono setki wieńców. Dalej podążali duchowni – setki zakonników i księży oraz najwyżsi dostojnicy Kościoła. I w centralnym punkcie, na którym ogniskowały się oczy całego narodu jechała, zaprzężona w sześć koni, laweta z trumną. Tuż za nią Pani Marszałkowa i obie pogrążone w smutku córeczki. Zaraz za rodziną wspieraną przez generałów Rydza–Śmigłego i Sosnkowskiego szli najwyżsi przedstawiciele państwa, prezydent Mościcki, szef protokołu Romer. Po delegacjach z wieńcami od zagranicznych głów państw kroczył premier Walery Sławek, a za nim Jędrzejewicz, Raczkiewicz, Prystor, Kościałowski, Beck, Kasprzycki i inni. Szli jeszcze przedstawiciele świata nauki, rektorzy i dziekani uniwersytetów, policjanci, kawalerowie Orderu Virtuti Militari. Szła w tym pochodzie cała Polska.

Marszałek pozostawił po sobie testament, który mniej lub bardziej świadomie rozumieli wszyscy. Odzyskana Niepodległość to był nie tylko wywalczony od losu Dar, ale także zobowiązanie. Testament Ko-

mendanta był zobowiązaniem duchowym. Ale też miał konkretny wymiar. Ten wymiar to była wizja Polski. Polski sprawiedliwej i mądrze rządzonej. Polski, w której ustrój gwarantuje to, że interes państwa, jak pisał Ludwik Stolarzewicz w „Pierwszym Żołnierzu Polski Odrodzonej"– „musi górować nad interesem jednostki czy kliki, czy jakiegoś ugrupowania". Jakże te słowa pasują do naszej współczesności, w której państwo „istnieje teoretycznie", za to kraj cały realizuje interes jednej „kliki". Idąc za myślą Stolarzewicza, można by zobaczyć takie obszary testamentu Piłsudskiego, jak kwestie polityki wobec mniejszości narodowych z naczelną zasadą tolerancji religijnej i językowej, „z równoczesnym przepojeniem wszystkich narodowości, zamieszkujących państwo, ideą państwowości polskiej". Warto by dzisiaj sformułować taką definicję „idei państwowości polskiej". O nią wszakże toczy się polityczny spór. O jej kształt i wizję.

W kwestii polityki zagranicznej Stolarzewicz widział takie punkty wypracowane przez Marszałka: „Zasadą naczelną polityki polskiej musi być hasło: 1. Nic w Europie bez nas 2. Nie dopuszczenie do mieszania się państw obcych do spraw wewnętrznych Polski (sprawy mniejszości) 3. Samodzielność polityki zagranicznej Polski, a nie kroczenie w ogonie państw innych 4. Polityka pokojowa, daleka od jakichkolwiek tendecyj zaborczych – lecz zdecydowana, nie lękliwa 5. Polska zając musi należne jej miejsce w rodzinie narodów (mocarstwowość) 6. Utrzymanie przyjaźni z Zachodem i wschodem (pakty o nieagresji)".

Doskonale sformułowane i jakże aktualne hasła prowadzenia polityki zagranicznej. I one także odnoszą się do naszej rzeczywistości, mogą być niejako literalnie stosowane, jako opis programu naprawy Polski. W sprawach wyznaniowych Stolarzewicz wskazuje równouprawnienie religijne, a konkordat jako podstawę stosunków Państwo–Kościół. Dalej pisze o tak ważnych składnikach testamentu Marszałka, jak wojsko, które winno być silne i nieupartyjnione, oraz powinno być „wykładnikiem sił całego narodu, musi cieszyć się poparciem całego społeczeństwa – musi stać się Jego ukochaniem".

I wreszcie kwestia „Ducha Niepodległości": „By naród istniał jako państwo niepodległe, musi w sobie na stałe wytworzyć ducha niepodległości".

Wydaje się, że ten ostatni punkt opisany przez Stolarzewicza jest punktem najważniejszym, niejako początkowym. Gdyż dopiero z mocno „zakorzenionego" w sercach narodu owego Ducha Niepodległości może wykwitać, może rodzić się wszystko inne. Zacząć trzeba więc od tego punktu. Warto, aby ten testament Marszałka był testamentem ciągle aktualnym dla naszego pokolenia. My także, w po-

chodzie dziejowym, idziemy pochyleni w smutku za Jego trumną, w osiemdziesiątą rocznicę Jego odejścia.

[Gazeta Polska, nr 19/2015]

SZYMON Askenazy lubił przechadzać się po Warszawie. Latem zakładał melonik koloru perłowego, zimą zaś brązowego. W tym meloniku szedł ulicami, czasem przystawał, zamyślony przyglądał się budynkom i placom. Jerzy Stempowski wspominał, że w trakcie takich spacerów historyk opowiadał mu o Powstaniu Listopadowym. Że wskazywał w stronę jakiegoś domu przy Krakowskim Przedmieściu czy Miodowej, czy na placu Bankowym, i przywoływał czasy tamtej insurekcji. Obraz, jaki się z tego wyłaniał, był poruszający – powstanie jawiło się jako chaotyczna plątanina postaci, zmysłów, nagłych idei, szlachetnych postaw i podłych, zdradzieckich czynów, „bohaterstwo sąsiadowało z bezmyślnym egoizmem i prowokacją".

Któregoś letniego dnia 1932 roku obaj panowie usiedli na ławce naprzeciwko budowanego właśnie Muzeum Narodowego. Autor biografii Łukasińskiego, dowiedziawszy się, nad czym pracują robotnicy, westchnął ciężko i pogrążył się w proroczej wizji. Ogarnięty wieszczym tchnieniem niczym Kasandra, stwierdził, że budynek jest szykowany „na zagładę". Stempowski zdziwił się niepomiernie, Askenazy zaś dodał: „Kiedy tak siedzę na ławce, widzę niemal, jak Niemcy jadą w samolotach i rzucają bomby na miasto". A przypomnieć trzeba, że był to rok, w którym Hitler dopiero szedł drogą ku zdobyciu pełnej władzy, Piłsudski był wciąż czynnym politykiem, a Józef Beck miał wkrótce rozpocząć swoją karierę na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że za parę lat nad Europą pojawią się czarne chmury. A jednak ten, który tak pięknie pisał o niezłomnych herosach naszej walki o Niepodległość, o tych, dla których honor to jedna z najdroższych wartości, był pewien, że już niedługo nadejdą straszne dni, że znowu będziemy wybierać między owym honorem a śmiercią. „Jak pan tego nie widzi? Jak pan może tego nie widzieć? Niech się pan przez chwilę zastanowi! Czy może być inaczej?" – unosił się w emocjach Askenazy, czego nie omieszkał zanotować Stempowski.

Nie wiem, czy w owej chwili historyk zerknął w stronę mostu Poniatowskiego i czy nie przypomniał sobie, jak w majowy dzień 1926

roku – szli obok siebie Marszałek Józef Piłsudski, Orlicz–Dreszer i wierny adiutant Józef Beck. Ten ostatni miał się wkrótce zmierzyć z najbardziej fatalnym wyzwaniem, jakie postawiło przed nim życie. W listopadzie 1932 roku został mianowany ministrem spraw zagranicznych i przez siedem następnych lat kreował polską politykę wobec dwóch potwornych sił, radzieckiej i niemieckiej, w świecie skomplikowanych sojuszy, układów i negocjacji. I miał w końcu powiedzieć słynne słowa o wartości polskiego honoru, za jakie był oklaskiwany w sejmie, fetowany na ulicach, a potem opluwany, szargany i spychany do najgłębszej ciemnicy polskich przewin jako ten, który wręcz jednoosobowo dźwiga ciężar sprowadzenia na polskie głowy zagłady drugiej wojny światowej.

W każdym razie Józef Beck, były żołnierz Legionów, artylerzysta będący w służbie od sierpnia 1914 roku, a potem dzielnie bijący się o Polskę i pod Kostiuchnówką, i w trakcie wojny polsko–bolszewickiej, chudy, wysoki, o zakrzywionym nosie, długich nogach i lekko pochylonych ramionach wkrótce miał zostać ministrem. Jednak nie usłyszał proroczych wizji Askenazego. A gdyby dotarły do ministerialnych uszu, cóż z nimi można by zrobić? Kto słucha kasandry we współczesnym świecie? Nawet, jeśli jest nią siwowłosy historyk w perłowym meloniku?

Stempowski słuchał i tak spisał wieszcze słowa: „Tylko zupełnie naiwni mogą sobie wyobrażać, że Polska może toczyć wojnę inaczej, niż na dwa fronty. Niemcy nie mogą przekroczyć granicy pod Zbąszyniem bez tego, aby Rosjanie przekroczyli ją ze swej strony pod Baranowiczami. Trzeba się liczyć z najprostszym mechanizmem takich wypadków. Przed uderzeniem na Polskę Niemcy zgromadzą przeważające siły i zapewnią sobie neutralność czy bezczynność mocarstw zachodnich. Będzie więc bardzo prawdopodobne, że prędzej czy później zajmą kraj i dojdą aż do Baranowicz. (…) Czy tego dnia Unia Sowiecka będzie w aliansie z Niemcami czy też z Anglią i Francją czy nawet z nami, będzie to zależne od gry aliansów na ten dzień, ale bynajmniej nie zmieni sprawy. Przejście granicy i zajęcie wschodniej Polski, będzie w owej chwili dla Rosji sprawą nierównie pilniejszą od gry aliansów”.

Po chwili słynny dziejopis przedstawił także drugą wersję zdarzeń, nazwijmy ją „pokojową”. W niej również tracimy suwerenność i państwowy byt – niezależnie od układu aliansów, niezależnie, czy zwiążemy się z Niemcami, czy z Sowietami, czeka nas finalnie zagłada, gdyż po kolei musielibyśmy cedować np. Wilno i Lwów na rzecz Rosji, lub Śląsk i Pomorze na rzecz Niemiec. Dlaczego? Gdyż „dla mocarstw zachodnich Polska jest tylko pionkiem do szachowania bądź

Niemiec, bądź Rosji i po okrojeniu nie przedstawiałaby już żadnej wartości".

Smutna wieszczba miała tę dodatkową bolesną charakterystykę, iż wskazywała na to, że właściwie bieg wydarzeń i układ sił skazują nas na porażkę niezależnie od poczynionych przez nas kroków.

Beck tego nie usłyszał. Starał się przez najbliższe lata stosować zasadę wpojoną mu przez Komendanta, by zachować równowagę pomiędzy Rosją i Niemcami, przy jednoczesnym uważaniu Rosji za głównego przeciwnika. Jak pisał potem ostry krytyk poczynań ministra Stanisław Cat Mackiewicz, polityka polska jest funkcją stosunków rosyjsko–niemieckich i z tego minister zdawał sobie sprawę. Układ z 1934 roku, a także dalsze dyplomatyczne zabiegi aż do jesieni 1938 roku stawiały Polskę w roli – co prawda chłodnego, ale jednak – sojusznika Niemiec. Dopiero w październiku 1938, po sformułowaniu żądań gabinetu Hitlera – dotyczących oddania Wolnego Miasta Gdańska, eksterytorialnej autostrady przez Pomorze – oraz wystosowania propozycji formowania antysowieckiej koalicji – Józef Beck zmienił wektor polskiej polityki zagranicznej. Zaczął się stawiać Niemcom, szukając sojuszu z Brytyjczykami i próbując umocnić francuskie gwarancje. Nie wiedział, że – jak przewidywał Askenazy na ławeczce przed muzeum – nasi alianci będą mieli nas głęboko w nosie.

W końcu, w maju 1939 roku wygłosił w sejmie swoje słynne przemówienie. Mówił w nim o żądaniach niemieckich, o Wolnym Mieście Gdańsku, o tym, że nawet słowo „korytarz" jest wymysłem niemieckim, gdyż winniśmy nazywać naszą ziemię prawidłowo „Pomorze" i podkreślił przede wszystkim, że Niemcy żądają zrzeczenia się od nas terytoriów, nie dając nic w zamian. Innymi słowy – za nasze koncesje nie dają żadnych. Uznanie naszych granic nie jest bowiem koncesją, gdyż de facto i de iure nasze ziemie są polskie i tyle. Innymi słowy – gdybyśmy to mieli dzisiaj wulgaryzować – niemiecki drab zażądał od nas oddania naszej własności jak rozbójnik na ulicy.

Pod koniec sejmowego przemówienia padły słynne słowa o honorze. Piękne i mocne. Iście spartańskie: „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata ma swoją cenę, wysoką ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor".

Szymon Askenazy opisał losy polskiego „wzorca honorowego", księcia Józefa Poniatowskiego, który bił się za Polskę nawet wtedy, gdy sprawa zdawała się przegrana, bił się do końca, bił się, tonąc w Elsterze, mówiąc, iż „Bóg mu powierzył Honor Polaków, Jemu tyl-

ko go odda". I oddał. A Bóg ów Honor przekazywał, jak piękny dar, tym, którzy wiedzieli, jak go cenić.

Józef Beck był obiektem bezlitosnych ataków PRL–owskiej propagandy jako jeden z czołowych sanacyjnych polityków „odpowiedzialnych" za klęskę wrześniową. Jest i obecnie. Niektórzy historycy (Zychowicz) i publicyści (Ziemkiewicz) czynią go właściwie osobowo odpowiedzialnym za porażkę. Rysują także – jedyną logiczną wedle nich drogę – jaką powinien podążać kreator polskiej przedwojennej polityki zagranicznej, a mianowicie tę, w której w sojuszu z Hitlerem winniśmy uderzyć na Sowietów, zaś żądania oddania Gdańska i autostrady spełnić bez szemrania, stuliwszy uszy. Jak Czesi. Albo kolaboranci francuscy spod znaku Vichy. Przykład Francuzów zresztą Rafał Ziemkiewicz rozpatruje w swojej książce „Jakie piękne samobójstwo" całkiem poważnie: „Ja Francuzów, z racji sposobu, w jaki wykręcili się od tej samej wojny, która nam przyniosła zagładę, wręcz podziwiam. A w każdym razie im zazdroszczę. Zazdroszczę, że w trudnym historycznym momencie trafił im się u władzy Petain, a nie jakiś idiota, który by ogłosił, iż priorytetem francuskiej polityki zagranicznej ma być honor, bo honor to jedyna w życiu narodów rzecz bezcenna. I że dla tego honoru warto zaryzykować nie tylko istnienie państwa francuskiego, ale nawet biologiczną zagładę francuskiego narodu".

Ministrowi Beckowi insynuuje się również chorobę alkoholową i niepoczytalność. Tymczasem nikt nie jest w stanie stwierdzić, jak potoczyłyby się losy świata, gdybyśmy jednak honor schowali do kieszeni i oddali, co się da. Wariant czeski u nas wcale nie musiałby się zakończyć tak łagodnie, jak u naszych południowych kolegów, zaś współpraca z Niemcami ustawiłaby nas po stronie nazistów na zawsze. Dzisiaj nie walczylibyśmy z pojęciem „polskich obozów zagłady", gdyż one w istocie byłyby polskie.

Ponad kwestie przygotowań militarnych (armia w fatalnym stanie) czy fałszywej oceny własnych możliwości, trzeba jednak podnieść kwestie moralne. Otóż – minister Beck miał rację. W życiu narodów, tak jak w życiu jednostek, obowiązują także pewne normy moralne.

Ziemkiewicz w swojej książce posługuje się metaforą – przypowieścią. Pisze o restauratorze, do którego przychodzą bandziory, oferując „ochronę". Szef knajpy najpierw ich zwodzi, zyskując na czasie, a gdy przychodzą po raz kolejny, stawia im się. Pomimo tego, iż wie, że policja raczej nie zainterweniuje. Restaurator obrywa, a mógł, jak inni w dzielnicy, ułożyć się jakoś z bandytami i spokojnie żyć. Ta metafora ma opisywać zachowanie Becka przed wojną w stosunku do Niemców. Właściwe według Ziemkiewicza jest zachowanie „racjonalne", czyli niestawianie się bandziorom.

A mnie uczono w domu czego innego – i pewnie dlatego nigdy światopoglądu Ziemkiewicza i Zychowicza nie zrozumiem. Mnie uczono, że jak bandzior mnie zaczepia i nawet jak jest dwa razy ode mnie większy, więc nie mam szans, to i tak powinienem się z nim bić. Mimo tego, że mi z buzi zrobi „jesień średniowiecza". Gdyż tak nakazuje Honor. I gdy czterech osiłków napadnie moją żonę, to także bezwarunkowo mam się na nich rzucić, nawet jeśli racjonalny wybór jest taki, żeby jeszcze im oddać swój portfel i nie zaogniać sytuacji.

Minister Beck zachował się jak mężczyzna. I jak dumny Polak. Przez to jest obiektem ataków, stając w jednym szeregu z powstańcami styczniowymi (ci to szaleńcy dopiero, nie siedzieli cicho, jak chciano ich dzieci wysłać do rosyjskiej armii), czy dowódcami Powstania Warszawskiego. Winę za rozpętanie drugiej wojny światowej ponoszą Niemcy. A nie Polacy, którzy odmówili hańbiącego oddawania własnej ziemi. Winę za ofiary rzezi Woli ponoszą ludzie z brygady Dirlewangera i Rosjanie z SS RONA. A nie akowcy.

Dzisiaj, niedaleko nas, na Ukrainie znowu rozgrywają się dramaty wielkiej skali. Władimir Putin zajął Krym bez jednego wystrzału. Czy w myśl narracji „racjonalistów" powinniśmy siedzieć cicho? Czy także Ługańsk i Donieck Ukraińcy powinni oddać? Byłby taki fajny „korytarz" dojazdowy do odeskich kurortów…

Przemówienie sejmowe z maja 1939 roku zostało nagrane i zarchiwizowane przez Polskie Radio. Nisko osadzonym, pewnym siebie, lecz lekko wzruszonym głosem Józef Beck mówi „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę". I nie może dokończyć. Bo zrywają się brawa. Tak gorące, tak mocne, tak długie. W sejmie, który wcześniej na tej samej sali, był wielokrotnie targany przez kłótnie i spory. Ale teraz, ten polski sejm wstaje jak jeden mąż i klaszcze z całych sił. Słychać okrzyki… Po tym huraganie oklasków, Beck dopowiada ostatnie słowa – „Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor". I znów się zerwały okrzyki. To krzyczała Polska – czuła i myślała to, co on.

[wSieci, nr 35/2014]

O PORZĄDNYM CZŁOWIEKU

PO śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego dziennikarz Konrad Wrzos przeprowadził serię wywiadów z najbliższymi współpracownikami Komendanta – tymi, którzy przeszli z Nim drogę do Niepodległości od PPS–owskiej roboty podziemnej, walki legionowej, wojny z bolszewikami czy wreszcie trudnego czasu budowania nowego państwa. Pośród tych piłsudczyków, sanacyjnych przedstawicieli obozu władzy, był także generał Kazimierz Sosnkowski. Ten niezwykły człowiek doprowadził do powstania Związku Walki Czynnej, a następnie niejako „podał go na tacy" Piłsudskiemu. Potem został kolejno szefem sztabu i zastępcą Marszałka, wiceministrem, ministrem spraw wojskowych oraz inspektorem armii. Wrzos pytał Sosnkowskiego m.in. o dawne dzieje, legionowe „boje", lecz nagle przeszedł do tematu zgoła innego. Spytał generała o wychowanie młodzieży. Zdawać by się mogło, że Sosnkowski uderzy w ton wzniosły, a nawet patetyczny. Takie były przecież publikacje okresu sanacyjnego, w których dbano o kult Marszałka. Tymczasem, owszem, powiedział parę słów o potrzebie sięgania do historycznych źródeł patriotycznych: „Młode pokolenie musi być wychowywane w szacunku dla tego, co w przeszłości naszej było istotnie piękne i szlachetne: przecież jednym ze środków wychowawczych Komendanta w czasach niewoli było szerzenie kultu dla powstania 63 roku". Zaraz jednak dodał, że czasy niepodległości, poza owym ukorzenieniem w przeszłości, wymagają także innych metod. Poza fundamentem patriotycznym należy więc dbać o coś, co nazwał „wychowaniem państwowym". Tłumaczył dziennikarzowi: „Przyszłość Państwa Polskiego , jeśli chodzi o dziedzinę wychowawczą, zależy od tego, czy dzieciom naszym potrafimy zaszczepić kult obowiązku, zamiłowanie prawdy, honoru i czystości moralnej, instynkt pracowitości i oszczędności, zmysł karności, porządku i systematyczności. Są to wszystko cechy ogólne, które w sumie składają się na pojęcie „porządnego człowieka". Tę rolę wychowawczą widział zarówno w rodzinie, jak i w szkole, ale także w organizacjach młodzieżowych (takich jak harcerstwo). I co najważniejsze – uważał, że odpowiedzialność za całość takiej wychowawczej pracy leży na barkach państwa. To właśnie była ta część

dziedzictwa duchowego, jakie pozostawiali po sobie wielcy patrioci polscy początku wieku i okresu wydobywania się z niebytu oraz wydźwigania na Niepodległość. Ten cel wychowawczy wobec narodu widzieli przecież obaj giganci tamtego czasu – zarówno Piłsudski, jak i Dmowski. Idea obowiązków polskich Dmowskiego idealnie z tym współgrała. W tej mierze trudno więc się dopatrzeć konfliktu ideowego. Jeśli chodzi o pryncypia, były one zawsze identyczne – polskie elity wiedziały o tym, że przyszłość narodu zależy od wysiłku, jaki włoży się w ukształtowanie młodzieży na porządnych ludzi.

Tak jak Dmowski pełnił rolę wychowawczą za pomocą pióra, tak Piłsudski pełnił ją w kontakcie bezpośrednim najpierw szykując kolejne polskie powstanie, a potem stając się „ojcem" żołnierzy legionowych. Tak właśnie ich traktował – to byli jak w „Pieśni Legionów" – „Piłsudskiego dzieci…". Ale wcześniej, w latach 1908–1912 dokonywała się także olbrzymia praca u podstaw. „Komendant był naszym nauczycielem i wychowawcą" – wspomina Sosnkowski.

W tym zdaniu zawarta jest prosta, piękna myśl – odpowiedzialność za to, jakie będą następne pokolenia nie spoczywa jedynie na rodzicach i szkole. Odpowiedzialność rządzących za wychowanie wysuwa się na plan pierwszy. Dotyczy nie tylko spraw – nazwijmy to – „administracyjnych", lecz także całokształtu, sposobu sprawowania władzy, a także dawania przykładu własną postawą.

Porządny człowiek – czyta się nieledwie ze zdumieniem takie proste słowa. Ze zdumieniem, gdyż na szczytach władzy widać tych współczesnych „porządnych ludzi" a rebours: krętaczy, aferzystów, nędznych typków, tchórzy i łapówkarzy.

Jeden z oskarżonych w największej aferze korupcyjnej III Rzeczypospolitej przyjął łapówki, których lista robi niezwykłe wrażenie – są na niej na przykład: telewizory (12 sztuk), opiekacz, zmywarka czy wreszcie kabel HDMI. By uniknąć kary, człowiek ten zaczął stosować sprytną taktykę. Otóż wymyślił, że jego dziwne przychody pochodzą z prostytuowania się małżonki. Aby ukryć swoją działalność, nie zawahał się postawić na szali godności własnej żony. Czy nie jest to jeden z objawów koszmarnego upadku moralnego państwa polskiego?

Nasza rzeczywistość codzienna jest utopiona w sosie relatywizującym wszelakie zło – Sławomira Nowaka premier odsuwa, lecz nadal wspiera i klepie po plecach. Sądy nie skazują Beaty Sawickiej na żadną karę, a ona – choć cała Polska patrzyła wcześniej na jej bezwstydne zachowanie, a następnie na dowody na przyjmowanie łapówek – żąda od wymiaru sprawiedliwości zwrócenia jej pióra z brylantem i cennej whiskey.

Do głów dzieci płyną takie przykłady. Jeden za drugim. Wszystkie mówią – „na tym świecie nie ma reguł przyzwoitości". Uczciwość

przestała być cnotą tych, którym poruczono władanie Rzecząpospolitą.

Andrzej Frycz Modrzewski kierował do senatorów taką uwagę: „A chociaż często wiele rzeczy w oczach ludzkich się zaciera, tak że niełatwo rozpoznać, co jest uczciwe, to jednak przynajmniej w sprawach jasnych nie powinien człowiek przyzwoity odstępować od uczciwości".

Maciej Andrzej Tuszyński uczestniczył w wojnie 1648 roku. Pod Beresteczkiem oddał życie za ojczyznę. Jego syn Jan Florian kontynuował dziedzictwo rodzinne i walczył za Polskę ze Szwedami. Stracił wówczas ukochanego brata. Jego późniejsze życie było ciągłym pasmem posługi żołnierskiej. Wychowywał w duchu patriotycznym obu swoich synów, a zanim umarł w roku 1707, napisał pamiętnik. W nim zawarł kilka prostych wskazań, jakie chciał przekazać następnym pokoleniom, swoisty rodzaj testamentu moralnego. Był to zestaw prawd, według których należy żyć, aby być porządnym człowiekiem.

Najpierw więc błogosławił potomków imieniem Jezusa. Nakazał swoim dziatkom, by się „Pana Boga jako Stworzyciela swego bali, jemu służyli we dnie i w nocy i Najświętszej Matce Jezusowej Pannie Czystej (…)". Potem prosi, by dzieci przestrzegały Bożych przykazań. A w szczególności – „Ludzi wszelkiej kondycji żebyście szanowali, nikogo sobie lekce nie ważąc. Z każdym żebyście szczyrze żyli, choćby też i z niechętnym sobie i owszem wszelką mu wdzięczność i szczerość pokazywali, i owszem Pana Boga za nieprzyjaciół swoich powinniście prosić". Dalej mówi, by i Matkę swoją „szanowali", i „cudzego nie pragnęli", i nie czynili nikomu krzywdy, a panom swoim „wiernie służyli".

Całość układa się w niezwykły legat duchowy – równie cenny, co ten doczesny zwyczajowo zostawiany zapisem testamentowym. W owych czasach nie było to jednak nic wyjątkowego. Szlachta uważała bowiem wartości dotyczące prowadzenia się i życia moralnego za osiągnięcie cywilizacyjne, wynikające z korzeni kultury chrześcijańskiej i rzymskiej.

„Szlachta" dzisiejsza to warstwa uprzywilejowanych dandysów tworzących salonową grupę, która za główną wartość uważa szybkie bogacenie się poprzez dostęp do lukratywnych stanowisk. Pewien klimat, nie tylko prowadzenia spraw publicznych, ale także w ogóle prowadzenia się w sensie dawnym, mieszczańskim – płynie od całej dzisiejszej „elity". Zbigniew Zamachowski porzucił swoją żonę i dzieci w blasku fleszy. Potem brylował przed kamerami z nową kochanką. Kazimierz Marcinkiewicz również na oczach kamer zostawił żonę, by związać się ze „złotoustą" blondynką. Premier Tusk ucieka przed prawdą smoleńską, pogrążając się w otchłani kłamstw, klucząc

i kreując na bohaterów–patriotów tych, którzy mogą ponosić współodpowiedzialność za tragiczne wydarzenia z kwietnia 2010. Mówi o moralności i etyce. Gdy jednak w jego własnej partii dochodzi do ohydnych przekupstw politycznych i handlowaniem pracą w państwowych spółkach – wzrusza ramionami. I to samo czyni prokuratura.

Jaki więc wzór „człowieka porządnego" płynie z ekranów telewizyjnych do współczesnego młodego człowieka?

Stanisław Żółkiewski był niezwykłym wodzem. Nie tylko dlatego, że hetmanił Rzeczypospolitej wtedy, gdy ta była u szczytu potęgi. Nie tylko dlatego, że pod Kłuszynem dał popalić Moskalom, a carów Szujskich za brodę przyciągnął do króla i rzucił mu ich do stóp. I nie dlatego, że pod Cecorą zginął, będąc wierny zasadom, jakie wyznawał przez całe życie. To wszystko oczywiście było chwalebne. Żółkiewski miał jeszcze jedną cechę, która przydawała mu wielkości – zdawał sobie sprawę z tego, że rola przywódcy niesie ze sobą odpowiedzialność związaną z wychowaniem narodu. Że hetman musi świecić przykładem.

Gdy siedział w obozie pod Tatarzyskami, niedaleko Kamieńca i czekał na nadejście azjatyckich chmar barbarzyńskich, napisał rozprawę moralną. Jej tytuł brzmi – „Z swazoriej Seneki filozofa i innych niektórych autorów zebrał żołnierz jeden w obozie pod Tatarzyszczami z mężnych przykładów pobudkę do cnoty". Wydano ją w Krakowie w roku 1618.

W owej „Swazorii" głównym elementem są rozmowy, jakie toczy Leonidas ze swoimi Spartanami, zachęcając ich do wytrwania w bohaterstwie i cnotach. Leonidas staje się wzorem dla samego hetmana, Spartanie zaś mają nim być dla polskich rycerzy.

Z kolei przed bitwą z Tatarami w roku 1606 Żółkiewski spisał testament będący dziełem o cnocie hetmańskiej. Zwracał się w nim m.in. do syna Jana napominając go, by kierował się w życiu zasadami moralnymi. Dawał mu za przykład swoje doświadczenie. To ono właśnie jest czymś więcej niż pusta nauka moralna, czy wiedza o przeszłych wydarzeniach. Zgodnie z plutarchowskim pomysłem – samo życie ma stanowić dowód na przyjęcie pewnych prawideł i stosowanie ich w życiu. Nie poprzez wskazywanie wad u kogoś innego. Istotą, osią tej nauki moralnej jest własne, dobre i cnotliwe życie.

„Wszystkom obracał na służbę Rzeczypospolitej i część majętności po ojcu mym zostawionej uprzedałem, ale mi tego nie żal. Nie na żadne marnotrastwom tego obrócił, i mnie i tobie to nie zginie, odpłata pewna, niepochybna u P. Boga za to, co kto dobrą intencją, dobrym afektem czyni dla Rzeczypospolitej. Zostawujęć uczciwą sławę, obraz i przykład uczciwych spraw moich".

Wierny swoim słowom zginął pod Cecorą. Jego głowa nabita na tykę nie mogła go pohańbić, choć tego pragnęli niewierni. Nic nie mogło zbezcześcić jego pamięci. Bo prowadził życie czyste.

Generał Sosnkowski mówił także w wywiadzie o rzeczach prostych, których należy uczyć młodzież. O tym, że należy być sumiennym, dokładnym, porządnym. Mówił to w czasach, gdy przychodzenie punktualne na umówione spotkanie było normą. Dzisiaj – w dobie komórek, z których można wysłać SMS–a o „dojechaniu za 15 minut, gdyż jest korek" – ta zwykła zasada przestaje mieć znaczenie. Najwyraźniej kradzież cudzego czasu przestała być kradzieżą. Tak jak kradzież utworów, filmów, książek – poprzez ściąganie nielegalnych kopii z internetu – także przestała być ważna. Ot, jedno kliknięcie w klawiaturę.

Jak jednak uczyć obowiązkowości, szacunku dla innych i podstawowych prawd, gdy nie dba się o szczegóły kształtujące człowieka na co dzień?

Jak uczyć miłości do autorytetów, do Piłsudskiego, Dmowskiego, Kościuszki, czy Łukasińskiego, gdy nauczyciel, a nawet ojciec i matka nie są już – w świetle państwowej ideologii genderowej – autorytetami, nie mogą także podejmować kluczowych decyzji dotyczących wychowania czy zdrowia własnego dziecka?

Jak wreszcie dzieciom „zaszczepiać kult obowiązku, zamiłowanie prawdy, honoru i czystości moralnej, instynkt pracowitości i oszczędności, zmysł karności, porządku i systematyczności", gdy władza z takich zasad kpi? Kluczowe zresztą jest tu pojęcie „wypełniania obowiązku". Ten obowiązek można dostrzec na różnych poziomach życia porządnego człowieka. Gdy nie wychowa się go w poczuciu obowiązkowości – będzie potem nieodpowiedzialnym ojcem czy matką. Będzie miał poczucie bycia Polakiem jedynie poprzez numer PESEL w dowodzie, a nie głęboko zaszczepiony instynkt obowiązku wobec Ojczyzny. Z małych rzeczy rodzą się wielkie. Z systematycznie pielęgnowanych dobrych zwyczajów – wyrastają prawdziwe cnoty.

Kiedy w 1918 roku we Lwowie kilkaset dzieci chwyciło za karabiny, by walczyć z Ukraińcami o polskie miasto, to był wynik tego, że dzieci te wychowano w odpowiednim duchu. Duchu obowiązku wobec Polski.

Przed wojną w teatrach polskich była grana sztuka Roberta C. Sheriffa pt. „Kres wędrówki". Rzecz się dzieje w okopach, w roku 1918. Bohaterem jest kapitan angielski, który w pewnym momencie, by podnieść na duchu upadającego moralnie żołnierza, zaczyna mu tłumaczyć, że sam także bardzo się boi, ale nie ucieka, bo „czyż przyzwoity człowiek ucieka?".

Gdy Konrad Wrzos rozmawiał z Sosnkowskim, obaj nagle, w tym samym momencie, przypomnieli sobie tę scenę ze sztuki. A po tym, gdy w powietrzu zawisło to proste pytanie: „Czyż przyzwoity człowiek ucieka?”, zamilkli obaj na dłuższą chwilę.

[wSieci, nr 49/2013]

CEGÓJ PŁACES? – NA TROPACH SMĘTKA PO LATACH OSIEMDZIESIĘCIU

„WSZELKI lud rodowity i historyczny, w historię świata zachodzący, jest jako roślina w patriarchalnej osiadłości: z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie cieniste drzewo wyrasta. Tylko taki naród jest na kształt drzewa poświęcanego, które wiekami bezprzestannie zielenieje i bezprzestannie kwitnie – w burzy, w pogodzie, bez przerwy" – pisał Maurycy Mochnacki. A Melchior Wańkowicz ów cytat umieścił na wstępie do jednego z rozdziałów swojej książki–reportażu z podróży odbytej po Mazurach w roku 1935 – „Na tropach Smętka". Minęło właśnie osiemdziesiąt lat od czasu, gdy Wańkowicz wraz z Tirliporkiem, czyli córką Martą, na pokładzie „Kuwaki" przemierzali wodne mazurskie ścieżki, by szukać śladów polskości na rządzonej przez Niemców ziemi. I minęło lat dziewięćdziesiąt pięć od owego niedobrego dla Polski dnia plebiscytu – 11 lipca 1920 roku – kiedy mieszkańcy Mazur w przytłaczającej większości opowiedzieli się za przyłączeniem do Rzeszy. Wiosło i dzisiaj zanurza się w Krutyni z podobnym chlupotem. I „Smętek" – ów twór z wyobraźni Żeromskiego, zamustrowany na bohatera opowieści przez Wańkowicza – diabeł i chochlik mący w głowach nadal gdzieś błąka się po szuwarach. A nawet gorzej – rozmnożył się i potomstwo w rodzaju licznych kłobuków rozrzucił po dzisiejszej Polsce, jak złe ziarno dawne czasy pamiętające. Jeszcze gdzieniegdzie widać na wodzie spieniony ślad płynącego niegdyś wańkowiczowskiego kajaka, a czasy obecne każą znowu pochylać się nad wynikami dawnej reporterskiej wyprawy. I stawiać najważniejsze pytania. Te same, które autor zadawał sobie wtedy. Wszystkie one oscylują wokół kwestii tożsamościowych, wchodzą w materię, której oko naukowca nie jest w stanie zmierzyć z precyzją laboratoryjną, gdyż jest ona złożona ze zbyt wielu splecionych nici, a jedna nachodzi na drugą i przenikają się nawzajem. „Cóż powoduje, że czujesz się Polakiem?" – szepcze wichrem w kominie chat mazurskich gburów smętkowa myśl z tamtej książki i powraca dzisiaj, gdy już w kłobuki mało kto wierzy, a słowo „gbur" rozumie się jedynie jako określenie osoby niemiłej i opryskliwej…

W przedwojennym wydaniu z roku 1936, pod cytatem Mochnackiego jest narysowane takie „narodowe" drzewo. Niestety na Mazurach zostało brutalnie „ścięte", i tylko gdzieniegdzie jeszcze wiły się korzenie polskości. Symbol drzewa potrafili wykorzystać Niemcy. Po przyłączeniu Mazur do Prus Wschodnich zaczęli upamiętniać swe zwycięstwo w plebiscycie. Stawiali „plebiscytowe kamienie" i sadzili „plebiscytowe dęby". Te ostatnie rosną na Mazurach do dzisiaj. Niektóre pomniki, jak np. w Olsztynie, zniszczono po wojnie, ale kamienie zostały. W III RP zaczęto je wygrzebywać z ziemi, ustawić na miejscach i odnawiać. Możemy więc oglądać stare, niemieckie „zwycięskie denkmale" z datą 11.07.1920, pachnące świeżą farbą, z krzyżacką tarczą wieńczącą napisy. A wokół – wracają w te rejony Niemcy, wykupują ziemię, korzystają z dobrodziejstwa unijnego otwarcia przestrzeni. Natomiast Polacy. zepchnięci w cień, pogrążeni w ubóstwie, zapomniani przez państwo. Sprowadzani do roli mieszkańców europejskiej „kolonii", jaką coraz bardziej staje się Polska. Mechanizm zniemczania mazurskiej ziemi, wynaradawiania jej za czasów unijnego „dobrobytu" jest podobny do tego sprzed wojny. Dlatego lektura „Na tropach Smętka" czasem przeraża aktualną wymową, choć „scenografia" teraz trochę inna, metody bardziej zakamuflowane i subtelne, zaś samo odrywanie Polaków od korzeni kulturowych odbywa się również w całym kraju. Nie dzieje się to oczywiście w tak brutalny sposób, jak w latach trzydziestych, ale za to biorą w nim udział ci, na których ciąży obowiązek kształtowania polskiego bezpieczeństwa i opartej na dobrym wychowaniu polskiej tożsamości: dziennikarze i politycy bezkrytycznie pędzący za politpoprawną modą.

W miejscowości Pasym Wańkowicz przysłuchiwał się opowieści trzech sióstr, staruszek, które wspominały czasy plebiscytowe i prześladowania przez Niemców. „Wszystko się zmieniło i już gadki naszej nikt nie chce – mówiła jedna z nich pisarzowi – poszedł ten stary według scepów do nauczyciela Kalinowskiego, a nauczyciel Kalinowski fajn po polsku moze. Ale pozieda: »Teroz nie ma taki mody, coby po polsku mózić«. A nos stary tak mu zek: »Pan Bóg z mody nie sądzi«".

Teraz jest taka moda, że się niemieckie kamienie, znaki ich zwycięstwa, wyciąga, pucuje i stawia na wieczną rzeczy pamiątkę. Jeden jest nawet atrakcją turystyczną Ostródy, polecaną przez przewodniki. Na sporym głazie, świeżą farbą pociągnięta data – 11.07.1920. I żadnego słowa. Żadnego wytłumaczenia, o co chodzi. Po prostu zabytek. Natomiast już w Ramsowie pięknie odnowiony kamień plebiscytowy ma taki tekst: „Volskabstimmung am 11. Juli 1920" i wyjaśnienie po polsku: „Na pamiątkę plebiscytu 11. Lipca 1920 r.". I biała

tarcza z czarnym krzyżem. Wszystko ocienione gałęziami drzewa. Ładnie.

Opis romantycznej, trochę sienkiewiczowskiej, ale tchnącej nutą rozpaczy, wyprawy Wańkowicza cieszył się w przedwojennej Polsce wielką popularnością. W Niemczech publikacja wywołała wściekłość. To, że pisarz wyruszając w drogę miał glejt mówiący o tym, że wykonuje pracę dla niemieckiej gazety „Der Angriff" stało się przedmiotem specjalnego dochodzenia – kto śmiał wydać taki dokument Polakowi? Książka Wańkowicza natychmiast trafiła na indeks, Niemcy chcieli nawet odpowiedzieć na nią swego rodzaju kontrreportażem, a tuż po wybuchu wojny wzięli pisarza „na celownik". Tak pisała o tym Aleksandra Ziółkowska–Boehm, sekretarz Wańkowicza: „6 września Wańkowicz znajdował się w Lublinie. Tego dnia Niemcy dokonali nalotu na miasto. Po nalocie Wańkowicz, chcąc zorientować się w sytuacji na froncie, zaczął słuchać różnych stacji radiowych i natrafił na audycję w języku polskim nadawaną przez rozgłośnię wrocławską. Spiker, którym był znany renegat Olpiński, zapowiadał, że Niemcy są »na tropach Wańkowicza« i że zagony hitlerowskie dosięgną go w Polsce. Jak wiadomo, buńczuczne te zapewnienia nie zostały zrealizowane. Pisarz przedostał się do Rumunii".

Złość Niemców miała źródło przede wszystkim w tym, że Wańkowicz wykazał się niezwykłą przenikliwością. Trzeba bowiem specjalnych cech, wrodzonej wrażliwości, ucha potrafiącego wsłuchać się w melodie, których czasem nie słyszy się bez odpowiedniego przygotowania, by dotknąć istoty rzeczy. „Na tropach Smętka" było podróżą – wykładem o historii tych ziem, ale także analizą przyczyn przegranego plebiscytu. Pisarz widział ich wiele, także tych świadczących o nieczystej grze Niemców, którzy podjęli się ogromnego wysiłku, by przekonać Mazurów, iż bliżej im do dobrobytu i stabilności gospodarczej, jaką mogła zapewnić Rzesza niż do Polski. Nasze świeżo powstałe po długim niebycie państwo, prowadzące w dodatku wojnę z bolszewikami nie rokowało pomyślnie, szczególnie w chwili głębokiej lipcowej defensywy, podczas której Rosjanie parli w stronę Warszawy. Gdy my prowadziliśmy ledwie widoczną kampanię propagandową, Szwaby robiły wszystko, by wygrać np. ściągając na tereny Mazur ponad sto tysięcy ludzi, którzy wcześniej stamtąd wyemigrowali. Nawet sformułowane w plebiscycie pytania były zagrywką taktyczną. Mazurzy musieli wybierać między przynależnością do Polski a przynależnością do Prus Wschodnich. Do tego dochodziły fałszerstwa wyborcze, takie jak wydawanie kart do głosowania bez odpowiedniej pieczęci, aby móc je potem unieważnić. Narzędziami kampanii były też: ostra propaganda, prowokacje i brutalne, fizyczne ataki na Polaków. Dochodziło do pobić, a nawet prawdziwych oblę-

żeń polskich ośrodków. W takiej atmosferze Mazurzy w przygniatający sposób zdecydowali o związaniu swego losu z Rzeszą. Za Niemcami zagłosowało 363 209 osób. Za Polską jedynie… 7980. To była nasza druzgocąca klęska. „Imię Polski na tej ziemi, imię jarzące się majestatem wieków, mające pełny swój wydźwięk, wbito w błoto i w pohańbienie. Podano Polskę nicości" – pisał Wańkowicz. I dodawał: „Zapyszniły się, zatriumfowały po wioseczkach mazurskich, po warmijskich sadybach, po nadwiślańskich osadach – pomniki, kamienie plebiscytowe z krzyżem »Heimatdienstu«. Rośnie w tej ziemi kilkaset nowych dębów pogańskich, dębów zasadzonych na pamiątkę plebiscytu. Miasta powydawały pamiątkowe wydawnictwa, medale, znaki. Na kamieniach plebiscytowych, jak na urągowisko czasom tym najnowszym, na znak, wyryły jednocyfrowe liczby głosów polskich, które tu padły, i pięciocyfrowe głosów niemieckich". A potem skwitował – „…przywalono św. Wojciecha krzyżem z lanego żelaza i znów kraina Czarnego Krzyża, kraina Smętka – potyka się z dziejami o to, aby »od niebios porządek świata odkupić«".

Wańkowicz tropił również coś innego. Sprawdzał – gdzie są jeszcze ślady polskości. A także, dlaczego tak łatwo związków z Rzecząpospolitą wyrzekli się Mazurzy. Niemcy usiłowali dowieść, że dialekt mazurski jest gałęzią niemczyzny. Faktycznie można w nim naleciałości języka niemieckiego znaleźć. Jednak Mazur bez trudu rozumiał polską mowę. Mówił po polsku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. III Rzesza robiła wszystko, by Mazury zmienić kulturowo – subwencje w ten dziki, leśny i bagnisty teren szły ze strony niemieckiej w miliony. Każdy widział, że dobrze jest „pod Niemcem", że dobrze uznać się „za Niemca". Tak jak obecnie, gdy wmawia się nam, by wyrzec się polskości, by zostawić precz tradycję, religię, dawne obyczaje i uznać się za „Europejczyka". Cieszyć z tego, że są budowane drogi z „unii", szukać „dopłat" rolniczych. A młodzieży pozwalać masowo wyjeżdżać za chlebem na Zachód. Z Mazur – jak podał Wańkowicz – wyemigrowało nawet osiemdziesiąt procent autochtonów. Na ich miejsce osiedlali się Niemcy. Dostawali ziemię. Stawiali domy. I z całego serca nienawidzili tego, co polskie. Czasem nienawidzili tak, że zabijali. Jeden z dębów plebiscytowych rósł koło domu Kiwickiego. Pod dębem był pamiątkowy kamień. A niedaleko stał dom Niemca Stentzla. Pewnego dnia w roku 1921 zaczął on wykrzykiwać pod oknem sąsiada: „Verfluchte Pollacken!…". Młodszy syn Kiwickiego pobiegł do wójta po pomoc. Gdy wracał, Kiwiccy słyszeli za okiennicami: „Jungs, geht an die Seite, jetzt knalle ich den Pollacke nieder!" („Usuńcie się, chłopcy, ja teraz zabiję tego Polaka"). Padł strzał. Gdy rodzina wybiegła na zewnątrz, znalazła martwego chłopaka, z pleca-

mi rozerwanymi pociskiem dum–dum. Stentzl dostał karę więzienia. Dwa i pół roku.

Wańkowicz szukał wytrwale wysp polskości. I znajdował. W słowie, geście, dawnym obyczaju. W śmigusie–dyngusie. Albo krzyżykach robionych na powale dla odpędzenia kłobuków. W nagle znalezionym pośród niemieckich „denkmali" napisie: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny – wybaw nas, Panie". W mowie polskiej, która się pojawiała, gdy nie trzeba było gadać „oficjalnie", po niemiecku. W nabożeństwie do Matki Bożej w Gietrzwałdzie. W księgarni u pani Samulowskiej. W jej opowieści o tym, jak spotkała na Śląsku młodego Miarkę, o tej miłości, a potem o ślubie ze starszym Samulowskim, aby ratować polską „księgarnię". Odnajduję w przedwojennym wydaniu zdjęcie księgarni i jako podpis wyimek z tekstu: „Na szyldzie, jak umowny znak, jak ryba starochrześcijańska, wita nas polski napis »Księgarnia«". Pani Samulowska obok drzwi, za nią witryna. I w kąciku widać wystawioną figurę Chrystusa. Otwieram wydanie powojenne, z roku 1980. To samo zdjęcie pani Samulowskiej. Tylko skadrowane bliżej. Figury Chrystusa już nie widać. Albo ta historia „Zielonego chłopaka" – nauczyciela jedynej na Mazurach polskiej szkoły Jerzego Lanca. Toż to była postać heroiczno–spartańska. Młody i wszechstronnie wykształcony człowiek toczył nieustępliwą walkę o byt polskiej szkoły. Mimo gróźb, nacisków i wszelkich kłód rzucanych pod nogi. Trwał niezrażony. Pisał o przyczynach zanikania polskości w swoich notatkach: „Deprawacja społeczeństwa tutejszego przez Niemców doszła do tego stopnia, że młodsze pokolenie gardzi swymi żyjącymi dziadkami i rodzicami, którzy zatrzymali swą mowę ojczystą i nie znają języka niemieckiego.". Dzieci odciągano mu na siłę do szkół niemieckich, naciskając na rodziców namową, szantażem albo przekupstwem.

Aż w końcu została tylko jedna uczennica. Jedna jedyna uczennica polska, jedna szkoła polska i jeden polski nauczyciel na całe Mazury. Wreszcie niemieckie morze pochłonęło i tę wyspę polskości. Lanc został znaleziony martwy w zamkniętym pokoju. Lekarz niemiecki w pierwszej chwili stwierdził, że śmierć nie mogła być spowodowana przyczynami naturalnymi, lecz później zmienił zdanie. Jedyna uczennica przeniosła się do niemieckiej szkoły…

Mimo tych prób stłamszenia polskości, wydarcia jej z korzeniami, ona ciągle żyła, tliła się w piersiach Mazurów. Pisał Wańkowicz, jak chłop podszedł do Mazura Kopki witając się „Heil Hitler!". A Kopka mu odpowiedział: „»Heil Hitler« przyszło i przejdzie, a »Dzień dobry« pozostanie". I wreszcie scena, która najbardziej porusza mi serce. Jakaś mała dziewczynka płacze. Więc Wańkowicz ją pyta: „Warum weinst du?". „Chlipot jeszcze beznadziejszniejszy", ale dziecko zaczyna

się pisarzowi przyglądać przez „brudne, drobne paluszki”. Ten pyta ponownie: „Warum weinst du?”. Odpowiedzią jest „siorbanie nosem”. Wreszcie traci cierpliwość i wypala po polsku, po mazursku: „Cegój płaces?”. Dziewczynka uspokaja się. I pada odpowiedź: „Kwiatki zabrali.”.

Teraz nam, po osiemdziesięciu latach, trzeba patrzeć na stojące na Mazurach niemieckie denkmale i znosić ich wymowę. Kamień niemiecki się ostał. Łzy dziewczynki już nie. Ani odpowiedź na pytanie „Cegój płaces?”. Budujmy nasze pomniki z pamięci o tych polskich łzach.

[wSieci, nr 36/2015]

BOMBA ZE ŁZAMI

KIEDY w 1921 r. nasz ambasador w Tokio Stanisław Patek przedkładał księciu Hirochito listy uwierzytelniające, był świetnie przygotowany. Wiedział, że dyplomacja to nie tylko dbanie o interesy własnego kraju, zdobywanie zakładanych celów, ale także umiejętne stosowanie środków. Mieściła się w tym również odpowiednia etykieta, sposób wyrażania czy ubiór. Dlatego miał na sobie stosowny tużurek i zgodnie z protokołem trzykrotnie się ukłonił. Wychodził także wedle wszystkich zasad, idąc tyłem, aby twarz mieć zawsze zwróconą w kierunku księcia. A gdy nadszedł dzień ślubu regenta z księżniczką Nagako, poprosił Piłsudskiego o podniesienie godności dyplomatycznej tylko po to, aby Polska zyskała na randze i znaczeniu, oraz by Japończycy zobaczyli, że nasza ojczyzna darzy Kraj Kwitnącej Wiśni ogromnym szacunkiem.

Marszałek do nominacji dodał list, którego fragment przytaczam, cytując za Małgorzatą Gmurczyk–Wrońską z jej doskonałej pracy o działalności dyplomatycznej Stanisława Patka: „Pragnąc w szczególnie uroczysty sposób dać wyraz swej przyjaźni, którą wraz z całym Narodem Polskim żywię ku Dostojnej Osobie Waszej Wysokości i z jaką się niezmiennie odnoszę względem całego Narodu Japońskiego, oraz zamierzając dowieść jak blisko Polska odczuwa wszystko, co dotyczy szczęścia Cesarstwa Japońskiego postanowiłem umyślnie akredytować Posła Nadzwyczajnego i Ministra Pełnomocnego Pana Stanisława Patka w charakterze Ambasadora Nadzwyczajnego Najjaśniejszej Rzeczypospolitej…”. Również to pismo napisane przez Piłsudskiego było oznaką pieczołowitości, jaką Polska przykładała do kwestii stosunków zagranicznych. I to nie tylko wobec krajów odgrywających kluczową dla nas rolę.

Można sobie przypomnieć klasę oraz determinację w działaniach dyplomatycznych, jaką wykazywał Stanisław Patek, szczególnie wobec kompromitującego naszą ojczyznę sposobu zachowania prezydenta Komorowskiego w Japonii. Coś, co przez wielu jest bagatelizowane, ośmieszane i sprowadzane do poziomu głupawego żarciku, w istocie obnaża słabość obecnej głowy państwa. Wchodzenie stopa-

mi na ławkę dla mówców, dziwne gesty czy okrzyki „szogunie” – to po prostu brak ogłady niezbędnej do sprawowania prezydenckiej funkcji. Nie pierwszy to przypadek, w którym Bronisław Komorowski ośmieszył Polskę – wystarczy przypomnieć jego niesmaczne żarciki w stosunku do Michelle Obamy, siadanie zanim usiądą kobiety, czy trzymanie parasola nad własną głową, gdy obok moknął wystawiony na deszcz prezydent Francji. Wbrew pozorom to nie są błahostki. Wystawiają one na szwank coś, co nazywa się Majestatem Rzeczypospolitej. W dyplomacji liczy się każdy gest – uśmiech, skinienie, ruch ręką, wskazanie odpowiedniego miejsca przy stole. Niestety, działania dyplomatyczne naszej obecnej elity rządzącej przyprawiają o mdłości. Zarówno, jeśli chodzi o premiera Tuska, jak i ministra Sikorskiego, czy wreszcie ekipę Ewy Kopacz i obecnego prezydenta. Ich polityka zagraniczna jest polityką słabości, ucieczki, a co najgorsze – obłaskawiania Rosji, państwa będącego od stuleci największym w stosunku do Polski agresorem.

Adwokat Stanisław Patek był „dyplomatą Piłsudskiego”. Tak można by go najkrócej scharakteryzować. Początki jego pracy to związki z działalnością konspiracyjną i pierwszymi akcjami niepodległościowymi Frakcji Rewolucyjnej PPS. W wywiadzie, jakiego udzielił Konradowi Wrzosowi, opowiadał o swoim biurze przy ul. Królewskiej 25, w którym spotykali się spiskowcy: „Mówię o tej epoce z namaszczeniem i rad jestem, że dane nam było zrobić tylu ludziom coś dobrego, a jednocześnie przyczynić się do podtrzymania programu, w którym niepodległość Polski zajmowała czołowe miejsce”.

Patek był znakomitym adwokatem, należał do czołówki palestry. I postanowił Polsce oddać swoje umiejętności. Bronił w procesach naszych bojowników o niepodległość, walczył o nich z carskimi sądami, czasem wyciągał dosłownie spod szubienicy. Doświadczył kontaktu z tymi, którzy stali u progu do wieczności. Trzeba pamiętać, że po 1904 r. w Cytadeli warszawskiej powieszono ponad 800 ludzi. „Śmierć jest niewątpliwie największym i najbezwzględniejszym absolutem, z jakim się człowiek w życiu spotyka. Tem straszniejsza jest ona, gdy dotyczy jednostek działających w imię idei, których broniliśmy niemal w przeddzień ich powieszenia” – opowiadał Wrzosowi. I dodawał: „Samo widzenie się po wyroku z człowiekiem, skazanym na śmierć jest straszne. Patrzy się w jego oczy i myśli się mimo woli, że te oczy jutro – pojutrze zgasną na zawsze. Patrzy się na jego młodzieńcze różowe usta i myśli się: »zbledną ci niedługo«. Szuka się nowego pomysłu, jakiegoś sposobu powstrzymania wyroku. Liczy się na skutek kasacji, na odesłanie sprawy do wyższej instancji, do Petersburga. Zawszeć to jeżeli nie wygrana, to zwłoka, to ewentualna możność znalezienia jakichś nowych dowodów, to chociażby zesta-

rzenie się sprawy, odjęcie jej sił aktualności. Zamiana wyroku śmierci na Sybir lub ciężkie roboty, chociażby dożywotnie, było wtedy marzeniem naszem. Dawała czas i stwarzała możność dalszych starań. (…) Byle nie dopuścić do wykonania wyroku, byleby zerwać postronek".

A potem dzielił się tym, jak potworne były chwile, gdy dowiadywał się, że jednak się nie udało, że rosyjska szubienica nakarmi się kolejnym polskim ciałem.

Gdy wybuchła I wojna światowa i Piłsudski zaczął organizować polskie wojsko, wysłał Patka na Zachód, aby rozmawiał z państwami ententy, dając im wyraźny sygnał, że naszym jedynym wrogiem jest Rosja, a naszym jedynym celem Niepodległość. Od tego czasu Stanisław Patek zaczął działać właśnie jako dyplomatyczny „człowiek Piłsudskiego" – podporządkowując swoje sprawy i życie celom wyznaczonym przez Komendanta. W 1919 r. wyjechał do Paryża, by działać w ramach tzw. grupy Piłsudskiego przy Komitecie Narodowym Polskim i wspierać działania Polski zmierzające do uzyskania pełnej akceptacji naszej wywalczonej zbrojnie niepodległości. Jednocześnie miał stanowić swego rodzaju przeciwwagę dla Dmowskiego i reprezentować dążenia Naczelnika w wewnętrznych sporach ideowych. Już wtedy ujawniły się te zasadnicze cechy Stanisława Patka, które powodowały, że Marszałek miał do niego przez tyle lat ogromne zaufanie. Były to lojalność, szczery patriotyzm, doskonałe wyczucie potrzeb i przewidywanie przyszłości oraz – przede wszystkim – stosunek do Rosji. Okres walki o życie skazanych wpoił w duszę adwokata przekonanie, że imperium rosyjskie stanowi najgorsze zagrożenie dla bytu polskiego. Prowadząc potem dyplomatyczne gry, zarówno z Sowietami, jak i z Europą Zachodnią, nie tracił z pola widzenia tej właśnie prawdy. Takie opinie wyrażał w prywatnych listach do kuzyna, pisanych na wiosnę 1920, gdy był już ministrem spraw zagranicznych – „Zgodzimy się rozmawiać z niemiecko–bolszewickimi kanaliami delegowanymi przez Lenina jedynie, jeśli nasze warunki wstępne zostaną formalnie zaakceptowane przez ten rząd bandytów przed jakąkolwiek dyskusją". Chodziło o podjętą w 1920 r. próbę rokowań pokojowych z Sowietami, które stały się jedną z najważniejszych misji powierzonych mu przez Naczelnika. Pisał dalej w prywatnym liście (cytuję za M. Gmurczyk–Wrońską): „Anglia wolała zachęcić Europę do uznania rządu Sowietów nawiązując z tymi bandytami rozmowy. Będziemy rozmawiać, ponieważ tak trzeba, i będziemy bronić polskich interesów tak, jakby to zrobili anglo–saksońscy przemysłowcy. Kości zostały rzucone".

Te słowa pokazują klasę polityka. Na zewnątrz nienagannie wyglądający, elegancki dyplomata, w środku polski wulkan energii, oceniający bolszewików w zgodzie z prawdą. To byli bandyci. A Europa Za-

chodnia już wtedy dawała się omamić sowieckiej propagandzie, w wyniku której Polska zaczynała uchodzić niemalże za agresora. Należało przekonać Zachód, że bolszewizm jest najgorszym zagrożeniem dla naszej cywilizacji. Niestety Francuzi i Anglicy starali się nie widzieć tej oczywistej prawdy. Dopiero, gdy czerwone hordy stanęły pod Warszawą, otworzyły im się oczy. W rokowaniach pokojowych Patek grał twardo, żądając tego, co stanowiło główny cel Piłsudskiego: odtworzenia Polski w granicach sprzed 1772 r., czyli sprzed I rozbioru.

Nasz kraj już wtedy był orędownikiem idei federacyjnej. Chciał stworzyć wobec Sowietów wspólny front, składający się z Polski jako kręgosłupa oraz państw bałtyckich i Rumunii.

Gdy czyta się o wydarzeniach z tamtych lat, o walkach, by wyciągnąć z sowieckiej strefy wpływów i Ukrainę, i Gruzję, to nie sposób nie przypomnieć sobie misji śp. Lecha Kaczyńskiego, który rozumiał, że bolszewizm nie umarł, tylko się zmienił, przepoczwarzył. I że wobec Rosji Putina trzeba działać tak, jak starał się to robić Piłsudski wobec Rosji Lenina i Trockiego.

Po nieudanych rokowaniach pokojowych Patek założył mundur i walczył w wojnie roku 1920. To kolejna piękna karta w jego życiu. Wzięcie broni do ręki stanowiło dla adwokata i ministra naturalną kolej rzeczy. Naturalną dla Polaka, gdy Ojczyzna jest w potrzebie.

Po misji dyplomatycznej w Japonii Patek objął najtrudniejszą, z punktu widzenia polskiej polityki, placówkę. Został posłem w Moskwie. Jego głównym, powierzonym przez Piłsudskiego, zadaniem było doprowadzenie do podpisania paktu o nieagresji. Wykorzystywał w tej walce wszystkie zdobywane przez lata umiejętności, także te wyniesione z praktyki adwokackiej. Pracował z żelazną konsekwencją, a gdy przychodził do Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych ze swoim notesem, z którego punkt po punkcie odczytywał wiele kolejnych spraw, bolszewicy dostawali szału. Potrafił stawiać na swoim, nawet sprzeciwiając się samym Polakom. Tak było, gdy do Moskwy przyjechała delegacja mająca negocjować traktat handlowy. Sowieci postawili właśnie przed sądem księdza infułata Teofila Skalskiego. Patek nie tylko zażądał przerwania procesu, ale także zagroził zerwaniem wszelkich rozmów, i chciał, by przedstawiciele Polski wrócili do kraju. Sowieci oszukali go wtedy, twierdząc, że proces został zatrzymany, choć toczył się nadal po cichu, za zamkniętymi drzwiami. Ale protest ambasadora miał wielkie znaczenie. Chodziło o polską godność. O majestat Rzeczypospolitej. I jego ochronę. Dlatego dyplomata krzyczał na rosyjskiego ministra, jak na uczniaka, a jego gniew uciszyło dopiero wejście żony Ludowego Komisarza.

Stanisław Patek był nie tylko człowiekiem Piłsudskiego z funkcji, był nim także z ducha. Wierzył, że z Sowietami trzeba walczyć ze wszelkich możliwych sił. A i tak chyba nie doceniał ich przebiegłości, widząc tylko dziką, azjatycką siłę grożącą wyniszczeniem. Wydawało mu się, że Rosja bolszewicka upadnie, a po niej nadejdzie jakaś inna, lepsza. Że z nią można będzie na nowo podpisywać traktaty.

Jego słowa i dzisiaj brzmią przerażająco aktualnie: „Bolszewicy pokazali światu, jak wielką siłą jest mądrze i energicznie prowadzona propaganda. Dysproporcjonalnie mała garstka ludzi rządzi wielkimi i bogatymi krajami. Jaka szkoda, że my tego nie umiemy robić… ", a także: „Ścisłe związki polityczne ze Związkiem Sowieckim kryją w sobie poważne niebezpieczeństwo, zapominamy o tym w Europie, że w ciągu dziesięciu lat wychowała się w Rosji Sowieckiej cała generacja urobiona pod każdym względem przez Komintern, odczuwająca i rozumiejąca całkiem odmiennie niż obywatele państw burżuazyjnych" oraz: „Na zbliżeniu do Związku Radzieckiego bez zastrzeżeń i należytych ostrożności nikt dobrze nie wyszedł, zrealizować z nimi to, czego się pragnie, można tylko wówczas, gdy się przeciwnika boją, lub od niego w danej chwili zależą, gdy czegoś od niego potrzebują".

Droga dyplomatyczna Patka pokazuje, jaka powinna być polska postawa względem imperium rosyjskiego. I choć wynik naszych ówczesnych działań był często od nas niezależny, ale przynajmniej stawaliśmy wobec bolszewickiego potwora z odważnie podniesionym czołem. Byliśmy prawdziwą tarczą Europy. Teraz tego brak.

Oto sprawozdanie z roku 1906, z procesu kilkunastoletniego chłopca Stefana Okrzei, który miał być skazany na śmierć za zamach bombowy na rosyjski cyrkuł. „Oddając mi obronę swoją Okrzeja polecił – mówił adwokat Patek – abym wyczerpał ją ze strony prawnej, ale abym o nic nie prosił. Więc ja was, panowie, o uznanie łagodzących okoliczności nie proszę, lecz uznania w imieniu prawa żądam". I dodał: „My o łaskę prosić nie będziemy nawet wtedy, gdy zapadnie wyrok śmierci (…) Okrzeja myślał, że bomba, którą niesie, nie jest wypełniona dynamitem, lecz krwią i łzami nieszczęśliwych ludzi, że huk, który ona wydała, nie jest jej wybuchem, lecz płaczem i jękiem setek i tysięcy uciemiężonych.".

Stefana Okrzeję, synka dróżnika kolejowego – powieszono.

[wSieci, nr 10/2015]

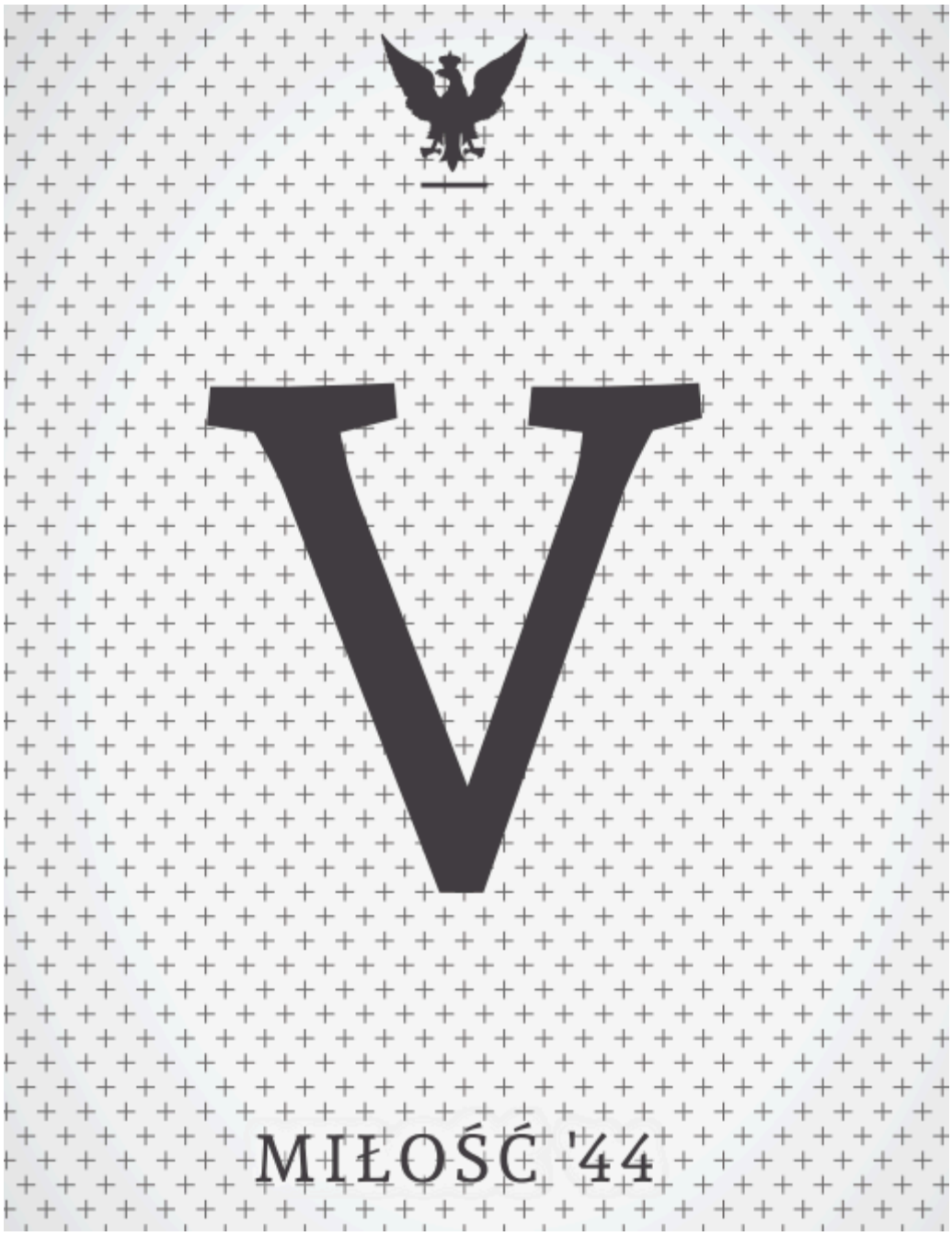
V
MIŁOŚĆ '44

RANKIEM 9 sierpnia, w lesie na Kępie Oksywskiej rozległ się dźwięk siekier uderzających w pnie drzew. Jedna za drugą padały na ziemię sosenki i brzózki. Dwie kompanie saperów, 126. oraz 127., przygotowywały paliki do ustawienia zasieków z drutów kolczastych. Nieustanny stukot narzędzi i trzask łamiących się pni trwał przez trzy dni. To był smutny dźwięk. Oznaczał bowiem, że główny strategiczny punkt wybrzeża, płaskowyż zwany Kępą Oksywską, leżący w kluczowym dla obrony Gdyni miejscu, nie jest przygotowany do nadchodzących wydarzeń. Zresztą tak, jak nie była przygotowana do wojny cała Polska… Ten odgłos ścinanych w ostatniej chwili drzew ma wymiar ponurego symbolu.

Tak opisywał gotowość Kępy Oksywskiej do odparcia wroga w roku 1939 porucznik Jan Żelewski: „Umocnienia zrobione przez piechotę miały wiele błędów: rowy były za głębokie oraz pojedyncza linia drutów kolczastych, bez schronów, bez metra sześciennego betonu". Tygodniowa heroiczna obrona Westerplatte była niezwykłym osiągnięciem, ale trzeba pamiętać, że wartownie i budynki miały betonowe podpiwniczenia i były przygotowywane do walki ze spodziewanymi atakami od strony miasta. Kępa Oksywska stawiała bohaterski opór przez siedem dni, a na tym całym dużym obszarze nie było ani grama betonu. W dodatku okopy zostały źle usypane, bez oszalowania i nie wszędzie znajdowało się odpowiednie połączenie między pierwszą a drugą linią. Tam właśnie, między 12 a 19 września, zginęło około dwóch tysięcy żołnierzy. Jak napisano w przedmowie do znakomitej pracy źródłowej „Kępa Oksywska 1939 – relacje uczestników walk lądowych", zbierającej relacje o wydarzeniach wrześniowych na Oksywiu: „Na jednego żołnierza polskiego poległego na Westerplatte, na dwóch żołnierzy czy marynarzy poległych na Helu przypadało co najmniej sześćdziesięciu – a prawdopodobnie nawet więcej – żołnierzy polskich poległych na owej Kępie Oksywskiej, którą nie każdy – poza mieszkańcami Trójmiasta i jego okolic – byłby w stanie dokładnie pokazać na mapie". Obrona zakończyła się 19 września, stanowiąc finałową arię, kodę tej niezłomnej batalii prowadzonej przez

siły Lądowej Obrony Wybrzeża. Kępa Oksywska to nie tylko wymiar bohaterskiej walki tysięcy polskich żołnierzy, ale także – a może przede wszystkim – postać ich niezwykłego dowódcy. Strzał w głowę z pistoletu. Samobójstwo popełnione w chwili, gdy już nic więcej nie dało się zrobić. Walka do samego końca, jedynie z pomocą dwudziestu oficerów. I ta kula jak symbol – jak znak dla tych wszystkich, którzy walczyli pod jego dowództwem – że nic więcej nie mogę już z siebie dać, tylko swoje życie… I dodatkowy gorzki ładunek, historyczny piołun dodany do ołowiu – informacja o tym, że Sowieci wbili Polsce nóż w plecy. Pułkownik Stanisław Dąbek objął dowództwo Lądowej Obrony Wybrzeża wtedy, gdy właściwie nic się nie dało zrobić, a Polska była nieprzygotowana do odparcia ataku Niemców w tamtym rejonie. Kępa Oksywska to nasze kolejne Termopile. Z piękną figurą polskiego Leonidasa na czele. Niemcy rzucili na mniej więcej dziesięć tysięcy polskich obrońców przeszło cztery razy większe siły. Zasypali Oksywie ogniem artyleryjskim, przy czym wiodącą rolę w dziele zniszczenia odgrywał pancernik „Schleswig–Holstein". Na Kępę Oksywską aż do 19 września leciały z nieba tony bomb i pocisków. Pomimo tego, wobec nikłych środków, Polacy ciągle się trzymali. Niemcy byli zdziwieni i rozzłoszczeni takim uporem w walce. Niemiecki żołnierz Hubert Rechlin wspominał o „zawziętych atakach Polaków" i o własnych „dotkliwych stratach"! Pisze np. jak to „o świcie batalion mjr. von Diesta zmaga się twardo na zachód od Dębogórza z nadbiegającymi w zawziętych przeciwnatarciach Polakami". Lektura relacji niemieckich przynosi nieodparte wrażenie, jakby wrogie oddziały zmagały się z uzbrojoną po zęby armią superherosów. Wysiłek szwabskich batalionów to dowód naszej żelaznej woli walki. Byliśmy przecież bardzo słabo uzbrojeni i wyekwipowani. Świadczą o tym opowieści sfrustrowanych dowódców, jak choćby mjr. Franciszka Piotrowiaka, szefa nowo powstającego i formowanego naprędce batalionu. Jego walka o uzbrojenie, umundurowanie czy wyżywienie dla swojego oddziału ma swój wymiar nieledwie heroiczny, ale pokazuje też, jak bardzo nasza obrona wrześniowa była dziełem improwizowanym, przyszykowanym na ostatnią chwilę.

Pułkownik Stanisław Dąbek otrzymał przydział na stanowisko dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża dopiero 23 lipca. Nie był lubiany w środowisku piłsudczykowskim, gdyż w czasie I wojny światowej nie służył w Legionach. Został zmobilizowany do armii austriackiej i walczył we Włoszech. Wrócił zresztą z wojny ze zdobytym całym… pociągiem i kompletnie uzbrojonym polskim oddziałem wojskowym. Zasłużył się też podczas wojny z bolszewikami. A potem, robiąc karierę wojskową w wolnej Polsce, zdobył sobie opinię twardego, bardzo wymagającego oficera. W 7. p.p. Legionów w Chełmie opracował

i wdrożył w życie własny system wymagań, któremu nadał nazwę DOS (Dyscyplina, Odpowiedzialność, Służba). Wyłania się z tego obraz filmowego, twardego sierżanta, który kompanię trzyma krótką ręką, podwładni psioczą na wszystkie uciążliwe ćwiczenia na poligonach, ale gdy nadchodzi chrzest bojowy, doceniają „ojca" oddziału. Dopiero wtedy widzą jego zalety, dostrzegając, że właśnie w takim DOS ukryta jest tajemnica sprawnego działania wojska. Że jest ono potrzebne co najmniej tak bardzo, jak szlachetne wartości wpajane patriotycznym wychowaniem. Wobec nawały ogniowej i trudu rzeczywistej walki na polu bitwy, całość ratuje i prowadzi do sukcesu właśnie DOS. Patrząc na miałkość naszych przygotowań wojennych w obliczu nadchodzącej agresji, żałować należy, że nie mieliśmy więcej pułkowników Dąbków – czyli praktyków realnie stąpających po ziemi, potrafiących w odpowiedniej chwili zdobyć się na heroiczną postawę.

Urodzony w Nisku, wychowany w tradycyjnej chłopskiej rodzinie Stanisław Dąbek, jak już wspominałem, został mianowany dowódcą na Wybrzeżu zbyt późno. Został w zasadzie niejako „zesłany" na trudny odcinek szykowanego frontu. Nad sobą miał szefa całej Armii „Pomorze" gen. Bortnowskiego, z którym był skonfliktowany, oraz kontradmirała Unruga zawiadującego całą obroną Wybrzeża. O swoim awansie na stanowisko dowódcy powiedział sam: „Przysłali mnie tutaj, bym wypił piwo, które nawarzyli inni". Gdynia właściwie była skazana na pożarcie. Sam Bortnowski uznawał, że obrona całego obszaru może potrwać zaledwie kilka dni… W tej sytuacji Dąbek podejmował się zadania o „termopilskiej" randze i trudności. Starał się jednak zorganizować obronę tymi środkami, jakie posiadał. Nie były one wielkie. Na Kępie Oksywskiej stała bateria 100 mm dwóch dział typu Canet, ale jedno z nich zostało uszkodzone już w początkowej fazie obrony. Tak więc ciężar poważniejszego ostrzału spoczywał tylko na. jednej armacie! Nasza artyleria posiadała jeszcze trochę dział mniejszego kalibru – 75 mm (przestarzałej konstrukcji), czy 47 i 37 mm. Wszystkie one jednak nie były odpowiednio osłonięte i umocnione. Canet operował nieco dłużej, gdyż w pewnym sensie „obronił" go dawny bohater legionowych bojów Gustaw Orlicz–Dreszer. Według wspomnień artylerzystów pociski lecące od strony pancernika „Schleswig–Holstein" przenosiły zbyt daleko, gdyż za baterią polską znajdował się pomnik Dreszera. I to ten pomnik Niemcy brali omyłkowo za cel.

Nawet szykowanie umocnień stwarzało Dąbkowi kłopoty, a miał pod sobą, poza regularnymi oddziałami (w tym dwoma Morskimi Pułkami Piechoty) także ochotników. Jeden z takich oddziałów był uzbrojony, jak powstańcy roku 1863. w kosy! Wobec szykowanej

pancernej i lotniczej nawały taki oddział „kosynierów" wyglądałby na zakrawający na ironię żart, gdyby nie fakt, że jego główną rolą miał być początkowo jedynie udział w pracach ziemnych przy kopaniu okopów. Później rzeczywiście oddział brał udział w działaniach bojowych, lecz nie w stylu racławickiej szarży na baterie nieprzyjacielskie. To po wojnie nadano temu oddziałowi rangę symbolu – odegrał w tym swoją rolę działacz PPS–u ppor. rez. Kazimierz Rusinek, który stworzył nieprawdziwą legendę „czerwonych kosynierów". Rusinek, piastujący w PRL–u stanowiska rządowe, opowiadał o oddziale coraz to wymyślniejsze historie, w które – niestety – uwierzył Melchior Wańkowicz, publikując o „kosynierach" tekst w paryskiej „Kulturze" w roku 1961.

Obrona Kępy Oksywskiej to piękna karta naszej wrześniowej walki – oddawaliśmy Niemcom każdy skrawek ziemi walcząc z zaciśniętymi zębami, każda jej piędź kosztowała nas i ich – wiele krwi. Nadszedł finał dramatu. Już było wiadomo, że Polska stracona, że nawet najtwardszy opór nic już nie przyniesie. Westerplatte dowodzone przez kpt. Dąbrowskiego padło – przynosząc chlubę naszej odwadze, lecz nie wnosząc swoją obroną nic do sytuacji strategicznej. Dobrze umocniony Hel – pod dowództwem Unruga, starego, pruskiego jeszcze oficera – trzymał się, gdyż był przez Niemców atakowany jedynie metodą na wyniszczenie oraz zmęczenie poprzez ostrzał, ale w końcu musiał się poddać. Do tego wszystkiego doszła potworna wiadomość, która wstrząsnęła wszystkimi – od wschodu zaatakowali nas Sowieci.

„Wycofując się na Kępę Oksywską wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że tam dokona się już nasz los. O zwycięstwie nie mogło być już mowy (…) – wspominał Wacław Tym. – Na wszystkim ciążyło więc, jak zmora, poczucie bezsilności, a równocześnie obowiązku – walki do końca. Na domiar złego wiadomości z kraju wcale nie były pocieszające, a od 17 września – katastrofalne".

W tych warunkach pułkownik Dąbek zarządził wycofanie resztek sił oraz sztabu do Babiego Dołu. Nadchodził moment, do którego dowódca szykował się już wcześniej. Franciszek Sokół w swoim wspomnieniu opisał scenę z 12 września, czyli czasu wycofywania się na Kępę. Pułkownik Dąbek miał mu powiedzieć: „Ty idź i oddawaj Niemcom swoją Gdynię, ja pójdę na Oksywie, do tego talerza, na który teraz Niemcy będą pluli ze wszystkich stron, a ja nie będę w stanie temu ani przeszkodzić, ani zuchwalców ukarać. I mój koniec jest bliski: ostatnia kula z mojego steyera dla mnie.

Masz moją legitymację i pieniądze, oddaj to mojej żonie i córce. Powiedz im, że tak musiało się to skończyć". Kolejną relację, już z 19 września, znajdujemy we wspomnieniach kapitana Tyma. Otóż owe-

go dnia pułkownik połączył się za pomocą podwodnego kabla z Helem. Złożył swój ostatni meldunek kontradmirałowi Unrugowi. Następnie odciął podwodny kabel, po czym zebrał wokół siebie oficerów i rzekł: „Skończyła się nasza rola jako dowódców. Nie przestaliśmy jednak być żołnierzami i swój żołnierski obowiązek spełnimy do końca. Będziemy walczyć jako ostatni oddział Lądowej Obrony Wybrzeża. Niech każdy z was zaopatrzy się w karabin i amunicję. Zbiórka z bronią na tym miejscu za pół godziny. Do boju poprowadzę was osobiście. Zawiadomić również Szpunara". Zebrali się po godzinie 14. Do Babiego Dołu dotarł także wycieńczony mjr Jabłonowski, dowódca rozbitego w ostatecznej walce III Baonu. Złożył meldunek. „Przedzierał się pędzony jakimś wewnętrznym impulsem–rozkazem, że jego bezwzględnym obowiązkiem, jako dowódcy baonu, jest osobiście złożyć Pułkownikowi ten smutny, ostatni meldunek. Dlatego jest i melduje". Dąbek, wzruszony, uściskał majora. Chciał go zwolnić z dalszej służby, lecz Jabłonowski nie chciał o tym słyszeć. Poszedł ze wszystkimi oficerami. Rozpoczęła się ostatnia walka. Piękna, iście polska… Kadra biła się jak szeregowi żołnierze. Huk wystrzałów. Kanonada. Świst kul. Potem nagłe chwile ciszy, przerywane kolejnymi seriami strzałów. Z dala dochodziły wrzaski Niemców. Odpowiadał im po niemiecku pułkownik Dąbek, chodząc wyprostowany, w rozwianym płaszczu: „Nie boimy się was, więc i wy nie bójcie się, tylko chodźcie tu bliżej!".

I znów kolejne ataki odpierane przez polskich oficerów. Strzały moździerzy, huk armat, sypiąca się ziemia i fruwające odłamki pocisków. Ktoś ranny w głowę. Ktoś krzyczy. I naraz, pośród strzelaniny słychać głośne: „Panie pułkowniku!".

A potem. Po chwili. „Pułkownik nie żyje!".

Kilku oficerów zebrało się w dole, pośrodku zbocza, był wśród nich podpułkownik Szpunar, który tak im powiedział:

„Zebrałem was tutaj w związku z ostatnią wolą, jaką mi przekazał ś. p. płk Dąbek. Jakieś kilkanaście minut temu wezwał mnie do siebie i między innymi powiedział: »Słuchaj Ignacy, gdyby tak się stało, że mnie już nie będzie, to rozkazuję ci, jako z kolei najstarszemu po mnie, byś zakończył tę walkę. Dalszy rozlew krwi jest już bezcelowy, bez sensu. I proszę cię, byś po wojnie odszukał moją żonę i córeczkę. Powiedz im, że w tych ciężkich, ostatnich chwilach myślałem o nich. Powiedz też żonie, że to, co się stało, musiało tak się stać i że bardzo serdecznie przepraszam ją za wszystko, cokolwiek złego mogłem jej w swym życiu wyrządzić«".

Kilka minut potem pułkownik Dąbek włożył sobie w usta pistolet i nacisnął spust. Według niektórych relacji był już wtedy ranny od niemieckiego pocisku. Szpunar podkreślił, że dostał wyraźny rozkaz

zaprzestania walki, lecz zwrócił się jeszcze do pozostałych oficerów, by wspólnie podjęli decyzję. Była zgodna z ostatnią wolą dowódcy. Po złożeniu broni pułkownika Dąbka pochowano w asyście wojskowej, a honory oddawało mu także czterech oficerów niemieckich – jego postawa była rzeczywiście najwyższej możliwej próby.

Najwyższej próby były też postawy innych obrońców Kępy. Na czele ze wspaniałym oksywskim kapelanem, błogosławionym księdzem komandorem Janem Miegoniem, który do ataku szedł jak ksiądz Skorupka z krzyżem wzniesionym w dłoni, krzycząc: „Za Boga, Ojczyznę i polski Bałtyk naprzód!”… I z trzynastoletnim żołnierzem–harcerzem Alfredem Dyduchem. Ten najmłodszy obrońca Oksywia został ciężko ranny. Pocisk oberwał mu nogę. Chłopiec umierał cicho. Bez skargi. Odchodził powoli. Ale do końca ściskał swój karabin. Aż do chwili, gdy jego drobne, zaciśnięte na broni palce stały się zimne jak lód.

Trzeba pamiętać o tym wszystkim – o dłoniach tego chłopca na karabinie, o natchnionym księdzu i niezwykłym dowódcy, stawiającym czoła rzeczywistości z niezachwianą odwagą. Razem tworzyli tę wspólnotę, którą my Polacy musimy na nowo odtworzyć.

[wSieci, nr 35/2015]

17 WRZEŚNIA

JEDNA z najbardziej dramatycznych nocy w historii Polski rozegrała się w Moskwie, z 16 na 17 września 1939 roku. Naszego ambasadora Wacława Grzybowskiego wezwano pilnie do gabinetu Władimira Potiomkina, zastępcy Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych Wiaczesława Mołotowa. Nazwisko miał Potiomkin „dobre" i rolę do spełnienia iście imperialną – wręczył mianowicie polskiemu dyplomacie notę rządu sowieckiego. Nota będąca de facto wypowiedzeniem wojny, w swojej treści zawierała kwintesencję rosyjskiego prowadzenia polityki, w której brutalna siła idzie w parze z kłamliwą oprawą formalną. W tekście pojawiły się więc przyczyny nadchodzącej „interwencji", takie jak „bankructwo rządu polskiego", utracenie przez Polaków stolicy, czy wreszcie tragiczna sytuacja mniejszości narodowych na kresach Rzeczypospolitej. „Rząd radziecki nie może pozostać obojętnym w chwili, gdy bracia tej samej krwi, Ukraińcy i Białorusini, zamieszkujący na terytorium Polski i pozostawieni swojemu losowi, znajdują się bez żadnej obrony" – czytał naszemu ambasadorowi pan Władimir P, a Grzybowski nie mógł wręcz uwierzyć w to, co słyszy. Gdy dowiedział się, że „rząd radziecki wydał rozkazy naczelnemu dowództwu Armii Czerwonej, aby jej oddziały przekroczyły granicę i wzięły pod obronę życie i mienie ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi" oraz, że ów rząd „zamierza jednocześnie podjąć wszelkie wysiłki, aby uwolnić lud polski od nieszczęsnej wojny, w którą wpędzili go nierozsądni przywódcy i dać mu możliwość egzystencji w warunkach pokojowych", bardzo zdecydowanie odmówił przyjęcia dokumentu pisanego piórem maczanym w diabelskim atramencie.

Niemniej zszokowani byli wszyscy Polacy, którzy następnego dnia usłyszeli w radiu, że Rzeczpospolita została zaatakowana przez bolszewików.

Dzień 17 września od samego początku był przez sowiecką propagandę ukazywany w fałszywych barwach. Także i Polacy niejednokrotnie nie potrafili nazywać rzeczy po imieniu. Dziesięciolecia PRL–owskiej rzeki kłamstw nie tylko utrwaliły kłamstwa „założycielskie",

dotyczące agresji sowieckiej, ale wręcz, po wygranej wojnie zabetonowały wiedzę na ten temat, okrywając ją płaszczem późniejszego „braterstwa broni". Efekty tego są widoczne do dzisiaj – to te tysiące nieświadomych Polaków, którym nie przeszkadzają pomniki morderców, gdyż widzą w nich „wyzwolicieli".

Ostatnie miesiące, w których wojna na wschodzie Ukrainy zajmuje uwagę mediów całego świata, każą po raz kolejny przyjrzeć się temu, co stało się 17 września siedemdziesiąt pięć lat temu. Przede wszystkim z tego względu, że o tyle, o ile atak niemiecki w sposób jasny, czytelny i oczywisty był rozpoczęciem wojny, to sowiecki już nie – o to postarali się spece od rosyjskiej propagandy, którzy dokonywali cudów kłamliwej woltyżerki słowami, wykorzystując do tego dostępne media – prasę i radio. Po drugie zaś z tego powodu, że agresywna polityka Stalina, pomimo wielu ładnie brzmiących słów oburzenia wypowiadanych przez zachodnie elity, nie doczekała się właściwie żadnej konkretnej odpowiedzi, zaś już niedługo Zachód, walcząc z jednym potworem, sprzymierzył się z drugim.

Władimir Putin, atakując Ukrainę sięga, więc po dobrze sprawdzone metody – metody Stalina.

Warszawa broniła się w 1939 roku przez trzy tygodnie. Morze ruin i tysiące trupów leżących na ulicach to była cena za niezłomną walkę. Ta walka była symbolem, krzykiem, jaki miał usłyszeć cały świat – „patrzcie, to miasto jest niezwyciężone!". Póki się dało, organizowano obronę, strzelano do nadlatujących samolotów, ustawiano barykady i rzucano butelki z benzyną na wdzierające się do miasta czołgi.

Jeden z czołowych polskich socjalistów przedwojennych, członek PPS i redaktor lewicowych dzienników Zygmunt Zaremba zapisywał wydarzenia wrześniowe w stolicy w swoim notatniku. Jego wspomnienia zostały wydane jeszcze podczas wojny, w formie pierwszej podziemnej broszury – „Obrona Warszawy". Pisze w niej m.in. o roli, jaką pełniły w trakcie tej obrony takty „Warszawianki", pieśni z okresu Powstania Listopadowego, rozpoczynające wówczas audycje polskiego radia. Przy winiecie „Dziennika Powszechnego Ludowego" warszawiacy mogli w trakcie wrześniowych dni czytać: „Kto przeżyje, wolnym będzie, a kto umrze – wolnym już!". Przez wiele pierwszych dni walki, pomimo trudów, cierpień i wyrzeczeń mieszkańcy stolicy nie tracili ducha, ciesząc się każdym drobnym zwycięstwem, zestrzelonym samolotem, czy kolejną przetrwaną nocą. Ale gdy nadszedł 17 września…

Zaremba wspomina, jak tego dnia zadzwonił do niego jego przyjaciel z partii socjalistycznej: „Drży jego głos. Przerywa go łkanie.

Czy wiecie już, jakie nieszczęście? – pyta mnie.

O co chodzi?

Właśnie słuchałem przed chwilą radia. – głos załamuje się.

No i co, mówcie do licha – mówię już zniecierpliwiony.

Słuchałem Moskwy. Rosja uderzyła na nas od wschodniej granicy. – głos przechodzi w łkanie i słyszę bełkot, z którego wychwytuję pojedyncze słowa.

Koniec. Nie ma nadziei.

Wiadomość potwierdziła się z różnych stron. Nie było już wątpliwości. Wojna przegrana i Niemcy do spółki Rosją raz jeszcze rozćwiartowują nasz kraj".

Tego dnia generał Rómmel, który objął dowództwo obrony miasta, zorganizował wieczorne spotkanie przedstawicieli społeczeństwa warszawskiego w schronie przy ulicy Rakowieckiej, pod gmachem Sztabu Generalnego. Warszawiacy usiedli w głuchej ciszy, czekając, co będzie dalej. Dopiero po dłuższej chwili generał Rómmel zabrał głos i zaczął zebranym tłumaczyć bieżącą sytuację.

A gdy zebranie skończyło się i wszyscy wyszli na zewnątrz, okazało się, że i tam panuje cisza. Niemcy wstrzymali ostrzał, aby umożliwić przedstawicielstwom dyplomatycznym wyjazd z miasta. Przerwa w walkach miała trwać do południa 18 września.

Wśród tej ciszy, ciszy o głębokim wymiarze historycznym, od czasu do czasu słychać było szum radioodbiorników i moskiewskie radio, ponawiające komunikaty o „wkroczeniu" Armii Czerwonej na ziemie polskie.

A potem zaczęły szeleścić gazety. W nich, pośród warszawskiej codzienności, pojawiły się echa sowieckiej napaści. Czytano więc orędzie prezydenta Mościckiego, które zaczynało się od słów: „Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zmaga się z przemocą wroga od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi całości bez mała niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wschodni najechał nasze ziemie, gwałcąc obowiązujące umowy i odwieczne zasady moralności. Stanęliśmy tedy nie po raz pierwszy w naszych dziejach w obliczu nawałnicy, zalewającej nasz kraj z zachodu i wschodu. Polska, sprzymierzona z Francją i Anglią, walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu, o dobro przeciwko panowaniu zła na świecie. Z walki tej – wierzę w to niezłomnie – wyjść musi i wyjdzie zwycięsko".

W dzienniku pro piłsudczykowskim „Dobry Wieczór. Kurier Czerwony" z dnia 19 września, obok informacji o tym, że „należy przygotować zawczasu wszystkie studnie i źródła znajdujące się na terenie nieruchomości", i że wodę przed piciem należy gotować, a także o tym, że bezrobotni piekarze powinni się zgłaszać do p. Pyszkow-

skiego na ulicę Wiejską 10, można było przeczytać spory artykuł pt. „Sowieci łamią pakt nieagresji z Polską", a w nim takie zdania: „Wzorem wojsk carycy Katarzyny wojska czerwone usiłowały wtargnąć do Polski. Czasy są jednak inne. Przeliczyli się. Na rubieżach Rzeczypospolitej czuwa żołnierz bitny i karny. Nie ma wśród nas sprzedawczyków". Na pierwszej stronie duży tytuł: „Pochód wojsk sowieckich wstrzymany", a także wyjaśnienia, związane z faktem niepodejmowania walki przez naszą armię – „Wobec oświadczenia o neutralności Sowietów, Armia Polska nie prowadzi działań wojennych przeciwko armii sowieckiej, natomiast Rząd Polski złożył protest przeciwko naruszeniu granicy". Świat wydawał się być oburzony sytuacją. „Rząd angielski zbadał fakt agresji Sowietów wobec Polski i nie widzi żadnego usprawiedliwienia dla tej akcji".

Rząd angielski nie widział usprawiedliwienia, lecz wojnę na „zachodnim froncie" prowadził wespół z Francuzami według systemu znad Sekwany – *drôle de guerre.* Nie sposób wręcz nie czytać tych prasowych notatek, nie mając przed oczami współczesnych głosów oburzenia, jakie prasa oraz politycy Zachodu podnoszą wobec wojny rozpętanej przez Putina na Ukrainie. Także i te dzisiejsze są pełne emocjonalnych wykrzyknień, a nie idą za nimi konkretne działania. „Dobry Wieczór. Kurier Czerwony" donosił 19 września, że Roosevelt był „wstrząśnięty do głębi bombardowaniem bezbronnych miast". Amerykański prezydent apelował też, by „były zaniechane barbarzyńskie metody prowadzenia wojny". „Kurier Poranny" z 20 września pisał o „pogwałceniu granic Polski przez Sowiety, co wywołało oburzenie opinii publicznej za granicą". I zamieścił wstrząsające przemówienie prezydenta Starzyńskiego, w którym czytelnik znajdował takie słowa: „Nie pomoże kłamstwo dla zbrodni ani dla podziału Polski. Zapłaciliście już za podział Polski i wy, i Austria, i Rosja. Wtedy było inaczej. Dziś Polska nie jest sama, idą z nią największe potęgi świata. Cały świat kulturalny i cywilizowany idzie przeciw wam".

Tymczasem „Express Poranny" z 19 września wspominał zadziwiające chwile warszawskiej ciszy z poprzedniego dnia: „Wczorajszy ranek rześki, pogodny, przyniósł Warszawie niespodziankę. Po piekielnym huku dział, rozbrzmiewającym nieprzerwanie przez całą sobotę i niedzielę, cisza, jaka zapanowała – dzwoniła wprost w uszach.

Warszawa, jak co dzień w te dni wojny, obudziła się wcześnie. Z bram wychylają się gosposie z koszykami, by stanąć w kolejce po zakup produktów. Śmiało czyniły to każdego poranka, choć nad głowami ich huczały pociski. Lecz wczoraj rozglądały się niedowierzająco: – Tak cicho, cóż to znaczy?".

A „Express Poranny" znów informował o… kolejnym zwycięstwie wojsk polskich. I nasza propaganda nie zasypiała gruszek w popiele,

ciągle pobudzając do walki, ciągle podtrzymując ludzi na duchu. Lecz radość, jeśli bywała, zaraz zbijała się z twardą, okrutną rzeczywistością.

Rzeczywistość wojennego dnia zaskakuje, gdy czyta się o sprawach bieżących. Oto nekrologi kolejnych zmarłych, a tuż obok ogłoszenie o odnalezionym portfelu, do odbioru w aptece. W portfelu były pieniądze. I legitymacja na nazwisko technika p. Władysława Stolarskiego, sekretarza zarządu drogowego w Łęczycy. Taka informacja wiele znaczy – to obraz naszej, polskiej, europejskiej kultury, w której własność drugiego człowieka szanuje się nawet wtedy, gdy trwa wojna. Dlaczego nie mówić, nie pisać o tych odnalezionych portfelach pełnych pieniędzy, odnoszonych do aptek, gdy Polaków pokazuje się zwykle jako bandę złodziei i szabrowników? To stamtąd, ze Wschodu szła zaraza bolszewicka, stamtąd właśnie 17 września napłynęło zło ucieleśnione w mundurach z czerwoną gwiazdą, zło najbardziej wysublimowane, wykwintne z jednej z strony i prostackie jak kołchoźnicze walonki z drugiej. Nadeszło zło, które nie tylko niosło *śmierć, ale też upadek* moralny; które miało szukać wśród nas „sprzedawczyków", niszczyć naszego ducha, nakazać zło zwać dobrem i na odwrót, z katów czynić ofiary, z morderców świętych, z ofiar – wyklętych, poniżonych i zapomnianych. Ta zaraza nadciągała – jak w scenie opisanej przez Kossak–Szczucką w „Pożodze", kiedy fura z pijanymi sołdatami uderza w jadącą bryczkę, masakruje ją i wywraca. Taka fura właśnie, rozpędzona, pełna pijanego hultajstwa, spadła na nas 17 września.

I już po chwili zaraza rozlała się po kraju, zabierając się za strzelanie w potylicę i niszczenie duszy narodu. Pięknie Bogdan Urbankowski w „Czerwonej Mszy" zestawił dwa wiersze, które były jak symbole dwóch światów – odchodzącego i nadchodzącego.

O tym, co stało się 17 września, napisał Władysław Sebyła. Jego wiersz zaczynał się od zwrotki:

I znowu tupot nóg sołdackich,
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but,
i mrowi się ludami wschód.

Lecz zaraz pojawiły się nowe, zaczynała się nowa era, którą rozpoczynał wiersz Stanisława J. Leca pt. „Stalin". W nim zaś takie słodkie wersy:

Którą poeci wyśpiewali
Ojczyzna, co to od Kamczatki,

Po szynach pędzi aż po San,
Którą jak mleka pełny dzban podają dzieciom czułe matki,
– to Stalin.

Po siedemnastym września różnie się toczył los Polaków. Niektórzy, jak Władysław Sebyła, ginęli z ręki sowieckiej. Inni zaprzedawali Sowietom duszę. To drugie było ich zwycięstwem jeszcze dla nas boleśniejszym. Jak choćby wiersz Leona Pasternaka pt. „Wiersz noworoczny".

(…)
Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty,
rok lochów bereskich, ludu krwawa kaźń –
nie ma kresu pogardy, ni ma końca klątw tych,
które by na rok ten nie powinny spaść.
(…)
A jednak podejmij kalendarz zdeptany,
część jego kart będziesz kiedyś sławił w pieśniach,
gdy padła granica, pękły więzień bramy,
w ten dzień wyzwolenia: siedemnasty września.
(…)

W PRL–u drukowano takie wiersze.

Ale byli Polacy, którzy przez pożogę wojny i lata niewoli przechowali stare gazety. Takie jak „Kurier Poranny" z 20 września 1939 roku. Wydrukowano w nim przemówienie Stefana Starzyńskiego, który tak się zwracał do warszawiaków.

„Czytaliśmy w Orędziu Prezydenta Rzeczpospolitej, które skierował do obywateli: »Wiem, że mimo najcięższych przejść zachowaliście hart ducha, godność i dumę. Na każdego z was spada dziś obowiązek czuwania nad honorem narodu. Opatrzność wymierzy nam sprawiedliwość«.

Tak jest, Panie Prezydencie! – gdziekolwiek jesteś – melduję posłusznie, że naród polski nie stracił hartu ducha, godności i dumy. Lud honoru swego umie bronić – w trudnych warunkach bombardowania bohatersko trwa, trwa i trwać będzie".

[wSieci, nr 38/2014]

SEMPER Fidelis. Zawsze wierne. Tak się winno mówić nie tylko o Lwowie, ale i o Grodnie. I uhonorować to miasto – jak uważał generał Anders – przyznając Virtuti Militari w uznaniu niezwykłych, bohaterskich cnót, jakimi wykazali się mieszkańcy, broniąc swoich domów, ulic i placów przed Sowietami we wrześniu roku 1939. Przez cały okres PRL–u pamięć o postawie obrońców Grodna była zasypana piachem kłamstwa. Jakże można było wspominać o jakimś „bohaterskim oporze" wobec „faktu", że Armia Czerwona „wkraczała" do wschodniej Polski, by ją „wyzwalać" i chronić narody białoruski oraz ukraiński, co stwierdzała przecież nota wręczona w nocy z 16 na 17 września naszemu ambasadorowi Grzybowskiemu przez zastępcę Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych Władimira Potiomkina? Wizja Polski słabej, upokorzonej i w milczeniu kładącej głowę pod sowiecki topór jest wobec takich faktów, jak ucieczka rządu, czy zakazująca walki dyrektywa Naczelnego Wodza w dużej mierze trafna. Jednak nie jest pełna – bo Polska się broniła. Część oddziałów starała się ewakuować, inne chwytały za broń i drogo sprzedawały każdą piędź ziemi, jaką miały pod stopami. Walczyły jednostki KOP, regularne oddziały wojskowe, policjanci, harcerze, uczniowie gimnazjów, a także zwykli cywile. Agresja Sowietów spotkała się z odpowiedzią. Żelazne słowa takiej właśnie polskiej odpowiedzi na sowiecką napaść zostały „wykrzyczane" przez grodzieńskie Orlęta, przez bohaterów broniących jednego z najważniejszych ośrodków polskiej kultury. Przez tych, którzy wiedzieli, co znaczy mieć na głowie czapkę „batorówkę", dlaczego jeden z ważniejszych placów nosi imię króla Stefana Batorego i z jakiego powodu kładzie się kwiaty na grobie Elizy Orzeszkowej. Z racji tej duchowo ugruntowanej wiedzy, gdy miasto zaczęły opuszczać jednostki wojskowe udające się w stronę Litwy, gdy odjechał dowódca DOK III gen. Olszyna–Wilczyński, gdy opuścił je prezydent Cieński i starosta Walicki – grodnianie zaczęli samoczynnie, odruchowo, idąc za głosem serca, tego polskiego „odruchu warunkowego", szykować obronę…

Wielka jest siła obrazu. Jedno zdjęcie potrafi zmieniać historię. Tym bardziej, gdy widać na nim cierpiące dziecko. Takie zdjęcia spowodo-

wały w dużej mierze przegraną Amerykanów w Wietnamie. Takie zdjęcie wstrząsnęło ostatnio opinią publiczną, gdy pokazano światu martwego syryjskiego chłopczyka leżącego na brzegu morza. Zdjęcia cierpiących dzieci z okresu drugiej wojny światowej stanowią najmocniejsze oskarżenie wobec obu potęg totalitarnych – niemieckiej i sowieckiej. Czasem rolę takich zdjęć przejmuje opis, niezwykłe wstrząsające świadectwo. Dwie „fotografie" odnajduję w niezwykłych wspomnieniach grodzieńskiej nauczycielki Grażyny Lipińskiej. Tematem są polskie dzieci. Dwaj chłopcy. Mali Obrońcy Grodna. Orlęta.

Grażyna Lipińska talent literacki musiała odziedziczyć po matce. Jej opisy są celne i wydobywają to, co często jest ważniejsze niż relacje z działań wojskowych – atmosfera towarzysząca szyciu masek przeciwgazowych tuż przed wybuchem wojny, uczucia ludzi, kiedy pierwszy raz nad miastem pojawiają się niemieckie samoloty i jeszcze nikt nie chce dopuścić do siebie myśli, że to wojna, każdy chwyta się irracjonalnej myśli, iż to jedynie ćwiczenia, albo chwile po ogłoszeniu, że zaatakowali nas Sowieci i wszelkie nadzieje na wygraną rozwiewają się na wietrze.

Zostawała już tylko honorowa walka do końca. Tak było 17 września w Grodnie: „Jestem na ulicy. Podniecenie dużo większe, niż było 1 września. Ludzie wybiegli z domów nie tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć, żeby upewnić się o nowym nieszczęściu lecącym na kraj, ale przede wszystkim po to, aby słowami, gestem, krzykiem, płaczem bezsilnym wyładować gniotące piersi oburzenie, przeogromne, przerastające nasz hart i rozum. Przeradza się ono później u jednych w niepokój, pęd do ucieczki – u drugich w pragnienie czynu, żądzę mściwej walki".

Postanowili walczyć. Obrona miasta była kierowana przez wiceprezydenta miasta Romana Sawickiego oraz komendanta Komendy Uzupełnień mjr. Benedykta Serafina. Szczupłe siły, w których – poza nielicznymi jednostkami wojskowymi – były także drużyny harcerskie, grupy uczniów, policjanci i cywile, rozlokowywano na przedmieściach i przy głównych ulicach. Przygotowano rowy przeciwlotnicze i stanowiska ogniowe. Jak wspomina Jan Sieminski w swojej książce o udziale harcerzy w obronie Grodna, młodzież tłumnie garnęła się do służby. Początkowo wyznaczano im zadania pomocnicze (na przykład obserwację terenu z kościelnych wież), ale potem także młodzież uzbrojono. Miasto musiało odpierać ataki 27. Brygady Pancernej pod dowództwem mjr. Bogdanowa, mając w zanadrzu parę armat przeciwlotniczych oraz… butelki z benzyną. Główny trzon obrony stanowiły jedynie – jak pisze autor „Płonących Kresów" Czesław Grzelak – „dwa bataliony piechoty, uzbrojone w kb i karabiny maszy-

nowe", plus niewielkie siły w rodzaju oddziałów żandarmerii czy policji. Jednak „zapał do obrony był powszechny".

Nie ostudziło go nawet ujawnienie się tuż przed atakiem sowieckim komunistycznych grup, które usiłowały przygotować grunt i „wprowadzić" Armię Czerwoną do miasta. Obrona, często improwizowana, była szykowana w różnych dzielnicach niezależnie. Walki trwały od 20 do 23 września, dzień i noc. Sowieckie czołgi napotykały niesamowity opór, płonęły jeden po drugim. Pancerne olbrzymy, już po pokonaniu naszej wątłej broni przeciwpancernej wjeżdżały w ulice, gdzie nadal rażono w nie pociskami broni ręcznej, a potem butelkami z benzyną. Właśnie z taką butelką w ręku pobiegł na tanki trzynastoletni chłopiec Tadek Jasiński. A „zdjęcie" zrobiła mu uczestniczka wydarzeń, Grażyna Lipińska. Przytaczam tę „fotografię" w całości:

„Oczy Danuty Bukowińskiej błyszczą dziko, chowa się przed czołgami, nie ze strachu, lecz z nienawiści. – Nie mogę słuchać ich warkotu – tłumaczy. Ale ja widzę na dalekim czołgu jasną plamę. Nagła, straszna pewność! Głogów! Nie zważam na Dankę, nie słyszę jej krzyku. Śmiercionośna maszyna toczy się naprzód, a ja stępiała na wszystko lecę prosto na nią. Przeraźliwy zgrzyt… czołg staje tuż przede mną. Na łbie czołgu rozkrzyżowane dziecko, chłopczyk. Krew z jego ran płynie strużkami po żelazie. Zaczynamy z Danką uwalniać rozkrzyżowane, skrępowane gałganami ramiona chłopca. Nie zdaję sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje".

Z czołgu wyskoczył ubrany na czarno tankista z browningiem w ręku. Za nim pojawił się kolejny.

„Z podniesioną po bolszewicku do góry pięścią, wykrzywioną w złości twarzą – wspominała Lipińska – ochrypłym głosem krzyczy, o coś oskarża nas i chłopczyka. Dla mnie oni nie istnieją, widzę tylko oczy dziecka pełne strachu i męki. I widzę, jak uwolnione z więzów ramionka wyciągają się do nas z bezgraniczną ufnością".

Obie z Danutą złożyły dziecko na noszach i wyniosły spod czołgu w stronę szpitala. Tam rozegrał się dalszy ciąg tego dramatu. Sprowadzono matkę Tadzia. Osobiście przeżywam jeszcze mocniej to, o czym opowiada we wspomnieniach Lipińska, gdyż sam mam syna o tym imieniu. Więc mama Tadzia, Zofia Jasińska, tuli swoje dziecko, które powoli umiera.

„Ale kona w objęciach matki – pisze Lipińska – i na skrawku wolnej Polski, bo szpital wojskowy jest ciągle w naszych rękach. Matka umierającego chłopca zrozpaczona i jednocześnie pobudzona czynem synka szepcze mu: – Tadzik, ciesz się! Polska armia wraca! Śpiewają!". Według innych relacji mówiła mu jeszcze, że ułani jadą z chorągwiami.

Myślę, że to prawda. Że jechali. Byli przy tym chłopcu, na pewno. Unieśli go ze sobą i zabrali tam, gdzie śpią snem wiecznym wszyscy nasi rycerze. Tadzio zginął, bo „poszedł w bój, rzucił butelkę z benzyną na czołg, ale nie zapalił, nie umiał… Wyskoczyli z czołgu, bili, chcieli zabić, a potem skrępowali na froncie czołgu".

„Fotografię" drugiego Orlątka znajdujemy później. Gdy skończyła się heroiczna obrona, gdy już zabrakło sił, amunicji i butelek z benzyną. Do miasta wkroczyli Sowieci. Szalały dzikie bestie. Szlochy, odgłosy wystrzałów i rozpaczliwe wołania o pomoc wzlatywały w niebo wraz czarnym dymem smutku.

Grażyna Lipińska opisała grzebanie poległych bohaterów. Ciała były pozbawione butów, nie było przy nich żadnych dokumentów umożliwiających identyfikację. Jeden policjant z rozbitą czaszką. Dalej cywile. Pośród nich stolarz, trzej kolejarze. I pewien podchorąży, którego mundur miał metkę od krawca z Włodzimierza. U szeregowca znowuż, w kieszeni – zdjęcie matki. Wreszcie kapitan: „Oto i on, dowódca rycerzy szaleńców. Najstarszy rangą – kapitan. Mundur czarny od krwi. Otwarte oczy błyszczą w słońcu, niesamowicie rozchylone, niby w uśmiechu wargi odkrywają rząd przepysznych zębów. Prawa ręka wzniesiona nad głową, jakby dawał rozkazy, noga wyrzucona naprzód, niby w biegu. Jest on cały w ruchu, w pędzie. Przy nim mały harcerzyk – główka i dłonie wczepione w mundur kapitana, trudno jest nam oderwać go, aby móc spojrzeć w twarz".

Trudno rozpoznać chłopca, szczególnie że „twarzyczka jest teraz zastygła w śmiertelnym strachu". Na ciele dziecka nie ma śladu po kulach. Są za to dwie rany po ukłuciu bagnetu. „Nikt nie naprawi mu tej krzywdy, że w chwili zgonu pochylała się nad nim rozjuszona twarz wroga".

Ta „fotografia", ów niezwykły pomnik, ma jeszcze jeden element, rodzaj metaforycznej pieczęci.

Oto nagle nadjeżdża samochód. Wysiadają z niego sowieccy „komandirowie". Jeden z nich, pułkownik, staje obok leżącego martwego polskiego oficera. Zaczyna chwalić się, że sam go zabił. Naganem. Robotnicy rozstępują się. „But bolszewika przy złotych włosach poległego – wspomina Lipińska. – Robotnicy patrzą na ten but ponuro, jakby w oczekiwaniu czegoś strasznego". Sowiecki pułkownik patrzy na robotników i czuje, jaki rodzaj wzroku na nim spoczął. Słyszy, jak brzmi to polskie milczenie nad ciałami – oficera i chłopca. I naraz zmywa się jak niepyszny. Odjeżdża, pozostawiając wszystkich. To jest właśnie opowieść–symbol o naszej walce przeciwko Sowietom w roku 1939.

Martwy rycerz. Dziecko zabite okrutnymi pchnięciami bagnetu. A obok złotych włosów bohatera – bolszewicki but.

W końcu finał. „Chłopcy, bierzmy kapitana! – woła kędzierzawy.

Na ten okrzyk biegną wszyscy. Każdy chce wziąć udział w pochowaniu dowódcy poległych bohaterów. Niosą go powoli, uroczyście, jakby składali do grobu króla, a tak ostrożnie i z taką pieczołowitością, jakby ich król był ich ojcem rodzonym.

– Po lewej stronie kapitana kładźcie małego harcerzyka, a po prawej podchorążego, po obu stronach poruczników.»”.

Grabarze złożyli ciała na gałęziach jedliny. I tam spoczywają do teraz. Kapitan i jego dzielny „pomocnik”.

Na cmentarzu w Grodnie jest także grób Tadka Jasińskiego, bohatera, którego Sowieci przywiązali do czołgu. Ma ten grób specjalne znaczenie dla Polaków żyjących na Białorusi. Ciągle pamiętających o tym, że Grodno to polskie miasto. Wyrwane nam przez niesprawiedliwą historię. Tadka, na wniosek Związku Polaków na Białorusi odznaczył Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski śp. Prezydent Lech Kaczyński»

O obu chłopcach powinny teraz w polskich szkołach uczyć się polskie dzieci. Bo oni walczyli także dla nich. Grażyna Lipińska była przed wojną nauczycielką. Spotkał ją los podobny do tego, jaki bolszewicy zgotowali wielu polskim pedagogom. Na szczęście przeżyła, chociaż wielu jej kolegów i wiele koleżanek zabito. Czekała ją długa, wieloletnia zsyłka.

Może dlatego, że zakazała uczennicom nosić we włosach czerwone wstążki? Pytali ją o to enkawudyści podczas śledztwa. Wyciągnęli szkolny zeszyt. A w nim materiał do oskarżenia o uczenie antysowieckich poezji. W zeszycie jednej z dziewczynek widniał fragment wiersza Ujejskiego pt. „Maraton”:

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną
i tą przemocą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnym obliczem…

Tłumaczenia, że autor dawno nie żyje, zaś w wierszu chodzi o walkę Greków z Persami na nic się zdały. Śledczy nie dali się temu zwieść. Dobrze wiedzieli, że „Grecja i Persja są państwami kapitalistycznymi i wszelkie o nich poezje są antysowieckie”.

Gdy wróciła do szkoły, uczennice biły jej brawo, gdyż nie dała się złamać. Tak jak cała szkoła. Pośród kilkuset osób znalazła się tylko jedna, która zdradziła i poszła na współpracę z Sowietami…

[wSieci, nr 37/2015]

W LISTOPADZIE roku 1941, odpowiadając na notę rządu polskiego oraz brytyjską interwencję, Mołotow stwierdził, że zgodnie z rozporządzeniem Stalina z 13 sierpnia tego roku „wszyscy obywatele polscy, którzy byli pozbawieni wolności jako jeńcy wojenni, czy też na zasadzie innych dostatecznych powodów są zwolnieni, przy czym określonym kategoriom zwolnionych i jeńców wojennych władze sowieckie udzieliły pomocy materialnej". W ten sposób władza sowiecka kłamstwem pokryła swoje zbrodnie, w dodatku co chwila używając słowa „wolność". Tak bywa, że zwykle o wolności najwięcej mówią ci, którzy ją w sposób istotny ograniczają i którzy pogrążeni są w kłamstwie. Wolność zaś zaczyna się tam, gdzie jest Prawda.

Toczy się teraz walka o Prawdę w życiu publicznym. Ponieważ jej do tej pory nie było – toteż trzeba ją będzie dopiero wywalczyć. Pierwsze zwycięstwo za nami – mamy naszego Prezydenta. Ale główne starcie dopiero jesienią. I to właśnie będzie walka o Prawdę. Największym, najmocniejszym symbolem kłamstwa, jakie stanowi niedobry fundament obecnej Rzeczypospolitej, jest sprawa smoleńska. Można kwestię smoleńską porównać do kłamstwa katyńskiego – ono także wyznaczało moralną podstawę (a raczej jej brak) kadłubowego, zniewolonego państwa ludowego pod władaniem Sowietów. Kłamstwo katyńskie było osią, jak szereg innych oszustw, na której mógł się toczyć i obracać, jak na przeklętym walcu, co i raz wpadającym w błoto, mechanizm duchowego napędu całego państwa.

Media mainstreamowe kpią z prezydenta Dudy, że śpiewa – tak jak to czynili patrioci w wieku XIX – „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie". A przecież ma rację – ojczyznę mamy zniewoloną kłamstwem, które dotyczy wielu duchowych i materialnych aspektów życia Polaków.

W dniu 14 listopada do Józefa Stalina przybył z interwencyjną wizyta nasz ambasador, prof. Stanisław Kot. Rozmawiali w obecności komisarza Mołotowa. Po omówieniu kilku problemów doszło do najważniejszego punktu. Nasz ambasador spytał o „jeszcze jedną sprawę, którą chciałby poruszyć". Stalin uprzejmie odparł: „Proszę bardzo

panie Ambasadorze". Kot zapytał o amnestię dla polskich obywateli. I poprosił, by „ten gest został w pełni wykorzystany". Zaczął się teatr. Dyktator uniósł zdziwione brwi: „Czyż są jeszcze niezwolnieni Polacy?". Wtedy prof. Kot zaczął wyjaśniać, że oficerowie, którzy mieli być zwolnieni ze Starobielska nie wrócili z więzienia – „Nie mamy jeszcze ani jednego oficera".

Stalin zmarszczył czoło, coś usiłując sobie przypomnieć, mruknął, że „rozpatrzy sprawę" i naraz jakby go olśniło – zapytał, jak się nazywał dowódca obrony Lwowa – „Jeśli się nie mylę, generał Langner?". Polski przedstawiciel potwierdził. Wtedy Stalin „przypomniał sobie" i rzekł: „Słusznie, gen. Langner. Zwolniliśmy go jeszcze w zeszłym roku. Przywieźliśmy go do Moskwy, rozmawialiśmy z nim. Tymczasem uciekł on za granicę, bodajże do Rumunii". Mołotow potwierdził te słowa. Nasz ambasador upierał się, twierdząc, że posiadamy nazwiska i spisy ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa „wywiezionych stamtąd w kwietniu i maju 1940 r.". Jednak Stalin uparcie odpowiadał: „Zwolniliśmy wszystkich, nawet ludzi, których nam przysłał gen. Sikorski, by wysadzali mosty i zabijali sowieckich ludzi, nawet te osoby zwolniliśmy". Profesor Kot prosił, by w takim razie stawili się do armii i argumentował, że posiadamy dokładne listy osobowe – „Wszystkie nazwiska są zapisane u rosyjskich dowódców obozów, którzy co dzień wszystkich jeńców wywoływali do apelu. Ponadto NKWD z każdym z osobna prowadziło dochodzenie. Nie oddany został ani jeden oficer ze sztabu gen. Andersa, armii jaką dowodził w Polsce".

I w końcu nastąpiła dziwaczna reakcja Stalina. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem, paląc papierosa. Nic nie odpowiadał.

Próbował się z kimś połączyć przez telefon. Nie udało się. Mołotow podszedł i rzucając „to nie tak się łączy" sam przestawił w odpowiednie pozycje przełączniki. W końcu generalissimus wziął słuchawkę. I zaczął mówić: „Tu Stalin. Czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni z więzień?". Nastała chwila ciszy. „Bo tu jest u mnie ambasador polski, który mi mówi, że nie wszyscy". Posłuchał odpowiedzi i już nie mówiąc, odłożył słuchawkę na widełki. Potem kontynuował rozmowę na inny temat. Telefon zadzwonił. Stalin w milczeniu wysłuchał informacji. A następnie wrócił do stołu, nie rozmawiając już w ogóle na temat jeńców. Temat został zamknięty.

Tak też próbowano i próbuje się – nam, żyjącym współcześnie Polakom – zamknąć temat smoleński. Cały wysiłek rządowych elit skierowany jest w stronę tego, by Polacy uznali tragedię i możliwy zamach pod Smoleńskiem za sprawę wyjaśnioną i przeszłą.

W grudniu 1941 roku na Kremlu odbyła się kolejna rozmowa. Kwestię jeńców z obozów w Ostaszkowie, Kozielsku i Starobielsku podjęli

tym razem generałowie Anders i Sikorski. Na początek pytał nasz premier: „… stwierdzam wobec Pana Prezydenta, iż Jego oświadczenie o amnestii nie jest wykonywane. Dużo, i to najcenniejszych naszych ludzi, znajduje się jeszcze w obozach pracy i więzieniach". Na to Stalin zaczął coś notować, twierdząc przy tym: „To niemożliwe, gdyż amnestia dotyczyła wszystkich i wszyscy Polacy są zwolnieni". Ostatnie słowa skierował w stronę Mołotowa, który skwapliwie potwierdził, kiwając głową. Na to do rozmowy włączył się Anders: „Nie jest to zgodne z istotnym stanem rzeczy". Można te słowa odczytać tak, jakby rzucił dyktatorowi prosto w twarz: „To, co pan mówi, jest kłamstwem!". Dalej objaśniał: „Posiadam w wojsku ludzi, których zwolniono zaledwie przed paru tygodniami i którzy stwierdzają, że w poszczególnych obozach zostały jeszcze setki, a nawet tysiące naszych rodaków". Wątek podjął premier Sikorski: „Mam ze sobą listę około 4 tysięcy oficerów, których wywieziono siłą i którzy znajdują się jeszcze obecnie w więzieniach i w obozach pracy, nawet ten sam spis nie jest pełny, zawiera bowiem tyko nazwiska, które udało się zestawić z pamięci. Poleciłem sprawdzić, czy nie ma ich w Kraju, z którym mamy stałą łączność. Okazało się, że nie ma tam żadnego z nich, podobnie jak w obozach jeńców na terenie Niemiec. Ci ludzie znajdują się tutaj. Nikt z nich nie wrócił". Niezależnie od możliwości i efektów – polski rząd robił „co do niego należy", jednym słowem domagał się prawdy dotyczącej losu polskich obywateli. Nie schylał pokornie głowy i nie przyjmował za dobrą monetę słów tego, od którego ostatnią rzeczą, jakiej można by oczekiwać była… prawda. A przecież w warunkach wojennych, wobec braku faktycznej państwowości terytorialnej, i w stosunku do Stalina, było jeszcze trudniej taką postawę pokazywać, twardo żądać tego, co nakazuje obowiązek moralny. Jakże inaczej zachowano się w roku 2010, kiedy po prostu przyjęto wersję rosyjską za obowiązującą i to właściwie od pierwszego dnia po katastrofie.

Reakcja Stalina na słowa naszych generałów była taka, jak zwykle: „To niemożliwe. Oni uciekli" – odparł. „Dokądże mogli uciec?" – naciskał Anders. „Do Mandżurii" – padła odpowiedź, która brzmiałaby groteskowo, gdyby nie miała tragicznego wymiaru.

„To niemożliwe, żeby mogli wszyscy uciec. Większą część oficerów, wymienioną w tym spisie, znam osobiście. Są wśród nich moi oficerowie sztabu i dowódcy." – Anders nie odpuszczał. A Stalin grał w „durnia" dalej: „Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli". Teraz wsparł Andersa generał Sikorski: „Rosja jest wielka i trudności równie duże. Może władze lokalne nie wykonały rozkazu. Gdyby ktokolwiek wydostał się poza granice Rosji, ten na pewno zameldowałby się u mnie".

Prezydent sowiecki zaznaczył dobitnie: „Wiedzcie, że rząd radziecki nie ma najmniejszych powodów, żeby zatrzymywać choć jednego Polaka". A Mołotow dorzucił skwapliwie: „Chyba to niemożliwe, aby w obozach przebywali wasi ludzie".

Generał Anders jeszcze próbował: „Jednak najzupełniej dokładnie stwierdzamy, że są.". I wtedy Stalin urwał ostro: „To będzie załatwione. Specjalne zarządzenia zostaną wydane władzom wykonawczym, trzeba jednak zrozumieć, że prowadzimy wojnę…".

I temat został zakończony. Polski generał–premier, który zadawał Rosjanom niewygodne pytania, półtora roku później zginął w katastrofie lotniczej.

Po ujawnieniu światu przez stronę niemiecką tego, co się stało z naszymi oficerami, rozpętało się szaleństwo kłamliwej propagandy. Sowieci przedstawiali fałszywych świadków. Ci potwierdzali rzeczy zupełnie właściwie niewykonalne – mianowicie takie, jakoby to Niemcy pędzili do lasu setki robotników, po czym kazali im preparować zwłoki i dokumenty w taki sposób, by wyglądały na zbrodnię dokonaną przed 1941 rokiem. W ramach tego robotnicy mieli niszczyć wszelkie dokumenty noszące znamiona dat późniejszych, wyrywać karteczki z notesów etc. Jednocześnie twierdzili, że ciała były w dość dobrym stanie, a gdy je wyciągano z grobów, wskazywały, że zbrodni dokonano niewiele wcześniej.

Polska naciskała na udział Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w śledztwie. Jednak Sowieci na „umiędzynarodowienie" śledztwa nie mieli zamiaru wydać zgody. I tak w kwietniu roku 1943 Mołotow usiłował wręczyć naszemu ambasadorowi w Moskwie następującą notę: „Rząd Sowiecki uważa zachowanie się Rządu Polskiego w stosunku do ZSRR za zupełnie nienormalne i gwałcące wszelkie przepisy oraz zwyczaje w stosunkach między dwoma Państwami sprzymierzonymi. Oszczercza kampania, wroga w stosunku do Związku Sowieckiego, rozwinięta przez Niemieckich Faszystów w związku z morderstwem polskich oficerów, które to morderstwo popełnili oni sami w okolicach Smoleńska na obszarze zajętym przez niemieckie wojska, została natychmiast podjęta przez Rząd Polski oraz prowadzona wszelkimi sposobami przez polską prasę oficjalną". Potem, było kilka zdań o okupowanej przez Niemców Polsce, o „farsie śledztwa", a w końcu Mołotow odniósł się do samej propozycji „umiędzynarodowienia": „W sprawie tego »śledztwa«, oba rządy, Polski i Hitlerowski, zaprosiły Międzynarodowy Czerwony Krzyż, który jest zmuszony w warunkach terrorystycznego systemu z jego szubienicami i masową eksterminacją spokojnej ludności, brać udział w tej farsie śledztwa, inscenizowanej przez Hitlera. Jest jasne, że tego rodzaju »śledztwo« prowadzone za plecami Rządu Sowieckiego, nie może wzbudzić zaufania

u ludzi posiadających choćby najmniejsze poczucie uczciwości”. Na koniec tej noty znajdowało się zdanie o zerwaniu przez Rząd Sowiecki stosunków z Rządem Polskim.

Jakże dumna i stanowcza była kontrnota naszych władz. Zawarto w niej protest przeciwko oskarżeniom o naszą współpracę z Niemcami, a także prośbę o dobre traktowanie naszych rodaków na terytorium Rosji. Na koniec zaś znalazło się zdanie najważniejsze, które traktować należy, jak zobowiązanie dla wszystkich rządów późniejszych. W tym i tego obecnego.

„Obowiązkiem każdego Rządu Polskiego jest i będzie obrona praw Polski i jej obywateli. Zasady, o które walczą Zjednoczone Narody i wzmocnienie za wszelką cenę ich solidarności w walce ze wspólnym wrogiem, pozostają niezmiennie podstawą polityki Rządu Polskiego”.

Ponieważ Rząd obecny, mający od ośmiu lat władzę w państwie, z tego podstawowego obowiązku się nie wywiązał, powinien być przez obywateli zwolniony. I pociągnięty do odpowiedzialności. Droga do tego otwiera się już jesienią. Być może wtedy zaczniemy w końcu żyć w Prawdziwym Państwie.

[Gazeta Polska, nr 27/2015]

MONACHIJSKIE MIESZKANKO KALKSTEINA

RANKIEM 30 czerwca 1943 roku na ulicę Spiską w Warszawie podjechały niemieckie ciężarówki. Z samochodów wyskoczyło dwustu gestapowców. Rozbiegli się po okolicznych budynkach, zablokowali wszystkie bramy, a na dachach ustawili karabiny maszynowe. Akcją kierował SS–Untersturmfuhrer Erich Merten. Nie na darmo ściągnięto tak liczne siły. W matni miał znaleźć się jeden człowiek – komendant polskiej podziemnej armii, spadkobierca wartości przekazywanych przez dowódców polskich powstań, od Kościuszki po Piłsudskiego – Stefan „Grot" Rowecki. Po chwili z kamienicy wyprowadzono niepozornego cywila. Ten sukces niemieckich służb nie był przypadkowy. Do schwytania polskiego wodza przyczynili się zdrajcy…

W 1990 roku, w Monachium, doszło do niezwykłego spotkania, o którym opowiada w swej książce wydanej niedawno przez Editions Spotkania, historyk Witold Pronobis. Był on w owym czasie dziennikarzem radia Wolna Europa oraz szefem specjalnej komórki badawczej i archiwalnej zajmującej się polskim podziemiem. Współpracował blisko z Tadeuszem Żenczykowskim, autorem biografii generała Roweckiego. Pronobis był spokrewniony z „Grotem" i od lat interesował się sprawą zdrajców, którzy wydali komendanta AK w ręce Niemców. Zbierał więc wszelkie informacje dotyczące Ludwika Kalksteina i jego siatki. Pewnego dnia dowiedział się o możliwości odbycia rozmowy z pewnym starszym panem, członkiem AK, który miał ponoć wiele informacji dotyczących wywiadu Armii Krajowej. Wybrał się więc do niego z magnetofonem. Wiedział tylko, że ów człowiek, Edward Ciesielski pracuje jako bibliotekarz w monachijskiej Polskiej Misji Katolickiej. Gdy wszedł do mieszania Ciesielskiego, okazało się, że ten leży chory i nie chce się widzieć z gościem. W końcu jednak starszy pan uległ namowom. Dziennikarz wszedł do sypialni, spojrzał na siwego mężczyznę leżącego na łóżku i… rozpoznał go natychmiast. Nie wierzył zresztą własnym oczom, że oto ma przed sobą ukrywającego się od wielu lat, zmieniającego kilka razy personalia, zbrodniarza wojennego, zdrajcę i człowieka odpowiedzialnego za zabójstwo generała Roweckiego oraz wielu innych patriotów wydanych przez niego gestapo, torturowanych i zamordowanych z zimną krwią.

Sprawa siatki Kalksteina nie jest oczywiście nowa – za PRL–u napisano dziesiątki artykułów na temat zdrajców. Jednak wtedy poruszano tylko te aspekty sprawy, które mieściły się w propagandowym obszarze komunistycznej politycznej poprawności. Nie wspominano więc o tym, że kary dożywocia, jakie wymierzono Blance Kaczorowskiej i jej mężowi Ludwikowi Kalksteinowi były w istocie rzeczy dość łagodne. Przecież w tym samym okresie, przez pierwszą dekadę PRL–u, na podstawie tzw. sierpniówki czyli dekretu PKWN o „wymiarze kary dla faszystowsko–hitlerowskich zbrodniarzy", wydano około sześć tysięcy wyroków śmierci. I w większości byli na nie skazywani członkowie AK oraz WiN. Zatem ci faktyczni konfidenci mieli w pewnym sensie złagodzone wyroki dzięki temu, że przyczynili się do zgładzenia członków polskiego podziemia i żołnierzy znienawidzonej przez Stalina Armii Krajowej. Zdrajcy po odbyciu kilkuletniej kary wyszli na wolność. Ale oczywiście nie za darmo. Ceną była współpraca z nowymi służbami, którą zresztą podjęli chętnie i gorliwie. Wiadomo, że jeśli ktoś ma duszę i serce kapusia, tym łatwiej znajdzie nowych panów. Natomiast niezłomnych i honorowych rycerzy walki za wolność i niepodległość wrzucano do dołów na Łączce. Dopiero teraz, po tylu latach, dzięki wysiłkom prof. Szwagrzyka prawdziwi bohaterowie powracają do pamięci narodu.

Bezpośredni kaci Grota, komendant obozu Sachsenhausen Anton Kaindl, jego zastępca Kurt Eccarius czy kapo Paul Sankowski byli sądzeni w roku 1947 w Berlinie przez radziecki Trybunał Wojskowy za wszystkie zbrodnie popełnione w czasie wojny w obozie. Jednak przez cały okres PRL–u nikt nie próbował nawet sprawdzić, czy w aktach procesowych znajdują się może jakieś informacje dotyczące losu generała. Co znamienne, podobnie było za III RP. Dopiero w 2006 roku szczeciński IPN zwrócił się do Rosji o udostępnienie materiałów dotyczących pobytu Roweckiego w Sachsenhausen i w Zellenbau. A rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości szybko odpowiedziało, że „osoba Komendanta Głównego AK" nie była tematem przesłuchań.

W każdym razie za bezpośrednich sprawców śmierci dowódcy AK uznano ludzi zarządzających obozem koncentracyjnym. Jednak – na co słusznie zwraca uwagę Witold Pronobis – faktyczni winowajcy nie ponieśli zasłużonej kary. To kolejny kamyczek do historycznych zaniedbań nowej, „wolnej" Polski, która tak odcięła się „grubą kreską" od przeszłości, że nawet dawnych zbrodniarzy zostawiła w spokoju.

Sam Ludwik Kalkstein, podobnie jak jego żona, był na początku wojny bardzo utalentowanym członkiem polskiego podziemnego wywiadu. W Wywiadzie Ofensywnym „Stragan" stworzył specjalną grupę pod kryptonimem „Hanka", do której osobiście werbował agen-

tów. Jednak, na nieszczęście, wpadł w ręce gestapo. Przesłuchiwał go osobiście Erich Merten, ten sam, który potem miał dopaść „Grota" Roweckiego. Kalkstein był torturowany, pewnie nawet jakiś czas się opierał. Jednak w końcu pękł i to w bardzo brzydki sposób. Wiadomo, że ludzie często nie wytrzymywali tortur i zaczynali sypać. Czym innym jednak było załamanie się w wyniku bicia, a czym innym całkowite przejście na stronę wroga. Tak było w przypadku Kalksteina. Stał się gorliwym, zagorzałym tropicielem AK–owców, do działań wywiadowczych na rzecz Niemców wciągnął nawet swojego szwagra Eugeniusza Świerczewskiego. Ten ostatni zresztą wykonał później najważniejszy „pocałunek Judasza" – wskazał „Grota" Niemcom. On jeden poniósł za to karę. Zginął z wyroku sądu podziemnego.

Donosiła także żona Kalksteina, Blanka Kaczorowska, olśniewająca zarówno urodą, jak i inteligencją. Wcześniej była gwiazdą polskiego wywiadu i dzięki zasługom dla niego poniesionym stała się bronią doskonałą. Wydawała na śmierć bez zmrużenia oka dziesiątki swoich kolegów. Trzeba pamiętać także, że każda taka denuncjacja wiązała się z potwornymi cierpieniami w katowniach gestapowskich, a niejednokrotnie kolejnymi uwięzieniami niekiedy całych rodzin osób zaangażowanych w działalność podziemną. Konfidenci byli więc jednocześnie świadomi tego, że przyczyniają się do wielu kolejnych morderstw.

Tymczasem Polska Ludowa wypuściła ich na wolność. Kaczorowską po ponad pięcioletnim pobycie w więzieniu, Kalksteina po dwunastoletnim. Oboje zniknęli z kraju w 1981 roku, a ich dalsze losy owiane były tajemnicą aż do wizyty Pronobisa w monachijskim mieszkaniu bibliotekarza.

Epilog ten jest najbardziej poruszający. Sam nie wiem zresztą, co bardziej mną wstrząsa. Czy fakt dalszej współpracy z komunistycznymi służbami? To, że Kalkstein sam zgłosił się do nich, by donosić na środowisko niepodległościowe w Monachium? Czy też to, że Blanka Kaczorowska, której śladów szukał Pronobis i do której w końcu dotarł – znalazła we Francji bezpieczną przystań w Domu Polskim Spokojnej Starości?

Czy można założyć, że była to nagroda za wszystko, co uczyniła dla Urzędu Bezpieczeństwa jako agentka pod pseudonimem „Katarzyna"? Co myślała ta starsza pani w chusteczce, siadająca na ławce obok prawdziwie zasłużonych dla Polski starych ludzi i uśmiechająca się do słońca?

Czy też Kalkstein, pracujący jako bibliotekarz w Polskiej Misji Katolickiej w Monachium przy Heßstrasse 26? Albo rozmowa, którą przeprowadził z nim Witold Pronobis?

– Wiem, kim pan jest – powiedziałem. – Wiem, jakie jest pana prawdziwe nazwisko. Naprawdę nie nazywa się pan Ciesielski, lecz Ludwik Kalkstein!

Odwrócił głowę i milczał. Wiedziałem już, że się nie mylę.

Potem Pronobis próbował z nim rozmawiać, lecz zdrajca wskazał tylko teczkę, w której miał podobno swoje spisane wspomnienia i wyjaśnienia. Dziennikarzowi udało się ją wynieść z mieszkania, był przeświadczony, że jeśli tego nie zrobi, ostatnie ślady wyjaśniające tajemnice zdrad znikną. Niestety, teczka nie zawierała rewelacji, lecz jedynie próby zrzucenia odpowiedzialności na innych.

Kalkstein wyrzucił go z mieszkania, krzycząc: „A po co ja tyle gadam? Niech pan wyjdzie stąd! Z mojego mieszkania! Jest mi wszystko jedno, co ze mną tutaj zrobicie, możecie mnie nawet powiesić. A „Grota" nie ja wydałem. Z Niemcami grałem swoją grę".

A więc nawet i on potrafił wymyślić na swój użytek jakąś racjonalizującą teorię usprawiedliwiającą podłości i zdradę. „Grał swoją grę".

Zmarł śmiercią naturalną, w wyniku choroby.

Generał Stefan Rowecki został zabity najprawdopodobniej 2 sierpnia 1944 roku. Tuż po wybuchu Powstania Warszawskiego (choć niektórzy historycy uważają, że śmierć nadeszła dopiero 7 sierpnia). Wyprowadzono go z Zellenbau na teren właściwego obozu w Sachsenhausen i najprawdopodobniej tam rozstrzelano. Jego doczesnych szczątków nigdy nie odnaleziono. Zapewne spalono je w krematorium. Rzeczy osobiste wywieziono do Berlina i tam trafiły w ręce SS–Sturmbannfuhrera Harro Thomsena.

W czasie ponad dwudziestu lat wolnej Polski oraz dziesięciu świetlanych lat naszego pobytu w Unii nie zadbano o to, by w obozie Sachsenhausen odpowiednio upamiętnić postać zdradzonego i zamordowanego Komendanta AK…

[wSieci, nr 19/2014]

OKULARY DR. ZEYLANDA

SĄ na tych okularach ślady krwi. Zaschnięte krople przetrwały do dzisiaj. Od 5 sierpnia 1944 roku. W tę czarną, potworną sobotę do szpitala wolskiego przy ulicy Płockiej przyjechali Niemcy. A dokładniej oddział z batalionu Azerów, krasnoarmiejców o mongolskich rysach twarzy, którzy sierp i młot zamienili na swastykę. Przynieśli ze sobą nienawiść do Polaków, dzikość, brutalność i chęć mordu. Przy wejściu czekali na nich dyrektor Józef Piasecki, prof. Janusz Zeyland, a także szpitalny kapelan, ksiądz Kazimierz Ciecierski. Oficer SS kazał prowadzić się do gabinetu dyrektora. Tam stanęli pod oknem. Wtedy Niemiec wyjął pistolet i zabił ich, strzelając każdemu w czoło. Krew bryznęła na okulary doktora Zeylanda. Te okulary oraz poplamiona, poszarpana kenkarta księdza Ciecierskiego trafiły niedawno do Muzeum Powstania Warszawskiego. I leżą tam, pośród innych relikwii bohaterskiego czasu, świadcząc o tym, że sumienie należy stawiać ponad prawem chwili. Te przedmioty są prawdziwymi pomnikami lekarza i księdza. Oraz tych wszystkich, którzy ratowali życie ludzkie nawet wtedy, gdy im samym groziła za to śmierć. Nie podpisywali żadnej Deklaracji Wiary, nie musieli. Wtedy jeszcze dla każdego lekarza było oczywiste to, że ponad prawem „ludzkim" jest Prawo Boże. Nie musieli powoływać się na żadną „klauzulę sumienia" (gdyby nawet istniała), gdyż po prostu wiedzieli, że przysięga Hipokratesa każe im podejmować decyzje w zgodzie z sumieniem. Sumieniem ukształtowanym w zgodzie z systemem wartości, w którym ratowanie ludzkiego życia jest naczelnym celem działań medycyny.

Czy oficer SS coś do nich mówił przed strzałem? Czy widzieli skierowaną w ich stronę lufę? Nie wiadomo. Obowiązek i Cnota zostały zabite przez barbarzyńską kulę. Czy trzeba pytać o coś więcej?

Klauzula sumienia… Nie była potrzebna, gdy po zamachu na Kutscherę do tegoż samego wolskiego szpitala, przywieziono rannego w brzuch Bronka Pietraszewicza, pseudonim „Lot". Po jego śmierci lekarze wystawili fałszywy akt zgonu. W pełni świadomie złamali obowiązujące prawo. „Lot" został pochowany na cmentarzu, jako zmarły na gruźlicę pacjent. Niestety, na ceremonii pojawili się jego

koledzy. W płaszczach, w oficerkach, z błyskiem w oku i z zaciętą miną, która znaczyła tylko jedno – nie podamy się. Ktoś doniósł. Lekarzy dopadło gestapo. Polskie podziemie uratowało doktorów, wypłacając Niemcom spory okup.

5 sierpnia 1864, równo osiemdziesiąt lat przed rzezią Woli i morderstwami w szpitalu, na stokach warszawskiej Cytadeli wieszano Romualda Traugutta. Także i on nie musiał powoływać się na klauzulę sumienia. Łamał obowiązujące prawo, gdyż wierzył w to, iż istnieją wartości wyższe – miłość do Boga i Ojczyzny, wiara w ludzką Godność i szacunek dla Życia człowieka. I że kiedy się w nie głęboko wierzy, wtedy po prostu trzeba według nich postępować. Nie ma półśrodka. Nie istnieje ścieżka na skróty.

W sierpniową sobotę roku 1944 do gabinetu dyrektorskiego wszedł, wprowadzony przez niemieckiego oficera, chirurg Zbigniew Woźniakowski: „Stanęliśmy w posiekanych kulami drzwiach gabinetu. Widok wnętrza nie pozwolił mi na przestąpienie progu. Na podłodze przy biurku leżały trzy powalone ciała. – Boże – wyrwało mi się z zaciśniętej krtani – Zeyland, Piasecki i kapelan! Pierwszy z brzegu, profesor Janusz Zeyland, leżał na plecach wyprostowany sztywno, jakby z uśmiechem na zaciśniętych ustach. Gdyby nie kałuża zastygniętej krwi, w której umoczona była lewa dłoń, sądzić by można, że zaraz wstanie, gdyż nie było widać żadnego znaku od śmiercionośnej kuli. Na dworze już szarzało, wszedłem do pokoju z moim «opiekunem» i dopiero teraz zauważyłem na czole nad lewym okiem otwór wlotu. Strzał celny i pewny. Tuż przy biurku, przy wywróconym krześle, wywalonym telefonie i otwartej szufladzie leżał dyrektor. Odniosłem wrażenie, że szufladę tę pociągnął, padając ugodzony strzałem w czoło. Wyglądał niesamowicie. Oczy na wpół otwarte, usta wykrzywione grymasem pogardy”. Niemiec kazał Woźniakowskiemu powiedzieć, który z zabitych był profesorem. Chirurg wskazał na Zeylanda i wybiegł tłumiąc szloch… Potem wrócił jeszcze raz, by zabrać okulary doktora. Te, przez które lekarz patrzył codziennie na chore dzieci. Te, przez które mrugał do nich, by je rozbawić i uspokoić. Te, które przecierał na chwilę przed operacją. Te, które teraz, leżąc we krwi na podłodze gabinetu – stały się zapisem klauzuli sumienia, wpisanej od wieków w serca lekarzy.

Chwilę później piekło ogarnęło resztę szpitala i całą dzielnicę. Wypędzono na dziedziniec pacjentów i personel. Uformowano w czwórki i kazano iść na miejsce kaźni. Ale i nawet podczas tej krótkiej drogi, na końcu której czekała już tylko śmierć, lekarze i pielęgniarki opiekowali się chorymi.

Gdy w roku 1961 do szpitala na Woli przybył doktor Jan Zieliński, ze wzruszeniem odkrył, że w rocznicę zamordowania lekarzy cały

personel, jeśli tylko może, odrywa się na chwilę od swoich zajęć, by przejść na miejsce egzekucji i tam oddać pomordowanym cześć modlitwą i chwilą zadumy. Postanowił wtedy zebrać relacje osób, które mogły jeszcze coś opowiedzieć o tamtych krwawych wydarzeniach. Kilka lat temu ukazała się jego książka, poruszający zapis historii tych, którzy kierując się nakazem sumienia, ratując do końca życie innych ludzi. oddali swoje. Książka nosi tytuł „Szpital Dobrej Woli".

Kolumnę pacjentów i personelu poprowadzono na Moczydło. Tam podzielono ich na grupy i zaczęto po kolei rozstrzeliwać. Cudem przeżyło kilka osób. Powiedzieli potem, że lekarzy zabijano na końcu. Zginęli – dr Józef Grzybowski, dr Olgierd Sokołowski, dr Stanisław Chwojka, felczer Stanisław Łempicki. Rzeź trwała także i dnia następnego. Mordowano lekarzy z innych warszawskich szpitali. Gdy zobaczyli oni skierowane w ich stronę niemieckie lufy, dr Władysław Kmicikiewicz ze szpitala Karola i Marii wykrzyknął do kolegów: „Panowie, trzymajmy się!". Chwilę później zginął.

Oni naprawdę, po męsku, trzymali się do końca, gdyż wierzyli w słuszność tego, co robią. Krzyk doktora Kmicikiewicza słychać i dzisiaj. W innych okolicznościach, w wolnej już Polsce, dalej trzeba walczyć o ludzkie życie. Zabierane nie kulą karabinową. Zabijane w blasku świateł aborcyjnych gabinetów.

[Gazeta Polska, nr 25/2014]

„WARSZAWA, dawna stolica Polski, miasto o 1 300 000 mieszkańców przestało istnieć. Dymiące zgliszcza i bezmiar ludzkiej nędzy są widomymi oskarżycielami niepoczytalnego, potwornego szaleństwa tych, którzy, nie licząc się z rzeczywistością, doprowadzili do tak tragicznego finału. Żadne łzy i narzekania, największa nawet rozpacz, nie odbudują tego, co zostało zniszczone, i nie wskrzeszą tych, którzy zginęli. Życie toczy się dalej i wymaga od tych, którzy pozostali, zdecydowanej postawy.

Co mamy dalej czynić? Jaką drogą iść? Jaką naukę wyciągnąć z sierpniowej tragedii wśród płonących ulic Warszawy?".

Tak zaczynał się artykuł wydrukowany na pierwszej stronie niemieckiej gadzinówki „Nowego Kuriera Warszawskiego" z piątku 22 września 1944 roku. Powstanie już dogorywało, za kilka dni miała nastąpić kapitulacja – koniec zrywu, jakiego nie widział do tej pory świat. Zrywu, który czasem trwania, dysproporcją sił, a także krwawą ofiarą, zgliszczami i setkami tysięcy zabitych stał się bezprecedensowym czynem insurekcyjnym w dziejach świata. Zaplanowany na dni kilka, ciągnął się przez ponad dwa miesiące. Z jednej strony ścierały się w nim słabo uzbrojone, lub czasem prawie w ogóle nieuzbrojone siły Armii Krajowej z drugiej – ciągle potężna Trzecia Rzesza, która rzuciła oddziały na waleczne miasto nie z rozmysłu strategicznego, lecz z furii i wściekłości Hitlera. Propaganda niemiecka usiłowała tę rzeczywistość wykrzywić, zmienić znaczenia, nadać inny moralny sens wydarzeniom. Zdjąć winę z niemieckich katów i włożyć ją na barki „nieodpowiedzialnych" i „szalonych" dowódców polskiego podziemia. Prosty chwyt, podobny do tego, którego używają iluzjoniści, pokazując widowni kolorową papugę, aby odwrócić uwagę widzów od zamiany znajdującej się w cylindrze myszki na bukiecik róż.

To, co spotkało ludność cywilną Woli, Ochoty i Starego Miasta, miało w ostatecznym rozrachunku obciążyć nie tych, którzy wyprowadzali ludzi na dziedzińce kamienic i fabryk, by tam ich mordować, nie tych, którzy oblewali benzyną łóżka szpitalne, nie tych, którzy gwałcili, strzelali z dział najcięższego kalibru i zasypywali gruzami

dzieci w piwnicach, ale tych, którzy odważyli się pokazać, że są Wolni. Wolni w swoim mieście. W swoim kraju. Na swoich ulicach. I że wolności nie da się zadławić, nie da się stłumić, zabić, zaszlachtować, spalić.

Propaganda chciała, by ludzie zapomnieli o sprawcach, a winą obarczyli ofiary.

Dzisiaj, tuż przed rocznicą Powstania, ukazała się książka Piotra Zychowicza pod mocnym tytułem „Obłęd ’44. Czyli jak Polacy zrobili prezent Stalinowi, wywołując Powstanie Warszawskie”. Właściwie, cytowany fragment artykułu z „Nowego Kuriera Warszawskiego” mógłby się swobodnie w niej znaleźć, jako – powiedzmy – rodzaj wstępu. Gdyż główna konstrukcja logiczna rozważań Zychowicza pokrywa się w dużej mierze z dalszą częścią artykułu z roku 1944, przede wszystkim, jeśli chodzi o tezy związane z wyborem sposobu działania Armii Krajowej w trakcie wojny.

„Na Kremlu zacierają sobie dziś z radości ręce, że polskie »faszystowsko–nacjonalistyczne psy« leżą pod zgliszczami Warszawy. A judeo–komunistyczny sowiet w Lublinie w gorączkowym tempie sowietyzuje ziemie polskie” – to kolejny cytat z „Kuriera”.

Zychowicz, mając perspektywę niespełna siedemdziesięcioletniego dystansu do wydarzeń, postanawia ostro rozprawić się z „hurrapatriotycznymi” mitami, dotyczącymi Powstania i postawy AK–owców w czasie wojny. Żołnierze Armii Krajowej byli według autora „kolaborantami” – współpracowali świadomie ze Związkiem Sowieckim (przykładem „Wachlarz”, akcje dywersyjne i sabotażowe wymierzone w Wehrmacht). Tymczasem powinni mieć świadomość zagrożeń płynących z obu stron, a nawet Związku Radzieckiego obawiać się bardziej. Z dwojga złego lepiej było popierać Niemców, gdyż w wypadku ich wygranej z Moskwą nasza przyszłość pozbawiona byłaby wiszących nad krajem młota z sierpem. W tym sensie, można odczytać z kart „Obłędu ‘44” kontynuację myśli zawartej w jego poprzedniej książce, w której historyk usiłował dowieść, że w 1939 roku lepiej nam było zakumplować się ze Szwabami, niż drzeć koty o jakiś nic nieznaczący korytarz, autostradę czy Gdańsk, który „i tak nie był polski”.

Po klęsce Niemców pod Stalingradem w ogóle powinniśmy – według Zychowicza – zaniechać jakichkolwiek agresywnych ruchów przeciwko hitlerowcom. „Żadnej akcji sabotażowej, żadnej dywersji, żadnych ataków wymierzonych w siły niemieckie w Polsce. Każdy wykolejony pociąg, każdy uszkodzony czołg, samolot i samochód Wehrmachtu osłabiały bowiem siły niemieckie na froncie wschodnim”. Dla jasności – to nie cytat z polskojęzycznej prasy wydawanej przez Niemców w Warszawie 1944 roku, ale z polskiej książki roku

2013. I kolejny: „Polacy powinni się byli zacząć… modlić. Modlić o to, żeby Niemcom wystarczyło siły na utrzymanie jak najdłużej bolszewików z dala od ich ojczyzny". Ten ostatni fragment pokrywa się niemalże co do litery z sugestiami „Kuriera": „I modlić się w cichości serca, aby nigdy krwawa stopa bolszewicka nie stanęła na naszej ziemi!". Właściwie, można by te cytaty wymienić miejscami. Pasują jak ulał!

Ataki Zychowicza na sposób prowadzenia polityki przez Polskie Państwo Podziemne, dowódców (z nielicznymi wyjątkami – gen. Sosnkowski), premierów, oficerów AK, idą jeden za drugim, układając się w zjadliwy paszkwil. Dotykający nawet Rzezi Wołyńskiej i pytań o zaangażowanie (lub raczej jego brak) polskiej armii podziemnej na rzecz obrony Polaków na Wołyniu. I tam więc była AK w pewnej mierze „współwinna"? Temu ma służyć ów wielokropek wstawiony na koniec rozdziału, który autor zostawia, by czytelnik sam sobie dopisał wniosek?

Tytułowy obłęd dotyczy nie tylko Powstania, co sugeruje data, lecz także całej działalności politycznej Polskiego Państwa Podziemnego.

Czy można odmówić historykowi krytycznego spojrzenia na przeszłość? Czy można w imię patriotycznych idei zakazać pisania Prawdy o wydarzeniach przeszłych? Ależ skąd. Nikt przy zdrowych zmysłach – i niżej podpisany także – takiego wniosku nie postawi. Historia jest nauką. Jako taka podlega pewnym prawidłom badawczym. Wymaga także stawiania trudnych pytań.

W wypadku książki Zychowicza mamy jednak do czynienia nie z pracą naukową, lecz z rodzajem publicystyki historycznej, w dodatku niezwykle jednostronnej. A przez to wypaczającej obraz. Można zrozumieć pragnienie odbrązawiania. Problem jest wtedy, gdy zamiast odbrązawiać, obrzuca się błotem. Tym gorzej, gdy odbywa się to w trakcie współczesnej walki dziejącej się w świecie wartości.

Wiele lat temu „Gazeta Wyborcza" rozpoczęła „festiwal" ataków na Armię Krajową, przypisując jej niegodne, antysemickie działania. A całkiem niedawno mieliśmy powtórkę tych samych tez w niemieckim serialu. „Obłęd '44" już samym tytułem wpisuje się w proces niszczenia legendy Powstania.

Największym problemem autora jest wiara – graniczącą z pewnością – że inne rozwiązania przyniosłyby lepsze rezultaty historyczne. Marzenia o polskim taktycznym pakcie z Hitlerem są postawione na kruchym lodzie własnych domniemań.

Jaką drogę proponowałby Polsce Zychowicz, gdyby sam podejmował decyzje? Otóż rozważa on kilka wariantów. Pierwszy i najgorszy według niego: „podjąć kolaborację z bolszewikami". Czyli to, co zrobiono – przymierze z aliantami i bardzo bolesny, lecz konieczny,

układ ze Stalinem, z liczeniem na silniejsze wsparcie Zachodu w ostatecznym rozrachunku (co się okazało mirażem – to prawda).

Można było wybrać możliwość drugą „nieco lepszą": „Strzelać do bolszewików. W ten sposób przynajmniej Armia Krajowa rzeczywiście zademonstrowałaby przed całym światem niezgodę na wcielenie Ziem Wschodnich do Związku Sowieckiego i sowietyzację reszty Polski. Efekt byłby jednak podobny: hekatomba i rozbicie podziemia. Z potęgą, jaką była Armia Czerwona, AK nie miałaby szans".

I wreszcie opcja, za którą opowiada się autor „Obłędu" – „nie robić nic".

Innymi słowy – trzeba było nam wybrać wariant czeski. Siedzieć cicho, udawać, że nic się nie dzieje, a przed aliantami popisać się wysyłając, jak nasi południowi sąsiedzi, zdolnych lotników do Wielkiej Brytanii, co by wystarczyło. W ten sposób Warszawa by ocalała, wzorem Pragi. Tego typu pomysły budzą sprzeciw. Brak reakcji był właśnie najgorszą z możliwych opcji. Cichy współudział Polski w zwycięstwach Niemców dałby Sowietom absolutnie wolną rękę, umożliwiłby Stalinowi zrobienie z nas kolejnej republiki. Zychowicz polemizuje z tym poglądem, mówiąc, że nie ma żadnych dowodów na to, że mogło się tak stać. Są za to dowody na to… że się tak nie stało. Właśnie dlatego, że Polska w sposób aktywny istniała na arenie polityki międzynarodowej w czasie wojny. Spychana przez wszystkich do roli „pigmeja", walczyła o swoje. Gdybyśmy zamilkli jak mysz pod miotłą, być może po wojnie by nas w ogóle nie było.

Otwieram inny numer „Nowego Kuriera Warszawskiego". Tym razem to gazeta z 28 października. Na pierwszej stronie reportaż – zdjęcia z kapitulacji Powstańców. Na drugiej duży artykuł. Pod znamiennym tytułem „Dwie kapitulacje 1939–1944". A tutaj, jakże ciekawe, porównanie wyboru drogi – Polski i Czechosłowacji. „Jedna Czechosłowacja zorientowała się na czas w istotnym charakterze projektowanej przez Zachód imprezy. Z chwilą, gdy zagraniczni mężowie stanu jeszcze niezdolni do działań bezwstydnie upatrzyli sobie w niej ognisko wojny, naród czeski zręcznie uchylił się od przeznaczonej mu roli kozła ofiarnego, wiedząc, że straty, jakie z tego tytułu wynikną, żadne późniejsze zwycięstwo nawet w części powetować nie zdoła. W Polsce, gdzie objawy zdrowego rozsądku zawsze utożsamiane były z pojęciem zdrady narodowej, patriotyczny krok dr Hachy spotkał się naturalnie z pogardą i oburzeniem samobójczo usposobionych gerojów (…). Od początku głosząc kult klęski z honorem, chorobliwie rozmiłowani w bohaterskim patosie niepowodzeń własnych, gotowi byliśmy narzucić wszystkim ów styl katastrofalny podświadomie wierząc, że dumę i godność Polaków okupić może jedynie heroizm przegranej".

Szkoda, że fragmentów z propagandy niemieckiej nie użył autor „Obłędu '44". W końcu i one składają się na obraz Powstania. A mogłyby ubarwić książkę, w której fragmenty cytatów z obu sławnych Mackiewiczów (Józefa i Stanisława), czy z prac historyków, którzy przyjęli krytyczny wobec Powstania stosunek (jak prof. Ciechanowski), stanowią istotne wzmocnienie argumentowania Piotra Zychowicza. W końcu tak umiejętnie zacytował on Wańkowicza, że wyszło na to, iż twórca „Ziela na kraterze" był zajadłym krytykiem polskiego udziału w bitwie o Monte Cassino (bo nie o polskie bohaterstwo chodzi, lecz o to, że to była istna, niepotrzebna rzeź polskich żołnierzy).

Dlaczego nie sięgnął do innych wypowiedzi? Nawet do samego Stalina, który pisał w depeszy do Churchilla, 22 sierpnia 1944 roku:

„Wcześniej czy później prawda o garstce przestępców, którzy wszczęli awanturę warszawską w celu uchwycenia władzy, stanie się wszystkim znana. Ludzie ci wykorzystali ufność warszawian, rzuciwszy niemal bezbronnych ludzi przeciwko niemieckim armatom, czołgom i lotnictwu".

Oficjalna propaganda hitlerowska nazywała powstańców – bandytami. Tymczasem często zwykli żołnierze niemieccy dostrzegali głęboki, duchowy sens bohaterskiej walki. Tak po kapitulacji Powstania pisał w liście porucznik Wehrmachtu: „Powstańcy zasłużyli na to, że traktowano ich jak żołnierzy. Cóż mogli Polacy poradzić na to, że utracili państwowość, że nie mieli sił zbrojnych. Ja także nie chciałbym żyć pod niemiecką administracją. Generała „Bora" wywieziono w kolumnie samochodów osobowych, jakiś pułkownik zgłosił gotowość swoich oddziałów do kapitulacji. Potem maszerowali równym krokiem, czwórkami, mijając zamazane, przepełnione bólem twarze kobiet, ubrani we wszystkie możliwe części mundurów Wehrmachtu i organizacji partyjnych, z bronią gotową do złożenia. Bez rozpaczy, nieugięci w narodowej dumie. Wzorowo!".

A to słowa powstańca Andrzeja Janickiego: „Nie tylko wojsko powstańcze, ale i ludność cywilna wychodziła z Warszawy zdyscyplinowana, z poczuciem osobistej godności i dumy narodowej. Z bronią czy bez, na jakimkolwiek odcinku działania, cała Warszawa stanowiła jedną Armię Powstańczą!

Zostawialiśmy za sobą nie tylko ruiny ukochanego miasta, ale dwieście tysięcy grobów. Tragiczna ofiara, ale przecież „nie ma większej miłości niż ta, gdy ktoś daje życie swoje za braci swoich". Wierzę, że tym poległym Bóg powiedział: »Dobrze zasłużyliście się, wejdźcie do chwały i radości mego Królestwa!«… Nas zaś czekało dalsze, nieraz bardzo trudne życie.".

Nie ma lepszych słów na skwitowanie chłodnych kalkulacji dotyczących Powstania. Bo w tych kalkulacjach Miłość bierze się za Odwet.

A siła Miłości nie jest wymierna. Miłość trwa. Zostawia głębokie ślady w duszach. Przechodzi z pokolenia na pokolenia. Ojciec zostawia ją w spadku synowi. Miłość. Ona zwycięża. Jeśli coś się stało, pierwszego sierpnia roku 1944 w Warszawie, o godzinie W, to. nie był to Obłęd ’44. Była to Miłość ’44!

[Gazeta Polska, nr 31/2013]

PIŁSUDCZYCY 2014 – wspomnienie Juliusza Kadena–Bandrowskiego w setną rocznicę wybuchu Powstania Piłsudczykowskiego oraz w siedemdziesiątą rocznicę śmierci pisarza.

To się stało szóstego sierpnia. Akurat tego magicznego dnia, który on sam opiewał, unosząc w wyższy wymiar symboliczny. W 1914 roku wyszli z Oleandrów o trzeciej trzydzieści żołnierze Pierwszej Kadrowej. Trzydzieści lat później trwało kolejne polskie powstanie – Warszawskie. Siedział w swoim mieszkaniu na Kaliskiej. Słychać było wystrzały. To atakowała RONA, oddział rosyjskich renegatów, rywalizujący w okrucieństwie z „własowcami". Nasi bronili czworoboku ulic między Kaliską, Kopińską, Białobrzeską i Joteyki. Juliusz Kaden–Bandrowski nie zszedł do schronu. Kończył przepisywanie rękopisu sztuki teatralnej. Klawisze maszyny stukały w rytm wystrzałów. Po czternastej wznowiono ostrzał artyleryjski… Szósty sierpnia… Ogłuszający huk pocisków. Jak trzydzieści lat wcześniej, w trakcie bitew legionowych – pod Łowczówkiem czy Kostiuchnówką. Może przymknął oczy i przypominał sobie te chwile, gdy z Komendantem słuchali odgłosów walk? Może myślał o długich marszach, wydłużonych cieniach w zachodzącym słońcu, w których rysowały się wyraźnie maciejówki i ostrza bagnetów? A może widział twarz Piłsudskiego? Jego oczy wpatrzone w mapę Warszawy w roku 1920?

Nagle odłamek niemieckiego pocisku wleciał przez okno i wbił się w brzuch pisarza. Kaden upadł.

„Niósł tedy w czapce te orzechy (szczęście miał tego dnia) i gryzł, pojadał, rozpłomienioną głowę na wichrze studząc. Młody Zygfryd – że dorwał się nareszcie do szczytu.

Zaś właśnie wtedy… orzechy z czapki wypadły, czapka się w bok potoczyła, a młody komendant pozostał na tym śniegu, na tych perłach zmiażdżonych pod złotymi strzępami lasu, z wilgotnym rubinem na czole. Złoty las przetkany czarną śmiercią. Chcielibyście dotknąć tych mchów. I wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej". Tak umarł opisany w „Piłsudczykach" dwudziestodwuletni porucznik Słomka. „Piłsudczycy" to zbiór reportaży wojennych pisanych przez

Kadena–Bandrowskiego ze szlaku bojowego I Brygady, w trakcie trwającego od 1914 roku polskiego powstania. Ale od tej pory Piłsudczycy stali się też określeniem pokolenia duchowego, grupy ludzi bezgranicznie ufającej wodzowi i zrodzonej z romantycznej tradycji. Pisarz wprowadził ten termin, szerząc kult Piłsudskiego i współtworząc mit Legionów.

Dla jednych nazwa ta brzmiała wrogo, prowokowała do ataków i nienawiści (już w dobie odzyskiwania niepodległości, a potem w trakcie dwudziestolecia), dla innych była wyrazem najwyższego i najszlachetniejszego patriotyzmu, wiązała się z poświęceniem osobistym dla Polski oraz koniecznością odnowy moralnej na poziomie indywidualnym i politycznym (postulat sanacji).

Przed nami setna, okrągła rocznica wyruszenia stu czterdziestu czterech legionistów z Oleandrów – jedna z najpiękniejszych dat polskich. W roku 1914 wybuchło Powstanie Piłsudczykowskie. Doprowadziło do odzyskania Niepodległości i stanowi koronny argument dla sensu całego ruchu irredenty polskiej wieku XIX oraz słuszności kolejnych insurekcji. Gdyby nie wcześniejsze powstania – Kościuszkowskie, Listopadowe i Styczniowe, nie byłoby Powstania Piłsudczykowskiego; tak chyba trzeba by je nazwać z racji wybitnej roli Wodza, który świadomie nawiązywał do tradycji powstańców styczniowych czy żołnierzy Kościuszki, a którego autorytet i genialne posunięcia strategiczne doprowadziły w efekcie do odzyskania podmiotowości Polski. Tradycja narodowo–wyzwoleńcza, ta romantyczna i związana z powstańczym etosem, podlega ostatnio zmasowanym atakom, także ze strony publicystów lokujących swoje sympatie po umownej „prawej stronie". Jeden z zarzutów to kwestia „nonsensownych ofiar" ponoszonych w imię niepodległości oraz wizja ciągłych porażek, jakie miały naznaczać naszą walkę o Wolność. Jednak owe, następujące po sobie, wybuchy powstańcze, w końcu doprowadziły do upragnionego efektu – Wolnej Polski. Legioniści idący na tereny Królestwa w sierpniu 1914, szli wzniecać polskie powstanie, opierając się na doświadczeniach poprzedników i czerpiąc zarówno z ich duchowej siły, jak i ucząc się na ich błędach. Sam Piłsudski budował wizję walki na dokładnej analizie Powstania Styczniowego – w sposób bardzo krytyczny odnosząc się do organizacji militarnych posunięć, ale nie negując sensu samej walki i wskazując na ducha, jakiego należy czerpać z postawy bohaterów roku 1863. Być może doczekamy się dnia, gdy rocznice 6 sierpnia 1914 roku będą miały należną im oprawę, gdy data wyruszenia z Oleandrów podniesiona zostanie do odpowiedniej rangi. Czcimy przecież 29 listopada, 22 stycznia, 1 sierpnia, więc – może nawet szczególnie – powinniśmy święcić chwilę, w któ-

rej wybuchło najpiękniejsze polskie powstanie narodowe. Najpiękniejsze, bo w końcu w pełni udane.

Kaden Bandrowski pisał o śmierci. O kolejnych odchodzących żołnierzach polskich. Jakby go męczyła myśl o „pyle wojennym", o tym, że tysiące pięknych istnień płoną na polskim stosie dla Niej, a potem znikną, rozpłyną się w niepamięci. Jak ich wszystkich unieść zatem do wspólnego panteonu in memoriam, tak by nie przepadli w niebycie? Tak by pamięcią narodu nie zawładnęli sceptycy, jak ów mąż bohaterki opowiadania „Pani Doktorowa", który widząc Legiony, mówi: „Tyle to znaczy, co te iskry spod kopyt końskich wobec ogromu tej ciemności"…

Juliusz Kaden–Bandrowski urodził się w 1885 roku, Kaden dodał po matce, by odróżniać się od swego brata, który także prowadził działalność publicystyczną. Juliusz miał być muzykiem – uczył się gry na fortepianie, lecz dość szybko zrezygnował z wizji życia „we fraku". Ale muzyczne wykształcenie musiało mieć swoje znaczenie, pisał bowiem z wielkim wyczuciem rytmu, bawiąc się słowami, brzmieniami, kontrastami. „Piłsudczycy" są z ducha młodopolscy, jakby wywiedzeni z Wyspiańskiego, pełni patosu, polotu, uniesienia, gorącego tętna polskiego. Ale też pełni genialnej ostrości spojrzenia. Taką ostrość mają jedynie poeci, którzy pisują prozą. Tak pisał swoje eseje kulturowe Herbert, teraz robi to Rymkiewicz. Nie trzeba pisać wierszy, by być poetą – bycie poetą może oznaczać specjalną umiejętność obserwacji świata i przeżywania go, a następnie opisania za pomocą tak uderzająco trafnych słów, że całość stanowi zapis iście metafizyczny, poruszający wyobraźnię i serce. Z tego też względu mam prozaika Bandrowskiego za wspaniałego poetę ukrywającego się pod skórą pisarza, krytyka literackiego i reportera. Dostawał cięgi od innych krytyków. Sam nie za bardzo cenił swoje pierwsze dzieła – „Niezgułę" czy „Proch".

Ale ów młodopolski patos, za który był krytykowany i jakiego się nie tylko nie wystrzegał, ale i zanurzał w nim z zachwytem, ów właśnie patos i egzaltacja, najbardziej chwyta za gardło: „Idą wszyscy pochyleni naprzód, rzekłbyś wprzęgnięci do olbrzymiego rydwanu, nad którym ciągną – ku krańcowi horyzontu, drżącemu w błyskawicach – sławę Narodu".

Później ów ton zelżał, pisarz sięgał po niego właściwie tylko w swoich kronikach i opowiadaniach legionowych. Jednak właśnie w tym tonie tętni serce Słowackiego i Wyspiańskiego.

A w centrum przeżyć – On. Wódz. Twórca Niepodległości. Komendant Józef Piłsudski. Czyn legionowy ma dwa oblicza. Jednemu na imię Szereg. To tysiące legionistów, którzy przebrnęli szlak bojowy w trakcie wojny – ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Do niego to Ka-

den–Bandrowski adresuje swoją odezwę z 2 sierpnia 1914 roku: „Rzuć wszystko, co by nie było szczerą prostotą Szeregu!”. Zaczyna służbę oficera werbunkowego, a także adiutanta Józefa Piłsudskiego. W Komendancie widzi gwiazdę, wokół której ogniskuje się sprawa polska: to jest oblicze drugie legionowego czynu. Tam drzemie prawdziwa wielkość. Tej wielkości brakło nam przy poprzednich powstaniach, a gdy pojawiła się teraz, pociągnęła za sobą wszystkich. Mieszkańcy Królestwa zareagowali obojętnością na ideę powstańczą, lecz żołnierze walczyli o sprawę nieustępliwie, zarówno pod austriacką komendą, jak w POW czy poświęcając swoją wolność w czasie kryzysu przysięgowego i idąc za Polskę do więzienia. Czynili tak, ufając w nieomylność wodza, idąc ślepo za jego wskazaniami. Ta właśnie wiara leżała u podstaw sukcesu. Powstanie Piłsudczykowskie skończyło się zwycięstwem w roku 1918.

Pisał Kaden–Bandrowski o Komendancie w pierwszym akapicie „Piłsudczyków”: „Orzeł – w lochu piwnicznym, na poddaszu i na ulicy… Ptak herbu świetnego – wyrzucony z tła pysznych amarantów na podwórze. Tyle srogości w tem, ile grozy w łomocie skrzydeł pośród ciasnych mroków. Tyle w tem bujnego gwałtu, ile rozpędu niezbytych lotów w zimnej klatce poddasza. Tyle w tem wściekłości i zemsty, ile może być w sercu człowieka, którego drogę przemieniono – w koryto hańby. Bo czymże uczyniono ulice miast królestwa?! Jeśli więc kto chce rozumieć Piłsudskiego z czasów wcześniejszych, niech stara się widzieć orła w piwnicy, na poddaszu, orła wśród żelaznych szkieletów fabryki. Orła – z pokrwawionemi skrzydłami, który na skrzydła te ołowiany trud tysięcy podnieść chce i trudowi zwrócić kradzioną godność, trudowi temu dać Imię i cześć”.

Wiele więcej nie trzeba, by uchwycić sens walki o godność i honor Polski. Bo gdy dziś ktoś krytykuje zajadle Powstanie Warszawskie, niech sięgnie do owego opisu, niech sobie wyobrazi nie orła jednego zdławionego sznurami, rzuconego w pył piwnicy, ale orłów setki, tysiące. Jeśli ktoś nie rozumie wściekłości i determinacji ludzi, którzy czują, że pod Smoleńskiem także wdeptano polską godność i dumę, że zniszczono Imię i Cześć, niech znowu wsłucha się w te słowa. One są u źródła. Bo po raz kolejny uczyniono ulice Królestwa „korytami hańby”.

Autor „Piłsudczyków” nie zszedł do schronu 6 sierpnia 1944 roku. Pisał. Być może dlatego, że wierzył, iż każde uderzenie w klawisz maszyny do pisania może być dla autora sposobem walki. A może nie chciał dać się zadławić wojnie? Pisał, choć obok świszczały kule. Jeden z jego synów zginął podczas akcji w roku 1943, drugi miał zostać wkrótce zabity na Czerniakowie, gdy powstanie już dogasało.

W „Piłsudczykach” starał się zatrzymać, uchwycić moment śmierci żołnierza. Jak wtedy, gdy orzechy wypadły Słomce z rąk. „Chcielibyście dotknąć tych mchów”. Musiał upadać bardzo powoli. Czy ze stołu, na ulicy Kaliskiej, zaczęły jedne za drugimi toczyć się na ziemię orzechy? Te same, które upuścił na ściółkę leśną porucznik Słomka.

„I wiedzieć, jak to było w tej chwili ostatniej”. On teraz wiedział. W Warszawie huczało. Dymy zakrywały niebo. Na stole stała maszyna do pisania. W kalendarzu kartka z napisem 6 sierpnia. Dołączył do legionowej listy. Listy Piłsudczyków. Długiej listy poległych.

„Idą do was te nazwiska z rowów, z lasów, ze śniegów i z pól uciążliwych. Na białej kartce pisze się długi bezwzględny list, który wam śle Sprawa Ojczyzny… Myślicie, że to wojna krwawą pięścią wali do drzwi? Broń Boże! Na progach domostw staje chwila błogiej sielanki – dlatego serca wasze tak się szarpią i biją – zjawia się cudny w Polsce czas, gdy nie ma czasu na nekrologi”.

„Piłsudczycy” – tytuł i symbol. Cóż on znaczył? Może to także rodzaj testamentu, rodzaj przesłania. Piłsudczycy – to ludzie, którzy wierzą, iż o Polskę trzeba walczyć, nie ustawać, a gdy Jej godność i honor cierpi, wtedy niestrudzenie iść, będąc „wprzęgniętym do olbrzymiego rydwanu” – „ku krańcowi horyzontu, drżącemu w błyskawicach – sławę Narodu”. I dzisiaj są tacy.

Kaden zmarł dwa dni później. Pochowano go najpierw przy domu. Potem spoczął w jednym grobie z synami. Razem dołączyli do listy.

„Więc w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie, na piętrze i w suterynie, na falistej wstędze drogi kieleckiej, w krzywej chacie i obrośniętym dworze, jakby go jeszcze Andriollii śnił – wszędzie gdzie was dojdzie ta lista, ten list Ojczyzny świetny i bezwzględny, czytając go. czytając nasze nazwiska i moje, wnet czy kiedyś w ów sznur wplecione, czytajcie, jakbyście słowa potoczne czytali z owym gestem łaskawości, szyku i wdzięku”.

[wSieci, nr 32/2014]

WOŁANO na nią jak na bohaterkę „Cyganerii" Pucciniego – Mimi. Na imię miała Maria–Magdalena, ale nie znam jej nazwiska, gdyż ani razu nie pojawia się ono na kartach sztambucha, którego była właścicielką. Trudno też ocenić ile miała lat. Jest wszakże możliwe, że żyje jeszcze gdzieś w Belgii, nie przypuszczając nawet, że ktoś może przechowywać jej pamiętnik i traktować go jako swego rodzaju „polską relikwię". Pierwsze datowane w nim wpisy pochodzą z roku 1941. Można założyć, że dziewczynka dostała go na początku wojny. Musiał to być wyjątkowy i cenny prezent – oprawny w skórę, z wytłoczonym herbem na wierzchniej stronie okładki. Zapewne przyglądała mu się zachwycona. Już w dziewiętnastym wieku wiele dziewczynek prowadziło takie sztambuchy, prosząc przyjaciół, rodzinę i osoby szczególnie darzone estymą, o wpis. Często miały one szczególną wartość – były małymi dziełkami artystycznymi. Urokliwe rysuneczki z wierszami znanych poetów lub fragmentami własnej twórczości. Nie każda panna miała szczęście Zofii Bobrówny, której słynny pamiętnik unieśmiertelnił Juliusz Słowacki, ale wiele takich pamiętniczków miało niezwykły czar. Stanowią one ślad dawnego świata – baśniowego, niewinnego i wrażliwego na piękno. Także i mała Maria–Magdalena chciała zapewne, by jej album zapełnił się cudownymi obrazkami i ślicznymi wierszami. Na stronie tytułowej, być może jakaś starsza przyjaciółka lub matka, wymalowała lwa na czarnym polu – herb Gandawy – stolicy wschodniej Flandrii i rodzinnego miasta Mimi. Na następnej karcie znalazł się, napisany po francusku, fragment wiersza Wiktora Hugo – „Świat to jest książka / Bez końca i bez środka / W której każdy by żyć / Stara się wyczytać trochę / Zdanie tak głębokie / iż na próżno się go zgłębia / Oko widzi w nim świat / Dusza odnajduje w nim Boga".

Później następują kolejne wpisy słodkie, dziewczęce, okraszone popularnym zwrotem „ku pamięci". Jest też rysunek przedstawiający samą Mimi – w typowej fryzurze z czasów wojny, z dużą kokardą wplecioną we włosy. Są księżniczki i misie. Lisek i piesek. Pani jadąca na nartach. Mewy nad morzem. Albo kotki tańczące na dachu ośnie-

żonego domku. Tańczą pod datą 27–10–41. Są wpisy o matczynej miłości. Obrazki, na których mała dziewczynka siedzi na kolanach mamy. Modlą się obie, w sypialni. A na następnej stronie małe dziecko jedzie na biedronce jak na koniu.

Na świecie trwa w tym czasie okrutna, przerażająca wojna, lecz na razie sztambuch Mimi jest zapisem jej dziecięcego świata. Na jednym z ostatnich rysunków pojawia się niezwykły żaglowiec o pomarańczowo–złotych żaglach. Ma na burcie wypisane imię – Ivan. Statek dumnie pruje błękitne fale.

I naraz, zupełnie nieoczekiwanie, jak grzmot przeszywający ciszę morską, wdziera się w pamiętniczek rzeczywistość wojenna. Najpierw z chrzęstem czołgowych gąsienic wjeżdżających do Gandawy, a potem z łoskotem i wyciem silników samolotów. Przewracam kartę pamiętnika. Znajduję kreślone, jedne pod drugim, chropawe wpisy żołnierzy. Anglicy i Kanadyjczycy. Szczury pustyni – „Desert rats". Nazwiska. Przy nich skróty oznaczające przynależność do jednostki. QRR –Queen's Royal Regiment. 5 RTR – piąty Royal Tank Regiment. I nagle serce zaczyna bić mocniej – oto kopiowym ołóweczkiem wpisują się małej Belgijce żołnierze z dywizji generała Maczka. To wpisy chłopców walczących o wyzwolenie Gandawy w dniach 10–14 września roku 1944. „Miłej koleżance za przyjęcie w Gand wpisuje się ku pamięci – Jan Hoppe. 13. IX. 1944". Ofensywa szła od południowej strony miasta, Szwabów wypychano na północ. Nie wiem, gdzie mieszkała dziewczynka. Na jednym z rysuneczków jest jedynie pokazany jej domek, z numerem 13 przy drzwiach. Dzwoni do niego czarny kotek z różową wstążką na szyi. Kotek trzyma w ręku podkowę i miauczy: „Ouvrez vite! C'est le bonheur que je vous apporte!" („Otwórzcie szybko, przynoszę wam… szczęście!"). Myślę, że żołnierze też musieli ciągnąć za ten sam dzwoneczek i być może powiedzieli – „Otwórzcie szybko, przynosimy wam Wolność! Jesteśmy żołnierzami z Polski! Walczymy o wolny, piękny świat!". Jednak rzeczywistość była zapewne inna. Prawdopodobnie dom rodziców Marii–Magdaleny, na co wskazuje oprawa pamiętniczka, był na tyle duży i zamożny, że ktoś zdecydował, iż będzie kwaterą dla wojska. Może wydano rozkaz, by Belgowie go udostępnili. Nigdy się tego nie dowiem. Ale nie żałuję. Wolę myśleć, że w zakurzonych mundurach, przed zielonymi drzwiczkami stają nasi żołnierze i ciągną za sznureczek. „Ouvrez! C'est la liberté que nous vous apportons!". Za oknami, w oddali gra kanonada pocisków. Mimi przynosi polskim strzelcom sztambuch do podpisu. Oni oglądają te urocze, dziewczęce wpisy – te wszystkie kotki, psy, baranki i zajączki. Może myślą o swoich żonach i córkach. Piszą twardo, dostawiając symbole jednostek – P III. Polish Forces. B.L.A.

Przewracam następne karty i znajduję jeszcze jeden niezwykły, polski ślad. To wykonany ołówkiem rysunek polskiego samolotu, a obok autografy pilotów.

Początek roku 1945 zapowiadał się dla polskich pilotów z 308 Dywizjonu „Krakowskiego" spokojnie. Pierwszego stycznia, w posylwestrowej leniwej atmosferze mieli oni wykonać zadanie nie budzące wielkich emocji – chodziło o zbombardowanie niemieckich celów naziemnych. W powietrze wzniosło się dwanaście spitfire'ów. Dowodził szef eskadry „B" kapitan Ignacy Olszewski. Na każdym samolocie widniał wymalowany na bocznej burcie symbol rozpoznawczy dywizjonu – litery „ZF" i oznaczenie konkretnej maszyny. I tak na przykład dowódca miał – ZF–O, a sierżant Jerzy Główczewski ZF–U. Znad Gandawy skierowali się w stronę promów zacumowanych na kanale pod Woudrichem. Kiedy po skończonej misji wracali do bazy, okazało się, że „zabawa" dopiero się zaczyna. Właśnie w tym samym czasie Niemcy rozpoczęli operację bombardowania alianckich lotnisk. Dywizjon, lecąc na resztkach paliwa, musiał bronić własnego gniazda.

Relacje z owego dnia zebrał i opublikował w monografii Dywizjonu 308 Jacek Kutzner. Mówią w nich bohaterzy tamtych zdarzeń.

Jerzy Główczewski: „Zazwyczaj trudno się doszukać optymizmu u ludzi, którzy po większym, całonocnym pijaństwie są wyciągani z łóżek o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie. A pijaństwo i zabawa były niezgorsze. Sylwester! I do tego Sylwester pierwszy w Belgii po tzw. Libération". Tadeusz Szlenkier: „Jeszcze przed Gandawą widzieliśmy pożary na własnym lotnisku i zaraz po tym Fw 190 uwijające się nisko nad bazą. Choć dowódca wołał «nie mamy paliwa lecimy dalej» nie wytrzymałem i zanurkowałem w stronę najbliższego Niemca. Nie pamiętam czy powiedziałem «atakuję». Mając początkową przewagę wysokości, szybko dopadłem go z tyłu nad jakimiś białymi polami. Zacząłem strzelać, gdy sylwetka samolotu wypełniła mi celownik. Zobaczyłem uderzenia moich świetlnych pocisków w jego skrzydło. Byliśmy bardzo nisko. Nagle Fw 190 zwinął się na skrzydło i uderzył w ziemię. Zobaczyłem w zakręcie, że cały przód się w nią zarył. Nabierając wysokości, skierowałem się w stronę Gandawy".

Bronisław Mach: „Będąc nad Gandawą, zobaczyłem trochę poniżej mnie dwa Fw 190 uciekające na północ. Przeszedłem do ataku. W dość długim pościgu ostrzelałem je krótkimi seriami. Musiałem jednego trafić, ponieważ jego lot stał się nierówny i połączony z drganiami samolotu".

Rozpoczęła się jatka. Walka powietrzna, nazywana obecnie bitwą o Gandawę.

Dowódca, kapitan Olszewski tak opisał to, co sam przeżył w kabinie swojego ZF–O: „Już w skręcie i zniżaniu rzuciłem rozkaz: w dole

po lewej Niemcy… atakujemy. Różnica w wysokości była znaczna, oni nad terenem, ja na wysokości kilkuset metrów. W celowniku zbliżała się dość szybko grupa zwarta 12 samolotów. Ale równie z ich zbliżaniem twardniały stery, ale już mam ich w celowniku, biorę namiar na czoło grupy, raptem ostatnia trójka ostrym skrętem w lewo uciekła mi z celownika. Poderwałem samolot i po długiej chwili ujrzałem ich w celowniku na wznoszeniu. (…) Lecieli nadal w szyku trójki. Spojrzałem w dół. jakieś domy, drzewa, droga. mała wysokość. ponowiłem manewr skrętu z podciągnięciem samolotu. Sylwetki samolotów w szyku kończyły przewrót i zginęły z horyzontu w locie nurkowym! W tym momencie ogarnął mnie strach! Nie wyprowadzą! Zapomniałem w tym momencie, że do tego celu dążyłem. W chwilę po tym trzy wybuchy chyba również w szyku ukazały [się] na ciemnym tle ziemi".

Być może te „sylwestrowe" walki, w których polscy piloci po raz kolejny okazali się podniebnymi ułanami, widziała stojąc na gandawskiej ulicy i patrząc w niebo kilkunastoletnia Mimi? Gdy opadły już dymy znad sponiewieranego lotniska nr B–61 w południowo–zachodniej części Gandawy, postanowiono, że Dywizjon 308 zmieni miejsce stacjonowania. Z tego powodu co najmniej kilku pilotów musiało przez parę dni pozostać w samej Gandawie. To jedynie moje domniemanie. Przenosiny odbywały się bowiem między 5 a 13 stycznia 1945 roku. Być może wtedy Polacy w lotniczych skórach stanęli przed zielonymi drzwiami domu z numerem 13. W każdym razie 10 stycznia Mimi poprosiła ich o wpisy do swojego sztambucha. W ten sposób pojawił się w nim jeden z najbardziej niezwykłych zapisów walk nad Gandawą. To właśnie ołówkowy rysunek spitfire'a Dywizjonu 308, z charakterystycznym oznaczeniem bocznym ZF–A. Samolot przełamuje lot na skrzydło nad samą Gandawą. Z oka namalowanego na boku silnika płyną łzy, zaś pilot wychyla się i krzyczy w dół – „Mimi!".

Po prawej stronie widać fragment kościoła św. Mikołaja, jednego z najstarszych i najbardziej charakterystycznych świątyń gandawskich. Na wieżyczce brakuje dachu – widomy znak wcześniejszych ostrzałów miasta. Jednak bez problemu można na podstawie analizy kąta, z którego robiono rysunek stwierdzić, gdzie stał autor trzymający ołówek w dłoni. Musiało to być niedaleko innej wielkiej świątyni – katedry św. Bawona. Tej, w której znajduje się arcydzieło flamandzkiego mistrza Jana van Eycka i jego brata – słynny ołtarz gandawski. Wyobrażam sobie naszego pilota, jak stoi z pamiętnikiem w dłoni, być może opiera się o fragment balustrady przy kanale płynącym przez środek miasta i rysuje.

Pod rysunkiem podpisany jest Kazik. Gdy spoglądam na listę pilotów z grudnia 1944 roku, dochodzę do wniosku, że mógł to być kapitan Kazimierz Budzik, dowódca eskadry A, który wcześniej latał na samolocie z oznaczeniem ZF–A i stracił go, ledwo uchodząc z życiem. Ale mógł to być też inny Kazimierz z „Krakowskiego" Dywizjonu.

Na karcie po lewej stronie widać wpis kapitana Ignacego Olszewskiego. Słowa „na pamiątkę… mile spędzonych dni" sugerują, że oficerowie 308–ego przebywali w domu rodziców Mimi na kwaterze. A potem ruszyli w dalszą drogę. Walczyć o lepszy świat.

Kim był autor rysunku? Kim była dziewczynka wręczająca sztambuch przystojnym lotnikom? Nie wiem. Marzę o podróży do Gandawy. Nie tylko po to, żeby uklęknąć przed dziełem braci van Eyck. I nie tylko po to, by podziwiać genialnych Adama i Ewę na obu skrzydłach tego ołtarza, lub kontemplować tajemnicę Baranka, do którego zmierzają orszaki świętych. Ale przede wszystkim po to, by poszukać domku z zielonymi drzwiami, w którym kiedyś mieszkała mała Mimi. Ta sama, co bała się dentysty, pana dr. Hull, o czym świadczy jeden z rysunków. Ta, która miała braciszka Paula uwielbiającego bujać się na żółtym koniku i ta, która wpatrywała się w krasnoludka Mądralę z ówczesnego disnejowskiego hitu kinowego „Królewna Śnieżka". Może znajdę stare, zielone, obdrapane drzwi i sznureczek. Pociągnę za niego. Otworzy mi jakaś starsza pani. A ja powiem – „Ouvrez vite!… C'est le bonheur que je vous apporte!". Będzie wiedziała, że jestem od tych uśmiechniętych polskich pilotów, którzy machali do niej z góry i krzyczeli – „Mimi!". Tak jednak zwykle dzieje się tylko w świecie marzeń.

Może więc dobrze, że jeszcze tam nie byłem. I że nie zobaczyłem, że nie ma już żadnych zielonych drzwi. I że nikt już nie dzwoni pociągając za sznureczek. A żołnierze odeszli dawno temu.

Świat realny nie nadąża za baśnią. Polskich lotników, walczących pod niebem Europy, spotkał okrutny los. Ich Ojczyznę przehandlowano Stalinowi. A gdy na ulicach Londynu w 1945 roku trwała wielka parada zwycięstwa, kiedy szli w tryumfalnym pochodzie Anglicy, Kanadyjczycy, Amerykanie, Australijczycy czy nawet obywatele Wysp Owczych – Polacy stali z boku, na chodniku. Nie zezwolono im na udział w paradzie. Nie byli dopuszczeni do Wolności. Dowódcę dzielnych pancerniaków wyzwalających m.in. Gandawę, tych samych, których witały tam kwiaty i radosne okrzyki Belgów, a w swoim domu gościła Mimi, tego dowódcę, generała Stanisława Maczka, polski rząd pozbawił obywatelstwa i odebrał nie tylko przysługujące mu zaszczyty, ale i szansę na godziwe życie. Podobnie jak gen. Sosabowski pracował ciężko na obczyźnie, nie mając żadnego wsparcia i wdzięczności ze strony własnego państwa. Państwa, którego dawni

komunistyczni aparatczycy do dzisiaj mają się dobrze, walczą z powrotem o władzę, a niektórzy do tej pory stoją na pomnikach.

Do jednego z polskich pilotów, obserwujących londyńską paradę zwycięstwa podeszła starsza pani i spytała: „Dlaczego płaczesz, synku?”. Milczał. Cóż można było odpowiedzieć…

[wSieci, nr 03/2014]

VI

BÓG CIERPLIWY

PUNKT HONORU, CZYLI 250 LAT OD ZAŁOŻENIA SZKOŁY RYCERSKIEJ

PO ukończeniu nauki w szkole pijarskiej w Lubieszowie młody Tadeusz Kościuszko dokształcał się sam. Przez pięć lat nie miał żadnego konkretnego zajęcia, więc poświęcał się lekturom. Czytał Plutarcha i Korneliusza Neposa, a spośród postaci historycznych upodobał sobie najbardziej Tymoleona Koryntyjczyka, który „odzyskaną narodowi wolność zwrócić mógł, nic z niej nad nią sobie nie biorąc".

Nadeszły jednak wydarzenia znamienne, który wpłynęły na los przyszłego naczelnika i otworzyły przed nim drzwi do dalszej, już uporządkowanej, patriotycznej i wojskowej edukacji. Otóż, w niedługi czas po swojej koronacji Stanisław August Poniatowski otworzył i objął patronatem polską Szkołę Rycerską, zwaną Korpusem Kadeckim. Stało się to w marcu 1765 r. Mija w tym roku lat dwieście pięćdziesiąt od tego wydarzenia, które tak silnie odcisnęło swoje piętno w historii naszego narodu. Przede wszystkim Szkoła Rycerska wykształciła wielu obywateli i żołnierzy, którzy dobro Ojczyzny przedkładali nad własne i gotowi byli poświęcić wszystko, by tej sprawie służyć.

W 1802 roku pisał o tym w liście do komendanta szkoły księcia Adama Czartoryskiego były uczeń, kadet korpusu, gen. Fiszer: „Którąkolwiek weźmiesz z ważnych epokę dziejów naszych, czy kiedy Polak, z własnych wydobywając się gruzów, zdobił swój upadek, czy kiedy uganiając się za niknącym Ojczyzny cieniem, naszym nakładem do pomyślności obcego przykładaliśmy się narodu, w te nareszcie wszedłszy pobudki, co nam radziły powrócić na ziemię, chociaż już naszą nie jest, widziałeś nas, Książę, wiernych cnocie, powodowanych honoru prawidłami, i to jest hołd, jaki wychowani pod twym okiem Kadeci w każdem Ci poniosą zdarzeniu". Fiszer wysłał ów list w dobie wojen napoleońskich, a tymczasem kolejne dziesięciolecia przyniosły następne świadectwa heroiczności cnót tych pięknych Polaków, jakich ulepiła Szkoła Rycerska. Cnót właśnie, a nie jedynie wiedzy wojskowej – gdyż moralne wykształcenie stało się jednym z nadrzędnych celów i podwaliną owej akademii. Nie była ona zresztą stricte akademią wojskową, chociaż obowiązywał w niej mundur.

Kształciła bowiem nie tylko kadry oficerskie, ale także przygotowywała uczniów do służby państwowej.

O absolwentach szkoły – prawdziwych patriotach – tak napisał w roku 1916 znamienity historyk Henryk Mościcki: „Takim był Jasiński, gdy wśród szalejącego na nieszczęsnej Pradze ognia, podniesiony na wrażych bagnetach, umierał tryumfujący; takim Kniaziewicz wśród gradu kul pod Hohenlinden i ze sztandarami przed Dyrektoryatem, dumny, że w Szkole Rycerskiej »nauczył się być Polakiem«; takim Sowiński, ginący na Woli szańcach; takim Sokolnicki i Niemcewicz, i Madaliński, i Nestor Sapieha, i cały ten długi poczet bohaterów, w których zbrojnych piersiach jaśniał czysty duch narodu, uwieńczony sławą nieśmiertelną »nad Ebrem, Nilem i Padem«, wśród słońca Południa i mroźnych stepów Północy. Lecz przed wszystkimi, co byli chlubą i zaszczytem Szkoły Rycerskiej, imię Tadeusza Kościuszki, najcelniejszego jej wychowańca, okrywa Korpus Kadetów zasługą niepożytą i w pamięci narodu dostojne wyznacza miejsce”.

Tadeusz Kościuszko miał w swoim zeszycie pięknie wykaligrafowane, znamienne zdanie, odpowiedź na jedno z pytań „Filozofii Obyczajów”: „Siebie samego zwyciężaj – to największe zwycięstwo”. Znać, że szkoła była miejscem, w którym idea wykształcenia zdrowego ducha szła równo z myślą, by wzbogacać intelekt fachową wiedzą. Odrodzenie moralne, silny kręgosłup cnót i wartości – to miał być środek. Celem była wspaniała Ojczyzna, którą należało podnieść z bagna, w jakim od dłuższego czasu się pogrążała. Co ciekawe, Szkoła Rycerska zostaje powołana do życia w okresie, w którym rozkwita działalność rosyjskiego posła Repnina, w którym rozpoczyna się tak fatalne w skutkach królowanie Stanisława Augusta, i w którym niedługo już mają nastąpić chwile najczarniejsze naszych dziejów – znaczone rozbiorami i przeplatane jedynie przebłyskami chwały, takimi jak Konstytucja 3 maja, zwycięstwa w epoce napoleońskiej czy heroiczne zrywy powstańcze. Sam patronat owego upadłego moralnie króla nad tym pięknym przedsięwzięciem ma w sobie coś z szekspirowskiej siły dramatycznej, w której los przewleka nić żywota bohaterów z osnową zdrady i haniebnych uczynków.

Od dawna mówiono w Polsce o potrzebie szkoły wojennej, a królów zobowiązywały do jej utworzenia pacta conventa z czasów Władysława IV Zobowiązanie owo miał wypełnić – o ironio – kochanek carycy, człowiek pobierający pensję petersburską i będący na pasku rosyjskiego dyplomaty.

W każdym razie cel wychowania moralnego, postawiony jasno przez komendanta szkoły, był celem nadrzędnym. W przedmowie do jednego z podręczników szkolnych – „Historii nauk wyzwolonych”

Juvenela de Carlancasa – książę Adam skierował takie słowa do uczniów: „Kogo los urodzenia i fortuny wytknął do czynnych obywatelstwa obowiązków, ten starać się powinien o wydoskonalenie siebie w tych wiadomościach. Aplikować się będzie do historii, bo przykłady, wzięte z dziejów starożytności i narodów, uczyć go będą, jako o swoim (narodzie) radzić…". Potem wymieniał kolejne przedmioty, ukazując faktyczny sens ich nauki – świadome obywatelstwo. A wszystko zwieńczył tymi zdaniami: „Te maksymy przykładam w szczególności do was, młodzi zacna korpusu kadetów. Wy tę, w najopłakańszym, który tylko może być wymyślony, stanie zostającą Ojczyznę waszą powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jej sławę, o uwiększenie jej mocy wewnętrznej i poważania postronnego, o poprawę rządów jej w gatunku swym najdroższym. Niech was prowadzi ta sama ambicja, żebyście otuczeni wiadomościami. odmienili starą postać kraju swojego i, roznosząc każdy po swojem województwie, oswobodzili Ojczyznę od jarzma.".

Słynny publicysta z przełomu XIX i XX wieku, autor książki „Duch dziejów Polski", Antoni Chołoniewski, pisał o Szkole Rycerskiej, że była „wzorowym zakładem wychowawczym", i dodawał, że stanowiła typ szkoły polskiej „pomyślanej zgodnie z charakterem narodu, który zawsze i wszędzie musiał być zaklęty w imię wyższego, niematerialnego celu, jeżeli miał z siebie wydać dzieło wiekopomne".

Idea moralnego wykształcenia przyszłych żołnierzy skupiała się w niewielkim dziełku, którego autorstwo przypisuje się również księciu Adamowi. Mowa o „Katechizmie Kadeckim", który uczniowie szkoły znali na pamięć. Był to zbiór zasad moralnych, objaśnianych poprzez zestawy pytań i odpowiedzi. Niezwykłe i wzruszające świadectwo Ducha, jaki ożywiał polską młodzież, uczącą się w murach akademii. Tekst, wzorowany na podobnym regulaminie szkoły berlińskiej oraz na niegdysiejszych zaleceniach opracowanych przez króla Leszczyńskiego, został po raz pierwszy wydany drukiem w roku 1774, w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych" i równocześnie w odrębnych odbitkach. W zbiorku znajdowały się róże rozdziały, bardzo konkretne, m.in.: „Formularz przyjmowania kadetów do nowicjatu", „Formularz obleczenia kadeta w mundur", „Formularz abszytowania kadetów" itp. oraz ów najważniejszy z punktu widzenia wychowawczego „Katechizm moralny dla uczniów Korpusu Kadetów".

Pośród pytań i odpowiedzi w „Katechizmie" najbardziej wzruszają te, które dotyczą najważniejszych wartości.

„Pytanie: Jaki powinien być kadet?

Odpowiedź: Powinien mieć miłość, bojaźń Boga i przywiązanie do religii przed oczyma; powinien Ojczyznę swą kochać i jej dobro nade wszystko i sposobić się do tego, aby się mógł poświęcić na jej

usługi; powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnich, dobroczynności i afektu dla równych, względu dla niższych. (…)

P: Wielorakie być powinny powody jego postępków?

O: Dwojakie.

P: Jakież one są?

O: Punkt honoru i wstyd. Punkt honoru do dobrego w każdym rodzaju zachęcać, wstyd od złego wstrzymać jego powinien".

Punkt honoru i wstyd, jako dwie przeciwstawne siły duchowe, wydają mi się pięknie ze sobą zestawione. Co więcej, oba te instrumenty życia moralnego, nie przyrodzone przecież, wymagają pracy nad sobą i ukształtowania dzięki niej własnego sumienia. Owszem, człowiek nabiera z wiekiem umiejętności panowania nad instynktami i wadami charakteru, wykształca w sobie jakieś fundamentalne elementy moralnego oglądu świata i samego siebie. Potrzebna jest jednak praca głębsza. Najwyraźniej zdawali sobie z tego sprawę twórcy owego duchowego sposobu wychowywania Polaków, jaki obowiązywał w Szkole Rycerskiej, wiedzieli, że materia narodowa i państwowa, kwestie rozpoznania racji stanu, czy te związane z wyborem drogi mogą z różnych przyczyn być osłonięte mgłą racjonalizacji i fantazyjnego zaklinania rzeczywistości. Trzeba więc pracy własnej, by taki „punkt honoru" w sobie wykształcić, a także zaimplementować swoisty „punkt wstydu", który będzie ostrzegał przez błędami i kazał dokonywać odważnych obrachunków moralnych ze sobą.

Spójrzmy z tej perspektywy na Polskę współczesną. Zadajmy obecnie te same pytania. Pytajmy o to w kontekście katastrofy smoleńskiej, czy choćby rządowych akrobatycznych figur w sprawie zamykanych kopalni. Rzecz ma swój początek właśnie w niewykształconych odpowiednio instrumentach moralnych, o jakich wspomina kodeks – honorze i wstydzie. Należy też zastanowić się, czy uczy się dziś tych pojęć polską młodzież? I kiedy można jej tę wiedzę przekazać, gdy historię spycha się w szkołach do poziomu wiedzy hobbystycznej, nie czyniąc z niej przedmiotu formującego tożsamość obywatela? Czy wychowujemy Polaków, którzy będą potrafili zachować się godnie?

„Jakiego gatunku ma być ta cześć, którą oddawać należy starszym od siebie lub wiekiem, lub urzędem, lub władzą?". Odpowiedź kodeksu brzmi: „Przyzwoitemu człowiekowi zacnie urodzonemu poszanowanie znaczącą, bez upodlenia siebie samego; więc te powierzchowne znaki, padania do nóg, ściskania za nogi, całowania w ręce, podpisywania w listach podnóżkiem, niskie zbyt ukłony, nie powinny być nigdy przez Kadeta zażywane, bo podłość w sobie mają, której się strzec należy".

Ojczyzna była w roku 1765 na skraju przepaści, nadciągał coraz większy mrok. Wielu nie dostrzegało zagrożeń. Dopiero miały się za-

wiązywać konfederacje barska i radomska, dopiero zbliżał się przeklęty rok 1772. A przecież już rodziło się poczucie, że bez odwołania się do kwestii moralnych czeka nas zguba…

Przewracam karty kodeksu kadeckiego i docieram do pytania: „Czy może Kadet być bojaźliwym albo tchórzem?”.

Pada odpowiedź: „Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa i rzeczy, które znaczą są mi nieznajome, i jeżeli kto w Korpusie potrafi opisać co to jest, chybaby o tem słyszał, że się gdzie indziej znajduje, bo co między nami, ani jest, ani podobno być nie może”.

Tych słów nie znał generał Jasiński, gdy ginął zakłuwany bagnetem na szańcach praskiego Zwierzyńca. Nie znało ich dwóch byłych uczniów kadeckiego korpusu – Tadeusz Kościuszko i Julian Ursyn Niemcewicz – jadących w owym czasie do moskiewskiej niewoli. Obaj, naczelnik i jego adiutant, wychowywali się na tym samym katechizmie. Obaj, jako chłopcy, tak samo przysięgali na honor podczas uroczystych obłóczyn w mundur. Obaj czytali te same zdania… „Być wspólnikiem albo sprawcą sromotnego uczynku różnicy w tem nie masz; oszust i szalbierz, to jest facyendarz i kartownik, łączą w sobie podłość, zdradę i znieważenie tych wszystkich względów, które człowieka usposabiają do powszechnego szacunku”. Niemcewicz wspominał w swoich pamiętnikach, jak po kradzieży dokonanej przez dwóch brygadierów do sali wpadł książę Czartoryski ubrany w mundur gwardii litewskiej i powiedział: „Mości panowie, nie wziąłem munduru waszego, bom znalazł na nim dwie brzydkie plamy.”. Taką dał chłopcom „naukę o hańbie, która spadała na żołnierza, gdy chorągwie swoje porzuca”.

Gdy Kościuszko i Niemcewicz, eskortowani przez kozaków, docierali do Twierdzy Pietropawłowskiej, mogły im się przypomnieć cztery wielkie symbole honoru i hańby zawieszone w Pałacu Kazimierzowskim.

„Cztery było tablice duże drewniane: jedna pociągnięta złotem, druga srebrem, trzecia szaro, czwarta czarno. Na pierwszej zapisywano nazwiska odchodzących kadetów tych, którzy sprawowaniem i nauką celowali innych, na drugiej imiona tych, którzy się dobrze uczyli i sprawowali, na trzeciej miernych, na czwartej, czarnej, tych, którzy zasłużyli na naganę i wstyd”.

Owe tablice zerwane ze ścian szkoły i wyniesione wysoko w Niebo, mogłyby stać się symbolicznymi Tablicami Polskich Dziejów. Na złotej tablicy polskiej historii można umieścić wiele pięknych nazwisk – Kościuszko… Traugutt… Piłsudski… Pilecki… I tablica srebrna zapełniłaby się szybko. A także szara, nijaka, zebrałaby komplet miernot. Niestety i czarna byłaby pełna. I na niej nazwiska, jedno za drugim, pło-

nęłyby złowrogim blaskiem zdrady i zaniechania, nazwiska, o których chciałoby się zapomnieć..

Nadchodzi czas powrotu do ideałów szkoły rycerskiej, do życia według wezwania wiersza Krasickiego, którego strofy wyryte są złotymi zgłoskami na ścianie akademii:

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
czują cię tylko umysły poczciwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe!
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

[wSieci, nr 03/2015]

ŁZY KOZAKA

W ROKU 1809 Kraków był miejscem niezwykłych wydarzeń, które miały mniej wspólnego z działaniami bojowymi, a więcej z salonową dyplomacją i kurtuazyjnymi gestami, jakie wykonywali wobec siebie wodzowie walczący po przeciwnych stronach barykady. Jeden był Polakiem, drugi Rosjaninem. Zaś całość nabiera wymiaru przypowieści…

Po bitwach pod Raszynem, Górą, Toruniem i Sandomierzem, stoczonych pomiędzy wojskiem księcia Józefa Poniatowskiego a armią austriackiego arcyksięcia Ferdynanda, działania przeniosły się w okolice dawnej siedziby polskich królów. Austriacy, straciwszy kilkanaście tysięcy ludzi, cofali się w stronę Krakowa, by tam połączyć siły z wojskiem arcyksięcia Karola. Ich śladem pędził książę Pepi, który zostawiwszy załogę w Sandomierzu, usiłował dopaść wroga. W Galicji znajdował się także silny korpus rosyjski. Kiedy nadeszła wiadomość o wygranej Cesarza pod Wagram sytuacja stała się dla Austriaków bardzo trudna, więc gdy nastąpiło zawieszenie broni, arcyksiążę Ferdynand wycofał się na południe. I tak w Krakowie znalazły się nagle obok siebie tylko wojska rosyjskie i polskie. Można sobie wyobrazić, ile napięć powstawało między nimi, i jak trzeba było się hamować wobec trwających pokojowych rokowań. By uspokoić sytuację, strona rosyjska wysłała do Krakowa nowego dowódcę. Siewersa miał zastąpić książę Suworow. Generał Roman Wybranowski w spisywanym po latach pamiętniku pisał o nim, że Suworow był człowiekiem „młodym, charakteru i usposobienia ujmującego, który umiał sobie zjednać w wojsku polskim wziętość, naczelnego wodza przyjaźń”.

Silne emocje ustępowały powoli pojednawczym gestom, a nawet pewnej harmonii i porozumieniu. I tu właśnie zaczyna się opowieść – jaką Wybranowski pozostawił w swoich memuarach – o dwóch kozakach, Maksymie i Józku.

Wojska stacjonujące w Krakowie zaczęły w owym czasie „umilać” sobie czas różnymi zabawami, zaś obaj głównodowodzący, Suworow i Poniatowski, wprost prześcigali się w kurtuazyjnych gestach. Najpierw Rosjanin wysłał pod siedzibę księcia wartę honorową. Gdy Po-

niatowski zobaczył salutujących Rosjan, natychmiast zrewanżował się tym samym – i wnet pod oknami Suworowa pojawili się żołnierze w polskich mundurach. Potem odbywały się liczne manewry i uroczyste przemarsze, w których raz jedna, raz druga strona popisywały się umiejętnościami wojskowymi. Wydawano na przemian uroczyste obiady i bale, a wodzowie myśleli tylko o tym, czym by tu jeszcze zaskoczyć rywala i jaką wspaniałością przed nim zabłysnąć. Wtedy Suworow wpadł na pomysł zorganizowania polowania. Miało to być klasyczne, rosyjskie polowanie z chartami, których kilkanaście miał ze sobą. Gdy łowy się zaczęły, oczom myśliwych ukazały się owe psy. Jednak nie były same, jak zapisał Wybranowski „do każdej smyczy był dodany kozak konny: ci kozacy na swych lotnych koniach z niesłychaną zwinnością równo z chartami zwierza doganiali”..

Suworow zaprosił wielu polskich gości, generałów i co bardziej znamienitych obywateli miasta. Wszyscy spoglądali z podziwem na sprawność myśliwskiej sfory Rosjanina. Tu jednak trzeba na chwilę wyostrzyć oko wyobraźni i przez chwilę skupić się na tychże kozakach „przypiętych do smyczy”. Już w genialnych rozważaniach o istocie rosyjskiej władzy Jan Kucharzewski („Od białego caratu do czerwonego”) pisał o tym, że dla rosyjskiej arystokracji często więcej znaczył dobry pies myśliwski niż człowiek, będący całkowicie w ich władzy. Ten ostatni był bowiem niczym niewolnik, permanentnie zresztą utrzymywano cały naród w stanie niewolnictwa. Dopiero wychodząc z takiego rozumienia zależności między „panem” a „poddanym” zobaczyć można, że na krakowskim polowaniu w istocie rzeczy to człowiek był przypięty do psa, a nie pies do człowieka.

W każdym razie impreza niezwykle się udała, obiad na zakończenie podano wspaniały, stół był suto zastawiony, muzykanci przyjęli księcia Józefa marszem faworalnym. Potem wznoszono za jego zdrowie liczne toasty. Na tym jednak się nie skończyło. Bowiem, gdy charty zziajane wróciły, zwierzyna leżała pokotem, trębacze odtrąbili koniec strzelania, a Poniatowski z zachwytem zaczął się wypowiadać na temat kozackich umiejętności jeździeckich, Suworow postanowił dać mu w prezencie dwóch najzręczniejszych kozaków. Józko i Maksym stanęli więc przed polskim wodzem, a książę rosyjski nakazał im, aby byli nowemu panu tak wierni, jak poprzedniemu. Jednak Poniatowski nie chciał przyjąć „prezentu”. Generał Wybranowski tak to tłumaczył: „Książę Józef tej ofiary żadnym sposobem przyjąć nie chciał, tłumacząc się, żeby go to nadzwyczajnie bolało, aby z jego przyczyny oddalili się od swojej ojczyzny i swych domów rodzinnych”. Podobno długo Suworow nalegał, aż w końcu, gdy sami zainteresowani wyrazili chęć przejścia na służbę polską, Pepi wyraził zgodę.

Scena ta, z zakończenia polowania pod Krakowem, ma wymiar paraboli. Okazuje się bowiem, że chwila „wręczania" kozaków to moment, w jakim dwie wielkie postaci tamtej epoki, wyrastające jednak z dwóch odmiennych kultur państwowych, patrzą na to samo zdarzenie, lecz widzą w nim całkowicie inny wymiar. Suworow rzuca jeźdźców ze smyczą pod nogi księcia, z uśmiechem władcy, który posiadł ciała i dusze swych poddanych, jest panem ich życia i śmierci. Poniatowski natomiast rozumie, że Wolność człowieka jest jedną z naczelnych wartości, jaką należy szanować, nawet w stosunku do podwładnych czy wroga. Wolność rozumiana jako wartość duchowa, wewnętrzna, związana z poczuciem ludzkiej godności. Zatem w tej wersji widzenia świata a la Poniatowski żołnierz sił przeciwnych wzięty w niewolę winien być traktowany z należnym szacunkiem, zaś jego godność nie powinna być naruszona. I ciekawe może być teraz pytanie – dlaczego kozacy sami wyrazili chęć przejścia w służbę polską? Czy wykonali jedynie to, czego zażądał ich „pan"? Czy domyślili się w lot, że jego wolą jest to, by teraz stali się własnością innego? Czy też poznali Polaków wcześniej, widzieli, kim jest książę Józef, a widząc jego klasę i wielkość, sami czuli, że służba u niego może być wejściem w świat lepszy i piękniejszy? Tego niestety nie wiadomo.

Jednak dalsze ich losy wskazują w wielkiej mierze na fakt, że ta istota „polskości", ten wymiar bycia Polakiem, jaki nadał swemu życiu Poniatowski, był na tyle piękny, iż uwiódł rosyjskich poddanych. I z biegiem lat, wraz z dalszą służbą, nie tylko wykazali się prawdziwą wiernością i lojalnością wobec swojego dowódcy, ale też duchowo stali się Polakami.

Obaj byli zawsze blisko księcia. Odróżniali się od reszty służby śniadą cerą, ubiorem i kruczoczarnymi włosami, zaplecionymi w kozacki seładec. Nawet gdy książę wyjeżdżał gdzieś konno na spacer, Józko albo Maksym zawsze jechali za nim.

Wreszcie nadszedł trudny rok 1812 i polski wódz ruszył na kampanię rosyjską. Oni poszli także. Wiernie, bez wahania trwali przy nim, choć wokół byli ich rodacy i ich kraj. Gdy polskie wojsko stawało gdzieś obozem, wtedy Józko i Maksym uspokajali miejscową ludność, tłumacząc, że nie muszą się obawiać żadnych okrucieństw ze strony Polaków.

Po zajęciu Moskwy korpus księcia Józefa został przydzielony do przedniej straży Murata i po bitwie pod Woronowem zatrzymał się nad rzeką Oką, w rodzinnych okolicach obu Kozaków. Trwało zawieszenie broni. Generał Wybranowski był świadkiem niezwykłej sceny, jaka wówczas się rozegrała. To były ziemie należące do Suworowa, i gdy tylko książę Józef się o tym dowiedział, postanowił swych kozackich żołnierzy zwolnić ze służby. Chciał, by wrócili do swych ro-

dzin, do swych domów, lecz gdy „ich do pozostania zachęcał, ci, pełni wdzięczności, z rozrzewnieniem podziękowali księciu za udzieloną im wolność, lecz na żaden sposób odstąpić go nie chcieli i przy nim aż do śmierci pozostać przyrzekli". Poprosili tylko, aby pieniądze, jakie mieli zgromadzone, mogli przekazać bliskim.

Poniatowski dołożył im jeszcze po sto dukatów i kazał przesłać do forpoczt nieprzyjacielskich.

Wkrótce zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Gdy się wojsko napoleońskie zbliżało do Smoleńska, książę wraz ze swymi huzarami szarżował oddziały kozackie. Niestety padł pod nim koń, przygniatając jeźdźca tak nieszczęśliwie, że Poniatowski stracił przytomność. Gdy lekarze go ocucili, okazało się, że noga jest mocno nadwerężona i wódz musi natychmiast wracać do Warszawy. Dowództwo przekazał generałowi Zajączkowi i pojechał pod eskortą dwunastego pułku ułanów, a u jego boku nadal trwali wierni Józko i Maksym. Droga była trudna, uciążliwości kampanii moskiewskiej są dobrze znane. Zimno dawało się we znaki nawet najbardziej zahartowanym ludziom. W okolicach Wilna, wskutek wyziębiania, zmarł Maksym.

Józko dalej niezłomnie służył polskiemu wodzowi, chociaż czasy były coraz trudniejsze, a blask orłów napoleońskich przygasał. W końcu, w październiku 1813 roku doszło na przedpolach Lipska do wielkiej bitwy. Gdy most na Elsterze został zbyt wcześnie wysadzony, osłaniający odwrót książę Józef wjechał z garstką kirasjerów do ogrodu Richtera, aby przebić się w stronę rzeki i przeprawić na drugą stronę. Konno rzucił się w nurt Elstery, lecz gdy był blisko drugiego brzegu, trafiły go kule. Ostatnie słowa, jakie powiedział, na trwałe wyryły się w naszych sercach – „Bóg mi powierzył honor Polaków! Jemu tylko go oddam!". Do dzisiaj świadczy o bohaterskiej postawie Księcia Józefa stojący w Lipsku pomnik, wzniesiony w roku 1834, a zburzony przez Niemców w 1939 roku. Z dawnego nagrobka pozostał głaz z napisem. Można na nim przeczytać: „Tu w nurtach Elstery Józef Xiążę Poniatowski Wódz Naczelny Woysk Polskich Marszałek Państwa Francuzkiego trzema Śmiertelnymi dotknięty razami okrywając Ustęp Wielkiego Woyska Francuzkiego i ostatni zchodząc z pobojowiska Życia Sławie i Oyczyźnie poświęconego dokonał w dniu 19 Października R"i8i3. Żył lat 52. Tę skromną pamiątkę łzami swemi skropioną Polak Współrodakowi Żołnierz Wodzowi położył".

Płakano po nim wtedy. Płaczemy i dzisiaj.

Napoleon boleśnie odczuł tę śmierć: „Straciłem znów jednego z moich dobrych przyjaciół i o jednego bohatera mniej mam". Zła wiadomość szybko dotarła do bagażów księcia i jego świty. Wszyscy zaczęli rozpaczać, lecz najmocniej płakał kozak… Józko szlochał jak osierocone dziecko. Wtedy adiutant księcia, pułkownik Józef Szyma-

nowski, poruszony taką rozpaczą, wziął go do siebie. Odtąd służył przy nim aż do końca kampanii. Potem z kolei trafił do autora wspomnianego pamiętnika, kapitana Wybranowskiego, który opisał niezwykłe wrażenie, jakie sprawiał na ludziach żołnierz kozacki:

„Na koniu, po kozacku ubranym, gdzie się tylko pokazał, całą ludność poruszał, wszyscy biegli, aby go widzieć, a gdy się dowiedzieli, że to nie kozak nieprzyjacielski, ale że był kozakiem księcia Józefa i przy nim zawsze zostawał i do niego bardzo był przywiązany, we wszystkim starali się mu dogadzać, tak, że przy nim i mnie bardzo dobrze było i nieraz przez Józka wszystko można mieć było u Francuzów". Gdy Szymanowski wrócił z Paryża, gdzie załatwiał sprawy swego pułku, Józko znów przeszedł pod jego komendę, niknąc kapitanowi Wybranowskiemu z oczu. Wojna się skończyła. Mijały lata. I pewnego dnia, w roku 1821, gdy Wybranowski czytał coś w obozie wojskowym pod Powązkami, naraz pojawił się przed nim ktoś z koszykiem pełnym owoców. Człowiek ten padł mu do kolan i je uściskał. „Ach! Mój panie drogi, jakiż ja szczęśliwy, że po tylu latach choć teraz mogłem znaleźć pana!" – wykrzyknął. To był Józko. Generał uściskał go, bardzo wzruszony. I zapłakali obaj.

Te łzy płynące po ich twarzach – Polaka–generała i kozaka–prostego żołnierza, te łzy właśnie, to była. Polska.

[wSieci, nr 28/2014]

TECZKA LISTOPADOWA

W JEDNYM z antykwariatów kupiłem kiedyś niepozorną tekturową teczkę wypełnioną kartkami, na których znajdowały się sygnatury bibliotek – Jagiellońskiej, Ordynacji Zamojskiej i innych. W górnym prawym rogu widniały kolejne numery. Cała zawartość dotyczyła Powstania Listopadowego, a w przeważającej części były to wiersze pisane ręcznie bądź na maszynie. Numer jeden to fragment *Proroctwa Izajasza* Seweryna Goszczyńskiego pt. „Strącenie Lucyfera".

Starty bezbożny mocarz, starty już, złamany
Ten co, w zapędach niepohamowany,
Słabe narody zwyciężał,
Zwyciężone uciemiężał!

Na drugiej stronie znajduje się odręczna data osoby robiącej notatkę – 1929. Ktoś, kto mozolnie zbierał materiały dotyczące Powstania Listopadowego, przeglądał prasę, jeździł po bibliotekach, czynił drobiazgową kwerendę wszelkich dzieł literackich, śladów poetyckich czy nawet szaradziarskich dotyczących Nocy Listopadowej musiał więc szykować to wszystko na okrągłą, setną rocznicę wydarzeń, które atakiem na Belweder zapoczątkowały insurekcję 1830/1831. Nie wiem, czy taka książka się w ową rocznicę ukazała. Może później? Może kiedyś natknę się na nią w jakimś antykwariacie? Mam jednak teczkę autora. To ślad jego pasji poszukiwawczej. Przerzucając kartki, biegnę za jego myślami. Czytam i wzruszam się jego wzruszeniem. Przed oczami stają mi wersy Goszczyńskiego o Lucyferze, którym nieznajomy chciał swoje dzieło o powstaniu rozpocząć. Widzę wraz z nim tę niewielką grupę spiskowców, gromadzącą się w Łazienkach przed pomnikiem króla – pogromcy Turków. Widzę poetę, autora „Zamku Kaniowskiego", jak szykuje się wraz z innymi młodzieńcami do ataku na Wielkiego Księcia.

Potem przeglądam karty kolejne. Piękne pismo. Tylko przed wojną tak szedł dukt liter, tak starannie kaligrafowano każdą z nich.

„Spiew dziatek Warszawskich przy sypaniu baterii za marymoncką rogatką"

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
dzieci do ważnego dzieła,
Pomoc przyniesiemy.
Marsz, marsz na wały,
Z doroślejszym mały
Choć nie duże chłopy,
Możem wznieść okopy,
Gdy nam jeszcze sił nie starczy,
Do dźwigania broni,
Niech łopata szybko warczy
W polskich dzieci dłoni (…),

Na dole autor wypisu poczynił odręczną notatkę: „W dniu 21 grudnia r.z. stanęła za marymoncką rogatką bateria, usypana przez dzieci większej części szkół cyrkułowych i wielu prywatnych elementarnych, które się z nauczycielami pod przewodnikiem swojego naczelnika insurekcji zebrały. XX Augustianie, mimo odbytej już pracy na Pradze, przybyli i teraz ze szkołą swoją, widziano także i szkołę XX. Karmelitów".

Opowieść o tej niezwykłej baterii otwiera polską duszę na postawę tych wspaniałych dzieci, tych, które nie tylko stawiały opór Rosjanom w szkołach, szły do kolejnych powstań, zasilały Legiony Piłsudskiego czy broniły Lwowa przed Ukraińcami. Jednym z najlepszych zdań napisanych przez Stanisława Cata–Mackiewicza, jest zdanie kończące jego „Historię II Rzeczypospolitej": „Polska jest krajem bohaterskich dzieci".

Skąd się ciągle brały takie wspaniałe, kochające Polskę, dzieci? Takie, które jak mały „Ziuk" Piłsudski już w wieku kilkunastu lat wiedziały, że pragną za Ojczyznę oddać swoje życie? To były dzieci wychowywane w pamięci polskiej wielkości i w kulcie miłości wobec kolejnych pokoleń powstańców. Powstanie Listopadowe zostawiło posiew duchowy, który zasilał młode serca mocą duchową. Kazał trwać przy nieustannie odradzającym się marzeniu o wolnej, niepodległej Polsce. Podobnie było z Insurekcją Kościuszkowską i Powstaniem Styczniowym. I tak też, z wielką czcią, traktowano misję naszych Legionów walczących o Niepodległość u boku Bonapartego.

W „Nowej Polsce", w numerze z dnia 12 lutego 1831 roku, Seweryn Goszczyński wydrukował pieśń „Żołnierz Przed Wojną 1812 Roku". Przepisał ją, słowo po słowie bezimienny autor „teczki listopadowej". Widzę, że ręka mu drżała. A czy ten rozmyty miejscami atrament to łzy? Nie, to zbyt ckliwe, myślę sobie. Aż wstyd pisać, teraz,

do nowoczesnej gazety. Czy ten ktoś, siedząc w bibliotece, trzymając w drżących dłoniach kartkę… płakał? Nie wiem.

Między kolejnymi wierszami natrafiam na relację z „Gazety Warszawskiej”:

„Na dnia 24 lipca r.b. odbyło się nabożeństwo błagalne w kościele XX. Karmelitów na Lesznie, prosząc Pana Zastępów w tak stanowczej chwili o szczęśliwe powodzenie dla oręża Polskiego. – Wśród tegoż miał nader patriotyczną mowę X. Ignacy Szynglarski, kapelan z korpusu jen. Dwernickiego (…) i w czułych aż do rozrzewnienia wyrazach, wszystkich do wylania obfitych łez pobudził, wystawiwszy licznie zgromadzonemu ludowi, cel pospolitego ruszenia, przez Rząd nakazanego i śmiałe przejście nieprzyjaciela na prawy brzeg Wisły, zdającego się rzucić pod wały Stolicy, dla odebrania przynależnej kaźni za swoje zuchwalstwo. jeden powszechny dał się słyszeć w świątyni Pana odgłos: do wałów. do broni. do broni Polacy!… Między innemi rzekł ten waleczny kapłan: »Już dobija godzina, gdzie wojsko Polskie nowemi się okryje laurami (…)«. Ksiądz kończył kazanie płomiennym – „Wy Polskie Matki goić będziecie rany nasze, wy prawe Polki, po naszym zgonie, mając w dziedzictwie Ojczyznę niepodległą, skrapiać będziecie łzami wdzięczności mogiły wojowników Polskich, rzucać będziecie na ich grobowcach wianki cyprysowe, i przekażecie przyszłym pokoleniom poświęcenia się nasze, za wzór do naśladowania, wnukom i prawnukom, do broni przeto Polacy! Do broni. hasłem naszym niech będzie zwycięstwo, śmierć wrogom. despotom. bo prawy Polak, konając na placu bitwy, z orężem w ręku nie przestanie wołać Ojczyzny!… Wolności i niepodległości!”.

Początek tego tekstu to pismo równe, kaligraficzne, które później, jak gdyby biegnąc za duchem płomiennego kazania, zaczyna się gubić, robi się coraz bardziej nieczytelne, nerwowe. Autor musiał czuć się związany ze słowami, które skierowane tamtego lipcowego dnia do matek, wnuków i prawnuków, zawierały w sobie wszystko. Mówiły o tym, jaki jest sens wyzwoleńczej walki i to w chwili, gdy już wiadomo, że za moment powstanie upadnie, że otworzą się kolejne wrota twierdz, zapełnią się cytadele, a z łoskotem wielkich kół będą znów turkotać kibitki. Sens najgłębszy był ten – zostawiamy wam, dzieci nasze, wnuki nasze i prawnuki to proste dziedzictwo: nie spocząć, póki Polska nie będzie wolna. Oddać całe swoje siły, całe swoje życie jednemu celowi. Żeby Polska była niepodległa. I, jeśli „wy to dziedzictwo podejmiecie, nadacie sens naszej śmierci”. Śmierć bohaterów nie pójdzie na marne. I dzieci posłuchały kapelana oddziałów Dwernickiego, który w kościółku karmelickim na Lesznie zostawiał im to przesłanie.

Trzydzieści lat później pod tym samym kościołem zebrał się tłum. Był 29 listopada roku 1860. Na ulicach Warszawy rozdawano ulotki zapraszające na nabożeństwo za Ojczyznę, choć oficjalnie, by zmylić Rosjan, było na nich napisane, że będzie to msza za dusze Adama, Juliusza i Zygmunta. Wybór tej świątyni na rocznicowe nabożeństwo nie był przypadkowy, To właśnie tu po Powstaniu Listopadowym, w budynkach pokarmelickich, urządzono więzienie dla pojmanych powstańców. Przed wejściem do kościoła, na szczycie schodów znajdowała się figura Matki Bożej. Dzisiaj, pomimo wojennych zniszczeń i przesunięcia świątyni po wojnie o kilkadziesiąt metrów, nadal tam stoi. Z tyłu widnieje wyryta data – 1859.

Rok później grupa spiskujących studentów ze Szkoły Sztuk Pięknych, Akademii Medyko–Chirurgicznej i z Gimnazjum Realnego postanowiła doprowadzić do manifestacji patriotycznej. Uczestnikom mszy studenci rozdawali portrety z Kościuszką i Kilińskim, a także teksty pieśni. Tłum zalegał całą ulicę Leszno. Pod rzeźbą Matki Bożej paliło się wiele świec. Nastrój był niezwykle podniosły. W pewnym momencie na schody wszedł student i malarz Karol Nowakowski. Zaczął śpiewać. I wtedy po raz pierwszy popłynęła nad głowami zgromadzonych pieśń „Boże, coś Polskę", z nowym, zmienionym tekstem. Wcześniej był to hymn pochwalny na cześć cara, teraz młodzież dodała na koniec – „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie". Tłum tę pieśń podchwycił. Śpiewano coraz głośniej. Potem zaczęto „Z dymem pożarów" do słów Ujejskiego o tragedii z roku 1846, i jeszcze hymn legionów napoleońskich „Jeszcze Polska nie zginęła…". Rosjanie nie wiedzieli, co robić. Jak zakazać śpiewu? A tymczasem ludzie poczuli, że ta pieśń ma moc wyzwalającą. Ruszyli z nią w miasto. Tak się to zaczęło. Śpiewano później podczas każdej mszy i manifestacji. Moskale w końcu nie wytrzymali i zaczęli strzelać do bezbronnych ludzi przed kościołami. Najpierw w lutym zabito w trakcie manifestacji pięciu warszawiaków. Potem w kwietniu 1861 zamordowano kilkaset osób na placu Zamkowym. W II Rzeczypospolitej oddawano tego dnia cześć ofiarom, a na placu była wmurowana tablica upamiętniająca tę hekatombę. Dzisiaj tę tablicę można zobaczyć. w muzeum. Jakbyśmy nie musieli sięgać do trzewi Historii, jakbyśmy już nie mieli tego obowiązku, by przyszłe pokolenia wychowywać zgodnie z dziedzictwem tych pokoleń dawnych. Tablica pamiątkowa o rzezi warszawskiej zgotowanej przez Rosjan i likwidowanie lekcji historii w szkołach to różne oblicza tego samego zjawiska – odcinania duchowych korzeni.

W trakcie nabożeństwa rocznicowego przed karmelickim kościołem w roku 1860 testament duchowy przodków znalazł godnych spadkobierców – przyszłych nowych powstańców. Celebracja rocznicy listo-

padowej była wprowadzeniem w czyn dawnych narodowych przykazań. Tych właśnie, które w płomiennym kazaniu, w tymże samym kościółku w roku 1831, przypominał i zostawiał nam kapelan wojskowy, ksiądz Szenklarski.

Przewodnicy duchowi, wychowawcy narodu mówili kolejnym dzieciom polskim: uczcie się od powstańców postawy. W domu wychowaniem patriotycznym zajmowali się rodzice i dziadkowie. Gdy dziecko na gwiazdkę dostawało książkę, w której był rysunek z pędzącymi szwoleżerami, to uczyło się kochać te ułańskie czapki i ten pęd powietrza. Poeci zostawiali w duszach Polaków kolejne niezatarte ślady. „Dziady" Mickiewicza były taką nauką duchową. Kordian, który w rozszalałym zwidzie usiłuje wedrzeć się do zamku, aby zabić cara. „Noc Listopadowa" Wyspiańskiego. Łukasiński w okowach przykuty w belwederskich lochach jak Prometeusz do skały. „Warszawianka" ze Starym Wiarusem i pieśnią płynącą znad klawikordu. Wychowawcami Polaków byli też ci wspaniali księża, którzy naukę powstańczą wskrzeszali wciąż na nowo w swych kazaniach.

W siedemdziesiątą szóstą rocznicę Listopada w kościele dominikańskim w Krakowie taką mowę wygłosił biskup Bandurski:

„Naród, który ma z pohańbienia niewoli wrócić w świt sławy narodu, musi pracować nad odrodzeniem każdej jednostki, musi walczyć o duszę każdej jednostki – każdej jednostce musi dać ducha wolnego od win, każdą jednostkę musi uzbroić w siłę woli, wiodącej do celu, a wtedy z potęgą odrodzonego ducha polskiego, może i powinien naród stanąć do walki z bezprawiem i krzywdą wrogów. Zanim się zacznie walka o prawa i dusze nasze z wrogiem, musi się rozpocząć z samym sobą".

Kiedy Józef Piłsudski rozpoczął wieloletnią walkę o Polskę, wiedział, że kwestia moralna, kwestia siły duchowej narodu jest kluczowa. I że trzeba ją budować. Wielokrotnie odwoływał się do dziedzictwa powstań narodowych, szykując siłę wojenną, która orężem wydrze Polskę zaborcom. Uczył „swoje dzieci", że należy czerpać, korzystać z tego powstańczego źródła siły. Właśnie tego, jakie zostawił ksiądz Szenklarski, tego, jakie pokazywali powstańcy polscy z bronią w stygnących rękach. Piłsudski mówił do swoich podkomendnych często używając słowa „dziecko". Nie był dowódcą. Był Wodzem Polaków. I był też wychowawcą.

Za najważniejszą datę roku 1918 nie uważał wcale 11 listopada (zresztą nie zdarzyło się wtedy w Polsce nic szczególnego). Twierdził, że tym dniem przełomowym, ważnym był 29 listopada. Wtedy wydał dekret umożliwiający dalsze budowanie odrodzonego państwa – regulujący kwestię tymczasowych organów państwa, aż do ukonstytuowania się Sejmu Ustawodawczego. I właśnie w rocznicę Powstania

Listopadowego, jako Tymczasowy Naczelnik Państwa wprowadził się do Belwederu.

Gdyby popatrzeć na historię Polski jak na tkaninę, w której przeplata się wiele nici – ludzkich życiorysów, stanowiąc osnowę, to wątki tworzą giganci, tacy jak Marszałek i wielkie wydarzenia, takie jak nasze powstania. Co pewien czas utkany wzór się powtarza. Tak jak wtedy, gdy Komendant wszedł do Belwederu. Był to ten sam dzień listopada, w którym Seweryn Goszczyński stał w parku Łazienkowskim i przygotowywał się do ataku. A książę Konstanty, nic nie przeczuwając, spędzał miły wieczór w towarzystwie dam.

Żeby jednak te wątki były wyraźne, żeby ciągle były dla Polaków ważne, ktoś musi o nie dbać. Przypominać, kultywować, nauczać o nich. I – po prostu – kochać.

Tak jak kochał twórca tajemniczej „teczki listopadowej", gromadzący swoje pamiątki–skarby.

Sygnatury na luźnych kartkach wskazują na zbiory biblioteczne, które same w sobie były pomnikami polskiej kultury. Biblioteka Ordynacji Zamojskiej – spłonęła w czasie wojny. Biblioteka Czartoryskich w Krakowie – przetrwała. Zbiory Biblioteki Rapperswilskiej znajdujące się w pałacu Krasińskich – spalone przez Niemców.

Nie wiem, jakie były losy materiałów z tej teczki. Może wojenne pożary pochłonęły i tę książkę, tak jak zbiory bibliotek, które przeszukiwał autor antologii?

Ale wiem jedno. Jest w niej zaklęty duch. Ten duch niezwykłej polskości, jaki kazał jednym walczyć na barykadach, innym wygłaszać kazania, a jeszcze innym uczyć dzieci, co znaczy być Polakiem. On przetrwał. Naszym obowiązkiem jest nieść go dalej.

[wSieci, nr 47/2013]

BÓG MÓWI DO NAS USTAMI WIELKICH POLAKÓW – CZYLI O „KSIĘGACH NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO"

MOŻE to się zaczęło w Rzymie? Wtedy, gdy Mickiewicz dowiedział się z depeszy o wybuchu powstania i pobladł tak bardzo, a potem kazał otwierać Ewangelię w przypadkowym miejscu, a tam stało napisane „Domine, hominem non habeo" (Panie, nie mam człowieka)? Albo gdy przerzucał gorączkowo strony wszystkich niemieckich gazet donoszących o wydarzeniach w Polsce i cenił każdy ich skrawek z tego właśnie powodu? Pisał do Anastazji Circourt: „Nic innego teraz nie robię tylko w dzień biegam bez celu, a wieczorem myślę…". Gorączka umysłu. Wyobraźnia pędząca ku Polsce, gdy ciało przemierza bruki Lateranu. Być może rodziło się to w nim ciągle, przez wszystkie dni i miesiące oczekiwania, skłaniania się do wyjazdu i znajdowania nieoczekiwanych „przeszkód", które, jak się żalił, uniemożliwiają mu wyjazd do kraju. Wiedział, że w ratuszu śpiewano „Odę do młodości", wiedział, że czekano na niego, lecz tkwił w jakimś gorączkowym marazmie. Wahał się. Garczyński wyzdrowiał z nagłej choroby płuc, pożyczył od niego pieniądze i jechał, jechał. A on? Pisał. Słuchał księdza Chołoniewskiego. A gdy w końcu na wiosnę ruszył, powstanie chyliło się już ku upadkowi. Zatrzymał się w Wielkopolsce i tam spędził kilka miesięcy, aż do upadku insurekcji. Podziwiał krajobrazy, rozmawiał z kobietami, sięgał czasem po pióro. Ale – zatrzymał się. Będąc tuż przy granicy. Przekraczały ją oddziały pokonanych polskich żołnierzy. Pielgrzymów. Wśród nich był jego brat Franciszek, który lekko ranny wszedł do Prus wraz oddziałem generała Rybińskiego. Szukał go, słał listy. I spoglądał na tych, którzy rozpoczynali swą tułaczkę – ich ciała napędzane były silnym duchem. Może i to się jeszcze dołożyło? I poczucie winy? A potem Drezno. I pisanie „Dziadów", części III. W nich opowieść o Powstaniu, lecz bez Powstania. Osadzona na tym, co sam widział i przeżył. Na doświadczeniach wileńskich. Na pracy Lelewela o Nowosilcowie. Po skończeniu dramatu ruszył do Paryża. Tam odczuł, jak zgromadzona we Francji grupa emigracyjna patrzy krzywo na jego brak zaangażowania w trakcie powstańczych walk. Więc może to też się dołożyło?

Wreszcie w 1832 roku napisał w stolicy Francji niezwykłe, mistyczne dzieło, „ewangelię patriotyczną" – „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego". Stały się one dla wielu pokoleń polską „biblią", wskazując kierunek budowania Niepodległości. Oparty na Bogu i Chrystusie.

Przed wybuchem Powstania Styczniowego owe zakazane „Księgi" krążyły w wielu odpisach. Tak jak i inne dzieła wieszcza. Młodzież przepisywała je po cichu, po ławką, chroniąc je przed czujnym okiem nauczyciela. Trafiały z rąk do rąk. I były traktowane literalnie, jak instrukcja. Jeśli Mickiewicz napisał o czamarach, to brano to jako wskazanie. „Ale jeśli niektórzy z Was różnią się od drugich, tedy dlatego, iż przybrali suknie cudzoziemskie: jedni włożyli czerwone czapki francuskie, a drudzy gronostaje angielskie, a drudzy togi i birety niemieckie. A dzieci przebranych często matka własna nie pozna. Ale skoro ubiorą się wszyscy w czamary polskie, i poznają się wszyscy, i usiędą na kolanach matki, a ona wszystkich zarówno uściśnie". Ludzie więc, w ramach protestu przeciwko temu co się dzieje, przeciwko niewoli i knutowi, przeciwko strzelaniu do bezbronnych na ulicach, zaczęli ubierać się w stroje narodowe. Wysokie buty i czamary – wedle mickiewiczowskich „Ksiąg" – stawały się obowiązkowym ubiorem dla tych, którzy chcieli się postawić carowi. Okres manifestacji patriotyczno–religijnych przed wybuchem Powstania był w sporej mierze inspirowany mickiewiczowską „biblią". To dlatego modlitwa, pieśń religijna i patriotyczna stawały się duchową bronią wymierzoną w kacapów. Mickiewiczowska polska „ewangelia" nie tylko formą nawiązywała do Biblii. Polacy mieli poczucie, że została napisana pod wpływem natchnienia, które nie jest „z tego świata".

Zapewne literaturoznawcom nie wypada rozważać takich kwestii, gdyż wykraczają poza obręb nauki, są niesprawdzalne i nieweryfikowalne empirycznie. Ale gdy rozmyślanie zaczniemy wychodząc z domeny Ducha, wtedy już wolno postawić takie pytanie. Czy Bóg może natchnąć człowieka, tak by ten pisał ożywiony jakimś niezwykłym Bożym darem? Czy utwory o naturze mistycznej to jedynie wytwory pobudzonego emocjami umysłu, efekt poetyckiego transu? A co jeśli… Jeśli to Bóg tak nakierowuje myśl, serce, rękę ludzką, że zaczyna ona zapisywać słowa płynące wprost z niebiosów? Możemy spojrzeć na inne dzieła budujące naszą kulturę – zdanie Kadłubka zaczynające kronikę – „była kiedyś cnota w Rzeczypospolitej" Albo Długoszowe pociągnięcia pióra, gdy w łacińskich rocznikach zamieszczał polskie słowa? Albo tekst unii horodelskiej z 1413 roku? Czy nie aniołowie stali za plecami księdza Skargi? A co z całą serią cudownych polskich kazań – księdza Kajsiewicza, biskupa Woronicza, księdza Bandurskiego, św. Jana Pawła II, czy bł. księdza Popiełuszki?

Gdyby ktoś zapytał – w jaki sposób Bóg mówi do Polaków, to czy nie dostałby najprostszej z możliwych odpowiedzi? Bóg mówi do nas ustami Wielkich Polaków. Lecz usłyszeć ich trudno, tym trudniej, gdy wokół jazgot współczesności.

W czerwcu 1832 roku, w paryskim mieszkaniu Adam Mickiewicz czytał III część „Dziadów" Bohdanowi Zalewskiemu. Czytał do późna w nocy. Gdybyż móc usłyszeć, z jakim żarem lały się słowa z ust poety. Jaki takt nadawał wersom – „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga! Z Bogiem! I choćby mimo Boga!". Może Zalewski popatrzył przez okno, na uśpione miasto? „Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę! Cóż ty większego mogłeś zrobić – Boże?". Może wyzwanie rzucone Wszechmogącemu zawisło na chwilę w pokoju, a potem odbiło się echem i wyleciało w noc, na paryską ulicę, gdzie stłumił je dźwięk dorożki?

Więc może i ten wieczór u Zalewskiego się dołożył? Tego nie wiemy. Ale możemy czytać tekst „Ksiąg". Nie jako zabytek dawno minionego czasu, nie jako utwór pisany w emocjonalnym zrywie, pod wpływem upadku powstania, lecz tekst, który w jakiejś mierze mógł być pisany w natchnieniu Bożym. A gdyby tak go widzieć… To nadal byłby aktualny.

Nie w sensie dosłownym oczywiście, lecz dotyczącym generalnej myśli, która w podręcznikach jest określana, jako „mesjanizm". Już Wespazjan Kochowski wyrażał tę myśl w swoich psalmach, lecz to Mickiewicz nadał im największy rozpęd w epoce romantyzmu. Polska, jak niegdyś naród wybrany, ma do spełnienia specjalną misję w świecie. Tą misją jest walka o Wolność oparta na nauce Jezusa Chrystusa:

„A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty, aż ją znajdzie.

Ale naród polski nie jest bóstwem jak CHRYSTUS, więc dusza jego, pielgrzymując po otchłani, zbłądzić może, i byłby odwleczony powrót jej do ciała i zmartwychwstanie.

Odczytujmy więc Ewangelią CHRYSTUSA".

Pytał wieszcz, dlaczego dane jest narodowi polskiemu „dziedzictwo Przyszłej Wolności świata". I wcale nie ze względu na dawną wielkość, bo tę miały wielkie mocarstwa, które i tak z czasem upadały. Odpowiedź jest następująca: „A Wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający". Dalej wskazywał Mickiewicz różne przeciwności, które może napotkać w swoim życiu Polak Pielgrzym – i te materialne, i związane z utratą władzy, a nawet państwa. Tu wieszcz daje przykład Chrystusa. I wspomina Krzyż. Krzyż jako drogę. I Krzyż jako drogowskaz.

A potem pisze: „A Wy staliście się kamieniem probierczym książąt i mędrców świata tego; bo w pielgrzymstwie Waszym aza nie więcej Wam pomagali żebracy niż książęta, a w bitwach Waszych w więzieniach, i ubóstwie, aza nie więcej Was nakarmił pacierz niżeli nauka Voltaira i Hegla, które są jako trucizna, i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?". To wezwanie winniśmy przyjąć na dzisiaj, szczególnie patrząc na przyszłość i państwa, i narodu. Nie budować jej na wywiedzionej z Oświecenia i czasów rewolucji francuskiej kulturowej „otwartości", która de facto nie jest żadną otwartością i nie stanowi cywilizacji stojącej na wartościach, lecz na jej brakach. Oprzeć ją trzeba na Bogu i Jego Przykazaniach. Możemy sobie wyobrazić pewien konflikt, w którym z jednej strony ustawimy siebie jako centrum, a z drugiej Boga jako źródło życia, mądrości prawdy. To wskazywał Polakom Mickiewicz w swoich natchnionych księgach. Nie samowola, lecz wola Boża winna stanowić dla nas kierunkowskaz. Wybór tego „siebie" to właśnie stawanie po stronie cywilizacji Voltaire'a – to walka o in vitro (zapewnienie sobie potomstwa, nawet kosztem życia wielu innych dzieci), to aborcja na życzenie (liczę się ja, nie życie dziecka), to wreszcie folgowanie takim pułapkom chorego umysłu, które każą zmieniać płeć, która nas definiowała od poczęcia. Wybór Bożej drogi – to kierowanie się duchem Miłości do innych ludzi oraz życie moralnie dobre. Tylko takie społeczeństwo jest i będzie w stanie zdobywać się na czyny wielkie. „Zaprawdę powiadam Wam, iż cała Europa musi nauczyć się od Was, kogo nazywać mądrym. Bo teraz urzędy w Europie hańbą są, a nauka Europy głupstwem jest".

Mickiewicz tłumaczył w „Księgach", jak powinniśmy rozumieć „cywilizację": „Wyraz cywilizacja znaczył obywatelstwo, od słowa łacińskiego civis, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za Ojczyznę swą, jako Scevola i Kurcjusz, i Decjusz, a poświęcenie się takie nazywano obywatelstwem. Była to cnota pogańska, mniej doskonała niżeli cnota chrześcijańska, która każe poświęcać się nie tylko za Ojczyznę swą, ale za wszystkich ludzi; wszakże była cnotą".

Jak tę cnotę, czyli cywilizację polską budować? Na czym ją oprzeć? Na te pytania Polacy po raz kolejny będą sobie odpowiadać w tym roku, idąc do urn wyborczych, w trakcie kolejnych wyborów. Obawą jedynie napawa fakt, że wielu z nich uczyni to już zupełnie bezrefleksyjnie. A tymczasem my wszyscy jesteśmy Pielgrzymami Polskimi. Mamy domy polskie, a dzieci uczą się po polsku. Ale ciągle zmierzamy. Do Polski. Tej, która jest w przyszłości. Do niej pielgrzymujemy. Jaka ona będzie, gdy dotrą nam nasze dzieci i wnuki?

Są dwie piękne modlitwy w mickiewiczowskich „Księgach”. Jedna z nich brzmi tak: „Panie BOŻE wszechmogący! Dzieci Narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algeru, i z Francji, ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości. myślą i łzami. BOŻE Jagiellonów! BOŻE Sobieskich, BOŻE Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen”.

Boże Jagiellonów, Boże Sobieskich, Boże Kościuszków! Czyli Boże nasz, Ojcze nasz. Boże takich Polaków, jak Jagiellonowie, takich jak Sobieski, takich jak Kościuszko.

Druga, chwytająca za serce to Litania Pielgrzymia, w której błagamy Boga – „Wróć nas do Ojczyzny naszej”. Litania zwraca się do świętych polskich – św. Stanisława czy Kazimierza. I zwraca się też ogólnie – „Wszyscy święci opiekunowie Rzeczypospolitej naszej, Módlcie się za nami”. A potem następuje tekst, który zacytuję w całości. Tekst, po którym już nie trzeba nic dodawać. Gdy Polacy zmawiali tę modlitwę, po ostatnim „amen” milkli wzruszeni, ze łzami w oczach. Klęcząc razem w świątyni, byli i są jednym. Polskim narodem.

„Od niewoli moskiewskiej, austriackiej i pruskiej,
Wybaw nas, Panie.
Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich poległych za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas, Panie.
Przez męczeństwo dwudziestu tysięcy obywateli Pragi wyrżniętych za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas, Panie.
Przez męczeństwo młodzieńców Litwy zabitych kijami, zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,
Wybaw nas, Panie.
Przez męczeństwo obywateli Oszmiany wyrzniętych w kościołach Pańskich i w domach,
Wybaw nas, Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy zamordowanych w Fischau przez Prusaków,
Wybaw nas, Panie.
Przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kronstadzie przez Moskali,
Wybaw nas, Panie.
Przez krew wszystkich żołnierzy poległych w wojnie za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas, Panie.
Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich,
Wybaw nas, Panie.
O wojnę powszechną za wolność ludów,
Prosimy Cię, Panie.
O broń i orły narodowe,
Prosimy Cię, Panie.
O śmierć szczęśliwą na polu bitwy,
Prosimy Cię, Panie.
O grób dla kości naszych w ziemi naszej,
Prosimy Cię, Panie.
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej,
Prosimy Cię, Panie.
W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. – Amen".

[wSieci, nr 02/2015]

ROSYJSKA TWIERDZA – CZYLI JAK MOSKALE NIE WYPUSZCZAJĄ Z ŁAP POLSKICH SYMBOLI

MIASTECZKO Schlüsselburg leży nad brzegiem Newy, zaraz obok miejsca, w którym rzeka wypływa z wielkiego jak morze jeziora Ładoga. Mieścina sprawia wrażenie wymarłej – przy nabrzeżach stoją rdzewiejące, butwiejące kutry i brudne, nieruchome jak zastygłe potwory, koparki. Pomiędzy nimi, pomiędzy jakimiś komórkami z dykty i budynkami o odpadającym tynku kręcą się wychudłe psy biegnące czasem gdzieś daleko, w sobie tylko znanych sprawach. Kiedy błotnistą drogą dotrze się na brzeg szeroko rozlewającej się rzeki, to na samym środku ciemnego nurtu widać czerniejący, ponury masyw – wyspę, z której wyrastają w górę mury twierdzy. To Kriepost Orieszek, najbardziej ponure z więzień Rosji. Można się do niego dostać tylko motorówką lub łodzią. Silnik pracuje powoli, dziób uderza w niewielkie fale, rozbijając je, a wodne drobiny osiadają na twarzy. Od Ładogi zaczyna wiać zimny, ostry wiatr, przynoszący ze sobą zapach zmrożonych połaci ogromnego jeziora. Wyspa robi się coraz większa i większa, a wiszące nad nią ciemno bure kłębowiska chmur dopełniają obrazu, który mógłby się stać scenografią dla awanturniczych powieści pisanych przez Aleksandra Dumas. Siłą rzeczy zresztą, gdy siedziałem w tej łodzi i patrzyłem na rosnące w oczach mury, przypomniała mi się książka, którą czytałem w dzieciństwie – „Hrabia Monte Christo".

Taką drogę pokonywał od stuleci każdy, kto płynął w stronę szlisselburskiego więzienia. Pokonywała ją więc małżonka Piotra Wielkiego, carowa Eudoksja Fiodorowna, i jego siostra, carewna Maria Aleksiejewna, która zakończyła tu życie w męczarniach. Na tę samą twierdzę patrzyli, siedząc w chwiejnej łódce, i car Iwan Antonowicz, i Golicyn za Anny Iwanowny, i Nowikow, który podpadł Katarzynie II, czy bracia Bestużewowie skazani przez Mikołaja. A także wielu innych. Wszyscy trafiali do tego miejsca, które obrośnięte było ponurą sławą. Na słowo „Schluselburg" drżały serca. Tu trafiało się za najcięższe przewiny. Tutaj też rosyjska włast reedukowała poddanych, z których połowa (!) w wyniku tej reedukacji popadała w obłęd. Myślałem o tym, gdy łódź połykała kolejne fale, a obok mnie siedziała moja żona, okutana w różne szale z powodu dojmującego, mimo

pierwszych dni maja, zimna. Na tylnej ławce towarzyszył nam zaprzyjaźniony polski ksiądz, salezjanin z Petersburga, dzięki któremu w ogóle udało nam się dotrzeć do Schluselburga. Patrząc w stronę zbliżających się ponurych murów zdało mi się, że wraz z nami płynie polski żołnierz, major Łukasiński, który do Krieposti Orieszek trafił zaraz po wybuchu Powstania Listopadowego i spędził tam ponad 37 lat. Większa część z tego czasu kary była zupełnie bezprawnie – Łukasiński miał wyrok zaledwie „kilkunastoletni", jednak więziono go dalej na podstawie rozkazu Wielkiego Księcia Konstantego, a podtrzymywanego później przez carów Mikołaja i Aleksandra II.

Walerian Łukasiński stał się podręcznikowym symbolem polskiej walki o Niepodległość – znane są ryciny przedstawiające go przykutego do armaty (za którą był wleczony przez Rosjan po wybuchu insurekcji 1830 r.), Wyspiański uczynił z niego jedną z najważniejszych postaci „Nocy listopadowej", budując metaforyczną siłę w finale dramatu. Jest w tej postaci niezwykła moc. I była wtedy, gdy Fatum skazywała majora na śmierć w zapomnieniu. W ceglanych murach twierdzy, na niewielkiej wysepce leżącej na samym środku nurtu Newy.

Warto go sobie przypomnieć, kiedy naszą narodową wrażliwość porusza kwestia wraku prezydenckiego tupolewa. Strona polska od samego początku oddała go w ręce Rosjan, godząc się tym samym na stan rzeczy, w którym rozporządzają oni pełnymi możliwościami prawnymi, aby pozostałości maszyny przetrzymywać u siebie w nieskończoność. Innymi słowy – trzeba od razu założyć, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Polska nigdy nie odzyska resztek samolotu. Pierwszy powód jest oczywisty – to chęć ukrycia bezpośrednich dowodów na to, że wersja Anodiny jest kłamstwem. Drugi dotyczy siły symbolu oraz jego wartości psychologicznej . Ta właśnie kwestia każe myśleć o analogii do casusu więźnia stanu, jakim był major Łukasiński. Kluczem jest to, że system carskiego sądownictwa, chociaż surowy, to jednak bazował na literze prawa i np. zesłańcy po odbyciu katorgi mogli wracać do domu. W wypadku jednak Łukasińskiego – mimo iż odsiedział czas oficjalnych wyroków – i tak nie został zwolniony. Pomimo pism wysyłanych do carów przez kolejnych komendantów. Najważniejsza była duchowa wartość Symbolu, jakim był sam major. Jego „zwrot" stronie polskiej byłby po prostu błędem natury politycznej. Znając przecież gorące głowy Polaków i ich pragnienie wolności mogli władcy rosyjscy zakładać, że powrót więźnia o takim „nazwisku" mógłby sprowokować następne bunty…

Majora Waleriana Łukasińskiego, twórcę Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patriotycznego, postanowiono zniszczyć duchowo. Był przecież „zarzewiem", rodzajem ideologicznego wodza. „Ła-

manie ducha" nastąpiło zaraz po aresztowaniu, kiedy dowódcę prowadzono odartego z dystynkcji, przed szeregami żołnierzy. Wiarusi płakali, a on w ramach upodlenia pchał taczkę. Upokorzenie go było celem Moskali. W Zamościu poddano go bardzo ciężkiemu śledztwu. Czemuż miała służyć obecność przy karze czterystu kijów, jaką wymierzono współobwinionemu, a którą nakazano majorowi oglądać? Twierdza szliselburska to – mówiąc brzydko – kluczowy element programu „łamania karku polskiego". Waleriana Łukasińskiego wtrącono do kazamatów tzw. Sekretnego Zamku. Dzisiaj także ta „baszta świetlikowa", w której trzymano Polaka, robi potworne wrażenie. To najniżej położony loch, znajdujący się pod pomieszczeniem, w którym dogorywał niegdyś car Iwan. Tak Czernyszew opisywał wolę cesarską w stosunku do więźnia: „Przestępcę z Królestwa Polskiego, Łukasińskiego, przyjąć i trzymać w twierdzy schlusselburskiej jako przestępcę stanu, jak najtajniejszym sposobem *(samym tajnym obrazom),* tak iżby oprócz komendanta twierdzy nikt nie wiedział nawet o jego nazwisku, ani też skąd do więzienia przysłany został". Z tego też względu, gdy major pojawił się na wyspie w styczniu 1831, podjęto wobec niego najsurowsze środki. Wśród nich był zakaz dla strażników wszelkiej rozmowy z więźniem. Stąd, gdy schodzili do niego z jedzeniem, pilnowali się wzajemnie, by nie powiedzieć ani słowa. Do tego dodać należy ekstremalne warunki pogodowe – wilgoć, zimno, potężne mrozy i długie zimy. Wtedy, w maju, gdy zwiedzałem twierdzę jeszcze wszędzie leżały zwały śniegu, a z Ładogi schodziła dopiero kra. W takich potwornych warunkach przetrwał dzielny Polak kilkadziesiąt lat. Samo to jest świadectwem niebywałej po prostu siły ducha. Iście prometejskiej. Los słynnego więźnia polepszył się nieco pod koniec lat pięćdziesiątych wieku XIX, gdy do twierdzy przybył nowy komendant, generał major Józef Leparski. Był to zruszczony Polak, szlachcic, którego stryj Stanisław wiernie służył carowi Mikołajowi pilnując skazańców w Nerczyńsku. To u niego fachu „więziennictwa" uczył się synowiec. Leparski rozpoczął swe rządy na wyspie od obejrzenia wszystkich więźniów, dopytując o wyroki i zbrodnie. Na koniec przyprowadzono do niego siwobrodego starca, Matuzalema polskiego, bojownika o Rzeczpospolitą. Okazało się, że nikt nawet nie pamięta, kiedy trafił do twierdzy. Podobno był od „zawsze". Coś musiało się tlić dobrego na dnie duszy nowego komendanta, jakiś ślad polskości, bo podjął działania, by ulżyć doli wiekowego więźnia. Majora przeniesiono na ostatnie lata życia do lepszej, ciepłej i widnej celi, w tzw. sekretnym domu. Dzisiaj jest tam część muzealna, udostępniana zwiedzającym. Jednak do celi Łukasińskiego wchodzić nadal nie wolno. W małej izdebce strażników siedzi gruba, ruska baba. Gotuje czaj w imbryku. Opiera łokcie na stole obłożonym cera-

tą. Gdy poinformowałem ją, że muszę wejść do celi Waleriana Łukasińskiego zmrużyła oko i spytała: „Za ciem?”. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem i piszę o nim książkę. I wtedy dopiero się zaczęło. Drogą radiową porozumiewano się z Moskwą i z ministerstwem kultury. Musiałem udzielić kilku odpowiedzi na pytania w stylu „o kim piszę” i „dlaczego piszę”. Zadawała mi je bezpośrednio urzędniczka z Moskwy. Posłużyłem się więc wybiegiem. Użyłem w odniesieniu do Łukasińskiego słowa „rewalucjonist”. W znaczeniu dziewiętnastowiecznym było to całkowicie zgodne z prawdą. Rewolucjami nazywano przecież polskie powstania, a „rewolucja” nie miała jeszcze takiego zabarwienia, jak obecnie. Dopiero to skruszyło lody. Udzielono mi zezwolenia. Otworzyły się drzwi, zgrzytnęły zasuwy. Na długą chwilę zostałem w środku sam. Dotknąłem dłonią pieca. Usiadłem na pryczy. A potem podszedłem do okna. Przez popękaną szybę i przez kraty widać było jedynie cegły pobliskiego muru. Nagle wyszło słońce. Patrzyłem na to słońce i myślałem o tym, że on nadal „żyje” duchowo, że wszystko, o co walczył, nadal ma sens. Bo ja tam jestem. Bo może kiedyś o tym komuś opowiem. Wreszcie – bo oni ciągle boją się mnie, Polaka, tam wpuszczać. Jakby cały czas żyła w Rosjanach ta sama mieszanina pychy wobec nas, a zarazem lęku wobec nas. Pogardy i szacunku. Wyniosłości i poczucia niższości.

Major Łukasiński pod koniec życia zdawał się tracić rozum. Do celi dostarczono mu papier i książki. Zaczął spisywać pamiętnik – niezwykły ślad swojej duchowości, swojej woli i swojego umysłu. Nie jest to łatwa lektura, trzeba bowiem podążać za meandrami myśli i emocji, nurzać się w nagłe załamania konstrukcji logicznej. Jakby ktoś gorączkowo spisywał te rzeczy, które przychodzą mu na myśl, jedna po drugiej, pod wpływem impulsów. Na ziemiach polskich trwało właśnie krwawe powstanie. Polacy, ciągle żywieni duchem, który on sam zasiał, chwycili za broń i zaczęli beznadziejną walkę, bo ważniejszy dla nich był Honor i Odwaga, niźli życie w upodleniu. Lecz jednocześnie, w tym wszystkim jest też i wątek bardzo smutny. Otóż w kraju o majorze Łukasińskim właściwie zapomniano. W roku 1830, w czerwcu, upominał się o niego marszałek Małachowski, lecz później… była cisza. Niektórzy sugerowali, że to Skrzynecki jest za to odpowiedzialny. Wsławiony bojami w czasie insurekcji generał miał za sobą bowiem niezbyt chlubną kartę. Podpisał się pod wyrokiem wojskowym skazującym majora, wezwany na „dywanik” do Wielkiego Księcia Konstantego. Zapewne niezbyt mu było wygodnie – powiedzmy oględnie – zabiegać o przypominanie sprawy Łukasińskiego. Pisał raz w sprawie uwolnienia majora, jego brat Antoni, a potem próbowała dowiedzieć się, co się z nim właściwie stało – jego siostra

Tekla Łempicka, która monitowała samego cara Aleksandra. Bez skutku.

Smutne jest to, że nie zadbał o niego żaden przedstawiciel polskich władz, ani oficjalnych, ani podziemnych, w ciągu tych prawie czterdziestu lat odsiadki w strasznej twierdzy szliselburskiej.

Wrak tupolewa leży w Rosji. I będzie leżał. Jego los jest losem więźnia stanu. Wrak niesie ze sobą jakiś sens i cel. On mówi. A mówi nie tylko o tym, co tragicznego zdarzyło się na wschodnim podejściu do lotniska Siewiernyj rankiem 10 kwietnia. Mówi o tym, po co tam leciał. Kogo wiózł. W jakim celu. Mówi także – niestety – o słabości naszego rządu, o jego małości i lękliwości. Dlatego będzie tam długo leżał. Aż do momentu, gdy – być może – z jakiegoś powodu przestanie być potrzebny.

Michaił Bakunin, który trafił do Krieposti Orieszek, dał świadectwo, że spotkał tam niezwykłą postać, polskiego więźnia, „żelazną maskę". Otoczonego tak wielkim sekretem, że wielu urzędników carskich nawet nie wiedziało o jego istnieniu. Bakunin tak wspominał spotkanie z Łukasińskim: „Pomiędzy oficerami dyżurnymi był jeden człowiek godny, współczujący; od niego dowiedziałem się w zaufaniu, iż ów więzień był to Łukasiński. Cała moja usilność odtąd była, aby móc go jeszcze zobaczyć, przemówić do niego; ułatwił mi to zacny oficer. Po kilku tygodniach, w czasie dyżuru oficera tego, pod jego osłoną znów wyprowadzono Łukasińskiego. Sposobem umówionym zawczasu, niepostrzeżony od współwięźniów doszedłem go z bliska i półgłosem zawołałem: „Łukasiński". Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie półzaciemnione oczy. „Kto?" zapytał. „Więzień tego roku" – odrzekłem. „Który rok?" – zapytał. Odpowiedziałem. „Kto w Polsce?" „Mikołaj". „Konstanty?" „Nie żyje". „Co w Polsce?". „Wkrótce dobrze będzie" – odpowiedziałem".

Dialog ten jest niezwykły. Po tylu latach turmy pierwsze, co major chce wiedzieć, to jak jest w Polsce. To Ojczyzna. Czy czegoś więcej potrzeba? Czyż to pytanie: „Co w Polsce?", nie powinno być wryte w duszę każdego Polaka?

W „Pamiętniku" Walerian Łukasiński napisał zdanie, które mną wstrząsnęło.

„Ja nie jestem już z tego świata. Wolny od obaw i nadziei, a nawet od przesądów, uprzedzeń i namiętności, mało mając styczności z obecnością, ja żyję tylko w przeszłości". Silny przeszłością przetrwał najgorsze upokorzenia i trudy. Pamięć o przeszłych pokoleniach, choćby o jednym Łukasińskim – pozwala myśleć, że obecna walka o Prawdę ma sens.

[Gazeta Polska, nr 17/2013]

W HOTELU de Victoire, w Metzu, dnia 14 stycznia roku 1832 Maurycy Mochnacki pisał list do matki. To był, jak sam zaznaczył „pierwszy moment od wzięcia Warszawy", gdy mógł zebrać spokojnie myśli i przelać je na papier. Każde zdanie, każde słowo tego listu świadczy o tym, kim był. Czuć i pióro genialne, i myśl przednią, i ducha patriotycznego. Starał się opowiedzieć matce, choć historia jawiła mu się „długa, tak dziwna jak romans", a także „zawikłana, jak kabała w hiszpańskiej tragedii", o tych chwilach szczególnie dla niego ciężkich. Ten niezwykły intelektualista, krytyk literacki, dziennikarz, polityk i historyk był jednocześnie żołnierzem oraz w pewnym sensie… poetą. Był świadkiem i uczestnikiem Powstania Listopadowego, a jednocześnie jego interpretatorem, krytykiem, a w końcu jego historykiem. W dużej mierze jego ostrej, zdecydowanej postawy wielu nie rozumiało. Lub też rozumiało zbyt dobrze. Stąd wyrok śmierci groził mu i od swoich, i od Rosjan. „Nie mogłem pojąć na co się to przyda wieszać szpiegów nieboszczyka Konstantego, szpiegów bezbronnych i uwięzionych, których kat mógł za dekretem sądu powiesić. Nie mogłem pojąć na co się to przyda wtenczas, kiedy tyle innych daleko szkodliwszych ludzi i niebezpieczniejszych sprawowało urzędy. Nie Makrot i Szlaja, ale naczelnicy władzy z generałami zdrajcami, powinni byli pokutować na latarni za wszystko złe, jakie nabroili, po części z nierozumu, po części ze złej woli".

Syn pisał do matki o owej strasznej nocy, z 15 na 16 sierpnia roku 1831, gdy lud warszawski miał już tak dość zdrady, przeniewierstwa i tchórzostwa, że zaczął wymierzać kary zaprzańcom. Gdzieniegdzie mówiono, że się Mochnacki do tego przyczynił swą krytyką zdrajców polskiej sprawy, a za takich miał tych wszystkich, którzy zamiast prowadzić nas do zwycięstwa, próbowali na wszelkie możliwe sposoby rewolucyjny zapał wygaszać – jak np. dyktator Chłopicki. Jednak on sam się od tych wypadków wyraźnie odżegnywał, a nawet podkreślał, że na skutek intrygi mógł tej nocy stracić życie. Zemsta ludu nie brała się z niczego. Ludzie zobaczyli, że zaprzepaszczono szansę wy-

walczenia wolności. Mochnacki tę szansę także widział. I tym bardziej bolał nad tym, że powstanie upada.

Gubernator Chrzanowski kazał go odwieźć na linię walki i tam wydać Rosjanom, jednak eskorta tego nie uczyniła. Mochnacki patrzył na miasto oczami poety:

„Jakiż widok na ulicach Warszawy? Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpaczy. Żołnierze rozpierzchnieni bez ładu; artyleria, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno, jak w wilczej jaskini. Tylko łuna na niebie od pożarów naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała. Zapłakałem wśród tego zgiełku. Wszystko to zdawało mi się być strasznym snem, utworem gorączki, która mnie wtedy trawiła płodem ognistej imaginacji".

Poezja nie jest zaklęta tylko w słowach kładzionych na papier drżącą ręką artysty. Poezją może być każdy element rzeczywistości, któremu nadamy ton metafizyczny poprzez własną wrażliwość. Życie więc całe, samo w sobie, może stać się rodzajem poezji. Mochnacki pisał w swoich dziełach krytyczno–literackich o romantyzmie polskim, który spełnia rolę wyjątkową, szczególną – jest poezją narodową. Stał się więc, według własnych literackich teorii, „poetą" ubranym w mundur, wyprzedzając pokolenia Baczyńskich i Gajcych. Odniósł rany w bitwie o Olszynkę Grochowską, a te rany stawały się stygmatem szczególnie pojmowanej miłości ojczyzny. Takiej miłości, w której nie ma miejsca na szukanie półśrodków, nie ma miejsca na drogę na skróty, w ugodowym schylaniu karku i szukaniu porozumienia z wrogiem.

Gdy Mochnacki znalazł się na emigracji, postanowił spisać historię czynu, którego był uczestnikiem i inicjatorem. Z zamierzonych początkowo trzech, a następnie czterech tomów monumentalnego dzieła „Powstanie narodu polskiego w 1830 i 1831 roku" zdołał napisać jedynie dwie części, zanim życie przecięła śmierć, która nie mogąc go dopaść na polu bitwy, załatwiła sprawę mikrobami gruźlicy. Historia ta miała być również odpowiedzią na różnorakie zarzuty, które wobec niego w kraju wysuwano. Sięgano przy tym wielu lat wstecz – gdy rzeczywiście w życiorysie Mochnackiego znalazły się pęknięcia i rysy. Nie był postacią świetlaną. To, co spisywał siedząc w więzieniu karmelickim w latach dwudziestych XIX wieku, zostało wykorzystane przez carskie władze do uderzenia w wolnościowe pisma. Miał też na koncie epizod pracy w cenzurze, choć był do tego przymuszony, ale cenzor dość szybko go wyrzucił, widząc, że pracownik zamiast obcinać niebezpieczne fragmenty, po prostu je zostawia. Jednak w okresie Powstania Listopadowego stał się jednym z najgorętszych zwolenników zdecydowanej walki z Rosjanami. Krytykował zajadle sejm, rząd i naczelne dowództwo za kunktatorską postawę. Należał

do sprzysiężenia Wysockiego i założył „klub rewolucyjny". W wieku XIX nasze powstania nazywane były rewolucjami. Samo słowo nie miało takich konotacji, jak obecnie, gdy przeciętnemu czytelnikowi kojarzy się ono z wydarzeniami w Rosji roku 1917.

Mochnacki, pisząc swoje dzieło na świeżo, tuż po powstaniu, wiedział, jak wielkie znaczenie ma walka o to, jak owe wydarzenia zostaną zobaczone z perspektywy historycznej. Że historia zarówno dzieje się na żywo, jak i jest w pewnym sensie na żywo opisywana dla przyszłych pokoleń. Fakty mieszają się z interpretacjami. I często zostawiają ślady, które osadzają się w świadomości narodowej na zawsze. Właściwie na bieżąco toczy się walka o interpretację rzeczywistości historycznej. Tak dzisiaj dzieje się ze Smoleńskiem, czy z kwestią roli Lecha Wałęsy, z którego jedni starają się zrobić świętość narodową i jednoosobową Solidarność, a inni ciągle wskazują na bezdyskusyjne dowody współpracy z SB. Być może Mochnacki starał się opisać powstanie tak szybko, jak się da, gdyż wiedział, że jego samego także może osądzić historia – i tym większą wagę przykładał do tworzonego dzieła. Jednocześnie dbał, by dać obrazom jak najszersze tło, ukazać jak najwięcej przyczyn i zjawisk, które doprowadziły do wybuchu insurekcji.

Ciekawie tu wygląda trop, jaki podjął próbując dokonać klasyfikacji, zdefiniować ruch irredenty polskiej. Jak już wspomniałem, powszechnie mówiono na nasze powstania – „rewolucje". Tymczasem karliści francuscy – pisze Mochnacki – nazywali rozbiory Polski „rewolucjami zrządzonymi przez monarchów przeciwko narodowi polskiemu; a powstania nasze kontrarewolucjami, to jest ciągłym dążeniem do restauracji". Wywodzili oni analogię między sytuacją starszej linii Burbonów we Francji do sytuacji narodu polskiego, któremu odebrano legalną władzę w państwie. Wyjaśniał dalej, że za rewolucję należy uznać zmianę dotychczasowego porządku (np. systemu władzy) przez gwałtowne „wstrząśnienie". Z tej strony uważał, że powstania nasze nie miały w sobie nic rewolucyjnego, gdyż „były légitimes; były tylko odparciem zewnętrznej napaści, były walką z uzurpatorami". Jednocześnie jednak widział potrzebę odnowy, głębokiej reformy stosunków społecznych, budowania naszej Polski w nowych kształtach na fundamencie dawnych wartości. „Powstania nasze mają dwojaką naturę: częścią są rewolucją, częścią restauracją. Starej Polski, która zginęła nierządem, rozpasaną swawolą, fałszywym, niesprawiedliwym stosunkiem mniejszości narodu do większości, odgrzebywać nikt nie myśli". I to była u Mochnackiego ta myśl „demokratyczna", „rewolucyjna". Wszystko, co złe, powinno być wyplenione. Lecz jest i drugie, konserwatywne oblicze naszych insurekcji. Całość tej powstańczej formuły à la Mochnacki brzmi: „A zatem, środ-

kiem powstania w Polszcze, nie jedynym, ale głównym, jest rewolucja społeczna, pojęta w duchu narodowym, całkiem obcym zachodnim wyobrażeniom w tym względzie; a celem jego jest restauracja terytorialna kraju". To była rzecz, która jednoczyła wszystkich. Myśl o odnowieniu całości terytorialnej Polski. Postulowali to później także powstańcy styczniowi. Już pieczęć Rządu Narodowego była symbolem tej walki – znajdowały się na niej herby Polski, Litwy i Rusi, a także napis: „Wolność, Całość, Niepodległość". Całość miała ogromne znaczenie. Ciągle pod zaborami mieszkały setki tysięcy Polaków wcielonych na siłę do innych państw. Więc gdy Powstanie Styczniowe wybuchło, to także i stronnictwo białych przyłączyło się do walki, bo te hasła z pieczęci były zbyt nośne, zbyt wiele znaczyły dla serc Polaków, żeby nie chwytać za szablę. Zresztą niezwykle wzruszająca jest postawa właśnie tych „białych", którzy ginęli za Polskę w „niechcianym" powstaniu, gdyż tak rozumieli swój obowiązek wobec ojczyzny. Symboliczny spór o to, czy orzeł na pieczęci powinien mieć konserwatywną koronę, czy też nie, zgodnie z demokratycznym duchem – był jedynie sporem formalnym. Wolna Polska ciągle stanowiła cel obu grup.

Maurycy Mochnacki – historyk i polityk, żołnierz–poeta i krytyk literacki, był jednym ze współzałożycieli „Gazety Polskiej". Uderzał słowem, bez pardonu wskazując tych, którzy byli zdrajcami narodowej sprawy, oraz wskazywał drogę walki o Wolność. Tym pisał goręcej i ostrzej, że widział marnowane szanse.

Polska miała odzyskać Niepodległość kilkadziesiąt lat później. Wtedy Fortuna dała nam innego giganta. Józef Piłsudski pilnie śledził i studiował dzieje naszych powstań. Widział wszystkie braki i błędy naszych przywódców, uczył się na nich. A jednocześnie czerpał z dziedzictwa duchowego. W pewnej mierze podchwycił myśl Mochnackiego. Bo walczył o wolną Polskę, która miała być zbudowana także w nowym kształcie – mądrzejsza, lepsza, bardziej sprawiedliwa, troszcząca się o ludzi. Walczył o piękną Polskę z marzeń. I był także – żołnierzem–poetą. Nie na darmo zaczytywał się w Słowackim.

I Mochnacki, i Piłsudski byli ostrzy w sądach – wskazywali winnych zaniedbań i wyraźnie mówili, która droga jest drogą jasnych, prostych wartości, a która zwykłej zdrady. Zdrady rozumianej nie tylko dosłownie, lecz także tej związanej z bezczynnością, zaniedbaniem obowiązków, przywiązaniem do prywaty i lękiem o swoje dobra, który wypełnia serce zamiast miłości do Ojczyzny.

Pewnie i dzisiaj nauki te można by zastosować do opisu stanu naszej Rzeczypospolitej. Stanu, w którym rząd polski za wroga ma patriotyczną ulicę domagającą się o polski interes narodowy, zaś więcej

dba o dobre stosunki z wracającą do carskich praktyk Rosją. Niezwykle aktualne są też inne spostrzeżenia Maurycego Mochnackiego w „Powstaniu narodu polskiego" – jako przykład tracenia wolności przez naród polski wskazywał np. kwestie ekonomiczne. Otóż rząd rosyjski chętnie udzielał naszym rodakom pożyczek finansowych. Jednak czynił to w tak sprytny sposób, aby uzależnić ich finansowo i ubezwłasnowolnić. W wielu wypadkach, dzięki hipotekom i zastawom, pozbawić ziemi. Jeśli dzisiaj mówimy o tym, że Polacy są zniewoleni – to kwestie braku suwerenności finansowej naszego państwa są podobne do tych z czasów zaborów. O których nota bene „Gazeta Wyborcza" pisała, że to był okres prosperity i gospodarczego rozwoju. Dzisiaj przecież ogromna liczba ludzi jest zadłużona. Życie wielu Polaków zależy więc w dużej mierze nie tylko od sytuacji polityczno–gospodarczej kraju, ale od decyzji unijnych, czy interesów banków. Te ostatnie w większości są własnością zagranicznego kapitału. Tak jak wielkie sklepy, firmy produkujące ubrania lub żywność. Polska była i jest wyprzedawana. A co gorsza – żyjemy w ciągłym stanie wewnętrznego napięcia, nieledwie zimnej wojny. Wszystko zaś bierze się z zaprzańczej postawy elit, przeciwko której protestuje ta część Polski, która zrodzona jest z dziedzictwa Mochnackiego i Piłsudskiego. Ta, która wyrosła na wierszu Lechonia, wskrzeszającego Mochnackiego grającego melodię narodową, „akord po akordzie".

Koniec księgi pierwszej „Powstania narodu polskiego" brzmi tak: „Wtedy, przed 29–ym, nie było jeszcze między nami żadnej nienawiści, ogarniającej wszelkie działy i liczne grupy osób, żadnej frakcji. Nasiona późniejszych rozterek domowych, zwad i kwasów leżały głęboko w ukryciu. Jeszcze wtedy wszyscy byliśmy dobrzy, wszyscy uczciwi, bo wszyscy chcieliśmy jednej rzeczy i kochaliśmy jedną ojczyznę. Ta chwila powszechnego braterstwa w sprzysiężeniu, ta chwila zgody jest jedyna – i już jej ani razu nie ujrzymy w ciągu walki. Polska była piękna natenczas. Zachodziła brzemieniem w wielką przyszłość ogarniającą połowę świata. Resztę dni skołatanych niedolą oddałbym chętnie za drugą taką, choćby i najkrótszą, chwilę w życiu moim".

Tak się stało, że i obecnie wychodzi „Gazeta Polska" założona ongiś przez Maurycego Mochnackiego. I my dzisiaj – jej autorzy i czytelnicy – przeżywamy dziejącą się historię naszej Ojczyzny w sposób gorący. W tych ostatnich zdaniach starczy zmienić słowa „przed 29–ym", na „przed 89–ym", a znów się okaże, że wiele rzeczy się powtarza, że wracają ciągle te same duchy przeszłości, i te dobre, i te złe. Zmieniają się tylko twarze. A tęsknota jest ta sama. Za tą Polską, co „była piękna natenczas". Za tą, za którą oddać warto resztę dni skołata-

nych niedolą, by zobaczyć Ją właśnie taką, choćby przez najkrótszą chwilę w życiu naszym.

[Gazeta Polska,nr 49/2013]

BÓG CIERPLIWY, ALE SPRAWIEDLIWY

WEDŁUG legend huczne obchodzenie Nowego Roku miało swoje źródło w oczekiwaniu końca świata. Podobno w IV wieku papież Sylwester zamknął w podziemiach watykańskich smoka, który miał się w roku tysięcznym wydostać ze swego więzienia i być widomą oznaką nadchodzącej Apokalipsy.

Gdy owa feralna data zbliżała się coraz bardziej ludzie z trwogą oczekiwali nadchodzących wydarzeń – wypatrywano znaków na niebie i ziemi, które miały świadczyć o tym, że to, co św. Jan opisał słowem, wkrótce stanie się ciałem. Więc gdy nic strasznego się nie wydarzyło, tak bardzo cieszono się i radowano, iż od tego momentu sylwestrowe zabawy stały się zwyczajem ludów o chrześcijańskiej proweniencji. Ta legenda jest całkiem ładna, lecz niestety równie prawdziwa co baśń o Wandzie, która nie chciała Niemca. Inną sprawą jest fakt, że okres średniowiecza, tak bardzo pogardzany przez późniejsze wieki „humanistyczne", był czasem głębokiej wiary w zapisane Słowo. A także epoką, w której nie tylko widziano świat jako miejsce ścierania się sił dobra i zła, ale jako miejsce krótkiej jedynie wędrówki człowieka do Królestwa Bożego. Nawet słowo „świecki", czyli dotyczący „tego świata" pokazywało wyraźnie, że „świeckość" to zanurzenie w rzeczywistości nas otaczającej, ale i jednocześnie odniesienie do tego, że istnieje równie realne królestwo w Niebiesiech. Jednocześnie – w świadomości ludzi – istniały silnie ugruntowane pojęcia dotyczące dobra i zła. Tak, jak wierzono w istnienie Wszechmocnego Boga, tak wszyscy odczuwali obecność na Ziemi szatana. W polityce również widziano kwestie moralne umocowane w duchowym świecie. Władca, pomazaniec Boży, stawał się przecież sługą tego, który był jedynym królem wszystkiego. A z drugiej strony czyhał diabeł. I to z jego pokuszenia dokonywało się zło.

Kiedy w początku lat czterdziestych XIII wieku Europę najechały koczownicze hordy mongolskie uważano, że to rodzaj dopustu Bożego, kary za popełnione grzechy. Nie ma się zresztą czemu dziwić – wojownicy ci wyglądali naprawdę jak bestie z piekła rodem. Mieli na sobie łuskowate pancerze, twarze szpeciły liczne, specjalnie zrobione

blizny, a w trakcie przemarszów żywili się krwią spuszczaną z koni, która krzepła brunatną barwą wokół ich ust. W dodatku Mongołowie wierzyli, że woda jest święta, więc po prostu się nie myli. Byli także niezwykle okrutni. Zostawili zresztą na podbitych ziemiach swe bestialskie dziedzictwo, które tam przechowane wróciło do nas w trakcie wołyńskiej rzezi.

Chrześcijanie sądzili więc, że mają przed sobą wysłanników z piekła. Że to rodzaj szatańskiej forpoczty, która zalewa Europę tuż przed końcem świata. Na duktach, w zaułkach ulic i na targach pojawiali się prorocy, którzy wznosząc ręce do nieba, nawoływali do pokuty i cytowali fragmenty z Apokalipsy.

Wizja Sądu, kary za grzechy, sprawiedliwości, którą wymierza grzesznym ludziom Bóg, była bardzo żywa. Ufano, że człowiek może być szczęśliwy tylko wtedy, gdy idzie ślepo za przykazaniami Bożymi. Ta nauka i dzisiaj może być aktualna – Dekalog w takim ujęciu nie jest zbiorem zakazów, tylko przepisów na dobre, spokojne życie. Wtedy wierzono także, że los człowieka jest ściśle związany z jego moralnymi wyborami. A jego grzechy nie tylko skazują go na wieczne potępienie i wtrącenie do piekła. Także za życia Bóg może złoczyńcę pokarać chorobą, nieszczęściem, najazdem obcych wojsk, ale i – wewnętrznymi katuszami, jakie dręczyły nieczyste sumienie zbrodniarza.

A teraz? Żyjemy w czasach, w których winy zamazuje się wyssanymi z palca rozważaniami o „mniejszym złu", a nawet sugeruje się tu i ówdzie, iż człowiek, który wprowadził w Polsce stan wojenny był patriotą…

Trafiła w moje ręce niewielka książeczka wydana w Lipsku, w roku 1863. Są to pamiętniki Maksymiliana Jatowta, ukrywającego się pod pseudonimem Jakub Gordon. „Obrazki caryzmu" opisują zatrzymanie i uwięzienie w 1848 roku, w Cytadeli warszawskiej, polskich patriotów. Jest tam wiele niezwykłych szczegółów zanotowanych przez autora. Choćby zapis szyfru, jakim posługiwali się skazańcy, by porozumiewać się przez ścianę. Albo dramatyczne napisy odnajdywane w celi Pawilonu X, takie jak: „I w słowie własnem zaparłem się siebie" lub „Śpią po mogiłach mężni bracia moi / A do mnie nawet sen się zbliżyć boi". Opisuje też Gordon postać owianą legendą – słynnego Moroka. Polaka, który służył w twierdzy jako odźwierny i posługacz do różnych niemiłych czynności. Przeglądając tę książkę natknąłem się jednak na rzecz niezwykłą.

Otóż w pewnej chwili Jatowt odsłania szczegóły śledztwa, jakiemu był poddawany. Przesłuchiwali go Jołszyn i pułkownik Leichte. Ten ostatni wsławił się skatowaniem Karola Levitoux, który później popełnił samobójstwo poprzez samospalenie.

W „Obrazkach caryzmu” znajduje się cały rozdział zatytułowany „Jaki koniec Leichtego”. Można się z niego dowiedzieć, że pułkownika postawiono w stan oskarżenia przez donos pewnego Żyda. Sprawa trafiła do samego cara. I Leichte stał się więźniem w tej samej twierdzy, w której wcześniej pracował jako siepacz. Już samo to wydaje się ciekawą klamrą – historią, w której kat dostaje nagle rolę ofiary i doświadcza losu wcześniej zgotowanego innym. Lecz na tym się nie kończy.

Otóż w egzemplarzu mojej książki ktoś, kto uważnie śledził dalsze losy Leichtego i jego rodziny, dokonał wpisu ołówkiem. Stosowana pisownia wskazuje na zapis z epoki – np. słowo „rosyjski” pisane jest przez podwojone „s”. Całość stanowi szczególny rodzaj dramatycznego listu zapisanego dla „przyszłości”. Przytaczam go w całości, pozostawiając oryginalną pisownię: „Bóg cierpliwy – ale sprawiedliwy. Córka Leichtego Wiktorya wyszła za mąż za półkownika artylleryi Wojewódzkiego, który ostatecznie mieszkał w Radomiu. Unikając hańbiących ją wspomnień po ojcu, okryta nazwiskiem męża, biorąc za zasługi niegodziwe ojca pensyę rządową bawiła prawie ciągle za granicą nieznana – łamiąc wiarę mężowi i oddając się rozpuście. Synowie jej, których spłodziła z mężem: Bronisław został oficerem w wojsku rossyjskiem, ożenił się z moskiewską i zamieszkał gdzieś na Ukrainie w okolicach Kijowa – młodszy Antonii – skończywszy pierwszą klassę gimnazjalną zaczął się jak najrozpaczliwiej prowadzić – został włóczęgą, złodziejem – skazany na więzienie kryminalne, jeżeli nie zginął dotąd, to prowadzi życie najnędzniejsze. Trzeci spłodzony za granicą, opuszczony od matki – włóczył się po stacyach kolejowych, upraszając jałmużny całemu światu, głosząc zbrodnie swej rodzicielki. Za młodzież polską katowaną – dusza Leichtego z piekła mrozi wnuków swoich ukaranych. Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy…”.

Prawdziwy dreszcz czuć na plecach, gdy się czyta te słowa. Nie wiadomo, czy są prawdziwe. Trudno zweryfikować losy rodziny kata z Cytadeli. Ale jednak ktoś je śledził. Dlaczego? Zapewne – domniemuję – osoba ta lub jej bliscy ucierpieli przez Leichtego. Pewne jest tylko to, że wpis taki został dokonany. A ten, kto to zrobił czuł, że w świecie jest potrzebna sprawiedliwość. Że za czyny złe trzeba odpokutować. I że zbrodniarze powinni być ukarani – także tu, na tej ziemi, zanim uczyni to Bóg w trakcie Sądu Ostatecznego.

Człowiek, który napisał ten list „do przyszłości”, chciał, by ta sprawa nie zginęła w mrokach niepamięci. Gdyż pamięć jest rodzajem sprawiedliwości, jaką my – żyjący – możemy oddać tym, którzy umarli niepomszczeni. To sprawiedliwość metafizyczna, wyrastająca ponad doczesne sądy.

Zło ma ogromną siłę. Najbardziej przerażający wymiar tej notatki to wiara jej autora w rodzaj klątwy, która może się położyć cieniem nie tylko na sprawcy zła, lecz i na jego potomkach; wiara w zło potrafiące zarażać, przenosić się, wypływać w nieoczekiwanych chwilach i uderzać w następnych pokoleniach.

Ta książeczka ma sto pięćdziesiąt lat. Przeszła przez wiele rąk. Stała na różnych półkach. Pokrywał ją kurz dziesięcioleci. Brały ją do rąk kolejne ręce. Aż trafiła do mnie. W jednym z antykwariatów szukałem materiałów do powieści o Powstaniu Styczniowym, gdy właściciel spojrzał na mnie z ukosa i mówiąc – „pan jest marzycielem" podał mi ten niepozorny druk. Znalazłem wpis jak znajduje się list wrzucony w butelce do morza, która obijając się o setki raf, trafia wreszcie do kogoś, kto go wyjmie i odczyta… Chwila, w której coś takiego trafia do rąk, każe patrzeć w górę w poszukiwaniu Tego, co z obłoków zarządza losem.

Dusza Leichtego „mrozi z piekła" – napisał nieznajomy. Można wyczytać płynącą z tych słów nadzieję na to, że zbrodnie nie pozostaną bez kary, nawet jeśli sprawiedliwość nie dokona się na tym świecie. Piekła można dotknąć. Tak jak cząstki Nieba doświadcza się przez dobre, proste, uczciwe życie. Spokojny sen jest nagrodą za posłuszeństwo wobec nakazów Dekalogu. Zaś sumienie dręczone przez popełnione zło sprawia, że piekło otwiera się już tu, na ziemi. Świetnie to czuli wielcy artyści. To piekło z obrazów Boscha, ten Sąd Ostateczny z Memlinga, może się dokonywać w jakiejś mierze w duszy człowieka. Im bardziej zatwardziały grzesznik, tym jęk jego będzie boleśniejszy. Zdrajca i targowiczanin, hetman Branicki w „Weselu" Wyspiańskiego miota się, krzyczy – „Piekielna mnie dziś gospoda: / diabły piją moją krew; / szarpają mi krew, plecyska / psy zjawiska, łby ogniska / szarpają, sięgają trzew".

Zbrodnie będą więc ukarane. Niektórzy zawisną na szubienicach, jak owi zdrajcy powieszeni przez lud warszawski po rozbiorze. Zbrodnie będą też rozliczone. Niektórzy nie staną przed sądem ludzkim, lecz prędzej czy później wpadną w otchłań piekła duchowego tu na ziemi lub kary na sądzie najstraszliwszym, bo Ostatecznym.

Książę Michaił Gorczakow, namiestnik cara w Warszawie, odpowiedzialny za zamordowanie kilkuset Polaków w czasie manifestacji religijnych, widział ciągle wokół siebie czarne zjawy ożałobionych wdów. Zdawało mu się, że słyszy ich głosy. Bał się. Umarł na apopleksję, gdy wielkie marsze przemierzały stolicę podczas Bożego Ciała. Wcześniej Gerstenzweig, ten, który rozkazał wkroczyć żołnierzom do katedry św. Jana i bić modlących się ludzi – strzelił sobie w łeb.

Przychodzi nam żyć w czasach, w których mimo pozorów odzyskania wolności nie doświadczyliśmy elementarnej sprawiedliwości. Do-

wodzą tego losy katów ubeckich, pobierających wysokie emerytury i drwiących ze swoich ofiar. Lecz jak dochodzić do sprawiedliwych sądów, gdy zbrodniarzy – takich jak Jaruzelski lub Kiszczak – nazywa się ludźmi honoru?

Istniała kiedyś idea duchowa, o której obecnie zapomniano. Była nią „bojaźń Boża". Człowiek winien stawać wobec potęgi Pana z mieszaniną lęku i miłości – jak wobec wielkiego morza, którego nie można ogarnąć wzrokiem. I choć z jednej strony podziwiać można jego piękno o zachodzie słońca, to z drugiej czuć olbrzymi respekt wobec niezgłębionego żywiołu. Z ambon mówi się tyle o miłości i miłosierdziu. To piękne. To źródło i sens nauki Chrystusa. Ale to właśnie z owej miłości, z owej troski o człowieka wynikał także nakaz życia według prostych zasad ujętych w dziesięć punktów na dwóch tablicach. „Bój się Boga!" mówiło się kiedyś w Polsce, gdy ktoś zdawał się kroczyć wbrew przykazaniom. Jakby to poprawiło życie publiczne, gdyby ludzie zaczęli „bać się Boga". Nie jako okrutnego starca z długą białą brodą. Ale tego, który widzi co złe, a popełnione uczynki podda surowemu osądowi.

Autor książeczki o „Caryźmie" opisał w niej także swój sen. Było to tuż po śmierci satrapy Mikołaja". We śnie Gordon znalazł się w jakiejś tajemniczej krainie. „Salon w niej był złożony z kry lodów. Na krach jakieś bezkształtne dziwolągi i polarne niedźwiedzie szczekotały zębami – w salonie posągi ludzi zamrożonych, i odbywały się gody. (…). Nagle spostrzegam widmo czarne, ponure, siedzące w koronie z kości trupich. Odskoczyłem od niego. Siedziało w środku korowodu, a za niem stała larwa, nucąca grobowo po każdej przygrywce orkiestry:

Lepiej być ofiarą jak katem –
Lepiej być ofiarą jak katem.

Widmo kiwało głową – z jam zaś, gdzie były oczy, krople spiekłej krwi sączyły mu się na kolana. (…)

Wydzieram się, jak mogę, włosy mi się jeżą z przestrachu, urazy przebaczam, zawołałem – lecz na to słowo, wszystkie szkielety zwróciły się wraz. Nie ma, nie ma przebaczenia! wrzasnęły społem, i nuż mnie kułakować".

Gordon obudził się. Był w mundurze. rosyjskim. Odbywał karę w oranienburskim pułku. Kazano mu stawić się przed oficerem. Ten odezwał się takimi słowami: „Bóg i Car miłosierny". Okazało się, że za lojalną postawę car darował mu przewiny. A w nagrodę wysyłał go na wojnę. Na Krym.

[wSieci, nr 52/2013]

CZARNE ŚWIATŁA

KIEDY zmarł car Aleksander III, Polakom się zdawało, że odchodzi najgorszy z możliwych satrapów. I choć już wcześniej byli świadkami tego, iż władza carska zawsze pozostaje tak samo zła, po raz kolejny obudziły się nadzieje na lepsze jutro pod rządami nowego cesarza. Zapomniano o podobnych nastrojach, które towarzyszyły wizycie Aleksandra II w Warszawie, w roku 1856 – iluminowane miasto, tysięczne tłumy na ulicach i radosne okrzyki spotkały się wtedy z twardym „Point de reveries" („Żadnych marzeń"). Jaki nastrój towarzyszył śmierci kolejnego cara, najlepiej świadczą słowa Aleksandra Świętochowskiego z krakowskiej „Nowej Reformy": „ Gdyby istniały czarne światła, należałoby je zapalić przy jego trumnie, gdyby istniały czarne róże i palmy, należałoby spleść z nich wieniec na jego grób; skoro więc ich nie ma, więc przynajmniej wdzięczny naród powinien by owinąć jego ciało w czarny całun, złożyć je pod pomnikiem z czarnego marmuru i pokropić wodą z Morza Czarnego. Był on bowiem stężałym mrokiem, zamkniętą w ludzkiej postaci chmurą i zimną nocą". Po Aleksandrze III nadchodził kolejny Romanow, drugi już z rzędu Mikołaj. I znowu próbowano w Prywiślińskim Kraju rozbudzić nadzieje. Jakby władza carska, przyobleczona w nowe ciało, miała się zmienić, uczłowieczyć, zliberalizować. Za tymi nastrojami stała zarówno strona oficjalna rosyjska, jak i w dużej mierze polska, ugodowa. Ugodowcy bowiem ciągle wierzyli, że w ramach jakiejś utopijnej autonomii da się obronić polskość przed zrusyfikowaniem. „Środowisko władzy" Mikołaja II natychmiast po koronacji podjęło starania, by w takim myśleniu Polaków utwierdzić, i ze wszystkich sił usiłowano sprawić wrażenie, że oto nadejdą dla nas lepsze czasy.

Podobnie jak w ostatnich miesiącach w Polsce, kiedy to Ewa Kopacz – jakby nagle oprzytomniawszy – uzmysłowiła sobie, że ludzie wybierają w naszym kraju władzę za pomocą kartki wrzucanej do urny, a kłamstwa medialne mogą już nie wystarczyć do utrzymania władzy. Rozpoczęła więc spektakularne działania na dwóch polach – po pierwsze odsunęła od stanowisk skompromitowanych polityków, po drugie ruszyła w wojaże po Polsce, mające być rodzajem

gospodarskiej wizyty, a wśród opłotków roztoczyć blask władzy, by maluczkich onieśmielić i dać asumpt do bicia czołem oraz zakreślania członków PO na kartach wyborczych.

O tym, jaką strategię przyjął wobec Polaków nowy car, pisał w „Polskich fascynacjach młodym cesarzem Mikołajem II" Jan Sobczak. Otóż on również zaczął od… dymisji. Minęło jedynie sześć tygodni od intronizacji, a już nastąpiły pierwsze zmiany – od władzy został odsunięty warszawski generał gubernator Józef Hurko. Hurko złożył dymisję na ręce najjaśniejszego pana, lecz był święcie przekonany, że ten jej nie przyjmie. Ku wielkiemu zdumieniu stało się całkowicie odwrotnie. Car przyjął rezygnację, dziękując w liście „za długoletnią wierną służbę dla ojczyzny". Szybkie odejście Hurki było dla Polaków szokiem. Dziwili się wtedy, tak jak ostatnio niektórzy po nagłym odejściu Radosława Sikorskiego, który również był zaskoczony, gdy po symbolicznej i wymuszonej chęci rezygnacji ze stanowiska, okazało się, że nie otrzyma pierwszego miejsca na liście wyborczej.

Wracając do generał gubernatora Hurki, Warszawiacy, znani z ironicznego poczucia humoru, zaczęli powtarzać sobie na ulicach wierszyk:

Już opuszcza stary Hurko
Wraz z Andrzeja podłą córką
Nadwiślański tron.
Jadą spijać ciepłe wody,
Bo powiedział cesarz młody:
«Ubirajties' won!».

Ale Hurko nie wyjeżdżał wcale z Warszawy taki pokrzywdzony, miał dokąd przecież wracać – do majątku pod Kowlem, który otrzymał jeszcze od poprzedniego cesarza. Przy okazji, co opisał Sobczak, wybuchła afera, gdyż okazało się, że „kolejarze polscy, pracujący na linii Lublin–Kowel zameldowali władzom, że w olbrzymich bagażach byłej gubernatorowej znajdują się cenne historyczne kominki zrabowane z Zamku wraz z wieloma wartościowymi antykami z komnat królewskich, w tym także z warszawskich Łazienek". To także pewna idea, która jest niezmienna od wieków – gdy władza nam się wymyka z rąk, należy póki się da, wyssać wszelkie płynące z niej możliwości wzbogacenia się i wyciągnięcia prywatnych korzyści.

Kolejnym poza Hurką oficjelem carskim w Warszawie, który został zdymisjonowany w związku z budowaniem nowego wizerunku carskiej władzy był kurator oświaty Aleksander Apuchtin. Ten także otrzymał od cesarza specjalne podziękowania „za nieustanne trudy około utrwalenia zjednoczenia Kraju z Cesarstwem w drodze przy-

swajania zasad państwowości rosyjskiej". Car pisał do niego: „Pragnę, aby następcy Pańscy na tym urzędzie trwale i niezachwianie przestrzegali zasad, postawionych przez Pana, jako podstawy wychowania młodzieży polskiej. Wyrażając Panu, jako ścisłemu stróżowi tych zasad przez cały ciąg służby w kraju polskim, Moje szczególne zadowolenie, pozostaję zawsze dla Pana życzliwym".

Sobczak przypomina też wydarzenia, jakie miały miejsce w chwili, gdy car obejmował władzę. Oto polskie damy zmuszono do podpisania się pod specjalną depeszą gratulacyjną, a do kościoła św. Augustyna zapędzono kilka klas młodzieży gimnazjalnej, gdzie kazano im uroczyście przysięgać na wierność nowemu carowi. W styczniu w Warszawie pojawił się nowy generał–gubernator książę Aleksander Imertyński, zamieszkał na Zamku, a już niedługo rozpoczęły się przygotowania do wizyty cara w stolicy Nadwiślańskiego Kraju. To był drugi poza dymisjami element budowania sobie poparcia w społeczeństwie polskim. Gospodarski przyjazd władzy…

Aleksander III unikał Warszawy jak ognia. Bywał w niej bardzo rzadko, a ostatnia jego wizyta była związana z wmurowywaniem w roku 1894 kamienia węgielnego pod gigantyczną cerkiew wznoszoną na środku placu Saskiego. Na Mikołaja II czekało w Polsce wielu ludzi z różnych środowisk. Zupełnie tak, jakby nie potrzebowano fundamentalnych zmian i prawdziwej wolności, wystarczyłyby jakieś jej namiastki i już można by zrezygnować z niepodległościowych dążeń. Polska podzieliła się wtedy – nie po raz pierwszy i nie ostatni – na dwa wrogie obozy. Jedni uważali, że cara należy „obłaskawić" bardzo ciepłym przyjęciem, inni, że byłoby to haniebne i miało wymiar zdrady. Należący do tej drugiej frakcji Józef Piłsudski w PPS–owskiej odezwie pisał: „Nie pierwszy to raz noga carów moskiewskich ma deptać bruk Warszawy. […] Lecz po raz pierwszy Warszawa ma spotkać cara nie jako okuta w łańcuchach i wstrząsająca nimi groźnie niewolnica, pokornie leżąca u stóp swego pana. […] Wisłę, której fale nieraz wzbierały łzami i krwią mordowanej przez carskie żołdactwo ludności, dziś jakby na urągowisko poległym za wolność Polski synom uwieńczono napisem «Boże, cara chrani!» Car przejedzie ulicami Warszawy, otoczony nie wojskiem i kozakami, jak zwykle, lecz szeregami oddanych mu Polaków".

Tak się stało w istocie. Na trasie przejazdu cara z Dworca Petersburskiego na prawym brzegu Wisły aż do Łazienek przygotowano rozliczne tryumfalne bramy. Wszystko finansowano z wielkiej społecznej zbiórki. Utworzono specjalny Komitet do Zbierania Ofiar Dobrowolnych na Utworzenie Instytucji Dobroczynnej z okazji pobytu Najjaśniejszych Państwa w Warszawie. Sobczak przytacza jego skład, który powoduje smutne bicie serca. Byli w nim m.in. – Czetwertyń-

ski, Dunin, Lubomirski, Potocki, Zamoyski. Byli i ziemianie, i przemysłowcy, i finansiści, i adwokaci. Był – znany ze swych ugodowych przekonań – Aleksander Głowacki, czyli Bolesław Prus. Zbiórka przybrała niebywałe rozmiary. Wzięło w niej udział około 100 tysięcy osób. W końcu zebrano zawrotną kwotę. Margrabia Zygmunt Wielopolski (syn Aleksandra) wręczył pieniądze księciu Imeretyńskiemu, mówiąc po rosyjsku: „Zbliża się szczęśliwa chwila, w której nareszcie dano nam możność godnie i radośnie przyjąć ukochanego naszego Monarchę i dowieść, że większość polskiego narodu, nie wyrzekając się ani narodowości, ani wiary swej, szczerze pragnie istnieć i rozwijać się w zjednoczeniu z potężnym Państwem Rosyjskiem. Mamy niepłonną nadzieję, że dzięki Twym, Mości Książę, bezstronnym rządom, nadeszła dla nas pora stać się jeszcze pożyteczniejszym czynnikiem organicznie związanej całości. Prosimy uniżenie Waszą Książęcą Mość złożyć u stóp Najjaśniejszego Pana skromny grosz nasz, ofiarę całego narodu, rs 962 482 kp. 70, jako kapitał imienia Mikołaja II".

Bardzo bolą te słowa. Bo brak w nich godności. Bo są słabe i uległe. Bo płyną z ust niewolnika. Car przekazał co prawda większość kwoty na budowę Politechniki, ale i tak jego przyjazd do Warszawy dzięki owej zbiórce nabrał wielkiego „blasku". Przygotowaniami kierował malarz Bogumił Rosen. Zbudowano wspomniane bramy powitalne. W jednej z nich, tzw. rolniczej, stojącej u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Świętokrzyskiej zastosowano nawet specjalny manewr kolorystyczny. Z daleka wydawało się, że brama jest udekorowana na biało–czerwono. Dopiero po podjechaniu bliżej okazywało się, że między polskie barwy jest wpleciony jeszcze niebieski kolor z flagi rosyjskiej – ponury symbol ukrycia moskiewskiego wątku wewnątrz polskiej materii. Ta zabawa kolorystką, to jak opis duszy ugodowej, zainfekowanej myślą o możliwej autonomii – dusza taka zdaje się być w pełni patriotyczna, lecz nie dostrzega szerokiej niebieskiej szarfy idącej na wskroś serca.

Car przyjechał ostatniego dnia sierpnia z żoną i córkami. Jego przejazdowi towarzyszyły wiwaty, przemowy, a do rąk Najjaśniejszego Pana wręczano uniżone adresy.

„Przegląd Pedagogiczny" pisał: „Z wstąpieniem na tron młodego Monarchy Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja II atmosferę naszego życia przebijać zaczęły coraz światlejsze promienie życzliwości, słuszności, prawdy. […] Ufni więc w potęgę tej prawdy spoglądać możemy jaśniej w przyszłość. Jako zwiastuna tej przyszłości, jako Monarchę, który raczył ucha ku prawdzie przychylić, który od pierwszej chwili objęcia rządów wszystkich poddanych ogłosił na równie bliskich swemu sercu – przyjmuje dziś Warszawa Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja II, a przyjmuje go wraz z Jego najdostojniejszą Małżon-

ką, objawami czci i radości, jakie tylko z serc szczerych, i wdzięcznych płynąć mogą”.

Nadzieje dość szybko zostały rozwiane. Okazało się, że postawa cara była jedynie grą wykoncypowaną na bieżące potrzeby – zdobycia popularności w Nadwiślańskim Kraju z chwilą obejmowania rządów. Dlatego część Polaków protestowała przeciwko postawieniu pomnika naszemu wieszczowi – nie chciano przyklaskiwać fałszywym gestom pojednawczym ze strony władzy i łaskawej zgodzie na budowę monumentu. O racji takiego myślenia utwierdzono się, gdy władza zakazała wszelkich przemów w dniu jego odsłonięcia. Henryk Sienkiewicz, który z tej okazji przygotował wystąpienie, musiał milczeć. Taka była jakość chwilowej „odwilży”, zbliżania się „do ludu” i „słuchania” narodu przez despotyczną władzę. Gospodarska wizyta po raz kolejny okazała się mydleniem oczu, obliczonym na krótką metę. Fakty mówiły same za siebie. Prawdy nie dało się zakłamać artykułami w gazecie i pochwalnymi bramami na ulicach miasta. Tak, jak i dzisiaj – miejmy nadzieję – nie da się już omamić Polaków próbami „ocieplania wizerunku” przez władzę trzęsącą się ze strachu o wymykające się z rąk berło.

[Gazeta Polska, nr 31/2015]

VII
LISTA POLSKA

TARGOWICA I ELSTERA – NA DWÓCH KRAŃCACH POLSKOŚCI

DWIEŚCIE lat minęło od słynnej bitwy pod Lipskiem. I chociaż biło się tam „tysiąc narodów", chociaż wykrwawiło się wiele pułków i batalionów z całej Europy, Polaków najmocniej obchodzi śmierć jedna. Księcia Józefa Poniatowskiego. Jednak zanim zniknął on w nurtach Elstery, jeszcze w Krakowie będąc przeżywał katusze. Nie wiedział, co lepsze – zostać, bronić każdej piędzi polskiej ziemi, czy też będąc wiernym słowu danemu Napoleonowi, cofać się i walczyć razem z nim. Wybrał to drugie, zostawiając Księstwo, tę Polskę już odzyskaną, na pastwę Moskwy.

Pisze Skałkowski, jak to Linowski rankiem zastał księcia w łóżku i tak spytał: „Cóż, książę, wychodzisz, porzucasz nas i ojczyznę, zastanów się jeszcze raz, czy nie zepsujesz naszej sprawy i nie narazisz siebie, wojska i ojczyzny, na zgubę". Poniatowski mu przerwał: „Słuchaj, widzisz te pistolety, które koło mnie leżą, dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem sobie w łeb strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale na koniec wziąłem determinacyą, nie odstąpię Napoleona". „Więc książę odstępujesz ojczyzny" – ripostował Linowski. Na to Pepi odparł: „Nie chcę i ojczyzny kosztem honoru nabytej".

Pistolety nie zostały użyte – ale czekała Elstera, w której toni miał się dopełnić los tego, któremu „Bóg powierzył honor Polaków". Tego, który ścierpieć nie mógł, że nazwisko jego po wsze czasy nosić będzie piętno najokropniejsze, znak hańby, który lekką ręką królewską nad ród Poniatowskich ściągnął Stanisław August. Im bardziej ten wstyd palił, tym goręcej chciał książę za czyny stryja odpokutować. Zdradę zastąpić cnotą, wiernością i honorem.

Pistolety – jako widomy symbol walki rozgrywającej się w sumieniu Józefa Poniatowskiego, które podpowiadało, że lepiej palnąć sobie w łeb, jeśli się wyjścia honorowego nie znajdzie – to także ślad dawnej naszej świetności. Dzisiaj o nich nikt nie myśli, nie w sensie dosłownym, oczywiście – lecz metaforycznym. Bo pojęcie zdrady tak bardzo rozmyto, tyle wysiłku włożono, by zdrajców nie nazywać zdrajcami, nie piętnować, nie karać wyrokami, że coraz trudniej

uczyć młodych Polaków. Mówić wprost, że czyny zdradzieckie są hańbiące. A hańba gorsza jest od zgonu.

Historia jest nauką – bazuje na źródłach, a zatem spogląda jedynie na fakty. Historyk może opisać procesy, czyli wpływ jednych wydarzeń i zjawisk na inne, dociekać przyczyn, stawiać pytania. Tak więc historyk polski, patrzący na upadek naszej Rzeczypospolitej w wieku XVIII, może dostrzec wiele przyczyn, które już wcześniej się rysowały. Były nawet ganione przez światłe umysły, lecz nikt na „wieszczby" te nie zwracał uwagi.

Oto proroctwo księdza Skargi, kaznodziei królewskiego, który wskazywał zło i namawiał, by je tępić u zarania, gdyż potem może się ono przeistoczyć, urosnąć i do zguby doprowadzić. Oto napomnienia, jakie odnaleźć można w twórczości wielkich poetów. Jan Kochanowski całą *Odprawę Posłów Greckich* pisaną z okazji ślubu kanclerza Zamoyskiego – ukazującej wydarzenia w Troi przed wybuchem wojny – tak skonstruował, aby stanowiła ostrzeżenie. Aleksander, syn królewski, zabiega o swoje sprawy, zarzucając jednocześnie Antenorowi, doradcy Priama, iż ten przyjmuje posłów greckich – „u ciebie gospodą posłowie". Antenor broni się – „wszytkim uczciwym dom mój otworzony". Jednak Parys nie wierzy. Zarzuca w ostrych słowach zdradę.

Kluczową syntezę stanu państwa podaje poseł grecki Ulisses. To on w płomiennym monologu gani kraj: „O nierządne królestwo i zginienia bliskie, / gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsce, / ale wszytko złotem kupić trzeba (…)".

Musiały mocno zabrzmieć te słowa w uszach króla Stefana Batorego i jego kanclerza Jana Zamoyskiego. Kochanowski ustami Ulissesa wskazywał główne grzechy, kwitnącej przecież wtedy, Rzeczypospolitej i ostrzegał. Mówił, że „zdrada jest początkiem zła i doprowadzi kraj do zatracenia".

Miał rację. I śmiało można uznać, że przewidział upadek Polski, podobny klęsce Ilionu.

Historycy wskazują, jak to zdrada stała się w rzeczywistości pierwszą przyczyną naszego unicestwienia. Jako naukowcy nie mogą mówić o pewnym fatalizmie dziejowym. O tym, że niektóre metafizyczne, nadprzyrodzone zjawiska, ujawniają się w życiu państw i narodów. Należą one do tej sfery, tej prawdy duchowej. którą najlepiej odgadują artyści. Mówią także księża, że zło istnieje. Że na świecie toczy się walka Bożych sił z mocami szatańskimi. Jeśli tak – ta sama walka odbywa się w obszarze politycznym i państwowym, i również ona rzutuje na czyny ludzi.

Hetman Branicki w *Weselu* Wyspiańskiego sięga po srebrniki, które go palą i niszczą. „Ha! Szatańce! Bierzcie złoto! Nie stoję ja pan

o złoto!” – krzyczy i odrzuca monety. Jednak one już przylgnęły do jego duszy. Jest stracony. Jak Don Giovanni, który w ostatnim akcie opery Mozarta nie okazuje skruchy i zostaje wessany w czeluści piekielne.

We wstępie do *Kordiana* Słowackiego czarty warzą przyszłych zdrajców Polski w kotle. Krzyczy diabeł, że minęło lat tysiąc osiemset. „To hosanna dla nas szatanów, / To śpiew naszych kościelnych organów; / Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną. / Wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany”.

Ta metafizyczna ręka złych mocy wisi od tysiąca lat nad naszą ojczyzną.

Historia, jak wspomniałem, nie może się zajmować urokami fatalizmu, ale czy na użytek czytelników prasowych nie warto się pokusić o takie na nią spojrzenie?

Czy rzeczywiście stańczykowskie fatum rozpościera się nad naszymi dziejami i znaczy je ponurymi śladami zdrady?

Weźmy naszą najwcześniejszą kronikę pisaną przez przybysza znad Sekwany, zwanego Gallem. Jedno z najważniejszych źródeł średniowiecza. Znajdujemy w niej pierwszą wielką zdradę, która nie tylko doprowadziła do wygnania króla, ale być może wpłynęła na całą późniejszą historię Polski. Mowa oczywiście o biskupie Stanisławie, świętym Kościoła katolickiego i patronie naszej Ojczyzny. Jego kult ukształtował się przede wszystkim w wyniku pracy Wincentego Kadłubka, który ze Stanisława zrobił męczennika. Oto rozwścieczony król Bolesław Śmiały miał w dzikim szale wpaść do katedry i na stopniach ołtarza posiekać biskupa na kawałki. Kadłubek spisał te wydarzenia tak, aby umożliwić jak najszybszą kanonizację, gdyż polski święty (i jego relikwie) były pilnie potrzebne z powodów politycznych. Tak więc biskupa otoczono kultem, a w czasie rozbicia dzielnicowego modlono się, by państwo nasze zrosło się, tak jak jego uświęcone męczeństwem członki.

Koniec wieku dziewiętnastego i początek dwudziestego przyniósł na tę sprawę nowe spojrzenie. Niektórzy historycy, z Tadeuszem Wojciechowskim na czele, zaczęli twierdzić, że męczeństwo jest – niestety – wyssane z palca. Co gorsza, tło zatargu Stanisława z królem nie jest dla kościelnego hierarchy zbyt korzystne. Prawdopodobnie dopuścił się zdrady, gdyż wraz z Władysławem Hermanem knuł przeciwko Bolesławowi i wchodził w alianse ze środowiskiem cesarza niemieckiego Henryka IV Trzeba przypomnieć, że właśnie wtedy państwo świeżo koronowanego Bolesława Szczodrego związało się z obozem papieskim. Biskup Stanisław był więc zdrajcą nie tylko według pojęć stosowanych w średniowieczu, ale także tych najbardziej nam współczesnych. W dodatku skazano go na śmierć… wyrokiem

sądu. A kara przez „poćwiartowanie” była wówczas powszechna. Tyle że czymś niesłychanym było wymierzenie takiej kary pomazańcowi Bożemu. To musiało wstrząsnąć ówczesnymi świadkami wydarzeń.

Prawdę o tym, co się stało, opisuje nie tylko kronika Galla, który o biskupie pisze wprost „zdrajca”, ale także bulla papieża Paschalisa, ujawniona po II wojnie światowej przez historyka Romana Grodeckiego.

Zostawiając historyków i ich spory spojrzeć teraz można na te zdarzenia pod kątem fatalistycznym i duchowym. Oto, niemalże u początku naszych dziejów, pojawia się nad Polską postać co najmniej dwuznaczna. Z jednej strony to święty cieszący się niezmiennym kultem, a z drugiej człowiek działający na szkodę państwa, zdrajca. Jak coś takiego rozpala umysły, jak bardzo jątrzy duszę polską, mogliśmy niedawno zobaczyć przy sprawie arcybiskupa Wielgusa i jego udowodnionej przez historyków IPN współpracy z SB. Nagle stała się ona przyczyną niesłusznych oskarżeń rzucanych na tych polskich patriotów, którzy stawiają Prawdę ponad bieżące potrzeby, którzy w czystości i uczciwości widzą drogę do odbudowy moralnej i duchowej naszego narodu.

Jakby fatum dziejowe ciągle nad nami wisiało i owijało nas mackami także teraz. Próbowało przekonać do tego, że zdrady nie należy potępiać, a od złych uczynków dokonanych w przeszłości odcinać się najlepiej grubą kreską. Iluż to zdrajców po dziś dzień chodzi po ulicach i śmieje się w nos bohaterom Solidarności, którzy za wolność zapłacili chorobami, więzieniem i nędzą życiową?

Zda się tylko, że zdrajców dnia dzisiejszego nic nie pali w dłonie. Że nie wstydzą się tego, co uczynili, i nie chcą oddać swego złota szatanom.

Historia lubuje się w faktach. Jeden z nich zanotował kolejny nasz annalista Długosz. W swojej kronice pisywał o wiekach przeszłych, i czerpał także, co udowadniano wielokrotnie, z kronik, które do naszych czasów nie zachowały się. Tak jak zaginiona „Kronika dominikańska”, której istnienia dowodził prof. Gerard Labuda. Jest bardzo prawdopodobne, że to na podstawie tej właśnie kroniki Długosz skonstruował narrację dotyczącą bitwy pod Legnicą i śmierci księcia Henryka Pobożnego.

Ta bitwa – jedna z najważniejszych w historii powszechnej średniowiecza, w której polska armia była jednocześnie armią całego ówczesnego świata chrześcijańskiego – została przegrana przez… zdradę. Oto w jednym z kluczowych momentów, gdy już się zdawało, że wygrywamy i hordy tatarskie polegną, przed naszymi hufcami pojawił się jeździec. Konny pędził tam i z powrotem, wymachiwał ręką i krzyczał – „Bieżajcie! Bieżajcie!”, co znaczyło nie mniej ni więcej tylko

„uciekajcie”. W pewnej chwili oddziały opolskie otumanione wszechobecnym pyłem i sądzące, że to rozkazy od śląskiego księcia, rzuciły się do ucieczki. Pobożny zobaczył, że za chwilę wojska sprzymierzonych chrześcijan spotka klęska. Zanim ruszył do ataku ze swoją ciężkozbrojną konnicą, zdążył jeszcze powiedzieć – „Gorze szą nam stało” („Źle się nam stało”).

I te właśnie słowa zostały przez Długosza zapisane po polsku. To jedyne polskie zdanie w całym łacińskim tekście. Okrzyk zdrajcy „Bieżajcie!” i memento dla całej naszej historii – „Gorze szą nam stało” zawisły jak chmura dymu nad naszą dalszą historią.

Sejm grodzieński. Rok 1793. Na sali zamkowej zgromadzeni posłowie. Mają podpisać traktat rozbiorowy. I zgodzić się na to, by kolejne połacie Polski – bardzo konkretne miejsca: wsie, miasta, rzeki, młyny, kościoły, rynki, biblioteki, pałace, dwory, parki i ogrody – oddać Prusakom i Rosjanom.

Milczeli długo, gdyż milczenie było jedyną bronią. Do nocy, pod groźbą armat i bagnetów nie chcieli zacząć choćby jednym słowem tej rozbiorowej sesji. Nawet król Stanisław August nic nie mówił.

Jednak targowica zrobiła swoje. A przede wszystkim zrobili swoje Rosjanie. Wielu posłów było już kupionych. Dlatego w pewnym momencie jeden z nich, o nazwisku Ankwicz, wstał i przerwał ciszę, mówiąc – „milczenie oznacza zgodę”. Podpisano rozbiór. Zaczął się bal u ambasadora rosyjskiego Jakoba Johanna Sieviersa, który opisał w liście do Igelstroma, ile któremu z posłów musiał zapłacić. List ten to jedna z najbardziej gorzkich lektur, jakie Polak może przeczytać. Oto przykładowo marszałek konfederacji litewskiej Zabiełło – „Temu to Zabielle dawałem po 1000 dukatów miesięcznie, nie trzymając się dnia wypłaty i wstrzymując ją czasami przez osiem do dziesięciu dni, w miarę powodu, dla którego więcej lub mniej byłem z niego niezadowolony”.

A tymczasem „Ożarowski miał w ciągu dwóch miesięcy po przyjeździe po 500, a od tego czasu także po 1000 miesięcznie. (…). Przypominasz sobie mój Kochany Panie Jenerale, że otrzymał od ciebie 1000 dukatów za wybory krakowskie i sandomierskie”.

Kolejnym, „który miesięcznie około 1000 dukatów pobierał, był Bieliński – marszałek sejmowy. Otrzymywał on przed otwarciem sejmu 2200 dukatów (…)”.

I następni, następni, następni. Cała lista płac. Lista hańby. Na koniec zaś należy wymienić króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, który od pani swojej, carycy Katarzyny nie tylko pobierał ciągle wielkie kwoty na pokrycie wydatków i potężnych długów (sam spis owych zadłużeń, mówiący o tym, na co monarcha wydawał, robi

ogromne wrażenie), ale także dostawał regularną pensję płynącą z petersburskiego dworu.

Dopełnieniem jego smutnej historii była chwila koronacji cara Pawła. Stary Poniatowski w trakcie celebrowanej uroczystości nie miał już siły stać, więc usiadł. Cesarz natychmiast to zauważył i kazał mu natychmiast się podnieść, poniżając go w ten sposób. Jednak czy rzeczywiście można było mocniej upokorzyć tego, który sam siebie poniżył przystępując do targowicy?

Synonim polskiej zdrady. Targowica. Erupcja fatalistycznej chmury ciągnącej się nad nami od stuleci. Konfederacja zawiązana w Petersburgu, pod dyktando carycy. I co jeszcze gorsze – pod hasłami wolności, konserwatyzmu i patriotyzmu. Król do niej przystąpił.

Trwała wtedy wojna. Na czele oddziałów rosyjskich szli targowiczanie, dając najbardziej ohydne świadectwo tego, czym może być zdrada. Ale nawet i wtedy nie chcieli przyznawać, że źle czynią. Utrzymywali, że są obrońcami ojczyzny. Szaleństwo? Raczej siła złego ducha, który tak się potrafi przyoblec w „dobre" pióra, że nawet czyniąc rzeczy najpodlejsze, ciągle trąbi o swej szlachetności .

O przystąpieniu króla do targowicy dowiedział się książę Poniatowski na polu bitwy. Już miał ruszać do ataku na Moskali, gdy pojawił się posłaniec. Jak pisze Julian Ursyn Niemcewicz w pamiętnikach, książę Józef zbladł. Nie był w stanie słowa wykrztusić. Odjechał milcząc.

To milczenie, ta hańba zdrady, musiała znaleźć Odkupiciela. Tego, który własną śmiercią zmaże winy.

Pióro Skałkowskiego tak opisało ostatnie chwile księcia Józefa: „Było już blisko południa, gdy kula karabinowa przeszyła mu lewą pierś u góry między obojczykiem a łopatką. Tracił dużo krwi, lecz gdy go prosi Bronikowski, aby zdał komendę, a szukał ocalenia za Plejsą, odpowiada przytomnie: »Chcę zginąć śmiercią walecznych«. Wtedy także miał wyrzec te słowa: »Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go oddam«.

Szedł pieszo ku Elsterze, choć się słaniał. Podano mu konia. Zdołał jeszcze go dosiąść. Jechał wzdłuż rzeki wezbranej i rwącej, w której korycie piętrzyły się trupy ludzi i zwierząt, szczęty budynków i sprzętów wojennych. Krążyły gromady obłąkanych z przerażenia żołnierzy. (…) Naraz i książę dojrzał o kilka kroków nieprzyjacielskie bagnety. Więc ostatnim wysiłkiem świadomej woli zmusił konia do skoku z wysokiego podmurowania w nurt głęboki i czysty. Od razu pokryła go fala".

Jako naród my, Polacy, mamy szczęście. Na każdego zdrajcę znajduje się bowiem Odkupiciel. Ratuje nas ciągle nowa Elstera.

[Nowe Państwo, nr 10/2013]

LEĆ NASZ ORLE W GÓRNYM PĘDZIE

NIE wiadomo dokładnie, gdzie i kiedy to się stało. Niektórzy powiadali, że w czasie wojen napoleońskich. Inni, że w trakcie Powstania Listopadowego, sytuując wydarzenie w okolicach bitwy o Olszynkę Grochowską. Właściwie miejsce, czas i szczegóły nie mają może tak wielkiego znaczenia, gdyż chodzi o legendę. O jeden z pięknych mitów polskich – salutowanie przez polskich żołnierzy dwoma palcami do orzełka lub daszka czapki. Mit piękny, wyróżniający nas, dający poczucie odrębności i dumy. Podobno jeden z adiutantów wracał do swojego dowódcy z pilną wiadomością z pola bitwy. Gdy gnał konno, obok niego eksplodował szrapnel. Koń upadł trafiony, ale żołnierz pobiegł dalej. Dotarł do oficera i zasalutował. Lecz nie uczynił tego pełną dłonią, gdyż pocisk artyleryjski oberwał mu dwa skrajne palce. Żołnierz zdawał się nie zwracać na to uwagi. Podniósł krwawiącą rękę, która poprzez swoją bohaterską ranę stała się niezłomna i piękna. Widząc to, dowódca rozkazał, by właśnie takie salutowanie weszło na stałe do regulaminu i obyczaju polskiej armii. Czy tak było naprawdę? Być może po wnikliwym badaniu jakiś historyk znajdzie kiedyś wersję inną – zwykłą, banalną i szarą. Może w istocie było tak, że stało się to z jakiegoś prozaicznego, nieznanego nam dzisiaj powodu. Ale mity i legendy niosą ze sobą bardzo potrzebną treść – budują poczucie narodowej dumy.

Nasze dwa palce unoszone do wojskowej czapki czy hełmu są dla nas takim symbolem dawnego bohaterstwa, jak bieg maratoński jest nim nie tylko dla Greków, ale i dla całego świata.

Poprzez geniusz twórczy wybitnych artystów – Wyspiańskiego, Solskiego i Heleny Modrzejewskiej – ten gest został wniesiony do naszej narodowej wyobraźni. Stał się w pewnej mierze emblematem bitwy pod Olszynką Grochowską.

Premiera „Warszawianki" odbyła się w roku 1898 na deskach Teatru Miejskiego i wtedy Marię grała Wanda Siemaszkowa. Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów Ludwik Solski miał zagrać rolę niemą – Starego Wiarusa, który wpada na scenę, przynosząc wieści z pola bitwy w trakcie rozmowy „Salonu". Zrobił to tak genialnie, że

ta niema rola weszła nie tylko do historii polskiego teatru, ale i do historii polskiej kultury.

Owo sławne wejście aktor poprzedził niezwyczajnym jak na tamte czasy przygotowaniem. Wyszedł na ulicę przed teatr i tam biegał, by być odpowiednio zmęczonym i by widz miał wrażenie, że Wiarus naprawdę przybywa spod Olszynki.

Na dziesięć minut przed wejściem na scenę miał go zawołać garderobiany. I tak się stało. W odpowiedniej chwili Solski wbiegł do teatru. Szybko włożył mundur i płaszcz, a specjalnie odkomenderowany maszynista zbryzgał go całego błotem, przygotowanym w specjalnej misce. Sam artysta tak wspominał w pamiętniku: „Prawie na sekundę zdążyłem na znak inspicjenta z wejściem na scenę. Byłem zmęczony, zdenerwowany i zdyszany. Poznać to było widać na widowni".

Lecz prawdziwe „wysokie C" tej milczącej „arii" teatralnej nastąpiło na kolejnym spektaklu premierowym, trzy lata później, w roku 1901.

Stało się to niedługo po epokowym wydarzeniu, jakim była pierwsza inscenizacja „Wesela" – notabene dramatu uznawanego przez otoczenie Piłsudskiego za „programowy", jeśli chodzi o wyzwoleńczą ideę. Dopiero co opadły emocje związane ze spektaklem. Jeszcze trwały złości, niesnaski i pretensje niektórych bohaterów sportretowanych w tamtej sztuce, gdy Solski z Wyspiańskim wzięli się za „Warszawiankę".

Aktor opisał we wspomnieniach moment premiery. Teatr był wypełniony po brzegi. Zaś to jedno wejście na scenę, w ubłoconym, poplamionym mundurze stało się dla niego „jednym z najpiękniejszych wzruszeń życia". Rolę Marii grała wielka artystka i patriotka polska Helena Modrzejewska. „Od momentu wejścia na scenę czułem na sobie spojrzenie Marii. Wprost dotykalnie prowadziły mnie jej oczy. Nie należałem do aktorów poddających się sugestii nastroju. W najbardziej przejmujących chwilach panowałem zawsze nad sobą i wiedziałem, co się wokół mnie dzieje, ale wtedy zgubiło się gdzieś poczucie rzeczywistości i czułem, że wzrok Modrzejewskiej mnie w o ł a. Spojrzałem na nią. Łzy płynęły po jej twarzy. Oczy nieprzytomne…".

Ależ to genialna chwila zatrzymana w czasie. Stary Wiarus, milczący, salutujący dwoma palcami i spojrzenie, w którym mieści się wszystko. Jego rola została odbita w niezwykłym lustrze. Tym zwierciadłem była Modrzejewska. On, stojący w drzwiach, owiany kurzem bitwy i prochem, z wyrzutem w oczach, z boleścią nad losami Ojczyzny i naprzeciwko Ona – płacząca, wzruszona, widząca w Wiarusie – Polskę.

Przekleństwo braku dobrych dowódców, braku naprawdę wielkich jednostek kładło się cieniem na powstaniu. A w postaci Starego Wiarusa była wielka, piękna metafora – pokazująca los Polski prostej, zwykłej, patriotycznej, tej, która nie waha się iść przelać krew za ukochaną Ojczyznę. To poświęcenie było poniewierane przez zaprzaństwo, tchórzostwo i brak ideowego kręgosłupa tzw. elity. Wiarus milczący na progu „Salonu", gdy w oddali trwa bitwa, to metafora każdej chwili, w której i dzisiaj stajemy wobec obojętności, złej woli czy zdrady polskiej racji stanu. Dzisiejszy Wiarus ma na swoim płaszczu nie tylko błoto lutowej batalii na polach Grochowa, ale błoto bitew wszystkich, błoto, w którym grzęzły armaty w czasie kampanii napoleońskich, błoto oblepiające kosynierów z Powstania Styczniowego, błoto z butów Szarej Piechoty, i wreszcie. błoto smoleńskie. Ten zabłocony płaszcz prostego żołnierza jest metaforą porwanych mundurów, przestrzelonych hełmów, rozszarpanych pasów od ładownic, zakrwawionych akselbantów, podziurawionych proporców lansjerskich, butów żołnierzy spod Monte Cassino.

Jest też metaforą mundurów generalskich ze Smoleńska – rozdartych, zniszczonych, nadpalonych. Mundur śp. generała Błasika, oddany przez jego dzielną żonę do sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej jest również metaforą i znakiem postawy. Tej spod Olszynki Grochowskiej – gdy przyszło nam w błocie stawać przeciw rosyjskiemu Imperium. Także i salut żołnierski był ten sam – uniesione dwa palce do orzełka…

Bitwa pod Olszynką w dramacie Wyspiańskiego obserwowana jest z okien dworku stojącego na terenie Grochowa. Wraz z dwoma generałami – Chłopickim i Skrzyneckim zostały sportretowane tam dwie damy – panny Anna i Maria, które grają na klawikordzie „Warszawiankę". Pieśń ta powstała zresztą później, już po Powstaniu Listopadowym. Została napisana przez Francuza o polskim imieniu – Casimira Delavigne'a. Pierwszy przełożył ją na nasz język Karol Sienkiewicz, brat dziadka autora „Ogniem i mieczem". Ale „Warszawianka" dzięki Wyspiańskiemu – obok roli Wiarusa – stała się symbolem bitwy. Ten wielki dramatopisarz wyniósł ją do rangi najwyższej, dając ważne miejsce i rolę w swojej sztuce. I na pewno zaważyło to na tym, że była, wraz z „Mazurkiem Dąbrowskiego", „Rotą" czy „I Brygadą", pieśnią–kandydatką do stania się polskim hymnem. Gdyby nim została, wtedy dzieci na akademiach szkolnych śpiewałyby także mniej znane zwrotki, choćby jak ta o praskiej rzezi:

Wstań Kościuszko! Ugodź serca,
Co litością mamić śmią.
Znałże litość ów morderca,

Który Pragę zalał krwią?
Niechaj krew tę krwią dziś spłaci,
Niech nią zrosi grunt, zły gość!
Laur męczeński naszych braci
Bujniej będzie po niej róść.

Wróćmy do owej magicznej chwili podczas premiery w Teatrze Miejskim. Trwa spektakl „Warszawianki". Solski schodzi ze sceny i w kulisie widzi Wyspiańskiego, który obserwuje akcję, „zaciskając na sobie długi, czarny anglez". Jak wcześniej skrzyżowanie spojrzeń – Wiarusa i Marii, Solskiego i Modrzejewskiej, w których czytała się cała tragiczna historia Polski, tak teraz trzeba wyobrazić sobie palce Wyspiańskiego. Jak zaciskają się mocno na rękawach angleza. Tuż przed nim staje, pośród okotarowania kulis, stary żołnierz, świadek grochowskiej walki, ubłocony, jeszcze pachnący prochem. I patrzy na autora sztuki.

„Zatrzymałem się obok niego. Na scenie panowała śmiertelna cisza. Zaniepokoiłem się o przyczynę tej przerwy. Modrzejewska jakby powoli wracała do przytomności. Jeszcze milczy, jeszcze tkwi nieruchomo w miejscu. Zwolna podnosi powieki, oczyma przepełnionymi cierpieniem toczy po wszystkich, jakby kogoś szukała. Tak chyba musiała wyglądać Matka Bolejąca pod krzyżem. Po chwili włączyła się z powrotem do akcji. Gra jej zaczęła potężnieć, wzmagać się crescendo aż do momentu, kiedy padły słowa:

Leć nasz orle, w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ.
Kto przeżyje, wolnym będzie;
Kto umiera, wolnym już.

Powiewająca w jej dłoni skrwawiona wstęga podkreśla tragizm obrazu".

Słychać pieśń w Teatrze Miejskim. Leć nasz orle! Kto przeżyje, wolnym będzie. A kto umarł, już jest wolnym. Te słowa zapadają w duszę, w serce, w pamięć. Widzowie je ze sobą zabiorą, gdy wyjdą ze spektaklu będą nieśli marzenie o Polsce.

A potem, gdy w 1914 roku ruszą na podbój świata Legiony Piłsudskiego, wszystko znowu odżyje. Na czapkach będą orzełki. Nad wojskiem będą płynęły słowa wielu polskich pieśni. Także „Warszawianki".

W głowach żołnierzy będą majaczyć wspomnienia powstań i bitew toczonych przez przodków. Będą iść z Oleandrów po wolność, pamiętając rzeź Pragi z roku 1794, tę rzeź, o której wspomina zwrotka

„Warszawianki”. Będą salutować po polsku, dwoma palcami. Przykład da sam Komendant, unosząc palce do daszka maciejówki – wierząc w siłę symbolu. Bitwa o Olszynkę Grochowską była zawsze czczona przez Polaków. W każdą rocznicę na pustych polach Grochowa pojawiały się tłumy Warszawiaków, by uczestniczyć w mszy św. za bohaterów. Tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego namiestnik cara kazał zamknąć łyżwowy most na Wiśle, by mieszkańcy stolicy nie dotarli do Grochowa. Skierowali się więc na Stare Miasto, gdzie zostali ostrzelani przez Rosjan. Padło pięciu Polaków. Oni także stali się bohaterami tej samej walki, którą prowadzili żołnierze pod Olszynką.

Na miejscu bitwy grochowskiej rosła kiedyś stara olcha. Była na niej tabliczka z napisem mówiącym o tym, że jest ona jedynym świadkiem dawnych zdarzeń. W końcu chore drzewo musiano ściąć. Na jego miejscu postawiono pamiątkowy krzyż, a z olszynowego drewna wykonano wiele malutkich krzyżyków, o których pisał wierszem Or–Ot.

Za czasów niepodległości postawiono na polu bitewnym piękny kościół–pomnik. W roku 1924 z inicjatywy Władysława Gostyńskiego Towarzystwo Przyjaciół Grochowa wyłoniło specjalną komisję, która zajęła się przygotowaniami do budowy. Inżynier Jan Łaski przekazał trzy hektary terenu na ten zbożny i patriotyczny cel. Wzniesiono drewniany kościółek. W roku 1925 dekretem arcybiskupa utworzono tu parafię, którą objął ksiądz Sztuka. I w końcu, gdy zbliżało się stulecie bitwy podjęto decyzję o realizacji nowej, monumentalnej świątyni. Wnioskodawcy z Towarzystwa argumentowali, iż kościół powinien zostać zbudowany… „W związku ze zbliżającą się 100–letnią rocznicą walk, które – mimo że nie były zwycięskie – miały olbrzymi wpływ na pobudzenie odrodzeńczych wysiłków Narodu. W nieprzerwanym łańcuchu zakończyły się one w naszym pokoleniu odzyskaniem wolności i niepodległości Ojczyzny. Na nas więc ciąży obowiązek spłacenia długu wdzięczności tym, którzy przed stu laty na polach Grochowa oddali młode życie w trosce o losy przyszłych pokoleń – o nasze losy. Najlepszym rozwiązaniem będzie Świątynia–Pomnik. Zróbmy na tej drodze pierwszy krok, a rzeczą ofiarności społecznej będzie wykazać, że pokolenie szczęśliwe spłaca święte długi wdzięczności”.

Stoi on do dzisiaj na placu Szembeka, a jego wieża góruje nad całą dzielnicą. W każdą rocznicę bitwy odprawiana jest uroczysta msza święta – Grochów ciągle pamięta o swoich bohaterach. W dwudziestoleciu międzywojennym zjeżdżały do kościoła tysiące ludzi. Na zdjęciach z epoki widać nieprzebrane morze głów. I znów byli tam

wojskowi. I znowu unosili dwa palce do daszków. Niczym Stary Wiarus z „Warszawianki”.

Widzowie z krakowskiego teatru nie widzieli niezwykłej, symbolicznej sceny, która rozegrała się poza sceną. Przed widownią Modrzejewska śpiewała „Warszawiankę”, tymczasem za kulisami Solski stał naprzeciw autora sztuki. „Wyspiański objął mnie, przytulił się do mojego zabłoconego munduru i wstrząsany dreszczem, dłonią ściskał krtań, by opanować łkanie. Wtedy i moje zahartowane nerwy nie wytrzymały napięcia. Przeżycie było zbyt silne. Nastrój udzielił się wszystkim. Nawet maszynista zatrudniony przy kurtynie zapomniał o swych obowiązkach i mimo woli spowodował, iż po zakończeniu sztuki dłuższą chwilę trwał żywy obraz. Publiczność wytrzymała ten moment w absolutnej ciszy. Po kilku sekundach oprzytomniałem, opanowałem wzruszenie i dałem sygnał do opuszczenia zasłony. Jeszcze trwało milczenie. Wreszcie odezwały się pierwsze, nieśmiałe oklaski, po czym zaczęły wzbierać na sile, aż przemieniły się w istny huragan”.

Taki był polski teatr, gdy Polski nie było na mapie.

Chwila tajemna, wyjątkowa, w której aktor–Wiarus obejmuje w ciemnościach Wyspiańskiego i obaj płaczą. Ta chwila warta jest tego, by ją zatrzymać, zabrać ze sobą. Bo to piękna opowieść o miłości do Polski. Równie piękna, co sam spektakl.

Wyspiański podarował Solskiemu portret w stroju Wiarusa, a trzy lata później namalował jeszcze jedną jego wersję. Na obu obrazach powstaniec salutuje, unosząc dwa palce do białego orła.

[wSieci, nr 09/2014]

OPŁATEK KONTRA PISTOLET

ZYGMUNT Sroczyński, ambasador Polski w Kujbyszewie w latach 1941–1943 ofiarował kiedyś Instytutowi im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku niezwykły dar. Była to papierowa teczka, z pięknie ozdobioną okładką, którą wykonali Polacy zesłani w okolice Archangielska. Czyjaś ręka namalowała polską wieś i ludzi idących przez śniegowe zaspy do roziskrzonego kościółka. I jeszcze dodano napis: „Z życzeniami świątecznymi". Oprócz tego w każdym rogu teczki widniał orzełek na czerwonym tle, a całość związana była bordowymi sznureczkami. W środku były różne papiery i dokumenty, a między nimi znalazła się również świąteczna karta z wyrysowanym Jezuskiem i klęczącymi aniołkami. I znów pojawiają się biało–czerwone litery „Wesołych Świąt" oraz pieczołowicie przyklejone zasuszone, syberyjskie kwiatki. Ale największe wrażenie robi opłatek, wypieczony własnoręcznie przez zesłańców. Ten opłatek stanowi duchowe centrum całej przesyłki. To symbol wiary w to, że Polska przetrwa, póki my będziemy pamiętać o tym, skąd pochodzimy, póki będziemy powierzać się Bogu i póki będziemy dobrze życzyć bliźnim zgromadzeni wokół Dobrej Nowiny.

Jak wyglądały teczka i opłatek, opisał w roku 1994, w nowojorskim „Przeglądzie Polskim" Teofil Lachowicz: „Deportowana ludność polska na Syberii dzieliła się swoim głodowym chlebem z pracownikami Ambasady RP w Kujbyszewie. Na zewnętrznej stronie opłatka widnieje wizerunek świętej hostii z literami IHS zwieńczonymi krzyżem; obok gałązka choinki ze świeczkami, a nad całością biegnie napis: «BOŻE DOPOMÓŻ NAM POWRÓCIĆ DO WOLNEJ OJCZYZNY. ZIEMIA ARCHANGIELSKA 1941»".

W środku teczki znajdowały się również kartki oraz listy z życzeniami… Jak choćby ten: „Kochany Panie Konsulu! Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku – śpieszymy złożyć Panu słowa podzięki za jego ofiarną pracę dla nas, rozsianych po niezmierzonych przestrzeniach. Choćbyśmy byli najdalej czujemy opiekę Pana nad nami; a popularność Jego przyszła z »dalekiego kraju wschodzącego słońca«.

Proszę przyjąć te słowa nieudolne może, ale pod nimi kryje się bicie serc gorących, szczerych i wdzięcznych. Proszę przyjąć życzenia równie wydajnej pracy na naszej ziemi, gdzie abyśmy się wszyscy spotkali jak najprędzej.

Kajbagor 24 XII 1942 r.".

Całość tej niezwykłej kolekcji dopełniały wiersze i opisy obchodów świąt narodowych… Ta niezwykle wzruszająca polska teczka z dalekiej Syberii tchnęła miłością do Ojczyzny i niezmierzoną tęsknotą za krajem.

I dokument chyba najsmutniejszy. Jak pisze Lachowicz, był to „ręcznie sporządzony blankiet paszportu z wizerunkiem Orła Białego w koronie i napisem wyrażającym największe pragnienie zesłańców: PASZPORT na POWRÓT do KRAJU w 1943 roku w MAJU. RZECZPOSPOLITA POLSKA. Niestety, Ambasada RP w Kujbyszewie nie była już w stanie spełnić nadziei i oczekiwań tych ludzi. Cztery miesiące później ZSRS jednostronnie zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim na emigracji, a personel Ambasady w Kujbyszewie musiał się ewakuować do Iranu. Fakt ten dla Polaków, którzy zostali w Sowietach na łasce NKWD, był tragedią nie do opisania".

Syberyjskie wigilie najmocniej poruszają wyobraźnię i serca Polaków. Jacek Malczewski namalował na ten temat niezwykłe dzieło – obraz, na którym widać zesłańców zastygłych przy prawie pustym stole, jeden z nich z rozpaczą opiera czoło na trzymanym na sztorc talerzu. Każdy zatopiony w swoich myślach, każdy bezbrzeżnie samotny. Wszystkie wspomnienia sybiraków – te z wieku dziewiętnastego i te z dwudziestego – dają obraz wigilii spędzanych na wygnaniu. Obraz chwil, które rozdzierały serca, bo przypominały dawne, dobre lata w Ojczyźnie, przypominały o tym, co Rosjanie nam zabrali…

Konstanty Borowski, zesłaniec postyczniowy, w swoich wspomnieniach pisał o takiej wigilii na Syberii: „Wieczerzę spożyliśmy cicho, w smutnym skupieniu ducha. Przy stole siedziało nas osób kilkadziesiąt, ale te kilkadziesiąt osób stanowiło w tej chwili jedną rodzinę, familię. Śmiało powiedzieć mogę, że w tym bratnim zebraniu jakby jedno we wszystkich piersiach biło serce".

Potem dodał, jak przy jednym stole siadali wszyscy bez różnicy, jak dołączali nawet katorżnicy, kryminalni czy Rusini, którzy woleli niż na „soczelnik" przyjść na tę polską Wigilię. „Przyszli i siedli do stołu razem z nami, dzieląc się chlebem–opłatkiem i sercem braterskim. Po wieczerzy z kilkudziesięciu piersi wzniosła się potężnym głosem pieśń.

Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan niebiosów obnażony.

Tu, śpiewając kolędy w ekstazie cudnej, przenieśliśmy się myślą i duszą tam, do świątyń naszych polskich, między braci naszych ukochanych, zgromadzonych zapewne w tej chwili na pasterce. Tam choć duszą poszliśmy do nich, bo tu ni kapłana, ni świątyni".

W istocie, za świątynię służyła im uboga chatka jednej rodziny zesłańców, otoczona wielką lodowo–śnieżną pustynią.

Lata mijały, płynęły dziesięciolecia, a kolejni zesłańcy pojawiali się na Sybirze. I rok za rokiem odbywały się wigilie, w chatach, ziemiankach czy zabudowaniach etapów. Wokół śnieg, dzwonią kajdany, lecz wzrok synów Rzeczypospolitej utkwiony jest w opłatku wypieczonym z drogocennego chleba. Ten opłatek nabierał głębokiej, ponad religijnej treści polskiej. Gdyśmy się nim łamali, mówiliśmy sobie: jesteśmy razem, nawet mimo naszych różnic. Łamiemy się chlebem, czymś najdroższym, co mamy, i mówimy o tym, że na fundamencie miłości zbudujemy przyszłą Polskę.

Lecz oto nadchodziła epoka bolszewizmu i stalinizmu. I kolejne kibitki płynęły na północ traktami–rzekami. Jak w „Widzeniu" księdza Piotra.

Tak wspominała pierwszą wigilię na zesłaniu w latach czterdziestych Wanda Niezgoda–Górska: „Matka przygotowała stół wigilijny, położyła na sąsieku walizkę i przykryła białym obrusem. Nie było opłatka, więc połamaliśmy się czarnym, przydziałowym chlebem. Czarny chleb był też jedynym daniem wigilijnym. Musiał zastąpić 12 tradycyjnych dań. Nadchodzące Święta Bożego Narodzenia przywołały falę wspomnień. Tym razem jednak nie odczuwaliśmy zwykłego nastroju radości, towarzyszącego tym uroczystym dniom. Pierwsza Wigilia na obczyźnie, tysiące kilometrów od rodzinnej ziemi, w strasznym, niegościnnym kraju, przepojona była nieopisanym smutkiem".

Jadwiga Stocka, inna Polka wywieziona na Sybir pisała: „Przyszły Święta Bożego Narodzenia. Tam żadnych świąt religijnych nie honorują, normalnie idą do pracy. Ponieważ myśmy w mrozy nie chodzili do lasu, mogliśmy normalnie uczcić to święto. Jakżeż ubożuchne, bez żadnych potraw wigilijnych. Zamiast opłatka podzieliliśmy się kawałkiem chleba, życząc sobie oczywiście rychłego powrotu do Polski. Ze ściśniętym gardłem przez łzy, wspólnie pośpiewaliśmy nasze tradycyjne kolędy. Zebrało się nas parę rodzin polskich w jednej chatynce, żeby było raźniej. Każdy wspominał tylko Polskę, jak tam obchodził święta".

W pięknej teczce, w nowojorskim Instytucie leży syberyjski opłatek – ślad polskiej wiary w Dobrą Nowinę, ślad wiary w Przykazanie Mi-

łości.

O innej wigilii i innej teczce wspominał kiedyś, nieżyjący już ksiądz kardynał Kazimierz Świątek, który najpierw jako trzyletnie dziecko był wywieziony z rodzicami na Syberię, a potem, podczas wojny, siedział przez wiele tygodni w celi śmierci. Niedługo po „wyzwoleniu" został ponownie aresztowany. W lipcu 1945 roku skazano go na 10 lat łagrów o zaostrzonym rygorze. Dwa lata później znalazł się pod Workutą. Tak zapamiętał wigilię tego roku: „W Workucie zorganizowałem wigilię. Z nar zrobiliśmy stół, kładąc nań, co kto miał: ja – zaoszczędzony z dwóch dni przydział chleba, inni – a było nas dziesięć osób – cenniejsze produkty, przysłane w paczkach od krewnych. Był też opłatek. Trzymając go w ręku, zwróciłem się do obecnych. Głos mój drżał, wszyscy ocierali łzy. I nagle otworzyły się drzwi: wszedł naczelnik łagru z pistoletem w ręku, a za nim żołnierz z karabinem. – Co robicie? – zapytał. Stałem naprzeciwko niego i zacząłem tłumaczyć mu obrzęd wigilijny. Wyciągnąwszy rękę, zaprosiłem do połamania się opłatkiem i złożenia sobie życzeń świątecznych. Sytuacja była pełna napięcia. Oto dwie wyciągnięte ręce: moja z opłatkiem i KGB–isty z pistoletem. Kto z nas pierwszy opuści rękę? A jednak pierwsza opuściła się ręka z pistoletem. Naczelnik schował broń do kabury, przeprosił, że nie może przyjąć opłatka, bo jest na służbie, ale pozwolił kontynuować wigilię. Kiedy wyszli z żołnierzem, zaintonowałem kolędę »Wśród nocnej ciszy«. (…) Następnego dnia zostałem przeniesiony z Workuty do obozu w głuchej, północnej tundrze".

Cóż za niezwykły moment, w którym naprzeciw siebie stają ci dwaj ludzie: zesłaniec i kagebista. Dwie wyciągnięte ręce: polska z opłatkiem i rosyjska z pistoletem. Opłatek kontra pistolet! Starcie dwóch, na przeciwległych biegunach stojących, kultur. I opłatek zwycięża. Ręka Rosjanina powoli opada.

W swojej relacji, zamieszczonej w 2004 roku w miesięczniku „Miłujcie się" ksiądz kardynał opisał jeszcze jedną sytuację, którą trzeba zacytować w całości. Jest bowiem porażająca: „I jeszcze jeden epizod, decydujący o moim losie w ostatnim dniu pobytu w łagrze. Pod strażą przyprowadzono mnie do kancelarii obozu, która znajdowała się poza łagrem. Za stołem siedział major KGB. Zaczął uważnie sprawdzać bardzo grubą teczkę z moimi dokumentami. Od czasu do czasu spoglądał na mnie i kręcił głową. Wreszcie, kiedy dotarł do ostatniej strony, zapytał mnie: „Jak ty, po przejściu tego wszystkiego, zostałeś przy życiu?". To było dla niego niepojęte. Zasada KGB była jasna i jednoznaczna: dla takiego jak ja szkoda kuli, wykończyć powinna praca ponad ludzkie siły i okropne warunki życia w łagrze. Moja odpowiedź była zdecydowana: „Obywatelu majorze, moja niewzruszona wiara w Boga zachowała mnie przy życiu. To On ocalił mi

życie”. Major z wątpliwością zapytał: „A czy jest ten Bóg?” – i pogrążył się w myślach. Stojąc pod ścianą, bardzo gorąco się modliłem, prosząc Boga o ratunek, o zachowanie życia, o wolność. I oto major po długim namyśle jakoś życzliwie spojrzał na mnie; następnie wziął długopis i podpisał dokument, mówiąc: »Jesteście wolni«. Wyszedłem z kancelarii KGB już bez konwoju. Byłem naprawdę wolny!”.

Oto dwie teczki, które ułożyć można obok siebie. Jedna z nich z opłatkiem, wierszami, i życzeniami od sybiraków, wysłana do polskiego ambasadora w Kujbyszewie. Na niej aniołki, kwiatki, ludzie idący do pięknego kościółka i polskie orzełki. Oraz teczka druga. Ta, którą trzyma w dłoniach major KGB. Teczka, w którą stuka palcem. Patrzy na polskiego księdza i wie, że trzyma w ręku całe jego życie. Może ją zamknąć, lub otworzyć. Skazać na śmierć, lub obdarzyć wolnością. W tej teczce nie ma opłatka. I nigdy nie będzie. Opłatek można znaleźć tylko w teczkach wykonanych polską ręką. Bo takie teczki, to teczki Miłości i Prawdy.

[Gazeta Polska, nr 52/2014]

O NOWY CUD WISŁY

GDY pod listem intencyjnym, mówiącym o idei budowy łuku tryumfalnego, upamiętniającego odparcie w roku 1920 hord bolszewickich, podpisali się prawicowi intelektualiści, w mediach salonowych zawrzało. Inicjatywa Jana Pietrzaka była szeroko komentowana od lewa do lewa, a wzięli się za nią zarówno spece telewizyjni z ulicy Wiertniczej, jak i fachowcy z Czerskiej. Ton komentarzy był jednaki – mocno zjadliwy. Oto szalona, wariacka prawica wystartowała z kolejnym nierealnym pomysłem, który ma w dodatku „podtekst polityczny"!

Do tego chóru dołączyli politycy koalicji. Hanna Gronkiewicz–Waltz stwierdziła, że pomysł z budową jest „uciekaniem od rzeczywistych problemów Warszawy", a mazowiecki marszałek województwa Adam Struzik przekonywał: „Współczesny wymiar patriotyzmu to przede wszystkim rozwój lokalnych wspólnot, gmin, powiatów, województw, to również dobre wykorzystanie środków europejskich, to dobre i mądre zarządzanie. Jestem zwolennikiem bardziej użytkowych upamiętnień". I tak od rana do wieczora sączyła się w uszy Polaków propaganda, mająca ośmieszyć i zdyskredytować ten piękny pomysł. W dodatku, co już lwy salonowe uznały za zjawisko niebezpieczne, list poparcia budowy łuku podpisały postaci z bardzo szeroko rozumianej prawicy, które nierzadko w poglądach różnią się od siebie diametralnie. Byli wśród nich m.in. prof. Andrzej Nowak, prof. Jan Żaryn, były szef Solidarności Janusz Śniadek, prawnik Wiesław Johann, prof. Witold Kieżun, prof. Zdzisław Krasnodębski, prof. Piotr Gliński, reżyser Antoni Krauze czy pisarze i publicyści tacy jak Marcin Wolski, Rafał Ziemkiewicz oraz Waldemar Łysiak. Dla tzw salonu to mieszanka nazwisk iście zabójcza i już sam fakt, że w tej sprawie wypowiedziało się jednym głosem tylu intelektualistów, będących przeciwnikami mainstreamu, stał się dla elit trzymających władzę wystarczającym powodem do rozkręcenia festiwalu bardziej lub mniej ukrytych szyderstw i ataków.

Tymczasem sam pomysł winien Polaków jednoczyć, tak jak podobne idee jednoczyły nas w przeszłości. I jak nas zjednoczyła sama bi-

twa stoczona w sierpniu 1920 roku na przedpolach stolicy.«

Już wcześniej, niejednokrotnie, Warszawa i jej okolice stawały się terenem walki o wolność. Walki okupionej często krwią niewinnych, jak podczas okrutnej rzezi Pragi, którą zafundowali nam przyjaciele Moskale w roku 1794, dławiąc insurekcję Kościuszki. Bitwy staczano i później w trakcie kolejnych powstań. Podczas wojen napoleońskich doszło do wspaniałej, bohaterskiej obrony Warszawy, rozegranej pod Raszynem w kwietniu 1809 roku. W jej trakcie oddał życie za Ojczyznę poeta Cyprian Godebski, stając się dla kolejnych młodych pokoleń symbolem postawy patriotycznej. Zmagania na raszyńskiej grobli miały w sobie zresztą coś z termopilskiej zawziętości. W bitwie poległo kilkuset Polaków, i chociaż nie zakończyła się ona zwycięstwem, to pozwoliła podpisać kapitulację Warszawy na naprawdę bardzo dobrych warunkach (nie tylko zapewniających pełne bezpieczeństwo mieszkańcom, ale umożliwiających wycofanie wojska z miasta w ciągu czterdziestu ośmiu godzin). Dała również szansę na dalszą walkę z Austriakami, w rezultacie stając się elementem zwycięskiej kampanii, której efektem było poszerzenie obszaru Księstwa Warszawskiego. Na cześć powracających z owej kampanii żołnierzy zbudowano w grodzie nad Wisłą łuk tryumfalny – wysoką i potężną budowlę górującą nad placem Złotych Krzyży, zwanym dziś placem Trzech Krzyży. Projekt był autorstwa Jakuba Kubickiego, zaś do naszych czasów przetrwał wizerunek ukazujący wspaniałość łuku dzięki rycinie Richtera. Łuk dość szybko rozebrano, fragmenty rzeźb leżą do dziś na dziedzińcu Instytutu Głuchoniemych, a po kongresie wiedeńskim Polska i Warszawa trafiły w ręce rosyjskie. Nowy polski król de légitime, czyli car Aleksander I, miał wkrótce uroczyście wjechać do miasta. Wtedy postawiono na wspomnianym placu drewnianą bramę powitalną i zaczęto myśleć o łuku upamiętniającym nowego władcę. Lecz tu napotkano na jego stanowczy sprzeciw. I nie ma co się dziwić, gdyż postawiony w miejscu, które jeszcze niedawno było symbolem zwycięskich wojsk polskich, nadal kojarzyłby się ze znienawidzoną przez Rosjan kampanią napoleońską. Nie po raz pierwszy w naszej dzisiejszej rzeczywistości odkrywamy, że pomysły naszych dziewiętnastowiecznych ciemiężycieli, a potem komunistycznych dzierżycieli knuta, nadal są żywe, aktywne i potrzebne tym, którzy boją się oddać władzę czarnosecinnym potworom prawicowym. Przecież taki łuk tryumfalny postawiony z okazji zwycięskiej bitwy z ROSJANAMI mógłby być przeszkodą w budowaniu pozytywnych relacji z naszymi przyjaciółmi z Kremla, w którą to budowę towarzysze z Platformy Graždanskiej są zaangażowani od ponad siedmiu lat. Łatwiej w Ossowie stawiać pomniki poległym bolszewikom, niźli upamiętnić

godnie tych, którzy oddali życie za Polskę i za cały cywilizowany świat kultury łacińskiej i chrześcijańskiej.

Termin „Cud Wisły" wymyślił endecki dziennikarz Stanisław Stroński. W artykule w „Rzeczpospolitej" z dnia 14 sierpnia 1920 roku niejako o ten „Cud Wisły" prosił, nawiązując zresztą do „cudu Marny", nad którą to rzeką Francuzi odnieśli zwycięstwo w roku 1914. Wiedział, co się może stać i pisał o tym, wspominając nasze poprzednie rozprawy ze wschodnią barbarią: „Dzisiaj żołnierz polski, oparłszy się o Wisłę, ma stawić czoło napastnikowi, który kraj nasz, ledwie wydobyty ze stuletniej niewoli, chce znowu ujarzmić, pohańbić, rozstroić, wydać na pastwę dzikim rządom czerwonym. Żeby Warszawa wpaść miała w ręce bolszewików, żeby Trockij miał wejść do miasta jak ongi Suworow i później Paskiewicz, żeby ten sam dziki, a dzisiaj jeszcze dzikszy, bo podniecany przez mściwych i krwiożerczych naganiaczy, sołdat i mużyk pohulać miał w stolicy odrodzonej Polski, tej myśli wojsko nasze nie zniesie i każdy żołnierz powie sobie: po moim trupie. A gdy to sobie powie ten żołnierz nasz, potomek zwycięzców w tylu potrzebach przeciw wielokroć przeważającym siłom w ciągu wieków, następca dzisiaj kościuszkowskich, listopadowych, styczniowych powstańców i obrońców zwycięskiego miasta, pierwszy znowu, skoro tak padło, stróż bram stolicy i wstęgi wiślanej w zmartwychwstałej Ojczyźnie, wojsko nasze pójdzie naprzód i odegna niebezpieczeństwo daleko od serca Polski". Niektórzy twierdzą, że Stroński wymyślił termin „cud nad Wisłą", by obniżyć rangę zwycięstwa dokonanego rękami Marszałka Józefa Piłsudskiego. Owszem, w swoich tekstach z chwil wojny mało wspomina o Komendancie, a dużo pisze o gen. Weygandzie czy gen. Zagórskim, lecz trudno dostrzec ironię w sformułowaniu „Cud Wisły". Artykuł z 14 sierpnia nie pozostawia złudzeń. To prawdziwa, żarliwa prośba do Niebios w sytuacji wydającej się niezwykle ciężką. Pisze Stroński: „I gdy w jutrzejszą niedzielę zbiorą się miliony ludności polskiej w kościołach i kościółkach naszych, ze wszystkich serc popłynie modlitwa:

Przed twe oblicze zanosim błaganie:
Ojczyznę, Wolność, zachowaj nam Panie.

Błogosławiony tą modlitwą ojców, matek, sióstr i małej dziatwy o ziszczenie się cudu Wisły, żołnierz polski pójdzie naprzód z tem przeświadczeniem, że oto przypadło mu w jednej z najcięższych chwil w naszych tysiącletnich dziejach być obrońcą Ojczyzny".

Sześć lat później wspomnieniową książkę o roku 1920 wydał Adam Grzymała–Siedlecki. Ta piękna opowieść o zmaganiach z bolszewikami miała także tytuł „Cud Wisły", a w ostatnim rozdziale autor przy-

stępuje do swego rodzaju resume z tym wyrażeniem. Wspomina, iż słów tych użył Wincenty Witos w swojej sejmowej przemowie. Ale także powołuje się na bezpośredni rodowód i tekst z „Rzeczpospolitej". I opisuje, jak wielkie siły nieprzyjacielskie były już w okolicach Warszawy, szykując się do ostatecznej rozprawy ze stolicą i zarazem sercem Polski. A potem… „jakby za sprawą Wszechmocnego, odwraca się karta wojny". Następuje paniczna ucieczka Rosjan, katastrofa, zupełna klęska. Zaś nasze wojska w tryumfalnym pochodzie idą coraz dalej i dalej, odzyskując olbrzymie połacie Polski. „Zaiste, jest coś z cudu w tej cudownej odmianie losu".

Pisze też Grzymała Siedlecki, że naród nąsz dźwignął się w owych dniach z jakiegoś nastroju upadku i lęku. Że przed bitwą w wojsku polskim szerzyła się dezercja i popłoch. A ten nagły powrót silnego ducha, nadziei i odwagi to także był rodzaj cudu. Że nastąpiła niezwykła przemiana duchowa w polskim wojsku, które się podniosło i z furią husarii uderzyło na wroga. Wspomniał także o cudzie, jakim była wspaniała, patriotyczna, polska młodzież. O tym, że szeregi wojskowe zasilały coraz to nowe rzesze młodych ludzi…

„Byli wśród nich chłopcy bezkrwiści, wycieńczeni niedostatkiem rodzin, z których pochodzą; byli suchotnicy i słabi na serce; byli wątli i wymizerowani trudami nauki. Były wśród nich prawie dzieci. Żaden nie cofnął się. Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Ten okrzyk wystarczył im, by iść w pole – i piersiami chłopięcymi zasłonić przed wrogiem stolicę".

Przy okazji, te niezwykłe opisy ofiarności i odwagi, tak bardzo kojarzące się z młodzieżą walczącą potem o Warszawę w roku 1944, należy poświęcić wszystkim krytykom tejże walki.

W dwudziestym roku ofiara była równie wielka i krwawa. „Padali, jak kwiaty pod kosą, lwięta nasze ukochane, bezcenny posiew patriotyzmu pod przyszłe, lepsze w Polsce dzieje".

Otóż właśnie – pod przyszłe, lepsze dzieje. Czyż w owej lepszej przyszłości, w jakiej żyjemy, nie powinniśmy my, wnuki tamtych bohaterów, odpowiednio upamiętnić ich przelaną krew? I więcej jeszcze powiedzmy – czy w czasie, w którym polską dumę i godność chowa się głęboko w kieszeń, płacąc tym za głaskanie po głowach przez europejskich pryncypałów, nie należy właśnie tym głośniej, tym mocniej upominać się o dobrą pamięć i wiedzę o Polakach? Dlaczego budowy stadionów na Euro 2012 motywowało się kwestiami „promocji Polski", a takich zalet wybudowania Łuku Tryumfalnego 1920–2020 już się nie dostrzega? A przecież pod taki łuk powinna być zabierana każda wycieczka obcokrajowców, by goście mogli posłuchać przewodnika opowiadającego o tym, jak Europa została przez nas uchroniona przed potwornościami komunizmu. Ten łuk nie

ma być jedynie upamiętnieniem naszych bohaterskich przodków. Jest potrzebny, gdyż zwycięstwo Piłsudskiego było takim wkładem w cywilizację europejską, jak prace Kopernika czy utwory Chopina. Jest potrzebny, by wychowywać młodych Polaków w taki sposób, aby potem z dumą mogli mówić o sobie – urodziłem się nad Wisłą.

Wspaniały przedwojenny architekt Adolf Szyszko–Bohusz, twórca pięknego mauzoleum Józefa Piłsudskiego na Wawelu, zaprojektował w latach dwudziestych siedzibę Muzeum Narodowego w Krakowie. Centralnym elementem budowli miał być wielki łuk tryumfalny, Łuk Wolności. Projekt nie został wtedy zrealizowany, podobnie jak Świątynia Opatrzności Bożej, zaprojektowana przez Szyszko–Bohusza jeszcze przed wojną. Ona również miała stanowić element budowania naszej tożsamości kulturowej.

Adam Grzymała Siedlecki w swoim „Cudzie Wisły" pisał o tym, że gdy „szatan bolszewicki" nam zagroził, naród polski się zjednoczył. Wszyscy obywatele, zostawiając za sobą urazy, złości i powszednie pretensje, pracowali na to, by odeprzeć nieprzyjaciela. Wtedy właśnie, uniesiony modlitwami, biciem dzwonów, błogosławieństwami matek, żołnierz polski czuł, że jest jedną częścią czegoś wielkiego i pięknego. Że jest częścią Polski.

I nam było dane, przez chwil kilka, taką jedność czuć. Gdy płakaliśmy na ulicach w godzinę śmierci naszego papieża, kolejnego polskiego świętego. Albo gdy staliśmy w wielkiej kolejce, by oddać hołd przy trumnach prezydenckiej pary. Czuliśmy wtedy tę niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju jedność.

Tak nastrój przed bitwą opisywał Grzymała Siedlecki: „(…) stężała atmosfera moralna kraju. Nie było niejakiego czasu na strach, bo robota zaprzątała mózg i wzruszenia. Nie było miejsca dla nerwowców i tchórzów, bo przez kraj szedł powiew otuchy. Od samego skupienia woli rozchodziła się wiara w odwrócenie nieszczęść i dopustu. Oto był ten »cud jedności«, o którym mówił na sejmie prezydent Witos, ten cud dusz, który poprzedził orężny cud Wisły".

Otóż właśnie. Cud dusz. Cud jedności. Cud zjednoczenia w polskości. O tym jest Łuk Tryumfalny, który pragniemy postawić. O tym, że Polska wyrosła na pięknych wartościach, na wierze w Wolność Człowieka i ewangeliczną Miłość. Bo w roku 1920 nad grożącą nam bolszewicką nienawiścią zatryumfowała… Miłość. Ona zbudowała łuk, pod którym przeszliśmy do wolnego świata.

[wSieci, nr 39/2014]

DWA KAZANIA
– CZYLI KSIĄDZ POKAZAŁ KIERUNEK KRZYŻEM

TAK się obecnie próbuje oderwać historię Polski od Krzyża, tak się ją chce zeświecczyć, tak się z jej kart usiłuje wymazać Boga, jakby chciano, aby Go tam nigdy nie było. Przecież lepiej, gdyby Mieszko I kraju nie chrzcił, lecz europeizował, gdyby Jan Kazimierz nie Matce Bożej Częstochowskiej śluby składał, lecz greckim filozofom, i gdyby Jan III Sobieski nie pod sztandarem Chrystusowym wiódł husarię przeciw hordom pohańskim, lecz pod wielką niebieską flagą unijną. Choć mówiąc o tej ostatniej, zapomina się niekiedy proweniencję gwiazd, które sfrunęły przecież na europejski sztandar znad głowy Madonny.

Mieliśmy wielkich, cudownych księży katolickich, którzy wiedli Naród ku dobrej przyszłości. Nie tej ziemskiej nawet – lecz ważniejszej, niebieskiej. Mieliśmy cudownych kronikarzy, jak Wincenty Kadłubek, mieliśmy świętych męczenników wymiaru Andrzeja Boboli, mieliśmy księży naukowców, którzy jak Paweł Włodkowic na soborze w Konstancji dbali o dobry wizerunek Polski i jej króla, walcząc z oszczerstwami Krzyżaków, mieliśmy płomiennych kaznodziejów rangi Piotra Skargi, całe rzesze kapelanów powstańczych – między nimi świętego brata Alberta Chmielowskiego – czy wreszcie księży wiodących żołnierzy z krzyżem w ręku, jak ks. Ignacy Skorupka. Duchowi przywódcy narodu… Oni nie zniknęli zasypani pyłem historii, nie są jedynie świadkami dawnych dni przywoływanymi na kartach starych ksiąg, nie są tylko duchowymi gigantami przeszłości wymiaru bł. księdza Popiełuszki. Nadal toczą walkę o rząd dusz. Są obok nas. Tym razem jednak przeciwnika nie tak łatwo rozpoznać, bo jego gęba nie wyziera zza kołnierza bolszewickiego szynela. Dzisiejszy wróg Polaków jest podstępny, przemawia do nas zgrabną polszczyzną, stroi patriotyczne szaty, a do klapy przypina kotylion w barwach narodowych i sunie pod pomniki Piłsudskiego, Dmowskiego, Witosa… Zdradzają go drobiazgi, np. ów kotylion, gdyż polskim znakiem patriotycznym zawsze była kokarda, natomiast kotyliony przypinano koniom.

W odurzającym i jazgotliwym hałasie mediów przy okazji Święta Niepodległości udało mi się ostatnio wyłowić słowa–perły, słowa prawdziwego dusz–pasterza, wygłaszającego homilię z talentem, da-

rem i sercem Piotra Skargi. I choć były to słowa gorzkie, wyciskające łzy i grające żalem w duszy – warto ich było posłuchać.

Kazanie to mówił JE ks. bp. Józef Zawitkowski, z okazji 90. rocznicy święcenia kościoła w Wołominie. Biskup oddychał z trudem, ciężko wyrzucał z siebie kolejne słowa, czuć było drżenie serca przy każdym kolejnym zdaniu. Szczęście, że takie kazania przekazuje i utrwala Radio Maryja i telewizja Trwam.

A gdy w milczeniu, nie śmiąc się nawet poruszyć słuchałem tych mocnych stwierdzeń, na myśl mi przyszło kazanie inne. To, które nad trumną księdza Skorupki wygłosił dziewięćdziesiąt cztery lata temu w kościele Garnizonowym w Warszawie ksiądz kanonik Antoni Szlagowski. Każde słowo biskupa Zawitkowskiego wracało do mnie echem z funeralnej mowy arcybiskupa Szlagowskiego.

Wołomin i Radzymin – te miasta zyskały miana bohaterów – gdyśmy stawiali opór azjatyckiej dziczy ciągnącej ze wschodu. Teraz wołomińską świątynię zdobią freski i obrazy treści patriotycznej, można odnaleźć na nich i Mieszka, i Sobieskiego, i Powstańców Styczniowych, i tych bohaterów, którzy krew przelali w sierpniu 1920 roku, by uchronić Polskę i całą Europę przed zagładą.

„Obliczcie te bratnie żołnierskie mogiły rozrzucone po kraju, policzcie proszę owe grobowiska na rubieżach Ojczyzny gdyby kopce graniczne usypane, zbierzcie owe imiona, nieznane za życia, zapomniane po śmierci, obejmujące szary tłum żołnierski, który pokotem kładł się w obronie naszej przyszłości, i wypiszcie im jedno wielkie wspólne miano: Czterdzieści i cztery. Bo nie tylko krew ich dawne bohatery, ale i oni sami krew swą po bohatersku przelewali, a z ducha ich i z poświęcenia powstaną mściciele narodu”.

Tak mówił 17 sierpnia 1920 roku nad trumną księdza Skorupki ksiądz Szlagowski. Cóż to były za prorocze słowa. Jakże one brzmią nad ciałem martwego księdza–bohatera, to imię od wieszczego poety wzięte, ta nadchodząca wizja roku czterdziestego czwartego, pokolenie kolejnych mścicieli!

„Patrzcie na ściany tej świątyni, a odczytacie chwalebne imiona, które do głębi poruszą każdego: żołnierze pacholęta, pacholęta bohaterowie”. Głos niknie w otchłani historii i powraca przez usta biskupa Zawitkowskiego, który do roniących łzy ludzi zgromadzonych w Wołominie mówi o świątyni i namalowanych na jej ścianach obrazach: „Pewnie nie doczytaliście jeszcze treści wszystkich obrazów, które stroją wasz kościół. (…) A wszystko to takie bliskie, takie nasze i takie polskie, i tam jest Bóg i Polska, mój dom ojczysty. Mogę to wszystko wyrazić tylko dziękczynieniem, słowami psalmisty – »Jakże miłe są przybytki twoje Panie, Panie zastępów, dusza Moja za nimi

tęsknić nie przestanie, bo ciało moje i każde drgnienie serca mego rwą się do ciebie Boga żywego!«”.

I jest siedemnasty sierpnia i dziesiąty listopada w jednej chwili, w jednym momencie, kazania łączą się ze sobą, płyną spójnym dźwiękiem, poruszają serca żywych i tych, co już dawno odeszli, ich cienie tylko zostały w kościelnych ławach. W homilii sierpniowej ksiądz kanonik Antoni Szlagowski mówił o księdzu Skorupce, który wiódł ochotników spod sztandaru Weteranów Powstania Styczniowego, trzymając w ręku krzyż. Gdy młody kapelan upadł podczas ataku, jego dowódca pomyślał, że on potknął się tylko. Dopiero potem znaleziono księdza z rozbitą pociskiem głową i ciałem pokłutym sowieckimi bagnetami.

„Wielki Boże! U wrót Warszawy toczy się bój o istnienie Polski, u wrót Warszawy rozgrywają się w tej chwili losy Europy całej, dzieje ludzkości się ważą. Czy Polska będzie? Czy Europa będzie? Czy będzie nadal, jak dotąd przodownicą kultury, pochodnią wiedzy, skarbnicą sztuki, przybytkiem najszczytniejszych ideałów? Czy będzie? Czy będzie?... Na to pytanie, trapiące jak zmora, odpowiadają w tej chwili na polu bitew pacholęce nasze zastępy ochotników, młodociane, ze szkół pułki obrońców Warszawy. Jeżeli oni dadzą odpór skuteczny, jeżeli oni powstrzymają dzicz niosącą Warszawie zniszczenie, będzie i Europa ocalona. Walka to na śmierć i życie, wojna to krzyżowa z pogaństwem nowożytnym, więcej powiem, bój to z szatanem samym. I gdyby szatan w widzialnej postaci wystąpił przeciw Kościołowi i ludzkości, ten szatan miałby plugawą twarz bolszewika”.

Te słowa padły nad trumną księdza skłutego bagnetami, sponiewieranego, okradzionego z zegarka ofiarowanego mu przez ojca. I te rany po bagnetach i ten zegarek skradziony są jak stygmaty wyznaczające ramy ofiary poniesionej na stawianie oporu barbarzyństwu.

10 listopada tego roku JE biskup Zawitkowski łamiącym się głosem opowiadał parafianom o śmierci Skorupki. Mówił też i o innych bohaterach – o księdzu Franciszku Rudzkim i nauczycielu Leopoldzie Rusiniaku. O tym, że „Boże, coś Polskę” śpiewali przed śmiercią. I dodał: „Nauczyciel i ksiądz zginęli za krzyż i orła. To chyba ostatni obraz w moich oczach męczeńskiej Polski, gdzie nauczyciel i ksiądz razem szli na śmierć, za Boga i Ojczyznę i za tych, którzy urosną, aby byli pokoleniem, którego dotąd nie widziano. Za krzyż i orła. Bo mieli jedno serce i jeden duch. A dzisiaj w szkołach panuje euro–epidemia. Czego bolszewicy nie zrobili, zrobią to ludzie oświeceni, źli, nam obcy kulturą, niedouczeni”. Wreszcie przywołał Zawitkowski dni, w których stolica cała wstrzymała oddech, czekając na wynik bitwy mającej rozegrać się na jej przedpolach: „Czy pomyśleliście czasem, że gdyby nie cud nad Wisłą, to już 94 lata chodzilibyśmy w kufajkach? Tylko ta

jedna noc, kiedy kardynał Kakowski modlił się u stóp kolumny Zygmunta, a warszawiacy prosili o rozgrzeszenie, bo jutro będzie rzeź. Strzały armat spod Ossowa i śpiew „Swięty Boże" spod placu Zamkowego spotykały się nad Wisłą. Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie. A chłopcy od Władysława IV i ich prefekt ks. Ignacy Skorupka poszli (…) za Boga i Ojczyznę. Ksiądz pokazał kierunek krzyżem. I potknął się, nie zauważyli tego studenci.".

„Ksiądz pokazał kierunek krzyżem!" – cóż to za piękne motto całych naszych dziejów. Za tym krzyżem wzniesionym w rękach kapłanów szliśmy ufni w Bożą Opiekę, wierząc w słuszność postawy. I te dźwięki mieszające się nad głowami rozmodlonych ludzi – huk armat i śpiew „Swięty Boże". Na tym samym placu Zamkowym, w roku 1861 także śpiewano suplikację, a rosyjskie roty strzelały raz po raz do bezbronnego tłumu i kozacy szarżowali z nahajkami w dłoniach.

Biskup Zawitkowski mówił do ludzi w ogromnym napięciu, jakby to on stał nad trumną Skorupki w sierpniu roku dwudziestego: „Następnego dnia pułkownik Dobrowolski zobaczył na ściernisku, pośród niezebranych snopów, ciało księdza: był w komży, we fioletowej stule, miał krzyż w ręku i roztrzaskaną głowę, za Boga i Ojczyznę. Może to wzruszy bezbożnych?

I tam gdzie stoi grzeszna tęcza gejów, na placu mojego Zbawiciela, usłyszą kiedyś słowa archanioła: »I któż jak Bóg!?«. Wyrosną warszawskie kwiaty po tych, co do nieba szli, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.".

Biskup przestrzegł, że przecież mogą nadejść kolejne rozbiory. Że Polska właśnie ginie, niknie, że duch obumiera. A jednocześnie. „Decydenci uwłaszczyli siebie. To owoc okrągłego stołu. Brawo, „bohaterowie". Naród umiera. Naród Wymiera. Odbierzecie jeszcze dzieciom Miłość, a młodzieży rozum, a zostanie nam Polska ugorem pachnąca . (.) Ludzie zgniłej Europy. Warszawa jest tylko po drodze, potem Berlin, Paryż i Lizbona. I bój to będzie nasz ostatni. To nie ja mówię, to Tuchaczewski.".

Słowa te zabrzmiały jak echo wystrzałów z roku 1920. Walka się nie skończyła, uważajmy, bo „to już nie dzika horda bolszewicka, to wykształcone politycznie bestie!".

W trakcie mowy pogrzebowej w kościele Garnizonowym, ksiądz kanonik Szlagowski mówił, że ofiara księdza Skorupki może się niektórym wydać niepotrzebna. Cóż to za zwycięstwo – leżeć z krzyżem w dłoni, w polu, z roztrzaskaną czaszką? I zaraz na to odpowiedział: „Kto tak mówi, ten nie docenia mocy, jaką daje poświęcenie, ten nie pojmuje zwycięstwa ducha, ten zapomina, co mówi poeta, że złych inaczej pokonać nie można tylko w śmierci godzinę miłością anioła (Słowacki)".

A potem dodał jeszcze słów kilka, które dzisiaj powinni usłyszeć ci wszyscy, którzy bohaterskie postawy mierzą tylko miarą oczywistego sukcesu: „Nie sądź chłodnym rozumem, nie mierz miarą powszednią, co było wybuchem wzniosłego natchnienia. Bo czyż my wiemy, azali Bóg sam go nie prowadził, aby przez śmierć tego kapłana rycerza spełnić tajemne nad nami wyroki, jak je spełniał w tylu męczennikach, których krew bywała posiewem chrześcijan? Azaż wiemy, czy Bóg nie chciał, aby wraz z ofiarą naszej młodzieży spełniła się ofiara duchowego przewodnika i z krwią żołnierza zmieszała się krew kapłana dla odkupienia stolicy i Ojczyzny; aby bezbronne ręce kapłańskie, nawykłe do błogosławieństwa, w śmiertelnym uścisku obok poległych rycerzy objęły ziemię ojczystą, matkę i żywicielkę, na wieczne nasze i niepodległe władanie”.

Prof. Władysław Wysocki w monografii księdza Skorupki cytuje poza powyższym kazaniem, także relację z mszy pogrzebowej zamieszczoną w „Kurierze Warszawskim”. Przytaczam za panem profesorem: „Cichy szloch kobiecy miesza się ze śpiewem żałobnym i melodią Mazurka Dąbrowskiego, który gra orkiestra wojskowa. Mnóstwo duchowieństwa z biskupem Gallem na czele, władze wojskowe z gen. Hallerem, władze cywilne, komendantura miasta, delegacje obcych wyznań, między innymi delegacje rabinów i gminy starozakonnych, delegacje żołnierskie weteranów 1863 r., stowarzyszeń, związków”.

W listopadzie tego roku, w kościele wołomińskim także widać było wzruszenie na twarzach. A po skończonej homilii tak biskup rozpoczął Wyznanie Wiary – „Pytam was, jak przez dziewięćdziesiąt lat pytali was kapłani w Wołominie… Pytam was wobec Matki i wobec Królowej… Powiedzcie mi pod przysięgą… I powiedzcie mi prawdę… Niech usłyszą to na Wiejskiej i w Brukseli. Czy wy jeszcze wierzycie w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Ziemi i Nieba?”. I zabrzmiała odpowiedź . Taka jak zawsze, jak przez wieki całe: „Wierzymy!”.

Słyszysz tę odpowiedź, księże biskupie? Wierzymy! Jesteśmy! Wierzymy, a póki wierzyć będziemy, Polska nie zginie.

[wSieci, nr 47/2014]

BYŁO ich trzech. Trzech sierżantów – Kazik Strzelecki, Henryk Dobrowolski i Kazik Kamiński pseudonim „Luboń”. Wyruszyli w drogę z Pierwszą Kadrową świtem 6 sierpnia 1914 roku. Wszyscy zginęli kilka miesięcy później, w jednej chwili, podczas bitwy pod Łowczówkiem. Strzelecki umarł cicho i spokojnie. Dostał kulę w serce. Dobrowolski zginął spiesząc ze swymi druhami w bój. A Luboń…

Luboń, o którym pisze porywająco Kaden–Bandrowski, iż szedł „szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych”, odszedł z okrzykiem na ustach.

Biegł do ataku, gdy został trafiony rosyjską kulą. Przyklęknął. Przytulił się do drzewa. Sięgnął ręką za kurtkę. Krew. Coraz więcej krwi. Wiedział, że nie zdoła jej zatamować. Że zbliża się koniec. Wtedy zerwał się i skoczył naprzód. Reszta usłyszała jego wołanie: „Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!”.

Padł rażony w czoło. Jego krzyk echem się poniósł i zapadł w duszach żołnierzy. „Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!”.

Przed pogrzebem koledzy wyciągnęli z kieszeni jego munduru małe karteczki. Drobne zapiski, rodzaj dzienniczka bojowego: „6/8 1914 czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiórka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanii wojsk polskich”, albo: „Pierwszy raz mówiłem do chłopów. Po stu latach przychodzimy wojsko polskie za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozpłakał”. Dalej kolejne, proste, żołnierskie zapiski, wieczory, dnie, przemarsze, posiłki, wieści z domu, koledzy snujący opowieści w okopach.

W kieszeni zmieściło się całe jego patriotyczne życie zamknięte na pomiętych stronicach.

Pięknie o tym pisze Kaden: „W dwóch małych notesach, przez godziny zbiórek, racye otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane »idziemy dalej«, i te rozmaite »budzą o piątej«, przez chwile postoju i walki, kroczy prosta chwała piechura, klasyczna dzielność sierżanta… Aż oto schodzi z kartek dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego się tulił ranny Luboń. Kwitnie wielka,

ogromna, tam, gdzie padł, rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem nieśmiertelności".

Po bitwie, na polu pod Łowczówkiem pojawili się sanitariusze. Zabierali ciała martwych, lecz nieśmiertelnych kolegów. Patrzyli na ślady krwi na trawie. I wpisywali kolejne nazwiska na listę. Jakaś dłoń, jakimś ołówkiem, na jakiejś kartce zanotowała – „Kazimierz Strzelecki, Luboń".

„Złoty las przetkany czarną śmiercią – kawałek papieru usiany drobnym czarnym drukiem, a między pierwszym a drugim Sprawa, Bój, Śmierć lub zwycięstwo. Lista strat. Tyle śmierci na małym, błahym świstku, tyle bólu, ran, krwi. Chcielibyście dotknąć ręką tych mchów, w które wsiąkła. Obejść wszystkie miejsca, wstąpić do wszystkich rowów i wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej, wiedzieć wszystko.".

Sto lat później pojawia się jakże inna lista. To „Lista oprawców", książka Tadeusza Płużańskiego. I znów wiele nazwisk. Zygmunt Bauman – tajny agent radzieckiego wywiadu – obecnie nobliwy staruszek, „autorytet uniwersytecki". Władysław Kochan, zastępca szefa głównego Zarządu Informacji WP, człowiek stosujący brutalne metody w śledztwie, który o przesłuchaniach bohatera wojennego płk. Franciszka Skibińskiego opowiadał: „Stosowałem metodę bezwzględnego przygniatania jego psychiki, potem tłumaczyłem mu możliwość powrotu do normalnego życia (.), pogłębia się jego załamanie psychiczne, jest już kompletnie rozłożony, wyraził zamiar samobójstwa, żąda śmierci". Kochan, stosujący tzw. konwejer, czyli wielogodzinne przesłuchiwanie bez możliwości odpoczynku, wręcz chlubił się swoją wytrwałością – np. śledztwo w stosunku do płk. Mariana Utnika prowadził całą dobę, pozwalając mu spać jedynie od godz. 3 do 5 nad ranem. Był jednym z najokrutniejszych śledczych bezpieki. Nie poniósł żadnej kary. Jest wolny. Może słuchać Trójki, iść na cappuccino do Starbucksa i obejrzeć w kinie „Wałęsę, człowieka z nadziei".

I tak idą nazwiska za nazwiskami – Duracz, Czaplicki, Kuhl, Kryże, Karczmarz, Lange, Ptasiński, Ciastoń, Brystygier etc. Ta lista osób – o których nawet trudno mówić, że byli Polakami – agentów, sędziów, prokuratorów, ministrów, sługusów radzieckich, morderców wysyłających bohaterów do bezimiennego piachu na Łączce, to spis tych, których już tylko sprawiedliwość Boża może dosięgnąć. Gdyż zwykła, ludzka, nigdy się w ich wypadku nie dopełniła. To jeden z najokrutniejszych, najbardziej perfidnych chichotów współczesnej polskiej historii. Tym smutniejszy, że sprawa dotyczy nie tylko sprawiedliwości w wymiarze sądowym, lecz także w wymiarze opinii, jaką o tych ludziach ma otumaniona propagandą, odcięta od wiedzy ogromna rzesza Polaków. Oczekiwania wobec tej nowej Polski, jaką miał przy-

nieść przewrót roku 1989, dotyczyły także – w wielkiej mierze – przemian w sferze świadomości oraz wykorzystania wielkiego potencjału intelektualnego i tożsamościowego Solidarności. Zdawało się więc, że listy oprawców staną się listami osób skazanych za popełnione zbrodnie, zaś listy bohaterów wypełnią się bardzo szybko nazwiskami tych, których prosowiecka propaganda postanowiła zasypać piachem na wieki – dosłownie i w przenośni. Tragedią nowej Polski stał się już nie tylko proces zamazywania list zbrodniarzy, relatywizowania ich win, lecz także – w wyniku szaleńczych działań Michnika i spółki – dokonywania wolty wręcz nieprawdopodobnej, uszlachetniania ich, wynoszenia do poziomu „ludzi honoru" czy wręcz polskich bohaterów i patriotów. Jaruzelski został na siłę wyciągnięty z listy, do której winien przynależeć i przeciągnięty do drugiej. A zaskakujące epitafium pisze mu dzisiaj Wałęsa, mówiąc o tym sowieckim generale, że był „wielkim" Polakiem.

I jeszcze inna lista. Tym razem sprzed półtora stulecia. Wileńskie Źródła Archiwalne – spis wydany w roku 1923 pod tytułem: „Rok 1863 – wyroki śmierci". I znowu płyną z kart nazwiska, a za nimi krótkie opisy. Urzędowo, w tabelce. Liczba porządkowa, numer, sygnaturka. Nazwisko, imię, imię ojca i stan cywilny. Kolejna rubryka – „na mocy czyjej konfirmacji skazany" i w końcu „Kiedy i gdzie wykonany wyrok śmierci, przez powieszenie czy rozstrzelanie i za co mianowicie". Otworzyć można ów dziennik śmierci na chybił trafił. „Czapliński Edward, uczeń aptekarski ze szlachty gub. Kowieńskiej, pow. Poniewieskiego". „Na mocy konfirmacji dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojennego z 26 sierpnia 1863 r. pod Nr. 1877". „Powieszony w Wilnie 28 sierpnia 1863 r., za służbę Rządowi Rewolucyjnemu w charakterze szpiega i policjanta na m. Wilno, dla dokonywania zabójstw, zarządzanych przez Komitet". Czerwiński Paweł – powieszony w Uszpolu „za branie czynnego udziału w powstaniu", Dalewski Tytus, szlachcic – zastrzelony 30 grudnia. Włościanin Gardzulewicz, powieszony 24 marca 1864 „za przebywanie w powstańczym oddziale". Przechodzą przed oczami jeden po drugim polscy patrioci z tej straszliwej listy. Nazwiska, miasta, miasteczka, wsie, powiaty, imiona – Feliks, Adam, Henryk, Wincenty syn Kazimierza, Piotr, Karol, Bogusław. Duchowni: jak ksiądz Ziemacki, skazany na śmierć, bo z ambony czytał manifest powstańczy. Sąd wydał wyrok, lecz łaskawie sugerował możliwość jego złagodzenia. Jednak Murawiew, nie na darmo mający przydomek „Wieszatiel" wyrok konfirmował „Nie widzę dostatecznych powodów aby złagodzić los ks. Ziemackiego i dlatego zatwierdzam wyrok sądu wojennego skazać go na śmierć przez rozstrzelanie (*kazniť ego smertju rastrielanjem)* 20 maja 1863 r.". Równo sto pięćdziesiąt lat temu od dnia dzisiejszego, 3 czerwca 1864 roku,

został rozstrzelany w Poniewieżu w guberni Kowieńskiej Ludwik Filipowicz, syn Franciszka, szeregowiec Szlisselburskiego pułku piechoty. Zginął za „zdradę obowiązku służby i złamanie przysięgi, ucieczkę ze służby, wstąpienie do oddziału powstańców i przebywanie w dwóch oddziałach powstańczych".

Ligięza Henryk jest na innej liście. Tej od Płużańskiego. Urodził się w roku 1912, był podpułkownikiem i stalinowskim prokuratorem wojskowym. Gdy Hanna Mickiewicz opowiadała o aresztowaniu męża Adama w roku 1950, zacytowała słowa Ligęzy: „Zwykłych bandytów rozstrzeliwujemy po sześciu tygodniach, a nad pani mężem musimy się dłużej zastanowić". Ligięza należał do jednych z najbardziej gorliwych oprawców sądowych. Na tej liście jest także Stefan Michnik, wojskowy sędzia stalinowski oraz agent Informacji Wojskowej. Skazywał AK–owców na karę śmierci. „Andrzeja Czaykowskiego, żołnierza Września, cichociemnego, dowódcę batalionu „Ryś" i „Oaza–Ryś" w powstaniu warszawskim, odznaczonego za bohaterstwo krzyżem Virtuti Militari, Stefan Michnik skazał na karę śmierci razem z innym krwawym sędzią ppł. Mieczysławem Widajem. Dowodów na działalność szpiegowską nie przedstawiono. Mord sądowy miał miejsce 30 kwietnia 1953 roku, już po śmierci Stalina" – pisze Płużański. A w roku 2009 wojskowy sąd w Warszawie stwierdził, że Michnika nadal chroni wojskowy immunitet!

Są na liście nazwiska nieznane, ale są i takie, które widuje się na tabliczkach z nazwami polskich ulic. Często w świadomości Polaków zakorzenione wraz z kłamliwym do cna wizerunkiem. Jak w wypadku prawdziwej bestii w żołnierskim mundurze, generała Karola Świerczewskiego pseudonim „Walter". Tego, który był jednym z symboli PRL–u, funkcjonował i na banknocie, i w nazwach szkół czy drużyn harcerskich, spoglądał z wielu pomnikowych piedestałów.

Tego samego, którego czcić można nadal w Muzeum Armii Radzieckiej Michała Sabadacha w Uniejowicach na Dolnym Śląsku. W muzeum zgromadzono pamiątki, mundury, elementy uzbrojenia po sowieckich okupantach. Nadal świętuje się tam Dzień Zwycięstwa i przyjmuje w gościnie rosyjskich wojskowych. Z ateistycznymi „pielgrzymkami" jeżdżą w to miejsce dziesiątki dawnych sług systemu, ormowców, milicjantów i UB–ków. Oni tworzą kolejną listę, wpisując się w księgę pamiątkową, np. „Dobrze, że na naszej dolnośląskiej ziemi jest muzeum pamiątek po Armii Radzieckiej i Ludowym Wojsku Polskim i że każdy Dolnoślązak może zapoznać się z niedawną historią. (…) Szczere podziękowania, Iwona".

Tysiące podobnych „Iwon" żyjących w Polsce to smutny efekt manipulowania moralnością i zakłamywania historii przez ponad dwie

dekady „wolnej” Polski. To w wyniku tego listy oprawców stały się listami „bohaterów”.

Lista katyńska bardzo długo była listą tajemną, ale zarówno ona, jak i te inne: z Powstań Styczniowego i Warszawskiego, z Łączki, czy lista górników zabitych w kopalni „Wujek” i ofiar Tragedii Smoleńskiej wszystkie układają się tak naprawdę w listę jedną. Długi spis ciągnący się od wielu pokoleń. To lista Polaków umierających za Ojczyznę. Lista Nieśmiertelnych.

I znowu Kaden–Bandrowski maluje słowem, poetycką prozą w „Piłsudczykach”: „Tyle śmierci na małym kawałku papieru, wszystkie już sobie podobne. Imiona, nazwiska, jak ziarnka klepsydry płyną i sypią się cichutko.

Skąd wracają? Dokąd idą i kto je odprowadzi na ostateczny spoczynek, bo żaden Charon nie powiezie ich na łodzi kołyszącej, ani stronom świata roześle znak Krzyża.”.

Pisał w roku 1915. Może w jakimś okopie? Może notował szybko, przy gasnącym płomieniu lampki, zaraz po tym, gdy zginął Luboń, krzyczący w przyszłość – „Niech żyje Polska!”.

To wezwanie do nas. Jak wiadomość z otchłani wieków.

„Idą do was te nazwiska z rowów, z lasów, ze śniegów i z pól uciążliwych. Na białej kartce pisze się długi, bezwzględny list, który wam śle Sprawa Ojczyzny”. Notuje tę krwawą listę poległych Kaden, by po stu latach dotarła do czasów dzisiejszych.

„Więc w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie, na piętrze i w suterenie, na falistej wstędze drogi kieleckiej, w krzywej chacie i obrośniętym dworze, jakby go jeszcze Andriolli śnił – wszędzie gdzie was dojdzie ta lista, ten list Ojczyzny, świetny, bezwzględny, czytając go… czytając nasze nazwiska i moje, wnet czy kiedyś w ów sznur wplecione, czytajcie, jakbyście słowa potoczne czytali z owym gestem łaskawości, szyku i wdzięku”.

[wSieci, nr 23/2014]

DAWNE BOHATERY

OBCHODY rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz pokazały, że Polska nie dorasta do miana państwa dojrzałego, zakorzenionego w przeszłości i odpowiedzialnego wobec systemu znaczeń i symboli, jakie kształtują nasz wewnętrzny obraz duchowy. Niezaproszenie na oficjalne uroczystości córki rotmistrza Pileckiego wzbudziło szok i niedowierzanie jedynie wśród ciemnogrodzkiej części opinii publicznej. Reszta zadowoliła się tłumaczeniem dyrektora muzeum Piotra Cywińskiego, który wyjaśniał, że trudno byłoby „do wszystkich wysłać zaproszenia", a jak „ktoś się zgłosił", to pracownicy starali się „w ramach wąskiej puli go umieszczać". Dodawał jeszcze kuriozalne: „Trudno, byśmy wysłali setki tysięcy zaproszeń; trudno też, żebyśmy wybierali sobie, do kogo wysłać, a do kogo nie wysłać". Otóż, pan dyrektor, człowiek będący zarządcą muzeum z ramienia polskich instytucji rządowych, zapewne „udawał głupiego". Jakby nigdy nie słyszał historii Pileckiego, jakby uważał jego pobyt w Auschwitz za coś oczywistego i bez większego znaczenia. A przecież trudno zaprzeczyć, że istnieją w historii cywilizacji postaci symboliczne, tytani ducha wyrastający ponad przeciętność. Poprzez cześć oddawaną takim ludziom jednocześnie uwypukla się i podkreśla postawy szczególne, wyjątkowe w dziejach narodu.

Gdybyśmy popatrzyli na przeszłość Rzeczypospolitej, to podobnych postaci o charakterze wybitnym znaleźlibyśmy wiele – wszystkie one wnosiły do naszych dziejów coś niezwykłego. Ksiądz Augustyn Kordecki bohatersko dowodził obroną Jasnej Góry podczas potopu szwedzkiego. Dzisiaj można zobaczyć jego pomnik w okolicach klasztoru. To trwały ślad pamięci. Nie oznacza on jednak, że ginie pamięć o innych obrońcach sanktuarium – w owym pomniku czcimy także i ich oraz to, co czyni z nas, Polaków, naród niezwykły – czyny ponad miarę.

Henryk Pobożny oddał życie za wiarę, za ojczyznę, za całą cywilizację chrześcijańską w bitwie legnickiej roku 1241. Ranny, schwytany przez Mongołów i zawleczony do obozu wroga został ścięty za to, że nie pokłonił się martwemu mongolskiemu wodzowi. Wyrastał Henryk

ponad przeciętność – dlatego Wyspiański „koronował" go w swym rapsodzie. Pobożny stał się symbolem. Tak, jak wielu innych przed nim i po nim, jak ksiądz Piotr Skarga, Jan III Sobieski, czy Romuald Traugutt.

Człowiekiem–symbolem czasu zagłady i mroku II wojny światowej jest dla nas, Polaków, rotmistrz Pilecki, odzwierciedlający POSTAWĘ Polski i jej dzieci wobec Holocaustu. Pozwalając złapać się Niemcom, by dostać się do obozu i zorganizować w nim ruch oporu, a wreszcie światu całemu dać świadectwo tragedii, jaka działa się za drutami – to ręka całej Polski wyciągnięta w stronę więzionych i mordowanych ludzi.

Trzeba postawić pytanie wprost – czy brak zaproszenia dla rodziny Pileckiego był rzeczywiście przypadkiem i wynikał z niedopatrzenia? Czy też było to po prostu wygodne – umożliwiało bowiem zaprezentowanie całemu światu historii Shoah w odpowiednim wymiarze. Takim, w którym nie ma miejsca dla polskiego bohaterstwa i troski o to, co działo się w fabryce śmierci? Jak zrozumieć wypowiedź o „setkach tysięcy zaproszeń", skoro wyzwolono z obozu zaledwie 7 tysięcy więźniów? Czy ranga obchodów byłaby mniejsza, gdyby nie zaproszono jakiegoś następcy tronu, a jego miejsce zajęłaby córka człowieka, którego odwaga i poświęcenie umożliwiły podczas wojny pokazanie całemu światu, czym naprawdę są obozy koncentracyjne? Czy uroczystości były wspanialsze, dzięki obecności wnuka najgorszego zbrodniarza Auschwitz?!

Ksiądz Bandurski, charyzmatyczny kapelan legionowy, w kolejną rocznicę śmierci Naczelnika Tadeusza Kościuszki w 1913 roku, wygłosił na Wawelu mowę okolicznościową. Przywołał w niej cytat z Krasińskiego: „Żaden człowiek, co stał się duchem, nie umrze w grobie". A potem dodał: „historia stwierdza, iż żaden bohater nie zginął w niepamięci, żadne imię nie zbladło w pochodzie lat wielu, żadnego przykład nie został bez plonów w posiewie przyszłości".

O tym, że pamięć o bohaterach buduje polską siłę duchową, bardzo dobrze wiedzieli bolszewicy i ich potomkowie. Usiłowali tę pamięć zabić. Niszczyli ją na wszelkie sposoby. W Katyniu i Charkowie strzelali w tył głowy tysiącom członków polskiej elity, która w naturalny sposób była „nośnikiem" tej pamięci, a także godności, honoru i czci wobec tego, co dla Polski święte. Zasypani piachem we wspólnych mogiłach mieli być zapomniani na wieki. Podobnie stalinowscy mordercy czynili z Żołnierzami Wyklętymi, a do nich przecież należy rotmistrz Pilecki. I w końcu, jeśli od lat obserwujemy wysiłki prof. Szwagrzyka, jeśli z drżeniem serca patrzymy na ludzkie kości wydobywane na Łączce, na te trumienki czekające na godny wreszcie pochówek, jeśli ze łzami w oczach zastanawiamy się, czy teraz znale-

ziono szczątki Pileckiego, czy Fieldorfa, to przyświeca nam myśl, że możemy jeszcze – my jako pokolenie – odwrócić złe nurty historii, przywrócić pamięć o tych, o których kazano nam zapomnieć.

Mówił ksiądz Bandurski w katedrze wawelskiej o testamencie, jaki pozostawiają bohaterowie.

„Czy rozumiecie, co znaczy słowo bohater? – pytał w uniesieniu kapłan – czy wy wiecie, ile nam wszystkim razem i każdemu z osobna brakuje, ile potrzeba, ile należy zdobywać moralnie, ażeby urość do miary bohatera? Bohatera, co nie ginie i nie tonie w zapomnieniu? Przed bohaterami to takimi społeczeństwa, narody i ludzkość cała czoło schyla, a pamięć ich sławi wytrwale, jakby jasność słońca mając przed sobą. Bohater! Oto patrzcie!".

Trzeba w tym momencie wyobrazić sobie księdza, który donośnie przemawia pośród królewskich sarkofagów, a głos jego dudni w nawach i porusza serca słuchaczy. Winien ów głos płynąć i nad groby inne, bez sarkofagów i rzeźbień. Nad kominy Auschwitz, nad lasy katyńskie, i nad Łączkę przykrytą gliną ubeckiego pragnienia zabicia pamięci…

Na Wawelu ksiądz Bandurski wyjaśniał, że data śmierci Kościuszki jest ważna, gdyż wzywa nas do jej czczenia szczególne rozumienie sensu bohaterstwa. Ono właśnie kazało Polakom klękać przed grobem Naczelnika. A dzisiaj każe zatrzymywać się nam 1 sierpnia na ulicach miast, wsłuchując się o godzinie siedemnastej w dźwięk wyjących syren. Te syreny również budują pamięć o bohaterstwie.

„Bohater nas woła i idziem, my, którzy chcemy naśladować jego życie i wypełniać jego testament we wszystkiem, ale właśnie do bohaterstwa wznieść się nie umiemy. Bohaterstwo z śmiercią nigdy nie schodzi i dlatego bohater nie ginie, żyje wiecznie i dlatego naród, który ma bohaterów, nie przepada, nie tonie, nie gaśnie, a choćby zbladł na chwilę, zajaśnieć na nowo potrafi".

Tak nawoływał kapłan nad grobem Kościuszki, na dziesięć lat przed tym, jak polscy Legioniści mieli rzucić na stos swoje życie, by wydobyć Ojczyznę z mroków niebytu.

Niech te słowa kazania dolecą i dzisiaj do tych, którzy sądzą, że obecny czas nie wymaga już żadnych poświęceń: „Wszak dajcie Polsce dziś bohaterów, a cary runą, a wielmoże krzyżackie zaginą i hołd składać będą, a wszystkich trucizn koryta wyschną i serc w narodzie nie będzie pysznych, nadętych, samolubnych, serc zwierzęco–ludzkich, serc podłych i nikczemnych.

Gdzież są takie bohatery?

Czyż to bohatery… Upowite w puch samolubstwa i wygodnictwa, ozłocone szychem karyery i posady dobrze płatnej? Czyż to bohate-

ry, co mącą wodę i truciznę rzucają, krzykacze, co kłam niosą i kłam sieją?”

I padła odpowiedź najważniejsza:

„A jednak bohater być musi – jeśli Polska ma żyć – a bohaterem tym ma być każdy z nas!”.

[Gazeta Polska, nr 05/2015]

NIEBEZPIECZEŃSTWO PRAWDY

JULIUSZ Kaden–Bandrowski w książce „Piłsudczycy” (1915), genialnym reportażu z pól bitewnych I Brygady, skreślił także obraz samego Józefa Piłsudskiego. Już wtedy, zanim jeszcze rozpętał się dziki festiwal oszczerstw rzucanych na Komendanta – przed majowym przewrotem, przed fantastycznymi opowieściami o telefonie łączącym z Kremlem czy paszkwilami pisanymi przez endecję – Bandrowski trafnie opisał źródło agresji, która także i wówczas go spotykała. Otóż Piłsudski – według pisarza, legionisty walczącego o Niepodległość – „rozpętał przeciw sobie to wszystko, co było pod czarem panującej ślepoty, czy zacietrzewienia, czy przesądu… Swoi wyrzucali mu, że jest kosmopolitą, obcy, że narodowcem, patrioci, że socjalistą, socjaliści, że patriotą. Zarzucali mu właściwie wszyscy wszystko o tyle słusznie, że czuli w Piłsudskim, jako w ogromnej potencji, która wszystko, co polskie w siebie miesza – niebezpieczeństwo prawdy.”.

Kaden–Bandrowski z genialną intuicją odgadł źródło nienawiści wrogów Brygadiera. Powodem ich wściekłości była zazdrość związana z wybitnym, niezwykłym charakterem Wodza Legionów (nie nominalnego, lecz duchowego, czczonego przez podwładnych). A także wyzwanie, jakie im rzucił. Takie wyzwanie stawia człowiekowi wypowiedziana na głos Prawda. Tym jest to trudniejsze dla zaakceptowania dla tych, którzy żyją dzień za dniem grzejąc się przy ogniu z kominka, że prawda taka wiąże się z podjęciem pewnego obowiązku. Na przykład obowiązku związanego z postawą; z zajęciem jakiegoś stanowiska; czynem mniejszej lub większej rangi. A w końcu może się wiązać z ryzykiem i oddaniem najwyższym – poświęceniem własnego życia.

Ci co poszli za Piłsudskim, rzucili przecież swoje życie na stos. Na stos prawdziwie. Niejeden żywot spłonął na tym ofiarnym stosie ojczyźnianym.

Takie wyzwanie w czasie, gdy świat wrzał i szykował się do wojny, a koło historii powszechnej nabierało pędu, wiązało się więc z pojawieniem również reakcji złości wiążącej się z lękiem.

Niebezpieczeństwo prawdy…

Kaden–Bandrowski opisał reakcje, jakie Komendant budził w słuchaczach jako mówca. Choćby w trakcie odczytów, wygłaszanych jeszcze przed wybuchem wojny:

„Nie można powiedzieć, że zwalczał argumenty. One same nikły przed nim, jak śnieg topnieje w słońcu. Piłsudski jako mówca ma jeden wielki dar – sama jego obecność krępuje komediantów. Widziałem go, jak przemawiał na kongresie partii robotniczej w Krakowie. Szumne, gwałtowne brawo zgasło nagle, gdy się ukazał. Był wtedy żywym wyrzutem pokoju Polski – bo człowiek ten miał tragiczne szczęście być srogim wyrzutem pokoju Ojczyzny – i czuło się w sali obawę. Obawę tłumu przed kimś, kto w imię najwyższego prawa kiedyś rozkaże. Niebezpieczeństwo prawdy..".

Tu więc leży klucz do zrozumienia tych ataków, tej wściekłości, którą w stronę Komendanta kierowano, aż do jego śmierci, a nawet i później. Nawet dzisiaj. Bo i dziś jego postać, jednego z największych Polaków – odbrązawia się, umniejsza, deprecjonuje. Niszczy się pamięć o nim, tak jak niszczy się i inne wartości – Rodzinę, Dom, Boga, Historię.

Dlaczego? Gdyż i dziś myśl Marszałka, a także jego niezłomna postawa stanowią wyzwanie dla tych, którzy lękają się prawdy. A że lękają się – widać wyraźnie wokół nas.

Porucznikowi Arturowi Wosztylowi „nieznani sprawcy" przecięli przewody hamulcowe w samochodzie. Raczej nie czynią tak złodzieje samochodowi, kieszonkowcy czy drobne łotrzyki z bazarku. Tak działają skrytobójcy – najmowani albo przez jakieś ciemne grupy interesów, albo przez służby specjalne.

Porucznik Wosztyl oświadczył wcześniej, że podobnie jak śp. chorąży Remigiusz Muś słyszał wyraźnie, że komendy z wieży kontrolnej na lotnisku w Smoleńsku nakazywały schodzenie do 50 metrów. Jak na razie najwyższe organa naszego państwa nie zajęły się na poważnie sprawą zamachu na życie tego kluczowego świadka największej tragedii, która spotkała Polskę od kilkudziesięciu lat.

Cisną się na usta słowa zapisane przez Kadena–Bandrowskiego w odniesieniu do Marszałka Józefa Piłsudskiego – „niebezpieczeństwo prawdy".

Świadectwo porucznika Wosztyla, a wcześniej śp. Remigiusza Musia, dotyka przecież podobnej materii, chociaż w zupełnie innej konfiguracji historycznej. Prawda, jaką mówią osoby zaangażowane w to śledztwo smoleńskie, które stara się odkryć faktyczne przyczyny tragedii – stanowi zagrożenie. Dla wszystkich tych ponoszących, w ten czy inny sposób, odpowiedzialność za to, co wydarzyło się w Smoleńsku nad ranem 10 kwietnia 2010 roku. Fakt przecięcia przewodów

hamulcowych u takiego świadka powinien w normalnym kraju stanowić jedną z najważniejszych informacji dziennikach. U nas – przez media głównego nurtu – został praktycznie przemilczany, zaś państwo nie kwapi się do działań, mających na celu schwytanie sprawców zamachu na życie.

Kogoś, kto nie śledzi z uwagą spraw smoleńskich, atak na pilota może szokować. Dla ludzi czerpiących informacje z prawdziwych mediów to – choć brzmi to przerażająco – nie jest niczym dziwnym. Ot, po prostu kolejny element niezwykle agresywnej i śmiertelnej gry, jaką prowadzi Rosja wobec wszystkich angażujących się w śledztwo smoleńskie.

Agresja ta przejawia się na wiele sposobów, co najgorsze – biorą w niej udział także liczni Polacy. Wielu z nich czyni to świadomie, inni – jak pożyteczni idioci – nie wiedząc nawet, z czym mają do czynienia, dają się zwieźć modnej, salonowej smoleńskiej retoryce i dołączają do wściekłego chóru. Takie widowisko w Polsce tylko cieszy Rosjan.

U podłoża wszystkiego – ataków na naukowców pracujących przy zespole parlamentarnym czy filmowców realizujących film Antoniego Krauzego „Smoleńsk", leży w wielu wypadkach ta sama przyczyna – właśnie zdefiniowane genialnie przez Kadena–Bandrowskiego „niebezpieczeństwo prawdy".

Gdyż podobnie jak sprawa niepodległości przed wybuchem pierwszej wojny światowej, tak teraz sprawa Smoleńska stanowi wyzwanie, wytrąca ze spokoju zaplanowanych dni, niweczy komfort życia.

W roku 1914 wielu Polaków nie myślało o suwerennej ojczyźnie, przyzwyczaili się do takiego bytowania, jakie mieli. Dlatego ci o gorących sercach i żelaznej woli musieli porwać ich za sobą, przemienić, dać przykład, wytrącić ze spokojnego bytu. Pierwsza Kompania Kadrowa, powstanie Legionów, charyzmatyczny Wódz – wszystko to stawało się „niebezpieczeństwem prawdy" dla tych, którzy nie chcieli się angażować.

W czerwcu 1903 roku w Belgradzie spiskowcy zamordowali królewską parę. Król Aleksander z żoną schowali się za szafę, a i tak zostali dopadnięci przez siepaczy. Padły strzały. Po chwili ciała władców wyrzucono z balkonu na bruk. Oficjalne stanowisko Austrii i Rosji potępiło zamach. Jednak – jak pisze Gąsiorowski w „Królobójcach" – w morderstwie tym ręce najprawdopodobniej maczała właśnie Rosja. Więc, gdy w zupełnie innym procesie w Niemczech zaszła obawa, że tajne związki ze „służbami" rosyjskimi mogą ujrzeć światło dzienne, natychmiast rozprawy skrócono, winnych uwolniono i zabroniono prasie zdawać relacje z procesu.

To jest tylko jeden z wielu przykładów tego, jak poprzez śmierć niewygodnych dla siebie osób Rosja uprawia politykę. Od przejmowania władzy we własnym państwie (tron carów spływał krwią wielokrotnie) po likwidowanie na całym świecie tych, którzy ośmielili się rzucić mocarstwu wyzwanie.

„Rosja zabija! Ta potulna Rosja, drzemiąca na łonie cesarza samowładcy, spowita kożuchem ciemnoty, ta Rosja, pozostająca o całe dwieście lat za Europą, chce Europie ustrojem państwowym dorównać!!!... – pisze Wacław Gąsiorowski. – Ale dlaczego zabija, dlaczego morduje a ciałami niewinnych ofiar obowiązku plami swe ręce?! Dlaczego ta patriarchalna Rosja, nimbem świętości otaczająca swych monarchów, tylu rodzi zbrodniarzów, zabójców, czy desperatów? Skąd w państwie religijnem, strzeżonem tak czujnie przed wszelkim nowatorstwem, tak mocno skutem prastarymi obyczajami tyle widm złowrogich postać może?!...".

Czy być może – spytajmy – że tam gdzie rodzi się „niebezpieczeństwo prawdy", tam też odżywają jakieś dzikie, barbarzyńskie instynkty, które będą ją dławić i mordować, aż zniknie?

Piotr III, małżonek carycy–potwora, siadł pewnego dnia do biesiady z posłami. Byli Orłow, Tiepłow i kilku innych. Car uniósł do ust kieliszek z wódką. Lecz gdy wypił, odrzucił go w bok, a w oczach władcy pojawiło się przerażenie. Wódka miał dziwny smak, paliła w przełyku inaczej niż zwykle.

Jestem otruty – wycharczał władca i rzucił się w stronę drzwi. Drogę zagrodził mu Orłow. W tym czasie Tiepłow, drugi z zamachowców działających na zlecenie Katarzyny, z szyderczym grymasem na twarzy podsunął cesarzowi kolejny kieliszek z trucizną i zasyczał:

Pij, wasza wysokość! Bierz, co ci serwują! Pij za zdrowie jej cesarskiej mości, imperatorowej!

Car odtrącił drugi kielich. Charczał, trzymając się za gardło i błagając o mleko.

Do pomieszczenia wpadł zaalarmowany hałasem kamerdyner, którego natychmiast ogłuszono i wyciągnięto z izby. Tymczasem Orłow dopadł do ofiary. Rzucił się na cara, powalił go i przygniótł do ziemi. Bariatyński z Tiepołowem dokonali reszty. Ściągnęli serwety, obrusy ze stolików i zaczęli dusić monarchę. Władca Wszechrusi, car Piotr III, wyzionął ducha. Jego przedśmiertne drgawki ustały. Cisza, jaka zaległa nad stygnącym ciałem stała się muzyką, którą Orłow postanowił zanucić uszom Katarzyny Wielkiej. Popędził do niej z „radosną" wieścią.

Tron carów rosyjskich po raz kolejny, choć nie po raz ostatni, spłynął krwią.

Tuż po morderstwie pojawiły się komunikaty. „Wzywamy wszystkich naszych wiernych poddanych do złączenia się z nami w żalu i w modlitwie". Rosjanie, jak mało kto potrafią najpierw mordować z zimną krwią, a potem płakać nad grobami zabitych i z rozdzierającym żalem dowodzić, że choć są posłańcami śmierci, to jednak gra im w duszy słowiańska wrażliwość. Przedziwne połączenie. Ten pierwiastek romantyczny, poetycki, ta skłonność do śpiewu z bałałajką w dłoni, skrywa podłą naturę w stepach Azji zrodzoną – ci sami sołdaci, co gwałcili Polki „wyzwalając" Prywiśliński Kraj, chwilę po swych zbrodniach siadali na ciężarówkę, wyciągali harmoszkę i grali rzewne pieśni. „Kalinka" – śpiewali, marząc o miłości, a zostawiając za sobą stygnące trupy i nieszczęście. To nie szaleństwo. To nauka wyciągnięta z setek lat przeżytych w kłamstwie. Kłamstwo wżera się w duszę i usprawiedliwia najohydniejsze czyny.

Po zamordowaniu Piotra III Katarzyna sięgnęła po upragnioną władzę. Zorganizowano pogrzeb cara. I wszystko miało się toczyć według z góry zaplanowanego scenariusza – tu gdzie trzeba wygłoszono by pogrzebową mowę, popi śpiewaliby równym basem, płonęłyby świece, dym okadzałby trumnę, a poddani pochyliliby głowy i na koniec rozeszliby się do domów, błogosławiąc imię panującej. Wszystko potoczyłoby się w ten sposób, gdyby nie pewna przeszkoda. Otóż pułk grenadierów holsztyńskich był niezwykle przywiązany do swego zmarłego właśnie protektora. Nie wiedzieć czemu, nie dał on wiary zapewnieniom ludzi z otoczenia carycy w naturalne przyczyny śmierci Piotra. Co więcej – grenadierzy ośmielili się głośno o tym mówić. Nie ustawały ich narzekania, głosy oburzenia, wyraźnie zgłaszane wątpliwości. Głupcy. Nie wiedzieli, że tym samym wszyscy piszą na siebie wyrok.

Mówili prawdę. Prawda ta stanowiła zagrożenie dla władczyni. Ściągnęli więc na siebie „niebezpieczeństwo prawdy".

Odesłano ich tam, skąd pochodzili – do Holsztynu. Wsiedli na statek w porcie kronsztadzkim. Żaglowiec zaczął pruć fale. Jednak, gdy tylko wypłynął na szerokie morze, nie wiadomo dlaczego, zaczął tonąć. Spuszczono szalupę ratunkową. Część załogi okrętu wróciła nią do Kronsztadu i błagała o pomoc dla żołnierzy. Jednak admirał dowodzący twierdzą zabronił ratowania grenadierów. Stwierdził, że najpierw musi uzyskać zezwolenie na podjęcie akcji ratunkowej, a w tym celu musi… wysłać list do Petersburga. I jeśli caryca się zgodzi…

Wszyscy grenadierzy utonęli. Ośmielili się mówić prawdę.

A morderców nagrodzono – Orłow, Tiepołow i Bariatyński zostali obsypani orderami i przywilejami. Tak się zaczynało panowanie Katarzyny zwanej Wielką.

Cóż nam – wolnym Polakom – pozostaje, gdy widzimy naokoło tonących „grenadierów holsztyńskich”? Trzeba iść za wskazaniami tych wielkich, którzy już kiedyś wskazywali nam drogę. Tych, którzy mówili – dziczy ze Wschodu musimy mówić NIE. To nasz obowiązek.

Trzeba na nowo wsłuchać się w głos Komendanta – właśnie w tym roku, który przed nami. W roku setnej rocznicy wyruszenia Pierwszej Kompani Kadrowej z krakowskich Oleandrów. To powinien być dla Polaków „Rok Oleandrów”, wielkie święto związane z najpiękniejszym, bo wygranym polskim powstaniem.

Trzeba na nowo mówić głośno słowa, które zostawił nam Kaden–Bandrowski:

„Musicie za Wodzem iść wszędzie drogami marszów, polami bitew i na wieczorną pogwarkę przy świecach przylepionych do stołu, musicie kochać tę zbrojną kompanię, która Mu towarzyszy. A żebyście widzieli, jak wraca zimą z dalekiej drogi!…

W ogromnej siwej szubie, niby w szron i lód, czy w niedostępne odziany dostojeństwo, obcy i najbliższy z ostrem obliczem, jakie się w Polsce pięćset lat temu malowało, że to prawdziwy Gość z kresu, co wszystkie kresy łamie i łączy, a szedłby, a prowadziłby naprzód i dalej w bezkres rozmachu, powagi – i zwycięskiego śmiechu. Bo Komendant śmieje się z »niebezpieczeństwa prawdy«.”.

[Gazeta Polska, nr 06/2014]

SMOLEŃSK W NOŻYCACH GOLICYNA

W GRUDNIU 1961 roku do placówki CIA w Helsinkach zgłosił się pewien mężczyzna, major KGB, który postanowił uciec na Zachód. Anatolij Michajłowicz Golicyn był jednym z najsłynniejszych agentów zmieniających stronę w czasie zimnej wojny. Przekazał wiele informacji na temat struktur i sposobów działania sowieckich służb, dzięki niemu schwytano kilku radzieckich szpiegów. Później stał się wręcz ikoną popkultury, wzorcem rosyjskiego agenta, którego odgrywał w popularnych filmach amerykańskich niejeden hollywoodzki gwiazdor. Gdy jednak Golicyn ostrzegał USA i cały cywilizowany świat przed machiną polityczno–propagandową ZSRS, w wielu wypadkach nie chciano mu wierzyć. W głowach zachodnich speców od kontrwywiadu nie mieściło się to, że Rosjanie są w stanie prowadzić tak cyniczną, subtelną w zamysłach, złożoną i długofalową politykę kreowania wizerunku w zależności od stawianych przed sobą politycznych celów. Obraz prymitywnego sołdata z zegarkami na rękach zatykającego flagę na Bramie Brandenburskiej prawdopodobnie ciągle ważył na sposobie myślenia. Brutalna siła – owszem. Groźby i rakiety wycelowane w cały świat – jak najbardziej. Siatki szpiegowskie i setki, tysiące agentów rozrzuconych po wielu krajach – oczywiste. Zupełnie nie brano pod uwagę, jak głęboko mogą sięgać pomysły Sowietów, jeśli chodzi o sterowanie światową opinią publiczną, czyli coś, co na Kremlu było celem niezwykle trudnych i kosztownych działań.

Na wiele rewelacji szpiega patrzono więc z przymrużeniem oka, zastanawiając się zapewne, czy to nie osobowość mitomana każe mu zmyślać te dziwaczne historie o planach podboju całego świata przez czerwone mocarstwo.

W związku z tym Golicyn postanowił napisać książkę, w której mógłby spokojnie wyłożyć całą teorię dotyczącą manipulowania sposobem myślenia ludzi oraz pokazać, jak polityka i kolejne wydarzenia z historii podboju splatały się z tą akademicką wręcz ideą „szkoły dezinformacji". I tak zrobił. Niektóre jej tezy, w roku wydania 1984 (jakże orwellowsko symbolicznym) wydawały się zupełnie zwariowa-

ne. Golicyn przewidział bowiem pierestrojkę, pozorowany upadek komunistycznego imperium, który ma służyć jedynie przebudowie potwora i ubrania go w inne łuski. Łuski miały błyszczeć demokracją i ogładą. Ogień tlący się w pysku miano stłumić, aby nie było go widać zza szerokiego, przyjaznego uśmiechu pełnego połyskujących białych kłów. Major KGB przepowiedział tym samym rok 1989 w Polsce i aksamitne przejęcie władzy przez tych, którzy zagwarantują grubą kreskę i spokojny finansowy byt starym elitom.

Książka „Nowe kłamstwa w miejsce starych" stała się jedną z najważniejszych pozycji współczesności. Tytuł mówi o najważniejszym – że kłamstwo jest główną bronią polityczną Związku Sowieckiego już od jego zarania. I nie chodzi tu o wymiar kłamstwa „założycielskiego", stanowiącego samo źródło, fundament zła, lecz o kłamstwo jako narzędzie, za pomocą którego prowadzi się międzynarodową politykę. Kłamstwo na wielką skalę – takie, w którym wszystkie epokowe wydarzenia historyczne, śmierci przywódców, alianse, czy interwencje w innych krajach stają się kolejnymi elementami wielkiej oszukańczej gry. Gry, jaką państwo sowieckie prowadziło przez dziesięciolecia i prowadzi ją, bez wątpienia, nadal.

Właśnie dlatego, uznając wagę tej książki, Antoni Macierewicz kazał wydać ją w 2007 roku jako swego rodzaju podręcznik dla Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Jednym z jej głównych tematów jest dezinformacja – wpływanie na media i ośrodki opiniotwórcze, aby wytworzyć odpowiednie podłoże do działania dla Moskwy. Jak w laboratorium chemicznym – aby móc uzyskać szczep bakterii, należy najpierw na szklanej płytce wyhodować grzyby. One będą pożywką. Czasem sam efekt akcji dezinformacyjnej już sam w sobie może być celem. Terminem, który wprowadził do języka obiegowego major KGB, były słynne „nożyce Golicyna", czyli wyrafinowana i skuteczna metoda takiego opakowania kłamstwa, by każdy wziął je za najszczerszą prawdę.

Od czasu katastrofy smoleńskiej termin ów pojawia się co pewien czas w kontekście tego, co się stało 10 kwietnia na lotnisku Siewiernyj i przewija się aż do dzisiaj. Już od pierwszego dnia zaczęła działać kłamliwa machina rosyjska. Do gotowych metod leżących w szufladach FSB, jak stare wysłużone pistolety, sięgnięto natychmiast. Sowieci mają je opracowane i przećwiczone. Tak jak na okrętach podwodnych trenuje się do znudzenia schodzenie alarmowe pod wodę. Tak działa maszyna kłamstwa rosyjskich służb – to nie jest improwizacja, lecz precyzyjna nauka.

Niektórzy autorzy zajmujący się sprawą Smoleńska, jak choćby Marek Dąbrowski w swojej książce, pisali o tym wielokrotnie – odsyłam do nich po szczegóły.

Jedno nie ulega kwestii – większość mediów oraz najważniejszych elit politycznych w Polsce i na świecie już od pierwszych chwil po tragedii było przez Moskwę świadomie manipulowanych. Co gorsza, podjęło grę i samo zaczęło w niej uczestniczyć. „Pożyteczni redaktorzy" w stylu Piotra Kraśki, sami robili najlepszą robotę. Jak opowiada Wiktor Bater w ostatniej książce Torańskiej – „Wieczorem telewizyjne *Wiadomości* odstawiły spektakl światło–dźwięk, zapalając pod murem lotniska setki zniczy wykupionych przez kilkudziesięcioosobową ekipę TVP w całym Smoleńsku i okolicach. Że to niby światełka zapalane przez współczujących mieszkańców. Żenujące".

Inni wpisywali się w narrację Rosji, sami podchwytując podawane przez nią informacje i wrzucając na nasze podwórko jak gorące kartofle. To przecież PAP i zaraz za nią „Gazeta Wyborcza" przekazywały wieści o obecności osób postronnych w kokpicie tupolewa. Bazując jedynie na moskiewskich „przeciekach" z tzw. dobrze poinformowanych źródeł.

Bardzo szybko zaczęła się kręcić wokół Smoleńska karuzela dezinformacji i rozwarły się „nożyce Golicyna".

Golicyn opisał też, jak głęboko i daleko mogą sięgać macki dezinformacyjne. Wymieniał kolejne, naukowo opracowane „systemy kłamstwa". Ot choćby „Wzorzec dezinformacji – Słabość i Ewolucja" – „Główną rolę w tym wzorcu dezinformacji odgrywa ukrywanie i mylne przedstawianie prawdziwej natury, celów, taktyk i technik prowadzenia polityki". I dodawał za chwilę, że „prawdziwe pozytywne informacje o reżimach komunistycznych są zatajane lub dezawuowane, niekorzystne są ujawniane, wymyślane, bądź przekazywane w formie „przecieków kontrolowanych".

Ten wzorzec został zastosowany przez Lenina w roku 1921. Kiedy Rosja sowiecka dostała baty od Polaków dowodzonych przez Piłsudskiego, legły w gruzach plany szybkiego podboju Europy. Trzeba było wycofać się na pewne pozycje, ułagodzić wrogość Zachodu, wygasić lęki, a zacząć wyciągać od niego kasę. Wymyślony przez Włodzimierza Iljicza plan gospodarczy – Nowaja Ekonomicieskaja Polityka – miał nie tylko pełnić funkcję faktycznie gospodarczą, ale także polityczną i ideologiczną. Przemysłowcy z zagranicy zaczęli dostawać koncesje, zachęcano do inwestowania w sowiecki przemysł, a wszystkiemu nadano wymiar łagodnej – jak w nazwie wzorca – ewolucji. Agenci przeniknęli do ruchów opozycyjnych i stamtąd zaczęli wysyłać w stronę „przyjaciół" na Zachodzie sygnały mówiące o tym, że reżim sowiecki ma się ku końcowi, że jest słaby i się chwieje, że całość pójdzie w stronę prawdziwie demokratyczną. Była to gra cyniczna od początku do końca, prowadzona ohydnymi metodami, obliczona na konkretne cele – urobienie sobie opinii publicznej,

pozyskanie sympatii zachodnich elit i w końcu, co najważniejsze, ich pieniędzy.

Inny wzorzec kłamstwa podawany jako przykład przez Golicyna to „Fasada i Siła". Stosowany wtedy, gdy państwo jest w kryzysie. Ośrodki opiniotwórcze działające według tego systemu nie zauważają słabości, lecz budują wrażenie siły. Przykłady tego odnaleźć można choćby w raportach KC KPZR z XIX Zjazdu w październiku 1952 roku. „Osiągnięcia we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej doprowadziły do dalszej poprawy standardów materialnych i kulturowych społeczeństwa ZSRR".

Kolejny wzorzec „Przemiany" mówił o metamorfozach systemu.

W roku 1947 powołano do życia w ramach struktur wywiadu specjalną, odrębną służbę, która miała się zajmować dezinformacją jako metodą. Nazywała się ta komórka *Służba* 5, a jej pierwszym szefem był Andriej Grauehr.

Nad sposobami dezinformacji ciągle więc pracowano, dochodząc do nowych formuł i prawideł.

W kontekście Smoleńska najciekawsze są owe „nożyce Golicyna". Opierają się one na następującej zasadzie – wyobraźmy sobie, że istnieje kłamstwo główne, to, które ma stanowić najważniejszy element naszej strategii dotyczącej jakiegoś zdarzenia. Jeśli chcemy by stało się ono w powszechnym mniemaniu prawdą, należy je zaimplementować ludziom jak najszybciej. Umysł człowieka pragnie szybkich wyjaśnień. Chce jak najszybciej wiedzieć, co się stało i dlaczego. Dlatego chwyta się pierwszych wyjaśnień czy wniosków. Tuż po katastrofie w głowach wszystkich Polaków kołatało się to samo pytanie – „Co się tam stało?", przemieszane z szokiem i niedowierzaniem, jak to w ogóle możliwe, że Prezydent i tylu rodaków zginęli w taki sposób. Padła szybka odpowiedź. Ta, którą znamy z esemesa ujawnionego przez generała Petelickiego. „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgle poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił".

W ten sposób, już od pierwszego dnia katastrofy Rosjanie i wtórujący im Polacy zaczęli powtarzać jedną i tę samą wersję, dokładając do niej tylko kolejne elementy – „Kto ich do tego zmusił?".

Tę „prawdę" poznaliśmy z kolejnego „szkolnego" manewru KGB – „przecieku kontrolowanego". Przeciek nastąpił dwustopniowo. Najpierw informacje o obecności osób trzecich w kokpicie podała PAP i „Gazeta Wyborcza". Następnie na ekranach telewizji TVN to samo powiedział Eugeniusz Klich. Tylko jeszcze mu się „wymsknęło" nazwisko. Nasz przedstawiciel pełnomocny obwieścił telewidzom, że pilotów zmusił do samobójczego manewru śp. generał pilot Andrzej Błasik. Ostrze nożyc rozwarło się szeroko. Zostało wymierzone w cześć

i honor wspaniałego dowódcy, którego przecież ludzie właściwie nie znali – ot, może kilka razy mignął im na ekranach. Nie wiedzieli więc, że ten właśnie oficer był rycerzem zmian w Wojsku Polskim. Że to on właśnie próbował je zmienić, wyjąć ze starych moskiewskich butów i sposobów działania, że walczył o odbudowę oficerskiego etosu, kodeks honorowy, wizerunek munduru. Więc mogli uwierzyć – „Wiadomo w końcu, co się w tym naszym wojsku dzieje". Tymczasem potwarz padła w stronę tego, który postawił się starym moskiewskim wojskowym elitom, tego, który kończył szkoły amerykańskie, a przez kolegów w NATO był niezwykle szanowany (jak zresztą pozostali generałowie, którzy zginęli w Smoleńsku). Wreszcie tego, który wprowadzał instrukcję HEAD, mówiącą o tym, że Dowódca Statku Powietrznego to jest świętość na pokładzie i ma ostateczne prawo do podejmowania decyzji!

Czy gdyby informację o obecności Andrzeja Błasika podano od razu, Polacy by uwierzyli? Pewnie nie. Właśnie dlatego podjęto długofalową akcję „przygotowania" ich do tego, co się znajdzie w raporcie MAK. Temu służyły m.in. „rewelacje" tygodnika „Wprost" mówiące o tym, że generał ponoć odnosił się źle do podwładnych.

Ciągle dokładano kolejne kłamliwe puzzle, mające pasować do układanki, która niedługo miała się objawić. Było więc o złym szkoleniu czy niedoświadczeniu śp. majora Protasiuka, choć tak naprawdę był najlepszym pilotem w Polsce na tupolewy i doskonale znał język rosyjski.

Potem był już tylko raport Anodiny. I hańba polskiego milczenia. Hańba wstydliwego podkulenia ogona wtedy, gdy trzeba było wyraźnie i stanowczo zaprotestować przed zrzucaniem winy na polskich żołnierzy. Ale ostrze kłamstwa było gotowe.

Jednak nożyce składają się z dwóch ostrzy. Jedno stanowi kłamstwo główne. Drugie zaś… kłamstwo pomocnicze, stoi na przeciwległym, absurdalnym biegunie. Golicyn wytłumaczył, jak coś takiego funkcjonuje. Ludzie lubią mieć wszystko poukładane. A żeby kłamstwo stało się prawdą, trzeba spowodować, aby wydawało się ono bardziej racjonalnym rozwiązaniem. Budzącym mniej lęków i emocji. Więc należy je skontrastować. W tym celu produkuje się kłamstwa aberracyjne. Szalone z gruntu historie, które mają sprawić, że statystyczny odbiorca zacznie się stukać w czoło.

I takie kłamstwa zaczęto masowo produkować. Uaktywniono blogerów wykorzystując genialne narzędzie, jakim jest zapewniający anonimowość internet. Służyli oni swoimi informacjami, wpisami, śledztwami zarówno stronie „rosyjsko–rządowej", jak i tej tzw. obywatelskiej. Głośna stała się sprawa tzw. śledztwa obywatelskiego i teorii „maskirowki" – wedle niej zabójstwa dokonano na płycie lot-

niska w Warszawie, a fragmenty samolotu przewieziono na lotnisko Siewiernyj. Pokazano nawet zdjęcia, które miały o tym świadczyć.

Dopiero po pewnym czasie okazało się, że bloger „Free Your Mind" jest w istocie agentem służb. Sam to zresztą ujawnił. Ciągle jednak ponawiano kłamstwo główne – pojawił się tak „racjonalny" raport Millera. Podobno na jakichś taśmach widziano, że generał Błasik krzyczy na lotnisku na majora Protasiuka. „Widziano". Zaserwowano to Polakom. Zaimplementowano do świadomości. A że potem się okazało, że z nagrań nic nie wynika? Cóż z tego… Przepraszać? Gdzieżby! Lepiej znowu śmiać się, szydzić, wskazywać palcem naukowców Macierewicza i robić z nich szaleńców. Produkowano dziesiątki fałszywych relacji z prac zespołu parlamentarnego.

A ludzie. ludzie zaczęli chwytać raz jednym uchem, raz drugim. Słyszeli niestworzone historie, spiskowe teorie. Brakowało, by jeszcze ktoś gdzieś napisał, że delegację wywieziono na Antarktydę, a tam zamordowali ich Zulusi. I właśnie dlatego zaczęto myśleć, że jest tylko jedno sensowne wyjaśnienie wydarzeń na lotnisku w Smoleńsku. Właśnie to, które powstało w kilkanaście minut po tragedii.

To jest wynik działania precyzyjnych „nożyc Golicyna". Z jednej strony kłamstwo główne. Z drugiej szalone historie – kłamstwo pomocnicze. A gdzie jest prawda? – ktoś spyta. Otóż według samego Golicyna prawda leży zawsze tuż przy… kłamstwach pomocniczych. Blisko tych maskujących, niewiarygodnych teorii. Nożyce pracują. Biorą ją między ostre krawędzie. I tną.

Jaki jest efekt? Taki, że gdy teraz zespół Macierewicza mówi, że należy na serio zbadać hipotezę zamachu, gdyż w świetle pracy naukowców jest ona wielce prawdopodobna, to budzi ona w wielu środowiskach albo śmiech, albo agresję. Szczególnie u tych, którzy bezboleśnie „łyknęli" oficjalną wersję Anodina–Miller. Takich jak Owsiak. Którym wystarczyło dowiedzieć się raz, jak było i koniec. Już się ma spokój. Już „mnie to nie dotyczy". Mylą się. Dotyczy ich. Dotyczy każdego z nas.

[wSieci, nr 46/2013]

LOTNIK – SKRZYDLATY WŁADCA ŚWIATA

GENERAŁ Andrzej Błasik lubił różne piosenki. Ale pośród tych wielu, znanych i mniej znanych, jakie zwykł sobie nucić w chwili dobrego humoru była jedna, szczególna – taka, która nieodmiennie go wzruszała – hymn polskich pilotów wojskowych…

„Marsz lotników polskich" powstał w latach trzydziestych XX wieku. Z jednej strony były to czasy, gdy nasi inżynierowie tworzyli nowoczesne konstrukcje samolotów, a z drugiej trwała fascynacja Polaków samym lotnictwem. Sukcesy sportowe tamtego okresu i nazwiska asów przestworzy – Żwirki i Wigury, Skarżyńskiego, Bajana czy Orlińskiego – znali wszyscy. Piloci chodzili w glorii i chwale, przyciągając uwagę dam równie skutecznie, jak ich koledzy kawalerzyści. Ułańska fantazja, honor, odwaga, patriotyzm – wszystkie te cechy, które składały się na etos polskiego rycerza, husarza i szwoleżera, stały się również nieodłącznym elementem etosu pilota wojskowego. Był on „jeźdźcem przestworzy", który zamiast konia pod sobą, miał w dłoniach drążek sterowy myśliwca.

Muzykę do „Marsza lotników polskich" napisał por. pilot Stanisław Latwis, zaś słowa były dziełem Aleksandry Zasuszanki. Hymn ten śpiewano na wszystkich uroczystościach sił powietrznych, a potem dźwięczał w uszach tych „ułanów nieba", którzy w 1940 roku nad Wielką Brytanią sprawiali lanie szwabskim messerschmittom i focke–wulffom. Nadal rozbrzmiewa on w polskich wojskowych jednostkach lotniczych.

Śpiewał go także wraz ze swoimi podopiecznymi śp. generał Andrzej Błasik. Znali go doskonale piloci siedzący za sterami Tu–154 M, gdy lecieli w stronę lotniska Siewiernyj…

Lotnik skrzydlaty władca Świata bez granic,
Ze śmierci drwi, w twarz się życiu głośno śmieje,
Drogę do nieba skraca,
Przestrzeń ma za nic,
Smutki mu z czoła pęd zwieje (…)
Niestraszny nam mrok i mgła…

Tak brzmi pierwsza zwrotka tej pieśni o lotnikach – spadkobiercach dawnych polskich rycerzy. Czy ma ona znaczenie, gdy spoglądamy wstecz na historię smoleńskiej i posmoleńskiej tragedii naszego narodu? Na historię kłamstwa smoleńskiego, w którym istotną częścią składową całej logicznej konstrukcji myślowej był „portret psychologiczny" generała Błasika kreślony przez media i rządowych „ekspertów"? Tak – ta jego ulubiona pieśń stanowi część opowieści o generale, zarówno o żołnierzu, jak i o człowieku. Postaci diametralnie innej niż ta, jaką na potrzeby rosyjskiej wersji wydarzeń usłużnie stworzyły polskie media. Śp. generał Andrzej Błasik nie był bowiem typem wojskowego, który dość łatwo da się wrzucić do tzw. zbiorowej wyobraźni poprzez odwołanie się do funkcjonującego stereotypu. Ten stereotyp jest w świadomości obywateli krajów bloku postsowieckiego mocno ugruntowany. Mówi on o tym, że każdy oficer to postać nieciekawa – za kołnierz nie wylewa, przyjmuje serwilistyczną postawę wobec przełożonych, gnębi podwładnych, nie myśli racjonalnie, zaś honor jest jedynie słowem przydatnym przy wznoszeniu toastu. Dość łatwo można było przekonać społeczeństwo, że dowódca sił powietrznych doskonale odpowiada takiemu wizerunkowi. Większość ludzi, nie znając go przecież osobiście uwierzyła, że taki „jenerał", to „mógłby włazić do kabiny i się rządzić", a nawet „mógłby się napić". „Przecież wojskowy, no nie?".

Problem w tym, że tej ohydnej operacji propagandowej dokonano wobec osoby, która zasadniczo i do głębi od tego sowieckiego wizerunku odbiegała. Generał Błasik stanowił przykład tego, JAKI POWINIEN BYĆ polski oficer. To, że uczyniono z niego jednego z winnych katastrofy, że go opluto, zszargano jego imię i honor, jest jednym z najpodlejszych, najokrutniejszych filarów posmoleńskiej tragedii. Właśnie dlatego, że już po tym, kiedy zginął w strasznych okolicznościach w Smoleńsku – zamordowano go raz jeszcze – medialnie i propagandowo na użytek wersji Tatiany Anodiny i Władimira Putina. Te fakty są niezaprzeczalne – dokonano na generale linczu po jego śmierci.

Od samego początku smoleńskiego „śledztwa", do pierwszego dnia właściwie, gdy już „znano" wersję finalną, czyli błąd pilotów spowodowany przez naciski, rozpoczęto sukcesywnie przygotowywać społeczeństwo polskie do tego, by bez zmrużenia oka łyknęło ohydne kłamstwo, jakie miało być zaserwowane na konferencji MAK. „Pozostaje do ustalenia, kto ich do tego zmusił" – słynne esemesowe zdanie z „instrukcji" partyjnej PO zawierało też przecież przygotowaną „domyślną" odpowiedź. Miał to być śp. prezydent Lech Kaczyński. Do tego dodano wersję o obecności w kabinie niepowołanych osób.

Błasika Moskwa wytypowała bardzo szybko, gdyż w sposób oczywisty, jako dowódca, nadawał się do tego celu. Już w trakcie pierwszych „odsłuchów" czarnych skrzynek stwierdzono, że był przy pilotach. Potwierdzić miał to jeden z polskich wojskowych. Zasugerowano mu „prawidłowe rozpoznanie głosu"…

W maju 2010 roku miała miejsce pierwsza odsłona spektaklu medialnego, pierwszy akt przygotowań do „raportu MAK", który rozegrał się w studiu telewizyjnym. W trakcie programu „Teraz My" Edmund Klich, pełnomocny przedstawiciel przy MAK, dał biedaczyna „wydusić" z siebie słowa, że któż jak nie generał stał za plecami śp. Arkadiusza Protasiuka i nakazywał mu samobójcze lądowanie na brzozach. Przy okazji należy przypomnieć, że Protasiuk doskonale znał teren podejścia, gdyż lądował na tym samym lotnisku trzy dni wcześniej.

Cała Polska dowiedziała się, kto jest „winnym" katastrofy. Co więcej – z kolei generała musiał (wszyscy się powinni tego „domyślać") naciskać szalony prezydent. Warto jednak pamiętać, że jeszcze przed transmisją owego programu pojawiły się pierwsze tego typu „przecieki" z tzw. dobrze poinformowanych źródeł. Informacje o osobach w kabinie podała PAP, a także „Gazeta Wyborcza". Wypowiedź Klicha to początek kolejnych akordów oczerniającej akcji. Za chwilę można było przeczytać w rosyjskich „Izwiestjiach": „Śmiertelnym lądowaniem dowodził Dowódca Sił Powietrznych Polski", podchwycił to natychmiast „Newsweek". Kółko raz puszczone w ruch zaczęło się kręcić.

Czy w tej trudnej chwili którykolwiek z przedstawicieli polskiego rządu rozpoczął batalię o honor naszego dowódcy? Ba, czy zrobiło to… polskie wojsko? Niestety, w zadziwiający sposób wszyscy skulili uszy po sobie, a wręcz zdawało się, jakby tę wersję przyjęli z ulgą. Mamy winnego! Nie trzeba będzie stawiać trudnych pytań Rosjanom, nie trzeba będzie ryzykować naszych dobrych stosunków z Putinem…

Na pogrzebie generała Błasika ówczesny minister obrony narodowej Bogdan Klich, w trakcie mowy kondolencyjnej obiecywał, że będzie bronił honoru dowódcy sił powietrznych. Niestety, nie uczynił tego. Zostawił więc wrażenie, że może. tego honoru bronić się nie da?

Dla pojęcia ogromu tragedii, jaka spotkała najbliższą rodzinę generała, żonę i dzieci, ale też jego podwładnych i przyjaciół jest istotne zrozumienie, kim był śp. Andrzej Błasik?

Ten kształcący się najpierw w Polsce (Szkoła Lotnicza w Dęblinie, AON w Warszawie), a następnie w Hadze i w Stanach Zjednoczonych oficer prezentował sobą nowy, nowoczesny sposób myślenia o armii. Stał się jednym jej reformatorów i odnowicieli. Dbał o oficerski etos,

„ożywił" pojęcie honoru żołnierskiego. W jego domu na czołowym miejscu leżał, i leży nadal, elegancko oprawiony „Kodeks Honorowy Oficera". Był patriotą zakochanym w „Trylogii" Sienkiewicza i dawnych rycerskich eposach. W polskim wojsku, przeżartym sowieckim sposobem myślenia, wprowadzał nowe reguły i standardy. Przez takie działania „zyskał" spore grono nieprzyjaciół – głównie wśród kadry, która wiedzę zdobywała w moskiewskiej akademii.

Ufał mu śp. prezydent Lech Kaczyński, mianując dowódcą Sił Powietrznych RP.

Po locie w stronę Gruzji – podczas wojny w Osetii w 2008 roku – gdy Lech Kaczyński próbował przeciwstawić się zapędom imperialnym Putina i gdy doszło do konfliktu z pilotem, który nie wykonał rozkazu prezydenta, generał udał się na spotkanie z Kaczyńskim.

Rozmawiali na temat tzw. Instrukcji HEAD, czyli instrukcji dotyczącej lotów z najważniejszymi osobami w państwie na pokładzie. Generał Błasik był autorem i orędownikiem jej wprowadzenia. Mówiła ona m.in. o zaufaniu, jakie należy okazać dowódcy statku powietrznego w trakcie lotu. Wskazywała jasno, że to on właśnie jest „przełożonym" wszystkich osób na pokładzie. Lech Kaczyński przyznał generałowi rację.

A więc, skłaniając ucho ku polskim mediom powtarzającym kłamstwa rosyjskiej propagandy, założyć trzeba, że ten, który walczył o bezwzględne poddanie się tej instrukcji, sam ją w sposób niezwykle spektakularny złamał!

W pierwszych stenogramach, ujawnionych opinii publicznej wiosną 2010 roku, jeden z głosów w kabinie przypisano Błasikowi. Miał on odczytywać fragmenty instrukcji lądowania, np. zdanie „mechanizacja skrzydła przeznaczona jest do…". Jest to kompletnym nonsensem, choćby biorąc pod uwagę fakt, że generał nie posiadał uprawnień instruktorskich na tupolewa. Miał takie uprawnienia na Jaka–40, na tzw. suki (Su–22) lub maszyny szkoleniowe. Nie mógł więc „doradzać" pilotom, którzy z kolei swój samolot znali doskonale, wiedzieli jak go posadzić. Śp. mjr Arkadiusz Protasiuk, kolejna ofiara propagandy, lądował „tutką" wiele razy, również w Smoleńsku, na lotnisku Siewiernyj siadał przecież jako „drugi" trzy dni wcześniej, podczas lotu z premierem. Jego także przedstawiano, a to jako bezmyślnego samobójcę, który zniża się do ziemi z dużej wysokości, nie widząc strzałki wariografu, a to jako niedouka i amatora, który nie zna podstawowych procedur, czy też nie potrafi wykonać czynności na poziomie lotniczego „przedszkola". Ale lotnicy od początku zostali wytypowani przez Moskwę na ofiary szykowanego kłamstwa.

Generał traktował udział w uroczystościach rocznicowych jako wydarzenie wielkiej rangi, przeżywał je, przygotowywał do niego du-

chowo i chciał na mszy św. w Katyniu, przyjąć komunię. Żona wyprasowała mu koszulę i przyszykowała mundur. Rano wyszedł cicho, by jej nie obudzić, tylko na pożegnanie pocałował delikatnie w czoło.

Zginął rozszarpany wybuchem. Jego mundur znaleziono w smoleńskim błocie. Nikt nie stanął w obronie tego człowieka. Poza… żoną.

Ewa Błasik w jednej chwili musiała zmierzyć się z najcięższym wymiarem spraw. Nie dość, że jej mąż zginął w straszliwych okolicznościach, to jeszcze został publicznie zhańbiony. Sama rozpoczęła walkę o jego dobre imię. Zaczęli ją wspierać dziennikarze – z „Naszego Dziennika" i „Gazety Polskiej". Pojawił się u jej boku mec. Bartosz Kownacki. Po konferencji Anodiny dzielnie stanęła przed kamerami w sejmie i powiedziała o plamieniu honoru polskiego oficera. Polski rząd milczał. Raport komisji Millera nie podał co prawda obecności generała w kabinie wśród najważniejszych przyczyn katastrofy, ale zaznaczył, że miało to wpływ na tragedię. Powtórzył więc, tylko trochę łagodniej, wersję rosyjską – winni są piloci i generał.

Walka o jego dobre imię stała się więc walką o honor polskich pilotów, o honor polskiego wojska, wreszcie o honor całego państwa. Stała się symbolem. Kolejne etapy tej walki, punkt po punkcie obalały wersję rządowo–moskiewską. Instytut Sehna w Krakowie przedstawił wyniki odsłuchów, w których już nie przypisano żadnego z głosów w kabinie generałowi. Ostatnio ujawniono ekspertyzy sądowe, z których jasno wynika, że w jego zwłokach nie było alkoholu. Zdawać by się mogło, że walka została więc wygrana; że winni kłamstwa, oszczerstw, powinni się teraz kajać i przepraszać; że polskie władze rozpoczną akcję propagandową, która postać generała, a za tym i polskie lotnictwo, oczyści z błota rzucanego przez Anodinę na konferencji. Nikt jednak tego nie uczynił…

Historia śp. generała Andrzeja Błasika i historia jego wspaniałej żony ma wymiar tragedii greckiej. Walka kobiety o honor nieżyjącego męża kończy się wygraną, która jednak nie wpływa na nic zasadniczo. Podano suche prasowe informacje i nikt prawie nie pochylił się nad tym, co to wszystko naprawdę oznacza – że cała logiczna konstrukcja rosyjskiej wersji zdarzeń, konstrukcja, w której kwestie nacisków na lądowanie odgrywały kluczową rolę – leży w gruzach.

[wSieci, nr 14/2014 r.]

L'ARMÉE POLONAISE
RELIGION
PATRIE
ZOUAVES
LES
ÉTAT-MAJOR
ARMÉE RÉGULIÈRE
PRISE D'UN CANON
CONVOI

PODZIĘKOWANIA

Na koniec chciałbym podziękować.

Po pierwsze mojemu Ojcu. Wzrastałem w domu przepełnionym duchem patriotyzmu i szacunku wobec dokonań przeszłych pokoleń. Bez tego wychowania, które otrzymałem, nie byłoby wszystkich artykułów, jakie dane mi było napisać, a obecnie Państwu przedstawić w książkowym wyborze.

Chciałbym podziękować także mojej kochanej Żonie, która każdy mój tekst poddaje niezbędnym zabiegom redakcyjnym. Dziękuję Jej oraz moim Synom, Kazimierzowi i Tadeuszowi – Wasza obecność to niezwykły dar, za który jestem głęboko wdzięczny Bogu.

Przesyłam także tą drogą wyrazy wdzięczności dla pana Marcina Wolskiego oraz pana prof. Andrzeja Nowaka, szczególnego rodzaju „promotorów" mojej pracy, a także wydania tej książki.

Jestem wdzięczny za okazane zaufanie redaktorom naczelnym, którzy użyczyli mi łamów swoich tygodników – panu Tomaszowi Sakiewiczowi („Gazeta Polska") oraz panom Michałowi i Jackowi Karnowskim („wSieci").

Wreszcie – dziękuję wydawcy panu Pawłowi Tobole–Pertkiewiczowi za podjęcie się trudu wydania tych esejów.

Bóg zapłać!

Tomasz Łysiak

SPIS TREŚCI

MIĘDZY POLSKĄ NOCĄ A ŚWITANIEM
I. MEDALION Z MATKĄ BOSKĄ
- HENRYK POBOŻNY – OBROŃCA POLSKI I EUROPY
- USŁYSZEĆ DZWON Z ŁĘCZYCY
- PASZKWIL – CUDOWNA BROŃ ANTYPOLSKA
- MEDALION Z MATKĄ BOSKĄ
- NAJJAŚNIEJSZY PANIE, CZEMU UCIEKASZ?
- TREMBOWLA – CZYLI TYLKO W POLSCE SĄ PODOBNE BIAŁOGŁOWY
- MILCZENIE – CZYLI O TYM, JAK WŁADZA ZAMYKA USTA POLAKOM
- RZYMSKA WIGILIA Z MICKIEWICZEM

II. PIEŚŃ PRZECIW KARABINOM
- BOŻE, COŚ POLSKĘ – PIEŚŃ PRZECIWKO KARABINOM
- M – JAK MANIFEST
- OSTATNI ŻOŁNIERZ WYKLĘTY ROKU 1863
- ŚMIERĆ, KTÓRA WSZYSTKO ZACZĘŁA
- POŻEGNANIE MURAWIEWA
- ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1866

III. MY, PIERWSZA BRYGADA
- ARCYKSIĄŻĘ I MIŚ
- UŁAŃSKIE CZAKO JÓZEFA MĄCZKI
- PORANNE SŁOŃCE ŚLIZGA SIĘ PO OSTRZU STALI
- LAWA, CZYLI LEGENDA POLSKA 1914–1918
- SEN O SZPADZIE
- CHOINKA W LUFIE KARABINU – WIGILIA POLSKA 1914

REWOLWER POR. TOPÓR–KISIELNICKIEGO. W STULECIE SZARŻY POD ROKITNĄ
MY, PIERWSZA BRYGADA!
IV. ŻEBY TYLKO BOLSZEWIKÓW WYPĘDZIĆ
KOŃ NA WZGÓRZU
ŻEBY TYLKO BOLSZEWIKÓW WYPĘDZIĆ!
MY WSZYSCY W TYM KONDUKCIE – OSIEMDZIESIĄTA ROCZNICA ŚMIERCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEG
JÓZEF BECK – MINISTER SPRAWY HONORU
O PORZĄDNYM CZŁOWIEKU
CEGÓJ PŁACES? – NA TROPACH SMĘTKA PO LATACH OSIEMDZIESIĘCIU
BOMBA ZE ŁZAMI
V. MIŁOŚĆ ‘44
ZA BOGA, OJCZYZNĘ I POLSKI BAŁTYK – O BOHATERSKIEJ OBRONIE KĘPY OKSYWSKIEJ 1939
17 WRZEŚNIA
ORLĘTA GRODZIEŃSKIE 1939
PRAWDZIWE PAŃSTWO
MONACHIJSKIE MIESZKANKO KALKSTEINA
OKULARY DR. ZEYLANDA
MIŁOŚĆ 44
SZÓSTY SIERPNIA
PAMIĘTNICZEK GANDAWSKI
VI. BÓG CIERPLIWY
PUNKT HONORU, CZYLI 250 LAT OD ZAŁOŻENIA SZKOŁY RYCERSKIEJ
ŁZY KOZAKA
TECZKA LISTOPADOWA
BÓG MÓWI DO NAS USTAMI WIELKICH POLAKÓW – CZYLI O „KSIĘGACH NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO”
ROSYJSKA TWIERDZA – CZYLI JAK MOSKALE NIE WYPUSZCZAJĄ Z ŁAP POLSKICH SYMBOLI
POLSKA BYŁA PIĘKNA NATENCZAS
BÓG CIERPLIWY, ALE SPRAWIEDLIWY

CZARNE ŚWIATŁA
VII. LISTA POLSKA
TARGOWICA I ELSTERA – NA DWÓCH KRAŃCACH POLSKOŚCI
LEĆ NASZ ORLE W GÓRNYM PĘDZIE
OPŁATEK KONTRA PISTOLET
O NOWY CUD WISŁY
DWA KAZANIA – CZYLI KSIĄDZ POKAZAŁ KIERUNEK KRZYŻEM
LISTA POLSKA
DAWNE BOHATERY
NIEBEZPIECZEŃSTWO PRAWDY
SMOLEŃSK W NOŻYCACH GOLICYNA
LOTNIK – SKRZYDLATY WŁADCA ŚWIATA
PODZIĘKOWANIA

multibook.pl
KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

Największa księgarnia po Prawej stronie!

* Najciekawsze książki, często niedostępne w innych księgarniach
* Porządne książki dla najmłodszych
* Czasopisma
* Filmy
* Audiobooki
* Ebooki
* Specjalna oferta Wydawnictwa PROHIBITA – **www.prohibita.pl**
* Szybka wysyłka, płatności kartą, PayPalem i przelewem online

największy wybór, najniższe ceny na rynku

Zapraszamy do księgarni!
ul. Dymińska 4
100 m od stacji metra Dworzec Gdański (wyjście północne)

Tel: 22 424 37 36, mail: sklep@multibook.pl
Czynne od poniedziałku do piątku w godzinach od 9:00 do 18:00 (w czwartki do godziny 19:00), w soboty w godzinach od 10:00 do 14:00.